

PIEKARA

JACEK



Ja, inkwizytor

Dziennik
czasu zarazy



fabryka słów
WYDAWNICTWO

JACEK PIEKARA

Autor niemal 30 książek, w tym cyklu inkwizytorskiego, bestsellerowej historyczno-fantastycznej sagi publikowanej od 2003 roku (cykl doczekał się już 16 tomów!). Jako literat zadebiutował opowiadaniem „Wszystkie twarze szatana” w 1984 roku, potem przez wiele lat pracował jako dziennikarz i redaktor prasowy oraz radiowy, specjalizujący się w tematyce popkultury (szczególnie gier komputerowych). Poza pracą dziennikarską i literacką zajmował się również reżyserią dubbingów oraz tłumaczeniami.

W tej chwili toczą się zaawansowane prace nad wysokobudżetową grą „Ja, inkwizytor” (na wszystkie platformy sprzętowe), opartą na twórczości autora i powstającą we współpracy z nim.

Jest szczęśliwy, że praca pozwoliła mu wyprowadzić się z Warszawy, dzięki czemu mieszka w domu u samego podnóża gór, z partnerką, synkiem, psem, kotem oraz niepoliczalną ilością rybek. Jako odwieczny „homo politicus” interesuje się wydarzeniami na świecie i w Polsce. Czynniki je komentuje, niezależnością oraz ostrością spojrzenia doprowadzając wielu obserwatorów do białej gorączki. W nazywaniu rzeczy po imieniu i w bezkompromisowości wobec moralnej atrofii świata zawsze kieruje się zdaniem Thomasa Manna: „Tolerancja jest przestępstwem, jeśli dotyczy zła”.

Spis treści

Karta tytułowa

Cykl Świat inkwizytorów

Cykl Ja, inkwizytor

Cykl Ja, inkwizytor. Ruska trylogia

Przedmowa

Rozdział pierwszy. Aptekarz Jonatan Baum

Rozdział drugi. Bracia inkwizytorzy

Rozdział trzeci. Proboszcz Gustaw Weber

Rozdział czwarty. Doktor Puffmeister i doktor Krumm

Rozdział piąty. Człowiek bez twarzy i imienia

Rozdział szósty. Rajcy miejscy

Rozdział siódmy. Hrabia Arnulf von Berg

Rozdział ósmy. Figlarna wdówka

Rozdział dziewiąty. Dziwacy i szaleńcy

Rozdział dziesiąty. Maluśkie diablęta Bauma

Rozdział jedenasty. Kanonik Wolfgang Speichel

Rozdział dwunasty. Archidiakon Umberto Cassi

Rozdział trzynasty. Piękna Kinga

Rozdział czternasty. Dobrzy przyjaciele z tongów

Rozdział piętnasty. Rajca Arnold Zoll

Rozdział szesnasty. Śniadanie w Pałacu Małp

Rozdział siedemnasty. Przesłuchanie Arnolda Zolla

Rozdział osiemnasty. Znikający świadkowie

Rozdział dziewiętnasty. Niedowiarki

Rozdział dwudziesty. Cud aptekarza Bauma

Rozdział dwudziesty pierwszy. Ofiary i oprawcy

Rozdział dwudziesty drugi. Wojna w Pałacu Małp

Rozdział dwudziesty trzeci. Krajobraz po burzy

Rozdział dwudziesty czwarty. Aptekarz Korneliusz Baum

Rozdział dwudziesty piąty. Inkwizytor Dietrich Knabe

Epilog

Posłowie

Przypisy

Karta redakcyjna

Okładka

JACEK
PIEKARA

Ja, inkwizytor

Dziennik
czasu zarazy

Ilustracje
Paweł Zaręba

fabryka słów®
Lublin – Warszawa

Cykl Świat inkwizytorów

1. Płomień i krzyż – tom 1
2. Płomień i krzyż – tom 2
3. Płomień i krzyż – tom 3

Cykl Ja, inkwizytor

1. Ja, inkwizytor. Wieże do nieba
2. Ja, inkwizytor. Dotyk zła
3. Ja, inkwizytor. Bicz Boży
4. Ja, inkwizytor. Głód i pragnienie
5. **Ja, inkwizytor. Dziennik czasu zarazy**
6. Ja, inkwizytor. Kościany Galeon
7. Ja, inkwizytor. Sługa Boży
8. Ja, inkwizytor. Młot na czarownice
9. Ja, inkwizytor. Miecz Aniołów
10. Ja, inkwizytor. Łowcy dusz

Cykl Ja, inkwizytor. Ruska trylogia

1. Ja, inkwizytor. Przeklęte krainy
2. Ja, inkwizytor. Przeklęte kobiety
3. Ja, inkwizytor. Przeklęte przeznaczenie



Przedmowa

„Dziennik czasu zarazy” to autonomiczna powieść, którą mogą przeczytać zarówno osoby mające pierwszy raz do czynienia ze „Światem inkwizytorów”, jak i weterani cyklu, pamiętający wydarzenia w nim opisane lepiej od samego autora (tak, tak, jak przekonują mnie rozmowy na spotkaniach autorskich, tacy Czytelnicy jak najbardziej istnieją i szczerze im za to zaangażowanie dziękuję!). Jedynie gwoli dokładności kronikarskiej mogę powiedzieć, że na linii czasu cyklu inkwizytorskiego poniższa książka znalazłaby się zaraz za „Ruską trylogią”, czyli miniserią złożoną z „Przeklętych krain”, „Przeklętych kobiet” oraz „Przeklętego przeznaczenia”. Ale tak jak pisałem: nie ma to dla zrozumienia samej fabuły żadnego znaczenia.

Wszystkim Państwu serdecznie życzę interesującej lektury. Albo interesującego słuchania, ponieważ wiem, że coraz więcej miłośników książek przestawia się na tę właśnie formę obcowania z literaturą.



Rozdział pierwszy

Aptekarz Jonatan Baum



Za drzwiami pokoju przesłuchań ktoś jęczał żałośnie i boleśnie, wzywał Boga na świadka swej krzywdy i męki, przeklinał tych, przez których cierpi, oraz najśłodszymi słowami obiecywał poprawę. Pchnąłem ciężkie skrzydło, po czym wszedłem do środka przy akompaniamencie skrzypienia zastarzałych zawiasów. Lamentującą osobą był Markus Sauffer, mój kolega inkwizytor. Siedział przy stole i użalał się głośno nad samym sobą, trzymając głowę w dłoniach i kiwając się na boki. Nastroszone wiechcie włosów sterczały mu spomiędzy palców. Spojrzałem w stronę młodego sekretarza siedzącego obok. Nazywał się Andreas Wittler.

– Było wczoraj pite? – nawet nie zapytałem, lecz stwierdziłem.

Popatrzył na mnie czystym wzrokiem człowieka bez skazy, niepoddającego się nałogom i chlubiącego przed bliźnimi silną wolą, niczym rycerz obnoszący chorągiew pokonanego wroga.

– Tak sędzę – odparł, a w jego głosie zabrzmiało pobłażliwe lekceważenie.

Cóż, niebezpiecznie pozwalać sobie na podobną intonację, mówiąc o inkwizytorze, ale kancelista był chłopcem młodym, solidnie wykształconym i pochodzącym z dobrej rodziny, więc uważał się za

kogoś lepszego niż taki opój jak Markus Saufer. Poza tym sekretarz miał czyste ubranie, ogolone, wypucowane policzki i włosy przycięte, wedle ostatniej mody, równiutko nad brwiami. Wyglądał schludnie, niczym wychuchany, ulubiony synek mamusi, a tacy chłopcy zazwyczaj uważają się za ludzi wielkiego znaczenia i godnych szczególnego traktowania. A kiedy już dręczą bliźnich, to często nie ze złej woli, lecz tylko z delikatności.

Przeniosłem wzrok na stół tortur¹ i na przywiązanego do niego pucułowatego, łysego mężczyznę, zwróciłem uwagę na długie wąsy sterczące na boki jak czułki chrabąszcza i przystrzyżoną w prostokąt brodę więźnia. Zarówno wąsy, jak i broda sprawiały wrażenie zadbanych, więc można było domniemywać, że człowiek ten nie jest byle ulicznym łazęgą. Zauważyłem też, że ma równo przycięte paznokcie, co prawda brudne (bo trudno nie mieć brudnych, kiedy spędziło się noc w paskudnej celi), ale jednak równo przycięte. Poza tym więzień był nagi, zasłonięty jedynie szmatą położoną na podbrzuszu, i jak spostrzegłem, nie nosił na sobie jeszcze żadnych śladów kwalifikowanego badania. Zauważyłem, że spoglądał ze współczuciem na Saufera, a potem obrzucił mnie zaciekawionym wzrokiem, wyginając kark na tyle, na ile pozwalały mu sznury.

– Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus! – zawołał dziarsko.

– Na wieki wieków, amen – odpowiedziałem uprzejmie i przeniosłem wzrok na kancelistę. – Kto to taki? – zapytałem.

– Za waszym wybaczeniem, ale nie mam najmniejszego pojęcia, mistrzu Madderdin – odparł sekretarz, rozkładając ręce. – Ja zostałem dzisiaj wezwany na zastępstwo. Jestem w Inkwizytorium pierwszy raz od dwóch tygodni i nic o niczym nie wiem.

Kat, siedzący w drugim kącie pokoju i leniwie grzebiący pogrzebaczem przy palenisku, zakaszłał gwałtownie. Zacharczał, zarzęził, zachrypiał, niemal zapał z wysiłku, a wreszcie odplunął w ogień gęstą plwociną, która rozbryzgała się krwawymi glutami na ścianie paleniska. Przez dłuższą chwilę przyglądaliśmy mu się z uwagą.

– Widziałem dzisiaj wielu kaszlących ludzi na ulicach – stwierdziłem wreszcie ostrożnie.

– Ano i ja też – zgodził się ze mną kancelista. – Dziwne, nie sądzicie?

– Nie jestem znawcą w tej mierze, ale rzeczywiście zazwyczaj w lecie nie widzi się i nie słyszy tylu duszących się, charczących i dławiących ludzi. – Pokręciłem głową.

– Coś wisi w powietrzu – westchnął Wittler. – Czy wiecie na przykład, mistrzu Madderdin, że unoszący się pył wulkaniczny może powodować podobne objawy?

Spojrzałem na niego.

– Sądzicie, że gdzieś nad Renem wybuchł wulkan, o którym do tej pory nie wiedzieliśmy?

Poczerwieniał.

– Nie, nie – zaprzeczył szybko. – Ale gdybyż gdzieś niedaleko – obniżył głos niemal do szeptu – otworzyła się szczelina prowadząca wprost do piekieł, to czy opary siarki nie spowodowałyby u ludzi wybuchów nieprzyjemnego i intensywnego kaszlu?

– Opary siarki są burozółte i cuchną jak potępienie! – zawołał mężczyzna przywiązany do stołu tortur. – Straszne głupstwa opowiadacie, młodzieńcze.

Sekretarz poczerwieniał jeszcze bardziej i widziałem, że chce coś gwałtownie odpowiedzieć, ale powstrzymałem go uniesieniem dłoni.

– Wy, dostojni panowie, jak słyszę, nie kaszlecie wcale, tak jak i ja, dziękować Bogu – kontynuował więzień. – Jednak pewien znajomek dokładnie opowiadał mi, jakie to uczucie. Chcielibyście usłyszeć, łaskawi panowie?

– Czemu nie? – odparłem, siadając przy stole.

– Otóż wiecie, jak mniemam, czym jest chrząszcz majowy?

Obaj z sekretarzem skinęliśmy głowami.

– Więc człowiek ten, kaszlący niczym młynarz, co się nawdychał mąki – kontynuował obrazowo mężczyzna – powiedział mi w przerwach pomiędzy konwulsyjnymi atakami, co dręczyły jego ciało, że to takie uczucie, jakby przerażone majowe chrząszcze weszły mu do płuc i tam wierciły się ze wszystkich sił, próbując wyrwać się na wolność i zaciekle drapiąc go ostrymi odnóżami.

Skrzywiłem się.

– Paskudne, chociaż przemawiające do wyobraźni – przyznałem. – A teraz pozwólcie, skoro już się odezwaliście, że zajmę się wami. Kim wy w ogóle jesteście?

– Jonatan Baum, mistrz aptekarski – odparł skwapliwie.

– Mistrz aptekarski – powtórzyłem. – To powiedzcie jeszcze, z łaski swojej, panie aptekarzu, co, u diabła, robicie w naszym pokoju przesłuchań, nadzy i przywiązani do stołu?

– Przyszli po mnie wczoraj inkwizytorzy i mnie aresztowali – wyjaśnił.

– Za co?

– A bo ja wiem za co? – parsknął. – Skoro władza aresztuje, to znaczy, że wie, co robi, nieprawdaż?

No cóż, teoretycznie była to rzeczywiście prawda, lecz jak widać, w jego przypadku teoria rozmijała się na razie z praktyką.

– Nie byliście nawet ciekawi? – wtrącił zdumiony Wittler.

– Ciekawość pierwszy stopień do piekła – odparł zdecydowanie aptekarz. – Byłem pewien, że kiedy władza uzna za stosowne, to wszystko mi zgodnie z prawem i obyczajem wyklaruje.

– Dziwny człowiek – zaszeptał kancelista i pokręcił głową.

Cóż, w inkwizytorskim życiu na niejednego dziwaka, cudaka czy odmienca już się natknąłem, ale postawa tego oskarżonego rzeczywiście wydała mi się intrygująca.

– No dobrze – rzekłem. – Skoro ty nie wiesz, za co cię aresztowano, na pewno powie mi to mój towarzysz.

Odwróciłem się w stronę Saufera.

– Za pozwoleniem, mistrzu Madderdin – sekretarz uniósł szybko dłoń – ale mistrz Saufer nic nie wie, mówiliśmy już o tym, zanim żeście przyszli. To nie jego więzień, więc nie musicie go budzić.

– Czyj w takim razie to jest więzień?

Sekretarz westchnął ciężko.

– Ty mi nie wzdychaj, tylko odpowiadaj, kiedy pytam – warknąłem.

– Ale ja, mistrzu, już mówiłem, że nic nie wiem – pożałił się naprawdę przygnębionym tonem.

– Ja też nie wiem – odezwał się nagle zachrypniętym głosem Saufer i uniósł głowę. Miał zamknięte oczy.

– Gdzie jest protokół z aresztowania? – spytałem.

– Diabli wiedzą – burknął Saufer.

Odczekałem chwilę.

– No dobrze – powiedziałem spokojnie. – Kto dokonał wczoraj aresztowania i na podstawie jakich dokumentów?

Mój towarzysz chciał odpowiedzieć, ale nieopatrznie ruszył zbyt gwałtownie głową, więc tylko jęknął boleśnie.

– Aresztował go mistrz Knoppe – wyjaśnił szybko sekretarz. – Jednak jak z całą pewnością świetnie wiecie, dzisiaj o świcie niespodziewanie wyjechał do wód i nikomu nawet nie zdał swoich spraw.

– Do wód, do wód – zachrypiał znowu Saufer. – Żadne tam do wód. Pojechał do Koblencji, żeby szlajać się, łajdaczyć i szmatławić po burdelach. – W jego głosie wyczułem nie tyle rozdrażnienie nagannym postępowaniem naszego towarzysza, ile złość na niesprawiedliwość losu, która pozwalała Knoppemu dobrze się bawić, podczas kiedy Saufer musiał pracować.

– Skoro aresztował go mistrz Knoppe – rzekłem – to dlaczego ten człowiek – ruchem głowy wskazałem przywiązanego do stołu aptekarza – mówi, że przysli po niego inkwizytorzy?

Sekretarz zapatrzył się na mnie nierozumiejącym wzrokiem.

– Inkwizytorzy – powtórzyłem. – Liczba mnoga. Kto więc towarzyszył mistrzowi Knoppemu?

– Z pachółkiem był – wycharczał Saufer.

No cóż, czyli wynikało z tego, że jednak nie dowiem się tak szybko, o co oskarżono nieszczęsnego aptekarza.

– Dobrze, nieważne. – Uniosłem rękę i odwróciłem się w stronę Wittlera. – Natychmiast wyślij posłańca, niech znajdzie mistrza Knoppego na gościńcu i niech odda mu pismo, które zaraz napiszę.

– Akurat go znajdzie ten posłaniec – burknął Saufer. – Obieca ci żarliwie takimi słowami: „Mistrzu, żebym miał całą noc jechać, żebym miał konia zamęczyć, to go odnajdę”. A jak przyjdzie co do czego, będzie chlał gorzałkę w jakiejś mordowni z kamratami,

a potem wróci i zaprzysięgnie się, że zrobił wszyściuteńko... – mocno zaakcentował to słowo – co w jego mocy.

Na tyle znałem życie, by wiedzieć, iż wątpliwości mojego towarzysza są, niestety, więcej niż uzasadnione.

– Spróbować nie zawadzi – zdecydowałem jednak.

Saufer tymczasem, zmęczony długą i, jak na niego, pełną pasji przemową, oparł przedramiona na blacie i ułożył na nich wygodnie skołataną głowę. Przymknął oczy.

– Skoro nie wiadomo, za co zostałem aresztowany, może by mnie tak rozwiązać? – zaproponował więzień bardzo uprzejmym tonem. – Bo wyznam wam, łaskawi mistrzowie, że ogromnie mi ścierpły ręce od tych sznurów, a ręce w fachu aptekarza to najważniejsza rzecz oprócz bystrego pomysłu i ogromnej wiedzy.

Wstałem od stołu i zbliżyłem się do niego. Rzeczywiście więzy wpijały mu się w ciało tak mocno, że na skórze aż wykwitły sinofioletowe wybroczyny. Wyciągnąłem nóż z pochwy, dobry oręż z hiszpańskiej stali, którym można było się nawet ogolić na gładko, tak był ostry, i rozciąłem sznury krępujące dłonie aptekarza. Ten poderwał się natychmiast, usiadł i sycząc cicho, zaczął sobie rozmasowywać nadgarstki.

– Bardzo wam dziękuję, bardzo pokornie wam dziękuję, mistrzu – mówił pomiędzy tymi bolesnymi syknięciami. – Niech was otacza i chroni łaska Pana naszego za dobro, które mi wyrządzacie.

– On na pewno wie, huncwot jeden, z jakich przyczyn go aresztowano – wtrącił nagle Saufer nienawistnym tonem.

Jednak nienawiść owa, jak ośmielałem się sądzić, nie była skierowana ani do oskarżonego, ani do żadnego z nas tutaj obecnych, lecz ogólnie do świata, który został tak ułożony, iż my wszyscy byliśmy w pełni sił, a Saufera rozdzierał ból spowodowany szaleństwami wczorajszej nocy.

– Wcale nie wiem – zaprotestował obrażonym tonem Baum.

– Może by go tak szturchnąć rozpalonym pogrzebaczem? – zaproponował mój towarzysz i lekko się ożywił. – Albo ścisnąć kciuki w zgniatarce, skoro tak się o nie boi. Zaraz wszystko nam wtedy wyśpiewa!

– Cóż, oczywiście, że tak też można uczynić – zgodziłem się. – Ale powiedz mi, Markusie, czy słusznym jest, żebyśmy torturowali tego aptekarza po to, by się dowiedzieć, z jakiego powodu właściwie go torturujemy?

Saufer otworzył oczy i spojrzał na mnie spod opuchniętych powiek. Jego usta poruszyły się kilkakrotnie i przypuszczałem, że powtarza sobie w myślach moje pytanie.

– Kiedy to powiedziałeś, to jakoś to dziwnie wszystko zabrzmiało – przyznał z zaskoczeniem w głosie.

– Poczekamy na wiadomość od Knoppego i wtedy zdecydujemy, co czynić dalej – stwierdziłem. – A na razie niechże nasz pan Baum siedzi sobie w celi.

Aptekarz gwałtownie zamachał rękami.

– Za przeproszeniem waszym, mistrzu inkwizytorze, ale na podstawie jakiego oskarżenia? – zakrzyknął.

Pogroziłem mu palcem.

– Uważaj – ostrzegłem. – Inkwizytorzy nie zawsze są tak łaskawi jak ja dzisiaj.

– Jestem szanowanym członkiem cechu aptekarzy – oznajmił Baum podniosłym tonem i z wielką godnością w głosie. – Autorem słynnej monografii o wykorzystaniu ziół w leczeniu niestrawności oraz zapań, którą, a wiem to dobrze, czytano nawet na dworze naszego miłościwego pana, nie mówiąc już o dworach pomniejszych książąt, hrabiów czy biskupów. Tydzień temu zjechałem do waszego miasta, gdyż otwieram w nim aptekę. I od razu spotyka mnie tak wielka niesprawiedliwość?!

– Otwieracie u nas aptekę – powtórzyłem. – Czyli, jak rozumiem, macie zezwolenie rady miejskiej?

– Ponad rok się o nie starałem! – zawołał. – Ale wreszcie się udało.

– A w którym miejscu, jeśli wolno wiedzieć, stoi wasza apteka?

– Z największą przyjemnością odpowiem wam na to pytanie. – Ożywił się radośnie. – Otóż kupiłem kamienicę zaraz przy zaułku Żłotników, ten dom, wiecie może, przed nim stoją lwy spięte łańcuchami – wyjaśnił.

Pokiwałem głową, gdyż oczywiście znałem ten zaułek.

– Dostałem całkiem korzystną cenę – ciągnął. – Choć negocjacje trwały dość długo. No ale kupcie w dzisiejszych czasach ładną kamienicę w samym środku miasta. Założę się, że nie poszłoby wam łatwo!

– Najprostszy sposób zbicia majątku: znajdź bogatego heretyka lub czarownika, oskarż go o czary, a kiedy zostanie skazany, dostaniesz połowę jego majątku. I nie trzeba kupować – rzekł posępnym tonem Sauger.

– Oskarż go fałszywie, a będziesz żałował do końca życia – dodałem.

Niestety, moje słowa były tylko częściowo prawdziwe, gdyż sprawy o fałszywe oskarżenia nie były często aż takie proste. Nieuczciwi delatorzy ratowali się przed karą stwierdzeniami, że działali w dobrej wierze, że woleli podzielić się podejrzeniami ze Świętym Officjum, niż dopuścić do grzesznego zaniechania, że ich wiara w sprawiedliwość Inkwizytorium była tak wielka, iż wiedzieli, że w razie czego pomyłka zostanie wyjaśniona... Wymyślali takie i inne argumenty na swoją korzyść (czasami zresztą przemawiali szczerze, gdyż błędne donosy nie zawsze przecież wynikały ze złej woli, lecz często z bogobojnej zapalczywości) i jeśli czynili to umiejętnie, pozostawali bezkarni. Bo trudno sobie wyobrazić, byśmy surowo i z użyciem narzędzi przesłuchiwali tych, co przyszli do nas z informacją. Gdybyśmy tak postępowali, rychło nie przychodziłby nikt, więc należało zachować rozsądek oraz powściągliwość. Dlatego jeśli kogoś karaliśmy za fałszywe oskarżenie, to fałszywość ta musiała być absolutnie jasna i oczywista dla wszystkich, niepodlegająca żadnej dyskusji, a najlepiej wynikająca jeszcze z niskich pobudek, takich jak zemsta czy chęć wzbogacenia się.

– Pół mojego majątku to nie byłoby wcale tak mało – zauważył aptekarz i spochmurniał.

– Ulokowaliście się w znakomitym miejscu i zapowiada się wam w związku z tym świetna klientela – stwierdziłem, a potem spojrzałem na kancelistę. – Wiedziałaś coś o tym?

– Nie. – Wittler wzruszył ramionami. – Nigdy wcześniej nie widziałem tego człowieka ani o nim nie słyszałem.

– Nasi aptekarze nie byli zapewne zadowoleni, że przybyła im tak znakomita konkurencja – powiedziałem z namysłem, a potem przez chwilę milczałem. – No dobrze, panie Baum, puszcze was do domu, bo nie mam żadnych dotyczących was dokumentów. Ani oskarżeń, ani donosów, ani protokołu z zatrzymania. Wracajcie do swoich interesów i uważajcie na siebie.

– Jakże mam wam dziękować? – Rozpromienił się i złożył dłonie modlitewnym gestem.

– Jeśli będę miał kiedyś niestrawność albo zaparcia, to się do was z całą pewnością zgłoszę – obiecałem.

– Migiem postawię was na nogi. – Położył dłoń na sercu.

– Lepiej mnie byście postawili – zachrypiał Saufer. – Bo po wydarzeniach wczorajszej nocy, a przyznam, że wówczas zdawały mi się całkiem zabawne, czuję, że umieram z bóleści i z niedającego się niczym ugasić pragnienia.

Aptekarz spojrział na niego i na ustach wykwitł mu szeroki uśmiech.

– Ależ proszę bardzo. Zaraz wam dopomogę, szlachetny mistrzu. Najpierw należy wziąć kubek jabłkowej gorzałki, potem utrzyć na krem żółtka kurzych jaj z gęstym miodem i następnie dobrze wymieszać jedno z drugim. Później do owego eliksiru dodać dwie łyżki soku z cytryn, łyżkę startego na proszek korzenia imbiru oraz kilka świeżych liści kolendry. – Uniósł palec wskazujący. – Jeśli akurat nie ma liści świeżych, to mogą być suszone – dodał. – Na koniec wypić tak przyrządzony napój duszkiem, wedle uznania: na gorąco albo z lodem, jak kto woli...

– Kubek jabłkowej gorzałki – powtórzył Saufer z nadzieją. – Dostrzegam w tym przepisie jakiś głębszy sens.

– Oczywiście doradzam również modlitwę, zwłaszcza do Świętego Marcina, Świętego Goara, Świętej Marii Magdaleny, Świętego Tychona lub Świętego Wincentego – dodał Baum, tym razem tonem pełnym czci[2]. – Ale zrozumiałe, że nie mnie pouczać czy nauczać wasze inkwizytorskie mości w kwestii modlitewnej dyscypliny.

– Modlitwa nigdy nie zawadzi – zgodziłem się z nim.

– Modlitwa, tak, modlitwa oczywiście. – Markus wyraźnie chciał skinąć głową, ale jednak powstrzymał się w ostatniej chwili.

Potem, opierając się dłońmi o blat stołu, ciężko podniósł się z krzesła. Odsapnął.

– Pójdę przygotować sobie lekarstwo wedle tej recepty – oznajmił i przerzucił surowe spojrzenie na Bauma. – Módl się, żeby pomogło, bo jakby co, to za otrucie inkwizytora ugotujemy cię żywcem we wrzącym oleju[3] – ostrzegł.

– Pomoże, na pewno pomoże – zapewnił aptekarz, bynajmniej nie zaniepokojony tymi pogroźkami.

Saufer odszedł, ciężko szurając stopami i wzdychając do siebie samego, a kiedy drzwi się za nim zatrzasnęły, znowu obróciłem wzrok na Bauma.

– No to ubierzcie się i przespacerujemy się do tej waszej apteki – zdecydowałem.

– Serdecznie wam dziękuję za chęć pomocy, ale nie śmiałybym was fatygować podróżą na drugi koniec miasta – powiedział gładko. – I tak tyle już dla mnie uczyniliście, że brat by nawet połowy nie uczynił. – Szybko przetarł oczy wierzchem dłoni.

– Spacer mi nie zawadzi – stwierdziłem. – Zresztą chętnie na własne oczy zobaczę, jak się urządziliście w naszym gościnnym mieście.

Zrozumiał najwyraźniej, że nie zamierzam mu odpuścić, więc tylko uśmiechnął się promiennie.

– Cóż, w takim razie z przyjemnością zaproszę was, mistrzu inkwizytorze, abyście dokonali oględzin mojej apteki i zobaczyli, że nie tylko nic zdrożnego się w niej nie dzieje, ale że będzie ona wielką pomocą dla zacnych mieszkańców tego czcigodnego miasta.

– Zwłaszcza tych z pełną kiesą – mruknął kancelista.

– A wy co niby byście chcieli, młodzieńcze? – Baum spojrział na niego z wyższością. – Nie po to pracowałem całymimi latami na dyplom mistrza aptekarskiego, nie po to dbałem o swoją renomę i reputację, żeby teraz szykować maści dla owiec czy żebraków! Zdrowie musi kosztować. – Uniósł palec wskazujący. – A im lepsze to zdrowie ma być, tym i koszt musi być większy. A ja na wielu

chorobach znam się lepiej niż niejeden zawodowy medyk i tam, gdzie oni bezradnie rozkładają ręce, tam ja zaraz znajduję niezawodne panaceum!

– Lubię ludzi pewnych własnych wiedzy i umiejętności – rzekłem.
– Oczywiście pod warunkiem, że ich deklaracje pokrywają się z praktyką.

– Lekarstwa powinny być za darmo – burknął raz jeszcze sekretarz.

Baum wzdrygnął się z obrzydzeniem.

– Jak to za darmo? – wykrzyknął oburzony, a jego policzki pokryły się rumieńcem. – Czy jedzenie jest za darmo? Czy ubranie jest za darmo? Czy porady medyków są za darmo? Poza tym nie ma nic za darmo, młody człowieku! Bo za darmo oznacza w tym wypadku, że to ja miałbym służyć swoją wiedzą i umiejętnościami bez własnych korzyści, więc owo „za darmo” odbywałoby się po prostu moim kosztem!

– Święta prawda – zgodziłem się z aptekarzem. – Skąd ci w ogóle przychodzą do głowy tak bezsensowne pomysły? – Ciężkim wzrokiem spojrzałem na kancelistę i pokręciłem głową. – Zaraz zaczniesz mówić, że ludziom powinno się darmo rozdawać domy, jedzenie i wypłacać pensje...

– Rada miasta mogłaby płacić zarówno doktorom, jak i aptekarzom za leczenie mieszkańców – upierał się Wittler.

– Rada miasta – powtórzyłem. – A skąd rada ma pieniądze, mój chłopcze? Bo swoich własnych nie ma, to rzecz pewna.

– No przecież bogaci są – burknął sekretarz. – Choćby teraz, o... – Uniósł palec wskazujący. – Budują nowe skrzydło ratusza.

– Może i są bogaci, ale to pieniądze z podatków. Od targów, od przejazdu, od koncesji na handel, od myta...

– Od liczby okien i balkonów[4] – wtrącił Baum.

– Od liczby okien i balkonów? – spytałem z niedowierzaniem i spojrzałem na niego, czy aby nie trzymają się go żarty.

– Słowo daję! – Przyłożył dłoń do piersi. – Sprawdziałem dokładnie przepisy, zanim zdecydowałem, w jakim mieście otworzyć interes. Ale powiem wam, że ja podatek od okien i balkonów mam gdzieś, bo

w mojej kamienicy nie ma balkonu, a część okien od razu kazałem zamurować. – Zaśmiał się zadowolony.

– W każdym razie – obróciłem wzrok na kancelistę – wyobrażasz sobie, jak zachwyceni byliby poważani mieszczanie, ciężko pracujący na utrzymanie siebie i swoich rodzin, kiedy by im powiedziano, że z ich podatków będzie się fundować pomoc medyków oraz lekarstwa różnym żebrakom, obibokom, leniom, włóczęgom czy starcom, którzy z uwagi na brak przydatności powinni raczej sposobić się do umierania, a nie zajmować się łapczywym pożeraniem kosztownych medykamentów?

Andreas Wittler ściągnął usta.

– Mieszkańcy mogliby być niezadowoleni – przyznał niechętnie.

Baum roześmiał się.

– Niezadowoleni – powtórzył z przekąsem.

– A teraz pomyśl o jeszcze jednym – ciągnąłem. – Oto ci wszyscy biedni, chorzy i nikomu nieprzydatni ludzie gromadzą się u medyków i aptekarzy. Mają tam ciepło, miło, mogą sobie pogawędzić, czekając na medykamenty, pouskarżać się, który na co choruje. Czy myślisz, że zachęceni tym przykładem, coraz to inni i inni nie wymyślaliby wciąż nowych schorzeń, aby tylko nie rezygnować z owych miłych zgromadzeń?

– Tak by było, jak mi Bóg miły – poparł mnie gorąco aptekarz i aż klasnął.

– A kiedy ten przywilej w końcu zechciano by im odebrać, bo z całą pewnością odebrać by go musiano ze względu na jego całkowitą nieprzydatność – kontynuowałem – to jak myślisz, chłopcze, co zrobiliby ci biedacy?

– Lepiej nałożyć na ludzi nowy, nikomu jeszcze nieznaną podatek, niż odebrać stary przywilej – rzekł Baum, dobitnie akcentując słowa. – Powiem wam, że łatwiej człowiek przełknie, kiedy dołożą mu sto koron nowego podatku, niż gdyby mu odebrali ulgę, którą jego cech ma od wieków zagwarantowaną królewskim przywilejem. Choćby ta ulga ledwie była symboliczna. Tak, tak... taka jest siła tradycji!

– Tak jak aptekarz powiedział: byliby źli – odparł sekretarz jeszcze bardziej niechętnym tonem niż poprzednio.

– Żli, mój chłopcze? – parsknąłem. – Wszczęliby tumulty, zaczęli rabować sklepy, napadaliby na zacnych, pracujących w pocie czoła mieszczan! Co więcej – wyciągnąłem palec w jego stronę – owi buntownicy zaczęliby wyklinać władzę, a przy okazji wyklinania władzy całkiem prawdopodobne, że złorzeczyliby również świętemu Kościołowi albo, co gorsza, samemu Inkwizytorium!

– Wasza wizja, mistrzu, wydaje mi się zarówno złowroga, jak i całkiem prawdopodobna – przyznał mi rację Baum, a w jego głosie słyszałem uznanie.

– I jak by się skończył taki dany z dobrego serca, choć bezsensowny przywilej? – mówiłem dalej. – Oto skończyłby się tym, że darmowych lekarstw i darmowych medyków znowu by nie było, lecz za to byłoby sporo zabitych, okaleczonych i skazanych, nie mówiąc już o tych, którzy paskudnie grzesząc, własnymi uczynkami zabarykadowaliby sobie drogę do Królestwa Niebieskiego.

– Niepokoje, ofiary, poderwanie zaufania do władzy – dopełnił moją wizję aptekarz. – Tak właśnie by się stało, właśnie tak...

Kancelista nie odzywał się już, najwyraźniej stropił go ten gwałtowny atak, który nadszedł z dwóch stron.

– A poza tym dawanie ludziom czegokolwiek za darmo jest nieetyczne – dobił go aptekarz, wyciągając palec oskarżycielskim gestem. – *Wart jest robotnik zapłaty jego.* – Obrócił spojrzenie na mnie. – Czy nie tak mówi Biblia?

– Tak właśnie mówi – przyznałem.

– Robotnik jest wart – powtórzył aptekarz z naciskiem na słowo „robotnik”. – A nie bezrobotny włóczęga, żebrak czy inny darmozjad.

– *Pożycz samemu Panu, kto dla biednych życzliwy. Za dobrodziejstwo On mu nagrodzi* – zacytował inny fragment Pisma nachmurzony sekretarz.

– Życzliwy! – zawołał Baum. – Ale, na miecz Pana, życzliwość nie oznacza rozdawnictwa! Ot, posłuchajcie, co powiem: dwa dni temu widziałem żebraka siedzącego nieopodal mojej kamienicy i lamentującego, że jest bardzo głodny. Więc powiedziałem mu, że podłogi i ściany trzeba u mnie w piwnicy solidnie wyszorować i że

jak to zrobi, to dam mu nie tylko jeść do syta, ale znajdzie się dla niego kilka groszy...

Uśmiechnąłem się, gdyż spodziewałem się, jakie będzie zakończenie tej opowieści.

– I wiecie, co ten człowiek zrobił? – zapytał oburzony Baum. – Zerwał się na równe nogi, dziwnie zręcznie, jak na człowieka rzekomo umierającego z głodu, i mnie opluł! Opluł! A potem jeszcze zwyzywał mnie tak plugawie, że dziw, że w tej samej chwili nie spalił go piorun z jasnego nieba w karze za bluźnierstwa.

– Jego pracą jest żebractwo – rzekłem. – Więc oburzył się, że zaproponowaliście mu inne zajęcie, nieprzystające do jego dotychczasowej eksperyencji oraz dotychczasowych upodobań.

– Gdybyż tak ludziom dano jakie panaceum, lek na wszystkie choroby, cudownym sposobem chroniący ich przed każdą boleścią – rozmarzył się kancelista.

Baum spochmurniał i spojrzał na niego kosym wzrokiem.

– To odebrałoby pracę aptekarzom – rzekł.

– Lekarzom również – zauważyłem, zdając sobie doskonale sprawę, jaka niechęć, a może nawet nienawiść dzieli środowiska aptekarzy i lekarzy...[5]

Baum rozczmuchał się nieco, ale wzruszył tylko ramionami.

– Co to niby za radość, gdybyśmy zdechli z głodu razem z nimi.

– Ludzie i tak patrzyliby na podobny wynalazek podejrzliwie – zwróciłem się do Wittlera. – Zaraz by gadali, że ktoś ich chce okpić, że to tylko poszukiwanie łatwego zarobku, że ktoś chce wykorzystać ich lęk i łatwowierność, żeby dorobić się majątku.

– A gdyby tak podobny cudowny eliksir rozdawać za darmo!? – zapalił się młodzieniec. – Gdyby każdy dostał, ile mu tylko trzeba!

Baum zamruczał gniewnie.

– Za darmo, znowu za darmo, nic nie ma za darmo.

Machnąłem ręką.

– Zaraz by zaczęli gadać, że owo panaceum nie tylko nie pomaga, ale wręcz szkodzi, i zmyślaliby całe długie historie o ludziach, ba, całych wioskach, które wymarły, bo owego eliksiru się napiły.

I potem twierdziliby, że oni sami są mądrzejsi od tych, co panaceum przyjęli.

– Ale przecież nadal byliby narażeni na wszelkie choroby i umierali w cierpieniu i strachu – zakrzyknął. – Podczas gdy reszta świata cieszyłaby się wolnością i zdrowiem. Czyż to nie przemówiłoby do owych opornych?

– Nie doceniasz, mój chłopcze, potęgi ludzkiej głupoty – rzekłem z uśmiechem. – Potęgi ignorancji, ale też potęgi złej woli i złośliwości.

Milczeliśmy wszyscy przez chwilę i byłem pewien, że moi towarzysze wspominają właśnie chwile ze swojego życia, w których przekonali się, że powyższe moje słowa są jak najbardziej prawdziwe.

– Może kiedyś poniesiemy kaganek oświaty wprost w mroczną czeluść zamieszkiwaną przez ciemne pospólstwo – powiedział wreszcie Wittler z takim patosem i rozmarzeniem, jakby wyobrażał sobie brudnych, zawszonych i kudłatych chłopów z rozdziawionymi gębami wpatrujących się w blask, który on sam wielkodusznie im przyniósł. Westchnął i pokiwał głową do własnych myśli. – Może edukacja uczyni ich życie bardziej wartościowym, nauczy posługiwać się nie tylko rozumem, ale i sercem.

Zaśmiałem się i machnąłem ręką.

– Mrzonki – odparłem. – Pospólstwu nie jest potrzebny żaden kaganek oświaty, ale kaganiec oraz kańczug. Silny władca trzymający solidny bat w dłoni i niewahający się go użyć, kiedy trzeba. A jeśli bat to za mało, wtedy potrzeba jeszcze więcej bata.

– A kiedy nawet „jeszcze więcej bata” nie pomaga? – spytał zaciekawiony Baum.

– Wtedy zostają szubienice – odparłem lekko. – Argument ostatecznie przekonujący do bycia obywatelem posłusznym prawom oraz lojalnym wobec władców. No dobrze, ale że też wam się zebrało na filozoficzne dysputy! Dość o tym wszystkim! – Klasnąłem i spojrzałem na kancelistę. – Gdzie są jego ubrania?

Wittler znowu tylko wzruszył ramionami, a Baum potrząsnął gniewnie głową.

– Całą noc marzęm w waszej niewygodnej, zimnej celi, bo zabrano mi odzienie i miałem tylko porzucony na podłodze sztywny od brudu, pokrwawiony i śmierdzący koc oraz wiązkę zgniłego, cuchnącego siana za całe wyposażenie.

Rozłożyłem ręce.

– Widzicie, panie Baum, tak to jest, że staramy się nie rozpieszczać naszych więźniów – wyjaśniłem. – W ten sposób skłaniamy ich bowiem do pokornej myśli o ulotności i nędzy ludzkiego żywota.

– To wam się na pewno udaje – zgodził się. – W każdym razie ubranie zabrano mi już wczoraj.

Sekretarz spojrział na mnie, potem ostrożnym ruchem głowy wskazał kata, który nadal siedział przy palenisku z twarzą czerwoną od gorąca. Wpatrywał się osowiałym wzrokiem w żarzące się węgle.

– Ty tam! – zawołałem. – Gdzie jest ubranie więźnia?

Kat nawet nie drgnął, więc przypomniałem sobie jego imię.

– Friedrich! – tym razem już wrzasnąłem, a on zwrócił ku mnie spojrzenie, powoli obracając głowę, tak jakby wcale nie należała do niego, ale jakby jakieś leniwe dłonie cał po calu przekręcały ją w moją stronę.

Miał nieprzytomne oczy. Zakołysał się razem z całym zydłem.

– Gdzie jest ubranie więźnia? – powtórzyłem pytanie.

I wtedy zdałem sobie sprawę, że ten człowiek zupełnie mnie nie rozumie. Owszem, spoglądał w moją stronę wzrokiem krowy uderzonej młotem w łeb. Krowy, która jeszcze jakimś przypadkiem, jakimś ostatkiem sił trzyma się na nogach, ale którą opuściły już zarówno wszelkie myśli, jak i uczucia. Patrzył właśnie tak i było to spojrzenie kompletnie pozbawione pojmowania tego, co się dzieje zarówno wokół niego, jak i z nim samym. Skierowałem się w jego stronę, zauważając, że wcale nie śledzi moich kroków, lecz nadal wpatruje się w miejsce, gdzie przed chwilą stałem, tak jakby widział nie teraźniejszość, ale przeszłość sprzed kilku chwil. Kiedy znalazłem się na wyciągnięcie ręki od niego, przekonałem się, iż to, co brałem za zaczerwienienie od ciepłego paleniska, było tak naprawdę wypiekami spowodowanymi bardzo silną gorączką. Czoło miał pokryte grubymi kroplami potu.



– Niedobrze – stwierdziłem na głos i odwróciłem się do kancelisty.
– Poślij kogoś do jego żony, niech go zabierze do domu, bo nie sądzę, żeby na coś mógł się nam przydać w najbliższym czasie.

Pokręciłem głową.

– Niedobrze – powtórzyłem.

– Skoro nie mamy kata, to co zrobimy? – spytał bezradnie sekretarz. – Pewnie wy, mistrzu Madderin, będziecie musieli przesłuchiwanym wyświadczyć tę grzeczność i sami się nimi zająć.

Prychnąłem.

– To, że umiem torturować ludzi, nie znaczy, że lubię albo chcę to robić – odparłem. – Ale nic się nie martw: ciebie przyuczę – dodałem złośliwie.

– Na miecz Pana, nigdy! – wykrzyknął i aż się cofnął, jakbym zaraz teraz i tutaj chciał go zaciągnąć do szafy wypełnionej narzędziami zadawania męki. – Ja to taki delikatny więcej jestem. Zaraz bym się porzygał... – Odetchnął głęboko. – Wyznam wam, mistrzu – ciągnął już spokojnie – że ledwie wytrzymuję, kiedy muszę z daleka notować słowa przesłuchiwanym, a co dopiero... o mój Boże! robić takie rzeczy ludziom. – Wzdrygnął się.

– Do wszystkiego można się przyzwyczaić – stwierdziłem sentencjonalnie. – Poza tym pamiętaj, że nawet jeśli dręczy się ciała grzeszników, to poprzez tę doczesną mękę szykuje się im uświęcone domostwo w życiu wiecznym. Jeśli, rzecz jasna, dokonają nie tylko aktu przyznania, ale i aktu pełnej skruchy. – Obróciłem się w stronę aptekarza. – A ty zapewniasz mnie, że nie ma niczego, do czego mógłbyś się przyznać? – zapytałem lodowatym tonem.

Baum nie przejął się chłodem mego głosu i uderzył się pięścią w pierś tak, że aż zadudniło.

– Żeby tak na miejscu padł piorunem rażony, jeśli zawiniłem przeciwko naszej świętej wierze! – zawołał.

Uśmiechnąłem się półgębkiem.

– Od kiedy Pan Bóg ma nas, inkwizytorów, nie musi się już kłopotać zsyłaniem piorunów – rzekłem. – No dobrze, idź – zwróciłem się do Wittlera. – I znajdź coś, w co ten człowiek mógłby się ubrać...

– Nie, nie... – Baum zamachał gwałtownie rękami. – Nie żadne „coś”, bo jakże ja, mistrz aptekarski i właściciel największej i z całą pewnością już niedługo najbardziej szacownej apteki w tym mieście, będę wyglądał na ulicach ubrany w byle jakie szmaty? Każcie posłać do mojego domu po ubranie. A o rekompensatę za utraczone odzienie będę się upominał – zaznaczył.

Chwyciłem go za podbródek, obróciłem jego głowę i zbliżyłem się do niego na tyle, że aż nadto wyraźnie poczułem nieświeży oddech z jego ust. Ścisnąłem palce tak mocno na jego szczęce, że aż jęknął z bólu i strachu.

– Hardziejecie – zauważyłem zimno. – Niesłusznie, bo nadal jesteście na moim stole tortur w moim pokoju przesłuchań i w siedzibie Inkwizytorium, gdzie tak się złożyło, że ja wydaję rozkazy dotyczące waszego życia lub śmierci... – zawiesiłem głos na chwilę, by dojrzeć, że krew odpłynęła z twarzy aptekarza, a usta zaczęły mu drżeć. – A jeśli się uprę – kontynuowałem – to zrobię tak, jak proponował mistrz Markus Saufer: przesłucham was z użyciem narzędzi, żebyście się przyznali, za co zostaliście uwięzieni.

Puściłem go i odepchnąłem od siebie.

– Znajdź mu byle co na grzbiet, na co czekasz? – Odwróciłem się w stronę kancelisty.

Ten, widząc mój wzrok i słysząc ton mojego głosu, zemknął tak szybko i tak cicho, jakby był małym, sprytnym szczurem przemykającym wśród zastawionych pułapek.

– Upraszam o wybaczenie – powiedział skruszonym głosem Baum. – Nie było w mojej intencji rozzłościć was ani, Boże broń, z was kpić. Ale przyznajcie sami, mistrzu inkwizytorze, czy jeśli oskarżenia wobec mnie, jeśli takowe w ogóle są, okażą się niesłuszne, to nie mam prawa do rekompensaty za stracone ubranie? Przecież ja miałem buty ze srebrnymi zapinkami! Ja miałem płaszcz podbijany adamaszkiem! Ja miałem aksamitny kaftan szamerowany srebrną nicią. Ja miałem...

– Zbyttno się stroicie, jak na prostego mieszczanina – przerwałem mu ostro. – Być może zaginięcie waszego ubioru to znak, żebyście

pohamowali pychę i zakosztowali grzecznej skromności, a nie grzesznej próżności...

Przełknął głośno ślinę i spojrział na mnie wzrokiem skarconego psa.

– Oczywiście – odparł gładko i pokornie. – Z ogromną radością zastosuję się do waszej światłej rady, mistrzu inkwizytorze, a teraz to abym tylko chociaż byle co na grzbiet założył... – Ton jego głosu zmienił się na błagalny.

– Poczekajmy, co ten nasz chłopak znajdzie – rzekłem.

– Jeśli waszej mości nie przeszkadza, to czy mógłbym? – Baum pokazał na blat, na którym stała miska z młodymi, lipcowymi jabłkami. – Od wczoraj nic nie miałem w gębie – pożalił się.

– Jedzcie na zdrowie – odparłem. – Ale kwaśne są jak diabli.

– A co mi tam. – Wgryzł się z takim zapalem w miąższ, że sok aż trysnął dookoła.

Potem czas minął nam tak, że ja siedziałem, przeglądając dokumenty innych więźniów, a Baum pochłaniał jabłka z taką szybkością i z taką dokładnością, że nie minęło wiele chwil, a miska była pusta. Aptekarz nie zostawił nawet ogryzków. Zaraz potem pojawił się wreszcie sekretarz, niosąc coś, co z dużą dozą życzliwości można byłoby nazwać czymś w rodzaju odzienia. A mówiąc bez życzliwości, był to brudny szary płaszcz przypominający habit oraz znoszone sandały.

– Ja mam to założyć? – zapytał zjadliwie Baum, piorunując kancelistę wzrokiem.

– Zawsze możecie przepasać się szmatą, którą już dostaliście, i tak dojść do domu – rzekłem. – A nawet powiem więcej: Święte Officjum podaruje wam ten strój na zawsze!

Sekretarz roześmiał się, jednak do aptekarza mój błyskotliwy żarcik zdawał się nie przemawiać, gdyż zrobił ponurą minę.

– Przestańcie marudzić i zakładajcie, co wam dano – rozkazałem już ostrym tonem. – Nie mam czasu, żeby marnować na was cały dzień.

Chcąc nie chcąc, nałożył na gołe ciało płaszcz, który najwyraźniej uszyto na kogoś znacznie postawniejszego, bo niewysokiemu

Baumowi materiał sięgał po kostki i wisiał luźnymi fałdami.

– Jedwabna bielizna to to nie jest, co? – zadrwił kancelista.

– Ale za to jak człowiekowi przewiewnie w taką lipcową spiekotę jak dziś – zauważyłem. – No dobrze, chodźmy, panie aptekarzu, zobaczyć, czy z tej waszej kamienicy coś zostało.

Spojrzał na mnie bystro.

– Od początku nie ufałem tylko własnym siłom – stwierdził. – Więc wynająłem mocnego stróża! Niemłodego już wprowadzie, ale jeszcze całkiem krzepkiego. A zresztą większość sprzętów przyjedzie razem z moimi pomocnikami, więc niewiele w środku jest cennych rzeczy. Ale sądzicie, że ktoś naprawdę mógł się włamać? – Tym razem już widziałem, że jest zaniepokojony.

– Zobaczymy – odparłem.

– Stawiam pięć groszy, że się włamano – rzekł sekretarz z taką satysfakcją, jakby sam się do Bauma włamał i zrabował mu wiele precjozów. – Co mogli, to ukradli, czego nie mogli, to poniszczyli. A potem nasrali na podłogę. Zobaczycie!

– No, no, panie Baum, nie turbujcie się na zapas – powiedziałem, widząc, że aptekarz jest bliski płaczu. – Mielście na pewno kraty, mieliście rygle, wynajęliście stróża, dzielnica jest dobra i pilnują jej patrole cechowe. Może więc nic się nie stało...

– Może, może – powtórzył z nadzieją i podniósł oczy do okopconego stropu. – Oby tak było naprawdę. Boże święty, dziękuję wam za dobre słowo.



Spiekota panowała straszliwa. Rozjarzone blaskiem słońce raziło nas promieniami z bezchmurnego nieba, tak jakby Helios zatrzymał się w swoim słonecznym rydwanie tuż nad naszym miastem i ciskał w nie rozpalonymi oszczepami. Powietrze pomiędzy kamienicami stało nieruchomo, nieniekójone najmniejszym nawet powiewem wiatru. Kiedy szliśmy ulicą, wydawało się, jakbyśmy przechadzali się pomiędzy rozpalonymi hutniczymi piecami i wdychali żar

buchający z ich wnętrza. Co gorsza, nasza droga wiodła równiutko na południe, a więc słońce mieliśmy prosto przed naszymi oczami i nawet nie mogliśmy wejść w cień kamienic, gdyż cienia tego po prostu nigdzie nie było. Wreszcie, kiedy skręciliśmy w boczną alejkę, udało nam się przystanąć pod domem, który osłonił nas od słońca.

– Co za diabelski kocioł – sapnął Baum, ocierając pot z czoła rękawem płaszcza.

– Widzę, że tak jak i ja, nie przepadacie za lipcowym upałem – odparłem smętnie.

Skinął głową.

– Da Bóg, jeśli mój dom stoi, jak stać powinien, to mam chłodną piwniczkę, a w niej szczególnego smaku napitek wzmacniający ciało i umysł. Poczęstuję was.

– Dopóki słońce nie zejdzie z nieba, nie dam się namówić na żaden trunek – odrzekłem.

– O nie, nie mówię o trunku. – Potrząsnął głową. – To tylko napój wedle mojej własnej receptury, który nazwałem na razie jedynie we własnych myślach. – Miał policzki zaczerwienione od gorąca, ale chyba zaczerwienił się teraz jeszcze bardziej. – A mianowicie Pyszna Woda Bauma.

Pokiwałem głową.

– Teraz wypiłbym każdą wodę, pyszną czy nie – rzekłem. – Chodźmy, panie aptekarzu – dodałem. – Stanie tutaj nie da nam nic poza tym, że kiedy wyjdziemy na pełne słońce, to będzie nam jeszcze ciężiej.

– Chodźmy – zgodził się i podreptał pół kroku za mną.

Długi płaszcz, zdecydowanie za długi, jak na jego wzrost, sprawiał mu kłopot i cały czas musiał podtrzymywać go sobie w pasie, żeby nie nadepnąć na krawędź poły.

– Nie podoba wam się, co? – zagadnął.

– A komu by się podobało?

– Nie wymyśliłem na razie niczego lepszego, ale to dopiero początek... – powiedział obronnym tonem.

– O czym wy mówicie?

– O nazwie dla mojego napitku – wyjaśnił zdziwiony. – O Pysznej Wodzie Bauma.

– Wcale nie mówię, że nazwa mi się nie podoba – rzekłem. – A na pewno chętnie bym się tej wody napił. Myślałem cały czas o tej diabelskiej pogodzie.

Mijaliśmy po prawej stronie figurę Chrystusa o Dwóch Obliczach i akurat teraz i na nas spoglądał z twarzą ściągniętą cierpieniem, z koroną cierniową wrzynającą się głęboko w czoło. Westchnąłem, bo może była to i myśl grzeszna (nawet na pewno taka była!), ale czułem się bez mała, jakbym właśnie wspinał się na Golgotę z krzyżem na ubiczowanych ramionach... Tak, upał zdecydowanie źle na mnie działał, skoro takie wyobrażenia przychodziły mi do głowy. Ale co zrobić? I tak dobrze, że nie mieszkałem w Hiszpanii czy południowej Italii. Tam bym dopiero dostał za swoje!

– Aż człowiek tęskni za chmurami, deszczem, zimnem i mgłą – westchnął Baum. – Tyle że jak już nadejdzie jesień, to znowu będziemy żałować, żeśmy nawet zbyt mało wygrzali się na słońeczku, kiedy była po temu okazja.

Wygrzewanie się na słońeczku było ostatnim, o czym bym w tej chwili marzył, ale rzeczywiście rozumiałem uwagę mojego towarzysza i nawet się z nią zgadzałem. Bo to, czego nie mamy, a nawet mieć nie możemy, zawsze kusi silniej niż to, co trzymamy na wyciągnięcie ręki. Co prawda kiedy usłyszałem słowo „mgła”, targnął mną jakiś dziwny dreszcz. Tak jakby zarówno w samym tym słowie, jak i jego wyobrażeniu było coś przerażającego, coś prowadzącego do innego świata, w którym kłębiły się nieznane ludzkości potwory. Ale jednocześnie w owym pojęciu, z którym w przedziwny sposób kojarzyły mi się strach i ból, zapisano również dziwną tęsknotę i słodycz... Otrząsnąłem się. Co za diabli podszeptywali mi myśli o mgle?

Nagle Baum przystanął.

– A może tak zatrzymalibyśmy się po drodze w jakiejś winiarni? – spytał z nadzieją. – Szklanka wytrawnego białego wina przyniesionego z chłodnej piwnicy albo jabłkowego cydru dobrze by nam zrobiła, nie sądzicie? – Patrzył na mnie proszącym wzrokiem. –

Mówiliście, że nie wypijecie przed zachodem słońca żadnego trunku i ja się z tym całkowicie, bezapelacyjnie zgadzam! Ale przecież cydr czy białe wino to nie żaden trunek! To tylko orzeźwiający, chłodzący napitek – tłumaczył dalej. – A spożywać go będziemy nie w celu otępienia naszych zmysłów, lecz wręcz przeciwnie: w celu ratowniczego wydobycia ich z wywołanej upałem tępoty i w celu dodania nam sił przed wędrówką przez miasto rozpalone niczym piekielny kocioł.

Pokręciłem głową w podziwieniu nie tyle dla jego swady i wymowy (choć z całą pewnością wysławiał się całkiem zgrabnie), ale byłem zbudowany, iż chciało mu się konstruować zdania tak finezyjnie złożone, pomimo że język kołowaciał od wdychanego żaru. Potem pomyślałem chwilę i pokiwałem głową zadowolony, że tak pięknie sformułował myśli, które i mnie przecież przebiegały przez głowę i które wydawały mi się z chwili na chwilę coraz rozumniejsze.

– Mądrego to aż miło posłuchać – stwierdziłem wreszcie z uznaniem. – A poza tym macie rację, że do zaułka Złotników został jeszcze kawał drogi, więc warto przedtem nabrać sił.

– Tylko będziecie musieli stać się moim dobroczyńcą – rzekł, rozkładając bezradnie ręce. – Bo ja nawet, jak sami wiecie i widzicie, nie mam teraz własnych portek i koszuli. Ale wszyściuteńko, co do grosza, oddam wam w domu.

Spojrzałem na niego i mimowolnie się uśmiechnąłem, bo wyglądał w tym użyczonym, niepasującym na niego płaszczu-habicie na poły żałośnie, a na poły zabawnie. A groteskowego obrazu dopełniały jeszcze te jego długie wąsy sterczące na boki i spocona łysina, poczerwieniała od zmęczenia i spiekoty.

– Oczywiście – rzekłem. – Chętnie się na to zgodzę, a powiem wam też, że uposażenie inkwizytorów nie czyni z nich co prawda bogaczy, ale zupełnymi biedakami, dziękować Bogu, nie jesteśmy...

Przechodziliśmy obok kościoła Świętego Krzyża, monumentalnej budowli, najwspanialszej chyba w naszym mieście. Ogromna figura Jezusa stała obok kościelnego skrzydła, zagarniając ramieniem budynek i symbolicznie biorąc go pod swą opiekę. W wolnej, prawej dłoni Chrystus dzierżył miecz. Głowa naszego Pana osłonięta była

rzymskim hełmem, ukrywającym policzki i nos pod złotym metalem. Jezus spoglądał gdzieś w dal, w stronę niewidocznego z naszego miejsca, ale dostrzegalnego z poziomu Jego oczu zakola rzeki. Tak musiał patrzeć na Rzym, kiedy Jego armia stała pod murami Wiecznego Miasta, by rzucić Mu pod nogi imperium i obwołać Go nowym Imperatorem. Ale gdyby obejść ten pomnik i przyjrzeć mu się z drugiej strony, wtedy ujrzelibyśmy twarz umęczonego Chrystusa w koronie cierniowej. Oto był Jezus o Dwóch Obliczach – świadectwo, iż nasz Pan najpierw dobrowolnie i pokornie wydał się na mękę, a potem z owej męki uwolnił się w chwale, by ukarać grzeszników, którzy wcześniej ośmielili się podnieść na niego bezbożne ręce...[6]

Aptekarz zatrzymał się, przyklęknął pokornie na oba kolana i przeżegnał się wolno i uroczyście. Nie wiedziałem, czy naprawdę był aż tak pobożny, czy też chciał mi się przypodobać. A może nie miałem z jego zachowaniem nic wspólnego? Może po prostu pragnął, by obywatele naszego miasta znali go jako człowieka bogobojnego i tym bardziej mu wówczas zaufali jako mistrzowi aptekarskiemu? No cóż, zważywszy na to, że już w pierwszym tygodniu pobytu Baum wylądował w inkwizytorskim pokoju przesłuchań, to na pewno musiał teraz pilnie zadbać o podreperowanie zszarganej opinii. A z kolei jeśli miał wrogów lub nienawistnych konkurentów, to przecież już oni się postarają, by fakt, że aptekarz został aresztowany, rozniósł się stugębną plotką po całym mieście. Znając tego rodzaju plotki, świetnie zdawałem sobie sprawę, iż zostaną one nie tylko powtórzone tysiąc razy, ale obraz ulegnie w nich wykrzywieniu, wyolbrzymieniu i spotwornieniu. No cóż, mojego wcześniejszego więźnia, a obecnego towarzysza wędrówki czekała najpewniej walka o dobre imię i dobrą reputację. Byłem pewien, że nie będzie to ani łatwy bój, ani nie zakładałbym się, iż zakończy się zwycięstwem.

Kiedy Baum wstał z klęczek i jeszcze raz z namaszczeniem się przeżegnał, wtedy zdecydowałem, że najwyższy czas zagadnąć go w interesującej mnie sprawie. Zobaczymy, czy powie prawdę, czy też będzie kluczył, umykał i kręcił. Oczywiście to drugie wcale nie

musiało jeszcze świadczyć o winie, lecz z całą pewnością nie zaskarbiłby sobie tym mojej sympatii.

– No dobrze, panie Baum – zacząłem, przyglądając mu się poważnie. – Mam nadzieję, że nie bierzecie mnie za idiotę i nie sądzicie, że uwierzyłem, że nie wiecie, za co was aresztowano. – Spojrzałem mu prosto w oczy. – Za co cię aresztowano, Jonatanie? I nie obrażaj mnie, mówiąc, że nie masz pojęcia ani że cię to nawet nie zainteresowało, bo wtedy bardzo się pokłócimy.

Gwałtownie otworzył usta, jakby chciał zaprotestować, ale zaraz potem zamknął je tak mocno, aż mu zęby szczęknęły.

– A nie aresztujecie mnie, kiedy się dowiecie? – zapytał żałośnie.

– Nie ma dokumentów, nie ma niczyich zeznań, więc nie mam cię nawet za co aresztować. Na razie – podkreśliłem dobitnie. – A teraz mów.

– Ktoś doniósł, że otrułem ludzi – wyznał tak cicho, że niemal szeptem. – Ale przecież w życiu bym czegoś takiego nie uczynił, bo niby...

– A co nas to w ogóle obchodzi? – przerwałem mu, marszcząc brwi. – Inkwizytorium nie ściga trucicieli. Niech się tym zajmują władze miasta. Jak dla mnie możesz sobie otruć nawet burmistrza czy wytruć całą radę miejską, jeśli masz tyle odwagi, determinacji i takie upodobanie. Abyś uczynił to ze zwykłych ludzkich pobudek, takich jak zemsta czy chęć zysku, a nie żeby szerzyć chwałę diabła i demonów.

Uśmiechnął się wątłym uśmiechem.

– Napisali – tym razem już szeptał – że dołałem truciznę do kropielnicy w kruchcie kościoła pod wezwaniem Miecza Pańskiego.

Milczałem przez chwilę.

– Ach tak... – odparłem wreszcie i pokiwałem głową. – Śledztwo w takiej sprawie rzeczywiście byłoby naszym zadaniem. Ale ty nie uczyniłeś niczego podobnego, Jonatanie, prawda?

– Oczywiście, że nie – odparł zrezygnowanym, przygaszonym tonem. – Ja nawet nie wiem, gdzie stoi ten kościół.

– Konkurencja wśród kupców przybiera czasem zatrważające rozmiary – rzekłem. – Widzę, że u aptekarzy nie jest inaczej...

Pokiwał głową.

– W Koblencji mojego znajomka zatłukli pałkami, kiedy wieczorem wracał do domu – westchnął ze smutkiem. – Tylko dlatego, że nie zgadzał się na znowę cechu, żeby wszyscy aptekarze mieli jednake ceny. Detlef, ten mój znajomy, miał dostęp do tańszych dostawców, więc jaka by w podobnej znowie była dla niego korzyść? Miałby wprowadzić wyższe zyski, ale klientów mniej. Spierał się i spierał, dyskutował, aż wreszcie koledzy z cechu uznali, że dość mają sporów i dyskusji, więc zatłukli go, kiedy wracał z szynku. Troje dzieci zostawił i żonkę całkiem młodą. – Baum westchnął ponownie, nie wiem, czy z żalu nad rodziną zamordowanego, czy nad tym, że młoda kobieta marnuje się we wdowieństwie.

– Smutna historia – przyznałem.

– A medycy? – Spojrzał na mnie. – Myślicie, że oni są szczęśliwi, widząc, że my, aptekarze, nie tylko przewyższamy ich w znajomości lekarstw, ale potrafimy też zręcznie zbadać pacjenta i zaordynować mu właściwą kurację? Może i nie mam uniwersyteckiego dyplomu, ale zaręczam wam, że gdybyście, co nie daj Boże, zachorowali, to doradziłbym wam lepiej niż jakikolwiek lekarz.

– No proszę bardzo! Po cóż nam więc lekarze, skoro mamy aptekarzy? – zawołałem ze sztucznym entuzjazmem.

Baum uśmiechnął się lekko, bo na szczęście był na tyle bystry, by zrozumieć mój sarkazm.

– Widzicie, mistrzu inkwizytorze, ja nie poskładam połamanych kości, nie wytnę przetoki ani hemoroidów. Wrzody może bym potrafił rozciąć i oczyścić, ale wolałbym nie, bo mnie to brzydzi. – Wzdrygnął się. – Tak więc do takich rzeczy medycy, czy raczej chirurgowie, jak najbardziej się nadają i są użyteczni... Ja nie neguję tej użyteczności, tylko niech oni nam, aptekarzom, nie zabraniają działać...

– I jakże objawia się niezadowolenie lekarskiej kompanii wobec was?

– Donoszą na nas do władz miast – odparł. – Żądają wydania edyktów, żebyśmy nie mieli prawa praktykowania czy udzielania

porad. Ot, chcą, żeby nasze całe działanie sprowadzało się do ucierania lekarstw na ich zamówienie. A tak być nie może! – Wstrząsnął głową z gniewem.



W winiarni „Pod Rozśpiewanym Koziółkiem” wysunięto na zewnątrz stół i dwie ławy, ale ponieważ stały one w osłonecznionym miejscu, siedzący tam ludzie byli czerwoni, spoceni i niemal do naga rozebrani. Nie na tyle, żeby gorszyć moralność publiczną, lecz z pewnością na tyle, żeby uznać ich za niechlujnych obwiesiów. Zresztą i tak wszyscy byli w sztok pijani. Cóż, każdy, kto nie unika trunków, wie, że ich picie, kiedy mocne słońce pali głowę, nie jest najlepszym pomysłem. Weszliśmy do wnętrza, zazwyczaj rozgwarzonego dziesiątkami podniesionych głosów, a dzisiaj mimo wielu ludzi w środku dużo cichszego niż zwykle. No cóż, w tym dusznym, gorącym pomieszczeniu ciężko było oddychać, a co dopiero mówić o wrzeszczeniu czy nawoływaniu. Niestety, w karczmie śmierdziało niemal tak samo jak zwykle, co osobie obdarzonej czułym zmysłem powonienia wcale a wcale się nie podobało. Odór spoconych ludzkich ciał, brudnej odzieży oraz piwa i taniego wina zaatakował bezlitośnie moje nozdrza. Chociaż, o dziwo, dzisiaj nie wplatał się w to wszystko smród gotowanej kapusty, który zazwyczaj był tutaj więcej niż intensywny, zwłaszcza w porze popołudniowej i wieczornej.

Ruszyliśmy kilka kroków w stronę szynkwasu. W kącie zalegał odwrócony twarzą do podłogi ktoś, kto albo się spił, albo zasnął, albo zasłabł, albo umarł, ale nikomu nawet nie chciało się sprawdzić, jaki jest jego rzeczywisty stan.

– Z deszczu pod rynnę – mruknął smętnie Baum.

– To co? Wychodzimy?

– E, zostanmy już – odparł, wzdychając z rezygnacją. – Powiem wam, że po butelce lub dwóch to człowiekowi każda boleść mniej

doskwiera. Nawet upał i duchotę łatwiej znieść, kiedy wlało się do organizmu zbawienny likwor.

Jakiś mężczyzna gwałtownie wstał od stołu, wywołując głośny hurgot ławy, po czym zatrzymał się, zachwiał i runął jak długi. I tak miał tyle szczęścia, że głową nie uderzył ani w kamienną posadzkę, ani w żaden mebel, tylko w buty opojów siedzących przy sąsiednim stole. Zaraz go odepchnęli na bok, a on po chwili zebrał się w sobie, stanął na czworakach i pokaszując, tak właśnie, cały czas na czworakach, z trudem pokuśtykał w stronę wyjścia niczym jakiś miniaturowy okulawiony konik.

Podeszliśmy bliżej do szynkwasu, przy którym stała dziewczka z bluzką rozchełstaną tak mocno, że człowiek mimo woli, zamiast spoglądać w jej twarz koloru dojrzałego wnętrza arbuza, patrzył na haftki, które wydawały się ledwo co, z najwyższym trudem utrzymywać w ryzach potężne piersi.

– Czego? – warknęła, widząc nas.

Ale zanim zdążyłem odpowiedzieć, już zobaczyłem, jak oberżysta szybciotko truchta w naszą stronę i odpycha dziewczynę tak zręcznie, że jeszcze po drodze zdążył jej dać soczystego klapsa w rozłożyste pośladki.

– Czym wam mogę usłużyć, mistrzu inkwizytorze? – zapytał z miną już uniozoną i uśmiechem na twarzy. – Wybaczcie, że dziewczka was nie poznała, ale ona nowa. Dopiero co przyjąłem ją na służbę.

– Niczego sobie dziewczka – mruknął Baum z uznaniem.

– Kto ma kilka koron, ten może zabawić się z nią na pięterku, bo to pracowita panienska, całkiem chętna, żeby sobie dorobić – wyjaśnił z uśmiechem właściciel winiarni. – No ale wy to mi na bogacza nie wyglądacie – dodał tym razem szyderczym tonem, spoglądając na Bauma surowym i krytycznym wzrokiem.

Biedny Baum, i tak już czerwony od gorąca, tym razem aż posiniał z alteracji. Postanowiłem wybawić go z kłopotu.

– Obecny tu mistrz aptekarski Jonatan Baum, którego tak pochopnie żeście ocenili, miał niemiłą przygodę ze złodziejami – wyjaśniłem. – Obdarli biedaka ze wszystkiego, więc odprowadzam go do domu, żeby znowu nie przytrafiło mu się jakieś nieszczęście.

– Och, wybaczcie, mistrzu Baum. – Głos oberżysty zmienił się jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. – Skoro mistrz Madderdin was zna i wam pomaga, to mogę wam zaoferować kredyt na wszystko, na co zechcecie, również na usługi tej figlarnej trzpiotki. – Przymrużył oko znacząco. – A panienska jest warta grzechu, zapewniam was z doświadczenia!

– Może kiedy indziej – mruknął nadal nachmurzony Baum.

– Wielkie nieszczęście z tym złodziejami, wielkie – litował się nad nim oberżysta. – A dużo waszej łaskawości ukradli? – Zamrugął chytrze.

– Ile ukradli, tyle ukradli, nie twoja sprawa – rzekłem ostro, a on niemal rozpląszczył się na kontuarze.

– Czym mogę w takim razie usłużyć szanownym dostojnościom? – zapytał prędko i uniżonym tonem. – Polewką piwną? Pulpetami z kaszą?

– Zwariowałeś? – Spojrzałem na niego ciężko.

Westchnął.

– Wszyscy mi tak właśnie dzisiaj odpowiadają, kiedy zaproponuję im jedzenie. Co za okropny dzień!

– A następne nie będą lepsze – stwierdziłem.

– Skąd wiecie? – zaniepokoił się.

– Naprzeciwno siedziby Inkwizytorium żebrze pewien dziadyga. O... dobrze go znamy od dawna – zacząłem. – I ów starzec taką ma właściwość, że kiedy ma przyjść deszcz, to tak go łamie w kościach, że tylko jęczy i ledwo czołga się z bólu. A dzisiaj rano sam widziałem, jak przemykał po naszej ulicy ręczo niczym rozbrykany jelonek.

– O mój Boże – westchnął karczmarz. – Nie dość nam upałów, to jeszcze przyplątał się ten piekielny kaszel – dodał. – Jak nie sraczka, to urok, wybaczcie, mistrzu Madderdin...

– Nie ma co wybaczać, szczerą prawdą – rzekłem.

– Kaszłą i kaszłą – burknął jeszcze i pokręcił głową. – Niektórzy to tak się duszą, jakby mieli ducha razem z trzewiami wycharczeć. Żeby tylko z tego nie było jakiegoś nieszczęścia. Już nawet ten kaszel ludziska przewali kaszlicą, że niby to nowa choroba za nasze

grzechy i na nasze skaranie... Słyszeliście, że tak właśnie jest, że taka jest trwoga w ludziach, wielmożni panowie?

– Nic się nie stanie... – odparłem już zniecierpliwionym tonem, bo ostatnie, o czym marzyłem w tym zatęchłym, gorącym wnętrzu, to rozprawianie o kaszlu. Ale oberżysta zdążył jeszcze wtrącić:

– Wam to łatwo mówić, bo jak przyjdzie co do czego, to nie wam zamkną karczmę ani nie was obłożą nowymi podatkami – rzekł posępnie.

– Niby jakimi nowymi podatkami? – ożywił się nagle Baum i na jego twarzy pojawił się niepokój.

– A bo to wiadomo, co władza wymyśli? – odrzekł karczmarz tonem jeszcze bardziej posępnym niż poprzednio. – Ustanowią podatek od tych, co kaszlą, albo od tych, co nie kaszlą, albo na leczenie tych, co kaszlą. – Wzruszył ramionami. – Władza zawsze wymyśli coś takiego, żeby z byle jakiego powodu nas, niebożątka, obedrzeć z gotówki razem ze skórą...

– Dość tych narzekań – rozkazałem twardo. – Co ty sobie myślisz, że przyszedliśmy tutaj wysłuchiwać twoich wywrotowych jęków? – Zmierzyłem go spojrzeniem, pod którym aż się skulił.

– To co w takim razie mam podać jaśnie wielmożnym panom? – zaskomlał.

– Przynieś dzbanek lodowatego białego wina, prosto z piwniczki – nakazałem. – A jak tylko zobaczysz, że kończymy, podaj kolejny. I rób tak, póki nie powiemy, żebyś przestał.

– Wydaje mi się, że szczerze polubię wasze towarzystwo – oznajmił Baum z uznaniem i szacunkiem w głosie.

Oberżysta zawołał usługującego chłopaka, młodzieńca rozrośniętego w barach, o pocziwej, tępej twarzy osiłka, który kiedy każą mu kogoś zatłuc, to zatłucze i nie zadaje głupich pytań, takich jak: „po co?“, „na co?“, „czy aby na pewno?“. Polecił mu odpędzić gości od ostatniego stołu, żebyśmy mogli sobie z Baumem wygodnie usiąść, nieniekajeni przez hołotę. Osilek wykonał zadanie z głęboką powagą i zaangażowaniem, odegnał podpite towarzystwo bez żadnej przyjemności czy zarozumiałstwa, lecz po prostu z widocznym poczuciem cichego zadowolenia z dobrze

wypełnianego obowiązku. Potem jeszcze brudną ścierą przetarł blat stołu, skinął nam głową i odszedł z powrotem w stronę szynkwasu.

– Widzę, że odwiedzenie karczmy w towarzystwie mistrza Świętego Officjum ma wiele uroku – zauważył pogodnie Baum.

Potem usiadł i oparł się o ścianę z błogim wyrazem twarzy człowieka, który czeka na jakieś prawdziwie przyjemne zdarzenie i jest pewien, że nic nie przeszkodzi w zdarzenia tego nadejściu. Oczywiście los bywa złośliwy i czasami tak się układa, iż podobne nadzieje oraz oczekiwania zostają srodze zawiedzione, lecz na szczęście wcale się tak nie stało tym razem. Karczmarz uwinął się szybko i postawił przed nami dzbanek wina, które było tak chłodne, iż cynowe naczynie również mocno od niego pochłodniało i spocilo się zimnymi kropelkami błyszczącymi na metalowej powłoce.

– Nie chrzciles? – Spojrzałem na niego badawczo.

– A gdzieżbym śmiał! – oburzył się i przyłożył dłoń do piersi.

Spróbowałem. Zimne, cierpkie wino rozlało mi się po języku i podniebieniu niczym orzeźwiający eliksir.

– Rzeczywiście nie chrzciles – przyznałem. – Bo ja rozumiem, że karczmarz chrzci piąty czy szósty dzbanek wina, kiedy większość pijących już nie wie nawet, co pije. Ale chrzczenie pierwszego dzbanka uważam za wyjątkową bezczelność.

– Wam to ja nawet szóstego nie chrzczę – wyznał ze szczerym przekonaniem i gorącym uczuciem.

Cóż, postępował tak bynajmniej nie dlatego, że darzył mnie szczególnie wielką przyjaźnią, lecz dlatego, że na początku mojej służby w mieście odbyliśmy krótką, chociaż konkretną pogawędkę na temat rozcieńczania wina inkwizytorom. Po tej rozmowie, czy raczej lepiej mówiąc: po pewnego rodzaju dobitnym monologu, podobna przygoda nie zdarzyła się nigdy więcej.

Pierwszy dzbanek wypiliśmy z Baumem szybko i w milczeniu, spoglądając tylko jeden na drugiego z uśmiechem oraz zadowoleniem. Karczmarzowi trzeba przyznać, że z doniesieniem drugiej kolejki nie czekał, aż opróżnimy kubki, a poradzenie sobie z tą porcją poszło nam równie sprawnie, choć tym razem oprócz uśmiechów pozwoliliśmy sobie na zadowolone komentarze.

– Zimne – pochwalił Baum z prawdziwym uczuciem.

– Aż zęby cierpną – odparłem równie serdecznie.

Skończyliśmy drugi dzbanek (a trzeci pojawił się na stole, kiedy dopijaliśmy ostatnie krople) i wtedy miałem już wrażenie, że zaduch w izbie nieco się zmniejszył, a i gorącość trochę ustąpiła. Z tym większą przykrością pomyślałem, że trzeba będzie w końcu opuścić to przytulne miejsce i udać się do zaułka Złotników. Podzieliłem się z Baumem smutnym przewidywaniem przyszłości, a on również się wtedy zasępił. Ale już po chwili twarz mu się rozpogodziła i nawet zaklaskał.

– Mistrzu Madderdin, nie mam co prawda jeszcze w domu ani wina, ani cydru, ani żadnego innego trunku, ale zabierzemy stąd tyle zapasów, żeby starczyło nam zarówno na podróż, jak i na wzmocnienie sił, kiedy już dojdziemy do celu.

– To jest znakomity pomysł, panie Baum – pochwaliłem go. – Nie tylko błyskotliwy, ale pozwalający nam myśleć o przyszłości nie ponuro, lecz z pogodną nadzieją.

– O właśnie!

Potem klasnął ponownie.

– Ach, widzicie, bo zapomnę, co wam chciałem powiedzieć. A chciałem powiedzieć tyle, że muszę wam przyznać, że ładnie żeście wykazali temu młodzieńcowi z Inkwizytorium, że słuchanie porywów serca nijak ma się do rozsądnego myślenia o życiu.

Skinąłem głową.

– Kierowany dobrymi intencjami, popełniłem kiedyś pewien błąd, pewną nieroztropność – przyznałem. – A ta nieroztropność kosztowała życie wielu ludzi[7]. Od tego czasu staram się pilnie rozmyślać, jakie konsekwencje niosą ze sobą nasze decyzje. Nie konsekwencje na dziś, ale na pojutrze.

Zamyślony Baum pokiwał głową.

– Mało kto dzisiaj myśli dalej niż własny nos i z większym wyprzedzeniem niż jeden dzień – przyznał.

I tak to się stało, że wysączyliśmy dzbanek trzeci, czwarty oraz szósty, a przy siódmym głowiliśmy się, gdzie, na gwoździe i ciernie, zapodział nam się właściwie dzbanek piąty. Przy ósmym doszliśmy

do wniosku, że oberżysta chyba nas oszukał, i dobrodusznie się spieraliśmy, czy złoić mu skórę na miejscu w karczmie, czy też zabrać go do Inkwizytorium i tam przesłuchać z zastosowaniem narzędzi.

Ożywioną dyskusję przerwał nam Andreas Wittler, który z zaaferowaną miną przepchnął się przez ciżbę i wcisnął między mnie a ścianę.

– A cóż ty tu robisz? – zapytałem, bo nie wyglądał mi na chłopca, który chciałby bywać w takich miejscach jak „Rozśpiewany Koziółek”.

– Byłem w pobliżu, powiedziano mi, że tu jesteście, to pomyślałem, że musicie koniecznie dowiedzieć się, co i jak... – wyrzucił z siebie półgłosem i widziałem, że jest szczerze przejęty.

– W takim razie mów, skoro już jesteś – nakazałem.

Wittler rozejrzał się nerwowo, łypnął podejrzliwie w stronę Bauma, który jednak zdawał się wcale nie zwracać na nas uwagi, po czym zbliżył usta do mojego ucha i wyszeptał wiadomość.

– Jesteś pewien? – Spojrzałem na niego zdumiony.

– Żebym na miejscu skonał, jeśli to nieprawda. – Uderzył się pięścią w pierś. – Jego własna żona powiedziała, co się stało.

– Dziękuję, że mi o tym doniosłeś, Andreasie. – Pokręciłem głową. – No dobrze, nic z tym dzisiaj nie zrobimy – dodałem. – Chcesz nam towarzyszyć przy winie?

– O nie, za waszym pozwoleniem. – Zasłonił się szybko rękami, tak jakby myślał, że zaraz zacznę mu wlewać wino w usta wbrew jego woli. – Jeżeli nie macie nic przeciwko temu, to chciałbym stąd jak najszybciej wyjść.

– Z Bogiem więc. – Skinąłem mu głową na pożegnanie.

Tak więc mogłem wrócić do towarzystwa aptekarza, który zresztą okazywał się kompanem nie tylko wesołym, ale zdumiewająco odpornym na trunkowe przygody. Zazwyczaj tak się sprawy układają, że jeśli inni ludzie próbują dotrzymać pola waszemu unizonemu słudze na arenie pijackiej bitwy, to dość szybko padają nieprzytomni lub co najmniej potężnie otumanieni. Tymczasem Baum trzymał się świetnie. Język co prawda nieco mu się plątał i ze

słów „mistrzu Madderdin” zrobił tak dziwną hybrydę, iż w świecie gramatyki mogłaby uchodzić za słonia z tułowiem wilka i głową lwa, ale zdawał się myśleć całkiem trzeźwo, a kiedy szedł do wychodka, przewrócił się tylko raz, i to nawet wcale nie z opilstwa, lecz tylko dlatego, że potknął się o czyjeś wyciągnięte nogi.

Wrócił do mnie, zasłaniając sobie jedno oko dłonią, i klapnął ciężko na ławę. Od razu widziałem, że świeże powietrze w drodze do wychodka mu nie posłużyło...

– Ośmiesiępropać – powiedział i odjął rękę od twarzy, wpatrując się we mnie mętym wzrokiem. – Istom.

– Oho, gotów – rzekł oberżysta, zabierając ze stołu naczynia i przyglądając się Baumowi, który wydawał się nie zauważać jego obecności. – A wy co, mistrzu Madderdin, trzeźwi jak szczygiełek?

– Z tym szygiełkiem bym nie przeszczała – odparłem. – Powiedz no: ile żeśmy wychlali?

– A kto płaci rachunek? – zapytał przebiegle.

– Któż może płacić? Pewnie, że on.

– No to niech będzie jedenaście dzbanków – zdecydował.

Oczywiście pamiętałem doskonale, że osuszyliśmy osiem dzbanków, lecz skoro miał płacić Baum, to jemu już zostawiłem ewentualny problem spierania się o liczby. Wyszło więc po cztery garnce białego wina na głowę. Oczywiście zdarzyło się, że pijałem więcej, ale i tak dzisiaj poradziliśmy sobie całkiem chwacko. A teraz pomyślcie, mili moi, czy dalibyście radę czterem dzbankom wody? Oczywiście, że nie! Człowiek miałby dość po pierwszym. A z winem jakoś całkiem inaczej sprawy się miały.

– No dobrze – zgodziłem się. – Policz za jedenaście dzbanków, ale wyślesz teraz z nami swojego posługacza. Niech mi tego mojego mistrza aptekarskiego doniesie do jego domu, bo przecież sam nie będę go dźwigał na grzbiecie.

– No słusznie, jak by to wyglądało! – oburzył się karczmarz. – Zupełnie nie wypada, mistrzu, żebyście sami się trudzili. Zwłaszcza że... – Przeciągnął spojrzeniem po Baumie, który spał, opierając głowę na blacie. – Może on nie jest wysoki, ale widzi mi się, że swoje waży.

Kiedy przyszło co do czego, okazało się, że osiłek usługujący w karczmie spisuje się znakomicie. Pochylił się, chwycił Bauma w pasie i przerzucił go sobie przez ramię. A wszystko to z taką lekkością, jakby aptekarz nie był człowiekiem z krwi i kości, lecz workiem puchu. Prawą dłoń przytrzymał Bauma, by ów się nie zsunął, a lewą rozdał jeszcze dwa tak potężne kuksańce ludziom zagrażającym mu drogę, że polecili jeden pod stół, a drugi na ścianę.

– Na miecz Pana – rzekłem ze szczerym podziwem. – Tęgi chłopak. Oberżysta pokiwał głową.

– Bóg dał mu nadmiar w mięśniach, bo w rozumie sporo odebrał – westchnął. – Ale dobry z niego pacholek. Posłuszny i grzeczny. Tyle że je za trzech – dodał z ubolewaniem.

– Podejrzewam, że wam się to zwraca – stwierdziłem, a karczmarz skinął głową.

– Chcieli go do cyrku kupić, ale nie sprzedałem – rzekł. – Po pierwsze, szkoda chłopaka dawać do obcych, a po drugie, tak jak mówiliście: on mi się opłaca. Bo niech mi kto zacznie tu awantury robić! Ha! – Klasnął w dłonie. – Zaraz szast-prast i jest porządek, i już po wszystkim, tylko parę łbów rozbitych. Toteż powiem wam – uniósł palec znaczącym gestem – że i ludzie chętniej do mnie przychodzą, wiedząc, że im byle kto z byle powodu nie połamie u mnie kości. A że chłopakowi wszystko jedno, co zje, aby tylko dobrze napchać kałdun, i chętnie dojada resztki po gościach, to nie kosztuje mnie aż tak wiele.

I to była właśnie współpraca co się zowie. Oberżysta miał na posługi siłacza, a siłacz miał pełny brzuch i gdzie spać.

Chciałbym powiedzieć, że kiedy odemknąłem drzwi gospody, to owionął mnie podmuch świeżego, chłodnego wietrzyku, a kiedy wyszedłem za próg, to z przyjemnością wciągnąłem w płuca orzeźwiający wieczorny powietrze. Niestety, nic takiego się nie wydarzyło. Na ulicy było nadal duszno, gorąco i parno, a jedyne, co się zmieniło, to fakt, że teraz było już ciemno. Czy ściślej mówiąc: prawie ciemno, gdyż księżyc jaśniał silnym blaskiem na bezchmurnym niebie i wszystko było świetnie widać na wiele

kroków. No i jeszcze jedno. Spotężniał odór moczu i odchodów, gdyż goście gospody, wychodząc za potrzebą, nie chcieli fatygować się do wykopanego na tyłach dołu, tylko lali i srali przy ścianie, zaraz niedaleko drzwi.

– Podłe miasto – burknąłem sam do siebie.

– Jasyskie – odezwał się Baum zduszonym głosem, zwisając z grzbietu osiłka.

No proszę, a więc nie tylko był przytomny, ale nawet zachował świadomość umożliwiającą mu udzielanie rozumnych komentarzy. Miał mocną głowę ten mój nowy kompan, to trzeba mu było przyznać.

– Ano jak wszystkie – zgodziłem się z nim. – Czasami myślę, że zamieszkałbym chętnie w jakiejś chatce nad alpejskim jeziorem i co rano oddychałbym krystalicznym powietrzem, a także zażywał orzeźwiającej kąpieli.

– Sypysienuciło – stwierdził aptekarz.

– Pewnie tak – westchnąłem. – Ale warto byłoby chociaż spróbować.

Jeszcze tuż za progiem dopadła nas posługaczka z lampą w dłoni i zawołała do osiłka:

– Jak ty, głupi, wychodzisz bez lampy w noc? I to w dodatku z jaśnie panami! Trzymaj, tylko nie stłucz i przynieś z powrotem, bo ci skórę wygarbuję. – Pogroziła mu pięścią, ale raczej żartobliwie niż ze złością.

Osilek zapewne potrafiłby zgnieść tę dziewczynę w jednym uścisku czy powalić jednym uderzeniem, ale opuścił tylko głowę ze skruchą i wziął od niej lampę.

– Będę uważał – obiecał.

– A co się mówi?

– Że bardzo dziękuję.

– No. – Poklepała go z zadowoleniem niczym tępego konia, który jednak zaskoczył właściciela nadspodziewaną rozumnością.

Potem cofnęła się do karczmy, a my ruszyliśmy dalej. Ale już po kilku krokach...

– Poszekajcie, poszekajcie! – zawołał nagle Baum, a ja dałem znak osiłkowi, by się zatrzymał.

– Co tam, panie Baum? – Zerknąłem na niego. – Śpijcie sobie spokojnie.

– Zziemia! – zakrzyknął nieznośnym sprzeciwu głosem.

Gestem kazałem chłopakowi opuścić aptekarza na ulicę.

– Będzie rzygał – zaryzykowałem przypuszczenie.

Baum stanął na chwiejnych nogach, zakołysał się, a potem spojrział na mnie surowo.

– Oszyszał ognism – sprostował.

Potem marynarskim krokiem odszedł w stronę muru i z impetem wsadził sobie palce do gardła. Sądząc po długości procedury oraz po dochodzących nas odgłosach, przypominających ryk jakiegoś rozwścieczonego bólem zwierzęcia, to oczyszczanie organizmu Jonatana Bauma nie było byle jakim zadaniem. Wreszcie skończył, otrząsnął się mocno i odwrócił w naszą stronę. W świetle lampy niesionej przez osiłka widziałem jego pobladłą twarz. Ale oczy nabrały dawnej bystrości.

– Wzięliście może wino? – zapytał już wyraźnie, chociaż wolno wypowiadając każde słowo.

– Ano wziąłem – odparłem. – Chociaż nie jestem pewien, czy to dla was dobre lekarstwo w tej chwili.

– Tylko wypłuczę usta – rzekł.

Wyciągnąłem butelkę zza pazuchy, odkorkowałem i wręczyłem mu. Baum powąchał, skrzywił się, potem wziął solidny łyk, głośno przepłukał usta i odplunął na bok. Powtórzył tak jeszcze dwa razy, a za kolejnym razem wina już nie wypluł, tylko przełknął. Odetchnął głęboko i uśmiechnął się do mnie uśmiechem może zmęczonym, ale jednak zadowolonym.

– Jeśli pierwszy łyk wszedł, to i następne wejdą – ogłosił i mocno już teraz przechylił flaszkę do ust.

Potem oddał mi ją, opróżnioną dokładnie do połowy.

– Macie świetne wyczucie – pochwaliłem go.

A potem cóż było robić, przecież nie będę szedł z pustą do połowy butelką w dłoni, więc wysączyłem ją w kilku łykach. Odetchnąłem

głęboko i spojrzałem na aptekarza.

– Idziecie pieszo czy wskakujecie na swojego konika? – spytałem.

– Pieszko, pieszko – zastrzegł od razu. – Myślicie, że to przyjemnie wisieć na nim głową w dół? – Wskazał osiłka. – Przecież ja nosem waliłem w jego tyłek!

Ruszyliśmy, a chłopak, który do tej pory stał nieruchomo, jakby ani nasza obecność, ani nasza rozmowa kompletnie go nie dotyczyły, ruszył za nami. Widać miał przykazane, by nas odprowadzić do samej apteki, i zamierzał się tego polecenia trzymać. Zresztą bardzo dobrze, bo sam jego wygląd, sama jego postura mogły dać wiele do myślenia amatorom szybkiego nocnego zarobku. Weilburg był raczej spokojnym miastem, no chyba że skręciło się nocą w kierunku doków lub w stronę magazynów albo weszło na ulice z tanimi kamienicami czynszowymi, albo po prostu miało się pecha. Niezbyt bezpiecznie było też na rzeczonym nabrzeżu, a i w paru miejscach znajdujących się w cieniu miejskich murów należało raczej uważać. Ale tak w ogóle, to miasto było całkiem przyjazne, jeśli tylko znało się kilka jego mroczniejszych sekretów.

Nie wiem, czy ze względu na obecność tego potężnie zbudowanego chłopaka, czy po prostu z uwagi na spokojną, bardzo jasną noc, doszliśmy do kamienicy kupionej przez Bauma nie tylko bez żadnych przygód, ale i bez cienia możliwości, że przygoda mogłaby się w ogóle zdarzyć. Raz tylko w oddali zobaczyliśmy światła lamp, usłyszeliśmy gwar rozmowy mężczyzn z patrolu i rrum, rrum zadudniły na bruku ich podkute buty. Kiedy stanęliśmy przed drzwiami apteki, chłopak chciał bez słowa odejść, ale zatrzymałem go.

– Poczekaj no – rozkazałem i sięgnąłem do kieszeni. Wyciągnąłem z niej trzygroszaka. – Masz, napij się za nasze zdrowie – rzekłem.

– Pokornie wam dziękuję, mistrzu inkwizytorze. – Toporna twarz osiłka rozjaśniła się w szczerym uśmiechu. – Ale że ja nie piję, to chociaż sobie jedzenia nakupię, bo taki już jestem, że ile by mi nie dali, to zawsze mi mało.

A potem odszedł, stawiając długie kroki, pogwizdując wesoło i machając latarnią.

– Ech, być taką prostą naturą – westchnął aptekarz. – Co takiemu potrzebne do szczęścia prócz najedzenia się do syta?

– Byłoby to ciekawe doświadczenie – rzekłem. – Dać mu jeść, ile chce, i wtedy zobaczyć, jakie obudzą się w nim następne potrzeby, kiedy odczuje już błogą sytość.

Baum uniósł palec wskazujący.

– Jestem pewien, że jak każdy samiec, kiedy się naje, będzie chciał kopulować.

– Słusznie – zgodziłem się z nim. – A co dalej?

Aptekarz prychnął.

– Znam wielu takich mężczyzn, którym owe dwa zajęcia: jedzenie i kopulacja, wystarczają na całe życie, więc nie sądzę, żeby ów chłopak, natura więcej niż prosta, zechciał czegoś więcej.

– Pewnie macie rację – zgodziłem się z nim.

– A zauważcie też – uniósł dłoń – że kobiety, choćby nawet takie całkiem proste, to w odróżnieniu od najprymitywniejszych przedstawicieli naszej płci zazwyczaj więcej od życia pragną niż tylko konsumpcja i kopulacja. – Umilkł i pokiwał głową do własnych myśli. – Tak właśnie jest, mówię wam, że kobiety są jakoś tak całkiem inne, że aż dziw bierze czasami, że jesteśmy gatunkiem zrodzonym z tej samej Bożej woli...

– Słyszałem, jak alpejscy górale twierdzą, że pramatka Ewa nie została wcale uczyniona z żebra praojca Adama... – napomknąłem.

– Tak? – zaciekawił się aptekarz. – A z czegoż to?

– Mówią ci górale, że pies porwał Adamowe żebro i trzymając je w pysku, niemal zdołał uciec z Raju, ale Pan Bóg zdążył jeszcze zatrzasnąć wrota i w ten sposób obciął psu koniuszek ogona. Więc chcąc nie chcąc, stworzył Ewę z tego właśnie uciętego psiego ogona – dokończyłem.

Baum roześmiał się.

– Nie mają ci górale chyba wysokiego mniemania o swoich kobietach.

– Chyba nie – zgodziłem się z nim.

Kamienica, w której Jonatan Baum urządził aptekę, stała w zaułku, ukryta przed miejskim zgiełkiem, co powodowało, iż nie

można było do niej wejść prosto z ulicy, ale też aptekarz chyba nie liczył na byle jaką, przypadkową klientelę, lecz miał zamiar pozyskać sobie ludzi mających, którzy doskonale by wiedzieli, po co przychodzą.

– Mieszkanie mam nad samą apteką – wyjaśnił Baum. – Żeby wszystkiego przypilnować jak należy.

– Wynajęliście pomocnika?

Skinął głową.

– Na razie, tak jak wam mówiłem, mam tylko stróża. Ale czekam na ludzi mających przybyć z Koblencji.

Załomotał silnie do drzwi.

– Diabli wiedzą czy jest w środku – mruknął posępnie. – A co zrobimy, jak go nie będzie? – zafrasował się. – Pójdziemy z powrotem do „Koziołka”?

– Wola Boża – odparłem.

Na szczęście nie musieliśmy się jednak głowić, co zrobić ze sobą w przypadku nieobecności stróża, gdyż po kilku solidnych uderzeniach i kopnięciach (a pięści i nogi Baum miał, jak zauważyłem, całkiem silne) usłyszeliśmy zrzędlawy głos, człapanie, a potem ktoś zaczął głośno i już wyraźnie wyklinać nas od plugawych sodomitów, zawszonych małop, kurwisynów, czartowskich bękartów, obrzyganych świniopasów i trędowatych wyleganic. Baum słuchał tego i na policzki wypełził mu rumieniec, oczywiście nie z zawstydzenia, ale ze wzburzenia. No i chyba nie był do końca pewien, jak ja zareaguję na taki potok plugawych wyzwisk. Tak naprawdę jednak nic mnie to nie obchodziło, bo niby dlaczego miało mnie obchodzić, co ma do powiedzenia jakiś stary stróż, który nawet nie wie, kogo przeklina.

Wreszcie kiedy dozorca stanął przy samym progu, Baum głosem silnym, lecz zjadliwym wytłumaczył mu, kto czeka na otwarcie drzwi. Jeśli sądził, że stróża to obejdzie, bardzo się pomylił. Starzec co prawda wpuścił nas do środka, ale wymruczał tylko, że jest późno i porządni ludzie o tej porze śpią we własnych łóżkach, a nie włóczą się po ulicach jak jakieś byle przechodki, zwłaszcza kiedy są szanowanymi inkwizytorami i aptekarzami. A potem, kiedy już

skończył, po prostu wręczył klucze Baumowi, odwrócił się i odczłapał w głąb domu.

Mój towarzysz pokręcił głową, nic jednak nie powiedział, rozumiejąc chyba, że żadne słowa w niczym nie pomogą. Zamknął starannie drzwi, sprawdził, czy rygle są solidnie dociśnięte, i machnął ręką.

– Chcecie się rozejrzeć? – zapytał.

– Wierzę wam na słowo, że nie robicie niczego niezgodnego z prawem – odparłem gładko.

– To wejdźcie, proszę, odpocznijcie sobie po wędrówce przez miasto. Macie jeszcze jakąś butelczynę?

– Nawet dwie – odparłem.

– Ha. Nie wypada, żebyście wracali przez całe miasto z ciężarem, prawda? – rozpromienił się.

– Też sędzę, że te flaszki trzeba opróżnić – zgodziłem się z nim. – Bo jeszcze się rozbiją i będzie bieda...

– Oczywiście, jak chcecie, możecie spać u mnie – powiedział serdecznie. – Łóżko mam na razie tylko jedno, ale chętnie wam je oddam. Dla mnie nawet siennik na podłodze będzie lepszy niż te wasze podłe lochy.

Parsknąłem z rozbawieniem.

– O, panie Baum, nie widzieliście jeszcze prawdziwie podłych lochów, skoro nasze wygodne uzdrowisko tak brzydko przezywacie. Ale życzę wam też, abyście nigdy nie przekonali się o tym, że są gorsze miejsca od weilburskiej celi.

– Ech – westchnął tylko, a potem potrząsnął głową i spojrzał na swoje ramiona, tułów i nogi takim wzrokiem, jakby widział je pierwszy raz w życiu.

– Dajcie mi chwilę, mistrzu Madderdin, żebym się przebrał. A jeśli w tym czasie otworzycie butelki i nalejecie nam obu wina, to wielką przysługę oddacie światu.

Baum zniknął na chwilę, rzeczywiście z przebieraniem uwinął się naprawdę szybko. Zresztą nie musiał się przecież stroić.

– Mówiliście, że zatrudnicie jakichś pomocników? – zapytałem.

– O tak – odparł. – A raczej już zatrudniłem. Bo czeladnik i uczeń powinni być tu za dzień, dwa. Dobrzy chłopcy, znam ich od dawna. – Pokiwał głową. – Bo wiecie, jak jest w moim fachu. Człowiek musi dbać, nie tylko żeby pomocnik go nie okradł, ale również żeby mu nie wytruł klientów, mieszając złe mikstury. Albo podając nie temu co trzeba bądź nie takie jak trzeba lekarstwo. Bo wtedy zamiast zadowolonego klienta możecie mieć klienta zagniewanego. Albo i trupa.

– Przykra sprawa – stwierdziłem.

– No, przykra – zgodził się ze mną. – Zwłaszcza że można stracić reputację, majątek, a jak źle pójdzie, to i wolność albo życie.

Spojrzałem na niego uważnie.

– Z jakich powodów przenieśliście się... – urwałem. – A właśnie, nie dosłyszałem, w jakim mieście poprzednio praktykowaliście.

– W Koblencji – rzekł spokojnie. – I tam właśnie został mój brat, w naszej wspólnej aptece. Ta tutaj też należy do nas obu, a jak Bóg da, założymy trzecią, jeśli tylko szczęśliwy los i doświadczenie pozwolą, żebyśmy znaleźli uczciwego współnika.

– A więc działaliście w Koblencji... No cóż, przenosząc się do nas, można powiedzieć, że z wielkiego jeziora przeskoczyliście do płytkiego stawu – stwierdziłem.

– Wszędzie da się zarobić pieniądze – powiedział. – Czasem mniejsze, czasem większe, ale wszędzie. I nie ma złych miejsc na handel, są tylko źli kupcy.

Oczywiście przesadzał, bo trudno sobie wyobrazić, by człowiek chcący zarobić wielki majątek i zdobyć rozgłos ulokował się w małej wioseczce. Niemniej rzeczywiście zbyt wielu ludzi skarżyło się na niesprzyjające okoliczności, kiedy wina za klęski, jakie ponosili, tak naprawdę tkwiła tylko w ich głupocie lub lenistwie. Pamiętam pewnego dramaturga, który głośno i najczulej wychwalany z uwagi na swój niewątpliwy kunszt, rzekł wreszcie: „To prawda, że Bóg nie poskąpił mi talentu. Ale kiedy wy smacznie śpicie pod pierzyną, wtedy ja siedzę w pracowni nad nową sztuką. A kiedy wy zapadacie w drzemkę po leniwym dniu i obfitej kolacji, wtedy ja zasypiam ze zmęczenia z głową na stole”. I chociaż może człowiek

ten przesadzał (a nawet przesadzał na pewno, gdyż sam znałem artystów, co do których nie wiedziałem, kiedy znajdują czas na materię twórczą, ponieważ ciągle tylko chlali, żarli, hazardowali i zadawali się z dziwkami), to jednak naprawdę warto było pamiętać, że Bóg dał ludziom talenty wedle swego osądu i upodobania. Ale w jaki sposób ci obdarowani korzystali ze swych umiejętności, to już była kwestia ich wolnej woli. I albo ta wolna wola pchała ich ku sławie i bogactwu, albo wręcz przeciwnie: ku ponuremu rozmyślaniu nad nieudanym życiem, które przecież mogło, a nawet powinno być tak piękne.

Porozmawialiśmy o wszystkim i o niczym. Baum trochę mnie wypytywał o rajców miejskich, a ja nie widziałem powodów, by nie wyjawić mu tego, co wiedziałem. Gawędziliśmy również o chorobach i o lekarstwach, i o tym, jak dziwne czasem bywają przypadki niespodziewanego wynalezienia specyfiku na jakąś chorobę i jak wielki majątek można zbić na takim medykamencie, jeśli tylko przekona się ludzi, że naprawdę on leczy.

– A wiecie – powiedział Baum – że opracowałem kiedyś receptę na bardzo smaczny i słodki syrop na kaszel? Co ciekawe, był również bardzo skuteczny – dodał. – Ale posłuchajcie, co się dalej stało. Otóż nikt go nie chciał ode mnie kupować.

– Czemu, skoro pomagał? – Zmarszczyłem brwi.

– Bo lekarstwo tylko wtedy jest uważane za dobre, kiedy paskudne w smaku – westchnął ciężko i ze smutkiem. – Tak przynajmniej sądzi ten złożony z profanów, wulgarny motłoch. – Wzruszył ramionami. – No to dodałem kilka składników psujących smak i zapach, a wtedy cały zapas syropu wyprzedalem na pniu.

– Ha! – Pokręciłem głową. – W tej całej dziwnej sytuacji przyznam jednak, że zręcznie znaleźliście wyjście, żeby samemu nie stracić, a ludziom jednak pomóc.

– Od jutra zacznę sprzedaż tego syropu w naszym mieście. – Uśmiechnął się. – Wynajmę kilku chłopaków, żeby biegali po ulicach i krzyczeli, że u Bauma można kupić lekarstwo na kaszlicę.

– Na kaszlicę – powtórzyłem. – Co za nazwa...

– Nazwa jak nazwa. – Wzruszył ramionami. – Dobrze obrazująca przebieg schorzenia, zgodzicie się ze mną, prawda?

– Od razu: schorzenia. – Skrzywiłem się. – Wiecie, jak to jest, może jutro, pojutrze wszystko ludziom przejdzie...

Pokręcił głową.

– Za waszym pozwoleniem, mistrzu Madderdin, ale tak sprawy nie działają. Jeśli w zatłoczonym pokoju jeden człowiek jest chory na katar, to za parę dni chorych będzie kilku, a może i wszyscy, którzy z nim byli. Ta kaszlica, mówię wam i jestem tego pewien, dopiero zaczyna się sadowić w Weilburgu.

Przemyślałem jego słowa.

– Nie brzmi to dobrze – rzekłem wreszcie, a potem spojrzałem na niego uważnie. – Ale wasz syrop nie jest lekarstwem na nią, prawda?

– Lekarstwo to to jest – odparł. – Ale na kaszel. Syrop łagodzi kaszel, a przez to i cała kaszlica wyda się mniej dolegliwa.

Skinąłem głową.

– Niemniej ludziom wasz syrop nie pomoże na samą chorobę, a zaledwie na jeden z jej objawów, którym jest kaszel – zauważyłem. – I jak rozumiem, będą chorować, a nawet umierać, niezależnie od tego, czy wypiją wasz syrop, czy nie?

– Umierać? – Skrzywił się. – Nie słyszałem jeszcze, żeby ktoś umarł na tę chorobę. Chociaż... – Podrapał się po nosie. – Niczego nie można wykluczyć, póki nie dokonamy dokładnych obserwacji ludzi, którzy przechorowali ją od początku do końca.

– Nasz kat dzisiaj umarł – rzekłem poważnie. – Ten, którego widzieliście u nas w celi.

– Matko Boska Bezlitosna! – Baum aż klasnął, ale na pewno nie z radości, lecz z zaskoczenia i wzburzenia. – To o tym szeptał wam na ucho w karczmie ten wasz chłopak...

– Ano o tym – odparłem.

Aptekarz potrząsnął głową.

– Paskudna sprawa. Ale... – Uniósł dłoń. – Wiecie, jak jest z chorobami, a powiem wam to jako praktyk. Wiecie? Otóż powiem wam, że z czego jeden otrząśnie się jak pies po kąpieli, to drugiego

wykończy na amen. Więc może ten wasz kat był po prostu słabego zdrowia i tyle...

– Może i tak – odparłem.

– No nic, kto ma umrzeć, ten umrze, a kto przeżyje, ten będzie żył – zawyrokował Baum, tym razem już beztroskim głosem. – Ale powiem wam tylko, że po moim syropie nawet jak poumierają, to przynajmniej w lepszym humorze, bo ze zdecydowanie lżejszym i mniej bolesnym kaszlem. A odjąć umierającemu człowiekowi trochę cierpienia to przecież również zasługa. Nie mam racji?

– Z całą pewnością macie – zgodziłem się. – Niemniej radziłbym wam nieco zmienić formułę pochwały waszego specyfiku...

Zmarszczył brwi.

– A to czemu?

– Bo jeżeli zaczną ciężko chorować lub, nie daj Boże, umierać ci, którzy wypili wasz syrop, a uwierzyli i oni, i ich rodziny, że są już bezpieczni, to domyślcie się, że może was spotkać, najdelikatniej mówiąc, nieprzychylna reakcja z ich strony.

– Aptekarze zawsze trochę, wiecie... koloryzują – odparł i widziałem, że niechętnie mierzy się z myślą, iż miałby coś zmieniać w swoim koncepcie zachwalania sprzedaży.

– Och, wiem o tym doskonale. Ale lepiej nie robić tego w mieście, którego mieszkańcy są wystarczająco przestraszeni, że ta kaszlica to coś więcej niż zwykły kaszel i Bóg raczy wiedzieć czy nie zmieni się w jakąś wściekłą epidemię. W takich chwilach myśli ludzi histerycznie miotają się od nadziei poprzez rozczarowanie aż do wielkiego gniewu. A w trudnych czasach, kiedy śmierć widzimy na wyciągnięcie ręki, musicie przyznać, że zarówno nadzieje są wielkie, jak i wielki jest gniew, kiedy te nadzieje nie zostają spełnione.

Zastanawiał się dłuższą chwilę.

– Dziękuję wam za radę i zastosuję się do niej – rzekł wreszcie.

Potem znowu milczał, najwyraźniej się nad czymś głowiąc.

– Ale znajdę złoty środek między waszą koncepcją a moją – powiedział po chwili. – Bo oto umyśliłem sobie, że uczynię tak: na mojej aptece wywieszę wielki szyld: „Tu w sprzedaży jest cudowny syrop Bauma łagodzący kaszel”. Ale chłopakom na mieście każę

dalej krzyczeć, że Baum sprzedaje lekarstwo na kaszlicę. Bo przecież co tam sobie pokrzykują jakieś uliczne urwisy, to ja za to w żadnym razie nie odpowiadam. – Obronnym gestem złożył ramiona na piersi.

Uśmiechnąłem się i pokręciłem głową.

– Cóż, zobaczymy, co wam z tego wyjdzie. W obliczu zagniewanego i niepiśmiennego tłumu życzę wam szczęścia w tłumaczeniu, że sprzedając im syrop, mieliście na myśli coś kompletnie innego, niż oni sądzili... Ale... – Uniosłem dłoń, bo widziałem, że chciał zaprotestować. – To wasze życie i wasza sprawa.

Wreszcie, kiedy osuszyliśmy ostatnią butelkę (a aptekarz znowu sprawiał wrażenie całkiem trzeźwego), wstałem, by się pożegnać.

– Wybaczcie, ale nie lękacie się iść sami przez miasto? – spytał z wahaniem. – Ja wiem, że jesteście inkwizytorem, tyle że jak ktoś da wam w ciemności pałką w głowę, to przecież nie będzie się przedtem dopytywał, kim jesteście.

– Z Bożą pomocą jakoś uniknę kłopotów – odparłem.

Bo skoro w przeszłości zdarzało mi się przemierzać nocami zaułki Koblencji czy Hez-hezronu, to czemu miałbym się bać spokojnego Weilburga? Poza tym miałem w rękawie obciążoną ołowiem pałkę, przy pasie długi kordelas z hiszpańskiej stali, a w nogawicy buta sztylet ostry jak igła. Do tego w kieszeni mojego kaftana spoczywał woreczek z sherskenem. A to naprawdę podła trucizna. Sypnięta w twarz powoduje przeraźliwy ból i niedające się ukoić pieczenie oczu, a kto zacznie wtedy trzeć powieki, ten najpewniej na zawsze pożegna się ze wzrokiem. Poza tym nasi edukatorzy z prześwieatnej Akademii Inkwizytorium rozumieli, że funkcjonariusze Świętego Officjum będą musieli mierzyć się nie tylko z czarownikami, demonami czy wiedźmami, ale też po prostu ze złymi ludźmi. Dlatego oprócz korzystania ze świętej mocy modlitw oraz z potęgi relikwii uczono nas również zasad walki wręcz. A w tej dziedzinie wasz pokorny i uniżony sługa należał raczej do prymusów niż do cymbałów z oślej ławki.

– Dziękuję wam bardzo, żeście mi pomogli – rzekł jeszcze aptekarz, zanim odryglował drzwi, a w jego głosie słyszałem

nieudawaną wdzięczność. – Aż strach pomyśleć, co by się ze mną stało, gdyby nie wy... Gdyby nie wasza uczciwość i poczciwość, mistrzu Madderdin.

– Jeśli nie zrobiliście niczego złego, nie musicie się o nic martwić – zapewniłem go. – Zbadam waszą sprawę z najwyższą pieczołowitością i życzliwością.

Wyciągnął do mnie rękę i porwał moją dłoń, zanim zdążyłem zaprotestować, wciskając mi w palce kiesę, która była tak nabrzmiała, że aż monety w niej nie brzęczały.

– Zajmijcie się mną i moimi sprawami, mistrzu Madderdin – poprosił gorąco. – Dobrze mieć przyjaciela, kiedy jest się obcym w obcym mieście.

Przytrzymałem jego rękę i spojrzałem mu prosto w oczy.

– Panie Baum, jeśli zgrzeszyliście lub zgrzeszycie przeciwko naszej świętej wierze, to nie pomoże wam nawet wóz złota – rzekłem spokojnie, ale stanowczo.

– Nie, nie, nie – zaprotestował. – Ja tylko pragnę, abyście dopilnowali ze wszystkich sił, żeby działa mi się sprawiedliwość. A że macie, jak sądzę, wiele zajęć, to usilnie pragnę was wspomóc.

Skinąłem więc głową i włożyłem sakiewkę do kieszeni. Zamierzałem jak zwykle działać w imieniu prawdy i dla prawdy. A jeśli Baum chciał mi płacić za to, co uczyniłbym również bez jego pieniędzy, to tym lepiej składało się dla mnie.



Rozdział drugi

Bracia inkwizytorzy



Do siedziby Świętego Officjum wróciłem bez przygód. Zapewne w innych okolicznościach nocny spacer mógłby nawet dobrze mi zrobić i pomógłby z ociężałej głowy wywiać trunek. Niestety, nic takiego się nie wydarzyło, gdyż zapewniam was, mili moi, Weilburg nadal nie był miejscem, które opanowałyby nocna świeżość (czy raczej już niemal poranna, bo niebo wyraźnie szarzało). Na ulicach, ściśniętych pomiędzy kamienicami, wciąż było duszno, a rozgrzane za dnia mury oddawały ciepło niczym kamienne piece. Najgorzej, że naprawdę nic nie wskazywało, by ta podła pogoda miała się zmienić. Niebo było czyściuteńkie, bezchmurne, a przypadek owego ręczego starca, o którym opowiadałem Baumowi, również kazał mi jak najgorzej myśleć o przyszłości.

Obudziłem się rano z dziwnym uczuciem suchości w gardle i z przemożnym pragnieniem, co jak sądzę, wywołane zostało wciąż panującym upałem. Wypiłem więc kubek wody z rozgniecioną świeżą miętą, a po niedługim namyśle wychyliłem jeszcze kolejne dwa, gdyż w mojej sypialni naprawdę było duszno i gorąco. Potem ochlapałem się przy miednicy, ubrałem i zszedłem na parter, do refektarza. Przy zastawionym stole siedzieli już dwaj moi

towarzysze inkwizytorzy. Jeden z nich był wysoki, barczysty i czarnowłosy, a drugi z jasną czupryną, niski i bardziej pulchny niż solidnie zbudowany. Nazywali się Heinrich Heider i Ludwik Schoen. Ludwika nazywaliśmy Pączusiem, chociaż raczej nie wtedy, kiedy sądziliśmy, że może usłyszeć. Inkwizytorzy uczeni są przede wszystkim, by nie dać się zwieść zewnętrznym pozorom, więc nie stanowiło dla nas zaskoczenia, że Ludwik pomimo niewinnego wyglądu miał bystry pomysłunek i silny charakter. Ale wielu zwykłych ludzi na ten łagodny wizerunek Ludwika łatwo się nabierało. I kiedy orientowali się wreszcie, jak wielki popełnili błąd, to z reguły było już dla nich za późno.

– Witaj, witaj – zawołali, widząc mnie.

– Jak tam rozmowa z aptekarzem Baumem? – zapytał niewinnym tonem Schoen. – Słyszałem, że trzeba go było nieść do apteki, tak się spił.

– Zawsze zdumiewa mnie tempo, w jakim wieści rozchodzą się w tym rozplotkowanym mieście – odparłem, siadając.

– Inkwizytorium wie wszystko – rzekł poważnym tonem Heider, przyglądając mi się spod zmarszczonych brwi. – Pamiętaj, że czy w dzień, czy w nocy, mamy na ciebie oko, Mordimerze – dodał i pogroził mi palcem. Potem roześmiał się. – Skosztuj ogórków. Palce lizać.

– Prawda, prawda – zgodził się Schoen.

Nałożyłem sobie kopiasty talerz zimnego mięsa, a do tego wyjąłem z beczuki dwa wielkie ogóry, tak napęczniałe i tak tryskające sokiem, jakby były przejrzalymi owocami zebranyymi wprost z drzewa.

– A gdzie Markus? – zapytałem z pełnymi ustami.

– Dostał wczoraj pismo wzywające go do Limburga i wyjechał – odparł Heinrich.

– A klął tak, że uszy wędły – dodał Ludwik z uśmiechem.

– W całym mieście zostaliśmy więc we trzech – westchnąłem.

– Dobrze, że nasze miasto spokojne i rozumne – stwierdził Heinrich. – Nic się w nim nigdy nie działo wyjątkowego i nigdy

z Bożą protekcją nic takiego się nie wydarzy. Żyjemy tu sobie spokojnie i tak nam dopomóż Bóg.

Ludwik pokiwał głową, a ja wzruszyłem ramionami.

– Z jednej strony święta prawda, że to dobrze, że nasze miasto jest bogobojne i bezpieczne – przyznałem. – Jednak z drugiej strony czyż my, inkwizytorzy, nie powinniśmy stawać twarzą w twarz przeciw demonom, heretyckim spiskom i nawałnicy klątw zsyłanych przez czarownice? A co tutaj robimy? Przesłuchujemy kobiety złapane na rozkopywaniu grobów? Śledzimy medyków kupujących zwłoki, tylko żeby się dowiedzieć, że nie uprawiają czarnej magii, lecz chcą przeprowadzić sekcje i poznać tajniki ludzkiego ciała?

– Ech... – Heinrich machnął ręką.

Ale Schoen spojrzał na mnie surowszym wzrokiem.

– Czyż nie po to setki lat Inkwizytorium w pocie czoła dbało o bezpieczeństwo ludu Bożego i o ukaranie grzeszników, żebyśmy wreszcie cieszyli się, że nasz pracowity siew przynosi tak szczęśny plon? – spytał.

– Mordimer nie pasuje do naszych czasów – zaśmiał się Heinrich. – Jemu by pasowało żyć wtedy, kiedy odbijaliśmy wioska po wiosce Germanię z rąk pogan. Kiedy walczyliśmy zarówno z ludźmi, jak i z demonami. Kiedy to było? Z tysiąc lat temu?

– Albo byś chciał walczyć w Brytanii z sabatami, co? – dorzucił Ludwik, spoglądając na mnie tym razem już bardziej rozbawionym niż surowym wzrokiem.

– Straszne czasy – mruknął Heinrich.

Mimowolnie spojrzeliśmy wszyscy na obraz wiszący w refektarzu. Przedstawiał bitwę na brodzie na Cleddan Ddu[8]. Czy mówiąc ściślej, sam początek tego starcia, kiedy inkwizytorzy i rycerze, wszyscy w srebrnych zbrojach i pod sztandarami ze złamanym krzyżem, szykowali się, by ruszyć na pozycje armii złożonej ze stronników sabatów. Malarz ukazał nawet wiedźmy, które szybowały na bezchmurnym niebie...

– Ale czyż czasy te nie były również piękne? – Odłożyłem nóż i spojrzałem na nich. – Czyż świadomość, że zamek po zamku odbijamy kraj z rąk bluźnierców i czarowników, nie była upojna?

Jakżeż chciałbym zobaczyć kiedyś hordy stronników czarownic i armie inkwizytorów zderzające się na polu bitwy w boju godnym opisu Homera...

Schoen roześmiał się, lecz raczej życzliwie niż kpiąco.

– Mordimerze, marzysz o wielkich, bohaterskich czynach, o heroicznych dokonaniach. A nasza praca nie na tym już polega. Los naszych poprzedników hartował się w krwi, ogniu i żelazie, a nasz hartuje się najczęściej w inkauście.

Westchnąłem.

– Oczywiście, że dla ludu Bożego to lepiej, że czarownice nie latają już bezkarnie pod chmurami, tak jakby cała ta kraina należała do nich. Że nie wydają rozkazów rycerzom, baronom i książętom – stwierdziłem. – Okiełznaliśmy dzikość Germanii, wykarczowaliśmy lasy, użyźniliśmy ziemię, a niedostępną puszcę zamieniliśmy w pola uprawne – mówiłem. – Wszystko to prawdziwe jest i chwalebne...

– Ale? – poddał Ludwik.

– Ale mam nadzieję, że czekają nas jeszcze takie zadania, jakim podołali nasi protoplaści – odparłem szczerze. – Bo ileż krain całego świata nie zna lub nie chce poznać nauk Jezusa. Więc może dożyjemy czasów, gdy płomień ogarnie cały świat, żeby zamienić ten świat w chwalebne imperium krzyża...

– No, no... – Heinrich pokręcił głową. – Jeszcze trochę, a będziesz wzywał lud na krucjatę.

Schoen pokiwał głową i zaczął smarować kromkę chleba miodem.

– Wyśmienity. Akacjowy. Zebrany miesiąc temu. Szczerze radzę: spróbujcie. – Potem poruszył ramionami. – A żadnej krucjaty nie będzie. Komu by się dzisiaj chciało walczyć z Persami?

Heider kiwnął głową i zamruczał na znak, że w pełni z takim twierdzeniem się zgadza.

– Ale prędzej czy później inkwizytorzy ruszą do Nowego Świata – kontynuował Ludwik. – A tam będą potrzebni tacy ludzie jak ty, nasz gorąckrwisty towarzyszu, marzący o homeryckich bojach. – Uśmiechnął się do mnie.

– A właśnie, właśnie, Nowy Świat – zakrzyknął nagle Heider. – Czytaliście ostatnie pisma Bundu?[9]

Bund był organizacją łączącą wiele znacznych miast handlowych we wspólnym celu popierania się zarówno przeciwko administracji cesarskiej, jak i przeciwko arystokratom próbującym ograniczać ich prawa. Kiedyś miasta należące do Bundu były zdolne wystawiać własne armie i floty wojenne, teraz ich potęga mocno podupadła. Ale oprócz swoich głównych zajęć, jakimi była ochrona interesów miast, Bund przygotowywał bardzo interesujące pisma, które nazywano „Raportami”. Poszczególne ich wydania zawierały zebrane z całej Europy wieści o tym, co ważnego właśnie się wydarzyło. Była więc mowa nie tylko o czysto handlowych sprawach, lecz również o katastrofach, zmianach władz, wojnach, manewrach dyplomatycznych. „Raporty” stanowiły prawdziwe kopalnie wiedzy i dlatego inkwizytorzy pilnie zapoznawali się z ich wydaniem. Oczywiście dysponowaliśmy również własnymi źródłami, lecz pisma przygotowywane przez kupców uważaliśmy za bardzo wartościowe. W końcu autorami „Raportów” byli zazwyczaj ludzie doświadczeni, bystrzy i umiejący znajdować cenne informacje.

– Nie, nie miałem jeszcze okazji – odparłem.

Schoen nic nie odpowiedział, bo miał pełne usta, tylko pokręcił przecząco głową.

– Mówią, że jeden ze statków Bundu, który dopłynął do Nowego Świata, został spalony przy brzegu przez... – Heider zawiesił głos, a potem wzruszył ramionami. – Tubylczych szamanów czy innych czarowników... – wyjaśnił. – No, tak przynajmniej mówią...

– Albo pijany żołnierz zaproszył ogień przy beczce z prochem – rzekłem.

Ludwik pokiwał głową na znak, że przyznaje rację moim podejrzeniom.

– Może i tak – zgodził się Heinrich. – Ale co my właściwie wiemy o tamtej części świata? Tyle co nic. Może odnajdziemy tam taką magię i takie kreatury, o jakich nie tylko nigdy nie słyszeliśmy, ale jakich istnienia nawet nie podejrzewaliśmy? Wtedy właśnie tam

będzie miejsce dla takich ludzi jak ty, Mordimerze. – Spojrzał na mnie.

– Będiesz mógł w krwawych bitwach wyrywać wrogom piędź po piędzi ziemi, tak jak sobie teraz życzysz i marzysz – zaśmiał się Schoen.

Nie do końca byłem pewien, czy podróż do Nowego Świata potrafiłaby mnie skusić, ale kto wie... Może. Kiedyś. Podobno było tam ogromnie dużo komarów, a od pewnego czasu miałem dziwny wstręt do tych bzyczących krwiopijców.

– Sądzicie, że do tej pory inkwizytorów nie było na pokładzie żadnego statku płynącego do Nowego Świata? – zapytałem.

Heinrich wzruszył ramionami.

– Nic o takich sprawach nie słyszałem.

– Istnieją tacy inkwizytorzy, o których planach i uczynkach niewiele się mówi – powiedziałem ostrożnie. – Więc może...

– Skoro niewiele się o nich mówi, to i my nie mamy sobie po co strzępić języka – przerwał mi Schoen. – Bo im mniej zwykły inkwizytor, taki jak my, zajmuje się tamtymi sprawami, tym lepiej dla niego – dodał.

Mówiąc „tamte sprawy”, Ludwik miał na myśli działalność Wewnętrznego Kręgu Inkwizytorium. Miałem okazję spotkać inkwizytorów służących tej najtajniejszej ze służb, ale chociaż byłem przekonany o ich wpływach i potędze, to miałem jednak wrażenie, że mimo wszystko nie do końca je doceniam. I że w Wewnętrznym Kręgu kryje się jeszcze więcej sekretów, niż sędzę.

– Uch, najadłem się – westchnął Heinrich i rozparł się wygodnie w fotelu.

Ludwik chciał mu odpowiedzieć, ale nagle zatchnął się, zamachał rękoma i się rozkaszał. Huknąłem go otwartą dłonią w łopatki, a on pomimo kaszlu spojrzał na mnie z oburzeniem i odsunął się z hurgotem krzesła.

– Zabić mnie chcesz? – wydusił w końcu pomiędzy kasznięciami.

– Wielu ludzi kaszle na ulicach w tych dniach – stwierdził Heinrich, przyglądając mu się bacznie. – Obawiam się też, że dla wielu może się to skończyć większymi kłopotami niż sam kaszel.

Ludwik pochwycił kubek ze słabym jabłkowym winem i przyssał się do niego. Wypił do dna, po czym wstrząsnął głową.

– Kaszłą, bo są chorzy – rzekł zduszonym jeszcze głosem, po czym odchrząknął. – A ja kaszlałem, bo jakiś okruch wpadł mi w tchawicę – dodał już pewniej i wyraźniej.

– Nasz kat, ten, no... – Pstryknąłem palcami. – Friedrich. Musiałem go odesłać do domu, bo był chory. Kaszlał i miał gorączkę. A potem, jeszcze wczoraj wieczorem, Wittler przybiega do mnie do oberży i mówi, że Friedrich właśnie umarł. – Spojrzałem na nich. – Wiecie o tym, czyż nie? I potwierdzacie, że to prawda?

– Ano prawda. – Schoen skinął ponuro głową. – Trzeba będzie posłać po kata do Limburga, bo nie wiem, jak wy, ale ja nie zamierzam babrać się w robocie oprawcy.

– Mnie tam wszystko jedno. – Heinrich wzruszył ramionami. – Skoro trzeba będzie, to trzeba będzie. Taka służba. A poza tym niech rajcy się martwią.

Weilburg był niewielkim miastem, więc mieliśmy jednego kata, który miał służyć zarówno władzom miejskim, jak i Świętemu Officjum. Tak więc skoro Friedrich umarł, to rzeczywiście miasto zostało bez licencjonowanego kata, co oznacza albo brak kwalifikowanych przesłuchań, albo że do roli oprawcy miejskiego trzeba będzie kogoś przysposobić. Ale my w Świętym Officjum nie mogliśmy sobie pozwolić na podobne prowizorium.

– Denerwują mnie ci wszyscy kaszlący – burknął Heinrich. – Wiecie, że wczoraj poszedłem sobie spokojnie do gospody, jem polewkę piwną w alkierzu, a tu jak mi gospodarz nie zacznie charczeć nad ramieniem! Jak mi nie bluzgnie krwistą flegmą prosto na stół! Przysięgam wam. – Heinrich potoczył po nas rozplómiętym wzrokiem i przyłożył dłoń do piersi. – Że gdyby nie to, że upadł i dławił się, jakby zaraz miał umrzeć, to tego bym mu złoł skórę. Oj, tego... – Pokręcił głową.

– I co stało się dalej?

Heider wzruszył ramionami.

– Wyszedłem, nie dokończywszy posiłku, i z tej alteracji wziąłem sobie przy szynkwasio dwie butelki wina, żeby w zaciszu własnej

kwatery ukoić skołatane nerwy... – odparł.

– Żeby tylko z tego kaszlu nie było jakiegoś nieszczęścia – westchnął Ludwik.

– Choroba jak choroba – zauważyłem. – A ludzie, jak to ludzie: pochorują, poużalają się nad sobą, aż w końcu chorować przestaną, zostawiając wiele złota w rękach medyków i aptekarzy.

– O właśnie, Jonatan Baum, jak się zdaje, w dobrej chwili przybył do naszego miasta – zauważył Ludwik.

Spojrzałem na niego uważnie.

– Sugerujesz coś? Podejrzewasz go?

– Podejrzewam każdego – odparł Schoen z życzliwym uśmiechem.

– Dopóki nie zyskam dowodów jego pełnej niewinności.

– Bardzo słusznie! – zagrmiał Heinrich. – Jak świnka zaufała wilkowi, to zostały po niej ledwie kosteczki – dodał.

– Bogu dziękować, to my jesteśmy wilkami – stwierdziłem.

– Ale nie, nie, niczego nie sugeruję. – Ludwik odpowiedział teraz na moje wcześniejsze pytanie. – Ludzie zaczęli kaszleć wiele dni przed jego przybyciem do miasta. Teraz po prostu kaszlą więcej i... – zawahał się na chwilę. – W sposób bardziej dokuczliwy – dokończył.

– To prawda – zgodziłem się z nim. – Tak jakby choroba się rozwijała – dodałem głosem nieco bardziej ponurym, niż zamierzałem, i przypomniała mi się wczorajsza rozmowa z Baumem o tym, że to, co widzimy, to dopiero jest sam początek złych zdarzeń.

– Poza tym co niby ten aptekarz miałby zrobić? – dodał jeszcze Ludwik. – Zatruiłyby miasto trucizną? Czarami? I po co? Żeby sprzedać trochę leków więcej?

– Ludzie nie do takich zbrodni są zdolni. – Heinrich wznosił znacząco palec wskazujący. – A mówiąc „takich”, mam na myśli: „tak bezdennie głupich”.

– Ja nie wiedziałbym, jak zakazić miasto, żeby mieszkańcy zachorowali na kaszel – stwierdziłem. – I nigdy też nie słyszałem o podobnym uroku. Zatrucić studnie czy wodociągi, żeby poumierali wszyscy, którzy się z nich napiją... – Wzruszyłem ramionami. – Jak sądzę, umiałyby to uczynić każdy z nas. Ale to, co się dzieje teraz, to moim zdaniem całkiem zwykła choroba. A że niektórzy od tego

kaszlu poumierają, tak jak nasz Friedrich, to co zrobić? Choroby to już do siebie mają, że się na nie czasem umiera... Tak było, tak jest i tak będzie. I nic tego porządku nigdy nie zmieni, gdyż tak właśnie ustalono na samym początku świata.

– Amen – mruknął Ludwik, a Heinrich też skinął głową.

– Amen – powtórzył. – Szkoda tylko, że z dnia na dzień choroba wydaje się coraz gorsza. Ja wam mówię, że jeśli ludzie zobaczą, że ich rodzina i sąsiedzi umierają na tę przeklętą kaszlicę, to jeszcze dojdzie do jakiegoś popłochu. – Zamyślił się. – A od popłochu do zamieszek niedługa droga. – Potem wzruszył ramionami. – Kaszlica – powiedział z przekąsem. – Też jej nazwę wymyślili!

Pokiwaliśmy głowami, bo rzeczywiście owo słowo coraz częściej krążyło wśród mieszczan, więc było pewne, że właśnie ono, żadne inne, utrwali się w pamięci. Tym bardziej że coraz częściej wypowiedano je z niechęcią i strachem.

– Kto ma umrzeć, ten umrze, a kto ma żyć, ten żyć będzie – stwierdził sentencjonalnie Ludwik. – A jak trochę motłochu wyzdycha, to i nikomu od tego nie ubędzie. – Zatarł ręce i spojrzał po nas. – Co my mamy w ogóle dzisiaj do roboty? – spytał, zmieniając temat. – Wiecie, że jak Mordimer kazał wczoraj wypuścić Bauma, to nie mamy w lochu nawet jednego więźnia?

– A więdźmy z cmentarza? – zdziwiłem się.

– Wysłano je do lochów miejskich – odparł Schoen. – Niech w nich gniją, póki nie zostaną spalone. Po co mają u nas zabierać miejsce? I karmić by je trzeba. – Machnął ręką. – A tak, jak jest teraz, to niech rajcy się martwią.

– Puste lochy. – Pokręciłem głową. – No coś takiego...

– I bardzo dobrze – stwierdził Heinrich. – Bo to znaczy, że nasze miasto jest uczciwe i bogobojne.

– Albo to znaczy, że my za mało przykładamy się do pracy – westchnął Ludwik. – Tak też można pomyśleć. A to bardzo niedobrze by o nas świadczyło.

– Niech się tym martwi Heckmann – powiedziałem, myśląc o naszym przełożonym, dowódcy weilburskiego oddziału Świętego Oficjum. – My jesteśmy, drodzy towarzysze, zaledwie trybikami

w wielkiej machinie Inkwizytorium i nie wiem, jak wy, ale ja póki co nie zamierzam być czymkolwiek innym.

– Ano prawda – zgodził się Heinrich.

– Przespaceruję się do proboszcza Webera, żeby wypytać go, czy nie zdarzyło się nic złego w jego kościele – oznajmiłem. – Nie żebym liczył na jakieś niesłychane sensacje, ale muszę sprawdzić pewne donosy.

Spojrzałem w okno rozświetlone porannym słońcem.

– Nie żeby chciało mi się wychodzić w tę spiekotę – dodałem.

– Wczoraj pewna żebraczka przy kościele Korony Cierniowej zapewniała mnie, że deszcz spadnie na pewno – oznajmił Heinrich.

– Niby czemu?

– Mówiła, że zawsze przed deszczem ma taką chćicę na mężczyzn, że aż ją skręca.

Westchnąłem tylko. Oczywiście każdy życzyłby sobie, by przecucia żebraczki okazały się prawdziwe, ale nie widziałem wielkiego powiązania pomiędzy namiętnością a przyszłym deszczem. Co innego łamanie w kościach. Tu nie ulegało wątpliwości, iż ataki reumatyzmu są dla wielu nieomylnym zwiastunem zmiany pogody.

– Coraz więcej ludzi nie czuje już bojaźni bożej – westchnął Ludwik.

Skinąłem głową i wzruszyłem ramionami.

– I kiedy nadejdzie dzień, że spada na nich klęska, to się dziwią – rzekłem. – A wystarczyło nie grzeszyć.

– W dzisiejszych czasach ludzie liczą, że demony pojawią się innym, a nie im samym, albo co gorsza, uważają, że siły nieczyste to jedynie metaforyczny wymysł mający opisywać zło natury ludzkiej.

Uśmiechnąłem się smutno.

– Tak właśnie, niestety, jest – powiedziałem. – Być może byliśmy zbyt skuteczni, Ludwiku? Może z taką wprawą odkrywaliśmy i tępiiliśmy fizyczne przejawy zła, że część ludzi po prostu przestała w nie wierzyć, bo nigdy ich nie doświadczyła?

A przecież demony istniały naprawdę. Nie jako wytwór wyobraźni, nie jako iluzja, nie jako alegoryczne określenie podłego

zachowania ludzkiego, nie jako mieszkańcy mistycznych krain położonych na krańcach królestwa imaginacji. Istniały w swojej jak najbardziej fizycznej formie, dysponując siłą nie tylko deprawowania umysłów, ale jeśli chciały, to również rozdzierania na strzępy ciał. Oczywiście ich przenikanie do naszego uniwersum nie było takie łatwe, a wprawny inkwizytor potrafił je przegonić z powrotem do nie-świata, krainy, w której wegetowały, knując zbrodnie oraz intrygi, walcząc ze sobą nawzajem, ale nade wszystko pragnąc ludzkiej krzywdy.

– I tak dobrze, że ludziska niezachwianie wierzą w czary, rzucanie uroków oraz klątwy – dodał Ludwik.

– O tak. – Skinąłem głową. – Nawet jeśli chodzi o te bezprzykładne upały, z którymi mamy teraz do czynienia, to z kilku już ust słyszałem, że to na pewno klątwa.

– Czyja? – zainteresował się mój towarzysz.

Rozłożyłem ręce.

– Jak zwykle: albo złe czarownice, albo nikczemni czarnoksiężnicy – odparłem. – Czarownice nasze własne, z Cesarstwa, natomiast czarnoksiężnicy plotą swoje misterne zaklęcia na wieżycach fortec Palatynatu.

– Ach tak – uśmiechnął się Ludwik.

Potem jednak zaraz spoważniał.

– Z tym kaszlem – powiedział – to wiesz, też już różnie ludzie gadają...

– Można się było domyślać, że tak sprawy się skończą.

– Obawiam się, że one się jeszcze nawet nie zaczęły – odparł. – Niedobrze się stanie, jeśli ludzie zaczną tłumnie umierać na jakiś głupi kaszel.

– Dobrze albo niedobrze – odparłem po chwili namysłu. – Wszystko zależy od tego, czy taka klęska wzbudzi w obywatelach naszego miasta pobożny strach i pragnienie pokuty za grzechy, czy skieruje ich myśli ku nieprawości. Bo jeśli to drugie, to może się owa nieprawość objawiać nie tylko aktami publicznej drwiny z przykazań, ale co gorsza, również heretyckim podważaniem celowości wyroków Bożych.

– Gdyby chociaż deszcz spadł, co daj Boże – westchnął mój towarzysz.

Ludwik, jak widać, wolał twardo stąpać po ziemi, niż wznosić się na skrzydłach rozważań teologicznych. Ale prosząc o deszcz, miał niewątpliwie rację, gdyż upał nie tylko jest nieprzyjemny, zwłaszcza w zamkniętych pomieszczeniach czy w ciasnych miejskich uliczkach. Upał, jeśli trwa zbyt długo, potrafi doprowadzać ludzi do prawdziwego szału. I chociaż większość obywateli najchętniej pograża się podczas gorących dni w cierpiętniczym, bezmyślnym stuporze, to u części z nich taka pogoda, jeśli trwa zbyt długo, powoduje narastanie podrażnienia zakończone wybuchami gwałtownej złości. A w najlepszym przypadku umęczenie spiekotą objawia się niezadowoleniem na wszystko, co dzieje się na świecie, również na zachowania bliźnich. Obywatele doświadczonego skwarem miasta mogą być podatni na wpływ demagogów, którzy ich gniew skierowany przeciw wszystkim i wszystkiemu zmieniają i ukierunkują, by uderzył w kogoś lub coś bardzo konkretnego. Tak właśnie zaczynają się zamieszki, tumulty i pogromy. A warto pamiętać, iż Weilburg był wyschnięty niczym igliwie prażone na słońcu. Pochodnia tu, pochodnia tam i całe dzielnice zajmą się jak snopek suchego siana.

Pamiętałem nieznośność podobnej duchoty z czasów, kiedy byłem dopiero terminującym inkwizytorem i kiedy w brawurowy sposób rozwiązałem zagadkę mordercy grasującego w mieście, który to morderca w wyjątkowo paskudny i okrutny sposób zabijał młode kobiety. Pamiętałem też dobrze radość, jaką wśród obywateli wywołała wtedy pierwsza letnia ulewa, która nastąpiła po długim, bardzo długim czasie spiekoty. Czasie upałów tak dotkliwych, że nie tylko zapierających dech w piersiach, lecz i odbierających zdrowy rozum.

– Niech chociaż jeden dzień popada, a świat od razu wszystkim wyda się lepszy – dodał mój towarzysz z nadzieją w głosie. – I wszystkim łatwiej będzie oddychać, więc może i ten parszywy kaszel minie?



Rozdział trzeci

Proboszcz Gustaw Weber



Proboszcz parafii kościoła Miecza Pańskiego był jednym z nas. Nie, nie, mili moi, nie zrozumcie mnie źle: ów ksiądz nie był inkwizytorem, lecz wiedzieliśmy, że kiedyś, dawno temu, studiował w prześwietnej Akademii Inkwizytorium. Powołanie skierowało go jednak w inną stronę niż zaszczytna służba inkwizytorska i trzeba przyznać, że całkiem nieźle na tym wyszedł. Bo bycie proboszczem w zamożnym, chociaż niedużym mieście zawsze było opłacalne, nawet jeśli dzielnica, w której znajdowała się parafia, nie należała do bardzo bogatych. Ale z tego, co wiedziałem, ksiądz umiał żarliwie przemawiać i wierni lubili słuchać jego kazań. A jak lubili słuchać kazań, to i częściej oraz chętniej rzucali pieniądze na tacę. W kościołach rządziła taka sama zasada jak w cyrkach. Im miłsze widzowi sztuczki wyprawiałeś, tym chętniej ów widz ci płacił. Księża tacy jak nasz proboszcz dobrze o tej zależności wiedzieli i nie wzdragali się przed korzystaniem z niej. Ale Gustaw Weber poza tym zachował sentyment do Inkwizytorium, a wiercie mi, że Święte Officjum potrafiło za tę inklinację odpłacić i byłem pewien, iż stanowisko proboszcza nie przypadło Weberowi bez dyskretnej pomocy inkwizytorów. W każdym razie wiedziałem, że na ile będzie mógł mi pomóc, na tyle pomóc się postara.

Znalazłem go w głównej nawie, kiedy podniesionym głosem strofował kościelnego, który stał z miotłą w dłoniach i z opuszczoną głową. Proboszcz był niewysoki, pękaty, z wianuszkami włosów okalających czerwoną łysinę – najpewniejszy znak, że nie był ostatnio na tyle ostrożny, by w pełnym słońcu zakładać kapelusz.

– Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus – rzekłem. – Witaj, Gustawie.

– Mistrz Mordimer Madderdin w kościele! Co za niezwykle wydarzenie! – zakrzyknął ironicznie, po czym machnął niecierpliwie dłonią, dając znak kościelnemu, że ma odejść i zostawić nas samych.

– My, inkwizytorzy, oddajemy Bogu cześć, ścigając nieprzyjaciół chrześcijaństwa – odparłem poważnie. – Więc czasami, wstyd to przyznać, możemy się spóźnić na jedną czy drugą mszę.

Uśmiechnął się szeroko.

– W czym mogę ci usłużyć? – zapytał. – Masz ochotę na przekąskę? A może na wino?

– Jestem co prawda po śniadaniu, ale jeśli ze szczerego serca dane, to ze szczerym sercem przyjmę – rzekłem.

– Tylko ze szczerego – potwierdził. – Ja też chętnie zjem drugie śniadanie – dodał. – Chociaż może nie powinienem tak bardzo sobie folgować. – Poklepał się po odstającym brzuchu, mocno opiętym przez przyciasną sutannę.

Wyszliśmy na tyły kościoła i przeszliśmy w stronę okazałego ceglanego domu otoczonego równo przystrzyżonym, soczyście zielonym żywopłotem. Krzewy były uformowane niczym szerokie ostrza włóczni. Wysoki ogrodnik w postrzępionym kapeluszu przycinał ten żywopłot nożycami tak wielkimi, że można by nimi chyba odciąć człowiekowi głowę. Kiedy nas dostrzegł, przerwał na chwilę pracę, zdjął kapelusz i uklonił się. Weber uśmiechnął się i uczynił w powietrzu znak krzyża.

– Poczciwa dusza ten mój ogrodnik – stwierdził. – A i na swojej robocie zna się tak dobrze jak mało kto.

Weszliśmy do budynku, a Weber poprowadził mnie do swojego gabinetu, dosyć ciasnego, ciemnego (bo tylko z małym oknem od północnej strony) i zastawionego nie tylko księgami parafialnymi,

lecz i zwykłymi drukowanymi książkami. Weber był, jak wiedziałem, człowiekiem światłym i chętnie czytał dzieła nie tylko teologiczne. A w dzisiejszych czasach, czasach coraz bardziej popularnych maszyn drukarskich, już nawet zwykły proboszcz mógł sobie pozwolić na to, by posiadać chociaż kilka lub nawet kilkanaście własnych tomów.

– Siadaj, Mordimerze, siadaj. – Przysunął mi krzesło i zaprosił mnie gestem.

Sam wychylił się na próg i krzyknął pełnym głosem:

– Kinga! Kinga, dziewczyno, gdzieżeż się podziewasz?

Potem obrócił się w moją stronę.

– Skaranie Boże z tymi młodymi – westchnął. – Nigdy nie ma ich wtedy, kiedy są potrzebni. Powiedz, Mordimerze, czy my też za młodu byliśmy tacy? Siano w głowie?

Uśmiechnąłem się.

– Obawiam się, że ja sam, niestety, nie miałem czasu na siano w głowie – stwierdziłem. – Ale przyznam też, że staram się nie myśleć o niczym z mojej przeszłości. Ani o tym, co się w niej wydarzyło, zanim dostałem oświecenia i zapragnąłem zostać inkwizytorem.

Proboszcz chyba chciał coś odpowiedzieć, ale nagle usłyszeliśmy zbliżający się szybki tupot i do gabinetu wpadła wołana przez księdza Kinga. Dziewczyna, jak osądziłem na pierwszy rzut oka, dobiegała zapewne osiemnastu lat, miała jasną (lecz nie bladą, ale jakby rozświetloną wewnętrznym blaskiem) twarz o łagodnych rysach i ciemnobrązowe oczy o wykroju migdałów. Złote włosy wychodziły jej pasmami spod czepeczka. Była niemal tak wysoka jak ja, ale jeśli wasz unizony sługa przypomina raczej posturą solidny pień drzewa, to ona była wiotka niczym trzcina. Może nawet (a wyznałem to przed sobą niechętnie z uwagi na fakt, że dziewczyna i tak zrobiła na mnie wielkie wrażenie) zbyt wiotka, jak na moje gusta. Tak to bowiem sprawy się ułożyły, że wołałem raczej kobiety chwalące się kształtami klepsydr, a te płaskie, chuderlawe czy wątłe pozostawiałem koneserom takiego właśnie typu urody. Ale, i to

rzecz niepodlegająca dyskusji, dziewczyna była śliczna niczym młoda Madonna z obrazów Pietro Santangela.

– Jestem, już jestem – zawołała lekko zadyszana. – Czy mam coś podać księdzu dobrodziejowi i waszej łaskawości? – spytała i zerknęła na mnie ciekawie.

Oczywiście nie wiedziała, że jestem inkwizytorem, gdyż nie nosiłem służbowego stroju, a w wyborze ubioru starałem się zawsze kierować zasadą, by niczym nie odróżniać się od przeciętności. Inkwizytorzy bowiem zawsze mawiali, że świat najlepiej obserwować, samemu stojąc w cieniu i raczej innych ludzi wystawiając na zainteresowanie tłumu.

– Przynieś nam butelczynę mozelskiego, moja duszko – zdecydował proboszcz. – I powiedz Antosi, żeby przygotowała nam jakieś przekąski, zanim zasiądziemy do obiadu.

– Już pędzę. – Kinga pożegnała nas olśniewającym uśmiechem, który przyszedł jej z naturalną łatwością.

– Cóż za piękna dziewczyna – pochwaliłem szczerze, kiedy zostaliśmy sami.

– Mądra i cnotliwa. – Weber uniósł znacząco palec.

– A to ci pech! – parsknąłem.

– Nie każda służąca proboszcza jest jego kochanką – rzekł surowo i z naganą w głosie. – Wyjawię ci, że to sierotka, córka naszego tragicznie zmarłego kościelnego. Ho, ho, a to było dawno temu. – Zamyślił się na moment. – O, tak dawne dzieje... A dziewczyna wróciła właśnie z nauk w klasztorze, do którego ją wysłałem kilka lat temu. I teraz moim celem jest dobrze wydać ją za mąż, zanim się biedaczka zestarzeje. Bo wyobraź sobie, zaraz jej stuknie dziewiętnaście lat, więc najwyższy już na nią czas! – Znów uniósł znacząco palec. – A chcę ją wydać za jakiegoś porządnego, majątnego rzemieślnika albo kupca. Nie za takiego łajdaka jak ktoś tobie podobny...

– Grzeszysz pochopnością osądów. – Pogroziłem mu żartobliwie. – A przecież powinieneś wiedzieć, że w moim wypadku pod maską lodowatego cynizmu kryje się dusza wątpła i wrażliwa. A że nie

okazuję tej delikatności wszem wobec, to tylko ze strachu, żeby mnie nie poraniono.

Pokręcił głową i ostentacyjnie ziewnął.

– Jednak co do tej twojej dziewczyny – rzekłem – to przyznam chętnie, że rzeczywiście jest tak ładna, że jej uroda może zrekompensować nawet brak czy skromność posagu. Podobna piękność każdego może w sobie rozkochać.

Tym razem skinął głową.

– Powiem ci z doświadczenia jako spowiednik wielu dziewcząt, młodych kobiet oraz ich braci i ojców: być ładną, młodą dziewczyną nie jest tak łatwo, jak wielu ludziom mogłoby się wydawać – stwierdził.

Cóż, niewątpliwie miał rację. Wybitna uroda przyciągała i szlachetne, i podle natury. Wzbudzała zarówno dobre, słodkie uczucia, jak i złe, gorzkie pasje.

– Lepiej być ojcem chłopaka niż dziewczyny – ciągnął mój towarzysz. – Bo chłopak, choćby sobie szalał i łajdaczył się ile wlezie, to ludzie powiedzą, że młody był i głupi, ale jego prawo się wyszumieć. A dziewczyna? Zbyt ładnie się do kogoś uśmiechnie, nie daj Boże, chwyci kogoś za rękę, a już wszyscy zaraz obmówią ją, że kurwa, zdzira, wywłoka i ulicznica, choćby w rzeczywistości była czysta niczym sama Maria Panna.

Cóż, żadna to była nowość, że mężczyzn i kobiety inaczej traktowano zarówno z punktu widzenia prawa, jak i obyczaju. Niezależnie od tego, czy podobne oceny mieliśmy za sprawiedliwe, czy nie, po prostu należało je przyjąć i się do nich stosować. Bo gdyby Bóg chciał stworzyć ludzi równymi, to tak właśnie by zbudował świat. A skoro kobietom i mężczyznom przydzielił inne zadania, oznaczało to i świadczyło, że taka właśnie, a nie inna była Jego wola. I próba odmiany tej woli oraz negowanie Bożych zamysłów najpewniej stanowiły grzech śmiertelny.

– Tak właśnie jest. – Skinąłem głową. – Dlatego najuczciwsze i najpoczciwsze dla porządnego mężczyzny postępowanie to zadawać się z samymi kurwami, żeby zacnych dziewcząt z dobrych rodzin nie narażać przypadkiem na obmowę przez złe języki...[10]

Westchnął, spojrzął na mnie, jak lekarz spogląda na przypadek beznadziejny i wymykający się medycznemu doświadczeniu.

– Och, Mordimerze, nie dość ci już spódniczek? Mówią, że z inkwizytorów w naszym mieście to właśnie ty jesteś najbardziej chutliwy i najbardziej bezecny.

Roześmiałem się.

– Nie będę zaprzeczał, że płeć piękna zawsze robiła na mnie wielkie wrażenie. Oczywiście, jeśli jest naprawdę piękna – zastrzegłem od razu. – A jeśli kobieta do wielkiej urody doda bystry umysł oraz poczucie humoru, to wtedy można powiedzieć, że wyśmienite danie cielesnej miłości jest naprawdę smakowicie przyprawione.

– I dlatego chodzisz na kurwy? – Zmarszczył brwi.

– Zdziwiłbyś się, ile można w dobrych burdelach spotkać panienek potrafiących ładnie się znaleźć w towarzystwie i dowcipnie wysławiać – rzekłem. – Ale poza wszystkim innym uważam, że fizyczne obcowanie z kobietą jest jak posiłek. Czasem masz ochotę na wystawną kolację we własnym domu, a niekiedy na szybką przekąskę na mieście. Albo... – zmrużyłem oko – kilka przekąsek.

– A miłość duchowa? – zawołała, załamując ręce. – Przecież inkwizytorom zezwolono przyjmować święty sakrament małżeństwa. Mógłbyś mieć żonę, dzieci...

Uśmiechnąłem się i pokręciłem głową. Czyżby ksiądz proboszcz, mówiąc o mnie i do mnie, tak naprawdę wyrażał własne niespełnione pragnienia i własne niezrealizowane nadzieje? A czy silnym naturom rzeczywiście potrzebna jest rodzina? Czyż święta wiara oraz przynależność do najszlachetniejszej profesji inkwizytorów nie jest wystarczająco satysfakcjonująca, by człowiek nie musiał szukać innych więzów?

– My, inkwizytorzy, tak wiele z serca i duszy daliśmy Panu Bogu Wszechmogącemu, że niewiele w nich zostało dla ludzi i ludzkiej miłości – stwierdziłem z powagą. – Poza, rzecz jasna, rodzajem serdecznego przywiązania, z którym kłopotczemy się o zbawienie dusz naszych bliźnich – dodałem już z uśmiechem.

– A właśnie, właśnie... – przypomniał sobie. – Jeśli chodzi o zbawienie duszy, to słyszałem, że odwołaliście autodafe w niedzielę. Czemuż to?

Zanim zdążyłem odpowiedzieć, do gabinetu wróciła Kinga, niosąc na tacy kubki oraz dwie butelki wina.

– Na wszelki wypadek wzięłam dwie butelki, żeby za chwilę znowu nie biegać do piwniczki – wyjaśniła z uśmiechem. – A Antosia powiedziała, że obiad będzie, kiedy Bóg da, ani za późno, ani za wcześnie, lecz w sam raz. I żeby ksiądz proboszcz cierpliwie czekał.

Weber westchnął, po czym spojrzał na mnie.

– Ona tak tylko gada, uwinie się migiem, skoro wie, że mam gościa – powiedział. – A my co? – Klasnął lekko w dłonie. – Napijmy się na czekadełko.

Kinga zostawiła nas samych, proboszcz zajął się otwieraniem butelki, a ja wskazałem drugą flaszkę, stojącą obok.

– Mądra dziewczyna – pochwalilem.

Weber skinął głową, powąchał korek, niuchnął szyjkę butelki.

– Dajmy temu zacnemu napitkowi chwilę pooddychać – zdecydował. – A ty mi powiedz... ty mi powiedz... – Zamrugał. – O czym to ja mówiłem? Aha, co z tym niedzielnym paleniem na rynku?

– Mistrz Knoppe wyjechał, a nie chciał, żeby palenie odbyło się bez niego – odparłem. – Zresztą to nie będzie nic wyjątkowego. Ot, pochwyciliśmy dwie wiedźmy na rozgrzebywaniu świeżych grobów.

– Słyszałem, że to zwykle hieny cmentarne, nie czarownice – zauważył proboszcz ostrożnie.

– W czasie przesłuchań przyznały się do uprawiania czarów – odparłem stanowczo. – Niezbicie udowodniono, że rzucały klątwy na sąsiadów, którzy mieli nieszczęście im się narazić. Ucierały również na mączkę kości wygrzebane z ziemi cmentarnej, żeby przygotowywać diabelski chleb. Poza tym oddawały się wielu innym odrażającym rytuałom, które zostały dokładnie zapisane w protokołach przesłuchań. Zamordowały co najmniej dwoje niemowląt, a kilkoro innych dzieci doprowadziły czarami do choroby.

Weber westchnął i pokręcił głową ze smutkiem.

– Skąd w ludziach bierze się tyle zła? – zapytał zarówno sentencjonalnie, jak i retorycznie.

– A pomyśl tylko, ile więcej tego zła by było, gdyby nie inkwizytorzy – stwierdziłem, a potem ściągnąłem usta. – Chociaż słuszne są słowa Pisma mówiące, że *żniwo wielkie, a robotników mało*.

– I kiedy je w końcu spalicie?

– Mistrz Knoppe zdecydował, że postawimy stos w czasie jarmarku w sierpniu – odparłem. – Rajcy nalegali na ten termin, bo uważają, że autodafe przyciągnie do Weilburga więcej ludzi na targ.

– Pewnie tak – zgodził się Weber. – Szkoda tylko, że pewnie większość zjawi się w celu naigrywania się z ludzkiego cierpienia, a nie żeby samemu dokonać aktu skruchy za grzechy.

– Niech sobie myślą, co chcą, byleby się bali[11] – powiedziałem.

– A te nieszczęsne czarownice przynajmniej wróciły na łono naszej świętej wiary? – spytał jeszcze. – Wyznały grzechy i żałowały szczerze?

– Rzecz jasna – rzekłem. – Przed podpaleniem stosu te nawrócone wiedźmy zmówią modlitwę dziękczynną w intencji inkwizytorów, którzy pozwolili im dojrzeć ich własne nieprawości i z powrotem zaprowadzili na łono Chrystusa.

Proboszcz z zadowoleniem pokiwał głową.

– Bardzo dobrze, bardzo dobrze. Kiedy Jezus mój triumfuje, zawsze serce się raduje – wyrecytował z uśmiechem dziecięce powiedzonko.

Oczywiście, że dla czarownic sprawy ułożyły się bardzo dobrze, pomyślałem, bo dzięki głośno wyrażonemu żalowi za grzechy oraz równie głośno wyrażonej wdzięczności dla inkwizytorów nie będą całymi godzinami poddawane mękom pieczenia na wolnym ogniu, ale ubrane w nasmołowane suknie, szybciotko staną w płomieniach i zgorzeją w kilka chwil. Inkwizytorzy potrafili docenić skruchę u winnych, zwłaszcza taką, która wyrażała się publicznym przyznaniem i publicznym dziękczynieniem.

Weber napełnił kubki, lejąc wino wolno, z namaszczeniem i marszcząc nos.

– Wina nie wolno lać byle jak, jakby to była woda czy tanie piwsko – wyjaśnił, widząc mój rozbawiony wzrok. – A to mozelskie już ósmy rok leżakuje i nabiera szlachetności.

– No to sprawdźmy, jak bardzo wyszlachetniało – rzekłem.

Unieśliśmy naczynia, proboszcz pokosztował i zamlaskał, a potem wysączył drobny łyżeczek i roztarł trunek językiem po podniebieniu. Ja wypilem swoją porcję duszkiem, bo cały czas wściekle dręczyło mnie pragnienie przez tę duszną, słoneczną pogodę.

– Profan – mruknął proboszcz z naganą w głosie. – Nie przeszkadza ci, Mordimerze, że połykasz życie ze zbyt wielką łapczywością, zamiast je spokojnie smakować?

– A to co znowu za aluzje? – Zmarszczyłem brwi i pokręciłem głową.

– Czasami spowiadam również dziwki, więc zdarzyło się, że ta czy inna wspominała o tobie – wyjaśnił.

– No dobrze, Gustawie, nie drażmy na próżno tego, upewniam cię, śmiertelnie nudnego tematu. Pozwól, że wypowiadam ci się raczej, z jakim kłopotem do ciebie przychodzę.

Rozłożył ręce.

– Jestem do twoich usług. Również w zakresie prawdziwej świętej spowiedzi, do której serdecznie bym cię namawiał.

Skrzywiłem tylko usta, gdyż ludzie tacy jak inkwizytorzy nie potrzebują pośrednictwa księży, kiedy opowiadają Bogu o swych grzechach. Dla nas, którzy zostaliśmy ulokowani przez Boga najwyżej, jak tylko da się ulokować człowieka, nie wydaje się słuszne, byśmy naszym życiem dzielili się z księżmi i jeszcze pozwalali im, by nas oceniali lub zalecali nam skrucę czy pokutę.

– Czy w twoim kościele wydarzyło się coś niezwykłego w ostatnim tygodniu? – zapytałem.

– Niezwykłego? – Uśmiechnął się. – Poza tym, że z kruchty wyganiem spółkujące pary, co jest raczej zwyczajne niż nadzwyczajne, i poza tym, że jakiś pijak przewrócił się na

siedmioramienny świecznik i połamiał mi świece, to nic więcej niezwykłego nie pamiętam[12].

Skinąłem głową.

– I nie przychodzili do ciebie inni inkwizytorzy?

Wzruszył ramionami.

– Ho, ho, z miesiąc żadnego z was na oczy nie widziałem. – Przyjrzał mi się uważnie. – A dokąd zmierzają te pytania?

– Doniesiono mi, że jakaś zbrodnicza dłoń dołała trucizny do kropielnicy w twoim kościele.

Weber zmarszczył brwi, a potem pochylił się głęboko nad stołem. Knykcie jego palców zbieleły.

– Co to za dziwne pytania? Co to za sztuczki? – zapytał złym, zduszonym głosem.

– Nic przeciwko tobie! – zawołałem szczerze i szybko. – Usiłuję raczej upewnić się, że mam do czynienia z kłamliwymi oskarżeniami w stosunku do pewnego człowieka.

– Oskarżono go, że zatrzał wodę święconą? – zapytał proboszcz już spokojnie. – Upewniam cię, że jeśli nawet tak plugawa zbrodnia gdzieś się wydarzyła, to nie w moim kościele, a przynajmniej ja nic o tym nie wiem. A przecież... – Wzruszył ramionami. – Kto by miał wiedzieć, jak nie ja?

Skinąłem głową.

– Tak właśnie podejrzewałem. Więc żaden z parafian ani nie umarł, ani nie omdlał w kościele, ani nie doniesiono ci o niczym podobnym?

Skrzywił usta.

– Niestety, nie należę do złotoustych kaznodziejów, którzy potrafią w taki sposób przemawiać do wiernych, że zwłaszcza damy krzyczą i omdlewają w czasie kazania – zauważył tonem, który miał być chyba w zamyśle ironiczny, lecz nieoczekiwanie zmienił się w przygnębiony.

Pokiwałem głową.

– Powiedz mi jeszcze, z łaski swojej, bo mieszkasz tutaj tyle lat, że wiesz dużo więcej ode mnie o wszelkich ludziach i sprawach. Czy

mistrz Knoppe jest jakoś związany z aptekarzami? Z cechem? Z którymś z nich?

Książd przypatrywał mi się ironicznie przez chwilę.

– Proszę, proszę, mistrz Madderdin zbiera wiadomości o własnym towarzysz. Nieładnie, Mordimerze.

– Gdyby Knoppe był w mieście, wtedy jemu samemu zadałbym to pytanie – odparłem chłodnym tonem. – Ale wyjechał do Koblencji. Tak więc żadna tajemnica, że o to pytam. Możesz mu powtórzyć, kiedy wróci.

– Co zamierzasz mi ofiarować za odpowiedź? – zapytał z uśmiechem.

Westchnąłem, bo można się było spodziewać podobnego handlu.

– A co byś chciał? – zapytałem.

– Mała przysługa w przyszłości?

– Niech będzie – zgodziłem się. – Ale tylko wtedy, jeśli twoja informacja przyda mi się na coś.

– Rzecz jasna. – Skinął głową. – Więc słuchaj teraz uważnie: ukochana siostrzenica mistrza Knoppego jest żoną aptekarza Wolfa. Knoppe był nawet ojcem chrzestnym ich dziecka.

Pokręciłem głową.

– Powariowali – rzekłem.

– Wyjaśnisz mi, co się dzieje?

– W tajemnicy?

Przyłożył dłoń do piersi.

– Jak na spowiedzi.

Zwięźle, ale jednocześnie wyczerpująco, tak jak mam to w zwyczaju i co jest właściwością umysłów ostrych niczym klinga miecza, opisałem Weberowi całą znaną mi historię aptekarza Bauma. Wysłuchał jej uważnie, po czym pokręcił głową.

– Nieładnie – skwitował.

– Pewnie, że nieładnie – zgodziłem się bez trudu. – Nie lubię, kiedy powaga Świętego Officjum jest angażowana do knucia małych, podłych intryg prowadzonych w prywatnym interesie.

Byłem naprawdę niezadowolony, a może nawet lepiej powiedzieć: rozzłoszczony, i nie zamierzałem tego ukrywać.

– Więc co zamierzasz zrobić?

– Daj Boże, nic. Czy lepiej mówiąc: prawie nic – odparłem. – Baumowi poradzę, żeby siedział jak mysz pod miotłą i nie skarżył się ani, Boże broń, nie szukał rekompensaty, bo tylko może wszystkich rozeźlić swoją bezczelnością. A Knoppemu, kiedy wróci, uprzejmie przypomnę, że Inkwizytorium nie służy do zastraszania ludzi, którzy chcieliby konkurować z jego powinowatym. I mam nadzieję, że na tym sprawa się zakończy.

Pokiwał głową ze zrozumieniem i wlał nam wino do kubków.

– Zauważyłeś, jak ludzie okropnie ostatnio kaszlą? Z dnia na dzień jakby gorzej – zmienił temat.

– Trudno nie zauważyć. – Wzruszyłem ramionami. – Wczoraj nawet nasz kat był już ledwo przytomny w czasie interwencji, a wieczorem dowiedziałem się, że umarł..

– Mój Boże. – Weber przeżegnał się.

– A sam wiesz, jakie to było tęgie chłopisko – dokończyłem.

– Oby z tego jakiegoś nieszczęścia nie było. – Proboszcz pokręcił głową.

– Pokaszlą, pokaszlą i się wykaszlą. – Machnąłem ręką.

– Późną jesienią czy w zimie to jeszcze rozumiem – ciągnął mój gospodarz zamyślony. – Pół kościoła mi kaszle, kicha, słuwa, charczy, krztusi się i dławi... Ale w lecie? Powiem ci, Mordimerze, że nie przypominam sobie czegoś takiego. Jadłem wczoraj kolację z Grauerem, wiesz, z tym lekarzem. Powiedział, że choroby przychodzą i odchodzą i że bym się niepokoił raczej zdrowiem dusz naszych obywateli, a nie stanem ich ciał. Bo z ciałami to oni, lekarze, dadzą sobie świetnie radę, jeśli byłoby to konieczne.

– Lekarze – prychnąłem. – Zawsze sądzą, że pozjadali wszystkie rozumy, a kiedy przychodzi co do czego, wtedy na wszystkie schorzenia radzą ci albo lewatywę, albo upuszczenie krwi pijawkami.

– Jak cesarzowi – dodał Weber.

Nie miał na myśli oczywiście obecnie panującego, lecz jego pradziada, świętej pamięci cesarza Ludwika, któremu medycy zapisali ścisłą dietę, lewatywy i puszczanie krwi. Po tygodniu takiej

kuracji cesarz, który i tak był słabego zdrowia, wyzionął ducha (podobno z cichą, spokojną rezygnacją). Jednak ta śmierć w niczym nie zmieniła przekonania lekarzy, że lewatywa i upuszczanie krwi są panaceum na wszystkie schorzenia i warto je stosować niezależnie od rodzaju choroby. Również pacjenci nadal im w tej mierze ufali.

Zostałem na wczesny obiad u proboszcza i jakoś tak przeciągnął nam się on do wieczora przy całkiem miłej konwersacji oraz przy winie donoszonym przez piękną Kingę.

– Jezus Maria! – powiedziała wreszcie dziewczyna. – To już siódma butelka. Gdzie ksiądz i wy, mistrzu, wszystko to w sobie mieścicie? – Pokręciła głową nie tyle zgorszona, ile zdziwiona.

– Wody tyle toby i koń nie wypił – zauważyłem. – Ale z winem jakoś jest całkiem inaczej.

– Wychowywała się w klasztorze, to i skąd ma znać światowe życie – wytłumaczył ją Weber, kiedy już wyszła.

– Różnie z tym bywa w klasztorach – zauważyłem ostrożnie.

Proboszcz uniósł dłoń.

– Myślisz, że jestem ślepy i głuchy? Że nie słyszę i nie wiem, jak niektóre klasztory zamieniono w burdele, gdzie chętne, młode zakonnice za sutą opłatą zadowolają miejscową szlachtę? – burknął. – Sądzisz, że nie wiem, że zdarzają się przeorysze, które zbijają majątek na nierządzie, a w ich klasztorach trwają nieustające orgie i hulanki?

– Obaj wiemy, że tak się zdarza – odparłem. – Jak jednak rozumiem, zanim wysłałeś dziewczynę, sprawdziłeś, dokąd trafia?

Zaśmiał się i wzniósł dłoń.

– O mój drogi, nikt nie sprawdza pilniej, co robi jego podopieczna, niż dbający ojciec, a ja się uważam niemal za ojca tego osieroconego dziecka!

– Owa poczwarka dawno już zmieniła się w pięknego motyla – stwierdziłem. – Uważaj więc, Gustawie, aby jakiś zły, obcy człowiek nie porwał jej i nie przyszpilił w swojej kolekcji.

Westchnął i zerknął, czy mamy pełne kubki, przekonał się, że nie, więc znowu nam dołał.

– Co zrobić – rzekł smutno. – Dzieci zawsze odpływają niczym statki z rodzinnego portu. Jedyne, co możemy zrobić, to tak je wyekwipować, żeby już bez naszej opieki obroniły się przed sztormami i piratami. No i musimy zaufać ich instynktowi i rozumowi...

Uniosłem naczynie.

– Wypijmy za to, Gustawie – rzekłem. – Niech się dobrze wiedzie tej twojej Kindze i niech nigdy nie zapomni, że właśnie tobie zawdzięcza szczęśny los.

Uśmiechnął się szeroko i aż przetarł oczy rękawem, tak wzruszyły go moje słowa. Rzeczywiście, tego byłem pewien, zależało mu na dziewczynie, ale niewątpliwie też spora ilość trunku uczyniła jego serce nieco bardziej czułym niż zwykle.

Tak czy inaczej, trzeba przyznać, że przyjemnie spędziłem czas z proboszczem Gustawem Weberem, a również upewniłem się, że oskarżenia przeciwko aptekarzowi były wyssane z palca. Całe szczęście zresztą, bo gdyby były prawdziwe, to po pierwsze, musiałbym zająć się sprawą trucicielstwa, a wcale nie miałem na to ochoty. Po drugie, szczerze mówiąc, całkiem polubiłem Bauma i zwyczajnie, po ludzku byłoby mi przykro, że muszę go doprowadzić do zguby. Oraz poczułbym się zawiedziony faktem, że źle oceniłem tego człowieka i od razu nie ujrzałem płonącego w nim zła. Oczywiście nie zawahałbym się nawet chwili, by posłać go na stos czy do kotła z wrzącym olejem (jak zwyczajowo karano trucicieli w naszym błogosławionym Cesarstwie), niemniej byłem szczerze rad, iż robić tego nie muszę.



Rozdział czwarty

Doktor Puffmeister i doktor Krumm



Kolejne dni nie przyniosły niczego nowego. Zazwyczaj dręczyło mnie poranne pragnienie, wywołane najpewniej nieustającym upałem. A w taką spiekotę i duchotę jak lipcowy kataklizm słonecznego żaru w Weilburgu trudno było znaleźć sobie odpowiednie miejsce. Oczywiście można by zamknąć się w piwnicy, ale ileż człowiek wytrzyma zamknięty w loszku, zwłaszcza kiedy obowiązki nie pozostawiają czasu na lenistwo? Miejscem, w którym można znaleźć schronienie przed upałem, były też kościoły, niestety jednak wszystkie cieszyły się ostatnimi dniami popularnością, która nieszczęśliwie mi się podobała. Otóż przyciągały one ogromną liczbę ludzi chorych na kaszlicę. I właśnie ci kaszlacze, parskacze i plwacze upodobali sobie świątynie i w nich przesiadywali, na zmianę kaszłąc, parskając i plwając, a jednocześnie dyskutując z podobnymi do siebie o tym, jak owo kaszlanie, parskanie i plwanie jest uciążliwe i jak bardzo chcieliby się już go pozbyć. Co więcej, na każdego, kto nie kaszłał, nie parskał i nie plwał, spoglądali wzrokiem zazdrosnym oraz podejrzliwym. Z kolei ci, którzy byli całkiem zdrowi, zbierali się

w swoim własnym kącie i widać było, że aż ręce ich świerzbiały, żeby chorym wbić z powrotem do gardeł kaszlanie, parskanie i plwanie. Prędzej czy później moim zdaniem pewne było, iż wyniknie z tego jakaś zwada, jakiś tumult, który skończy się nie tylko kilkoma siniakami czy kilkoma rozbitymi głowami, ale przelaną krwią. Bo w dzisiejszych czasach nawet świątynie nie wydawały się zapewniać należytej ochrony, a widać było na pierwszy rzut oka, że złość ludzka nie będzie się liczyć z żadnymi świętościami...

No cóż, na razie leżałem na łóżku przy zamkniętym oknie, zatrzaśniętych okiennicach i zaciągniętych zasłonach, bo chyba było to lepsze niż wpuszczanie do pokoju żaru buchającego od strony podwórza.

– Mistrzu Madderdin, jacyś do was! – usłyszałem, jak Helcia woła z dołu.

Nasza gospodyni, starowinka, zdawała się zgarbiona wiekiem i wysuszona niczym poskręcane i na wpół obumarłe drzewo, ale tak naprawdę miała siłę kaprała szkolącego rekrutów i głos równie donośny oraz przenikliwy.

Zwlokłem się z łóżka, otworzyłem drzwi i postąpiłem kilka kroków do szczytu schodów.

– Jacyś? Niby jacy? – zawołałem.

– A ja wiem jacy? – odkrzyknęła z urazą. – Mówią, że doktorowie. Zejdźcie, bo nie będę gardła zdzierać.

Doktorowie. Nie miałem pojęcia, o jakich to doktorów może chodzić ani czego ode mnie chcą. No cóż, trzeba było w takim razie przekonać się samemu. Zszedłem na dół i zajrzałem do westybulu. Rzeczywiście czekali tam goście. Lekarzy tych było dwóch. Jeden przypominał dorodnego i zadowolonego miejskiego gołębia o błyszczących piórach, który zjadł właśnie suty obiadek z ziarna wysypanego na rynku, drugi natomiast wyglądał niczym wychudzona czarna czapla, posępna i zgorzkniała, gdyż niemogąca wygrzebać z błota żadnego przysmaku. Oczywiście większe zaufanie wzbudzał ten pierwszy, gdyż medyk powinien wyglądać zdrowo, a prezentować się schludnie, by zaskarbić sobie zaufanie pacjentów.

Bo cóż to za lekarz, który jest tłusty niczym beczka i ledwo chodzi na opuchniętych nogach, lub taki, którego szarą, ziemistą cerę pokrywają placki liszajów? Nic nam po takich doktorach, co nie umieją sami zadbać o siebie! Sądząc jednak po strojach i ozdobach obu przybyłych gości, jak najbardziej potrafili oni zatroszczyć się o stan swoich sakiewek i nie mieli zamiaru kontentować się byle jakim ubiorem czy byle jaką biżuterią. Znałem obu tych jegomości, chociaż tylko z widzenia. Dla Inkwizytorium pracował bowiem inny medyk, dawny chirurg wojskowy, z którego byliśmy wielce zadowoleni. Natomiast klientela tych dwóch składała się zazwyczaj z ludzi, którym wystarczało puszczanie krwi i robienie lewatyw.

– Dostojny mistrzu inkwizytorze – zaczął ten przypominający gołębia – pozwólcie, że przedstawię wam zarówno siebie samego, jak i mojego uczonego kolegę.

Ten przypominający czapłę przy słowach „przedstawię” ukłonił się mnie, a przy słowach „uczonego kolegę” ukłonił się swojemu towarzyszowi.

– Otóż ja jestem – kontynuował pierwszy medyk – Joachim Puffmeister i mam zaszczyt być wiceprezydentem naszego szacownego Weilburskiego Stowarzyszenia Medycznego, a mój szanowny kolega to Gregor Krumm, wielce utytułowany doktor Uniwersytetu w Koblencji, który zaszczycił nasze miasto, pragnąc w nim praktykować.

Uprzejmy doktor Krumm znowu się ukłonił najpierw mnie, potem Puffmeisterowi.

– Bardzo jestem rad z wizyty tak szacownych gości – powiedziałem. – Pozwólcie, panowie, do refektarza. W taką spiekotę przyda się łyk zimnego napitku, nieprawdaż?

– O tak – odparł Puffmeister z prawdziwą wdzięcznością w głosie i otarł pot z czoła.

Usadawiłem obu gości przy stole, a Helcię wysłałem do piwniczki po zimny podpiwek, gdyż w taki upał gasił on pragnienie wprost wyśmienicie.

– Mieliśmy zjawić się u was, mistrzu, we trzech – zaczął Puffmeister, kiedy już się rozsiadł wygodnie. – Ale ku naszej

rozpaczy, trwodze oraz nieutulonemu żalowi nasz towarzysz i prezydent naszego stowarzyszenia, zacny i szanowny Ruprecht Stolz, dokonał żywota z...

– Niech mu ziemia lekką będzie, a światłość wiekuista niechaj mu świeci – wtrącił uroczystym tonem Krumm.

– O tak. – Puffmeister przyłożył dłoń do piersi i skinął poważnie głową, po czym dokończył uprzednio zaczęte zdanie: – ...dokonał żywota z powodu tej diablej epidemii, która szaleje w naszym mieście.

– To smutne – rzekłem.

– Ano umarł przez ten kaszel – rzekł lekarz ponuro. – Kaszłał, biedak, kaszłał, mało płuc nie wykaszłał, pluł krwią, aż wreszcie umarł – dokończył jeszcze bardziej posępnym tonem.

Jego towarzysz prychnął pogardliwie.

– Nie umarł od żadnego kaszlu, tylko wóz na ulicy go rozjechał – stwierdził lekceważąco, a potem odwrócił się do mnie. – Nie uwierzycie, mistrzu, jak dzisiaj niektórzy pędzą po ulicach. Jeszcze rozumiem: wielcy panowie. Zginąć pod kołami wozu jaśnie pana albo pod kopytami jego konia to może nawet nie jest to taka podła śmierć. – Zastanawiał się przez chwilę i nawet pokiwał głową sam do siebie. – Ale zginąć pod kołami wozu byle chama, furmana gnającego, jakby go diabły goniły, czy pod kopytami jego brudnej chabety? Ależ to przykrość!

– A ja wam mówię, że to było od kaszlu! – zaprotestował Puffmeister, również patrząc na mnie.

– Pomiedzy śmiercią pod kołami wozu a śmiercią z powodu kaszlu istnieje wedle mojego pojęcia łatwo dająca się rozpoznać różnica – zauważyłem. – Jak się więc stało, że spieracie się właśnie z tego powodu?

– Koń go potrącił, a wtedy doktor Stolz wpadł pod koła rozpędzonego wozu, zmiażdżyło mu głowę, ot i koniec historii – stwierdził Krumm nieznośnym sprzeciwu tonem.

Jego towarzysz spiorunował go wzrokiem.

– Tym biednym człowiekiem, a naszym przyjacielem i towarzyszem wstrząsały ataki kaszlu, paroksyzmy tak silne, że cały

aż się zataczał. Wreszcie zarzuciło go na środek ulicy i wpadł prosto pod koła rozpędzonego wozu – stwierdził twardo. – Jasne więc jest, że zginął z powodu kaszlu, bo gdyby nie ten kaszel, to szedłby sobie spokojnie skrajem ulicy, a nie jej środkiem!

– Widzę w tym pewien sens – zgodziłem się ku niezadowoleniu Krumma. – Musimy bowiem brać pod uwagę nie tyle sam finał wydarzenia, ile przyczyny, które do niego doprowadziły. Bo gdyby, moi zacni doktorowie, waszego towarzysza pod wóz pchnęła nienawistna ręka wroga, to przecież nie woźnicę, konia czy pojazd byśmy oskarżali, lecz tegoż właśnie wroga.

– A jednak można było kaszleć przy ścianie domu! – zaprotestował Krumm. – A wtedy wyparskałby się bezpiecznie i żadnego wypadku by nie było. Mało to ludzi tak właśnie postępuje?

– Z tą opinią również nie mogę się nie zgodzić – odparłem tym razem ku niezadowoleniu Puffmeistera. – I sam mniemam, że w wypadku waszego przyjaciela zawiniły jego nieostrożność, brak czujności oraz nieumiejętność przewidywania konsekwencji własnego postępowania.

Puffmeister zatrzepotał rękoma z oburzeniem.

– W zaawansowanym stadium choroby paroksyzmy są tak silne, że człowiek nimi dotknięty nie jest w stanie zapanować nad własnym postępowaniem! – zawołał. – Czyż choremu ogarniętemu drgawkami w tańcu świętego Wita będziemy wypominali, że miota się niczym ryba w potrzasku? Albo będziemy go winić, że odgryzł sobie język? W tym wypadku sprawy mają się podobnie!

Pokiwałem głową i westchnąłem, gdyż zrozumiałem, że ani tego sporu nie rozsądzę, ani sam nawet dokładnie nie wiem, co o nim myśleć.

– No dobrze, zostawmy sprawę kaszlu, wozu i śmierci doktora Ruprechta Stolza – zaproponowałem. – O wiele przecież szczęśliwszego od nas, gdyż zapewne już wyśpiewującego „Hosanna” w niebieskich chórach Pana. Przejdźmy raczej do tego, w czym wam mogę usłużyć, szanowni doktorowie.

Do refektarza weszła z sapaniem Helcia i postawiła przed nami kubki oraz dzbanek zimnego podpiwka.

– Jeść będą? – spytała, patrząc jednak nie na medyków, tylko na mnie.

– W taką spiekotę nie sędzę, żeby ktoś miał apetyt – westchnąłem.

– Ale podaj nam, z łaski swojej, morelowe ciasto. Spróbujecie panowie, czyż nie?

– Morelowe? Zawsze z miłą chęcią – stwierdził Puffmeister.

Potem przechylił do ust kubek z podpiwką.

– O niebiański smaku – rozczulił się.

Tymczasem Krumm w milczeniu, chociaż łapczywie wychleptał swoją porcję i zaraz dolał sobie do pełna.

– Pytacie, w czym możecie nam usłużyć, mistrzu Madderdin, więc w odpowiedzi na tak uprzejme pytanie spieszę wam opowiedzieć o naszym kłopotcie. I nie służby, rzecz jasna, będziemy od was wymagali, lecz pokornie was poprosimy o przysługę, za którą odwdzięczymy się stukrotnie – gładko wyrecytował Puffmeister.

– Zamieniam się w takim razie w słuch – rzekłem.

Lekarz sapnął dwa razy, pokiwał głową i ściągnął usta na dłuższą chwilę.

– Mielicie okazję poznać, mistrzu Madderdin, jak nam doniesiono, pewnego człowieka, nowego w mieście aptekarza, Jonatana Bauma – powiedział wreszcie.

– Zgadza się. Tak właśnie było – odparłem.

Nie wyjaśniałem, w jakich okolicznościach się poznaliśmy, gdyż domyślałem się, a w zasadzie byłem pewien, że lekarze świetnie historię tej znajomości znają. Jak zapewne zna ją również pół Weilburga. A znałyby ją pewnie i cały Weilburg, gdyby nie fakt, że duża część mieszkańców zajmowała się już głównie kaszlicą i nie obchodziły jej inne sprawy. Nie tyle zresztą zajmowali się chorowaniem na kaszlicę, ile ciągłym o niej rozprawianiem.

– Mistrzu Madderdin, powiem szczerze w imieniu wszystkich weilburskich lekarzy, że z tego, co słyszymy, z tego, co widzimy, i z tego, co przewidujemy, ów Baum sprawi nam wszystkim bardzo wiele kłopotów.

No, no, a więc mój były więzień oraz winiarniany kompan miał przeciwko sobie nie tylko własny cech, ale również medyków. I to

na tyle zdeterminowanych, że przyszli pożalić się inkwizytorom. Zresztą, jak sądziłem, wcale nie tylko o pożalenie się tutaj chodziło. Ale oczywiście czego dokładnie chcą, przekonam się za chwilę.

– Jednak rada miasta przyznała mu licencję na prowadzenie apteki – powiedziałem.

– I nie wiadomo po co! – Puffmeister załamał ręce. – Wystarczy nam tych aptek i aptekarzy tyle, co mamy teraz w naszym malutkim Weilburgu. Co my jesteśmy? Koblencja? Engelstadt? Hez-hezron? I tak skaranie boskie z tymi aptekarzami, a teraz jeszcze jednego nam dali na utrapienie...

– Bogatego w dodatku. – Krumm wystawił przed siebie chudy, węzłasty palec. – O, jaką to kamienicę sobie kupił, ladaco, tę z lwami... Ludzi w oczy kłuje majątkiem.

– Bogacić się rzecz miła Panu – powiedziałem. – Albowiem Pismo mówi, że *spichlerze człowieka sprawiedliwego zapełnione będą obficie wszelkimi dobrami*.

– A niech tam sobie ma, co chce, i niech się tym udławi – stwierdził wielkodusznie Puffmeister i machnął ręką. – Nie w tym rzecz, lecz w tym, że po pierwsze, mógłby się bogacić w innym mieście, a po drugie, dlaczego ma odbierać zarobek nam, niebożątkom, co i tak ledwo koniec z końcem wiążemy?

– A jaka odpowiedzialność na nas spoczywa – wtrącił Krumm grobowym głosem.

No cóż, patrząc na aksamity, w jakie byli odziani, oraz złote pierścienie na ich palcach, sądziłem, że to wiązanie końca z końcem nie przychodzi im znowu tak trudno. A co do odpowiedzialności, to nasi lekarze najczęściej sądzili, że jeśli pacjent wyzdrowiał, to jest to ich zasługa, a jeśli zaś umarł, to w żadnym razie nie jest to ich wina, lecz oznacza jedynie, że Bóg tak chciał. A z wyrokami boskimi nie ma przecież sensu dyskutować, a nawet takowa dyskusja mogłaby zostać uznana za grzech.

– W czym konkretnie zawinił wam Baum i dlaczego przychodzicie z kłopotem do mnie, a nie do rady miasta? – Zawahałem się na moment. – Ach tak, u rajców żeście już byli... – domyśliłem się.

– Byliśmy, byliśmy – mruknął Puffmeister. – Wysłuchano nas, nie powiem... i oznajmiono, że rajcy zajmą się naszą skargą.

– Czyli? – Zmarszczyłem brwi.

– Mistrzu Madderdin, nie oszukujmy się, miną całe tygodnie, zanim rada po wysłuchaniu stron i przeprowadzeniu śledztwa coś ogłosi.

– Albo i nie ogłosi – wtrącił Krumm.

– Po naszej myśli.

– Albo nie po naszej – znów odezwał się Krumm.

– A my potrzebujemy rozwiązań natychmiast, bo jeśli mogę dokonać medycznego porównania, to spowodowany chorobą ból toczy nas teraz i lekarstwo ten ból uśmierzające potrzebne nam jest zaraz, a podane za kilka miesięcy przyda nam się niczym umarłemu kadzidło...

Rzeczywiście wiedziałem, że rady miejskie, nie tylko zresztą w Weilburgu, starały się często nie spieszyć z ferowaniem wyroków, mając w wielu wypadkach nadzieję, iż sprawa rozwiąże się sama, zanim trzeba będzie podjąć decyzję.

– Co zarzucacie Baumowi? – spytałem.

– Zaczął sprzedawać syrop – objaśnił Puffmeister – o którym to kłamliwie głosi, że leczy kaszlicę!

– Baum mówił, że ten syrop leczy chorobę? – Spojrzałem uważnie na medyka. – Osobiście słyszeliście to z jego ust?

Puffmeister zawahał się, stropił i zmieszał.

– Niby on sam tak nie mówił – wyjaśnił niechętnie. – Ale jego naganiacze tak wołają na ulicach.

– I nikt nie chce teraz przychodzić do nas po poradę. Ani kupować lekarstw, które sami przygotowaliśmy! – załamał ręce Krumm.

– A te wasze lekarstwa leczą? – spytałem.

– Każde lekarstwo leczy – odparł z powagą Krumm. – Jak nie w samej rzeczy to, co ma leczyć, to na pewno akuratnie coś innego.

– Słusznie – odparłem. – Ale czy leczą kaszlicę?

Puffmeister podrapał się po policzku i łypnął niespokojnie. Najwyraźniej nie bardzo uśmiechało mu się powiedzieć prawdę, a trochę bał się skłamać.

– Zbyt mało jeszcze wiemy o skutkach długotrwałej kuracji, żebyśmy mogli udzielić wyczerpującej odpowiedzi – wybrnął wreszcie gładko.

– Czyli nie leczą – stwierdziłem i uniosłem dłoń, kiedy medyk chciał coś odpowiedzieć. – A więc jesteście kwita, bo syrop Bauma też samej choroby nie leczy, ale jak mi doniesiono, przynajmniej łagodzi kaszel i zmniejsza ból.

– A teraz w dodatku zaczął sprzedawać napój w swojej aptece – załamał ręce Puffmeister.

– Napój – powtórzyłem i od razu przypomniałem sobie rozmowę z aptekarzem.

– Tak jakby apteka to była jakaś winiarnia. Byle traktiernia – warknął Krumm.

– Nazwał ją Pyszna Woda Bauma i w ten upał ludzie ustawiają się w długich kolejkach do jego apteki. To niegodne, aby w miejscu, gdzie powinno się sprzedawać lekarstwa zalecane przez wybitnych medyków, sprzedawano byle napitek!

– W dodatku ta jego woda jest bardzo smaczna! – zawołał z oburzeniem Krumm.

– I naprawdę gasi pragnienie – westchnął z żalem Puffmeister, wlewając sobie do kubka kolejną porcję podpiwka.

– Chociaż powiem wam też, że niedługo potem znowu chętnie by się ją wypilo, taki ona ma dziwny smak. – Krumm pokręcił głową.

– Może Baum rzucił na nią jakiś urok – mruknął Puffmeister i zmarszczył brwi.

– Dajmy pokój czarom oraz urokom – nakazałem.

Do refektarza weszła Helcia, niosąc tacę z morelowym ciastem i talerze.

– Mój Boże, co za zapach – rozczulił się Puffmeister. – Mamunia moja, świeć Panie nad jej duszą, też takie ciasto nam piekła. Trzeba było dzieciaków pilnować, żeby zaraz wszystkiego nie zeżarły...

Nawet posępny Krumm uśmiechnął się, widząc ciasto aż gęste od soczystych, słonecznych moreli.

– Moja rodzicielka piekła zazwyczaj ciasto wiśniowe – przypomniał sobie.

– Tylko zostawią coś, a nie wszystko by zjedli – ostrzegła Helcia, wychodząc.

– Nie krępujcie się, panowie – powiedziałem. – I jedzcie na zdrowie. Będzie trzeba, to Helcia upiecze następne.

Puffmeister i Krumm odkroili sobie po solidnym kawałku i włożyli na talerze. A i ja, chociaż naprawdę w te upalne dni prawie w ogóle nie miałem apetytu, też nie zdołałem się oprzeć urokowi morelowego zapachu.

– Przecież nam nie chodzi, żeby tego Bauma pognębić – rzekł Puffmeister z pełnymi ustami. – Ale skoro sam dziobie smakołyki, to niech i nam da troszkę poskubać.

– Co byście od niego chcieli?

– Niech nam odsprzeda na procent recepturę tej swojej wody – rzekł Krumm.

– To idźcie do niego i dogada... – zacząłem. – No tak, oczywiście. Byliście i odmówił – sprostowałem sam siebie.

– Ano byliśmy – westchnął Puffmeister. – Ale tylko nam się w nos zaśmiał. I powiedział, że jak jesteśmy tacy mądrzy, to żebyśmy sami po smaku rozpoznali, jaką recepturę zastosował. – Tym razem medyk wrzał już oburzeniem.

– I co? Nie udało się? – zapytałem ze współczuciem.

– Nie żebyśmy nie próbowali – burknął Krumm.

– Kiepska sprawa – stwierdziłem.

– Ano kiepska – zgodził się ze mną Puffmeister. – I tak właśnie, mistrzu Madderdin, wyczerpawszy wszystkie możliwości polubownego załatwienia sprawy, przychodzimy do was. Ale zważcie, że nikt nam nie zarzuci, że nie próbowaliśmy dojść do ugody po dobremu. – Przyłożył dłoń do piersi. – Ale skoro po dobremu się nie dało, to może będzie się dało inaczej?

No tak, wreszcie po dwóch kubkach podpiwka na głowę oraz połowie tacy morelowego ciasta docieraliśmy do tego, w jakim celu medycy przybyli właśnie do mnie. Musieli być naprawdę zdesperowani, skoro poważyli się na taki krok. No cóż, żądza pieniądza zaślepia, a że czasy były szalone, to i ludzie byli bardziej skłonni do szalonych czynów.

– Co macie na myśli? – zapytałem.

– Podobno Baum zatrul wodę w kropielnicy i... – zaczął Krumm.

Zdecydowanym ruchem uniosłem rękę.

– Nie – rzekłem twardo. – Nie będziemy w budynku Świętego Oficjum powtarzać kalumnii, oszczerstw oraz fałszywych świadectw. Sam, osobiście sprawdziłem owe doniesienia i okazały się one kłamliwe. – Potoczyłem wzrokiem po obu medykach. – Jak sądzę, wymyślone przez zazdrosną konkurencję – dodałem.

– To nie my! – krzyknął Puffmeister, ale nie był nawet tak bardzo oburzony, ile przede wszystkim przestraszony.

Skinąłem głową.

– Oczywiście, że nie wy – rzekłem. – Absolutnie i w żadnym razie nie podejrzewam was, szanowni doktorowie, ponieważ mam na myśli kogoś zupełnie innego. Ale nie życzylibym sobie, żebyście stawali w jednym szeregu z tym oszczercą... – zawiesiłem głos. – Na pewno wyjdzie to wszystkim na zdrowie – dodałem.

Puffmeister i Krumm zerknęli jeden na drugiego.

– Rzecz jasna, rzecz jasna – rzekł ten pierwszy. – Bardzo się cieszymy, że nasza święta wiara nie doznała uszczerbku i że owe jakże szeroko, głośno oraz chętnie powtarzane oskarżenia to tylko wytwór nienawistnych umysłów.

– Żli ludzie, źli ludzie... – zauważył smutnym tonem Krumm.

– Jeszcze kawałek ciasta? – zapytałem.

– O, z prawdziwą rozkoszą – odparł Puffmeister, a jego towarzysz gorliwie pokiwał głową.

Nałożyłem swoim gościom po naprawdę solidnym kawałku, a i sam zdecydowałem, że skuszę się na jeszcze jedną porcję.

– Niebo w gębie – westchnął Puffmeister. – Myślicie, że jakbym wysłał kucharkę, to ta wasza Helcia dałaby jej przepis?

– Mogę zapytać – rzekłem.

– Wielce wam będę zobowiązany. Wielce – odparł i przyłożył dłoń do serca.

Potem przełknął, co miał w ustach, popił napojem z kubka i odetchnął głęboko.

– Mistrzu Madderdin, nie będziemy już nadużywać waszej cierpliwości i serdecznie oraz uprzejmie wam dziękujemy, że zechcieliście nas przyjąć...

– I za poczęstunek – wtrącił Krumm.

– Tak jest, i za poczęstunek również – zgodził się z nim Puffmeister. – Pozwólcie tylko, że ośmielę się...

Urwał, sięgnął do pasa, po czym wyciągnął piękną, dużą sakiewkę z czerwonej skóry obszytej złotem. Ciężko zabręczczała, kiedy położył ją na blacie.

– Mistrzu Madderdin, nasza konfraternia jednogłośnie postanowiła, że jesteśmy w stanie w tym trudnym czasie wspomóc Święte Officjum i ciężko pracujących w nim inkwizytorów znaczącą sumą – oznajmił uroczystym tonem. – I będziemy wielce zobowiązani, jeśli zechcecie wyświadczyć nam tę łaskę i ją przyjąć.

– Wielce – zapewnił Krumm.

– To bardzo wielkoduszny gest – przyznałem. – Pozwólcie jednak, że zapytam, jakiej przysługi spodziewa się wasze szacowne stowarzyszenie w zamian za tę oto darowiznę? – Czubkiem palca wskazującego dotknąłem sakiewki.

– Drobiazg za ledwie, jeśli wolno prosić... – Puffmeister, zbliżając kciuk do palca wskazującego, pokazał, o jak nieznaczej przysłudze jest mowa.

– Prosić wolno zawsze – odparłem. – Cóż to za drobiazg?

– Bądźcie tak łaskawi – Puffmeister złożył dłonie jak do modlitwy – i aresztujcie choć na parę dni tego Bauma. Nie, nie żeby mu jakąś krzywdę czynić, wcale nie... – Zamachał rękami.

– Nigdy! – dodał Krumm z oburzeniem.

– ...ale tylko tak, żeby skruszał troszkę i zechciał z nami rozmawiać – dokończył Puffmeister przymilnym głosem.

Milczałem i przypatrywałem mu się uważnie. Uciekł ze wzrokiem, a na czoło wystąpiły mu krople potu.

– Tylko kilka nocek w celi – powiedział już cicho. – Przecież to zupełnie nic takiego.

Nie odzywałem się jeszcze chwilę, a cisza przy stole aż boleśnie gęstniała z każdą sekundą. Krumm i Puffmeister kręcili się, jakby

pod siedzenia podłożono im nieprzyjemnie kłające szczypawki.

– Szanowni doktorowie, obawiam się, że pomyliliście Święte Officjum z burdelem – rzekłem lodowatym tonem, a potem wstałem gwałtownie, z hurgotem krzesła, medycy zaś omal nie spadli z siedzisk, tak byli przerażeni. – Bo tylko tam możecie kupić sobie kurwę za mieszek złota, aby opłacona przez was robiła, co zechcecie! – dokończyłem już głosem odpowiednio zjadliwym i wściekłym.

Niedbałym ruchem zagarnąłem sakiewkę.

– Wyoście się, panowie – nakazałem. – Dopóki się nie rozgniewałem. A za datek na rzecz Inkwizytorium pięknie wam dziękuję – dodałem już łagodniej. – Wasze starania zostaną zapamiętane.

Obaj byli bladzi, obaj byli skonfundowani i obaj aż się przepychali w drzwiach, by tylko szybciej opuścić refektarz. Nie odprowadzałem ich do wyjścia, aby zobaczyli i zrozumieli, jak bardzo jestem rozeźlony, ale już z za progu słyszałem cichy, płaczliwy głos Puffmeistera.

– A mówiłem, że to zły pomysł, mówiłem. Tyle dukatów, tyle dukatów – dodał jeszcze bardziej żałośnie.

– No i wyszło nam na to, że zjedliśmy najdroższe ciasto morelowe na świecie – dodał z gorzkim szyderstwem Krumm.

Uśmiechnąłem się do własnych myśli, po chwili zastanowienia zdecydowałem się, by nałożyć na talerz jeszcze kawałek morelowego placka. Ostatni kawałek. Do refektarza weszła Helcia, potoczyła wzrokiem po stole i pokręciła głową.

– No i wszystko zeżarli – powiedziała z wyrzutem, a potem obróciła spojrzenie na mnie i jej wzrok złagodniał.

– Smakuje? – spytała.

– W niebie lepszych nie pieką – pochwaliłem ze szczerym żarem.

Uśmiechnęła się.

– A wy co na tych dochtorów tak żeście krzyczeli, że mało tacy nie upuściłam?

– Ech, szkoda gadać. – Machnąłem ręką. – Helcia wie, jacy ludzie są denerwujący, jak knowają przeciw bliźnim...

– Ano wiem – westchnęła ze smutkiem. – Ale żeście ich pogonili, co?

– Pogoniłem – przyznałem. – A właśnie, jeden z tych doktorów pytał, czy Helcia dałaby jego kucharce przepis na morelowe ciasto, bo bardzo im smakowało.

Gospodyni wzruszyła ramionami i spojrzała na mnie z wyrzutem.

– A ja wam na głupią wyglądam?

Uniosłem ręce obronnym gestem.

– Niech mi Helcia wybaczy, ja tylko zapytałem.

– Na przyszłość niech nie pyta o takie rzeczy. – Gospodyni pokręciła głową z politowaniem i cały czas spoglądała na mnie z karcącym wyrzutem. – No jak można było nawet pomyśleć, że ja mój przepis dam byle komu...

– Dobrze, dobrze, nie mówmy już na ten temat – zawołałem szybko.

Przełknąłem ostatni kęs i pospiesznie wyniosłem się z refektarza. Cóż, musiałem przyznać, że kto zadaje głupie pytania, ten sam sobie jest winien.



Rozdział piąty

Człowiek bez twarzy i imienia



Nie należy bać się ludzi, którzy się skradają, gdyż sam fakt, że dostrzegliśmy ich wysiłki, świadczy nie najlepiej o ich zdolnościach. Bać się należy tych, co cichym chodem, niemal niedostrzegalnie przesuając się z cienia do cienia, podchodzą zniecacka z taką łatwością, jakby niczego innego nie robili od początku życia. Zresztą, jeśli chodzi o ludzi, o których teraz myślałem, to rzeczywiście często tak właśnie było. Skąd podobne przemyślenia? Ano wszystko zaczęło się, kiedy siedziałem w kościele na samym skraju ławy w ostatnim rzędzie i rozkoszowałem się nie tylko bogobojną atmosferą świętego miejsca, lecz również panującym w środku iście urzekającym chłodem, który tak wyróżniał kościół od nieznośnej spiekoty ulic. Na zewnątrz bowiem powietrze wydawało się otulać kamienice i ludzi niczym zeszywniały, rozpalony całun, niczym cielsko jakiegoś leniwego, rozgrzanego potwora, który przy każdym oddechu sięgał gorącymi mackami w głąb naszych piersi, a przy każdym kroku i ruchu ścisnął nas coraz mocniej i coraz bardziej drapieżnie, wysysając nie tylko siły, ale nawet samą chęć do życia. Łatwo wywnioskować z podobnych przemyśleń, że wasz uniżony i pokorny sługa nie przepada i nie przepadał za upałami. Gdybyż

jeszcze te temperatury można było przeczekać na brzegu chłodnego, czystego jeziora, z kubkiem zimnego wina w dłoni! Gdybyż można je było przeczekać w wysokich górach, gdzie orzeźwiający chłód schodzący z ośnieżonych (nawet latem!) szczytów tak pięknie komponuje się z krystaliczną przejrzystością powietrza. Ale nie, nie ma tak dobrze w fachu inkwizytora. My niezależnie od tego, czy słońce, czy mróz, czy choroba, czy zdrowie, o kubeczku wody i kawałku suchego chleba musimy doprowadzać grzeszników na drogę wytyczoną przez naszego Pana. I czasem nasze słabe ciało buntuje się chociaż na chwilę przeciw żelaznej woli. I wtedy właśnie dobrze usiąść w samotności w świętym przybytku i pogрузić się w kontemplacji dzieł Stwórcy oraz rozmyślać nad sposobami, jakimi możemy Mu najlepiej służyć.

Bogu dziękować, akurat teraz i tutaj nie było we wnętrzu irytująco kaszlących mieszkańców Weilburga. Może dlatego, że godzina była wczesna, a może dlatego, że kazałem kościelnemu zamknąć na klucz główne drzwi, by rżenie, charkot oraz plwanie nie rozpraszały mojej kontemplacji i nie zakłócały pobożnej zadumy.

Oczywiście kto miałby wielką chęć wejść do kościoła, ten i tak by do niego wszedł, czy to bocznymi drzwiczkami, czy też od strony zakrystii. Człowiek, który się do mnie zbliżał, najwyraźniej miał tę właśnie wielką chęć. Domyślałem się zresztą, iż nie było to pobożne pragnienie modlitewnej rozmowy z Panem Bogiem, lecz mniej pobożna ochota konwersacji z Jego unizonym i pokornym sługą. Byłem ciekaw tej konwersacji i chociaż wielu by się jej mogło obawiać, to przecież nie było na świecie człowieka tak groźnego, by zestrachal uczciwego inkwizytora.

– Witajcie, mistrzu Madderdin – odezwał się mężczyzna z szacunkiem w głosie, zatrzymując się w na tyle bezpiecznej odległości, bym nie mógł uznać, że naruszył moją prywatność.

Spoglądając w jego oczy, byłem pewien, że z takim samym szacunkiem, powagą i spokojem potrafiłby poderżnąć mi gardło. Oczywiście zakładając, że dałby radę zbliżyć się do mnie na odległość noża i byłby na tyle szybki, by tego noża użyć. A inkwizytorzy, chociaż szkoleni są do pokornej modlitwy

i rozpoznawania dzięki niej śladów demonicznej prezencji, to przecież nie wypadli sroce spod ogona i najczęściej potrafią się skutecznie obronić przed atakiem. Co prawda jak wspominaliśmy w refektarzu podczas niedawnej rozmowy z moimi towarzyszami, minęły czasy, kiedy równe zastępy inkwizytorów w stalowych zbrojach i na bojowych rumakach szarżowały na bitewnych polach. Teraz nasza służba nie była już tak widowiskowa, lecz nie dlatego, byśmy uciekali przed podobnym obowiązkiem, ale dlatego, że świat i wiara nie wymagały od nas rycerskiej konfrontacji ze złem na polach bitew. Obecnie naszym polem bitwy były serca, dusze i umysły zwykłych ludzi. To tam właśnie wytaczaliśmy wielką wojnę Szatanowi i jego sługom.

Jednak patrząc na mężczyznę, który stał naprzeciwko mnie, mogło się wydawać, że nie ma on ani serca, ani duszy. Był doskonale nijaki. Bezbarwne włosy, wypłowiałe brwi, pospolita twarz pozbawiona wyrazu i cech charakterystycznych, beznamiętne wejrzenie oczu, co do których trudno było nawet zapamiętać, jakiego są koloru. Ubrany był w odzienie tak pospolite, że gdyby zwyczajny człowiek na chwilę przymknął powieki, to nie mógłby sobie przypomnieć, czy w tym ubiorze znajdowało się cokolwiek wyróżniającego. Ja mogłem stwierdzić z całą pewnością: nie, nie znajdowało się. Byłem pewien, że mężczyzna ten ma właściwość taką, iż jeśli usiądzie przy jakimś stole, to za chwilę wszyscy obecni zapomną, że w ogóle istnieje. Ba, wyobrażałem sobie, że gdyby stał nieruchomo przy ścianie, to wzięto by go za element tapiserii, a gdyby położył się na biesiadnym stole, to odkładano by na niego sztucce oraz naczynia...

Krótko mówiąc, mój gość był wysłannikiem tongów, tajnej przestępczej organizacji, która pręźnie i na ogół zyskownie działała na terenie naszego błogosławionego Cesarstwa. Zazwyczaj tongi i inkwizytorzy starają się nie wchodzić sobie w paradę. Złoczyńcy trzymają się z daleka od herezji i mrocznych sztuk, a my nie interesujemy się ich działaniem i obyczajami, problem zostawiając władzy miejskiej, biskupiej czy książęcej, której może nie odpowiadać, iż ma konkurenta do grabienia poddanych. Zresztą

mówiąc szczerze, tongi na ogół były rozsądne. Nakładały co prawda daniny na niemal wszystkich, ale nie przesadzały z wysokością żądań, słusznie uznając, że owieczki należy strzyc, nie zarzynać. Może jeszcze pamiętano, jak wiele lat temu w Hez-hezronie doprowadzony do rozpaczycy cech rzeźników urządził tongom jatki zarówno na ulicach, jak i w siedzibach oraz kryjówkach złoczyńców. Skąd cech wiedział, gdzie uderzyć, by najbardziej zabolalo? No cóż, miejscowy oddział Inkwizytorium również wtedy uznał, że czas przewietrzyć miasto, i dyskretnie wspomógł zacnych mieszczan. Tongi na długo zapamiętały tę nauczke, zwłaszcza że rzeźnicy poćwiartowali wszystkich ich przywódców, nie kłopotząc się wcześniejszym ich uśmiercaniem lub ogłuszaniem. Ci, którzy widzieli drgające, pokrwawione i wyjące kadłubki dawnych władców miasta, mówili, iż był to widok trudny do zapomnienia. Od tego czasu tongi oferowały swe usługi na zdecydowanie bardziej przystępnych warunkach. Ale oczywiście nie tylko ściąganiem podatków na ochronę, jak dowcipnie nazywano owe okupy, zajmowały się tongi. Pilnowały hazardu, prostytucji, udzielały pożyczek. Przy tym wszystkim cieszyły się wśród biedaków całkiem dobrą opinią, bo ubogim akurat niczego nie zabierały, a wręcz przeciwnie: potrafiły choćby otwierać dla nich darmowe jadłodajnie albo wspomagać datkami. Dlatego też do każdej, najpodlejszej i najbrudniejszej roboty zawsze miały cały wianuszek chętnych, a z kolei władzom miast z trudem przychodziło namówić kogokolwiek, by na tongi donosił. No więc takie to właśnie były sprawy z tongami. A teraz jeden z członków tego łajdackiego stowarzyszenia chciał ze mną rozmawiać...

– Na wieki wieków, amen – odparłem z powagą, a on pochylił głowę i teraz dopiero rzekł:

– Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus.

– Zechcecie usiąść obok mnie? – zaproponowałem. – Kontempluję właśnie jeden z fragmentów Pisma Świętego i pomyślałem, że może mielibyście ochotę przyłączyć się do rozmyślań oraz dyskusji.

Przysiadł w ławie przede mną lekko jak kot, tak jak i ja na samym jej skraju.

– Jakież to fragment? – spytał.

– *Oto zwróć swe oblicze przeciw wam na wasze nieszczęście, by wyniszczyć wszystkich ludzi. Padną od miecza, od głodu i wyginą od małego do wielkiego, staną się przedmiotem przekleństwa, zgrozy, złorzeczenia i urągowiska* – odrzekłem.

– Księga Jeremiasza. – Skinął głową. – Jeśli o niej mowa, to dźwięczą mi w uszach słowa: *Nie zdoła umknąć najzwinniejszy ani zbiec najsilniejszy.*

A więc proszę bardzo, tongi wysłały do mnie dobrze edukowanego posła. To miło z ich strony, iż nie musiałem zadawać się z byle opryszkiem, potrafiącym z trudem wydukać własne imię, a to i tak tylko wtedy, kiedy przypomniano mu pierwszą sylabę. Milczeliśmy obaj przez chwilę i wreszcie on zaczął:

– Jak się zapewne domyślacie, mistrzu, zostałem wysłany do was przez pewne zacne stowarzyszenie, zrzeszające obywateli głęboko zatroskanych stanem naszego miasta i w pełni oddanych służbie jemu i jego mieszkańcom.

Taaak... nawet dowcipne to było. Oczywiście w rzeczywistości jedynym, czemu służyły tongi, były same tongi. Ale wiedziałem, że ich członkowie lubią niekiedy stroić się w piórka bezinteresownych dobroczyńców. Czasami wydawało mi się nawet, że niektórzy z nich zaczynają w to wierzyć. Ale nie miałem z tą konfraternią złoczyńców tak wiele do czynienia (i całe szczęście!), aby być pewnym tej właśnie oceny.

– Muszę podzielić się z wami wielce smutną nowiną, mistrzu Madderdin – kontynuował, tym razem wyraźnie przygnębionym głosem.

Kiedy wysłannik tongów mówił o wielce smutnej nowinie, nie brzmiało to zachęcająco.

– Zanim zaczniecie opowiadać, wyjawcie mi, z łaski swojej, czemu właśnie ja zostałem zaszczycony podobnym zainteresowaniem ze strony waszego zacnego stowarzyszenia? – zapytałem.

Znowu skinął głową, tym razem jednak tak, jakby dziękował mi za zadane pytanie, które uznał za wyjątkowo trafne oraz pomocne.

– Wydaje mi się, że to właśnie wy jesteście teraz zwierzchnikiem miejskiego oddziału Świętego Officjum, czyż nie? – Przypatrywał mi się nieruchomo. – Zważywszy na nieobecność waszych przełożonych...

Niestety, tak właśnie sprawy wyglądały. Można się było oczywiście zastanawiać nad pewnymi prawnymi niuansami i kolejnością starszeństwa, ale ja sam, bynajmniej nie pragnąc tego wątpliwego i krótkotrwałego przywileju, zdawałem sobie sprawę, iż niestety, trudno będzie mi się od niego wymigać.

– To jedynie chwilowe zamieszanie. Moi przełożeni niedługo wrócą – stwierdziłem stanowczo.

– Nie, nie wrócą – odparł. – I o tym muszę właśnie z wami pomówić.

To zabrzmiało już nie tylko intrygująco, lecz wręcz groźnie. Dlaczego moi towarzysze mieli nie wrócić do miasta?

– Zamieniam się w takim razie w słuch – powiedziałem grzecznie.

– Nasze miasto zostanie zamknięte, mistrzu Madderdin – oznajmił tak cicho, że gdyby ktoś nawet podsłuchiwał nas z sąsiedniej ławy, to jego uszu doszedłby zaledwie niewyraźny szmer. – Zamknięte ze strachu przed rozprzestrzenianiem się epidemii kaszlicy. Zostanie wydany zakaz przekraczania murów miejskich, którego złamanie najprawdopodobniej będzie karane szubienicą...

Spoglądałem na niego w zadziwieniu. Nie pytałem oczywiście, skąd ma podobne informacje, bo po pierwsze, na pewno by mi tego nie wyjawiał, a po drugie, tak naprawdę wcale nie chciałem znać szczegółów.

– Przecież to tylko kaszel – stwierdziłem wreszcie.

– Za dużo ludzi zaczęło chorować i umierać na ten kaszel – odparł. – I ktoś się bardzo przestraszył, żeby zaraza nie rozprzestrzeniła się na całe Cesarstwo.

Milczałem przez chwilę.

– Równie dobrze można próbować dym z ogniska zamknąć do pudełka – odparłem, a potem zmrużyłem oczy. – Ale przecież nie o to chodzi, prawda? Chodzi o to, że ktoś bardzo nie lubi naszego miasta... – domyśliłem się.

Milczał przez chwilę.

– I my zastanawiamy się nad różnymi przyczynami, jakie mogły spowodować podjęcie decyzji tak surowej i tak jednocześnie niespodziewanej – przyznał.

– To książę biskup wyda ten edykt, czyż nie? – zapytałem.

Wysłannik tongów ledwo dostrzegalnie na moment przymknął powieki.

– Trzy lata temu spór Jego Ekscelencji z radą miejską Weilburga dotyczący ceł oraz praw sprzedaży soli oparł się aż o dwór cesarski – przypomniałem sobie. – A biskup wcale nie uzyskał tego, co chciał, pomimo wielkich wysiłków.

Mój rozmówca lekko się uśmiechnął.

– Przebieg naszej rozmowy upewnia mnie w mniemaniu, że dobrze się stało, że to wy, mistrzu Madderdin, nikt inny, będziecie dowodzić inkwizytorami w tak trudnym czasie dla całego miasta – stwierdził bardzo uprzejmym tonem.

Oczywiście pragnął, by jego słowa połechtaly moją próżność, zapewne nie wiedział jednak, że należę do tych inkwizytorów, którzy nie potrzebują poklasku ze strony pospólstwa, gdyż jedyne, co jest im konieczne jak woda i powietrze, to świadomość, iż wiernie oraz niezachwianie służą sprawie Boga. Miałem co prawda wiele powodów, by czuć się wyróżnionym, dzięki bystremu rozumowi, świetnej edukacji, zdolności znakomitego oceniania spraw i podejmowania słusznych decyzji oraz dzięki niezłomnemu charakterowi. Woląłem jednakowoż zachowywać skromną pokorę i pokorną skromność, a świadomość własnych przymiotów zachowywać dla siebie samego. Lepsze to było od unoszenia się na brudnych skrzydłach pychy, które jak człowiek człowiekiem, a świat światem nie prowadziły przedstawicieli ludu Bożego do nieba, lecz zazwyczaj strącały ich w dzikie odmęty potępienia.

– Rozumiem, że z zarażonego miasta nie chcą wypuszczać ludzi, żeby nie roznieśli epidemii po kraju – powiedziałem. – Ale dlaczego chcą też zabronić ich wpuszczania?

– Jak to dlaczego? – ostentacyjnie zdziwił się wysłannik tongów. – Przecież wiadomo, że dla ich dobra.

O tak, pomyślałem, nie ma nic groźniejszego, kiedy władza zaczyna robić coś zdecydowanego i niespodziewanego, tłumacząc, że to tylko i wyłącznie działanie dla dobra obywateli.

– Inkwizytorzy chętnie, jak mniemam, zrezygnują z owej niechcianej opieki i wrócą do miasta, żeby pełnić w nim służbę – odparłem. – Dlatego ani na swoim, ani na waszym miejscu nie przyzwyczajałbym się do myśli, że jestem przełożonym Świętego Officjum w Weilburgu. Dzień, dwa i przestanę nim być.

– Zakaz to zakaz – odparł mój rozmówca. – Obowiązywać będzie również inkwizytorów. Przynajmniej do chwili, aż postarają się o stosowne zezwolenia i glejty, co może zająć sporo czasu. Przygotujcie się więc, że zdecydowanie dłużej będziecie sprawować dowództwo, niż teraz to sobie wyobrażacie.

W głosie wysłannika tongów wybrzmiało wielkie zdecydowanie i pewność siebie. No cóż, w końcu to on informował mnie, a nie ja jego, więc zrozumiałe, że wiedział więcej. Ale czy słusznie oceniał sytuację? Czy inkwizytorzy naprawdę dadzą się trzymać za murami, wiedząc, że epidemia została może nie wymyślona (bo rozbrzmiewający na ulicach kaszel i coraz częstszy widok zwłok upewniały nas, że jest ona jak najbardziej prawdziwa), ale na pewno jest wykorzystywana przez biskupa?

– To nie może długo potrwać – stwierdziłem, myśląc już nie tylko o własnym przewodzeniu Świętemu Officjum, lecz o zamknięciu miasta.

– Nie powinno – sprostował moje słowa. – Naszym zdaniem jednak wszystko zależy od determinacji osoby, która ową blokadą chce doświadczyć Weilburg.

Tak, to miało sens. Nie zachowałem w głowie dokładnego rozstrzygnięcia sporu pomiędzy miastem a biskupem, za to pamiętałem dobrze, że po werdykcie sądu cesarskiego burmistrz wyprawił radosną fetę. Pamiętałem też doskonale, że wyobrażające biskupa prześmiewcze kukły obnoszono przed ratuszem, obrzucano je błotem (cóż, łaskawie przyjmijmy, że to było błoto) oraz śpiewano brzydkie piosenki o Jego Ekscelencji. Miałem teraz pewność, że biskup również nie zapomniał o owej zabawnej uroczystości.

– W zamkniętym mieście pełnym chorych, złych i przestraszonych ludzi może się wiele wydarzyć – dodał wysłannik tongów. – I chciałbym, abyśmy w tych wydarzeniach, jeśli nastąpią, byli sojusznikami zmierzającymi do utrzymania porządku ku zadowoleniu mieszkańców.

Bardzo gładko przemawiał ten poseł. A skoro jego przełożeni zadali sobie trud, by wysłać go do mnie, to oznaczało, że obawiali się niespodziewanych wydarzeń po ogłoszeniu ludowi podobnej decyzji. Oczywiście zamknięcie miasta nie będzie oznaczało, że zniknie z niego straż burmistrzowska czy straże cechowe. Weilburg po prostu zostanie odcięty od świata, ale zarówno ci, którzy pilnują porządku, jak i ci zawiadujący wymiarem sprawiedliwości będą działać bez przeszkód. Pytanie tylko brzmiało: na jak długo biskup będzie chciał otoczyć mury miejskie kordonem i wprowadzić kwarantannę?[13] Na pewno na tyle długo, by kupcy zaczęli gniewać się i martwić z powodu utraconych dochodów. Ale czy również na tyle długo, by mieszkańcy zaczęli odczuwać głód oraz inne niewygody? Nie sądziłem, by sprawy zaszły aż tak daleko, zastanawiałem się również, czy Jego Ekscelencja ośmieliłby się zastosować aż tak drastyczne środki nacisku. Czy dysponowaliśmy jakimiś znaczącymi zapasami żywności? Przecież nie byliśmy przygraniczną fortem przygotowaną na długie oblężenie! I dysponującą wielkimi rezerwami prowiantu. Byliśmy zwykłym miastem leżącym w pobliżu szlaków handlowych, miastem, do którego wpływały barki z towarami i wozy pełne wszelakich dóbr.

– Czy uznalibyście za niegrzeczność, mistrzu Madderdin, gdybym zapytał, nad jakim problemem się zamyśliliście?

– Zastanawiam się, w jakim stopniu wypełnione są miejskie spichlerze – odparłem.

Znowu skinął głową.

– Jestem ogromnie rad, że mogę odpowiedzieć na wasze jakże celne pytanie – powiedział z satysfakcją w głosie. – Chociaż odpowiedź, niestety, brzmi: w niewielkim.

Wstał, znowu szybko i lekko jak kot na polowaniu.

– Mam nadzieję, że nasza dzisiejsza rozmowa jest początkiem wielkiej przyjaźni – powiedział.

Cóż, prędzej zaprzyjaźniłbym się z wściekłym szczurem w dokach niż z jednym z tych opryszków. Prędzej wściekłego szczura miziałbym czule po futerku i ocierał mu troskliwie pianę z wąsów, niż wszedł w serdeczną komitywę z członkami tego łajdackiego bractwa. Ale oczywiście mogłem ich wykorzystać, zresztą tak samo, jak oni z całą pewnością pragnęli wykorzystać mnie. A nie ma lepszego porozumienia między dwoma negocjatorami, niż kiedy obaj wiedzą, że jeden spróbuje oszukać drugiego.

– Jestem pewien – odparłem z ogromną szczerością w głosie. – Kastor i Polluks mogliby brać z nas przykład.

Mogłem powiedzieć: Romulus i Remus, lecz uznałem, że ten dobrze wyedukowany człowiek uznałby to za grubą niezręczność. Bo stawiając siebie w roli Remusa, w oczywisty sposób zgłaszałbym brak zaufania, a widząc siebie w roli Romulusa, obwieszczałbym, iż skorzystam z pierwszej nadarzającej się okazji, by ich wyeliminować. Dlatego Kastor i Polluks byli znacznie zręczniejszym przywołaniem.

Moje słowa rozbawiły go tak bardzo, że aż drgnął mu kącik ust. Potem wysłannik tongów skłonił się grzecznie i odszedł w stronę wyjścia, sunąc przy ścianie kościoła niczym chybotliwy cień jednego z posągów. Byłem pewien, że nie myśli nawet o tym, by pozostać niezauważonym, lecz zachowanie to jest w jego wypadku całkowicie instynktowne. No cóż, był, jak już wspominałem, niebezpiecznym człowiekiem. Lecz dla inkwizytorów, którzy na co dzień mierzą się z demonami, ludzie nie stanowią znaczącego niebezpieczeństwa. Zresztą, jeśli nawet któryś z nas polegnie z ich ręki, to bez żalu za utraconym życiem, lecz ze smutkiem, że nie może dłużej być pożytecznym narzędziem Pańskim. To bardzo wygodna filozofia, mili moi, gdyż dzięki niej obcy jest nam strach wobec zagrożeń, a ostrożność zachowujemy nie z lęku, lecz by przedłużyć czas naszej użyteczności.

Sprawy potoczyły się tak, że w trzy dni później miałem okazję znowu spotkać tego samego wysłannika tongów i znowu miało to

miejsce w kościele, znowu prawie pustym, w którym tylko stary kościelny, jęcząc i szurając butami, sprzątał podłogę, a jakaś babinka pokazywała mu coś pod nogami i jazgotliwym, uprzykrzającym życie tonem mówiła: „O tu, o tu jeszcze jest plama”.

– *Jarzmo dla wołów źle dopasowane – to żona niegodziwa. Kto ją sobie bierze, jakby uchwycił garścią skorpiona* – wyrecytował przybysz smutnym tonem.

– *Szczęśliwy mąż, który ma dobrą żonę, liczba dni jego będzie podwójna. Dobra żona radować będzie męża, który osiągnie pełnię wieku w pokoju* – odparłem również słowami Pisma.

– Nawet w złym stadle i z podłą żoną istnieje jednak nadzieja, że Bóg przetnie nić jej życia w na tyle odpowiednim czasie, żeby mąż mógł jeszcze zaznać wiele przyjemności z innymi, lepszymi kobietami – stwierdził mój rozmówca.

– W tym wypadku na to już, niestety, nie wygląda – odparłem, spoglądając na pochylone plecy starca.

– Ano nie – przyznał mi rację.

Milczeliśmy chwilę, ja – bo nie miałem nic do powiedzenia, a on najwyraźniej uznawał, że milcząc, wyda się bardziej tajemniczy, a zdanie, które za chwilę padnie z jego ust, uznam za bardziej interesujące.

– Czy wiecie, mistrzu Madderdin, czego stowarzyszenie, które mam zaszczyt reprezentować, nienawidzi najbardziej na świecie? – zapytał, przerywając wreszcie ciszę.

– Chaosu – odparłem.

Skinął głową.

– Tak właśnie jest – odrzekł z powagą. – Tolerujemy chaos, kiedy jest daleko od nas, za granicami, a my możemy z niego korzystać. Ale staje się utrapieniem, kiedy podchodzi pod próg naszego własnego domu.

W pełni się z nim zgadzałem, bo chociaż mówi się, że żelazo wykuwa się w ogniu, to w naszym świecie ten ogień powinien palić się spokojnie i kontrolowanie, a nie buchać niesfornymi płomieniami wszędzie wokół, parząc i spopielając niekoniecznie tych, co trzeba, kiedy trzeba i w takiej kolejności, w jakiej trzeba.

– Wszyscy w Weilburgu jesteście jak dobrze ułożona mozaika – ciągnął spokojnie. – My znamy was, wy znacie nas. Niczym zgodna rodzina.

Pomyślałem, że jeszcze chwila, a rozszłocha mi się ze wzruszenia na ramieniu. Zdecydowałem się uniknąć podobnej niezręczności.

– Kto? – rzuciłem szybko.

Moje pytanie najwyraźniej go zaskoczyło i zbiło z tropu, gdyż odezwał się dopiero po chwili milczenia.

– Wybaczcie, mistrzu Madderdin, lecz gdybyście mogli sformułować nieco precyzyjniej wasze pytanie.

– Kto zjawi się w naszym mieście, siejąc chaos i wprowadzając bałagan do rodzinnego domu? Bo jak rozumiem, wasza opowieść zmierzała właśnie w tym kierunku.

– Słusznie odgadliście – przyznał mi rację, a ja nie prostowałem tych słów, bo jaki sens byłby mu mówić, iż niczego nie musiałem odgadywać, ale po prostu czytałem w nim niczym w otwartej księdze. – Dowiedzieliśmy się, że księżę biskup wysłała do miasta komisję mającą nadzorować zabezpieczenia przed rozprzestrzenianiem się epidemii.

Skrzywiłem się.

– To niefortunne i będzie nas wszystkich kosztowało trochę nerwów i zdrowia, ale nie widzę w tym wielkiego zagrożenia dla naszych wspólnych interesów. – Słowo „wspólnych” udało mi się wymówić nawet bez cienia ironii.

– Niewątpliwie tak właśnie by było – przyznał mi rację. – Gdyby nie fakt, że jak nam doniesiono, na czele komisji stanie nowo mianowany archidiakon Umberto Cassi, który przybywa prosto z Rzymu. Jest bardzo młody i bardzo zapalczywy.

Wzruszyłem ramionami.

– Ostudzimy więc jego zapalczywość i sprawimy, że przybędzie mu tyle zmarszczek i siwych włosów, że będzie mógł uchodzić za starszego niż w rzeczywistości.

– Jest on synem naszego księcia biskupa – dodał wysłannik tongów. – A z tego, co nam wiadomo, w Watykanie nadano mu

uprawnienia śledcze względem ścigania spisków heretyków, demonologów oraz czarownic.

Znowu wzruszyłem ramionami.

– Może sobie w buty wsadzić te papieskie dokumenty – stwierdziłem lekceważąco. – Święte Officjum nie uznaje przyznawania podobnych prerogatyw ludziom niebędącym inkwizytorami.

– Ja o tym wszystkim wiem, mistrzu Madderdin – zgodził się mój rozmówca ciepłym głosem. – I nie mnie będziecie musieli przekonywać, lecz archidiakona oraz jego świętą złożoną z biskupich żołnierzy. Liczną świętę – dodał.

Milczałem przez chwilę.

– Oczywiście macie rację – rzekłem. – W sytuacji blokady miasta znaczenie i siła tej komisji zdecydowanie rosną, a nasze szanse stawienia jej oporu maleją. Cieszę się, że powiadomiliście mnie o tej wysoce niezręcznej sytuacji, chociaż mam nadzieję, że wszelkie ambicje archidiakona, jeśli nawet takie ma, zostaną powstrzymane i utemperowane. A kiedy sytuacja wróci do normy, kiedy do Weilburga wrócą moi przełożeni, wtedy Cassi niewiele będzie miał do gadania.

– Szkopuł w tym, że nie wiemy, kiedy wrócą, prawda? – łagodnym tonem spytał wysłannik tongów. – Obawiamy się więc, że na razie z całym tym biskupim kłopotem będziemy musieli radzić sobie bez pomocy z zewnątrz.

Skinąłem po chwili głową.

– Być może macie rację – odparłem. – Na szczęście mamy po swojej stronie mocarnego sojusznika, na którego pomoc zawsze możemy liczyć.

– Bóg pomaga tym, którzy sami sobie potrafią pomóc – odparł natychmiast, wiedząc, o jakim sojuszniku myślę.

– *Bóg sprzeciwia się pysznym, ale daje łaskę pokornym* – odparłem. – A że jak dobrze wiecie, nie ma wśród ludu Bożego plemienia pokorniejszego od inkwizytorów, święcie ufam, że i tym razem możemy na naszego Pana liczyć w biedzie.

Potem już rozstaliśmy się, gdyż nie było nic więcej do powiedzenia, a ja pogrążyłem się w posępnych rozmyślaniach. Oto trafiając na służbę do spokojnego, zamożnego Weilburga, wiedziałem, że mogę nie mieć wielu okazji, by wykazać się męstwem w walce z heretykami, wiedźmami, demonologami czy samymi demonami. Wiedziałem o tym i chociaż nie sprawiało mi to satysfakcji, potrafiłem się z podobnym losem pogodzić. Ale wcale a wcale nie podobało mi się, że znajdę się pomiędzy wojującymi stronnictwami politycznymi, które co gorsza, nie ścierały się o politykę lub idee, ale o finanse. A walka o pieniądze ma to do siebie, że wyzwała największy gniew zarówno w tym, co owe pieniądze chce zabrać, jak i w tym, co ich nie chce oddać. Zrozumiałe więc, że nie zachwycała mnie myśl, iż nie tylko ja sam stanę na drodze tych dwóch fal gniewu, ale w dodatku stanę jako inkwizytor, jako przełożony inkwizytorów z Weilburga, a więc człowiek, na którego w razie czego spadnie odpowiedzialność za wszelkie katastrofy, klęski, a nawet tylko kłopoty.

Oczywiście możecie mi wierzyć, mili moi, że już po pierwszej rozmowie z wysłannikiem tongów starałem się zawiadomić przełożonych, iż sytuacja wymaga ich najpilniejszego powrotu. Problem jednak tkwił w tym, że wysłani przeze mnie posłańcy na razie nie wrócili z żadną wiadomością, czy to dobrą, czy złą. Miałem tylko nadzieję, że wszystko się wyjaśni, zanim zostanie ogłoszona kwarantanna i zanim archidiakon przybędzie do miasta. Ale to miało się przecież zdarzyć już niedługo, w najbliższych dniach. Byłem tylko prostym inkwizytorem, nie tylko niewikłanym w intrygi, ale nieznanym się na nich i niechcącym się na nich znać. Owszem, nie tak dawno temu proponowano mi objęcie dowództwa nad jednym z dużych oddziałów Świętego Oficjum, ale od kiedy odmówiłem tego zaszczytu (choć dowiedziałem się później, iż mógł to wcale nie być zaszczyt, lecz pułapka), to moja kariera nie tylko stanęła w miejscu, ale wręcz zatoneła po szyję w błocie. Na domiar złego przyplątała się do mnie groźna choroba, która ponad rok trzymała mnie w nieświadomości na szpitalnym łóżu. I tak Bogu dziękować, że jedyne, co mi po tej tajemniczej chorobie zostało, to

poplątane sny, czasami straszne i groźne, czasami dziwnie słodkie... Mgła, jasnowłosa kobieta o pięknym uśmiechu i kremowej skórze, wielki, przyjazny pies, a w tle tego wszystkiego krew, czarna magia, jakaś posępna, groźna starucha, płonące demony, nieżywi ludzie kroczący po leśnych ostępach, martwe dzieci powieszane na drzewie – te obrazy przewijały się przez moje sny, nie wiadomo skąd przybyłe, bo przecież nie z realnego świata, gdzie nic podobnego nigdy mnie nie spotkało...[14]

Wstając z ławy, postanowiłem sobie, że natychmiast wyślę kolejnych posłańców, zarówno do Limburga, jak i do Koblencji. Zwłaszcza dziwił mnie brak odpowiedzi na to pierwsze pismo, bo Limburg był blisko i posłaniec dawno powinien już wrócić. Chyba że nie znalazł tam mojego towarzysza, dowiedział się, dokąd ten zmierza dalej, i ruszył jego śladem. Owszem, mogło być i tak.

Uprzedzając wypadki, mili moi, powiem od razu, że zamierzonych posłańców rzeczywiście zdążyłem wysłać, ale nie miałem już żadnych szans, aby przywitać z powrotem czy to ich samych, czy wcześniej wysłanych ich towarzyszy. Następnego dnia w południe ogłoszono bowiem kwarantannę i zamknięcie bram miejskich, a wszystkim, niezależnie od urodzenia, wieku, płci i profesji, zakazano Weilburg zarówno opuszczać, jak i do niego przybywać. Zakazano pod karą śmierci, którą egzekwować mieli żołnierze należący do księcia biskupa. I już pierwszego dnia wszyscy, którzy pochopnie zdecydowali się kwarantannę zlekceważyć, mogli na własnej skórze odczuć, że owo egzekwowanie idzie biskupim oddziałom szybko oraz sprawnie.



Rozdział szósty

Rajcy miejscy



Stosunki pomiędzy radami miejskimi a oddziałami Świętego Officjum bywają różne, w zależności, o jakim mówimy mieście. Czasem stosunki te są wręcz kordialne, niekiedy nacechowane obojętną ostrożnością, a zdarzają się i wrogie, pełne intryg oraz znane z donosów, które jedni ślą na drugich.

Oczywiście im miasto było znaczniejsze, tym bogatsi i lepiej ustosunkowani żyli w nim mieszczanie. A jeśli byli bogaci i ustosunkowani, to mieli też wpływy wśród możnych tego świata. Jednak warto pamiętać o jednym: w chwili poważnego oskarżenia o herezję, czary lub demoniczne knowania, przestawało się liczyć bogactwo i wpływy. Bo ileż znaleźliśmy przypadków wielkich i bogatych mieszczan, a nawet burmistrzów, którzy za sprzyjanie wrogom naszej świętej wiary skwierczeli w płomieniach ku ucieście miejskiej gawiedzi i ku poważnej radości inkwizytorskich serc.

Nasze miasto było raczej spokojne, życie w nim toczyło się leniwie, a przesłuchania i stosy, tak się składało, iż głównie dotyczyły miejskiego plebsu, a nie patrycjuszy. Co świadczyło o tym, że najwyraźniej serca biedaków były mocniej naznaczone piętnem Szatana niż serca miejskich notabli. Taka sytuacja wszystkim odpowiadała, a władze miejskie wspierały inkwizytorów na wiele

sposobów, umożliwiając nam w ten sposób wygodniejsze życie, które nie byłoby zapewne możliwe z niezbyt hojnej inkwizytorskiej pensji.

Kiedy poproszono mnie, bym odwiedził burmistrza, nie byłem szczególnie zadowolony, gdyż tak jak już wcześniej wyznałem przedstawicielowi tongów, pełnienie funkcji, nawet przez chwilę, najważniejszego starszeństwem inkwizytora wcale a wcale mi nie odpowiadało. Ale takiemu zaproszeniu nie wypadało odmówić, zwłaszcza po niepokojących doniesieniach od tongów, przewidujących, że Weilburg nie tylko będzie przeżywać kłopoty związane z panoszącą się na ulicach chorobą, ale najpewniej stanie się miejscem bitwy o pieniądze oraz wpływy. Wiadome też było, nawet dla takiego laika w sprawach handlowych jak ja, że zarządzona przez biskupa blokada potężnie uderzy w dochody i interesy wielu naszych współobywateli. Rozumiałem więc, że mieszczenie na ten trudny czas chcą zgromadzić pod swoimi sztandarami jak najwięcej sprzymierzeńców, a przynajmniej zapewnić sobie neutralność ważnych osobistości. Zdaje się, że całkowicie nie z mojej winy (oraz ku mojemu niezadowoleniu) za taką właśnie osobistość zostałem uznany. Ogłoszona blokada oraz panosząca się kaszlica, coraz bardziej bezwzględnie zbierająca żniwo strachu i śmierci, na pewno nie czyniły życia rajców weselszym. W końcu to oni odpowiadali za dobrobyt miasta i jego mieszkańców, a teraz ten dobrobyt stał się poważnie zagrożony.

Nigdy wcześniej nie odwiedzałem ratusza. Bo i po co miałyby siedzibę miejskich rajców, ludzi bogatych i ustosunkowanych, odwiedzać pokorny sługa Boży, taki jak ja? Oczywiście sam gmach widywałem codziennie, bo przecież był głównym i najbardziej znaczącym punktem na rynku. Stał dumnie, wznosząc wysoko pod niebo środkową wieżycę, a teraz właśnie trwały prace nad skrzydłem dobudowywanym do centralnego pomieszczenia. W związku z tym na rynku oprócz zwyczajnego i widzianego od lat zamieszania panował rozgardiasz dodatkowo związany z budową, krzątaniem robotników, wzniesionymi tymczasowymi ogrodzeniami czy transportem materiałów. Było głośno, nad placem unosiły się

zarówno tumany pyłu, jak i wiązki wywrzaskiwanych obelg oraz przekleństw. No i jak to w takim tłumie bywa, widać było tych, którzy z chaosu korzystali z pożytkiem dla siebie i szkodą dla bliźnich. Sam, idąc do ratusza, dostrzegłem trzech złodziejasków myszkujących przechodniom po kieszeniach lub odcinających im sakiewki, a byłem pewien, iż gdybym przyglądał się baczniej i pospacerował po całym rynku, to znalazłbym więcej podobnych łapserdaków. Oczywiście nie zamierzałem czegoś podobnego robić, bo dbanie o porządek w mieście i walka z przestępcami nie były zadaniem dla inkwizytorów. Mieliśmy wystarczająco dużo własnych zajęć, by nie zabierać pracy straży miejskiej. Złodziei zresztą traktowano moim zdaniem ze zbytnią łagodnością, bo skazywano ich zazwyczaj na chłostę czy wygnanie z miasta, a dopiero w ostateczności i w przypadku ciągłego łamania prawa wysyłano do pracy w kopalniach, przy osuszaniu bagien czy wyrębie lasów. Tymczasem zawsze uważałem, że piętnowanie twarzy lub odcinanie dłoni byłoby karą znacznie bardziej odpowiednią dla łajdaków żyjących z łajdactwa, zwłaszcza iż porządnym ludziom pozwoliłoby takiego naznaczonego człowieka unikać, a przez to zapewniało im większe bezpieczeństwo. No ale władze mało którego miasta decydowały się na aż tak surowe kroki. Ogromna szkoda, gdyż podobny zwyczaj wprowadzony i utrzymywany przez długie lata kto wie czy nie odmieniłby na trwałe serc i umysłów ludzi. W końcu takim już byliśmy gatunkiem stworzenia, że strach przed nieuniknioną karą najsilniej budował społeczną moralność, a przynajmniej pozory tej moralności. Ale przecież czy złoczyńca powstrzymał się od czynienia zła z nagłej i cudownej odmiany serca, czy też jedynie ze zwykłego strachu przed karą, to przyznacie, mili moi, dla jego ofiar miało nikłe znaczenie. Gdyż istotne jest to, by mniej zdarzało się kradzieży, rabunków, gwałtów czy zabójstw, a jakie środki doprowadzą do tak szczytnego celu, to już sprawa drugorzędna. I nawet gdyby miały to być środki najbardziej brutalne, to czyż mamy żałować przestępców? Dlatego powiadam wam, mili moi, że cywilizacja, która bardziej będzie dbać o dołę

złoczyńców niż o los ich ofiar, będzie cywilizacją nie tylko upadłą, ale również na ten upadek całkowicie zasługującą...



Burmistrz Honoriusz Wittbach był mężczyzną postawnym, barczystym, o gładko wygolonej, szerokiej twarzy i potężnym, przekrwionym nosie, który jak mi doniesiono, nie był świadectwem nadużywania trunków, lecz ustawicznego kataru dręczącego ojca miasta. W związku z tym schorzeniem nazywano go nawet Rotznase Wittbach, ale rzecz jasna, tylko wtedy, kiedy nie mógł tego słyszeć. Gabinet, w którym urzędował, olśnił mnie nie tyle zbytkownością (choć stojący przy oknie kredens kosztował pewnie znacznie więcej niż roczna pensja inkwizytora), lecz przede wszystkim powagą wnętrza narzuconą przez ciężkie, rzeźbione dębowe sprzęty, grube kotary z adamaszku przetykanego złotymi nićmi i sufit wykładany ciemnymi kasetonami. Dodatkowego majestatu nadawała temu wnętrzu ściana naprzeciw wejścia, na której obraz przy obrazie, równo ułożone, wisały portrety poprzednich ojców miasta. Portret samego Wittbacha, pozującego w królewskiej niemal pozie, wisiał natomiast za jego plecami, za fotelem z oparciem rzeźbionym w smoki o rozwartych paszczach.

– Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus – rzekłem, wchodząc.

– Na wieki wieków, amen – odparł z namaszczeniem burmistrz i uprzejmym gestem wskazał mi wyściełane krzesło. – Siadajcie, proszę, mistrzu inkwizytorze. Wielce jestem wam wdzięczny i zobowiązany, że przyjęliście moje zaproszenie.

– Jestem zaszczycony, że waszym życzeniem było ze mną porozmawiać – odparłem z równą grzecznością.

– Poznajcie, mistrzu, rajców Rudolfa Bautmaiera i Arnolda Zolla – rzekł. – Mam nadzieję, że ich obecność nie będzie wam przeszkadzać.

– Jestem zaszczycony – powtórzyłem, pochylając głowę. – A mistrza Zolla miałem przyjemność już poznać.

Rajca Zoll uśmiechnął się szeroko. Najpewniej i on pamiętał nasze spotkanie, kiedy obaj pijani jak nieboskie stworzenia, pobiliśmy się o pewną piękną dziwkę w burdelu. Zoll był mistrzem cechu rzeźników, a poza tym znanym siłaczem, tymczasem okazało się, że w konfrontacji z waszym uniżonym sługą wcale nie tak łatwo mu poszło. W każdym razie przewalaliśmy się po pokojach, tłukąc się zawzięcie ku ogromnej radości wszystkich ladacznic, które głośno nas oklaskiwały i wspierały okrzykami. I z pełną skromnością, lecz by hołdować prawdzie, wyznam wam, mili moi, iż większość z nich trzymała kciuki za waszego pokornego i uniżonego sługę. W końcu do budynku wpadli strażnicy i wtedy zapomnieliśmy z Zollem o wzajemnych urazach, zjednoczyliśmy siły i stłukliśmy tych chłopaków na kwaśne jabłko, pomimo że mieli okute żelazem pałki. Z burdelu wyszliśmy o własnych siłach, zadowoleni i pełni życzliwych uczuć jeden do drugiego. Od tego czasu Zoll zawsze w poniedziałek wysyłał mi tak okazałe plastry świeżutkiej, najdorodniejszej wołowej polędwicy, iż potem nasza gospodyni przyrządzała obiad wystarczający, by najadła się szóstka inkwizytorów.

Wittbach wydmuchał nos w wielką aksamitną chustkę ze złotym monogramem i skinął głową.

– A tak, słyszałem o waszej znajomości – przyznał bez ironii i bez uśmiechu. – To i dobrze, że się znacie.

Byłem pewien, iż obecność Zolla wcale nie jest przypadkowa. Oczywiście był on niezwykle majątnym mieszczaninem i wpływowym rajcą, ale w tym wypadku chodziło też o fakt, iż mieliśmy dobre zdanie jeden o drugim. A tacy ludzie zawsze łatwiej zawierają porozumienie.



– Ciężkie czasy nastały dla naszego miasta – stwierdził burmistrz. – A jeszcze cięższe, Boże uchwój, nastaną, kiedy dłużej będzie trwać ta bezbożna i bezsensowna blokada.

– Ano nielekkie – zgodziłem się. – W Bogu nadzieja, że wszystko się odmieni na dobre.

– Czyż nasz Pan nie dał nam wolnej woli, żebyśmy również pomagali sami sobie, kiedy przyjdzie czas próby, a nie tylko beczynnie czekali na cud? – spytał Wittbach.

– Z pełnym przekonaniem zgadzam się z wami, panie burmistrzu – rzekłem.

Pokiwał głową.

– Bóg tak chciał, że staliście się przełożonym miejskiego oddziału Świętego Officjum i z wami, nie z kim innym, chcemy dziś rozmawiać o sprawach miasta – rzekł uroczystym tonem, po czym odwrócił się od nas i kichnął trzy razy z rzędu tak głośno, że musiano chyba słyszeć go na parterze. To kichnięcie w dużym stopniu zrujnowało efekt, jaki chciał osiągnąć powagą głosu.

– Założmy, że rzeczywiście dzięki starszeństwu pełnię funkcję przełożonego oddziału – przyznałem. – Chociaż ani do tego nie dążyłem, ani tego nie chciałem, ani mi się to nie podoba.

– Myślicie, że nam się podoba? – burknął tubalnym głosem Zoll. – Heckmann, Knoppe, Saufer, którzy wyjechali, a nawet Heider i Schoen, którzy zostali z wami. Ich wszystkich znamy nie od dziś, wiemy, co o nich sądzić, pomagaliśmy sobie nawzajem dla dobra miasta i jego mieszkańców. Ale wy? Jedyne, z czego was znamy, to że lubicie wypić, a kiedy już wypijecie, to zbyt często stajecie się bardzo smutni, a kiedy jesteście smutni, to lepiej trzymać się od was z daleka...

– Przestań! – warknął zdumiony i wyraźnie rozzłoszczony Wittbach. – Wybaczcie, mistrzu Madderdin, lecz Arnold zawsze...

Uniosłem dłoń uspokajającym gestem.

– Prawda nie rani, panowie rajcy. Ranią tylko kłamstwa. Ale że nazywacie mnie smutnym? – Spojrzałem na Zolla i pokręciłem głową. – Być może powiedziałbym „poważny, jak na swój wiek”, ale...

„smutny”? – Wzruszyłem ramionami. – No cóż, proszę, panie Zoll, kontynuujcie...

Ten skrzywił usta.

– Ale jak teraz mogliście zauważyć, tego inkwizytora ulepiono z całkiem porządnej gliny – ciągnął serdeczniejszym tonem, spoglądając w stronę swoich towarzyszy. – Złamałem mu rękę, jednak nigdy się na mnie nie mścił..

– Ech, to było tylko lekkie zwichnięcie... – sprostowałem szybko.

– Nigdy też nie słyszeliśmy, żeby wyrządził komuś podłość, czyż nie?

Burmistrz i drugi rajca skinęli głowami, chociaż obaj byli wyraźnie skonfundowani przebiegiem rozmowy narzuconym przez Zolla.

– Dlatego też, chociaż wcale was dobrze nie znamy, mistrzu Madderdin – rzeźnik obrócił na mnie spojrzenie – to szczerze liczymy, że kiedy was już poznamy, odbędzie się to z pożytkiem i dla was, i dla nas.

– I dla miasta! – Burmistrz wyciągnął palec wskazujący. – Przede wszystkim dla miasta! – powtórzył.

– Pomogę wam, dostojni panowie, w czym tylko będę mógł, choć z pełną skromnością wyznam, że w tej niewyklarowanej, niejasnej sytuacji tak naprawdę wcale dobrze nie wiem, ani co się wydarzy, ani co ja w związku z owymi hipotetycznymi wydarzeniami będę mógł uczynić lub nie uczynić.

Trzeci z rajców, którego przedstawiono jako Bautmaiera, a który wyglądał niczym żałobnie czarny, wychudzony ptak nieruchomym wzrokiem wypatrujący ofiary, potrząsnął głową. Tak jakby nie bardzo wiedział, do którego ucha wpadły mu moje słowa, a jeśli wpadły, to czy na pewno nie wypadły z powrotem. Ale Zoll roześmiał się tubalnie.

– Nikt od was nie oczekuje deklaracji konkretnego postępowania – rzekł. – Zaprosiliśmy was, żeby wy badać wasze sympatie.

Jego szczerłość była niepokojąca, gdyż świadczyła, że pomimo postury niedźwiedzia i twarzy o rysach raczej przemawiających za prostactwem niż ogłada jest to człowiek całkiem sprytny. Zresztą

czyż można było nie charakteryzować się sprytem i jednocześnie zostać mistrzem cechu rzeźników oraz bogatym miejskim rajcą? A ta szczerść nic przecież nie kosztowała. Wiedziałem doskonale, że ratusz chce mnie wybadać, więc Zoll, mówiąc o tym zamiarze głośno, nie zdradzał żadnej tajemnicy. A dzięki owej pozornej szczerści mógł liczyć, że zaskarbi sobie moją sympatię.

– W każdej chwili uczynię wszystko, czego wymaga dobro naszej świętej wiary oraz dobro Świętego Officjum – stwierdziłem.

– Dla jednych dobre jest to, dla innych tamto – wtrącił Bautmaier.

– Niewątpliwie – rzekłem. – Sądzę jednak, a przynajmniej mam wielką nadzieję, że w obliczu nadchodzących wydarzeń moje poglądy na dobro i zło pokryją się z waszymi poglądami, panie burmistrzu i panowie rajcy.

– Dobrze słyszeć – skinął głową Wittbach.

– Co możecie uczynić dla miasta? – zagadnął Zoll prosto z mostu.

– A co byście chcieli, abym uczynił? – zapytałem ze zdziwieniem. – Na razie nie zrobię nic i tak samo zachowają się podlegli mi inkwizytorzy. Będziemy obserwować rozwój sytuacji.

– Moglibyście przejąć władzę w mieście – zaproponował cicho burmistrz. – Rada nie zgłosi sprzeciwu, to zaręczam, a ja oddam wam pod komendę całą straż miejską.

– Straż cechowa też by dołączyła – rzucił Zoll. – Mam kompanię takich zabijaków, co toporkiem potrafią zręcznie pociąć na kawałki nie tylko świnie czy krowę. – Uniósł znacząco palec. – O, powiem wam, że zdarzały nam się różniste sprawy tu i tam – dodał tajemniczo.

Skłamałbym, gdybym powiedział, iż nie spodziewałem się, że podobna propozycja lub chociaż sugestia padnie w rozmowie inkwizytorów z władzami miasta. Po pierwsze, jednak nie sądziłem, że będzie aż tak bezpośrednia, po drugie, nie podejrzewałem, że pojawi się tak szybko, za ledwie w czasie pierwszej rozmowy. Po trzecie wreszcie, wciąż miałem nadzieję, że nie ja będę jej adresatem. Milczałem przez chwilę.

– Odnoszę, panowie rajcy, wrażenie, że wiecie coś, czego ja nie wiem – odezwałem się wreszcie. – I to coś bardzo, ale to bardzo was

zaniepokoiło. Wyjawcie mi więc: co to takiego? Czego się lękacie aż tak mocno, że chcecie dobrowolnie przekazać władzę nad miastem w ręce inkwizytorów?

Oczywiście zdawałem sobie sprawę, że rajcy, oddając mi miasto, tak naprawdę nie traciliby kontroli nad tym, co się dzieje (w końcu ja mógłbym liczyć na lojalność tylko dwóch inkwizytorów, a oni w każdej chwili mogliby odwołać oddanych mi pod komendę kilkudziesięciu zabijaków zrekrutowanych pośród straży miejskiej, cechowej czy zwykłego motłochu), ale za to na mnie oraz na Inkwizytorium zostałaby zrzucona odpowiedzialność za wszystkie błędy. No i pozostawało jeszcze jedno, najważniejsze chyba pytanie: czy zgodnie z prawem takie oddanie władzy w ogóle było możliwe? Otóż jak w wielu skomplikowanych sporach prawnych, prawidłowa odpowiedź brzmiała: „Być może tak, być może nie”, a o taką czy inną decyzję juryści sprzeczałiby się zapewne całymi tygodniami. Krótko mówiąc, zgadzając się na propozycję burmistrza i rajców, wszedłbym na cieniutki lód pokrywający bardzo grzaskie i bardzo śmierdzące bagno. Może niekoniecznie zależało mi na własnym życiu i karierze, nie zamierzałem jednak narażać na kłopoty Świętego Officjum. Zresztą czyż mało razy mówiłem, tak jak nauczono mnie w prześwietnej Akademii Inkwizytorium, że przeznaczeniem funkcjonariuszy Świętego Officjum nie jest wychodzenie na środek areny, by w blasku światła każdy mógł ich dokładnie widzieć? Zadaniem inkwizytorów jest stanie w cieniu, by móc świetnie obserwować tych, którzy są tak głupi lub tak próżni, że lubią puszyć się opromienieni blaskiem. Nie zamierzałem więc odchodzić od inkwizytorskich nauk. Przynajmniej na razie, kiedy moim zdaniem sytuacja nie wymagała zastosowania żadnych radykalnych i gwałtownych kroków.

– Biskup wyśle komisję do miasta – wyjął po chwili milczenia burmistrz.

– Wiem – odparłem spokojnie. – Na jej czele stoi archidiakon Umberto Cassi, prywatnie syn biskupa, choć rzecz jasna, w dokumentach figuruje on jako syn majątnego i znacznego watykańskiego dworzanina.

– Ha, a więc dużo wiecie! – zdumiał się burmistrz.

– Święte Officjum nie jest ani ślepe, ani głuche – odparłem.

– Bardzo dobrze – stwierdził Zoll i skinął poważnie głową. – Bardzo dobrze. Co jeszcze wiecie o archidiakonie?

– Że w Watykanie przyznano mu dokumenty, na mocy których może ścigać czarowników, demonologów, heretyków i wiedźmy. Nie uznajemy w Cesarstwie tego rodzaju licencji, a każda próba ingerencji urzędników czy duchownych z Watykanu w nasze prerogatywy jest przez Święte Officjum stanowczo zwalczana.

– Czyli... – Trzeci rajca wbił we mnie spojrzenie. – Nie pozwolicie Cassiemu, żeby rozpoczął w mieście własne śledztwo?

– „Nie pozwolicie” to mocne sformułowanie – stwierdziłem po chwili ostrożnie. – Na pewno jednak podzielę się z archidiakonem moją krytyczną opinią na temat prowadzenia śledztwa bez zezwolenia Inkwizytorium.

– Czyli Cassi będzie sobie robił, co chce – podsumował Bautmaier, najwyraźniej by mnie sprowokować.

– Inkwizytorium będzie obserwować i wyciągać wnioski. A kiedy uzna to za konieczne, wtedy podejmie decyzje o wszczęciu tych czy innych działań – odparłem spokojnie i uprzejmie.

Bautmaier nie odezwał się już, ale wzruszył ramionami. Zoll natomiast cmyknął przez zęby i klepnął go całkiem nielekką ręką w ramię, na którą to poufałość ubrany na czarno rajca skwasił się jeszcze bardziej i obrzucił rzeźnika nieprzychylnym spojrzeniem.

– Rudolfie drogi – zwrócił się do niego Zoll – Święte Officjum, z tego, co wiem, nie postępuje nigdy pochopnie, więc dajmy sposobność, żeby owa instytucja i jej jakże szanowany przedstawiciel – tu skinął lekko głową w moim kierunku – mieli czas na przygotowanie takich działań, które nas zadowolą.

– Młyny Boże mielą powoli, lecz dokładnie – zgodziłem się z nim.

– Pytanie, czy kiedy inkwizytorzy zechcą nas ratować, to cokolwiek zostanie jeszcze do ratowania – burknął Bautmaier.

– Jak rozumiem, dostrzegacie przyszłość w niezmiernie ciemnych barwach – zauważyłem.

– Trudno inaczej patrzeć – rzekł burmistrz, nie pozwalając odpowiedzieć Bautmaierowi. – Nasze spory z biskupem dotyczą wielkich sum... – urwał na chwilę i pokręcił głową. – Ogromnych, nawet z punktu widzenia majątku tak bogatego człowieka jak książe biskup.

– Ceny soli niedługo pójną w górę – wtrącił Zoll. – Przez co nasz przywilej na prawa do wydobywania stanie się jeszcze cenniejszy niż poprzednio.

– Chociaż zawsze był cenny – rzekł Bautmaier.

– Nasi przodkowie otrzymali ten przywilej dwieście trzydzieści siedem lat temu z rąk samego cesarza Henryka Kłótnika – rzekł uroczystym tonem burmistrz. – I nie ma co ukrywać, że nasze miasto, choć małe, to swoje bogactwo w dużej mierze zawdzięcza temu właśnie nadaniu.

Pokiwałem głową. Miasta zazdrośnie strzegły niegdyś ofiarowanych im w lepszych czasach przywilejów. Zresztą w tym wypadku, tak jak mówił burmistrz, nie chodziło przecież o samą dumę z cesarskiego nadania, ale o wielkie, naprawdę wielkie dochody. A kiedy przyzwyczaisz się przez lata do szczodrych wpływów, to niezwykle trudno pogodzić się z myślą, iż mogłyby one zostać przez kogokolwiek i z jakiegokolwiek powodu uszczuplone.

– Czyli uważacie panowie, panie burmistrzu, panowie rajcy, że biskup tak da się wam we znaki, tak was przyciśnie, tak wam obrzydzi życie i tak was sponiewiera, że sami oddacie mu przywilej, czego zresztą domagał się już wcześniej przed cesarskimi sądami... – powiedziałem.

Burmistrz westchnął ciężko, zamknął oczy, jakby szykował się do kichnięcia, ale tylko przyłożył chustkę do twarzy i przeczekał chwilę.

– Nie wyraziłbym tego może tym językiem, co wy, ale tak, zgadzam się: o to właśnie w tej wojnie chodzi i o to będzie chodziło... – rzekł w końcu.

Wstałem, bo tak naprawdę nie było już nic do powiedzenia i wypadało tylko nam wszystkim czekać, jak potoczą się dalsze zdarzenia.

– Jako tymczasowy zwierzchnik miejskiego oddziału Świętego Officjum zapewniam radę miejską o mojej życzliwości – oświadczyłem. – Póki oczywiście mam cokolwiek do gadania w tej mierze. Bo jak się domyślicie, nie mam prawa zawierać żadnych umów ani podejmować żadnych wiążących zobowiązań.

Burmistrz i rajcy również wstali.

– Zdajemy sobie z tego sprawę – stwierdził poważnie Wittbach.

Rajca Zoll stanął obok mnie.

– Odprowadzę was – zaproponował, a ja skinąłem głową na znak zgody.

Wyszliśmy z gabinetu i wolno przeszliśmy korytarzem w stronę szerokich marmurowych schodów.

– Widzieliście kiedyś salę zgromadzeń? – zapytał rajca.

Potrząsnąłem głową.

– A chcielibyście zobaczyć?

– Jeżeli będziecie tak uprzejmi, żeby mi towarzyszyć, to z przyjemnością – odparłem.

Zeszliśmy po schodach, przemierzyliśmy obszerny westybul i skierowaliśmy się do prawego skrzydła ratusza. Na parterze dobiegły nas donośne już odgłosy budowy lewego skrzydła. Wrzaskliwe nawoływania robotników, turkot wozów i taczek, huk młotów rozbijających kamienie.

– A właśnie, panie Zoll, jeśli pozwolicie na pytanie – zacząłem. – Po co dobudowujecie drugie skrzydło ratusza? Wydaje mi się, że nawet tutaj jest dość... – chciałem powiedzieć „pustawo”, ale w końcu zdecydowałem się rzec „przestronnie”.

– Jak są pieniądze, to trzeba je wydać – uśmiechnął się rajca, lecz zaraz spoważniał. – Wyznam wam, Bogiem a prawdą, że ja sam na posiedzeniu rady protestowałem przeciwko tym wydatkom. – Wzruszył ramionami. – Ale cóż robić, przegłosowano mnie.

– Demokracja nawet w Atenach się nie sprawdziła – zauważyłem.

– Tak mówicie? – Zerknął na mnie. – A niby się wychwała, jaki to był rozumny naród ci Grecy...

– Może i rozumny. – Kiwnąłem głową. – Niemniej wodza Temistoklesa, który uratował ich państwo przed perską inwazją,

który kazał zbudować wielką flotę i poprowadził ją do zwycięstwa, skazali na wygnanie. A uczynili to bez powodów innych niż taki, że Temistokles zrobił się zbyt znany i uwielbiany wśród ludu, czego nie mogli znieść inni arystokraci.

Zoll głęboko westchnął, po czym skrzywił się i pokręcił głową.

– No i widzicie, całe zło w tej szlachcie, mówię wam – rzekł z pasją i przekonaniem, a potem klepnął mnie w ramię, czego niegrzecznie byłoby uniknąć, więc postanowiłem znieść tę serdeczność bez słowa skargi. – Dlatego musimy trzymać się razem, mistrzu Madderdin. – Zatrzymał się na chwilę i uniósł palec wskazujący. – Miasto i inkwizytorzy.

Potem podniósł drugą dłoń i splótł obie palcami tak mocno, że aż zachręściły mu stawy.

– Razem, mistrzu Madderdin. Wy i my – dopowiedział dobitnie.

Cóż, Inkwizytorium spoglądało na ogół przychylniejszym wzrokiem na mieszczan niż na arystokrację, może dlatego, że ludzie zbyt wpływowi, zbyt bogaci i obdarzeni w dodatku przywilejami oraz immunitetami byli dla Świętego Officjum w pewien sposób niebezpieczni. Nie mielibyśmy nic przeciwko temu, żeby wszyscy na świecie stali się równi, a my byśmy tej równości pilnowali i rozsądzali wszelkie spory... Na razie jednak rzeczywistość wyglądała, jak wyglądała, i buńczuczna, zadufana w sobie arystokracja czasami próbowała nawet udowodniać, że nie obowiązują jej święte nakazy i zakazy Inkwizytorium. Dlatego dochodziło do niesnasek i nieporozumień, kiedy owe błędne mniemania musieliśmy zbyt pewnym siebie szlachetnie urodzonym tłumaczyć w lochach, pokojach przesłuchań czy na stosach... Ale Bogiem a prawdą, nie zdarzało się to aż tak często, jak mogłoby się zdarzać.

Wygląd sali zgromadzeń ratusza przerósł moje oczekiwania, bo choć wiedziałem, że rajcy lubią zbytek, to nie sądziłem, że aż w takim stopniu. Poza tym Weilburg nie był przecież ani wielkim miastem, ani wielkim ośrodkiem handlowym czy wytwórczym. Oczywiście w żadnym razie nie był biedny, lecz przy takiej Koblencji, Akwizgranie, Kolonii, Lubece, nie mówiąc już o Engelstadt czy Hez-

hezronie, mógł uchodzić za ubogiego i nieśmiałego krewnego z prowincji.

Po obu stronach pomieszczenia stały marmurowe posągi jedenastu apostołów, do których grona dołączono, jak stwierdziłem z zadowoleniem, Marka Kwintyliusza, szanowanego przez nas towarzysza i przyjaciela Jezusa Chrystusa, zdobywcy Rzymu i założyciela Świętego Officjum. Natomiast ściana na wprost od wejścia była od samej góry po sam sufit przeszklona witrażami przedstawiającymi Jezusa unoszącego się nad ziemią na czele niebiańskiej armii Aniołów. Ponieważ sala zgromadzeń była obrócona oknami w stronę południowego zachodu, teraz chylące się ku zmierzchowi słońce ożywiało i ubarwiało kolorowe szkła pomarańczowo-czerwonymi rozbłyskami, a miecze w dłoniach Aniołów zdawały się rozplomieniać purpurą. A kiedy obróciłem wzrok ku górze, dostrzegłem, że owalny, półkulisty sufit jest ozdobiony freskami wyobrażającymi armię Aniołów walczącą z demonami. Musiałem przyznać, że wszystko to było nie tylko piękne, ale wręcz olśniewające przepychem.

– Nad tymi freskami dwa lata pracowali malarze pod dowództwem samego mistrza van Eycka – pochwalił się Zoll, spoglądając na wymalowany żywymi barwami owalny sufit sali. – No ale to było dawno temu, nawet żeście pewnie wtedy nie wiedzieli, iż istnieje takie miasto jak nasze.

– Ta sala musiała kosztować krocie – rzekłem.

– Będzie nam i naszym następcom służyła przez dziesiątki lat – stwierdził poważnie Zoll. – Bo przecież nie o naszą wygodę i nie o nasz splendor tu chodzi, ale o chwałę miasta. Żeby każdy, kogo podejmujemy w ratuszu, wiedział, że ma z nie byle kim do czynienia. I żebyśmy my sami, spotykając się tutaj, przypominali sobie, że nie jesteśmy byle kim i nie byle jakiemu miastu służymy.

Bardzo poważnie, godnie i mądrze zabrzmiała ta przemowa, aż niepasująca do rubasznego i, zdawałoby się, grubo ciosanego rajcy. Pokiwałem głową. Zoll przeniósł wzrok na wielki dębowy stół otoczony wysokimi krzesłami, rzeźbionymi i wyściełanymi zielonym aksamitem.

– Okrągły stół ma symbolizować, że my wszyscy, rajcy, jesteście równi jeden drugiemu – wyjaśnił z dumą w głosie. – A burmistrz wybierany jest przez nas.

– *Primus inter pares* – stwierdziłem.

Rajca spojrzał na mnie z niezrozumieniem.

– Pierwszy wśród równych – rzekłem. – Tak kazał nazywać siebie cesarz Rzymu Oktawian, głosząc w ten sposób, że nie jest w niczym lepszy od rzymskich senatorów.

– Tak i my uważamy – zgodził się ze mną Zoll poważnie. – A gdy burmistrz nas nie zadowala, to w każdej chwili możemy obrać sobie nowego.

Obeszliśmy salę dookoła, a Zoll namówił mnie jeszcze, bym usiadł w burmistrzowskim fotelu.

– Wygodny, co? – zapytał z takim zadowoleniem, jakby sam ten fotel wyrzeźbił, złożył i obił miękkimi poduchami.

– Bardzo wygodny – zapewniłem.

Potem już skierowaliśmy się ku dwuskrzydłym drzwiom, ale zanim zdążyliśmy przekroczyć próg, rajca zatrzymał się na chwilę. Sięgnął za pazuchę i wyciągnął dużą, pękatą sakiewkę z czerwonego adamaszku, obszytą złotą nicią.

– Trzymajcie – rzekł bezpośrednio. – A jak będziecie potrzebowali więcej, nie wstydźcie się powiedzieć. Miasto chętnie wam usłuży, bo czasy są ciężkie, a wydatki mogą być duże.

Oczywiście mistrz rzeźników nie dawał mi pieniędzy własnych, a z całą pewnością zarówno sam akt ich darowania, jak i wysokość sumy zostały uzgodnione z innymi rajcami. Nie byłoby grzecznie sprawdzać przy nim, jak wysoko wycenili ojcowie miasta pomoc Świętego Officjum, ale sam byłem ciekaw, czy sakiewka zawiera białe srebro, czy też raczej pełna jest złotych bizantów z wizerunkiem surowego basileusa lub grubych, ciężkich guldenów z cesarską koroną i portretem najjaśniejszego pana. Miałem szczerą nadzieję, że mówimy o tej drugiej możliwości.

Schowałem sakiewkę do sekretnej kieszeni.

– Zaręczam wam, że poczyniliście dobrą inwestycję – rzekłem.

– Taką mamy wszyscy nadzieję – odparł.



Rozdział siódmy

Hrabia Arnulf von Berg



Nawet w smutnych czasach panowania kaszlicy i obłożenia miasta kwarantanną oraz wprowadzenia blokady, nawet w tych czasach gniewu i intryg, nawet w tych czasach niepewnego oczekiwania na to, co przyniesie jutro i czy aby na pewno to jutro nie będzie dużo gorsze od dzisiejszego dnia, nawet w tych właśnie czasach przytrafiały się w życiu inkwizytora nieco zabawniejsze, nieco weselsze epizody. Otóż zdarzyło się tak, że na ulicy niedaleko rynku, mniej więcej między kościołem Matki Boskiej z Mieczami a kościołem Świętego Piotra Dekapitatora, natknąłem się na szubrawca, który głośno pokrzykując, kopał pewnego żebraka z zawziętością i złością, na szczęście niezbyt umiejętnie, ale na pewno całkiem mocno. Tak się składało, że znałem owego żebraka i uważałem go za całkiem zacnego człowieka, więc nie zamierzałem pozwalać, by podobnie go traktowano. Zresztą byłem ostatnim, który aprobowałby akt bezsensownej przemocy, kiedy młody, gniewny osiłek bezkarnie znęca się nad starym, spokojnym niedojdą. Podszedłem więc do napastnika, chwyciłem go za rękę i złamałem mu ją w nadgarstku. Zajęczał z bólu i zaskoczenia, zatoczył się pod ścianę i tym razem już z wściekłym wyciem wyciągnął lewą dłońią nóż zza pasa.

– Nie rób tego – ostrzegłem spokojnie.

Nieopatrznie (a może lepiej powiedzieć: opatrzenie) spojrział mi prosto w oczy. Zawahał się, jego uzbrojona dłoń zatoczyła niepewne kółko w powietrzu, po czym nagle wyraz twarzy tego człowieka gwałtownie się zmienił. Osilek wybełkotał nacechowane pasją słowa, które mogły być przekleństwem, włożył ostrze do pochwy, odwrócił się i szybko, niemal biegiem odszedł od nas. Zbliżyłem się do żebraka, który nadal leżał nieruchomo, skulony i osłaniający głowę ramionami.

– Wstawaj, Klaus – nakazałem łagodnym tonem. – Już go nie ma. Poszedł sobie.

Po chwili podniósł się nieco, zerknął niepewnie, wciąż osłaniając głowę ramionami, potem rozejrzał się wokół już nieco śmieiej. Odetchnął, po czym zakaszłał głęboko i boleśnie.

– Jakżeście to zrobili, że sobie poszedł? – spytał.

– A, poprosiłem go – odparłem.

– Aha, aha. – Pokiwał głową. – Bardzo wam jestem zobowiązany. Bardzo. Tylko powiem wam jedno, mistrzu inkwizytorze, uważajcie, bo to bardzo niebezpieczny człowiek – ostrzegł mnie.

Skinąłem głową.

– Wiem – odparłem. – Dlatego też uważałem.

– Mam nadzieję, że byliście grzeczni dla niego, żeby was sobie przypadkiem nie zapamiętał!

– Och, nie kłopotczcie się – uśmiechnąłem się. – Możecie nie wierzyć, ale kiedy chcę, potrafię być słodki niczym miód wymieszany z konfiturą. Taki też byłem dla tego człowieka.

– Oj, to dobrze, bo nie chciałbym, żebyście mieli przeze mnie jakie nieprzyjemności.

– O żadnych nieprzyjemnościach nie ma nawet mowy – zapewniłem go. – Nie zrobił ci nic? Kości masz całe?

Klaus uśmiechnął się szeroko, obnażając szare i pokruszone łopaty zębów aż po sine dziąsła.

– Dziękuję, że pytacie, ale nic mi nie zrobił, a nawet powiem wam w tajemnicy – obniżył głos – że nic by mi zrobić tak naprawdę nie był w stanie.

– A czemuż to? Strzegą cię jakieś moce magiczne lub amulety czy talizmany? – spytałem kpiącym tonem.

Tylko zamachał rękami przecząco i prychnął pogardliwie, po czym posapując i pojękując, stanął na równe nogi. Pokręcił głową wte i nazad, jakby chciał sprawdzić, czy ta głowa aby na pewno jeszcze dobrze trzyma mu się na ramionach, po czym wreszcie spojrzał na mnie.

– Tego łajdaka nie ma, mistrzu inkwizytorze, tak jak i nie ma wcale Weilburga.

– Czy przypadkiem nie za mocno kopnięto cię w głowę?

Uśmiechnął się wyrozumiale.

– Pomyślcie, inkwizytorze, że skoro to miasto nie istnieje, ludzie w nim żyjący nie istnieją, to wy sami, przykro mi to powiedzieć, również nie istniejecie razem ze swoim żartem o zbyt mocnym kopnięciu mnie w głowę. Tak samo zresztą cały świat nie istnieje z jego wszystkimi wadami, nieszczęściami i kataklizmami, jak również z tym upiornym i przeklętym kaszlem...

Pokiwałem głową.

– Bardzo dowcipne – stwierdziłem. – Co więc takiego istnieje?

– Ja – odparł z dumą i wypiął wątlą pierś. – Istnieję ja i moja jakże bogata wyobraźnia, która wykreowała ten świat czy to dla zabawy, czy dla nauki, czy przez jakiś rodzaj przypadku... – Zamyślił się na chwilę. – Lub przewrotnej złośliwości – dodał.

No proszę bardzo, a więc miałem przed sobą prawdziwego filozofa! Takie to właśnie było również nasze Cesarstwo, w którym myśliciela można było spotkać wegetującego na ulicy i jedzącego odpadki, a tępagłowe osły wylegiwały się w pałacach. Zresztą tak przecież było od zawsze, a nie sądziłem również, by świat się zmienił czy to za sto, czy za pięćset lat. Wręcz obawiałem się nawet, że w przyszłości tępagłowe osły będą miały życie jeszcze wygodniejsze niż dzisiaj.

– No cóż, widzę w waszych rozmyślaniach echo rozważań sofisty Gorgiasza – zauważyłem.

Spojrzał na mnie podejrzliwie, jakbym właśnie powiedział jakąś rzecz, która miała mu sprawić szkodę lub przykrość.

– Czyich to, czyich? – spytał niespokojnie.

– Gorgiasza – powtórzyłem. – To był taki grecki filozof. Żył ze dwa tysiące lat temu, jeśli nawet nie dawniej.

– A skoro umarł, to niech mu ziemia lekką będzie – łaskawie zezwolił Klaus. – Ale wy nic nie powiecie, prawda? Bo ja całą koncepcję wymyśliłem, wcale nie słuchając tego Greka, o którym mówicie. Zresztą to pewnie był poganin, a nie dobry chrześcijanin jak ja...

– Obawiam się, że w czasach, kiedy żył, nie miał najmniejszych szans, żeby zostać chrześcijaninem – odparłem. – A to z racji, że nasz Pan nie raczył się jeszcze wtedy narodzić.

– Hmm, tak. – Pokiwał głową. – Można więc powiedzieć, że w pewnej mierze ten Gorgiasz jest usprawiedliwiony ze swojego pogaństwa. Ale nie powiecie nic, prawda? – Znowu zerknął na mnie bystro.

– Niestety, dla ludzi znających antyczną filozofię tezy Gorgiasza, choć w oczywisty sposób błędne i pokrętne, nie są niczym zaskakującym – rzekłem. – Więc trudno wam będzie wywalczyć sobie ich autorstwo.

Posmutniał, jednak potem jego brudna twarz rozjaśniła się w uśmiechu.

– „Dla ludzi znających antyczną filozofię”, powiedzieliście, prawda?

– Tak właśnie powiedziałem.

– A kto tu z tych obwiesiów zna antyczną filozofię? – Machnął ręką z lekceważeniem.

– Doradzałbym wam jednak umiar i powściągliwość w głoszeniu tak radykalnych tez – poradziłem poważnie.

Skulił się.

– Ależ ja w niczym nie śmiałybym nigdy sprzeciwić się naszej świętej wierze, mistrzu inkwizytorze – zająknął się.

– Źle mnie zrozumieliście. – Uniosłem dłoń uspokajającym gestem. – Inkwizytorium ma ważniejsze sprawy na głowie, niż przejmować się waszym wyobrażeniem świata, czy raczej ułudy, za którą ten świat macie. Obawiam się jednak, jako wasz przyjaciel, że

możecie trafić na ludzi, którzy w sposób bardzo dobitny, choć dla was nieprzyjemny, zechcą wam udowodnić, że jak najbardziej istnieją i że ich działania mogą mieć wielki wpływ zarówno na materię nieożywioną, jak i, co w waszym wypadku może być szczególnie nieprzyjemne, materię ożywioną.

Przez chwilę przetrawiał moje słowa, wreszcie westchnął głęboko.

– Mówicie po prostu, że świat nie jest jeszcze gotów – rzekł smutno i poważnie. – Może i tak, może i tak...

Potem spojrzał na mnie badawczym, oceniającym wzrokiem i zlustrował powoli od stóp do głów. Pokiwał głową do samego siebie, tak jakby owa lustracja potwierdziła podejrzenia, których wcześniej nabrał.

– Przyznam nawet, że całkiem nieźle was sobie wymyśliłem – oznajmił z powagą oraz zadowoleniem.

Uśmiechnąłem się życzliwie, słysząc te słowa, i potem już opuściłem go, zwłaszcza że zbliżał się koniec mszy, a więc czas wychodzenia ludzi z kościołów, a co za tym idzie wymagający od każdego żebraka bardziej wytężonej pracy niż zwykle. Nie chciałem więc przeszkadzać Klausowi, tym bardziej że sam się spieszyłem, gdyż w Świętym Officjum miałem wyznaczone spotkanie. Otóż rozmawiać miałem z hrabią Arnulfem von Bergiem, który zażyczył sobie, by mnie zobaczyć. A że należał do wielkiego rodu, to chociaż nie można powiedzieć, iż „jego życzenie jest dla mnie rozkazem” (bo nikt nie może rozkazywać inkwizytorom oprócz ich zwierzchności), byłem jednak ciekaw, czegoż sobie ode mnie zażyczy i jakie są przyczyny tej nagłej chęci poznania funkcjonariusza Inkwizytorium.

Kiedy wszedłem do siedziby Świętego Officjum, poinformowano mnie, że hrabia czeka już od kilku minut, i pomyślałem sobie, że to bardzo dobrze, iż musi trochę poćwiczyć cierpliwość. Zresztą to on był petentem, to on chciał widzieć mnie, a nie ja jego, więc pomyślałem, że dobrze będzie, jeśli od samego początku owa hierarchia ważności w naszych obopólnych stosunkach zostanie raz a dobrze ustalona.



Hrabia Arnulf von Berg był mężczyzną w sile wieku, rosnym, jasnowłosym, o szczerzej i budzącej sympatię twarzy. Miał szerokie bary, wąską kibić i łydki, których wyjątkową zgrabność sławiono we fraszkach (co prawda fraszki owe powstawały na jego własne zamówienie, niemniej rzeczywiście hrabia miał się czym pochwalić w tym względzie i lubił pokazywać się w obcisłych pończochach) [15]. Arnulf von Berg sprawiał wrażenie dzielnego oficera i nawet wyobrażałem sobie, że mógłby pozować do obrazu batalistycznego jako księżę stojący na wzgórzu i wydający komendę wojskom. W rzeczywistości jednak, a przykład to dobry, jak bardzo pozory mylą, hrabia był utracjuszem, pijakiem, dziwkarzem, łgarzem oraz szelmą i zabijaką, dla którego ludzkie życie było warte tylko tyle, ile za nie zapłacono. Nigdy nie dowodził nie tylko żadną armią, ale co najwyżej zgają sług wysłanych, by napaść kogoś, kto się naraził komuś, kto go wynajął. Jedno mu trzeba przyznać: nie był tchórzem. Wystrzegano się zwady z nim, bo był sprawnym i bezlitosnym pojedyńkowiczem, który nie tylko perfekcyjnie władał mieczem czy rapierem, ale wiedziałem też, że pobierał nauki u pewnego polskiego fechtmistrza i całkiem sprawnie radził sobie z szablą w ręku.

– Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus – powiedział z poważną uprzejmością w głosie, kiedy tylko mnie ujrzał.

Oczywiście jego uprzejmość nie sięgała na tyle daleko, by wstał z fotela. Ale też wcale się tego po nim nie spodziewałem.

– Na wieki wieków, amen – odparłem. – A zanim spytam, czemu zawdzięczam zaszczyt waszych odwiedzin, panie hrabio, i w czym mogę panu pomóc, to proszę powiedzieć, czy mógłbym was czymś poczęstować? Może winem albo nalewką?

Spojrzał na mnie z uśmiechem.

– Zapewne butelka klasztornej nalewki nie byłaby zła dla dwóch tak bogobojnych ludzi jak my.

– W takim razie już niosę – obiecałem.

Zaszedłem do spizarki i z szafki wyciągnąłem flaszę wychwalanego likworu, pochodzącego z pewnego podalpejskiego klasztoru, którego mnisi słynęli z wyrabiania nalewek. Dobrałem nam dwa kryształowe kielichy kształtem przypominające rozłożony kwiat rozwiniętej kalii i z oplatany złotem smukłymi nóżkami.

Kiedy wróciłem, hrabia pokiwał z uznaniem głową, uniósł naczynie i przyjrzał mu się pod światło.

– Florenyński kryształ, jak sądzę – rzekł.

Zgadnąć było akurat w tym wypadku nietrudno, bo wszystkie co piękniejsze kryształy rzeczywiście pochodziły od mistrzów z Florentyny. I chociaż próbowano je podrabiać w innych italskich miastach, a nawet w Cesarstwie, to jednak nikomu nie udawało się osiągnąć tego kunsztownego połączenia delikatności z wytrzymałością.

Odkorkowałem flaszę i zakołysałem nią lekko. Zbliżyłem nos, by dokładnie poczuć aromat.

– Wyobraźcie sobie, panie hrabio, że owa nalewka powstała w zamyśle jako lek przeciwko malarii – powiedziałem.

Von Berg spojrział na mnie, jakby nie był pewien, czy z niego nie kpię, po czym poczekał, aż napełnię nam kielichy. Wtedy uniósł swój puchar, powąchał trunek, umoczył w nim usta, popróbował, aż wreszcie przymknął na dłuższy czas oczy.

– Mógłbym chorować na malarię – oznajmił wreszcie.

– Podzielał zdanie pana hrabiego – odparłem z uśmiechem.

Znowu spróbował, tym razem śmieiej przechylając naczynie.

– Czuję miód, anyżek, miętę, szafran i jałowiec – zawyrokował. – Podpowiecie mi, co z resztą?

– Z tego, co wiem, są tu jeszcze goździki, gałka muszkatołowa i arcydzięgiel – wyjaśniłem. – Ale co poza tym? – Rozłożyłem ręce. – Tego już nie wie nikt poza twórcami receptury.

– Może i dzięki naszej kaszlicy pojawi się likwor równie smakowity, który wpierw zostanie uznany tylko za lekarstwo, lecz potem przysłuży się lepszym celom... – powiedział.

Uniósł znowu kielich, ale tym razem nie by pić, lecz by skierować go w moją stronę. Stuknęliśmy się lekko, z cichutkim, delikatnym

brzękiem kryształu.

– Właśnie, kaszlica – rzekł, kiedy odstawił już naczynie. – Nie można ukryć, że ciężkie czasy przysły na nas wszystkich przez tę przeklętą zarazę. Zgodzicie się ze mną, mistrzu Madderdin?

– Cóż zrobić? – odparłem. – Zamiast narzekać, lepiej dziękujmy Bogu, że doświadcza nas w tak umiarkowany sposób.

Von Berg uniósł ręce nad głowę, niczym ksiądz w zapalczym kazaniu skarżący się na grzechy wiernych.

– O, wierzcie mi, że kto czytał „Wojnę peloponeską” Tukidydesa, zwracając uwagę na ustępy dotyczące zarazy ateńskiej[16], ten naprawdę dziękuje Panu naszemu i Stwórcy, że doświadcza nas zaledwie kaszlem – wyrzekł z emfazą.

No proszę, a więc pan hrabia znał dzieło greckiego historyka. Bardzo pięknie. Ale w końcu pochodził z szanowanej i bogatej rodziny – a z tego, co wiedziałem, to dumnej i wyniosłej, ale nawet dość porządnej, jak na naszą szlachtę, i tylko on jeden wyrodził się niczym czarna owca. Wydawało mi się też, że został wydziedziczony i stał się persona non grata w zamku von Bergów, ale głowy za to, czy dobrze pamiętam lub czy informacja jest prawdziwa, jednak bym nie dał.

– Inna sprawa, że zbyt często ten kaszel kończy się krwotokiem do płuc i uduszeniem – dodał von Berg i westchnął. – A jeszcze wicie, żebyż ta paskudna choroba dotykała tylko plebs. Phi – prychnął. – I tak mnożą się jak szczury, więc niewielka byłaby strata. A przecież ludziom takim jak ja i wy plebejusze potrzebni są tylko w tym celu, żeby nam usługiwać w tym, w tamtym czy owym.

Oho, pan hrabia najwyraźniej próbował mi się przypodobać, doświadczyłem bowiem zaszczytu umieszczenia mnie z nim w jednym zdaniu. „Ja i wy”, ha! Gdybym był poczciwym głuptasem, to słysząc te słowa, aż pokraśniałbym z dumy i skromnie spuszczać oczy, próbował okiełzać wdzięczny łomot serca. Ale że byłem inkwizytorem, słuchałem go spokojnie i z uprzejmie obojętnym wyrazem twarzy.

– A wicie – ciągnął von Berg – że próbowałem opuścić to przeklęte miasto? Tak jest: próbowałem. I mnie, nawet mnie –

powtórzył z oburzeniem – cofnięto z drogi pod groźbą ustrzelenia na miejscu. Wyobrażacie to sobie? Ustrzelić von Berga!?

– Słyszałem już o podobnych przypadkach zawracania z drogi – odparłem. – Choć sprawa nigdy nie dotyczyła człowieka pochodzącego z tak znacznego i szanowanego rodu jak pan, panie hrabio.

– Ano właśnie, ano właśnie. – Pokręcił głową. – Żadnego zrozumienia dla faktu, że von Bergów nie obowiązują i nawet nie mogą obowiązywać takie same prawa, jakie obowiązują zwykły, plugawy plebs... – Spojrzał na mnie szybko. – Bez urazy, mistrzu inkwizytorze, nie myślałem o was, sługach Bożych – dodał.

Rozłożyłem ręce.

– Nasze pochodzenie, nazwiska i rody, czasem nadzwyczaj wielkie, a czasem całkiem małe, wszyscy zostawiliśmy na progu Świętego Officjum – wyjaśniłem spokojnie. – Na tym padole łez nie zajmują nas doczesne spory o prestiż i majątek, lecz jedynie pokorna Boża służba.

Zakaszłał. Ale chyba nie dlatego, że był chory, tylko by pokryć nagle zmieszanie.

– Ja już swoje przechorowałem! – zawołał szybko i poczerwieniał. – A mówią, że kto raz chorował, ten więcej nie zachoruje! To tylko, wicie, kropla nalewki nie tak jak trzeba wpadła mi do gardła. Dlatego kaszałem, z żadnego innego powodu!

Spoglądał na mnie z niepokojem, lecz ja skinąłem głową.

– Oczywiście, że nie każdy kaszel jest symptomem śmiertelnej dolegliwości – zgodziłem się z nim uprzejmie. – Chociaż nie dalej jak dziś musiałem bronić pewnego człowieka, który zakrztusił się, zbyt łapczywie pijąc zimną wodę, a jego kaszel nie spodobał się ludziom wokół.

– O tym właśnie mówię – westchnął uspokojony już von Berg. – Jeśli nawet nie zabije nas kaszlica, to nienawieść nadrobi to z nawiązką, wszystkich nas wysyłając do grobów.

Cóż, trzeba przyznać, że wypowiedział całkiem rozumne słowa, gdyż miasto coraz bardziej gotowało się z gniewu. I ze względu na zagrażającą każdemu obywatelowi chorobę, i ze względu na tę

trwającą od kilku dni piekielną blokadę, która wielu utrudniała życie. A nawet jeśli komuś nie utrudniała, nawet jeśli ktoś od lat nie wyściubiał nosa za mury Weilburga, to teraz, kiedy oficjalnie zakazano podróży, teraz właśnie zaczynał ten ktoś odczuwać przemożną ochotę, by udać się na wycieczkę za mury miejskie. A że nie mógł tego uczynić, to serdecznie lżył tych, którzy mu owego rozkosznego wypadu wzbraniali. Trzeba jeszcze dodać, że panujące od wielu, wielu dni piekielna spiekota i duszność też nie przyczyniały się do poprawy nastrojów. Słyszałem też coraz częściej trwożliwe szepty, które brzmiały mnie więcej tak: „Nie daj Boże jakiego pożaru, bo cały Weilburg spłonie jak sucha szczapa”.

– Nie żeby mi było szkoda tego parszywego motłochu – kontynuował von Berg. – Ale wiemy przecież, że gdzie wybucha rewolta, tam może się oberwać również porządnym obywatelom. Czyż nie? – Zatrzymał na mnie spojrzenie.

– Niewątpliwie ma pan słuszność, panie hrabio – zgodziłem się bez trudu. – A jeszcze gorzej, że w czasie buntu sprawy toczą się tak szybko i tak niespodziewanie, że poszkodowany może być każdy, bez względu na majątek i pozycję w świecie. Miejmy więc nadzieję, że do żadnego buntu u nas nie dojdzie.

Pokiwał głową, a potem milczał chwilę. Wreszcie odezwał się poważnym głosem:

– Przyszło mi do głowy, mistrzu inkwizytorze, że skoro znaleźliśmy się w tak przykrym położeniu, to człowiek mądry nie tylko stara się, żeby ta przykrość była jak najmniejsza, ale myśli również nad tym, jak z niedogodności wyciągnąć korzyści.

– Tak właśnie rodzą się wielkie majątki. – Skinąłem głową, by zachęcić go do dalszych zwierzeń. – Kto zawczasu pomyślał i zebrał zboże do spichlerzy, ten wzbogaci się w czasach wielkiego głodu.

– Myślicie, że w naszym mieście wybuchnie głód? – zaniepokoił się.

– Raczej traktowałem te słowa jako metaforyczny przykład zapobiegliwości w obliczu nadchodzącej katastrofy – odparłem. – Bo szczerze mówiąc, nie sądzę, by blokada trwała na tyle długo, żebyśmy zaczęli umierać z braku pożywienia.

– No tak, no tak...

Zabębnił palcami w blat i upił dwa niewielkie łyżki nalewki.

– Wyśmienita – powiedział i pokiwał głową. – Cóż za szczególne błogosławieństwo mają mnisi, że to spod ich rąk wychodzą najlepsze trunki?

– Zapewne tak niewiele mają do roboty, że mogą całkowicie poświęcić się temu zajęciu – zauważyłem. – Gdyż w przeciwieństwie do nas ani nie muszą się kłopotać, jak przeżyć kolejny dzień, ani żyjąc przecież w błogosławionym odosobnieniu, nie muszą na co dzień użerać się z bliźnimi.

– Ano właśnie, ano właśnie – westchnął von Berg. – Ci nasi bliźni to czasami są jak drzazgi pod paznokciem. Czyż nie, mistrzu Madderdin?

Oho, jeśli znałem życie, to zacny pan hrabia najwyraźniej sądził, że pomogę mu wyjąć jakąś drzazgę. No cóż, ciekawe, jak dalej potoczy się nasza rozmowa i czy przybierze taki kierunek, o jakim myślałem. Na razie jedynie przytaknąłem mu poważnie.

– Widzicie, mistrzu Madderdin – mówił dalej hrabia – zapytałem tu i ówdzie ludzi znających się na prawie i tak jakoś wyszło z ich słów, że dzisiaj to w naszym mieście właśnie wy możecie wszystko... – Wpatrzył się we mnie szczerym spojrzeniem błękitnych oczu.

– Wszystko może tylko Pan Bóg – odparłem.

– Och... – Strzepnął dłońmi. – Ale możecie tutaj i teraz bardzo wiele, nieprawdaż?

– Dostojny panie hrabio – zacząłem z powagą w głosie – przywileje inkwizytorów są wielkie, zwłaszcza w chwilach, kiedy na szwank może zostać narażone dobro naszej świętej wiary oraz dobrostan ludu Bożego. Ale nasze obowiązki i związane z nimi ograniczenia są, śmiem to twierdzić z całą mocą, jeszcze większe.

Milczał przez chwilę, najwyraźniej zastanawiając się, jak moje słowa mają się do planów, z którymi tutaj przyszedł.

– Chciałbym, abyście mi pomogli w pewnej sprawie – stwierdził wreszcie prosto z mostu.

– Panie hrabio, będę szczęśliwy, mogąc wam nieba przychylić – zapewniłem i dolałem nalewki do obu kielichów.

Był na tyle mądry, by wiedzieć, że te słowa nie oznaczają zupełnie nic, więc tylko uśmiechnął się serdecznie.

– Byłbym wam ogromnie wdzięczny, gdybyście mnie wprowadzili na coroczne zebranie rady miejskiej, które jak mi doniesiono, odbędzie się za dwa tygodnie – powiedział.

Rada naszego miasta oczywiście zbierała się częściej niż raz w roku, ale to lipcowe spotkanie było zawsze najbardziej istotne i decydowano na nim nie tylko o ważnych dla społeczności sprawach, ale również rozdzielano stanowiska.

Przyznam, że jego prośba zdziwiła mnie, ponieważ nie tego się spodziewałem. Ale właśnie pozorna błahość tego życzenia również mnie zaniepokoiła.

– Proszę mi wybaczyć, panie hrabio, ale do czego jestem waszej mości potrzebny? Czy nie wystarczy, aby pan hrabia wyraził życzenie uczestnictwa w takich obradach?

Wzruszył ramionami.

– Mistrzu Madderdin, nie ma co ukrywać, że łyckowie nienawidzą mnie jak wściekłego psa – wyjaśnił szczerze.

Cóż, zważywszy na wysokość jego długów, niechęć do ich spłacania oraz liczbę wszczynanych awantur, zapewne było to uczucie całkiem uzasadnione.

– Nie wpuszczą mnie nawet do ratusza, a co tu dopiero mówić o sali obrad – dodał.

Milczałem przez chwilę.

– Widzi pan, panie hrabio, widzę w tym jedną niedogodność – zacząłem. – Oto nie chciałbym znaleźć się w sytuacji, w której na spotkaniu rady miejskiej usłyszę z ust pana hrabiego słowa, które mnie zaskoczą.

– Chcecie więc wiedzieć, jakie są moje zamiary? – Przyglądał mi się zimno i bez uśmiechu.

– „Chcę” to niewłaściwe słowo – odparłem. – Natomiast „muszę” jest już słowem odpowiednim.

– Czemu nie? Mogę wam opowiedzieć, co i jak. – Znowu wzruszył ramionami.

– Dodam jeszcze tylko – rzekłem spokojnie – że gdyby pan hrabia nagle zmienił zamysł i powiedział na radzie inne słowa niż te, którymi raczy się ze mną teraz podzielić, to wzbudziłoby to moje, najłagodniej mówiąc, głębokie rozżalenie...

Miałem nadzieję, że był człowiekiem na tyle rozsądnym, by poważnie potraktować moją prośbę o szczerłość. Z drugiej jednak strony miał już tylu wrogów, iż mógł uznać, że jeden mniej czy jeden więcej wcale mu nie zaszkodzi. Bardzo by się wtedy pomylił, gdyż zrobienie sobie wroga z inkwizytora nikomu jeszcze nie wyszło na dobre.

– Będę z wami szczerzy, jak na świętej spowiedzi – rzekł, przykładając dłoń do piersi. – Muszę wyzwać na pojedynek pewnego człowieka i muszę to zrobić właśnie na zebraniu rady, nigdzie indziej.

– Słyszałem, że w walce na rapiery nie ma pan sobie równych, panie hrabio – zauważyłem uprzejmie. – Rozumiem więc, że to publiczne wyzwanie ma spowodować, żeby wam nie odmówiono.

– Utrafiliście w sedno, mistrzu Madderdin. – Wyciągnął w moją stronę palec wskazujący.

– Proszę mi wybaczyć ignorancję w zakresie reguł pojedynkowych, ale czy przypadkiem dla przedstawiciela tak wysokiego rodu jak pana hrabiego pojedynków z mieszczaninem, choćby najznaczniejszym, nie stanowiłby ujmy na prestiżu?

Skinął głową z wielką godnością.

– Oczywiście macie rację – przyznał. – Sęk w tym, że człowiek, którego pragnę wyzwać, został nobilitowany przez cesarza, co w zeszłym roku zatwierdził Landtag. Rzecz jasna, przy von Bergach ten uszlachcony plebejusz wygląda niczym brudna świnia przy dumnych orłach, ale... – Wzruszył ramionami po raz kolejny. – Jakoś, z Bożą pomocą, przemogę obrzydzenie, żeby się z nim zmierzyć...

– Rozumiem, że pan hrabia próbował już innych sposobów, żeby skłonić tego mężczyznę do pojedynku?

Tym razem roześmiał się, ale zaraz potem stuknął pięścią w blat stołu.

– Wysyłałem mu tak obelżywe listy, że w każdym godnym szlachcicu krew by się zagotowała.

– Czy publiczne wyzwanie na ulicy lub na rynku, ba, w kościele nawet, połączone ze spoliczkowaniem, nie przyniosłoby oczekiwanych skutków?

– Może by i przyniosło, kto go tam wie – mruknął. – Szkopuł w tym, że ta kanalia nie wychodzi z domu. Rozumiecie? Nigdy – zaakcentował bardzo mocno słowo „nigdy” – nie opuszcza należącej do niego kamienicy.

– Mathias Lowenhoff – rzekłem, gdyż już wiedziałem, o kogo chodzi von Bergowi.

– Ano Mathias Lowenhoff – zgodził się ze mną.

Lowenhoff był człowiekiem nieprzyzwoicie wręcz bogatym i aż dziwne, że mieszkał w takiej dziurze, jaką – nie ukrywajmy smutnej prawdy – był Weilburg, zamiast bawić w Koblencji, Engelstadt czy Hez-hezronie. Zwłaszcza że we wszystkich tych metropoliach jego wspólnicy czy pracownicy prowadzili interesy. A poza bogactwem charakteryzował się również dziwactwem. Dziwactwo to objawiało się między innymi tym, że od lat nie opuszczał domu. Co zresztą nie przeszkadzało mu w skutecznym zarządzaniu prężną kompanią.

– Sądzicie, że Lowenhoff pojawi się na zebraniu rady? – zapytałem.

– Pojawia się na nim co roku. Z tego, co wiem, to lipcowe zgromadzenie w ratuszu jest jedynym powodem, który skutecznie wyciąga go z dobrowolnego więzienia, w którym się zamknął. – Von Berg milczał przez chwilę. – Lowenhoff bardzo poważnie traktuje ten kurnik, jakim jest Weilburg – dodał.

Milczałem przez chwilę i w milczeniu upiłem łyk nalewki, by von Berg sądził, że zbieram myśli. Oczywiście nie potrzebowałem żadnego zastanawiania się, by wiedzieć, że mu odmówię, chciałem jednak, by łudził się, że ta odmowa wymagała ode mnie namysłu. Nie widziałem jednak żadnego powodu, by w nieprzyjemny sposób wtrącać się w sprawy rady miejskiej, przyprawiając na jej zebranie znienawidzonego i pogardzanego szlachcica. Parszywie zepsułoby mi to reputację, a chociaż nie przejmowałem się tym, co

sądzą o mnie bliźni, to jednak taka zła opinia mogłaby mi utrudniać działania inkwizytorskie. Tak jak już bowiem wspominałem, inkwizytorzy musieli jakoś żyć z władzami miast, w których stacjonowali. I zarówno Święte Officjum, jak i rady miejskie starały się nie czynić sobie nawzajem bezpodstawnych złośliwości. A jak sądziłem, wprowadzenie hrabiego na obrady, które skutkowałoby pojedynkiem z najznaczniejszym obywatelem Weilburga, za taką właśnie złośliwość niechybnie by uznano.

Z drugiej strony odmawianie hrabiemu natychmiast, teraz i tutaj wcale nie byłoby roztropne. Ludzi bowiem nie należy zrażać sobie kategorycznymi odmowami, a raczej po pewnym czasie, z bólem przyznać, że nie możemy im pomóc, i wyrażać tę niemoc z takim smutkiem, że oni sami zaczną nam współczuć.

– Oczywiście w zamian za wyświadczoną mi grzeczność jestem gotów wspomóc Święte Officjum znaczną darowizną – dodał z serdecznym uśmiechem von Berg.

Ponieważ zapewne zdziwiłby się, gdybym nie zagadnął, o jaką sumę chodzi, grzecznie zadałem oczekiwane przez niego pytanie.

– Tysiąc koron – odparł niefrasobliwym tonem.

Ha, a więc teraz miałem już aż tysiąc powodów, by wprowadzić von Berga do ratusza! Co zresztą nie zmieniało postaci rzeczy, iż były to nadal powody niewystarczające. Ale kwota zadeklarowana przez hrabiego była kolejną zdumiewającą kwestią w naszej rozmowie. Bo niby skąd wydziedziczona przez krewnych i zadłużona po uszy szumowina w rodzaju von Berga mogła mieć tysiąc koron? Tysiąc koron to jest ogromna suma, moi mili. Naprawdę ogromna. Większość obywateli naszego błogosławionego Cesarstwa przez całe życie nie tylko nie trzymała w rękach, ale nawet nie widziała tylu monet.

– Niezwykle szczodra propozycja – rzekłem uprzejmie.

Skwitował moją uwagę niedbałym skinieniem głowy.

– Oczywiście wyplacona zostanie z jednym zastrzeżeniem – dodał.

– Będę mógł ją przekazać tylko wtedy, jeśli Lowenhoff pojawi się na spotkaniu rady i dzięki temu będę mógł go wyzwać.

Wyplacona albo niewyplacona, pomyślałem. Bo kiedy hrabia von Berg zrealizuje już swój plan, będzie mógł rozłożyć bezradnie ręce i stwierdzić, że teraz co prawda nie ma gotówki, ale kiedyś się o nią postara. Albo jeśli będzie chciał być już bardzo grzeczny, wypisze mi weksel, który oczywiście, jak wszystkie jego papiery, nie będzie miał pokrycia.

– Całą sumę jestem gotów już teraz zdeponować we florenyńskim kantorze – dodał von Berg, jakby czytał w moich myślach. – Z poleceniem wypłaty po zajściu uzgodnionych okoliczności.

No coś takiego! A więc szanowny pan hrabia naprawdę miał tysiąc koron! Przecież gdyby jego wierzyciele dowiedzieli się o tym, to obdarliby go z tych pieniędzy razem z ubraniem oraz skórą. Teraz musiałem postawić jeszcze raz pytanie, które już sobie zadałem: skąd taka zadłużona szumowina, utracjusz, hulaka i rozrzutnik mógł mieć tysiąc koron? Odpowiedź była więcej niż prosta: ktoś mu te pieniądze obiecał za zabicie Lowenhoffa. Najwyraźniej ukrywający się bogacz zawadzał komuś tak bardzo, iż opłacało się wydać majątek na przeprowadzenie intrygi, w wyniku której ów odludek opuściłby nasz nieszczęsny padół łez. Bo zabić niepojawiającego się publicznie człowieka nie jest przecież tak łatwo. Owszem, można go próbować otruć, ale trzeba zdobyć wtedy dostęp do jego domu, przekupić służących, a w razie wpadki liczyć się z wyjątkowo okrutną karą. Bo w naszym praworządnym i brzydzącym się zbrodnią Cesarstwie trucicieli nie lubiano szczególnie. I aby tę odrazę okazać, prawodawcy kazali gotować ich żywcem w oleju. A powiem wam też, że jeśli kat był zręczny, to ofiara była gotowana tak wolno, że mogła jeszcze przyglądać się, jak z jej stóp i łydek ciało odpada od kości. Tak więc próba trucicielstwa niosła za sobą spore ryzyko. A pojedynek? Cóż, oto właśnie był czysty, legalny i uświęcony obyczajem sposób, by pozbyć się wroga. A jeśli było się tak wytrawnym szermierzem jak von Berg, to był to w dodatku sposób nieniosący ze sobą niemal żadnego ryzyka. Oczywiście każdy, nawet najbardziej doświadczony fechtmistrz może się potknąć lub poślizgnąć, czy to przez nieuwagę, czy z powodu lekceważenia przeciwnika, i w tej samej chwili otrzymać śmiertelny

cios zadany nawet niewprawną ręką. Ale umówmy się, że prawdopodobieństwo zajścia takiego wydarzenia było nawet nie nieznaczone czy znikome. Ono było niczym jedna zagubiona pchła w zmierzwionej niedźwiedziej sierści. Pytanie tylko brzmiało, czy Lowenhoff po prostu nie zlekceważy awanturującego się von Berga? Pewnie, że zostać upokorzonym na oczach całej rady miasta to żadna przyjemność, ale z drugiej strony czy mieszczanie mieliby mu za złe, że nie poddał się żądaniu człowieka, którym powszechnie pogardzano?

– Sądzi pan więc, panie hrabio, że Lowenhoff nie odmówi pojedynku w obliczu doznania obrazy w obecności rajców?

– Nie, nie odmówi – stwierdził zdecydowanie von Berg.

– Czy mogę spytać, z jakiego powodu pan hrabia pokłada tak wielką ufność w odwadze czy też w poczuciu honoru Lowenhoffa?

– Ani ta świnią nie ma odwagi, ani honoru – rzekł von Berg i machnął ręką z pogardliwym wyrazem twarzy. – To interesy, mistrzu Madderdin. Jeśli Lowenhoff zhańbi się odmową, to narzeczeństwo jego córki zostanie zerwane. A córkę kocha on najbardziej na świecie.

– Bardziej kocha małżeństwo córki niż własne życie?

– Życie? – zdumiał się von Berg. – Nigdy nie wyzwałbym Lowenhoffa na pojedynek na śmierć i życie, bo wystawiłby zastępcę. – Skrzywił się. – Co byłoby, niestety, zgodne z prawem i obyczajem – dodał niechętnie.

– A więc?

– Pojedynek ma trwać do pierwszej krwi. – Hrabia rozłożył ręce i uśmiechnął się. – A takiej satysfakcji, jak wszyscy wiedzą, odmówić może tylko łotr, kanalia, szubrawiec i wyjątkowy tchórz. – Rozumiem. – Skinąłem głową.

Nie trzeba mi było tłumaczyć, iż von Berg, szermierz niezwykle wprawny, zamierzał spowodować, by zasada „do pierwszej krwi” oznaczała jednocześnie „do ostatniego tchnienia”. Wyprowadzenie celnego sztychu w serce nie stanowiłoby zapewne przy jego kunście większego problemu, a poza tym śmierć nie przychodziła przecież tylko od sztychów w serce. Wystarczyło przebicie żołądka

lub wątroby czy podziurawienie flaków, w które wdałoby się później zakażenie. Tak, tak, jako ludzie byliśmy ulepiani z bardzo nietrwałego materiału. I chociaż jako inkwizytor wiedziałem, że niektórzy zdumiewająco długo potrafią trzymać się przy życiu, to jednocześnie wiedziałem również, że czasami wystarczy głupia nieostrożność, by tego życia ich pozbawić.

– To sprawa honoru – stwierdził von Berg, tym razem wyniosłym tonem.

– Oczywiście – odparłem. – Co prawda my, inkwizytorzy, złożyliśmy urodzenie, honor oraz wszelkie doczesne żądze u stóp Ołtarza Pańskiego, ale nadal pamiętamy i doskonale rozumiemy uczucia, jakimi kierują się zwykli ludzie.

Nawet jeśli hrabiego von Berga, szlachcica pochodzącego z rodu wywodzącego swoje korzenie od założycieli Rzymu, dotknęło to, iż szeregowy inkwizytor nazywa go „zwykłym człowiekiem”, to ostrożnie lub uprzejmie nie dał niczego znać po sobie.

Zresztą podejrzewam, że tak bardzo zależało mu na mojej pomocy, iż pozwolilby mi się nazywać nawet cukrzonym misiem miodowym, gdybym tylko wyraził przedziwną ochotę na podobne słowne pieszczoty.

– Proszę mi wierzyć – dodałem – że jestem nie tylko wielkim zwolennikiem pana hrabiego, ale też zważywszy na sumę, jaką pan hrabia wymienił, mniemam, że sprawa jest znacznej wagi, więc tym bardziej jej rozwiązanie będzie leżało mi na sercu.

Von Berg poważnie skinął głową.

– Musi mi pan jednak wybaczyć, że nie udzielę panu odpowiedzi teraz i tutaj – kontynuowałem z najwyższą uprzejmością. – Bowiem nie tyle muszę pańskie życzenie przemyśleć, ile jak przystało na sługę Bożego, w pokorze przemodlić.

Hrabia wyciągnął do mnie ręce.

– Niczego więcej mi nie potrzeba – rzekł, serdecznie ściskając moją dłoń w obu swoich.

Unieśliśmy się od stołu i jeszcze przez chwilę stojąc, nadal trzymaliśmy uścisk, tak jakbyśmy byli towarzyszami, którym krwawi serce, kiedy mają się rozstać. I którzy odczuwają tęsknotę

jeden za drugim, nie tylko kiedy są pogrążeni w smutnej samotności, lecz nawet już na samą myśl, iż mogą za chwilę stracić druha z oczu.

– Mam nadzieję, że zostaniemy przyjaciółmi, mistrzu inkwizytorze, i dobrze nam się sprawy ułożą z obopólną korzyścią.

Co za przekleństwo, że od czasu, kiedy nasze miasto przeżywa kłopoty i zamknięto je na mocy kwarantanny, wszystkie okoliczne łajdaki chcą się ze mną zaprzyjaźnić, pomyślałem. Lecz na głos powiedziałem tylko serdecznie, że przyjaźń tak znacznej i szacownej osoby jest dla mnie prawdziwym zaszczytem. I tak właśnie rozstaliśmy się wśród zapewnień o afekcie oraz szacunku, ufając sobie nawzajem w tym samym stopniu, w jakim zmija ufa manguście i na odwrót.



Rozdział ósmy

Figlarna wdówka



Jeżeli ktokolwiek kiedykolwiek spisywałby dzieje mojego życia (choć zaprawdę nie wiem, po co miałyby to robić, gdyż chwając mnie, wprowadzałyby mnie w zakłopotanie, a ganiąc mnie, naruszałyby dobre imię całego Świętego Officjum, a co za tym idzie również naszej błogosławionej wiary), to jak mniemam, mógłby się zdumieć, iż zdawałem się jednym z tych niewydarzonych mężczyzn prowadzących smutną wegetację w żalonym celibacie. Nie była to jednak prawda. Rzeczywiście, zaraz po uleczeniu z mej długiej, trwającej ponad rok choroby nie przejawiałem większej ochoty na kontakty z kobietami, niezależnie od tego, czy miałbym do wyboru niedoświadczoną młodkę, czy wprawioną w amorowych bojach niewiastę. Nie tyle mógłbym jednak powiedzieć, że coś mnie od nich odpychało, ile że nie było niczego, co by mnie przyciągało wystarczająco silnie. Tak jakby zdominowało mnie zdumiewające wrażenie osamotnienia i niedającej się niczym wypełnić pustki. Uczucie tego żalu i tej pustki nie mijało, chociaż z biegiem czasu zdawało się coraz bardziej stłumione. No i w Weilburgu znalazłem pewną uroczą trzpiotkę, która zdecydowała się dzielić ze mną niektóre wieczory i noce, a której figlarny urok dorównywał temperamentowi. A i urok,

i temperament przewyższała wyborna uroda. Oczywiście jeśli ktoś lubi urocze jasnowłose cherubinki z porcelanowymi buziami i wielkimi niebieskimi oczami. No cóż, nie była może moim ideałem, ale stare porzekadło nie na darmo mówiło, że najpiękniejsza jest ta dziewczyna, która akurat jest chętna i akurat pod ręką. A moja urocza, młodziutka mieszcza była bardzo chętna, zwłaszcza iż przedwczesne wdowieństwo zostawiło jej sporo pieniędzy, dużo swobody i cielesne pasje na tyle rozbudzone, by nie chciała z nich rezygnować.

Tak więc zdarzało się na szczęście, że nie wszystkie moje dni były nudne i podobne jeden do drugiego jak karaluchy pod deską. Bo oto pewnego poranka obudziłem się w wygodnym łóżu, nakryty miękką pierzyną i ze skołataną głową opartą na piersiach mojej kochanki – nie da się ukryć, jednego z najładniejszych stworzeń, jakie widziałem kiedykolwiek w naszym mieście. Tak jak wspominałem, może jej jasna buzia, złote loczki wokół głowy i przejrzyste niebieskie oczy, tak duże, jakby wiecznie dziwiące się światu, nie były w moim mniemaniu i osądzie idealne, ale trzeba za to jednoznacznie powiedzieć, iż moja kochanka była niezwykle zgrabnie uformowana. A wszędzie tam, gdzie kobiecie pasują krągłości i miękkości, ona miała je w stopniu więcej niż wystarczającym. Teraz już się obudziła i przyglądała mi się z nieznacznym uśmiechem, delikatnie przeczesując moje włosy palcami.

– Dzień dobry, mistrzu inkwizytorze – powiedziała ciepło.

– Dzień dobry, moja piękna – odparłem i obok głowy położyłem na jej piersiach również dłoń.

Zerknąłem w okiennice.

– Późno już? – spytałem.

– Słyszałam, jak w kościele bili na dziewiątą – odparła.

– Późno – westchnąłem.

– Zostaniesz na śniadanie? – zapytała.

Chwyciłem ją i przekręciłem tak, że wylądowała na mnie. Jej piersi zafalowały mi przed twarzą, a ja przytrzymałem ją mocno za pośladki.

– Ciebie zjem na śniadanie – zdecydowałem.

Jęknęła i wbiła mi paznokcie w ramiona. Usadowiła się wygodniej i poruszyła się z początku mocno, ale wolno, by zaraz potem przyspieszyć. Na skórę jej twarzy wyszły rumieńce, tak charakterystyczne dla dziewcząt o jasnej skórze, które nagle odnajdują w sobie pasję (niezależnie, czy to pasja cielesnej miłości, czy gniewu).

– Kaśka zachorowała – powiedziała z coraz silniejszymi wypiekami na policzkach i z niespokojnym oddechem. – Kaszłała, kaszłała i wreszcie teraz leży jak nieżywa. Więc sama muszę wszystko robić. – Wzięła głęboki wdech. – Mocniej! – zawołała.

No i tak już się sprawy potoczyły, że więcej nie rozmawialiśmy o jakiejś chorej Kaśce, tylko skupiliśmy się na materii, w której mowa ciała jest ważniejsza niż słowa. I minęło ładnych kilkanaście minut, zanim spoceni znieruchomieliśmy jedno tak blisko drugiego, że nasze skóry skleiły się, jakbyśmy na chwilę stworzyli jedno ciało. Dziewczyna zarzuciła mi nogę na biodro.

– Wrzeszczałam? – zapytała, ciężko oddychając.

– Jak potępiona – odparłem z uśmiechem. I dodałem: – Lubię, jak wrzeszczysz.

– Sąsiedzi pewnie mają mnie za jakąś wywłokę albo co... – Potem przez chwilę milczała. – Czemu częściej nie przychodzisz?

– Obowiązki – rzekłem. – A teraz jest gorzej, niż było. Zostało nas tylko trzech w całym mieście.

Nie odzywała się przez chwilę.

– Ludzie wokół umierają – powiedziała wreszcie ze smutnym spokojem. – Ja też się boję, że umrę.

– Jesteś młoda i silna – stwierdziłem. – Na pewno nie umrzesz.

– A Kaśka chyba umiera – westchnęła.

Znałem ową Kaśkę, czy może lepiej powiedzieć: widziałem ją kilka razy. Była to krzepka wiejska dziewczucha, o twarzy czerwonej jak rzodkiew i wielkich dłoniach. W domu mojej kochanki zajmowała się wszystkim, od sprzątania po gotowanie. I wyuczyła się nawet na tyle, że potrafiła podawać do stołu i nie narobić przy gościach wstydu swojej gospodyni.

– Był u niej lekarz?

Wzruszyła ramionami.

– Lekarze kosztują, a ona przecież ani mi siostra, ani przyjaciółka – odparła chłodno. – Będzie z nią, co Bóg zechce, żeby było. Jednak modłę się za nią. – Zmrużyła na chwilę oczy, zastanawiając się nad czymś. – Jeśli nie zapomnę – dodała szczerze. – Ale najczęściej nie zapominam.

– Masz dobre serce – pochwaliłem ją i wsunąłem dłoń pomiędzy jej uda.

– Znowu? – zapytała z udanym przerażeniem i szybko przekręciła się plecami do mnie. – Ale teraz ty przyłóż się solidnie do roboty – rozkazała.

Skoro dama prosi, nie wypada nie usłuchać, więc przyłożyłem się do wenusjańskiego zajęcia z takim zapałem, iż jeśli sąsiedzi mieli moją gospodynię za wywłokę, to tego dnia na pewno utwierdzili się w swym niegrzecznym mniemaniu. Najważniejsze jednak, że rzeczona dama sprawiała wrażenie całkiem zadowolonej i kiedy uspokoiła już spazmatyczny oddech, powiedziała:

– O raju, nogi mi się tak trzęsą, że chyba kroku nie zrobię.

Klepnąłem ją czule w pośladki.

– Teraz możesz już zmykać do kuchni i zrobić to śniadanie – zezwoliłem.

Pocałowała mnie w ucho.

– Mężczyzna taki jak ty musi dużo jeść, żeby mieć dużo sił dla dziewczyny takiej jak ja – stwierdziła z uśmiechem i zeskoczyła z łóżka. Nawet całkiem zręcznie, jak na kogoś, kto przed chwilą zapewniał, że nie zrobi nawet kroku.



Rozdział dziewiąty

Dziwacy i szaleńcy



Każdego wieczora zasypiałem z nadzieją, że noc przyniesie wytchnienie ziemi i ludziom, że spadnie deszcz, a duszna spiekota zamieni się w orzeźwiający chłód. Każdego też ranka budziłem się, licząc, że przejrzyście niebieskie niebo wreszcie pokryje się burzowymi chmurami. Ale nic takiego nie chciało się wydarzyć, a obywatele Weilburga znosili upały, jak to ludzie: jedni lepiej, drudzy gorzej, jednak odnosiłem wrażenie, iż na ogół źle. Z rozgoryczeniem, zniechęceniem i przekleństwami rzuconymi pod adresem palącego z nieboskłonu słońca.

W jeden z takich poranków zajrzał do mnie aptekarz Baum, który w stroju dostatniego, porządnego mieszczanina, w srebrze i czarnych aksamitach wyglądałby godnie, gdyby nie to, że był czerwony, spocony, zdyszany, a jego koszula była przesiąknięta potem tak, że można by ją było pewnie wyciskać.

– Zaszedłem do was, jeśli nic nie macie przeciwko temu – powiedział.

Ucieszyłem się nawet na jego widok, gdyż miło wspominałem naszą wspólną libację, a poza tym konwersacja z Baumem mogłaby stanowić całkiem miły przerywnik codziennej rutyny.

– Zachodźcie, panie Baum – zaprosiłem. – Poczęstuję was czymś do picia.

Zacna Helcia zazwyczaj przyrządzała nam, inkwizytorom, sok z cytryny zmieszany z wodą i rozgniecionymi liśćmi mięty i trzeba przyznać, że ów napitek bardzo dobrze gasił pragnienie. Teraz też poczęstowałem nim aptekarza, nalewając mu napój do wysokiego kubka. Wychylił jednym tchem, poprosił o dolewkę i wypił znowu. Odetchnął głęboko.

– Diabli nadali tę blokadę – rzekł wreszcie. – Mój wóz i moi pomocnicy, wiecie, ci, o których wam wspominałem, z Koblencji, stoją pod murami i Bóg raczy wiedzieć, kiedy zostaną wpuszczeni.

Pokręciłem głową.

– Nie pomogę wam w żaden sposób, chociażbym bardzo chciał – powiedziałem. – Nawet inkwizytorów nie chcą wpuścić do miasta. Moim zdaniem będzie z tego wielka awantura, bo Święte Officjum nie puści płazem podobnej zniewagi.

Baum posmutniał.

– Szczerze mówiąc, nie spodziewałem się, że będziecie mogli mi pomóc – stwierdził. – Bo wiem, jak jest, no ale tonący brzytwy się chwyta.

Pogawędziliśmy jeszcze chwilę o tym, co dzieje się teraz w mieście, i o tym, że niepokojąco wiele osób ciężko choruje lub nawet umiera na kaszlicę, a ci, którzy umierają, wielce wcześniej cierpią.

– Ale wy trzymacie się jak byk. – Aptekarz spojrzał na mnie z uznaniem.

– Z Bożą pomocą – rzekłem.

– Ja też, uchowaj Boże, ani razu nie zakaszlałem od wieków – przyznał Baum. – A jak kicham, to tylko wtedy, kiedy mnie od kurzu zakręci w nosie. Tak, tak. Boże, daj nam zdrowie – dodał jeszcze, wznosząc spojrzenie ku górze. – Bo kiedy zdrowie będzie dobre, to z innymi sprawami pewnie sobie poradzimy sami...

Skinąłem głową.

– Sam wiem doskonale, jak to jest, kiedy zdrowie zawiedzie, gdyż i mnie nie ominęła paskudna choroba – przyznałem.

– E, trzymacie się świetnie. – Widziałem, że ręka mu drgnęła, tak jakby chciał poklepać mnie po ramieniu, ale jednak w porę się powstrzymał.

– Pozory mylą – westchnąłem. – Ponad rok przeleżałem w infirmerii pod czujną opieką dobrych towarzyszy.

– Hu, hu – zdumiał się. – To naprawdę tęga choroba musiała w was uderzyć. Cóż to było za paskudztwo?

Potrząsnąłem tylko głową.

– Nikt tego nie wie. Powiedziano mi, że to czary.

Uśmiechnął się.

– Najzręczniejsze wytłumaczenie, kiedy doktorzy nie wiedzą, co powiedzieć. Czary, uroki, klątwy – westchnął. – A przecież wytłumaczeniem zazwyczaj jest zwykła ignorancja medyków. Niewiedzę co do spraw naturalnych próbują zamaskować ponadnaturalnością.

– Czary, uroki i klątwy istnieją naprawdę – stwierdziłem zimno.

– Och, w to nie wątpię! – Zamachał gwałtownie rękoma. – Nigdy bym nie śmiał negować tego, co twierdzą nasz święty Kościół i Inkwizytorium, które nas przecież bronią przed złem. Niemniej sędzę – ciągnął już spokojnie i łagodnie – że dla medyków nadnaturalność jest świetnym wytłumaczeniem, kiedy naprawdę nie wiedzą, co powiedzieć pacjentowi.

– Temu nie zaprzeczam – odparłem, a potem uśmiechnąłem się lekko. – Ale że kiedy mówicie o medykach, to przez was przemawiają złość i niechęć, wy też nie zaprzeczycie – dodałem.

Machnął ręką.

– Jakże ja, mistrz cechu aptekarzy, mam lubić i szanować lekarzy, skoro na każdym kroku próbują nas, aptekarzy, zniszczyć. Knowają przeciwko nam, intrygują, donoszą na nas...

– Jednak w naszym zacnym mieście donieśli na was towarzysze z cechu, a nie medycy – zauważyłem.

Spochmurniał.

– Bo my jesteśmy jak te wściekłe psy otoczone innymi wściekłymi psami. Ale dajcie pokój aptekarzom. – Znowu machnął ręką. – Powiedzcie lepiej, coście robili przez ten rok wylegiwania się.

Takiemu człowiekowi jak wy, pełnemu życia, musiało się potężnie nudzić, kiedy przykuto was do łóżka.

Rozłożyłem ręce.

– Nic z tego okresu nie zostało mi we wspomnieniach – wyjawilem mu. – Żebyście mnie palili żywym ogniem, to nie przypomnę sobie choćby jednego dnia. No, może... – Przez chwilę zastanowiłem się. – Pamiętam dziewczynę...

– O, dziewczynę! – Roześmiał się. – To musiała być niezła choroba!

– Pamiętam, że podawała mi wodę z liśćmi mięty – kontynuowałem niezrażony jego wtrętem. – Ale kiedy po wyzdrowieniu pytałem o nią towarzyszy, powiedzieli mi, że nigdy żadnej dziewczyny koło mnie nie było. Więc to był tylko sen – dodałem ze smutkiem, gdyż miałem wrażenie, jakby to była nie ułuda, lecz rzeczywistość. Jej jasne włosy, szare oczy, blada twarz, smutny uśmiech i lodowaty dotyk dłoni. Była taka piękna... Tęskniłem za nią, pomimo że była to przecież tęsknota całkiem pozbawiona sensu, gdyż owa dziewczyna była zaledwie wyobrażeniem. Nigdy nie istniała. Nigdy nie wróci inaczej jak w snach.

Baum skinął poważnie głową.

– Tak to często bywa w ciężkiej chorobie, że senne marzenie przenika się na tyle silnie z rzeczywistością, że nie wiadomo, które jest które – stwierdził. – I tak macie wiele szczęścia, że śniliście o dziewczęciu, a nie o krwiożerczych potworach.

Może i tak, pomyślałem, chociaż gdybym śnił o potworach, to przynajmniej nie byłoby we mnie tego tępego, rozjątrzonego i pełnego tęsknoty bólu, pojawiającego się zawsze, kiedy przypominałem sobie twarz tej dziewczyny. Tak jakbym stracił coś nadzwyczaj cennego i jakbym wiedział, że zostałem skazany na to, by nigdy już tego nie ujrzeć.

– Zamyśliliście się – rzekł.

– Wyobrażnia płata ludziom wiele figli – odparłem. – Czasami prowadząc ich do obłądu. W moim wypadku to tylko zwid pełnej wdzięku dziewczyny, ale są przecież tacy, którzy widzą oczami duszy światy pełne demonów, słyszą wyimaginowane, przerażające

dźwięki, oglądają wymyślone koszmarnie obrazy i nie odróżniają tych majaków od rzeczywistości...

– Ano są tacy ludzie, pewnie, że są – przyznał. – I powiem wam też, że znam takie zioła i takie mikstury, a i wam pewnie nie są one obce, że można dzięki nim całkiem łatwo wywołać u człowieka szaleństwo.

Potem potrząsnął głową.

– Ale żeście aż rok leżeli bez pamięci i bez rozumu... – powiedział w zadziwieniu. – No, no, wyjątkowe musiało was dopaść paskudztwo. I Bogu dziękować, że was wyleczono, bo jakby was nie wyleczono, to nie miałby mnie kto uratować!

Logika Bauma może i była pokrętna, ale w jakiś sposób jednak rozumna. Nie przypuszczałem, żeby w Inkwizytorium stała mu się wielka krzywda, jednak wiedziałem też, że kiedy czasami ciężki wóz ruszy po śliskim zboczku, to nawet kiedy okaże się, że potoczył się w wyniku żartu czy pomyłki, to trudno tę jazdę już komukolwiek zatrzymać.

– Mam dziwne przeczucie, że coś utraciłem w tej chorobie – rzekłem jeszcze i sam usłyszałem smutek we własnym głosie.

– Cóż takiego?

Wzruszyłem ramionami.

– Widzieliście kiedyś z bliska płatek śniegu? – spytałem.

– Rzecz jasna – odparł zdziwiony.

– Widzieliście więc, jak złożoną jest konstrukcją, jak skomplikowanym, wycyzelowanym ornamentem. A mówią nawet, choć w to akurat nie wierzę, że na całym świecie nie ma dwóch takich samych płatków śniegu, lecz każdy z tych misternych wzorów różni się od drugiego.

– A jak ta opowieść o płatkach śniegu ma się do waszej choroby? – Spojrzał na mnie uważnie.

– Mam takie uczucie, jakbym nie tak dawno temu złapał płatek śniegu w dłoń, lecz teraz, kiedy rozwieram palce, żeby go dokładnie obejrzeć, widzę już tylko parującą kroplę wody – odparłem smutno.

– Nie pamiętam, ani jak ten płatek wyglądał, ani czy w ogóle kiedykolwiek tak naprawdę istniał. – Wzruszyłem ramionami. –

Wybaczcie, że zawracam wam głowę moim niepokojem – rzekłem już spokojnie. – Ale jesteście uczonym człowiekiem, więc pomyślałem, że może słyszeliście kiedyś o podobnym wypadku.

Pokiwał z namysłem głową i milczał dłuższą chwilę.

– Nie pomogę wam, niestety – rzekł wreszcie. – Choć słyszałem już podobne słowa z ust innego człowieka.

– Coś takiego... – Spojrzałem na niego z zainteresowaniem.

– Stracił pamięć po wyrzuceniu z siodła i uderzeniu końskim kopytem – wyjaśnił Baum. – Też mi opowiadał, że wydaje mu się, że kiedy próbuje sobie przypomnieć pewne wydarzenia z własnej przeszłości, to czuje się tak, jakby miał coś w ręku, ale wyślizgiwało mu się to tak szybko, że nie może dojrzeć, co to jest.

– Ja nie straciłem pamięci – rzekłem. – Poza oczywiście tym rokiem w chorobie, ale co niby mógłbym z niego zapamiętać? Że przewracałem się w łóżku z boku na bok, gorączkowałem i się pocilem?

– Tak czy inaczej, możecie Bogu dziękować, żeście wyzdrowieli i doszli do pełni sił – stwierdził Baum. – Bo rok w obłożnej chorobie to naprawdę nie byle co. Mięśnie wam pewnie musiały mocno zwiotczeć i osłabnąć...

Spojrzałem na niego.

– A wiecie, że wcale... – odparłem i tym razem ja byłem zdziwiony. – Tylko miałem mętlik w głowie, ale cieleśnie nie poniosłem żadnych szkód.

– Ha! No cóż, mieliście więc szczęście w tym nieszczęściu – podsumował.

Milczeliśmy chwilę, a ja zastanawiałem się, jak to jest, że jeden człowiek potrafi przetrwać ciężkie choroby, a czasem głód czy poniewierkę, nawet tortury lub rany wojenne i dochodzi do pełnego zdrowia. A inny zachoruje na katar czy kaszel i nie minie tydzień, a leży w trumnie. Cóż, najwyraźniej niektórzy potrafią się czepiać nici życia niczym pająki pajęczyny.

– Musicie mi wybaczyć, panie Baum. – Wstałem z krzesła. – Ale czekają mnie obowiązki. Muszę przespacerować się po mieście. – Pokręciłem głową z niezadowoleniem. – Diabli nadali ten upał.

– Przespacerować? – powtórzył aptekarz ze zdziwieniem.

– Czasy są niebezpieczne, od kiedy zamknęli nam miasto i szaleje kaszlica, ludziom przychodzą do głowy dziwne pomysły. W związku z tym badamy doniesienia o niepokojących zachowaniach, o dziwactwach, o konfliktach, o czymś, co mogłoby wywołać niepokój, a może nawet rozruchy...

Spojrzałem w rozjaśnione słonecznym blaskiem okno.

– Jak coś się zdarzy złego, to Weilburg spłonie jak stóg siana – mruknąłem.

– Matko Boska Bezlitosna, nawet tak nie mówcie! – Baum odplunął na bok i roztarł płwocinę podeszwą buta. Był tak przerażony, że nawet nie zwróciłem mu uwagi, że pluje w moim domu, na moją podłogę. – Na gwoździe i ciernie! Byłbym zrujnowany! – zakrzyczał jeszcze i zamachał rękami.

– Ba, kto by nie był – odparłem. – I tak dobrze, że Weilburg niemal cały jest murowany, a przecież w takim wypadku ogień nie przenosi się aż tak łatwo.

– Oby się nic nie stało. – Złożył dłonie jak do modlitwy. – A mogę iść z wami? – zapytał niespodziewanie.

– Ze mną? – Spojrzałem na niego ze zdziwieniem. – Żadnych tajemniczych spraw nie będę prowadził, więc żadnych sekretów nie muszę strzec. Ale chce wam się w ten upał?

– W sumie to mi się nie chce – przyznał. – Ale może potem napijemy się jakiegoś wina? Widzicie, ja tu nie bardzo kogo znam poza wami, a zresztą całkiem miło spędziliśmy ostatnio czas.

Cóż, towarzystwo Bauma na spacerze, czy raczej patrolu, jaki mnie czekał, mogło okazać się całkiem niezłym pomysłem. Był to w końcu człowiek wykształcony i serdeczny, i rozmowny, a z takimi ludźmi zawsze milej spędza się czas niż z głupimi, opryskliwymi milczkami.

– Jeśli macie chęć i siłę, żeby towarzyszyć mi w przechadzce po tej przeklętej rozpalonej patelni, w tym przeklętym dusznym kotle, to ja będę miał chęci i siłę, żeby wskoczyć z wami do winiarni na dzbanek lub dwa – obiecałem.

Aptekarz uśmiechnął się szeroko.

– A więc postanowione! – zawołał. – Naprzód, mistrzu Madderdin. Dokąd zmierzamy?

– Na mszę do kościoła Pomsty Jerozolimskiej – rzekłem.

– Na mszę?

– Doniesiono nam, że kapłan odprawia ją w sposób... – zawiesiłem na chwilę głos. – Najłagodniej mówiąc: budzący wątpliwości. Więc muszę sprawdzić, czy nasi informatorzy nie przesadzali.

– A, to ciekawe – ożywił się jeszcze bardziej, co nie zdziwiło mnie, gdyż ludzie na ogół bardzo ciekawi są wszelkich dziwactw, szaleństw, a nawet bluźnierstw, aby tylko przypominały im widowisko cyrkowe i przypadkiem nie zajrzały do ich domów. A tymczasem gdyby nie my, inkwizytorzy, to jak najbardziej by zaglądały...



Kościół Pomsty Jerozolimskiej wznosił się na łagodnym wzgórzu, do którego prowadziła szeroka bita droga, teraz pełna pyłu i kurzu, wznieszanego stopami ludzi zmierzających na szczyt.

– Sporo tych wiernych – zauważył Baum. – Jak na nabożeństwo w środku dnia i środka tygodnia.

– Prawda? Ludzi zawsze najbardziej przyciągają dziwactwa, więc zobaczymy, czy i tutaj mamy do czynienia z podobnym obyczajem.

Podszedł do nas informator Świętego Officjum, chudy, spocony człowieczek o przerzedzonych włosach. Udał, że idzie po prostu obok mnie, bo nie chciał na pewno, by widziano, że rozmawia z inkwizytorem. Chociaż i tak nie sądziłem, by ktoś z tłumu wiernych akurat mnie rozpoznawał.

– Zaraz wszystko zobaczycie, mistrzu – zaszeptał.

Przecisnęliśmy się przez ciżbę, nasz przewodnik zręcznie, zgrabnie niczym piskorz wijący się wśród chwytających go palców, ja bardziej niczym taran, torujący drogę i sobie, i Baumowi. Zresztą taran wyjątkowo zagniewany, gdyż tłum ma to do siebie, zwłaszcza w upalne lato, iż cuchnie niczym stare pomyje zmieszane z padliną

i łąnem. Dla człowieka o wyczulonym węchu i subtelnej naturze, tak jak wasz pokorny i uniżony sługa, jest to wyjątkowo nieprzyjemne doznanie. Ale cóż robić, skoro inkwizytorzy przysięgali własną wygodę poświęcić na ołtarzu szczęśliwości ogółu.

Stanęliśmy przy ścianie i mogliśmy już spokojnie obserwować wysokiego księdza o bladej twarzy, który wznosił dłonie, jak najwyżej się tylko dało.

– Oto ofiaaaruuuję wam uświęcooone konsekrooowanymi dłooońmi, błogosłaaawione fluidy kaaapłana – zaśpiewał.

– Teraz będzie pluł na dłonie i wcierał im tę plwocinę w czoła – zaszeptał mój towarzysz.

– Cóż, widziałem w życiu wiele obrzydliwych obrządków, ale przyznam, że ten w dodatku jest bluźnierczy – powiedziałem, na tyle jednak cicho, aby być pewnym, iż moje słowa dotrą tylko do uszu Bauma.

– Tak jakby udzielał im jakiegoś, wybaczone skojarzenie, szatańskiego i wynaturzonego sakramentu – odszepnął aptekarz.

Skinąłem głową.

– I ja odnoszę podobne wrażenie – odparłem. – Ale cóż zrobić? Przecież nie od dzisiaj wiemy, że wielu kapłanom nie wystarcza status głosicieli Słowa Bożego, a woleliby sami zostać bogami lub przynajmniej bóstwami.

– Też ich nie lubię – westchnął. – Plugawe łąjdaki jeden w drugiego.

– Czasami zdarzy się jeden czy drugi w miarę porządny ksiądz – sprostowałem, mając na względzie uczciwość. – Ale reszta kompanów albo go szybko zmienia na swój wzór i podobieństwo, albo go zaszczuwają.

Kiedy tak sobie cichutko gawędziliśmy o roli Kościoła i jego sług, ksiądz tymczasem przeprowadzał swój ohydny rytuał. Spluwał na dłonie i wcierał plwocinę w czoła wiernych, wciąż mamrocząc lub wykrzykując słowa po łacinie, ale chociaż język ten znałem bardzo dobrze, to nie wiem, czy zniekształcał słowa przez uniesienie, czy też słabo znał mowę Wergiliusza, ale nic z tych wrzasków nie rozumiałem. Natomiast obaj widzieliśmy świetnie, że niektórzy

z wiernych wpadali w taki szal bluźnierczej pobożności, że spływające flegmą ręce księdza całowali lub oblizywali, a ten jeszcze tak wykręcał palce, by mogli je dokładnie wyszorować językami. Baum przyglądał się temu z szeroko otwartymi oczami i wyrazem niesmaku na twarzy.

– Słyszałem w Koblencji takie kazania, po których damy dostawały spazmów i mdlały, ale czegoś takiego jeszcze nie widziałem – zaszeptał ze zgrozą.

– W mowach poruszających serca i umysły wiernych nie ma nic złego, jeśli są zgodne z naukami naszej wiary – odparłem. – Ale ten ksiądz tutaj na pewno nie szerzy wiary w Boga, lecz wprowadza bluźnierczy i obrzydliwy kult własnej osoby.

– Nie powinniście go aresztować, mistrzu Madderdin, właśnie za to bluźnierstwo i za świętokradztwo? – zerknął na mnie aptekarz.

Cóż, zapewne w innych czasach i w innych okolicznościach ten klecha trafiłby przynajmniej na przesłuchanie, aby wyjaśnić inkwizytorom powody, dla których zachowywał się w podobnie ohydny, wypaczający wiarę sposób. Czasy i okoliczności były jednak takie, jakie były, nic nie było w tych dniach zwyczajne, a więc i reakcja inkwizytorów nie mogła być zwyczajna.

– Inkwizytorium nie jest aż tak skore do szybkich aresztowań, przesłuchań i skazań, jak to wyobraża sobie wielu prostaczków – odparłem. – A poza tym co widzieliście, wchodząc do tego kościoła?

Spojrzał na mnie z niezrozumieniem.

– Że niby co widziałem? No że co? No ludzi... Tłum.

– Ludzi – zgodziłem się z nim. – W tym kilku rosłych młodzieńców uzbrojonych w pałki, którzy przechadzali się po dziedzińcu i w kruchcie. Oraz co dużo ważniejsze, wielu wiernych płci obojga, a w ich oczach widziałem płonący niezwykle blask. Wiecie, jaki to blask?

Mój towarzysz poruszył niepewnie ramionami.

– Widziałem w ich oczach płomień zapału powodowanego nadzieją, wiarą i ufnością – odparłem na własne pytanie, nie czekając, aż on coś powie. – A ludzie mający w oczach taki ogień nad wyraz łatwo potrafią go przekształcić w gniewną pożogę. I w tej krótkiej lub dłuższej chwili, kiedy ta pożoga szaleje, owych ludzi

nieszczególnie obchodzi, czy spopielą nim żebraka, sąsiada, szlachcica, inkwizytora, czy księcia...

– Ha – rzekł po chwili namysłu. – Boicie się więc rozruchów? – Rozejrzał się dyskretnie, ale uważnie. – Może i racja, może i racja...

– Sformułowanie „boję się” jest uszyte ponad rozmiar – odparłem spokojnie. – Lepiej powiedzieć, że znam konsekwencje zbyt pochopnego działania. A poza tym już niedługo wszystko wróci do normy. Cały świat, teraz stojący na głowie i robiący fikołki, zostanie z powrotem pchnięty na kolana. I kiedy to się już stanie, wtedy spokojnie, cierpliwie, lecz surowo, rozliczymy wszystkich, którzy w chwili próby podskakiwali zbyt wysoko, zamiast trzymać głowę przy ziemi...

– Oby tak się stało, oby tak się stało – zgodził się ze mną gorliwie.

A potem precyzyjnie się do wyjścia, gdyż nic więcej nie było tu już do oglądania, a to, co widziałem, zupełnie mi wystarczało za akt oskarżenia. Oczywiście na razie młyny sprawiedliwości nie zaczną jeszcze mieć, lecz nie omieszkam przecież sporządzić raportu, który w stosownym czasie zostanie wykorzystany w ten lub inny sposób.

Zeszliśmy z kościelnego wzgórza i weszliśmy pomiędzy kamienice. Na murze obok nas nabazgrano ogromny napis mówiący, że niejaka Emma Stolz jest plugawą kurwą, która daje się dymać we wszystkie trzy otwory i wszystkimi trzema zaraża.

– Obrzydliwe – skrzywiłem się.

Zaraz za rogiem dojrzelismy natomiast mały, kolorowy szyld informujący, że Emma Stolz zaprasza do swojego przytulnego mieszkanka.

– Czyli tamto to była konkurencja – mruknął Baum.

– Albo rozczarowany klient – odparłem.

– O, widzicie, a ja mam pytanie do was, jeśli można. – Aptekarz nerwowo zatarł dłonie. – Bo wy wszystkich tu znacie jako inkwizytor, więc może... może... jeśli nie będzie to niegrzeczne z mojej strony...

– Mówcie śmiało. Chętnie wam dopomogę.

– O, wielce jesteście łaskawi, mistrzu Madderdin. – Mówiąc to, rozpromienił się. – Może więc polecilibyście mężczyźnie takiemu jak ja jakiś spokojny, miły przybytek, gdzie przebywają ładne i grzeczne panny.

Uśmiechnąłem się szeroko.

– W naszym mieście nie narzekamy na brak tego rodzaju atrakcji – rzekłem. – Chociaż oczywiście znajdziecie zarówno speluny dla biedoty, jak i wytworne lokale dla klienteli pragnącej spędzić czas w miłej atmosferze z wesołymi dziewczętami, a nie tylko, niczym jakieś bezrozumne zwierzę, odbyć krótki akt kopulacji pomiędzy nogami znudzonej kurwy.

– O, to, to. – Wyciągnął palec. – Właśnie jakieś czarowne towarzystwo mi się marzy.

– Czarowne – powtórzyłem, pokręciłem głową i uśmiechnąłem się na myśl o tym, jakiego Baum użył słowa. – No cóż, mogę wam polecić „Rzymską Łaźnię”, gdzie można pokonwersować, napić się wina, poddać masażowi oraz pofiglować w basenie z gorącą wodą lub w pokojach obok niego... Dziewczyny są młode, piękne i zadbane. I bardzo, bardzo drogie.

– Mówicie, jakbyście tam bywali – stwierdził i zerknął na mnie.

– Właściciele tego przybytku rzeczywiście uważają inkwizytorów za gości, których obecność zapewnia im pewien rodzaj... bezpieczeństwa.

Nie wiem, czy zrozumiał, co miałem na myśli, ale pokiwał głową z mądrym wyrazem twarzy. Tymczasem prawda była taka, że właściciel „Rzymskiej Łaźni” był jednym z nas, naszym dawnym towarzyszem, który po latach służby odszedł, by pędzić spokojne życie porządnego mieszczanina. Ale przyjaźń z inkwizytorami zapewniała mu dwie rzeczy tak ważne w tym delikatnym przedsięwzięciu: całkowitą wolność od płacenia przestępcom haraczy oraz bezpieczeństwo. A koszt tej przyjaźni nie był wygórowany i spłacały go zatrudnione przez niego dziewczęta, a nie on sam...

– No i mamy też drugi przyjemny domek – kontynuowałem. – Ufundowany przez rajców miejskich, w zbożnym celu, by samotni

mężczyźni wyładowywali swoje chucie z dziewczkami, a nie zaczepiali i sprowadzali na złą drogę przyzwoite dziewczęta. Ten przybytek prowadzi żona Friedricha, naszego kata, którego mieliście już okazję poznać. Ceny są zdecydowanie bardziej przystępne niż w „Rzymskiej Łażni”, ale panny równie starannie dobierane, by zainteresowanych przyciągać, a nie przerażać.

– O, to, to! – Zaklaskał w palce, wyraźnie ucieszony. – Dobre towarzystwo i przyjemny nastrój to jest coś, czego potrzebuje samotny mężczyzna w obcym sobie mieście.

– No i nie kradną – rzekłem jeszcze na koniec. – Jak Friedrich jednej z dziewczyn połamał palce za kradzież złotej broszy klientowi, to od razu wszystkim pozostałym pannom podobne myśli wywietrzały z główek. A dom stał się jeszcze bardziej ceniony niż wcześniej. Teraz wdowa będzie musiała sama sobie poradzić.

– Wyśmienicie. Naprawdę wyśmienicie. – Na policzkach Bauma pokazał się rumieniec, lecz jak przypuszczałem, wywołany nie wstydem, ale ekscytacją na myśl, jakie przyjemności czekają w naszym mieście zacnego mieszczanina. – A nazywa się jakoś to miejsce?

Uśmiechnąłem się.

– Nazwa nie jest tak wykwintna jak „Rzymska Łażnia”, gdyż ów miejski przybytek nazwano „U Drągala”. – Baum zaśmiał się, słysząc moje słowa, a ja kontynuowałem objaśnienia: – Miało to określenie opisywać naszego kata, bo sami przecież mieliście okazję zobaczyć, jakie z niego było wielkie chłopisko, ale rzecz jasna, ludzie tę nazwę rozumieją, jak się domyślacie, całkiem inaczej.

– Póki nie znajdę żony, to widzę, że będzie tu co robić. – Zatarł rękę, tym razem nie z zakłopotania, lecz z wyraźnego ukontentowania. – A powiem wam jeszcze, że dla człowieka takiego jak ja bywanie w podobnych miejscach to nie tylko kwestia odegnania przykrej samotności, ale również nawiązania opłacalnych stosunków handlowych.

– Słusznie – rzekłem. – Sam wiem, że wielu porządnych mieszczan omawia w tych domach interesy i historia licznych ciekawych

kontraktów zaczęła się właśnie tam. Miła atmosfera i czyste dziewczęta to aż nadto w dzisiejszych podłych czasach.

– Czystość uważam za jedną z cnót głównych – rzekł aptekarz, przykładając dłoń do piersi.

– Czystość w sensie duchowym czy w sensie cielesnym? – spytałem.

– Co do tej pierwszej, nigdy złego słowa nie powiem – zastrzegł Baum. – A wręcz przeciwnie: wielce szanuję ludzi potrafiących żyć uczciwie oraz moralnie.

– To bardzo zacnie z waszej strony – pochwaliłem go.

– Czystości w rozumieniu dosłownym, jako braku brudu, również jestem wielkim admiratorem – zapewnił. – Jednak moje ogromne wątpliwości budzi to, co nazywamy czystością cielesną, a co oznacza ni mniej, ni więcej, tylko brak obcowania fizycznego. – Wypowiadając te słowa, pokręcił głową z zasepioną miną.

– Czyli? Jakież to są wątpliwości? – zainteresowałem się.

– Mianowicie uważam, posiłkując się obserwacjami oraz dogłębnymi przemyśleniami – Baum znacząco uniósł palec – że ten rodzaj czystości, który polega na zaniechaniu fizycznego obcowania, jest wielce szkodliwy! Powiadam wam z całą odpowiedzialnością: wręcz niezmiernie szkodliwy, zwłaszcza dla organizmu młodego, silnego mężczyzny.

– Wiedziałem. – Skinąłem głową. – Po prostu instynktownie czułem, że powstrzymywanie się od przyrodzonych człowiekowi fizycznych żądź jest niebezpieczne. I dlatego przez całe życie starałem się zażywać odpowiednie medykamenty. Można teraz powiedzieć: nie dla płochej przyjemności aktu cielesnego obcowania, lecz dla medycznej konieczności i poprawy zdrowia.

– Żartujecie sobie, a nie powinniście. – Tym razem pogroził mi palcem. – Bowiem powiedzcie mi, czy w ogóle wiecie, co się dzieje z nasieniem, którego mężczyzna się nie pozbywa w drodze naturalnego zbliżenia cielesnego i które w związku z tym przechowuje zbyt długo?

– Jak sądzę, zaraz się dowiem – mruknąłem.

– Ono gnije – stwierdził dobitnie Baum i aż się wykrzywił z obrzydzenia. – Niczym jedzenie, które niegdyś pożywne i zdrowe, teraz zostało wyrzucone na śmietnik, a tam po kilku dniach...

– Zrozumiałem za pierwszym razem – przerwałem mu.

– No właśnie, a wiecie, co dzieje się dalej?

– Niestety, mam wrażenie, że nic przyjemnego...

– Przyjemnego! – wykrzyknął ze zgorzaniem i aż poczerwieniał ze wzburzenia. – O przyjemności w tym wypadku nie ma nawet mowy! Otóż owo zgniłe nasienie wzbiera. – Poruszył rękoma w taki sposób, jakby pod jego dłońmi rosła jakaś wielka głowa. – I wzbierając, uderza poprzez żyły aż do samego mózgu!

– Niedobrze – powiedziałem.

– Oczywiście, że niedobrze – zgodził się ze mną. – Bo ono, nie znajdując w żaden sposób ujścia, rozkłada się w mózgu i zatruwa następnie cały umysł człowieka, czasem nawet powodując szaleństwo! Jednych doprowadza to do wybuchów bezrozumnego gniewu i złych uczynków, innych z kolei do otępienia zmysłów i ulatywania woli życia.

Pokręciłem głową.

– Smutna sprawa – rzekłem.

– I gorzej jeszcze może być, tak wam powiem. – Machnął ręką i wstrząsnął się z obrzydzeniem. – Bo oto owo zepsute nasienie może wyciekać różnymi otworami: nozdrzami, uszami, a nawet kącikami oczu, roznosząc wokół nieznośny fetor.

– Obrzydliwe – stwierdziłem. – Zaczynam wierzyć, że to sama ręka opatrności czuwała nade mną, że od czternastego roku życia dbam, aby moje nasienie nie gniło i nie spływało żyłami do mózgu.

– Bardzo dobrze robicie – pochwalił mnie poważnym tonem. – I dbajcie o to, żeby nie zaniedbywać tej strony życia, gdyż skutki takowego zaniedbania mogą okazać się opłakane!

Uśmiechnąłem się.

– Jest tu, w Weilburgu, pewna urocza młoda dama, która pilnie dba, żebym się nie zaniedbywał w tych kwestiach – wyznałem. – A w razie czego zawsze zostają nam burdele, czyż nie?

– Rzecz jasna! – Aptekarz rozpromienił się. – Przecież kurwy są jak naczynia, do których zacny mężczyzna wylewa nadmiar swojego zapału, żeby tym nadmiarem nie szkodzić ani sobie, ani innym. A pamiętajmy, że gdyby sobie nie pofolgował, wielkie szkody mogłyby się wydarzyć – dodał ostrzegawczym tonem.

– Można więc powiedzieć, że domy publiczne nie są przybytkami płochych uciech, lecz wręcz sanktuariami Asklepiosa i Hygei, wzniesionymi i prowadzonymi dla ratowania ludzkiego zdrowia i życia – stwierdziłem z powagą.

– Tak właśnie jest – odparł, kiwając głową. – Całkiem się zgodzę z podobnym rozumowaniem i podobnym wnioskiem. Nie mówiąc już o wielkim znaczeniu, jakie obecność tych domów ma dla utrzymania w ryzach publicznych obyczajów, co jest kwestią inną i powszechnie wiadomą.

– Rozumiem też teraz lepiej, dlaczego księża, którzy nieopatrznie i ryzykownie przestrzegają zasad celibatu, wydają się nadzwyczajnie wyraźnymi egzemplifikacjami owego gnicia stęchłego nasienia w mózgu... – zauważyłem.

– Wiem, że sobie ze mnie kpicie – przyznał dobrodusznie. – Ale to, co wam mówię, to najszczęsza prawda i potwierdzone koncepcje wybitnych uczonych.

– Tak czy inaczej, to dobrze, że zgadzamy się, że wizyty w burdelach są wyrazem dbałości o zdrowie. – Złożyłem dłonie. – Bo to oznacza, że my, którzy tam chętnie chadzamy, wcale nie jesteśmy chutliwi, a po prostu zatroskani o własną kondycję.

– Ale, widzicie, tu jeszcze jedna sprawa, skoro mowa o zdrowiu! – zawołał. – Otóż jestem pewien, że pracującym dziewczętom przydadzą się jakieś maści, driakwie, mikstury czy eliksiry. I kto lepiej ode mnie przyrządzi je tak, by pomagały, na co mają pomagać, i wcale nie szkodziły?

– Widzę, że wszystko sobie dokładnie przemyśleliście – pochwaliłem go.

– Dokładnie! – zgodził się ze mną, ogromnie zadowolony. – Bo ja, widzicie, gotów jestem służyć moimi umiejętnościami każdemu, kto

zapłaci – dodał z przekonaniem. – Czy to księżę, czy kurwa, wszystko mi jedno, aby tylko byli wypłacalni.

– Nie widzę w podobnym podejściu niczego nagannego – stwierdziłem. – Wręcz przeciwnie, sądzę, że jesteście solą tej ziemi. To na ludziach takich jak wy opiera się dobrobyt naszego błogosławionego Cesarstwa.

Rozpromienił się i zanim zdążyłem cokolwiek uczynić, pochwycił mnie serdecznie za obie dłonie.

– Jakże się cieszę, że to rozumiecie, nie będąc przecież kupcem i stojąc daleko od naszych codziennych kłopotów. Dobrze spotkać człowieka takiego jak wy.

Ze spokojem i godnością zniosłem jego potrząsanie moimi rękoma i dopiero po chwili delikatnie wyzwoliłem się z uścisku.

– I co teraz? – spytał z zapalem. – Możemy już iść się napić?

– Obawiam się, że jeszcze nie – odparłem, wzdychając, gdyż wcale nie uśmiechała mi się wędrówka po rozgrzanych, dusznych ulicach.

– A co nas czeka w takim razie?

– Kolejny kościół, niestety – odparłem.

– Znowu jakiś bluźnierczy kapłan?

– Zobaczymy – odparłem. – Ale powiem wam, że od wielu lat widzę, że kościoły stają się wylęgarniami grzechu i herezji, a księża są szafarzami wszelkiego plugastwa. No ale, daj Boże, z pomocą naszego Pana uporamy się z tym prędzej czy później.

– Jestem wielkim admiratorem cnoty – zauważył Baum. – I wyznam wam szczerze, że moim zamiarem jest również znalezienie tutaj, w Weilburgu, cnotliwej niewiasty, żeby zaszczyścić ją ożenkiem. Bo w Koblencji nikogo odpowiedniego, niestety, nie znalazłem – dodał zmartwiony.

– Dobrze wybrana żona może sprawić mężowi wiele przyjemności – powiedziałem.

– O mistrzu inkwizytorze! – Aż się zatrzymał, tak poruszyły go moje słowa. – Od przyjemności to są, za waszym przeproszeniem, dziwki – stwierdził z przekonaniem. – A żonka ma być skromna i bogobojna. No i dzieci ma urodzić, a potem dobrze je wychować. Po

cóż do spraw tak poważnych jak małżeństwo mieszać sprawy tak ulotne jak przyjemność? – Spoglądał na mnie z wyrzutem.

– Podobnie jak wy sądzili starożytni Grecy – pochwaliłem go. – Żona miała zajmować się domem i dziećmi, a od miłosnych porywów, zmysłowych doznań, a nawet intelektualnych uniesień w dyskusjach o sztuce i filozofii były piękne i mądre hetery.

– Hetery – powtórzył z uśmiechem, bo najwyraźniej spodobało mu się to słowo.

– No ale u nas heter nie ma, więc musimy kontentować się kurwami – westchnąłem. – Co zrobić, taki świat...

– Mogłoby być gorzej – zauważył Baum. – Bo gdyby wszystkie kobiety były porządne, to byłaby dopiero najgorsza bieda.

Roześmiałem się.

– Tego to nigdy nie będzie. Zaręczam wam, panie Baum, że każda, czy panna, czy mężatka, czy wdowa, aż przebiera nogami, żeby zadać się z takimi chwackimi chłopakami jak my...

Baum aż poczerwieniał i podkręcił długaśnego wąsa.

– Naprawdę tak sądzicie?

– Jesteście nie tylko uczonym i bogatym człowiekiem, ale przecież, choć Pan nie raczył was obdarzyć wzrostem olbrzyma, to i tak kawał z was chłopca. – Przyglądałem mu się życzliwie. – Zupełnie nie macie czego się wstydzić. Założę się, że w naszym mieście będziecie mieli każdą dziewczkę, którą tylko zechcecie zaszczyścić swoją uwagą.

Później nie mówiliśmy już za wiele, bo spiekota i duszność były tak niemile, iż nie chciało się nawet poruszać ustami, gdyż człowiek był już wystarczająco zrozpaczony, że musi poruszać nogami. I tak aż dziwne, że gadaliśmy całkiem sporo do tej pory, zapewne dlatego, że Bauma najwyraźniej bardzo zajmował temat gnijącego nasienia, a ja z kolei z przyjemnością wysłuchałem teorii, która potwierdzała, iż prowadzę całkiem zdrowe życie. Wreszcie jednak zaszliśmy do kolejnego kościoła, a od dłuższego już czasu widzieliśmy wznoszący się z tego miejsca dym i czuliśmy silny zapach płonących drew. Weszliśmy za mur i zobaczyliśmy już dokładnie, jak sprzed

ceglanego budynku unosi się słup ciemnoszarego oparu bijący równą kolumną pod bezchmurne niebo.

– A cóż to się dzieje? – Baum zmarszczył brwi. – Czyżby jakaś świętokradcza ręka podpaliła świątynię?

– Nie, nie – zaśmiałem się. – Czyżby ksiądz tańczył wtedy przy takim ogniu?

– Ach, to jest ksiądz... Rzeczywiście.

Zbliżyliśmy się, z pewnym niepokojem zauważając, że płomienie są naprawdę wielkie, a snopy iskier pędzą całymi ławicami pod niebo. Po ściętych przy samej ziemi pniach wiekowych brzoź okalających przedtem kościół poznałem, skąd wzięto tyle drewna na ów wielki stos. Rzezi drzew dokonano prawdopodobnie pod wodzą miejscowego księdza, który teraz komenderował tłumkiem otaczającym ogień. Paru mężczyzn stało z wielkimi płachtami w rękach i machało nimi z wielką zawziętością w taki sposób, by gęsty, gryzący dym kierował się w stronę ustawionych szeregiem ludzi, którzy szeroko rozdziawiali usta.

– Zdumiewające – powiedziałem.

– Ach, już wiem. – Baum klepnął się w czoło.

– Co takiego wiecie?

– Słyszałem o tej koncepcji. Oni wierzą, że kaszlica jest powodowana przez opary trującej mgły osadzającej się w piersiach człowieka – wyjaśnił. – Dym z drewna brzoźowego osusza tę mgłę, a wtedy człowiek od razu cudownym sposobem zdrowieje.

Spojrzałem na mężczyznę, który nękany potwornym paroksyzmem kaszlu, przetaczał się po ziemi, charcząc, dławiąc się i łapiąc dłońmi piersi.

– Ten tutaj wcale nie wygląda, jakby cudownie zdrowiał – zauważyłem.

Aptekarz wzdrygnął się.

– To, co robią, jest potężnie głupie, ale chyba nie bluźniercze, prawda?

Potrząsnąłem głową.

– Prawda. Chodźmy stąd, póki nie prześmierdniemy dymem od butów po włosy. Mam nadzieję, że straż każe im wygasić to ognisko,

bo... – Spojrzałem jeszcze raz w wysoko lecące snopy iskier. – Jeszcze jakaś bieda z tego wyniknie.

– A wy? Nie możecie im kazać zgasić ognia?

– Mogę – odrzekłem. – Ale przecież ci ludzie są tak rozpaleni wiarą w słuszność tego, co czynią, że mnie nie usłuchają. A zmusić takiej gromady, żeby wykonała moją wolę, nie mam możliwości. Więc tylko naraziłbym powagę Świętego Officjum, wydając rozkaz, którego nie jestem w stanie wyegzekwować.

Baum zamyślił się, a potem pokiwał głową.

– No niby tak – odparł.

Wyszliśmy za obręb kościelnych murów.

– I co? Już? – zapytał z nadzieją aptekarz.

– Ano kierujmy się spokojnie w stronę jakiejś winiarni – zdecydowałem.

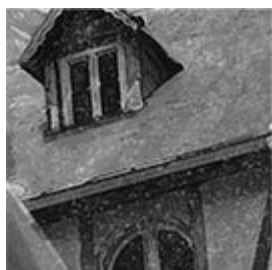
– Bogu dziękować – powiedział ze szczerą radością i wyraźną ulgą.

Od razu też humor polepszył mu się na tyle, że zaczął gadać. Jak widać, nie tylko wino rozwiązywało język, ale samo oczekiwanie, że niedługo będzie można się go napić.



Rozdział dziesiąty

Maluśkie diablęta Bauma



Zmierzałyśmy niespiesznie do pewnej winiarni, w której Baum nigdy wcześniej nie był, a którą ja znałem z tego, że nie wpuszczano do niej byle hołoty, więc istniała szansa, że będziemy mogli napić się w otoczeniu zacnych mieszczan, a nie obwiesi rzygających na buty zarówno sobie, jak i każdemu, kto stanie obok nich. Tak jak wspominałem, Baum nabrał ochoty na konwersację.

– Widzicie, mistrzu Madderdin, po wielu latach obserwacji chorych doszedłem do wniosku, że nie żadne opary czy wyziewy są odpowiedzialne za choroby nękające rodzaj ludzki, lecz całkiem niewidoczne kreatury poruszające się w powietrzu. A niewidoczne nie dlatego, że obdarzone jakimś rodzajem magicznej mocy, lecz dlatego, że tak niezwykle maleńkie.

– Jak muszki siadające na owocach – odpowiedziałem.

– Otóż nie! – zawołał. – Wyobraźcie sobie taką muszkę, o której mówiliście. Ma nogi, prawda?

– Owszem – odparłem ostrożnie.

– A każda z tych nóg, co widać tylko wtedy, kiedy przyjrzymy się jej bardzo dokładnie i z bardzo bliskiej odległości, ma włoski. Wiedzieliście o tym?

– Wybaczcie. Przyglądania się nogom much nie uznawałem do tej pory za konieczne w pracy inkwizytora – odparłem.

– Teraz wyobraźcie sobie, że jeden jedyny włoszek takiej muchy oderwał się od jej nogi i podróżuje przez powietrze niesiony podmuchami wiatru. Czy dostrzeżlibyście go?

Potrząsnąłem głową.

– Nie, na pewno nie – rzekłem.

– Ano właśnie! – Klasnął zadowolony. – A teraz przedstawcie sobie, że w świecie kreatur, o których mówię, ten włoszek byłby niczym dom przy ludziach spacerujących w cieniu jego murów.

Milczałem dłuższą chwilę.

– Nadążacie za moim rozumowaniem? – zapytał wreszcie.

– Nadążam, panie Baum. Zastanawiam się tylko nad implikacjami tezy, że poza naszym postrzeganiem istnieje jeszcze cały wielki i wrogi nam świat maleńkich kreatur. Tak jakby mało było nam demonów nękających rodzaj ludzki...

– Ależ nie myślcie o tym w ten sposób! – krzyknął. – Nie myślcie, Boże broń, o zamierzonej wrogości owych stworzeń! Przecież jeśli zawieje wiatr i podniesie się przez to tuman pyłu na piaszczystej drodze i ten pył was udusi, to nie dlatego, że wiatr i pył pragnęły waszej zguby, lecz tylko dlatego, że takie, a nie inne są prawa natury.

– Rozumiem. – Skinąłem głową. – Choć nie sądzę, żeby ludziom spodobała się myśl, że obok nich lata w powietrzu coś, co może ich zabić i czego nie są w stanie nawet dojrzeć, a co tu nawet mówić o obronie przed tym czymś... tymi kreaturami.

– O widzicie, a co do nazwy, której tak jak wyraźnie teraz słyszałem, szukaliście w głowie dla owych stworzeń, to postanowiłem, że nazwę je maluskimi diablętami Bauma.

Parsknąłem śmiechem i przystanąłem.

– Panie Baum, czy wy w ogóle sami siebie słyszycie? – Spojrzałem na niego krytycznie. – Maluskie diablęta Bauma? – powtórzyłem z ironicznym naciskiem. – Co to w ogóle za nazwa? Przecież jeśli ogłosicie swoje rewelacje i je opublikujecie, to wszyscy uczeni doktorowie z całego świata będą z was mieli pośmiewisko!

– Tak sądzicie? – Spojrzał na mnie zdziwiony. – Dla mnie to wcale nie brzmi zabawnie...

– Sformułowanie „maluśkie diablęta Bauma” nie brzmi dla was zabawnie? – dopytałem z niedowierzaniem.

– Nie... – Potrząsnął głową. – Wcale a wcale.

– Pewnie tak silnie przyzwyczailiście się już do tej nazwy, że efekt jej wyjątkowego wręcz komizmu wam umyka. – Wzruszyłem ramionami. – Nie mówię w tym wypadku, i to dobrze zważcie, o śmieszności wzbudzającej dobry humor u widza i sympatię dla żartownisia, lecz o zbitce słów rodzącej pospolite szyderstwo.

– No coś takiego – rzekł zmartwiony Baum i widziałem, iż moje słowa to dla niego całkiem nowy pogląd. Co byście mi w takim razie doradzili? Bo wiecie... – Spojrzał na mnie kosym okiem. – Zawsze łatwiej krytykować czyjąś konstrukcję, niż wznieść własną.

– Cóż, mogę wam poddać pod rozwagę to i owo – powiedziałem i zastanawiałem się przez chwilę. – Po pierwsze i najważniejsze, nazwijcie te swoje wymyślane stwory po łacinie, bo to zawsze brzmi uczenie i powoduje, że plebs, zamiast się naśmiewać, to z podziwem wkłada kciuki do ust i marszczy czoła.

Baum westchnął.

– Druga sprawa – kontynuowałem. – Unikajcie jakichkolwiek nawiązań do diabła, demonów czy sił szatańskich i nadprzyrodzonych. Po co wam to? Chcecie znowu trafić na przesłuchanie do Świętego Officjum? Mało wam było jednej sesji na naszym stole tortur? Chcecie wdawać się w dyskusje teologiczne miast dyskusje biologiczne?

Tym razem pokiwał gorliwie głową.

– Niech wasze wyobrażone potworki nazywają się... – znowu zamilkłem na chwilę. – Na przykład *micro vipera volantes*. I każcie ludziom sądzić, że wiele jest rodzajów tych niewidzialnych żmij, a każda postać atakuje innym typem jadu, czasami śmiertelnie trującym, a czasami szkodliwym w niewielkim tylko stopniu.

– *Micro vipera volantes* – powtórzył. – Jakoś nie zapada mi w pamięć – dodał z wyrzutem i rozczarowaniem.

– O, zgadzam się, że wasze „maluśkie diablęta Bauma” zapadają w pamięć znacznie lepiej, pytanie tylko brzmi, czy ludzie rozumieją je w taki sposób, w jaki byście sobie tego życzyli.

– Ech – westchnął tylko.

Dotarliśmy do winiarni, która nosiła czcigodne miano „U Świętego Marcina”, jako że święty ten był przecież patronem winnic i winiarni. Wielki szyld zawieszony na ścianie głosił: „Kto Świętego Marcina o łaskę prosi, tego kac nie wytarmosi”. Pokręciłem głową.

– Żeby to była prawda, to nawet można by znieść te straszne rymy – rzekłem.

Przy drzwiach stał ponury, spocony osiłek, którego rola najwyraźniej polegała na dokonywaniu selekcji gości. Ci, których uznał za godnych, dostawali uśmiech i życzliwe słowo, a zaliczeni do hołoty – pogardliwe warknięcie. A jak się bardzo napraszali, to zarobili i kopa w zadek albo pięścią w ucho. Weszliśmy do środka. Oczywiście w winiarni było duszno i gorąco, bo czegoż innego można się było spodziewać, ale w porównaniu z „Rozśpiewanym Koziółkiem” wewnątrz robiło wrażenie czystego i przestronnego, goście byli dużo lepiej ubrani. Nawiasem mówiąc, ceny podawanych tu trunków różniły się również. No ale skoro Baum zapraszał, to nie obchodziło mnie to aż tak bardzo.

Znaleźliśmy stół przytulony do najdalszej ściany i idąc w jego stronę, minęliśmy trzech sztywnie odzianych mieszczan, którzy przerwali konwersację i libację, gdyż wszyscy trzej zajmowali się kasłaniem, wykaszliwaniem, krztuszeniem się i prychnaniem.

– Do porządnego lokalu powinno się wpuszczać tylko tych ludzi, którzy nie kaszlą – zauważył z niesmakiem Baum.

Usiedliśmy, a siedzący tuż koło nas mężczyzna odwrócił się w naszą stronę. Miał palce ubrudzone atramentem, a przed nim stał kałamarz, leżało gęsie pióro i plik gęsto zapisanych kart papieru.

– Mistrz Madderdin i mistrz Baum – powiedział z uśmiechem. – Jakże miło widzieć was obu w zdrowiu i w tak przyjaznej komitywie. Pozwólcie, że się przedstawię. Jestem Hiacynthus Bäcker, mistrz pióra, niezrównany stylistą, retoryk i demagog. Człowiek, który może o sobie powiedzieć, iż tak umiejętnie porusza najczulsze

struny w ludzkich duszach, że wszyscy mężczyźni pragną być nim, a wszystkie kobiety pragną być z nim. – Uśmiechnął się jeszcze szerzej.

– A przy tym człowiek wyjątkowej wręcz skromności – mruknąłem.

– Przede wszystkim jednak wasz sługa życzliwy, oddany i uniżony. – Przyłożył prawą dłoń do serca. – Powiedzcie mi, zacni mistrzowie, czy chcielibyście poznać, jaka będzie wasza przyszłość?

Nie miałem pojęcia, kim jest ten mężczyzna, ale sprawiał wrażenie, jakby nas znał, a nawet darzył sympatią.

– Twierdzicie, że wiecie, jaka przyszłość czeka ludzi? Odpowiem wam na to, że tego nie wie nikt prócz Boga Wszechmogącego – odparłem.

Spojrzał na mnie kpiąco.

– Czyżby? Zerknijcie no, z łaski swojej, na tych trzech kaszlących kompanów. – Wskazał mi ruchem głowy mieszczan, którym wcześniej sam się z ciekawością przyglądałem. – Jeden z nich od choroby umrze pojutrze, drugi opuści padół ziemski za cztery dni, a trzeci przeżyje ich obu. Wyzdrowieje i tak będzie uradowany z powodu swego nagłego szczęścia, że kilka dni później upije się na umór, ześlizgnie z nabrzeża i utopi. Tak właśnie się stanie, wiem to na pewno i nic w tej mierze nie może już zostać zmienione.

– Niczego nie możecie wiedzieć na pewno. – Spojrzałem na niego ciężkim wzrokiem. – A wygłaszając podobne twierdzenia, podważacie wszechmoc naszego Pana. Bo Bóg w każdej chwili wedle własnego upodobania może odmienić ludzki los, człowieka pogłębić, uratować lub wpierw pogłębić, żeby potem w chwale wywyższyć.

Pisarz wzruszył ramionami, zupełnie nieprzejęty moją tyradą.

– Możecie mówić, co chcecie, a ja wiem swoje. Stanie się tak, jak powiedziałem, i już. Wszystko zostało zapisane, widzicie?

Zabrudzonym od inkaustu palcem wskazał mi linijkę tekstu, a ja bez trudu przeczytałem zdanie, choć było do góry nogami. Brzmiało ono: *Jeden z nich umrze od choroby pojutrze, drugi opuści padół ziemski za cztery dni, a trzeci przeżyje ich obu. Wyzdrowieje i tak*

będzie uradowany z powodu swego nagłego szczęścia, że w kilka dni potem upije się na umór, ześlizgnie z nabrzeża i utopi.

Postukał palcem w blat stołu.

– Sami więc świetnie widzicie – rzekł – że rzecz została postanowiona i wydarzenia potoczą się dokładnie tak, jak zapisano. Nawet nie bardzo szkoda mi tych ludzi – westchnął i wzruszył ramionami. – Bo przecież ani nie wiem, kim są, ani nawet nie znam ich imion, ani nie wiem, czy ich odejście będzie dla świata przekleństwem, błogosławieństwem, czy zdarzeniem całkowicie obojętnym. A i wy zaraz, za chwilę zapomnicie o mnie, a trochę później zapomnicie również o tych kaszlących ludziach. I zajmiecie się własnymi kłopotami, których jak mniemam, macie w dzisiejszych złych czasach całkiem sporo.

Przyglądałem mu się uważnie.

– Nie zapomnę o was, wierzcie mi – rzekłem. – Zresztą mam wrażenie, że kiedyś was już widziałem – dodałem z namysłem.

Chciałem coś jeszcze dopowiedzieć, ale nagle za moimi plecami rozległ się donośny huk, brzdęk i zaraz połączone z nim wściekłe krzyki, śmiech oraz wulgarne przekleństwa. Odwróciłem się gwałtownie. Cóż, okazało się, że pomimo iż winiarnia była, jak wspominałem, całkiem niezła, to któryś z gości wszczął jednak awanturę. Ale szybko został chwycony za kark i wykopany na zewnątrz, a zaraz za nim wyleciał jego towarzysz, który nazbyt ochoczo stawał w obronie przyjaciela.

– Szybko, sprawnie, bez problemu. Chwali im się. – Pokiwałem głową.

Potem spojrzałem na aptekarza.

– O czym rozmawialiśmy?

– Jeszcze nie zdążyliśmy tutaj zacząć rozmowy – zdziwił się. – Chyba że macie na myśli, o czym rozprawialiśmy, jeszcze będąc na zewnątrz?

– Nie, nie. – Zerknąłem na pusty stolik obok i zmarszczyłem brwi. – Miałem wrażenie, że z kimś jednak przed chwilą rozmawiałem. – Odetchnąłem głęboko. – Ech, ten upał, w głowie tylko mąci człowiekowi.

Posługacz postawił przed nami dzban białego wina i dwa wysokie cynowe kubki, które ku mojemu zdumieniu były czyste, a nawet błyszczące.

– Aż miło będzie pić z takich naczyń.

Wypiliśmy już bez zbędnego gadania najpierw po jednym kubku, a potem, by należycie przygotować język oraz usta do przyszłej konwersacji, szybko podlaliśmy je kolejną porcją zimnego wina.

– Pozwólcie, że spytam... – Baum odetchnął głęboko. – Nie podoba wam się mój koncept, co?

– Ten o małych diablętach? Można wręcz powiedzieć: diablo mi się nie podoba.

Naburmuszył się.

– Zrozumcie, panie Baum – zacząłem łagodnym tonem. – Nie jesteście ani doktorem medycyny, ani filozofem. Jesteście zwykłym aptekarzem, który napisał popularną książkę o tym, co robić, kiedy człowieka boli brzuch. Więc rozumiecie, co o was powiedzą? Że profan, który zajmował się bólem brzucha i pierdami, twierdzi teraz, że w tych pierdach mieszkają małe diabelki...

Baum zachnął się, ale nie zwróciłem na niego uwagi i kontynuowałem.

– Nie dawajcie wrogom łatwego sposobu, żeby w was uderzyli. Bo że w was uderzą, gdy ogłosicie już tę swoją teorię, to rzecz pewna, ale chociaż odbierzcie im możliwość łatwego zdobycia broni...

Aptekarz westchnął ciężko i żałośnie.

– Sądzicie, że naprawdę będzie aż tak źle?

– Może i nie – odparłem. – Może po prostu nikt nie zauważy waszej pracy i nawet nie będzie polemizował z waszymi obserwacjami oraz wnioskami z nich płynącymi, bo wszyscy będą je mieli w nosie. Może i tak się szczęśliwie dla was wydarzyć...

– Nie wierzycie, że coś takiego jest możliwe, prawda?

– Zgadza się – stwierdziłem, skinąwszy głową. – Czy wasze stwory nazwiemy małymi diablętami Bauma czy *micro vipera volantes*, to wierzę w ich wypadku w jedno: nie istniały, nie istnieją i nigdy istnieć nie będą.

– A jeśli byście je zobaczyli? Na własne oczy? – zapalił się nagle.

– Niby w jaki sposób?

Przechylił się w moją stronę, by znaleźć się ustami tak blisko mojego ucha, jak tylko można.

– Pracuję nad tym – wyszeptał.

– Nad tym, aby ludzkim wzrokiem ujrzeć niewidzialny do tej pory świat?

– Dokładnie tak – rzekł z naciskiem. – Zobaczycie, zobaczycie, że kiedyś całe Cesarstwo będzie mówiło z podziwem o Jonatanie Baumie, który pokazał ludzkości to, czego nigdy nie widziała. – Wypowiedział te słowa z niemalże proroczym natchnieniem.

Pokręciłem głową sceptycznie.

– W jaki sposób zamierzacie to uczynić?

– Podejrzewam, że odpowiednie ustawienie specjalnie wyprofilowanych i oszlifowanych w szczególny sposób szkieł może odsłonić przed nami nieznane do tej pory widoki. No ale nad tym jeszcze pracuję...

– Jeśli nawet tak się stanie, w co serdecznie wątpię, że uda wam się pokazać dowód na waszą dziwną teorię, to módlcie się, żeby świat był gotów na jej przyjęcie.

– Że będą mnie wyśmiewać? Jakoś to zniosę. – Zacisnął dłonie w pięści. – Nie jestem gorszy ani głupszy od uczonych doktorów, chociaż nie skończyłem żadnego uniwersytetu!

– Uważajcie raczej, żeby wasza koncepcja nie zabłysła tak silnie, że podpali dla was drewno waszego własnego stosu – rzekłem już bardzo poważnym tonem.

– Jestem dobrym chrześcijaninem! – zawołał, składając obronnym gestem ramiona na piersi. – W mojej teorii nie ma ani krztyny herezji, lecz tylko naukowa obserwacja praw kosmosu!

– Do lochów Świętego Oficjum łatwo wejść, ale wyjść z nich już dużo trudniej – odparłem. – Wam akurat niedawno udało się podobna sztuka, lecz nie sądźcie, że jest to rzecz pospolita...

– Nie, nie, wcale tak nie uważam i bardzo jestem wam wdzięczny za pomoc, o której nigdy nie zapomnę – zastrzegł szybko.

Uniosłem dłoń.

– Zmierzam do czego innego, panie Baum. A mianowicie do tego, że dobrze, jeśli uczoney głoszący tezy, które mogą mu przysporzyć kłopotów, posiada możnego protektora. Króla, księcia, światłego kardynała lub biskupa. To sprawia, że trudniej na niego skutecznie donieść, a samo Święte Officjum również uważniej zastanawia się nad zastosowaniem aresztu dla takiej osoby czy wezwaniem jej na przesłuchanie.

– Rozumiem – rzekł i przez chwilę myślał. – Tylko widzicie – odezwał się wreszcie – żeby znaleźć możnego protektora, trzeba się na świecie wcześniej pokazać i wykazać. A ja mogę się pokazać właśnie moją koncepcją maluśkich... – zająknął się. – No, tą właśnie koncepcją, o której rozmawiamy. Więc widzicie, jak to jest. Póki nie uczynię A, to nie zyskam B, a nie mogę uczynić A, gdyż implikowane jest ono przez B. – Westchnął z ogromnym smutkiem. – Jeśli rozumiecie, za waszym przeproszeniem, o czym w ogóle mówię – dodał smętnie.

– Moja edukacja obejmowała zasady logiki, więc sedno waszego wyводу dotarło do mnie – odparłem. – Doradzę wam jednak co innego. Opublikujcie swoją pracę w ograniczonym nakładzie i roześlijcie po europejskich dworach jako wasz dar dla znamienitych władców oraz dostojników Kościoła. To prawda, że dopłacicie sporo do tego interesu, ale potraktujcie ową dopłatę jako inwestycję na przyszłość.

Myślał przez chwilę.

– Może i tak – rzekł wreszcie i podniósł kubek. – Wasze zdrowie, mistrzu Madderdin – powiedział. – Nie wiem jeszcze, czy wasze rady są dobre, czy złe, ale przynajmniej dają mi do myślenia.



Rozdział jedenasty

Kanonik Wolfgang Speichel



Weilburg jeszcze nie gotował się i nie kipiał, ale już niepokojąco bulgotał. Kaszlica zbierająca coraz bardziej obfite żniwo, ścisła blokada miasta, a na dodatek diabelski, wysuszający serca i umysły upał – to wszystko powodowało, iż spokojny, życzliwy Weilburg stawał się niebezpiecznie groźny i nieprzewidywalny.

Z rozpiętym pasem siedziałem w rozchełstanej koszuli przy stole w kuchni, korzystając z nieobecności Helci, która nie znosiła wizyt inkwizytorów w swoim królestwie i zawsze nas stąd przeganiała. Zastanawiałem się, czy mam ochotę coś zjeść, czy jednak wolę siedzieć może głodny, ale przynajmniej niezmuszony do żadnej aktywności. I wtedy usłyszałem kroki, a do środka zajrzał Ludwik Schoen.

– Może zechciałbyś się wybrać na spacer? – spytał, stając w progu. Podniosłem głowę.

– Czemu nie? – odparłem. – Słoneczko tak pięknie przecież przyświeca. Nie ma to jak wypłuskać się w słonecznej kąpieli w samo południe.

Uśmiechnął się.

– Sam przyznaję, że jest trochę ciepławo – rzekł. – Niemniej szczególnie mi to przeszkadza, jeśli mam być szczery.

– Trochę ciepławo – powtórzyłem jego słowa ironicznie. – Ludwiku, na ulicach naszego miasta ludziom roztapiają się mózgi z gorąca.

– I ze strachu – dodał poważnym tonem.

Cóż, marazm marazmem, a niemoc niemocą, ale jednak trzeba było pomyśleć o tym, iż bezpieczeństwo Weilburga spoczywało częściowo na naszych barkach. I nie mogliśmy marnować czasu na użalanie się nad własnym losem.

– Dokąd pójdziemy? – zapytałem, zapinając buty, które wcześniej poluzowałem, by dać odpocząć spuchniętym od gorąca stopom.

– Do kościoła Matki Boskiej Bezlitosnej – rzekł. – Wysłuchamy południowego kazania.

– Ach, złotousty kanonik Speichel – powiedziałem. – Cóż nowego plecie?

– Sam wysłuchasz i ocenisz.

– A tak w skrócie, żebym wiedział, czego się spodziewać?

– Podburza wiernych przeciwko wszystkim kaszlącym – odparł Ludwik z wyraźnym niezadowoleniem. – Twierdzi, że kaszlica jest karą za grzechy dla bezbożników, a ludzie prawi, bogobojni i stosujący się do przykazań są bezpieczni.

– Niech sobie gada – rzekłem. – Na razie nie widzę w tym niczego interesującego dla nas.

– Ogłosi dzisiaj, że wszystkich kaszlących należy wygnać za mury miejskie, a kto pomoże w tym zbożnym dziele, ten uzyska odpust całkowity i będzie bezpieczny przed objawiającym się zarazą gniewem Bożym – dokończył Schoen.

– A blokada? – Zmarszczyłem brwi. – Jak według naszego kanonika ci przegnani z miasta mają poradzić sobie z blokadą?

– Nie sądzę, aby w jakikolwiek sposób się tym przejmował – wzruszył ramionami Ludwik.

– Pewnie tak – zgodziłem się z nim.

Wyszliśmy do westybulu, a tam zapiąłem haftki koszuli, przypasałem pas z pochwą mieszczącą długi nóż i włożyłem

niewielki ostry sztylet w cholewę buta.

– Powiedziałeś, że „ogłosi” – stwierdziłem. – Czyli na razie nie ogłosił, prawda? Jeśli wolno spytać, skąd wiesz o tych planach? I kiedy kanonik ma zamiar wcielić je w życie?

– Speichel wczoraj przygotowywał treść swojego kazania. Kościelny słyszał wszystko dokładnie, gdyż kanonik powtarzał głośno co dobitniejsze frazy – odparł mój towarzysz.

Pomyślałem chwilę.

– Rozumiem, że kościelny kaszle, skoro pofatygował się, żeby donieść nam o tym kazaniu?

Ludwik potrząsnął głową.

– Kaszle jego dziesięcioletni syn i jak rozumiesz, ojciec ma nieszczególną ochotę, żeby przeganiano ich obu z miasta.

– Domyślam się. – Nałożyłem i zapiąłem kubrak. – Ugotuję się w tym – mruknąłem. – Przejmowałbym się nie tyle samym planem wypędzania chorych, ile tym, że w czasie jego prób ludzie przestaną nad sobą panować – kontynuowałem. – I założę się, że w efekcie stałoby się tak, że wielu z tych kaszlących zostałoby zawleczonych pod bramy miasta nieprzytomnych lub zgoła martwych.

– Też tak sądzę – westchnął Ludwik.

– No dobrze, jestem gotów – stwierdziłem. – Mamy dwie godziny, zanim rozpocznie się msza. Dwie godziny, żeby odnaleźć sposób na przekonanie Speichela, żeby nie powiedział tego, co powiedzieć zamierza. Masz pomysł, w jaki sposób możemy zmiękczyć jego twarde serce?

– Zabijemy go?

Uśmiechnąłem się lekko.

– To skądinąd całkiem niewinne rozwiązanie zostawmy sobie na koniec, na wypadek gdyby nasza retoryka okazała się zawodna – rzekłem. – Zastanówmy się na razie, czy możemy przekonać go bez użycia przemocy? Czy możemy spowodować, żeby ten niewątpliwie sprawny, chętnie słuchany w mieście kaznodzieja i demagog, zamiast wzywać do rozprawy z kaszlącymi, wezwał do pomocy im?

– Ho, ho – roześmiał się Schoen. – Wysoko mierzysz, Mordimerze.

Rozłożyłem ramiona i uśmiechnąłem się.

– Mów szybko, jeśli coś ci przyjdzie do głowy. I otworzymy dokumenty dotyczące Speichela, a może w nich znajdziemy coś interesującego.

– Przejrzałem już te dokumenty – rzekł Schoen. – I nie natknąłem się w nich na nic, co moglibyśmy wykorzystać.

– Rozzłoszczeni mężowie jego kochanek? – poddałem, gdyż wiedziałem, że kaznodzieja Speichel słynie nie tylko z tego, że jego kazania otwierają ludzkie serca, ale że rozkładają się przed nim również uda co powabniejszych słuchaczek.

– W dwie godziny go tym nie przestraszymy – wzruszył ramionami Schoen. – Zresztą ci rogacze na ogół o wszystkim wiedzą, tylko udają, że o niczym nie mają pojęcia, bo tak im wygodnie. Każdy człowiek ma jakąś słabość – powiedział zamyślony. – Coś, czego się lęka, albo coś, o co się lęka. Utnijmy mu język – zaproponował mój towarzysz po chwili. – Albo przynajmniej zagroźmy, że mu ten język utniemy. Przecież to właśnie język jest jego orężem i jego dumą... Kim stałby się pozbawiony narzędzia mowy?

Uniosłem palec.

– Celne spostrzeżenie i całkiem kusząca propozycja – przyznałem z uznaniem. – Zważ jednak, że nie otrzymamy wtedy Speichela stojącego po naszej stronie, lecz Speichela na zawsze okaleczonego i niemego, co spełniłoby zaledwie w części nasze życzenia oraz nasze plany wobec niego.

– Chyba że skończylibyśmy na groźbie, a on po jej usłyszeniu zdecyduje się nas wesprzeć – odparł mój towarzysz.

Pokręciłem głową.

– Kanonik jest dumnym człowiekiem. Wiesz więc, co uczyni? W czasie kazania powie, że groziliśmy mu ucięciem języka i tym większe wzbudzi emocje wiernych oraz tym uważniej będą słuchać jego słów. Nie mówiąc już o tym, że od tej pory nie zbliżymy się do niego na odległość wyciągniętej ręki, gdyż tak silnie będzie chroniony.

– Sądziś, że posunąłby się aż tak daleko? – Ludwik zmrużył oczy.

– W normalnych czasach pewnie nie zdecydowałby się wywołać nam wojny – przyznałem. – Ale że czasy są niezwykle, to i zachowanie ludzi przekracza granice, do których nas przyzwyczajono. Pozwolisz, że rzucę okiem na dokumenty?

– Oczywiście, Mordimerze, ty dowodzisz. Będę, szczerze mówiąc, więcej niż rad, jeśli znajdziesz coś, co ja przeoczyłem.

To mogła być ironia, ale nie była. Ludwik Schoen wiedział, że sprawa jest wspólna, więc nie ma znaczenia, który z nas i w jakim stopniu przyczyni się do jej powodzenia. Liczyło się samo zwycięstwo.

Poszliśmy do gabinetu i usiedliśmy obaj przy biurku.

– Zostawiłem wszystko na wierzchu, bo sądziłem, że zechcesz zerknąć – wyjaśnił Ludwik.

– Sporo tego – westchnąłem.

Zacząłem przerzucać strony jedną za drugą. Zapisano je różnymi charakterami pisma na różnie zachowanych kartach papieru. Po starannym kroju i niewyblakłym atramencie poznałem też styl naszego obecnego kancelisty. Dokumenty dotyczące kanonika składały się głównie z oskarżeń oburzonych wiernych, jak również z uwag inkwizytorów, którzy przysłuchiwali się jego kazaniom. A jeśli chodzi o donosy, dotyczyły one głównie nie treści kazań, lecz rozpustnego życia. No ale za to jeszcze żadnego księdza nigdy nie ukarano, chyba że wydupczył żonę lub córkę kogoś bardzo ważnego, kogo podobne lekceważenie niezmiernie rozgniewało.

– I co? I nic – rzekł Schoen, który również raz jeszcze przeglądał dokumenty.

– Widzę tu kotwice, ale potrzebowalibyśmy czasu, żeby je zarzucić – rzekłem.

– Ba, tyle to i ja wiem – odparł.

I nagle coś mi wpadło w oko. Mały, pozornie całkowicie nieważny donos napisany przez, jak wynikało z treści, rozgniewanego sąsiada.

– Spójrz, Ludwiku. – Postukałem palcem.

– O mój Boże – powiedział, kiedy przeczytał. – Mignęła mi tylko skarga na śmierdzące szczyny kotów i przemknąłem wzrokiem dalej...

– Spieszyłeś się, więc nic dziwnego – odparłem.

Potem położyłem otwartą dłoń na papierach.

– Heinrich jest na dole, prawda?

– Tak.

– Niech natychmiast biegnie w to miejsce i niech sprawdzi, czy kobieta jeszcze tam mieszka. A jeśli tak, to niech zaraz wyśle do nas chłopaka z wiadomością.

– Dajcie mi punkt podparcia, a uniosę kanonika Speichela – oznajmił Ludwik z szerokim uśmiechem.

Odpowiedziałem mu również uśmiechem, ale potem powiedziałem:

– Nie chwalmy dnia przed zachodem słońca.

Potem już Schoen zbiegł do refektarza, a ja po zejściu ze schodów skierowałem się prosto w stronę drzwi wyjściowych. Kiedy je otworzyłem, uderzył mnie podmuch gorąca bijący z ulicy, tak jakbym rozwarł właśnie piec chlebowy. Tyle tylko, że bynajmniej nie świeżym chlebem woniało z naszej ulicy.

– Zabije mnie ta pogoda – mruknąłem.

Heinrich minął mnie spieszonym krokiem, uśmiechając się porozumiewawczo i z zadowoleniem, a Schoen wyszedł przede mnie, rozejrzał się po ulicy i wzruszył ramionami.

– Jest trochę ciepło, przyznam to bez bicia – oświadczył. I dodał zaraz potem: – Ale nie tak, żeby nie dało się z tym żyć. Ty po prostu nie lubisz upałów, Mordimerze, i jesteś wyjątkowo na nie wrażliwy.

Kiedy wyszliśmy w głąb ulicy, zauważyłem biegnącego w panice mężczyznę, ściskającego na piersiach jakąś sakwę, a za nim gnających kilku innych. Uciekający miał tego pecha, że potknął się o wystający kamień i runął na ziemię z takim impetem, że aż się skrzywiłem. Z jego torby wysypały się porzeczeki, a gnający za nim ludzie, nie zwracając już uwagi na tego, którego przed chwilą gonili, rzucili się, by owe porzeczeki zbierać oraz pożerać. Przy okazji wrzeszczeli na siebie i zaraz potem się pobili.

– Na miecz Pana, co tu się dzieje? – zapytałem bardziej samego siebie niż kogoś innego, ale że obok stał strażnik, to obrócił na mnie wzrok.

– Porzeczka, mistrzu inkwizytorze, porzeczka – odparł z szacunkiem.

– To widzę, że ukradli temu człowiekowi owoce i je pożerają, ale dlaczego tak robią, na gwoździe i ciernie?

– To nic nie wiecie? – Otworzył szeroko oczy.

Spojrzałem na niego bez słowa i ciężkim wzrokiem.

– Już wam objaśniam, już wam objaśniam – obiecał szybko. – Oto wiadomo wszem wobec w całym mieście, mistrzu inkwizytorze, że porzeczki najpewniej i najlepiej leczą kaszlicę! Uwierzycie?

– Nie, nie uwierzę – odparłem. – Ale mów dalej.

– Od wczoraj, mówię wam, całe miasto zwariowało. Wszyscy tylko kupują porzeczki. – Potrząsnął głową. – A ci tutaj – pokazał podbródkiem na ulicę – to głupcy – dodał z pogardą.

– A ty co? – zdziwiłem się. – Nie uwierzyłeś w zdrowotną siłę porzeczek?

– Mistrzu Madderdin, spójrzcie no sami. – Wyciągnął dłoń w stronę mężczyzny, który nadal leżał na bruku i szlochał rozpaczliwie. – Jakże on niósł porzeczki, zauważyliście?

Nie czekał na mój respons i sam dał sobie odpowiedź:

– Czerwone! A jakie leczą kaszlicę? Tylko czarne, żadne inne!

– No tak, to teraz jasne. – Skinąłem głową. – Rzeczywiście: kretyni.

Ludwik, który stał obok nas i nie odzywał się do tej pory, teraz tylko uśmiechnął się lekko.

– Chodźmy, proszę – rzekł.

Tak więc nie konwersując więcej i nie zastanawiając się ani nad zdrowotną mocą czarnych porzeczek, ani nad ludzkimi głupotą i łatwowiernością, ruszyliśmy szybkim krokiem. Jeżeli misja Heinricha skończy się niepowodzeniem, wtedy poszukamy innych metod perswazji niż ta, którą mieliśmy teraz na uwadze. Byłem jednak dobrej myśli, że sprawy ułożą się z korzyścią dla wszystkich. Nawet tak naprawdę z korzyścią dla kanonika. Bo przecież nie zamierzaliśmy go krzywdzić, a jedynie przekonać, by stał się naszym lojalnym przyjacielem. My, inkwizytorzy, jesteśmy obserwatorami i poszukiwaczami. Przyglądamy się ludziom i szukamy tego, czego się boją, oraz tego, co kochają. A kiedy

przychodzi właściwa chwila, wtedy to pierwsze im dajemy, a to drugie zabieramy.



Kanonik Speichel, złotousty kaznodzieja, był mężczyzną w średnim wieku, wysokim i barczystym. Miał dużą głowę i świadcząca o silnym charakterze kwadratową szczękę, włosy ścięte równo nad brwiami i bujne bokobrody. W jego twarzy wzrok przyciągały też głęboko osadzone, bystre oczy. Speichel posturą przypominał raczej żołnierza niż księdza, ale ubierał się już w sposób wielkopański. Zastaliśmy go, kiedy odziany w aksamity, wyciągał nogę w stronę jednego ze swoich wikariuszy, a ten uważnie zapinał mu srebrne haftki na cholewce. Gdy przekroczyliśmy próg, kanonik spojrział na nas poważnym wzrokiem znad książki, której lekturą umiłał sobie oczekiwanie na chwilę, kiedy wikariusz skończy zapinać mu buty.

– Inkwizytorzy – przemówił głosem całkowicie pozbawionym szacunku. – Cóż sprowadza przedstawicieli Świętego Officjum w moje skromne progi?

– Gorąca prośba o pomoc, jakiej ksiądz kanonik mógłby nam udzielić – odparłem uprzejmie i łagodnie.

– Pomoc? A w czymże ja, skromny rzemieślnik słowa Bożego – przy tych słowach uniósł wzrok ku sufitowi – mógłbym pomóc tak wielkiej i czcigodnej instytucji?

– Mówiąc „nam”, miałem na myśli nie Inkwizytorium lub jego funkcjonariuszy, lecz obywateli naszego miasta, w tak dotkliwy sposób dotkniętych gniewem Bożym – wyjaśniłem. – To im ksiądz może pomóc...

– Coś takiego – powiedział i potarł bokobrody palcami prawej dłoni. – Usiądźcie, proszę. – Wskazał nam gestem krzesła. – Ale mogę wam poświęcić zaledwie chwilę, gdyż jak zapewne widzieliście, kościół jest już wypełniony wiernymi czekającymi na mszę.

– Oczywiście widzieliśmy te tłumy – rzekłem. – I z tego, co wiem, czekają one nie tylko na misterium mszy świętej, lecz i na

poruszające serca słowa kazania, z których maestrii wygłaszania ksiądz kanonik jest znany.

Speichel poruszył niecierpliwie stopą i wikariusz ujął ją oraz odłożył z szacunkiem na wyściełany miękką podusią zydelek.

– Znikaj – rozkazał kanonik, a wikariusz, człowiek już leciwy, odtruchtał w stronę wyjścia, z sykiem prostując kręgosłup.

Kiedy stary ksiądz zniknął za drzwiami, Speichel obrzucił mnie niechętnym spojrzeniem.

– Mistrzu Madderdin, czego wy ode mnie właściwie chcecie? Bo jeśli rzucacie mi piękne słówka, to wiedzcie, że za chytry ze mnie kruk, aby wypuścić wam z dzioba kawałek sera.

Roześmiałem się serdecznie.

– Jako człowiek wychowany w poszanowaniu dla kultury antyku, niczego nie cenię bardziej niż zręcznego nawiązania do mistrzowskich dzieł...

– Przynajmniej tyle dobrego, że zrozumieliście, co mówię – westchnął. – No szybko, opowiadajcie, jakaż to pomoc jest potrzebna przerzedzonemu Inkwizytorium...

Mocno zaakcentował przedostatnie słowo, zapewne by dać nam do zrozumienia, że wcale się nas nie boi, kiedy jest nas tylko trzech w całym mieście, a on ma za sobą dziesiątki wiernych. Nie rozumiał tylko jednego: trzech ludzi zdecydowanych, gotowych na wszystko i niezłomnych niczym stalowy kirys na piersi herosa jest w stanie poradzić sobie zarówno z podatnym na manipulację tłumem, jak i z tym, który chciałby może i ową cizbą dowodzić, lecz nie ma dość bezwzględności, by o to dowodzenie zawalczyć ze wszystkich sił.

– Nasze biedne miasto zostało doświadczone nie tylko zarazą, która jak mówią starcy, nie taki nawet zbiera obfity łup jak niegdysiejsze epidemie, ale toczy umysły obywateli niczym trąd ciała...

– Ludzie się boją – przerwał mi. – I słusznie. Teraz zaznają pierwszego, łagodnego jeszcze, ciosu gniewu Bożego, ale kto wie jakie będą kolejne uderzenia, jeśli nie przypodobamy się Panu?

– Też tak sędzę! – zawołałem radośnie i aż klasnąłem. – Właśnie dlatego chciałem prosić księdza, by wezwał lud Boży, nie tylko żeby

wznosił modły przebłagalne, ale też żeby szlachetnym afektem i równie szlachetnym postępowaniem wobec bliźnich dawał przykład przykazaniom miłości...

Ludwik Schoen, spoglądający do tej pory w okno, odwrócił się do nas i rozłożył ramiona serdecznym gestem.

– Czyż nie Święty Paweł napisał: *Ten, kto miłuje bliźniego, wypełnił Prawo. Albowiem przykazania: nie cudzołóż, nie zabijaj, nie kradnij, nie pożądaj i wszystkie inne – streszczają się w tym nakazie: miłuj bliźniego swego jak siebie samego! Miłość nie wyrządza zła bliźniemu. Przeto miłość jest doskonałym wypełnieniem Prawa.*

Wypowiedział te zdania z namaszczeniem tak wielkim i z tak wielką powagą malującą się na twarzy, że nawet kanonik nie ośmielił się mu przerwać. I dopiero kiedy mój towarzysz skończył, Speichel prychnął szyderczo:

– Znam Pismo Święte równie dobrze jak wy, a pewnie i nawet lepiej od was. Teraz powtórzę raz jeszcze i będzie to już ostatni raz: czego wy ode mnie właściwie chcecie?

– Tylko tego, czego życzylibyśmy sobie od każdego dobrego chrześcijanina – rzekłem z powagą. – Chcemy, aby ksiądz kanonik powiedział, że ludziom należy pomagać, że nie należy ich prześladować oraz że chorych nie należy obwiniać za ich chorobę.

– Moje kazanie zmierza we wręcz przeciwnym kierunku – oznajmił lodowatym tonem i podniósł się z krzesła. – No dobrze, a teraz, skoro już wyjaśniliśmy...

Błyskawicznie znalazłem się za jego plecami, przytrzymałem mu ramiona, a nóż oparłem tak mocno na jego gardle, że nie mógł ruszyć głową zablokowaną na wysokim oparciu krzesła.

– Ani drgnij, ani piśnij – rozkazałem.

W tym samym czasie Ludwik przesunął zasuwę w drzwiach i podskoczył w naszym kierunku. Przyciągnął sobie zydel, strącił z niego poduchę, wsunął ten zydel pomiędzy nogi kanonika i usiadł na nim.

– Zarzniesz mnie? – spytał Speichel z pogardą, choć głosem zduszonym. Miałem jednak wrażenie, że zduszenie to pochodzi nie ze strachu, ale po pierwsze, z wściekłości, a po drugie, z powodu

tęgo, iż ostrze mojego noża musiało go nieco uwierać w szyję. – Tutaj? W moim własnym kościele?

– Jak możesz mnie podejrzewać o coś tak prostackiego? – zapytałem z wyrzutem. – Czy ja ci wyglądam na rzeźnika? – prychnąłem. – Ten nóż na twojej szyi jest tylko po to, żebyś nie mówił na razie zbyt głośno ani się nie szarpał. Bo nie mam zamiaru wdawać się z tobą w bitkę, a jedynie wyjaśnić sprawy, którymi jesteśmy zainteresowani.

– Nic z tego nie będzie – odparł z dumną pogardą.

– Zobaczymy – westchnąłem. – Święte Officjum jest co prawda pokorne i cierpliwe, lecz akurat dziś nie mamy czasu ani na pokorę, ani na cierpliwość.

Ludwik wyciągnął nóż i jego ostrze oparł delikatnie na wnętrzu podudzia kanonika.

– Jest takie miejsce w kolanie, pomiędzy kośćmi – powiedział zamyślony. – Ostrze wchodzi tam gładziuteńko, lecz kiedy je przekręcić, to gruchocze chrząstki oraz stawy. Po takiej operacji człowiek nigdy już nie jest w stanie chodzić o własnych siłach...

Poczułem i usłyszałem, że kanonik przełyka nerwowo ślinę. Ale od strachu do chęci lojalnej współpracy droga jest długa. Musieliśmy ją przeskoczyć kilkoma szybkimi susami.

– Nie przestraszycie mnie. Nie ośmielicie się nic mi uczynić! – warknął jeszcze Speichel, chyba głównie po to, by dodać sobie samemu otuchy własnymi słowami.

– W Inkwizytorium jest nas w tych smutnych czasach zaledwie trzech – powiedziałem. – I jak słusznie zauważyłeś, jest to mocno przerzedzony stan liczebny. Ale nie interesuje cię, gdzie jest w tej chwili ten trzeci z nas?

Kanonik prychnął pogardliwie. No cóż, starał się robić na razie dobrą minę do złej gry i było to oczywiście godne uznania. Jednak nie tak twarde serca jak jego kruszyły się już pod naporem inkwizytorskiej retoryki. Byliśmy przyzwyczajeni do obcowania z krnąbrnymi, butnymi i hardymi pyszałkami, których krnąbrność, buta i hardość topniały jednak z czasem niczym śnieg na słońcu. I zamieniały się w uległość, skrucę oraz pokorną chęć

przypodobania się inkwizytorom. Byłem przekonany, mili moi, iż tak stanie się również tym razem.

– Nie mamy zamiaru cię skrzywdzić – powiedziałem łagodnie. – Uczynimy natomiast co innego. Skrzywdzimy twoją matkę staruszkę.

Napiął mięśnie i widziałem, że chce się szarpnąć, ale wbiłem mu tak silnie ostrze pod podbródek, że z rozcięcia zaczął sączyć się strumyczek krwi.

– Ani drgnij, ani piśnij – powtórzyłem ostrzeżenie. – Nie chcę cię zabić, ale jeśli będę musiał, to cóż... wola Boża... przyjmę ten grzech na swoje sumienie.

Zwiotczał, lecz jego oczy pały bólem i wściekłością. Gdyby mógł, gdyby tylko był wolny, rozdarłby mnie na strzępy. Czy raczej lepiej powiedzieć: próbowałby rozdrzeć mnie na strzępy.

– Wiesz, jak pękają kości palców starego człowieka? – ciągnąłem. – Z takim suchym trzaskiem jak chrust. Trzask, trzask, trzask... I zazwyczaj już nie chcą się zrosnąć. Bolą do końca życia, a z pokoślawionych, opuchniętych dłoni wypada każdy przedmiot.

– Jeśli staruszka w ogóle przeżyje – wtrącił ze smutkiem Schoen. – Bo przecież na łamaniu palców się nie skończy.

– Ano pewnie na tym się nie skończy – przyznałem równie posępnie. – A za każdym razem, kiedy Heinrich będzie łamał palec twojej matce, powie, że to twoja wina i twoje grzechy spowodowały na nią cierpienie. Że jest poddawana mękom, gdyż bardziej kochałeś swoją dumę niż kobietę, która cię urodziła i wychowała.

– Wiele jej zawdzięczasz, prawda? – Nóż Ludwika przesuwał się po nodze kanonika. – Ale przecież i ty bardzo się nią opiekujesz. Mieszka w ładnej kamienicy, ma posługaczkę, która dba o jej potrzeby. – Uśmiechnął się szeroko. – I ma też te wszystkie kotki, które tak kocha – dopowiedział.

– Płacz dręczonej staruszki, która nie pojmuje, za jakie grzechy jest dręczona, to jeden z najsmutniejszych widoków, jakie można sobie wyobrazić – westchnąłem.

Speichel zawarczał, ale miałem wrażenie, że w jego głos obok gniewu wdzierła się również nuta rozpacz.

– Bądź mądry, a nic złego nikomu się nie stanie – zapewniłem go ciepło. – Unieś się głupią dumą i próżnością, a skrzywdzimy twoją matkę. Potem, w stosownym czasie, wyrzemy pomstę również na tobie. Po prostu za miesiąc, dwa lub trzy ktoś napadnie cię na ulicy i oderżnie ci kutasa. Wszyscy pomyślą, że to zemsta jakiegoś męża rogowca, któremu chędożyłeś żonę.

– Co on bardzo lubi robić, prawda, Mordimerze? – dopytał Ludwik.

– O tak, bardzo – przyznałem. – Wielce smutna sprawa, kiedy trzeba zamienić się w ascetę nie ze swojej woli.

– Nie mówmy już nawet o tym, że kastrację przeżywa dwóch na dziesięciu kastrowanych – zauważył Schoen.

– Tak, to prawda, że to bardzo bolesna i trudna operacja – przyznałem.

– A okaleczeni księża nie mogą pełnić dalej sakramentalnej posługi, czyż nie? – zapytał jeszcze retorycznie Schoen.

Spojrzałem Speichelowi prosto w oczy.

– Przystaniesz być księdzem, przestaniesz być mężczyzną, stracisz matkę – przemówiłem spokojnie. – A wszystko to z powodu, że pewnego dnia, kiedy inkwizytorzy poprosili, żebyś wygłosił kazanie w duchu miłości bliźniego, ty odmówiłeś...

– Nie odmawiaj nam – ostrzegł Schoen smutnym głosem i złożył dłonie modlitewnym gestem. – Zaklinam cię: nie odmawiaj. Gdyż jeśli popełnisz ten straszny błąd i odmówisz, sprawy potoczą się tak, jak nikt nie chce, żeby się potoczyły...

Odsunąłem ostrze od szyi księdza i nachyliłem się ku niemu.

– Chcemy jedynie zgody i pokoju – powiedziałem serdecznie. – Nie pragniemy ani wojny, ani niczyjej krzywdy.

A potem zatkałem Speichelowi gębę, a Ludwik zręcznie, sprawnie i szybko obciął mu mały palec u lewej dłoni. Kanonik szarpnął się w moich objęciach, ale więcej trzeba niż przerażonego i dotkniętego niespodziewanym bólem klechy, by wyrwać się z uścisku wprawnego inkwizytora.

– To tylko ostrzeżenie, Wolfgangu – wyjaśniłem mu do ucha. – Żebyś przypadkiem nie myślał, że żartujemy. I żebyś nie próbował być sprytny. Żebyś za każdym razem, kiedy pomyślisz sobie, że

inkwizytorów można by jakoś okpić, otóż za każdym razem spoglądaj wtedy na swoją pozbawioną palca dłoń i pomyśl, że sprawy potoczą się dużo, dużo gorzej... I dla ciebie, i dla twojej matki. A teraz pamiętaj: nie jęczysz i nie krzyczysz – nakazałem dobitnie. – Natomiast możesz głośniejsz odetchnąć, jeśli chcesz...

Puściłem go, a on zaskomlał i się rozplakał. No cóż, jak na człowieka, który lubił mówić o torturach, jakim w piekle będą poddawani grzesznicy, okazał się wyjątkowo nieodporny na spotykające go niedogodności. Niezbyt przecież straszliwe...

– Księżę kanoniku, jakże miło mi powiedzieć, że chociaż dobrodusznie pospieraliśmy się na tematy doktrynalne, to jednak doszliśmy do consensusu – powiedziałem z ogromną serdecznością. – Tak jak powinni do niego dochodzić ludzie obdarzeni przez Boga umysłem i sercem. Zostawiamy was więc pełni nadziei, że nasza przyjaźń przetrwa długo.

Puściłem go, ale Schoen wtedy poderwał kanonika na równe nogi, po czym uderzył go z całej siły w żołądek i rzekł: „kret”. Potem uderzył go raz jeszcze i rzekł: „ryba”. A następnie uderzył go po raz trzeci i rzekł: „ptak”. Jeszcze później przyklęknął przy zwijającym się na posadzce księdzu, łapiącym spazmatycznie powietrze w płuca, szarpnął go za włosy, uniósł jego głowę i pochylił się tak, by ich twarze znalazły się blisko siebie.

– Jeśli nas zdradzisz, to ani pod ziemią, ani pod wodą, ani w powietrzu nie schowasz się przed gniewem inkwizytorów – zagroził beznamiętnie.

– No już, dość, dość – nakazałem łagodnie i kucnąłem przy kanoniku. – Przecież on już wszystko wie, on już wszystko rozumie, on już tak bardzo, z całego serca i ze wszystkich sił pragnie zostać naszym przyjacielem.

Pomogłem mu wstać, objąłem go, podprowadziłem do krzesła i usadziłem.

– Trzeba księdzu obwiązać dłoń – poradziłem życzliwie. – Niech ksiądz pozwoli, że się tym zajmę.

Opatrzyłem go zgrabnie i tak, by sprawić jak najmniej bólu, a Ludwik w tym czasie sięgnął po karafkę, odkorkował ją i napełnił

winem kryształową szklankę.

– Wypijcie sobie na zdrowie – poprosił ciepło. – Zaraz wam bardzo ulży.

Kanonik przyjął naczynie drżącą ręką, objął je palcami tak silnie, iż przez chwilę sądziłem, że kryształ pęknie pod tym uściskiem, a potem chciwie wychłęptał podany trunek. Odstawił szklankę na blat z brzękiem, ale nie było to spowodowane gniewem, lecz tym, że ramiona mu tak drżały, iż nie panował do końca nad siłą swych ruchów.

– Teraz odprowadzimy was do ołtarza, księże kanoniku – zapowiedział Schoen. – I z uwagą posłuchamy waszego kazania. Szczerze liczymy, że poruszy ono ludzkie serca i skieruje je ku Bogu.

– Zważajcie, żeby nie wypaść blado – dodałem. – Bo pamiętajcie, że chodzi nam nie tylko o treść, ale również o szczery zapal w waszym głosie.

– Modlimy się, żebyście zarazili wiernych entuzjazmem dla czynienia dobrych uczynków – dopowiedział Ludwik z takim serdecznym zapalem, jakby sam zaraz miał się zabrać do czynienia wszędzie wokół dobrych uczynków.

– Nie zawiedźcie nas, księże kanoniku – rzekłem z naciskiem, wolno i poważnie. Potem położyłem mu dłoń na karku i przysunąłem jego twarz do swojej. – Powiedz wyraźnie, Wolfgangu, że nas nie zawiedziesz.

– Nie zawiodę – obiecał zduszonym głosem.

Puściłem kanonika i poklepałem go przyjacielsko po ramieniu. Kiedy odsunąłem się na bok, Schoen wyciągnął przed siebie rozczapierzoną dłoń. Pociągnął mocno palec wskazujący, aż chrupnęły stawy.

– Trzask, trzask – przypomniał.



Znałem wielu ludzi, czy to z doświadczenia, czy z opowieści, którzy posiadli sztukę pięknego przemawiania, kiedy mieli przygotowany

i przeciwczony tekst. Greckie i rzymskie źródła opowiadają nam o zręcznych demagogach potrafiących zmieniać bieg losu całych państw czy o biegłych jurystach, którzy na skrzydłach retoryki wynosili swych klientów pod niebo wolności, chociaż wcześniej wszyscy mieli tych klientów za straconych. Z kolei źródła chrześcijańskie wspominają nam nie tylko o świętych kaznodziejach porywających tłumy do czynu, ale też o złotoustych wodzach, potrafiących napełniać otuchą żołnierskie serca i sprawiać, by u walczących zniknął lęk przed śmiercią. I zyskiwali ci wojacy gorącą nadzieję na zwycięstwo, w które do tej pory wątpili. To wielka, wielka zdolność zmieniać los świata i bliźnich za pomocą daru wymowy, za pomocą nie tylko zręcznie dobieranych fraz, ale też aktorskiego modulowania głosu. Ale jeszcze większą zdolnością jest mówić w poruszający sposób nie dzięki przygotowanemu wcześniej tekstowi, nie dzięki treningowi wymowy i wielokrotnemu powtarzaniu zapisanych fraz, lecz całkowicie spontanicznie, tak jakby w jednej chwili zamieniać w słowa uczucia rodzące się w sercu i myśli krążące po głowie. I sprawić, by słuchający cię tłum po chwili sądził, iż to, o czym mówisz, to jego uczucia oraz jego myśli. Kanonik Speichel miał ten dar, a dzisiaj chyba wzbił się na szczyty sztuki krasomówczej. Zebrany w kościele tłum czekał na jego kazanie, spodziewając się budzącego emocje widowiska, ale chyba nikt, łącznie ze mną i Ludwikiem Schoenem, nie podejrzewał, że przedstawienie będzie aż tak przejmujące. Przyznam, że dwa razy w czasie tego kazania oczy zaszyły mi łzami, a widziałem również, że Schoen gwałtownie ociera rękawem oczy.

– Kiedy opowiadał o matce staruszce, którą niewdzięczny syn wysyła na zatracenie, to aż moją mamę zobaczyłem przed oczami, co by się stało, gdyby to jej przypadł taki los i taki niewdzięczny syn – stwierdził Ludwik, szlochając, kiedy już nabożeństwo się skończyło i wyszliśmy z kościoła.

Pokiwałem głową.

– A mnie poruszyła wizja dziecka przegnanego przez własnych rodziców – odparłem. – I myśl o tym biednym, starym psie, który wiernie idzie wraz z maluchem, choć ledwie już przebiera łapami,

ale do końca będzie bronił osamotnionego malca przed złymi ludźmi chcącymi go skrzywdzić.

– Nie przypominaj mi! – chlipnął Schoen.

– Muszę przyznać, że solidnie zapracował na naszą wdzięczność – podsumowałem.

– O tak, o tak – przyznał mi rację Ludwik. – Ci ludzie, którzy słuchali go wraz z nami, prędzej teraz przytulą kaszłającego sąsiada do piersi, niż go odegnają.

– Przez pewien czas to będzie działać. Niedługo, ale przynajmniej przez chwilę – rzekłem.

Obaj doskonale wiedzieliśmy, że ślubowania dobrych uczynków to słomiany zapał i prędzej czy później chlubne postanowienia, obietnice i przyrzeczenia diabli porywają. Jednak ważne dla nas było jedno: Speichel nie obudził nienawiści, nie sprowokował rozruchów. Bogu dziękować, że nie pozwoliliśmy mu na to, gdyż przy jego talencie demagogicznym mogło dojść w Weilburgu do pogromów.

– Sądzisz, że przekonaliśmy naszego kochanego kanonika? – zapytałem.

Ludwik przez chwilę się zastanawiał.

– Odniosłem wrażenie, że jego strach jest jednak większy niż poczucie urażonej dumy czy gniew – odrzekł. – Nie miałem wątpliwości, że dzisiaj na kazaniu powie to, co chcemy usłyszeć. Ale co stanie się jutro lub pojutrze, kiedy przedsięwzięmie konieczne środki obrony przed naszym gniewem? – Pokręcił głową. – Tego nie ośmieliłbym się już prorokować.

– Doszedłem do podobnych wniosków – stwierdziłem. – Mam smutne przeświadczenie, że duma i złość będą w nim narastać niczym para w zamkniętym kotle. Aż w końcu ten kocioł rozerwie się ze szkodą dla wszystkich.

Ludwik pokiwał głową z posępną miną.

– Moje myśli podążyły w podobnym kierunku – stwierdził. – Więc gdy rozmawiałeś z kanonikiem, wtedy ja, kiedy napełniłem już jego szklanekę winem, sypnąłem mu szczyptę sherskenu do karafki.

Skinąłem głową.

– Podejrzewałem, że tak właśnie możesz uczynić – rzekłem.

– Po mszy na pewno zechce się napić i wtedy, cóż... – Ludwik wzruszył ramionami. – Jeszcze dziś będzie szczęśliwie śpiewał „Alleluja” w niebiańskim chórze.

Przeżegnałem się.

– O ileż jego los będzie bardziej szczęśny od naszego – stwierdziłem. – My wciąż będziemy musieli wegetować na tym padole łez, niecierpliwie wyczekując nagrody w niebie.

– Mam nadzieję, że nikt nie wypije tego wina zamiast niego – zauważył Schoen.

– Kanonik zamyka swój pokój na klucz – przypomniałem. – A wściekły, rozżalony i z obolałą ręką nie zechce zapewne przyjmować po mszy gości. Jak znam życie, rzuci się zaraz do karafki i spróbuje trunkiem złagodzić ból.

– Co też uda mu się w całej rozciągłości. – Mój towarzysz uśmiechnął się serdecznie i rozłożył szeroko ramiona. – Zrobiliśmy dzisiaj wiele dobrego, Mordimerze. Wiele, wiele dobrego.

Pokiwałem głową z zadowoleniem.

– Uratowaliśmy spokój tego miasta i życie wielu jego mieszkańców, a cena, którą zapłaciliśmy, była znikoma.

– Rzekłbym nawet: żadna – odpowiedział Schoen, oddychając z ulgą.

– A przy tym jakaż to satysfakcja, że nawet księdza potrafiliśmy przekonać do miłowania bliźnich – dodałem na koniec.

– Aż żałuję, że tak uzdolniony człowiek nie będzie nam dalej służył – powiedział Ludwik z prawdziwym smutkiem.

Nie mogłem się z nim nie zgodzić. Ale właśnie dlatego musieliśmy się go pozbyć, że był zbyt utalentowany. I ten talent sprawiał, iż kanonik mógł stać się dla nas groźny. Teraz, w tym zamkniętym, oczadziałym ze strachu przed teraźniejszością i przyszłością mieście, jedno szalone kazanie mogło stać się iskrą rzuconą na beczkę prochu. A ani ja, ani Ludwik nie zamierzaliśmy spłonąć w wybuchu. Dlatego Speichel musiał umrzeć, chociaż wierzcie mi, mili moi, szczerze tego żałowałem. Kanonik mógł stać się naszą bronią, lecz każdy wódz wie, że w czasie bitwy należy wystrzegać się oficera obdarzonego własną silną wolą, rozumem, rozgniewanego

i sądzącego, że został skrzywdzony. Takie ostrze lepiej zakopać w ziemi, niż zabrać do boju. Dlatego też zakopaliśmy kanonika Speichela, niech odpoczywa w pokoju.

– Uważam, że na pogrzeb powinniśmy posłać piękne kwiaty – rzekł jeszcze poważnym tonem Ludwik.

– O, pošlemy koniecznie! – zawołałem. – Nawet ogromny wieniec!

– A z jakim napisem?

– Nie wiem. – Wzruszyłem ramionami. – Jakimkolwiek. Na przykład: „Drogiemu przyjacielowi z miłością. Spoczywaj w pokoju” – zaproponowałem.

Ludwik skrzywił się.

– Nazbyt oschłe i formalne – zawyrokował krytycznym tonem.

– Cóż więc innego miałbyś na myśli?

Zmrużył oczy i uniósł głowę, jakby szukając natchnienia.

– O, jakżeś dzisiaj szczęśliwy, kochany przyjacielu – zaczął wreszcie z namaszczeniem – na własne oczy oglądając chwałę dworu Pana. Wspomnij czasem o nas, których pozostawiłeś w boleści i tęsknocie na doczesnym padole łez. Nigdy nie zapomnimy twojej mądrości, dobroci i oddania chwale Bożej. – Ludwik odetchnął, otworzył oczy i spojrzał na mnie wyczekująco. – Czy brzmi wystarczająco pięknie? – zapytał.

– Znakomicie – pochwaliłem i zaklaskałem bezgłośnie. – Niech więc właśnie taki napis ozdobi nasz wieniec, aby wszyscy wiedzieli, że szczerze oplakujemy znamienitego kapłana.



Rozdział dwunasty

Archidiakon Umberto Cassi



Archidiakon Umberto Cassi pojawił się w Weilburgu niczym rzymski generał wkraczający w bramy Wiecznego Miasta po wielkim triumfie. Jechał na czele licznej świty – konnych dworzan, zwartego oddziału pikinierów oraz sług odzianych w jednolite barwy – amarantowe spodnie, żółte kubraki i zielone kapelusze. Dworzanie rozrzucali garście monet w rozradowany tłum, który witał dostojnego przybysza brawami, radosnymi okrzykami i wiewatami. Jakieś rozochoczone dziewczę, zresztą całkiem urodziwe i ładnie ukształtowane, wyskoczyło nawet na środek ulicy, zerwało z ramion bluzkę, odsłaniając okazały biały biust, i zakrzyknęło: „Chcę być twoja, piękny panie!”. Dworzanie łagodnie usunęli dziewczynę z drogi, a sam archidiakon skinął jej uprzejmie i obdarował życzliwym uśmiechem.

Wiedziałem, że w ratuszu miejskim jeszcze do niedawna trwały ożywione narady, w jaki sposób przywitać archidiakona, i w końcu zwyciężyła koncepcja, by obdarzyć go wszelkimi możliwymi honorami. Tak więc na rynku stał burmistrz w otoczeniu najznamienitszych rajców i trzymał w rękach wielką atlasową poduszkę z kluczami do miasta, odlanymi ze szczerego złota.

Oczywiście to pełne szacunku powitanie nie miało żadnego rzeczywistego znaczenia. Wiadomo było, że Cassi przyjechał tu na wojnę i wojnę tę przeprowadzi niezależnie od tego, w jaki sposób miasto go przyjmie. Wiedziałem, że z tej przyczyny rajca Zoll optował, by władze wjazd Cassiego powitały kompletną i całkowitą obojętnością. Przeważało jednak stronnictwo pojednawcze, które uważało, że nie należy dodatkowo rozsierdzać księcia biskupa i jego wysłannika, gdyż najważniejszą sprawą jest w jak najlepszej kondycji przeczekać zły czas. Ja sam sądziłem, że decyzja rajców, jakakolwiek by była, nie ma żadnego znaczenia dla rozwoju wypadków, ponieważ Cassi i tak ma zaplanowane dalsze kroki. Ale jak się domyślacie, mili moi, nikt waszego pokornego i uniżonego sługi nie pytał o zdanie na temat tego, jak mają postępować władze miasta.

Tak czy inaczej, obywatele wiwatowali, trębacze grali, dworzanie rozrzucali monety, a sam Cassi co chwila pozdrawiał tłumy wdzięcznym uśmiechem i łaskawym skinieniem. Trzeba przyznać zresztą, że archidiakon wyglądał wspaniale. Jechał na ogromnym siwym ogierze, w którego żyłach na pierwszy rzut oka (nawet tak niedoświadczonego jak moje) grała wielka krew i który poruszał się tak lekko i zgrabnie, jakby tańczył jakiś wojenny taniec przed bitwą. Sam Cassi zaś odziany był w wypolerowany srebrny półpancerz, błyszczący we wczesnopołudniowych promieniach, tak jakby przybysz sam stał się bliźniaczym odbiciem słońca albo przynajmniej jakby był cudem sztuki rzemieślniczej florentyńskich wytwórców luster i kryształów. Archidiakon nie założył nakrycia głowy, co uczynił, jak sądziłem, z dwóch powodów – po pierwsze, by okazać brak strachu przed przyjęciem przez obywateli Weilburga, po drugie, by wszem wobec pochwalić się długimi, jasnymi i pięknie utrefionymi włosami. Rzeczywiście, loków mogłaby mu pozazdrościć niejedna kobieta, ich gęstości, bujności i koloru...

– Założę się, że posypał głowę złotym pyłem – stwierdził Ludwik.

– Całkiem możliwe – zgodziłem się. – Trzeba przyznać, że pogoda mu sprzyja. Bo dużo gorzej wyglądałby w ulewie i bryzgach błota rozchlapywanych końskimi kopytami.

Schoen prychnął.

– Jaka szkoda – westchnął – że nie mamy w lochu czarownicy potrafiącej sprowadzać deszcz.

Oczywiście żartował. Nie dlatego, że zawahalibyśmy się przed skorzystaniem z podobnej mocy, ale dlatego, że podobnie mocarnych wiedźm po prostu już nie było. Owszem, kiedyś, kiedy sabaty były potężne i władały Brytanią, kronikarze wspominali, iż wiedźmy potrafiły sprowadzać grad na pola, a nawet śnieg i mróz w czasie letnich upałów. Jednak teraz o niczym podobnym nie słyszano, a jeżeli nawet gdzieś i kiedyś oskarżano w naszych czasach wiedźmy o zsyłanie gradu, suszy czy deszczów, to były to zarzuty oparte na łgarstwach lub konfabulacjach.

Wracając jednak do archidiakona, trzeba przyznać, że jego postawa mogła robić wrażenie również z tego powodu, że był to mężczyzna wysoki, o szerokich ramionach i trzymający się w siodle nie tylko z wyraźną wprawą, ale z niewymuszoną godnością. Krótko mówiąc, ten syn biskupa prezentował się dokładnie tak, jak prosty lud chciałby widzieć dzielnego i wytwornego księcia z bajki.

– Brakuje mu jeszcze pięknej damy u boku – stwierdził Schoen, którego myśli najwyraźniej podążały w podobnym kierunku, co moje.

Skinąłem głową. Rzeczywiście do księcia świetnie pasowałaby księżniczka.

– Wiesz dokładnie, gdzie to się stanie? – zapytał nagle mój towarzysz.

Potrząsnąłem głową.

– Nie wnikałem w szczegóły – odparłem. – Ograniczyłem się do przedstawienia pomysłu, natomiast kwestię jego przeprowadzenia pozostawiłem w rękach samych wykonawców.

Ludwik skinął głową.

– Miejmy nadzieję, że wszystko pójdzie sprawnie, składnie i ku zadowoleniu nas wszystkich.

Kawalkada sunęła wolno, spokojnie i radośnie, a jaśniejące mocnym blaskiem słońce dodatkowo nadawało całej scenie świąteczną okazałość. Było to wszystko tak wzruszająco piękne, że

aż żałowałem, że już za chwilę w ten rozkoszny, melodyjny śpiew wdrze się przeraźliwy ryk beanusa. I nic już nie będzie takie jak wcześniej...

Kątem oka dostrzegłem cień przesuwaną się po dachówkach jednej z kamienic.

– Zaczyna się – rzekłem.

Nagle na dachu pojawiły się dwie wyprostowane, zamaskowane postaci z wiadrami i obie jak na komendę lunęły ich zawartością nie tyle wprost w pochód Cassiego, ile w samego Cassiego. Pierwszy ładunek trafił głównie w głowę jego konia, ale drugi rzut wycelowano lepiej i zawartość wiadra dosięgła samego archidiakona. Aż klasnąłem, zadowolony ze zręczności zamachowców. Zresztą na tym całe przedstawienie się nie skończyło. Cassi bowiem miał tego pecha, że jego oblany nieczystościami (bo mam nadzieję, mili moi, że domyśliliście się, iż wiadra były pełne gówna. Stojący w najbliższej odległości ludzie domyślili się tego z całą pewnością po przytłaczającym odorze, jaki rozszedł się w gorącym, dusznym powietrzu) wierzchowiec, czy to pod wpływem zaskoczenia, czy pod wpływem smrodu, dostał ataku szału. Myślę, że Cassi był na tyle wytrawnym jeźdźcem, iż w innej sytuacji poradziłby sobie z narowistym koniem. Ale przecież sam oberwał zawartością wiadra, która załazała mu oczy. Nie jestem pewien, bo wszystko działo się zbyt szybko, ale sądzą, że machinalnie wypuścił wodze z dłoni, by przetrzeć twarz. Tyle że to wypuszczenie wodzy było naprawdę złym pomysłem przy wierzgającym ogierze, który wzniosł wysoko przednie kopyta. No i tak właśnie się stało, że nasz archidiakon, nasz piękny złoty książę z bajki wylądował na ziemi, oblany od stóp do głów gównem i na czworakach uciekający przed zdeptaniem go przez inne spłoszone rumaki.

– Jest nawet lepiej, niż przypuszczałem w najśmielszych marzeniach – stwierdziłem rozbawiony, a Ludwik tylko cicho chichotał.

– No i tyle byłoby z książęcej chwały – powiedział wreszcie z głębokim zadowoleniem, a jego oczy wypełniły się łzami ze

śmiechu.

– *A tak kto mniema, że stoi, niech baczy, aby nie upadł* – zacytowałem dobitnie i głośno słowa Pisma.

By oddać sprawiedliwość sługom Cassiego, trzeba przyznać, że dość szybko opanowali sytuację. Uspokoił narowistego ogiera, a samego archidiakona wyciągnięto spod kopyt, nakryto płaszczem, włożono mu na głowę kapelusz i otoczono pikinierami. Potem szybko wsadzono go na innego konia i Cassi już nie w uroczystym pochodzie, ale samoczwór popędził galopem ulicą miasta, by dotrzeć do pałacu wynajętego na czas pobytu. Oczywiście całą świąteczną, podniosłą i radosną atmosferę diabli wzięli raz na zawsze.



– Łaska ludu jeździ na narowistym koniu – stwierdziłem z uśmiechem. – Myśmy tego konia ubodli ostrogą, więc zaraz się przekonamy, jak wysoko będzie skakał.

Nie ma, mili moi, straszniejszej broni niż szyderstwo. Jeżeli chcecie w oczach plebsu zniszczyć człowieka dążącego do zdobycia władzy, spowodujcie, by ludzie zaczęli się z niego śmiać. Nieważne jest wtedy, czy potępiają go za przestępstwa, zbrodnie lub kłamstwa, czy też kochają go za szlachetne uczynki i hojność. W oczach i myślach ludu będzie on wciąż obiektem kpin. Nie zawsze podobny przepis na skompromitowanie przeciwnika się sprawdza, gdyż jak podają nam rzymscy historycy, z Juliusza Cezara również szydzono. Z jego sodomicznych upodobań czy z wyglądu. Ale Cezar nie dość, że zabronił karać twórców i wykonawców prześmiewczych wierszyków i piosenek, to jeszcze sam okazywał obywatelom, iż te żarty go bawią. Dzięki temu zyskał jeszcze większy szacunek i jeszcze większe oddanie Rzymian. Jednak Cezar był aż Cezarem, a archidiakon Cassi był tylko archidiakonem Cassim. Cezar wkupił się w serca obywateli walecznością i działaniem na chwałę Rzymu, Cassi na razie zasłynął tylko z nienaganego wyglądu oraz demonstrowanej na pokaz jednorazowej hojności. Tak więc jak w przypadku Cezara utrata sympatii ludu musiałaby być spowodowana wieloma klęskami, tak w przypadku Cassiego całkiem wystarczała jedna mała porażka. No, może nie taka mała zresztą, gdyż oblanie gównem i upadek z konia na oczach tłumu (który widział przecież archidiakona pierwszy raz w życiu!) można jednak było uznać za coś więcej niż małą porażkę.

– Scheissi! Scheissi! Dungerto Scheissi!^[17] – rozwrzeszczeli się ulicznicy, a stojący w szpalerze tłum podchwycił to miano wśród śmiechów.

– Dungerto Scheissi! – rozległo się coraz głośniejsze i powszechniejsze.

– Dungerto Scheissi – powtórzył rozbawiony Ludwik. – Ty to wymyśliłeś?

– Nie, drogi towarzyszu – odparłem. – Tym śmiałym konceptem popisał się nasz przyjaciel Heinrich. I on też zajął się

upowszechnieniem owego miana wśród ludzi, którzy teraz je wykrzykują.

– No kto by pomyślał! – Schoen klasnął w dłonie.

– *Sic transit gloria mundi* – westchnąłem.

– *Pycha chodzi przed upadkiem, a wyniosłość przed ruiną* – zgodził się ze mną.

Jak łatwo się domyślić, z honorowego powitania archidiakona na rynku i przekazania mu kluczy do miasta nic nie wyszło, choć rajcowie czekali dość długo w otoczeniu orkiestry oraz pięknych dziewcząt z kwiatami w rękach.

– Ach, te nasze nieznośne urwisy – tak właśnie, jak mi potem doniesiono, skwitował tę awanturę Wittbach, kiedy już o niej usłyszał.

Ale oczywiście niezależnie od tego, czy burmistrzowi podobało się upokorzenie Cassiego, czy nie, władze miasta rozkazały pilnie szukać winnych, by stosownie ich ukarać. I umówmy się, mili moi, że w tym zdaniu należy szczególną uwagę zwrócić na słowa „rozkazały pilnie szukać”, co wcale nie jest tożsame ze słowami „pilnie szukały”. Rzecz jasna, byłem pewien, że archidiakon spróbuje się dowiedzieć na własną rękę, kto stoi za jego ośmieszeniem, ale to, czy się tego dowie, czy też nie, było z mojego punktu widzenia całkowicie pozbawione znaczenia.

– W poczuciu dobrze spełnionego obowiązku możemy się chyba napić, prawda? – spytałem.

– Z całą pewnością – rzekł. – Bo ja osobiście nie widzę żadnych przeszkód, żeby dwóch zacnych inkwizytorów nie mogło wychylić butelki czy dwóch.

– Trzech – poprawiłem.

– Mogą być i trzy – zgodził się ze mną Ludwik.

– Myślałem o inkwizytorach – odparłem. – Trzech inkwizytorów. Przecież nie zapominajmy o naszym zacnym Heinrichu.

– Och tak – klasnął Ludwik. – Za Dungerta Scheissiego należy mu się podwójna porcja.

Zerknęliśmy jeszcze na przesuwaną się teraz już szybko, wśród śmiechów i drwin tłumu, orszak Cassiego.

– Sporo przyprowadził tych żołnierzy – zauważył Ludwik.

– Dwudziestu najemników – powiedziałem. – Pod dowództwem kapitana Greiga. To doświadczony oficer, walczył jeszcze na Śląsku i w Czechach z Polakami.

Schoen spojrział na mnie ze zdziwieniem.

– Nie, nie patrz tak na mnie. – Machnąłem ręką. – Żadna moja zasługa, że wiem to dokładnie. Nasi zacni mieszczanie przekazali mi raport, abyśmy wiedzieli, czego się spodziewać.

– A dworzanie?

– Trzech rzymskich szlachciców, którzy uchodzą za jego przyjaciół – rzekłem. – I oni mogą być naprawdę groźni. Kilkunastu ludzi służby, którzy należą zarówno do samego archidiakona, jak i tych jego przyjaciół. Reszta jest nieważna: koniuchy, kucharze, posługacze, kilka kobiet...

– Kobiet – powtórzył Ludwik.

– Z tego, co mi doniesiono, nie chodzi o żadną kochankę Cassiego, chociaż nasz archidiakon przepada za towarzystwem dam. Przejawia też ponoć szczególne upodobania...

– Jakież to?

Uniosłem dłoń.

– Pozwól, że tę konwersację będziemy kontynuować już w naszej kwaterze i w towarzystwie Heinricha – rzekłem.

– Oczywiście – zgodził się bez trudu.

Rzecz jasna, kiedy już wróciliśmy do siedziby Świętego Oficjum, to zanim zaczęliśmy rozmowę o upodobaniach archidiakona, musieliśmy wcześniej dokładnie opisać naszemu towarzyszowi, co wydarzyło się na ulicy.

– Dungerto Scheissi – powiedział z uczuciem Ludwik. – Przedni koncept, przyjacielu. Moje gratulacje.

Otworzyliśmy butlę czerwonego, słodkiego wina, zawiesistego i aż ciężkiego od aromatu suszonych śliwek przemieszanego z pozostającym na języku zapachem i smakiem malin.

– Nasze zdrowie – zawołał Schoen i spełniliśmy ten toast z przyjemnością.

– A teraz... – odezwał się Ludwik znowu. – Powiedz, proszę, Mordimerze, jakież to upodobania ma nasz kochany archidiakon, a przynajmniej o czym cię powiadomiono.

– Służę wam uprzejmie – rzekłem. – Otóż doniesiono mi, że Cassi lubi zadawać ból.

– Na jakieś szczególne sposoby? – zmarszczył brwi Heider.

– Napisano o biczowaniu i ugryzieniach...

– Mój Boże – zakrzyknął Heinrich ze śmiechem. – Gdybym kolekcjonował ugryzienia, którymi obdarzyły mnie dziewczęta...

– Mocne ugryzienia – przerwałem mu, spoglądając na niego karcąco, gdyż byliśmy towarzyszami wspólnej sprawy, jednak kiedy mówiłem, to nie lubiłem, by mi przeszkadzano. Zwłaszcza głupimi wtrętami. – Tak mocne, że oszpecają na zawsze – dodałem.

– Chcesz powiedzieć, że on odgryza kobietom kawałki ciała? – zapytał Ludwik z wahaniem.

– Owszem, jak mi doniesiono, podobne sprawy się zdarzyły.

– Czy mówiono, o jakie części ciała chodzi? – zapytał już poważnie Heinrich.

Potrząsnąłem głową.

– Po prostu, po pierwsze, lubi przyglądać się cierpieniu innych ludzi, a po drugie, lubi zadawać im cierpienie w czasie, kiedy ogarnia go miłosny zapał. – Wzruszyłem ramionami. – Nic nowego, prawda?

– Czy on te kawałki ciała pożera? – dopytał Schoen.

Spojrzałem na niego ciężkim wzrokiem.

– Ludwiku, nie mam pojęcia, czy Cassi wypluwa kawałki ciała, które odgryzł, czy też je połyka lub czy gotuje sobie z nich potrawkę. I nie jestem pewien, czy taka informacja mogłaby nam się w ogóle do czegoś przydać.

– Ach tak... – Ludwik ściągnął usta, jakby dawał znak, że całkowicie nie zgadza się z moim poglądem.

– Czy możemy jakoś wykorzystać tę słabość Cassiego? – zapytał tym razem Heinrich.

– Nie sądzę – odparłem. – Co kogo w Weilburgu mogą obchodzić brewerie Cassiego w Rzymie? Może gdyby skrzywdził córkę lub żonę któregoś z naszych szanowanych mieszczan, to taka zbrodnia

mogłaby wywołać tumult, ale... – zawahałem się nagle i zastanawiałem przez chwilę. – Ale na wszelki wypadek rozpuście po mieście plotkę, że archidiakon lubi się zabawiać w taki właśnie sposób. Niech ludzie wiedzą. No i niech ta plotka rośnie i ogromnieje – dokończyłem.

Heinrich skinął głową.

– Zajmę się tym – obiecał.

– A inne sprawy? – dopytał Schoen. – Dzieci? Młodzieńcy? Mężczyźni? Zwierzęta? Zwłoki?

Potrząsnąłem głową.

– Zdaje się, że w tej mierze wbrew watykańskim obyczajom nasz archidiakon wykazuje daleko posuniętą wstrzeźliwość – odparłem.

Wśród rzymskiego duchowieństwa, licznego niczym larwy tłoczące się na ścierwie, panowały bowiem obyczaje, które można porównać jedynie z antyczną Grecją, gdzie dojrzałym, bogaci i wpływowi mężczyźni brali na przysposobienie młodzieńców wchodzących dopiero w wiek męski i przysposabiali ich zarówno do sztuki wojennej, edukowali jako obywateli, jak i czynili z nich swoich kochanków. Z tym że w Watykanie poprzestawano na tym trzecim aspekcie, chociaż oczywiście używanie zadka starym, ustosunkowanym hierarchom wpływało na niesłychane wręcz przyspieszenie tempa kościelnej czy dworskiej kariery młodego człowieka. Nie raz czy nie dwa opowiadano też, że nawet w czasie oficjalnych uroczystości kościelnych owi faworyci biskupów czy kardynałów potrafili nie tylko publicznie zwyzywać się nawzajem, ale również pobić, a nawet pozabijać. Tak więc Bogu dziękować, że my mieszkaliśmy w spokojnym i zacnym Weilburgu, wolnym od podobnych skandali, a nie w watykańskim, papieskim kotle, który każdemu dobremu chrześcijaninowi przypominał gnijącą padlinę wymieszaną z odchodami.

Znałem kilku przyzwoitych księży czy zakonników, ale ani jednego porządnego biskupa czy kardynała. Z reguły bowiem były to kanalie chytre, zachłanne i sprośne, obdarzone niezliczonymi przywarami i hołdujące niezliczonym zboczeniom lub słabościom.

Obserwując Watykan i jego sługi, można było dojść do wniosku, że im większym kto jest łajdakiem, im kto bardziej pozbawiony jest zasad moralnych oraz skrupułów, tym łatwiej zrobić mu karierę w kościelnej hierarchii. Miałem szczerą nadzieję, że nadejdzie jeszcze czas, kiedy Święte Oficjum zrobi raz na zawsze porządek z tą watykańską hołotą i zaniesiemy święty ogień prawdziwej wiary wszędzie: od pałaców biskupich aż po dwór samego papieża. Na razie jednak sprawy miały się tak, jak się miały, czyli niedobrze. Zwłaszcza tu i teraz, w tym nieszczęsnym zamkniętym mieście, w którym na straży bezpieczeństwa oraz świętej wiary stał tylko wasz pokorny i uniżony sługa oraz jego dwaj towarzysze. Zresztą Weilburg Bogu mógł dziękować, iż to ja, a nie nikt inny, przyjąłem ciężar przywództwa, gdyż zarówno Ludwik, jak i Heinrich byli chłopcami prawymi, szczerymi i poczciwymi, lecz miałem przeświadczenie, że trudność sprawy, z którą przyszło nam się mierzyć, przerosłaby nie tylko ich zdolności, lecz również siłę charakteru. Oczywiście byli sprawnymi wykonawcami rozkazów, jednak potrzebowali mieć nad sobą zdecydowanego dowódcę. Dowódcę, który zdejmie z nich nie tylko konieczność układania planów i wydawania rozkazów, ale przede wszystkim ciężar odpowiedzialności, jaką trzeba ponosić za wydane decyzje. Ja z woli Boga Wszechmogącego to przygniatające brzemień zdecydowałem się ponieść i chociaż mogłem wcale nie być takim obrotem spraw zachwycony, to mój obowiązek zamierzałem wykonywać najlepiej, jak potrafiłem.



Rozdział trzynasty

Piękna Kinga



Kolejne dni miały w ogarniającym miasto upale, duszności i w narastającym gniewie obywateli. Gniewie, który na razie nie był jeszcze skierowany przeciwko nikomu konkretnie, lecz z dnia na dzień przybierał na sile. Na razie sprawiał tylko wrażenie bulgoczącego bagniska, lecz obawiałem się, że pod skorupą błota, rzęsy i liści jest tak naprawdę gejzer, który tryśnie wrzącą lawą i zatopi oraz spali wszystkich.

Coraz więcej też ludzi umierało na kaszlicę, a odchodzili w sposób zarówno szybki i gwałtowny, jak i po przedłużającej się i wyczerpującej chorobie. Oczywiście niektórzy obywatele, czy to aby pokazać własną odwagę, czy z własnej nieposkromionej głupoty, całkowicie lekceważyli niebezpieczeństwo. Pewien mieszczanin, człowiek nawet dość znacznego majątku i pochodzenia, mówił mi pewnego dnia tak:

– A ja wam powiem, mistrzu Madderdin, że ten kaszel wcale nie jest taki straszny. Nawet wręcz bym powiedział, że to choroba lekka i przyjemna, ot, taka przeczyszczająca gardło. – Odchrząknął kilka razy głośno na próbę.

– A trupy na ulicach? – spytałem.

Prychnął lekceważąco i wzruszył ramionami.

– Gdybyście każdego innego dnia, niezależnie od owej wydumanej epidemii, równie wydumanej kaszlicy, a więc gdybyście każdego innego dnia rok czy dwa wcześniej wyciągnęli pewnego poranka wszystkie zwłoki na ulice naszego miasta, to ludzie też by się przerazili i zaczęliby opowiadać zmyślane historie. Ale że trupy do tej pory trzymano w domach, to i nikt nie widział, ilu mieszkańców każdego dnia, każdego tygodnia umiera w Weilburgu.

– Spoglądając w parafialne rejestry zgonów, zapewne łatwo byłoby to sprawdzić – rzekłem.

Machnął lekceważąco ręką.

– Ja, mistrzu, wierzę w to, w co wierzę, a nie w to, co wysmarowali ludzie, którym za grosz nie ufam. Poza tym sami znacie potęgę plotki, wiecie, jakie są ludzkie języki, wiecie, że bajdurzą, byle bajdurzyć... Ot, powiem wam coś. – Pstryknął palcami. – Choćby wczoraj opowiadano, że umarł nasz towarzysz z cechu, a tu patrzcie państwo, on sam wchodzi do zajazdu, żywy i zdrowy, i nawet nieznający faktu, że w oczach ludzi uchodzi za martwego. I co się okazało? – Spojrzał na mnie.

– Ufam, że zaraz mi zdradzicie.

– Okazało się, że to wcale nie on umarł, tylko jego brat i żona tego brata! – zakrzyknął z triumfem.

– Niemniej ktoś jednak umarł – zauważyłem.

Zamachał dłonią.

– Nieważne! – zawołał. – Ważne, że owe historie o grozie choroby oparto na przesadzie lub zwykłych kłamstwach. Zaręczam wam, że za rok wszyscy będą się serdecznie śmiali, jak mogli wmówić sobie podobne bajania jako prawdę.

Skinąłem głową.

– Znam kobietę, która w tym miesiącu straciła męża, ojca i dziecko – stwierdziłem. – Też jestem pewien, że za rok będzie się z tego serdecznie śmiała.

Parsknął niezadowolony.

– A ja znam mężczyznę, który w zeszłym roku stracił w pożarze żonę, teściów, no, to może jeszcze nie taka wielka tragedia – dodał z uśmiechem, lecz potem szybko spoważniał. – I dwójkę małych

dzieci. I czego to dowodzi? Dokładnie niczego! A raczej tego, że różne nieszczęścia przytrafiają się różnym ludziom, a śmierć jest częścią życia. – Spojrzał na mnie. – Czego naucza przecież niestrudzenie nasz święty, jedyny i prawdziwy Kościół, czyż nie? – zapytał tym razem z wielkim szacunkiem w głosie.

Tak więc widzicie, mili moi, że niektórych ludzi nie da się przekonać i choćby pod same ich nosy podtykać trupy z wybałuszonymi od kaszlu oczami i z czerwonymi od wypluwanej krwi ustami, to oni powiedzą, że żadna kaszlca nie istnieje, nie istniała i istnieć nie będzie, a wszystko to jest spisek oraz wymysł sił potężnych i złowrogich, które knują tylko, jak sponiewierać zacnych mieszkańców Weilburga. W dodatku, trzeba to przyznać, spisek istniał naprawdę. Bo przecież książę biskup i archidiakon rzeczywiście knowali przeciwko miastu, ale kaszlicy nie wymyślili, a zaledwie postanowili ją sprytnie wykorzystać do swoich celów.

Zresztą wśród naszych obywateli trafiali się również tacy, którzy epidemię co prawda dostrzegali i uznawali, ale jako ludzie doświadczeni, co z niejednego pieca chleb jedli, wiedzieli, że kiedyś i gdzie indziej bywało gorzej. Ot, pewien żebrak, starzec wielce w swoim fachu szanowany, tak mi pewnego dnia opowiadał:

– Mistrzu najdroższy, jakaż to niby dzisiaj epidemia? – Roześmiał się sucho, a potem zakasłał i odcharknął w kąt. Otrząsnął się. – Jakaż to niby epidemia? – powtórzył pogardliwie. – W pierwszym roku panowania cesarza Gustawa to dopiero była epidemia. Wy nie pamiętacie, bo za młodzi jesteście, ale ludziska marli wtedy jak ślimaki na słońcu. Ze dwa dni tylko trwało od rozpoczęcia pierwszych drgawek do chwili, kiedy rozpalony gorączką człowiek konał i jego trupa wrzucano na wóz.

– Rzeczywiście jestem za młody – mruknąłem, bo cesarz Gustaw zmarł jeszcze przed moim urodzeniem.

– A ospa, co akurat wtedy wybuchła, w ten sam czas, kiedy była wielka wojna z Polakami? – ciągnął staruch. – Nie pamiętacie, jak mówiono, że to polskie wiedźmy sprowadziły zarazę na Cesarstwo?

Wzruszyłem ramionami. O samej wojnie oczywiście słyszałem, choć wybuchła i trwała, kiedy byłem jeszcze dzieckiem. O sprawie

z wiedźmami też, rzecz jasna, mi opowiadano. Tyle tylko, że z komentarzem, iż podobne bajędy służyły tłumaczeniom żołnierzom i ludowi, dlaczego wojska cesarskie dostają takie lanie na każdym froncie. Polacy, jacy byli, tacy byli, ale za czarownicami, demonami i heretykami przepadali mniej więcej w tym samym stopniu, co my. Tyle tylko, że nie uznawali władzy papieża (co zresztą wielu z nas uważało za całkiem niegłupią ideę) oraz negowali jurysdykcję Świętego Oficjum (nad czym szczerze ubolewaliśmy).

– A czerwoną gorączkę pamiętacie? – zagadnął znowu starzec. – Nie dość, że ludzie umierali, to jeszcze przedtem srali krwią tak mocno, że im flaki dupą wychodziły. No to ja, powiem wam szczerze, mistrzu, że wolę już ten nasz nieszkodliwy kaszelek.

Epidemia choroby nazywanej przez lud „wypruwajką” (bo wypruwała z człowieka wnętrzości) albo właśnie czerwoną gorączką, jak przypomniał mój rozmówca, miała miejsce w czasach, kiedy studiowałem w Koblencji. Jakoś nie przypomniałem sobie, by zapadł na nią któryś z moich kolegów lub nauczycieli. Ale staruch miał rację: choróbsko było wyjątkowo paskudne i wyjątkowo też udręczało swoje ofiary, zanim je zabiło. A nawet jak ktoś przeżył, to często był tak schorowany i tak wymęczony, że potem łatwo umierał nawet na byle jaki katar.

– Cieszę się, że jesteście dobrej myśli – pochwaliłem go. – Tego nam trzeba w tych złych czasach: optymistycznego spojrzenia.

Nie wiem, czy mnie zrozumiał, bo słowo „optymistycznego” miało aż sześć sylab i raczej nie używano go często w żebraczych zaułkach, ale po tonie głosu poznał, że jestem z niego zadowolony, więc szybko wyciągnął rękę, rozczapierzając szponiaste palce, czarne od wżartego w nie brudu.

– Poratujcie, mistrzu, dawnego żołnierza, co dzielnie służył Chrystusowi i cesarzowi – rzekł tym razem z przymilną egzaltacją.

– A gdzie ty niby wojowałeś, co? – mruknąłem, ale rzuciłem mu w dłoń groszaka.

– Bóg wam zapłać, Bóg wam zapłać. – Szybkim, zręcznym gestem schował monetę w łachmany. – A skoro pytacie, gdzie wojowałem, to powiem wam, że nawet pod Schengen walczyłem!

– Niby pod Schengen walczyłeś za cesarza i wiarę? – zadrwiłem. – Coś mi wyglądasz bardziej na buntownika niż na żołnierza.

– Ech... – Otarł oczy tak, że rozmazał sobie brud na policzkach. – Co było, to było – westchnął ciężko. – Jak w nas huknęli, to tylko dym został. I trupy na polu.

Ach, więc staruch był najwyraźniej w tej czeredzie, którą rozgonili cesarscy konni arkebuzerzy. Doskonale pamiętałem, jak na równinę pełną krzyczącej, niesfornej hołoty wyjechały równe szeregi żołnierzy. I jak salwy oddane z arkebuzów nie tylko zabiły wielu buntowników, ale przede wszystkim odebrały pozostałym przy życiu ducha walki i nadzieję na zwycięstwo.

Jakoś tak się złożyło, że dwa dni później spotkałem się z Baumem i przechodziliśmy akurat przez zaułek, w którym zazwyczaj żebrał ów pamiętający tak świetnie dawne klęski dziadyga. Tym razem jednak nie żebrał, lecz leżał z zakrwawionymi ustami i w pochłapanej krwi, brudnej koszuli. Wybałuszone martwe oczy wytrzeszczał wprost do słońca. Przystanąłem i odwróciłem się w stronę aptekarza.

– No proszę. Zobaczcie, jeszcze w niedzielę z nim gadałem i przekonywałem mnie zawzięcie o tym, jakąż to łagodną chorobą jest nasza kaszlica i jak to w dawnych czasach bywało dużo gorzej i teraz wcale nie ma się czego bać. – Pokręciłem głową.

Mój towarzysz czubkiem buta trącił stopę leżącego, zapewne by się przekonać, czy naprawdę jest on martwy. Potem trącił go jeszcze mocniej.

– Dajcie spokój – rzekłem. – Wiem, że trupowi już wszystko jedno, ale jednak nie wypada tak nim poniewierać.

– Ja nie poniewieram – zaprotestował Baum obrażonym tonem. – Tylko chcę się przekonać, czy aby na pewno umarł.

Wskazałem palcem muchę, która siedziała w kąciку oka trupa.

– Gdyby był żywy, pewnie by ją odgonił – zauważyłem.

– Ano tak. – Aptekarz szybko cofnął się o dwa kroki. – I co? Tak będzie leżał?

Wzruszyłem ramionami.

– Zabiorą go pewnie wieczorem i pogrzebią – odparłem. – Ale trzeba przyznać, że sądząc po jego opowieściach, to i tak długo przeżył. No chodźmy, panie Baum, bo strasznie mnie już suszy...

– Coraz więcej tych trupów, coraz więcej każdego dnia – rzekł mój towarzysz ponuro.

– Tak to właśnie się umiera na nieszkodliwy kaszelek – podsumowałem z przekąsem.

Właśnie w ten sposób toczył się dzień za dniem, a archidiakon Cassi wydawał się nieszczerólnie aktywny. Owszem, spotkał się z radą miasta, odwiedził też kilku znaczniejszych duchownych, pokazując, jaki jest uprzejmy, że sam przychodzi w gości, a nie wzywa ich do swego pałacu. Ale nic strasznego ani wstrząsającego, ani znaczącego na razie się nie wydarzyło. Ja jednak przeczuwałem, że to tylko cisza przed burzą, że przecież nie po to archidiakon się tu pojawił, żeby wynająć Pałac Mały i zabawiać się pijatykami oraz chędożyć ladacznice. Zresztą trzeba przyznać, że akurat te nasze weilburskie kurwy to bardzo sobie przyjazd Cassiego i jego świty chwaliły, bo co prawda ledwo powłóczyły nogami ze spracowania, ale za to ich sakiewki spęczniały jak nigdy wcześniej. Dowiadaliśmy się, czy nie dzieje się w pałacu nic podejrzanego, ale dziwki nie tylko nie wspominały o jakichkolwiek zbrodniach, ale nie mówiły nawet o żadnych praktykach mogących przestraszyć doświadczoną kobietę, która gotowa jest na wiele pozwolić dobrze płacącemu klientowi.



Kiedy wróciłem do siedziby Świętego Officjum, okazało się, że otrzymałem przez gońca liścik od proboszcza Gustawa Webera, który w tonie niezwykle żarliwym błagał wręcz, bym natychmiast do niego przybył. Cóż, nie wypadało odmówić człowiekowi zawsze życzliwemu Świętemu Officjum, a poza tym przyznam, iż z przyjemnością pomyślałem, że znowu zobaczę śliczną buzię jego podopiecznej. I chociaż, jak już wspominałem, dziewczyna nie

czarowała tak miłą męskiemu oku krągłością kształtów, to jednak jej zachwycająco urokliwa twarz miała w sobie coś takiego, iż trudno było oderwać od niej wzrok. Zresztą, pomyślałem, jeśliby tę podopieczną proboszcza troszkę dokarmić różnymi frykasami, to może i nabrałaby ciała w miejscach, w których jest to mile widziane? No ale tym niech się martwi jej przyszły mąż albo jej przyszły kochanek, albo obaj naraz.

Wyruszyłem bez zwłoki na prośbę księdza i pojawiłem się na plebanii długo jeszcze przed porą obiadową. Proboszcz czekał na mnie, od razu dostrzegłem i zrozumiałem, że jest zdenerwowany i przestraszony. A nie trzeba było mieć znakomitego węchu, by w tym małym pomieszczeniu wyczuć, iż musiał sobie już sporo popić. Bez zbędnych ceregieli wyciągnął butlę i napełnił nam kubki.

– Wiesz, Mordimerze, że mój kościół nie podlega księciu biskupowi? – zaczął.

Nigdy o tym nie myślałem, ale teraz rzeczywiście przypomniałem sobie, iż był to kościół Zgromadzenia i jako taki był zależny od prowincjała, a nie od biskupa.

– W obliczu tego, co się dzieje i będzie działo, to chyba dobrze, prawda?

Skinął głową.

– Gdybym podlegał biskupowi, dawno siedziałbym w jakimś klasztorze na dożywociu – prychnął.

– A skąd niechęć Jego Ekscelencji do tak urokliwego proboszcza jak ty? – zapytałem.

Nie uśmiechnął się nawet, ale chyba nie dlatego, że nie docenił mojego żartobliwego pytania, lecz dlatego, że najwyraźniej był w paskudnym nastroju. Albo nawet w nastroju jeszcze paskudniejszym niż paskudny.

– Obawiam się, że Jego Ekscelencja świetnie pamięta, że w sporze pomiędzy władzami miasta a nim stanąłem zdecydowanie po stronie miasta – rzekł, zaciskając mocno palce. – A Zgromadzenie na mój wniosek wykorzystało wpływy na cesarskim dworze, żeby werdykt cesarza był dla Weilburga korzystny.

– I biskup o tym wszystkim oczywiście wie?

– Rzecz jasna.

– Sądzisz więc, że grozi ci jego zemsta. – Pokiwałem głową. – Słusznie zrobiłeś, mówiąc mi o tej sprawie – dodałem po chwili. – Nie wykluczam bowiem, że biskup poza załatwieniem interesów zechce również załatwić dawne porachunki..

– Nie boję się śmierci – rzekł zdecydowanym i pewnym głosem. – Ale też wcale niechętnie wybierałbym się umierać.

– Nie sądzę, żeby sprawy zaszły aż tak daleko – odparłem. – Ale oczywiście na twoim miejscu uważałbym, aby nie kopać gniazda z szerszeniami. A nawet starałbym się, aby mnie nie dostrzegąły – dodałem.

– I tu jest właśnie pies pogrzebany. – Tym razem tak ścisnął palce obu dłoni, aż chrupnęły mu kostki.

– A więc jak rozumiem, szerszenie cię dostrzegły. – Pokręciłem głową. – Niedobrze.

– Odwiedził mnie sam archidiakon z przyjacielską wizytą. – Słowo „przyjacielską” wymówił z szyderstwem.

– Och, jakaż łaska wielkiego pana cię spotkała... – zauważyłem.

– Nawet grzecznie, ludzi zostawił w kościele, a tu do mnie wszedł tylko z jednym towarzyszem. – Proboszcz przymknął oczy, po czym nie dbając o mnie, znowu napełnił sobie kubek.

Miałem nadzieję, że nie straci przytomności z opilstwa, póki nie wyzna mi, cóż go tak niezwykle mocno poruszyło, że nie tylko wezwał mnie tak pilnie i żarliwie, ale w dodatku raczy się winem bez opamiętania.

– Kinga weszła do mojego gabinetu – powiedział. – Chyba była ciekawa. – Wzruszył ramionami. – Jak to młoda dziewczyna, wiesz, jak to bywa z takimi podfruwajkami, jeszcze wychowana w klasztorze, ciekawa ludzi, więc...

– Dobrze, dobrze – przerwałem mu. – Lepiej mów, co się wydarzyło...

– Cassi klepnął ją w pośladki i uszczypnął w pierś, a ona wyrznęła go w twarz tak mocno, że aż krew puściła mu się z nosa.

Roześmiałem się.

– Dzielna dziewczyna – pochwaliłem. – Głupia, ale dzielna.

– Tyle masz do powiedzenia? – zawarczał rozzłoszczony Weber. – Na Boga, Mordimerze, przecież on ją zniszczy! A przez nią znajdzie pretekst, żeby zniszczyć i mnie!

Nie wiedziałem, czym martwił się bardziej, chociaż niewątpliwie zależało mu na losie dziewczyny.

– Co Cassi zrobił potem? – zapytałem. – Oprócz krwawienia. – Mimowolnie uśmiechnąłem się, wyobrażając sobie, jak wściekły musiał być archidiakon, którego najpierw w naszym mieście na powitanie polano gównem, a potem w czasie spokojnej wizyty na plebanii oberwał w twarz od zwykłej plebejuszki.

– Zasłoniłem ją własnym ciałem – wyznał proboszcz. – Bo nie wiem, czyby jej nie zakłuł albo nie zarznął, w każdym razie trzymał już palce na sztylcie... Obrzucił ją najpodlejszymi wyzwiskami, a ja... a ja wtedy... kazałem mu się wynosić.

– No to z ciebie też dzielny człowiek – pochwaliłem tym razem jego. – Kolejny głupi, ale na pewno dzielny.

Potem pokręciłem głową.

– Szkoda, że nie pomyślałeś raczej, żeby go jakoś udobruchać, a nie dodatkowo zezłościć.

– Cassi nie puści jej tego płazem – zawyrokował ponuro Weber. – Słyszałem o nim i jego sprawkach w Watykanie. Nie za takie obrazy kazał zabijać ludzi.

Cóż, tego nie można było wykluczyć. Chociaż dla Kingi sprawy mogły skończyć się gorzej i boleśniej niż szybką śmiercią.

– Wezwij tu tę swoją głupią dziewczuchę – nakazałem.

Weber wychylił się z gabinetu, a potem zakrzyknął na służącego, by pobiegł po Kingę. I niewiele czasu zajęło, a dziewczyna zjawiała się przed nami. Stała zaraz za progiem, sztywno wyprostowana i z opuszczonymi oczami. Była blada niczym śmierć, a w czarnej sukni i czarnym czepeczku wyglądała jak młoda wdowa, która wróciła właśnie znad grobu ukochanego męża.

– Co ci strzeliło do głowy, głupia dziewczyno, żeby uderzyć archidiakona? – zapytałem.

Podniosła wzrok.

– Żaden mężczyzna nigdy nie będzie mnie dotykał prócz męża poślubionego zgodnie z prawem, wiarą i obyczajem – oznajmiła twardym, dumnym głosem. – A kiedy urodzę syna, to jeszcze tylko on będzie mógł dotykać mojej piersi.

Podszedłem do niej. Tak blisko, że widziałem, że mimo swojej dumy i hardości poczuła się zaniepokojona.

– Bardzo godne słowa – stwierdziłem lodowato. – Tyle tylko, moja panno, że na takie słowa stać szlachetnie urodzonych i bogatych. A nie nic nieznających biedaków takich jak ty. Bo ty, kiedy jaśnie pan raczy cię poklepać po zadku, uszczypnąć w policzek albo ścisnąć za piersi, masz się niewinnie spłonić, wyszeptać: „Ależ, wielmożny panie” i skromnie uciec do kącika. A wtedy zadowolony jaśnie pan podkręci węża i może wychodząc, zostawi ci koronę albo dwie...

– To samo jej mówiłem – mruknął smętnie proboszcz. – Nie wiem, skąd ona się wzięła taka harda. Ojciec był dobrym człowiekiem, pokornego serca, a ta smarkuła wyrodziła się w nie wiadomo co.

– Niczego nie żałuję! – zawołała. – Niczego!

– I bardzo źle, że nie żałujesz – odparłem lodowato. – Bowiem poniżyłaś i upokorzyłaś wielkiego pana, dla którego nawet niestosowny ton głosu jest śmiertelną zniewagą, a co dopiero mówić o uderzeniu. Będzie chciał się zemścić na tobie i na twoim dobrodzieju, księdzu proboszczu. – Stałem już teraz tak blisko, że niemal stykaliśmy się twarzami. – Wiesz, co mogą ci zrobić? Złapią cię i zgwałcą – ciągnąłem zimno. – Nie tylko archidiakon, on będzie pierwszy, ale potem zostawi cię swoim żołnierzom. A kiedy już z tobą skończą, a będzie to trwało wystarczająco długo, żebyś nie miała ochoty dłużej żyć, to wcale cię nie zabiją. Po tym wszystkim nagą, zakrwawioną i ledwo żywą wyrzucą cię na ulicę, na ludzkie pośmiewisko – kontynuowałem. – Powiedz mi więc: czy uszczypnięcie w pierś naprawdę było tego wszystkiego warte?

Słyszała mój wściekły głos i nie wiem, czy bardziej sens mej wypowiedzi, czy też raczej jej ton zadecydował, ale dotarła wreszcie do niej cała groza sytuacji, usta jej zadrżały i wybuchnęła płaczem. Pchnąłem ją, wcale nie delikatnie, na krzesło, a ona skuliła się na nim i szlochała dalej. Rozpaczliwym, żalonym łkaniem

skrzywdzonej, przerażonej dziewczyny. I bardzo dobrze się działo, iż tak właśnie płakała. Bo tylko człowiek, który odczuwa lęk, jest w stanie bronić się przed niebezpieczeństwem. A w tym wypadku niebezpieczeństwo było nad wyraz realne.

– Co ja mam z nią zrobić, Mordimerze? Co ja mam z nią zrobić? – zapytał proboszcz bezradnie.

Gdyby sytuacja była inna, w najgorszym razie wysłałby ją z miasta. Gdzieś do znajomych na wieś albo do zaprzyjaźnionego żeńskiego klasztoru. Ale bramy miejskie zamknięto, a drogi dojazdowe patrolowali żołnierze biskupa i doskonale wiedzieliśmy, że naprawdę się do tej służby przykładali.

– Zawrzyj układ – poradziłem. – Wyślij list do archidiakona. Powiedz, że dziewczyna publicznie będzie błagać go o przebaczenie. Że uklęknie, ucałuje jego dłoń, że wyznaczysz jej na cały rok pokutę przed kościołem, że zostanie publicznie wychłostana...

– A on się zgodzi? Myślisz, że się zgodzi? – Weber podniósł na mnie wzrok.

– Nie, nie zgodzi się – odparłem. – Wie już, że zależy ci na niej, więc postawi inne warunki. Jeśli zechcesz ją uratować, będziesz musiał zawrzeć pakt z biskupem i stanąć przeciwko miastu. Oczywiście oprócz wszystkiego innego, przeprosin, pokuty, chłosty i tak dalej...

Kinga poderwała głowę. Jej oczy błyszczały od łez, ale i z gniewu.

– Niczego takiego nie zrobię! Nigdy nie będę błagała go o wybaczenie. Wolę umrzeć!

Obaj z księdzem spojrzeliśmy bezradnie jeden na drugiego. Zaraz potem mój towarzysz przeniósł wzrok na dziewczynę.

– Uczynisz, co ci rozkażę – rzekł twardo.

– Wolę umrzeć! – powtórzyła z zawziętością i rozpaczą. – Możecie mi kazać, co chcecie, ale powiem wam jedno: potrafię pchnąć się nożem i nie boję się śmierci. Będziecie mnie trzymać w sznurach? W klatce?

Skrzywiłem usta.

– Jeśli trafnie oceniam sytuację i na ile dobrze znam takich ludzi jak archidiakon, to kiedy wpadniesz w jego ręce, śmierć będzie

raczej twoim życzeniem niż zmartwieniem – stwierdziłem.

– Nie wiem, co robić – poskarżył się Weber żałościwie. – Może ty, Mordimerze...

– Co ja? – zapytałem zaniepokojony.

– Błagam cię. – Złożył ręce jak do modlitwy. – Zabierz ją do siedziby Inkwizytorium. Tylko tam będzie bezpieczna.

Jeśli chodzi o bezpieczeństwo, była to szczerza prawda. Do domu Świętego Officjum nawet Cassi wahałby się chyba wtargnąć. To jednak nie to samo, co choćby zgwałcić mieszkankę i zabić jej protestującego męża. Tutaj można się było narazić najpotężniejszej instytucji znanego nam świata. „Kiedy ginie inkwizytor, czarne płaszcze ruszają do tańca” – tak mówiło nasze stare porzekadło, które oznaczało ni mniej, ni więcej, iż Inkwizytorium bezwzględnie staje w obronie swoich funkcjonariuszy. Bo jeśli dopuścimy, by bezkarnie nas zabijano, to nigdy żaden z nas nie będzie już bezpieczny. Ale zupełnie inną sprawą było to, że siedziba Inkwizytorium to nie jest święty azyl, w którym poszukiwani przestępcy mogą się ukryć przy ołtarzu. Oczywiście Kinga nie była przestępcą, lecz zaledwie ofiarą. Głupią, bo głupią, lecz jednak tylko ofiarą... Za spoliczkowanie wielkiego pana można nałożyć na nią pokutę, można skazać ją na kilka batów dla nauczki, ale na pewno nie wolno jej zabijać lub krzywdzić na całe życie. Taki był mój osąd w tej mierze, a skoro taki był mój osąd, to jako że reprezentowałem Święte Officjum, taki był również osąd całej potężnej instytucji.

– Mordimerze, zrób z nią, co zechcesz – błagał dalej proboszcz. – Niech wam sprząta, niech wam gotuje, zamknijcie ją w komórce, co tylko chcecie. Ale ocalcie ją!

– Od sprzątanania i gotowania mamy naszą pocziwą Helcię – powiedziałem. – Niepotrzebna nam młoda dziewczucha płacząca się po inkwizytorskich pokojach.

– Przecież jest was tylko trzech, a nie sześciu. Tyle więcej macie miejsca.

– Niech ksiądz go nie prosi – rozkazała jadowitym tonem Kinga. – Przecież od razu widać, że boi się Cassiego.

Uśmiechnąłem się lekko. Jeśli sądziła, że weźmie mnie tymi oskarżeniami pod włos, to głęboko się myliła. Bo kompletnie mnie nie obchodziło, czy jakaś dzierlatka sądzi, że lękam się archidiakona.

– Zapewniam cię, że jest dobra i cnotliwa – przekonywał dalej Weber. – Tylko głupia jak but i uparta jak osioł. Może gdybym miał cięższą rękę, wszystko ułożyłoby się inaczej, ale ona nigdy nawet porządnego lania nie dostała... Ale, przysięgam, możecie ją bić, ile chcecie...

– No, no, niech tylko spróbują – przerwała mu Kinga.

– ...jeśli tylko będzie się wam sprzeciwiać – dokończył Weber.

Wahałem się. Było mi żal tej dziewczyny, chociaż sama sobie była winna. Niemniej trzeba przyznać, że zbyt wysoką cenę mogła zapłacić za głupi błąd. Nikt nie zasłużył, by zakosztować okrucieństwa Cassiego. Poza tym dochodził jeszcze jeden argument. Bo czyż odebranie wilkowi kaska spod samego pyska nie rozwścieczyłoby go? Uśmiechnąłem się w myślach. Zagranie Cassiemu na nerwach mogłoby być całkiem zabawne. A przy okazji spełnię dobry uczynek. A nawet dwa dobre uczynki.

– Posłuchaj, dziewczyno – rzekłem bardzo poważnie. – Zaopiekuję się tobą tylko przez wzgląd na twojego opiekuna. Ale musisz przysiąc na krzyż – pokazałem stojący na biurku krucyfiks – na mękę i na chwałę Pana naszego, że będziesz mnie bezwzględnie słuchać. Jeżeli zaczniesz brykać, wyrzucę cię na ulicę i niech cię tam znajdą zbiry Cassiego i zrobią z tobą, co zechcą. Rozumiesz?

Usta jej zadrżały, ale zanim zdążyła coś powiedzieć, odezwał się Weber:

– Kinga, błagam cię, ja nie uradzę cię uratować...

Być może przekonał ją dojmujący smutek w jego głosie, bo pochyliła głowę, zbliżyła się do biurka i położyła palce na krzyżu.

– Przysięgam, że będę wam posłuszna – obiecała cichutko. – Jeśli będziecie dla mnie dobrzy – dodała szybko. – I jeśli słuszność będzie po waszej stronie.

– Lepszej przysięgi chyba się nie doczekamy – stwierdziłem i wzruszyłem ramionami. Potem spojrzałem na dziewczynę. – Szykuj się więc, weź, co potrzebujesz, i idziemy.

– A jeśli oni obserwują plebanię i kościół? – zaniepokoił się Weber.
– Jeśli was zaatakują?

– Życzę szczęścia – odparłem z krzywym uśmiechem. – Ale masz rację, że musimy wyjść jak najprędzej – dodałem. – Bo póki jest wielu ludzi na ulicach, póty zbiry Cassiego nie ośmielą się wszcząć burdy. Jednak po zmierzchu różnie by mogło być.

Kinga uwinęła się nadspodziewanie szybko i już za niedługą chwilę stała przy drzwiach z niewielkim tobołkiem w ręku. Weber uściskał ją ze łzami w oczach i ucałował w czoło.

– Dziecko drogie, dziecko drogie, niech ci łaska Pana sprzyja. Niech cię żadna krzywda nie spotka.

Zauważyłem, że Kinga z tego wszystkiego również się rzewnie popłakała.

– Kończmy już to dramatyczne pożegnanie – nakazałem. – Nie rozstajecie się na zawsze, ale góra na kilka tygodni, a Kinga nie idzie na poniewierkę, tylko w gościnę Świętego Officjum. Nie będzie miała u nas źle, zapewniam cię...

Weber oderwał się od dziewczyny i zaczął mi dziękować z wylewną, pijacką czułością. Byłem pewien, iż jest mi szczerze wdzięczny, ale ta wdzięczność pomieszana z ulgą, wcześniejszym strachem i podlana dużą ilością wina czyniła jego towarzystwo mocno niestrawnym. Tak więc byłem naprawdę zadowolony, kiedy wreszcie opuściliśmy teren kościoła i wyszliśmy na ulicę. Dłuższy czas kroczyliśmy w milczeniu, Kinga z opuszczoną głową, a ja – bacznie, choć dyskretnie przyglądając się otoczeniu oraz mijającym nas przechodniom. Nie zauważyłem jednak niczego podejrzanego. Przeszliśmy może jedną trzecią drogi, kiedy Kinga się odezwała, cichutkim i spłoszonym głosem:

– Naprawdę sądzicie, że ten człowiek zrobiłby mi coś aż tak złego? Że chciałoby mu się zajmować kimś tak nieważnym jak ja?

– Tak właśnie sędzę – odparłem krótko.

– Uderzyłam go, zanim pomyślałam – odezwała się znowu. – A na pierwszy rzut oka wydawał się nawet całkiem miłym mężczyzną.

No tak, młode dziewczęta i ich ocena rzeczywistości! – pomyślałem. Bo o archidiakonie dało się powiedzieć wszystko poza

tym, że był miłym mężczyzną. Oczywiście jego olśniewająca uroda rycerskiego księcia mogła zwieść wielu, którzy sądzą, że człowiek obdarzony przymiotami ciała został w równym do nich stopniu obdarzony przymiotami ducha. Niestety, a może na szczęście, świat się tak nie układał i żyli na nim również brzydale o złotych sercach. Zdarzały się też kanale o ujmującym wdzięku Cassiego.

Zatrzymałem się i ująłem jej dłoń.

– Archidiakon Umberto Cassi nie jest miłym mężczyzną – rzekłem twardo. – W Watykanie jest znany z niegodziwości i zbrodni, takich jak gwałty oraz zabójstwa. Cokolwiek myślałaś i czułaś, spoglądając na niego, zaręczam ci, że się myliłaś. – Patrzyłem na nią, ale ona cały czas opuszczała głowę. – Pamiętaj o tym, Kingo. Pamiętaj, że zagraża ci rzeczywiste niebezpieczeństwo, bo ludzi takich jak Cassi nikt nie policzkuje bezkarnie. Tylko twoje upokorzenie i cierpienie złagodzą ranę, jaką zadałaś jego próżności.

– Rozumiem – szepnęła.

Nie byłem pewien, czy naprawdę rozumiała, jednak miałem nadzieję, że tak. Od tego bowiem zależało jej życie.

Byliśmy już niedaleko siedziby Inkwizytorium, kiedy w bocznej uliczce zauważyliśmy rozpaczliwie zawodzącego malca, chłopczyka może czteroletniego, który próbował podejść do drzwi kamienicy, ale stojący na straży mężczyzna odpychał go, nie mocno, lecz stanowczo, końcem kija. Dziecko było jasnowłose, o gładkiej buzi, w ładnym, czystym ubranku i sprawiało wrażenie zadbanego. Na pewno nie był to jakiś mały uliczny włóczęga żebrzący po zaułkach.

– A to co? – zatrzymała się Kinga.

– Nic, co by nas interesowało – odparłem szybko.

Zanim zdążyłem dodać jeszcze coś więcej, dziewczyna szybkim krokiem weszła w uliczkę.

– Co robisz dziecku? – krzyknęła, a jej głos z cichego, pokornego i smutnego, jakim przed chwilą ze mną rozmawiała, zmienił się w ostry i władczy.

– Ja robię, co mnie kazano, panienko – odparł stróż nawet dość łagodnym tonem i znowu lekko popchnął malca kijem.

Chłopczyk usiadł na ziemi i rozplakał się rozdzierającym serce płaczem.

– Mamusia, ja chcę do mamusi!

– Gdzie jest jego mama? – zapytała znowu ostrym tonem Kinga.

Zakasała spódnicę, usiadła przy dziecku i otuliła je ramieniem.

– Mały kaszle, to go przegnali z domu. – Stróż wzruszył ramionami. – Żeby ich nie zaraził.

– Co takiego?

– Mówię, jak jest. Sami mi zapłacili, żebym trzymał dzieciaka z dala. Niech sobie idzie, gdzie wola. Świat jest duży. – Zaśmiał się głupkowato.

Kinga poderwała głowę, a jej oczy błysnęły gniewem. Byłem pewien, że zaraz powie stróżowi coś, czego ten na pewno nie chciałby usłyszeć, więc ścisnąłem ją tak mocno za ramię, że aż jęknęła.

– Moja droga Kingo, jeżeli są kobiety, które chętnie wypruwają płód spod własnego serca tylko dlatego, że urodzenie dziecka i opieka nad nim wydają im się niewygodne, to tym łatwiej można sobie wyobrazić takie, które dziecko porzucają – powiedziałem.

– Już suki są lepsze od takich kobiet – syknęła dziewczyna złym głosem. – Bo nie pozwalają skrzywdzić swoich szczeniąt i bronią ich nawet za cenę własnego życia.

– A tu akurat, w tym domu, za przeproszeniem wielmożnych państwa, to nikt inny, lecz ojciec rozkazał, żeby dziecko przegnać – wtrącił stróż unizonym tonem.

– Co to za matka, co nie poszła razem ze swoim dzieckiem? – Kinga spiorunowała go wzrokiem.

– Zawodziła i wyła jak zmora, kiedy odebrano jej dzieciaka, więc od męża dostała tęgę lanie i potem zamknął ją w piwnicy – wyjaśnił stróż i wzruszył ramionami. – No to teraz już nie wyje...

Odwróciłem się w stronę dziewczyny.

– Widzisz, Kingo, jak niebezpiecznie jest dokonywać pochopnych osądów?

Malec szlochał gdzieś pod pachą Kingi, jednak wyraźnie uspokoił się w jej ramionach.

– Zabieram to dziecko ze sobą – zdecydowała.

Roześmiałem się, zdumiony zarówno jej zapałem, jak i bezczelnością.

– Mowy nie ma – odparłem. – Inkwizytorium to nie przytułek. Już przygarniając ciebie, popełniam nadużycie, a co dopiero gdybym sprowadził jakiegoś przybłądę.

– To nie przybłąda, tylko biedne porzucone dziecko – zaprotestowała ostrym tonem.

– W chwili kiedy rozmawiamy, na świecie porzucono zapewne dziesiątki dzieci. A setki innych umarły od chorób, głodu czy od bicia. – Wzruszyłem ramionami. – Takie jest życie... Takie było i takie będzie.

– Ale świat tego dziecka możemy zmienić! – zawołała. – Ten jeden jedyny, jego świat. Wy, mistrzu Madderdin, i ja. To od nas teraz zależy, jak potoczą się losy tego niewinnego chłopca. Dajcie tylko pozwolenie, żeby zamieszkał ze mną. – W jej głosie zabrzmiały błagalne nuty. – A nie będziecie musieli się już niczym kłopotać. Zadbam, żeby nigdy nie wszedł wam w drogę, będę go karmić z tego, co mi raczycie przyznać w nadziei... Nie jem wiele, więc mogę się podzielić z takim malcem.

– Odpowiedź nadal brzmi: nie – odparłem obojętnie. – Przestań zajmować się głupstwami, Kingo. Zostaw to dziecko i chodź wreszcie ze mną.

– Nigdzie nie pójde – zdecydowała lodowatym tonem. – Krokiem się nie ruszę z tego miejsca, a obiecaliście księdzu dobrodziejowi, że będziecie mnie chronić. Tak się wywiążecie z przyrzeczenia? Zostawiając mnie na ulicy?

– Jeśli będzie trzeba, to wezmę cię pod pachę i zaniosę – zagroziłem chłodno. – A w domu dostaniesz baty na gólkę, żebyś dobrze sobie zapamiętała, że upór oraz samowola są grzechem.

Zacisnęła dłonie w pięści.

– Nie ośmielicie się mnie uderzyć! – krzyknęła. – A jeśli spróbujecie ponieść mnie siłą, zacznę krzyczeć, że chcecie mnie pohańbić!

Roześmiałem się z jej naiwnych wyobrażeń o tym, iż podobne wołanie by ją uratowało.

– Uważaj, żeby nie zjawili się wtedy tacy, których twój krzyk skusi nie do ratowania cię, ale do przyłączenia się do gwałciciela – rzekłem.

Stróż, który przysłuchiwał nam się z uwagą, wybuchnął teraz głupkowskim śmiechem. Przez moment miałem ochotę dać mu kułaka w ucho, ale się opanowałem. Marnowanie ręki na taką kreaturę byłoby jednak niestosowne. Kinga zaczerwieniła się i myślałem, że wybuchnie gniewem, ale nagle złożyła błagalnie ręce.

– Mistrzu Madderdin, zróbcie mi tę łaskę, bardzo was proszę.

– Wstawaj – rzekłem tylko.

– A może jeśli ten mały dorośnie, stanie się wielkim lekarzem i uratuje życie tysiącom ludzi? – zapytała żarliwie.

– A może kiedy dorośnie, stanie się wielkim zbrodniarzem i odbierze życie tysiącom ludzi? – wykoślawiłem złośliwie jej słowa.

Szarpnęła się niecierpliwie.

– Jeśli Bóg zechce, uratuje tego malca – rzekłem, nie dając jej na razie dojść do słowa. – Jedyne, co mogę zrobić, to dać znać władzom. Niech one się tym zajmą, bo to ich sprawa.

– A może to Bóg postawił nas na drodze tego dziecka? Może to Bóg chce, żebyśmy go przygarnęli? – zapytała, a jej oczy płonęły gniewem.

– Niedobrze opowiadać, czego to jakoby chce Bóg, kiedy pragniemy jedynie zadośćuczynić własnym chęciom lub kaprysom – odparłem zimno.

Uklękła na drodze, nadal blisko chłopczyka, tak aby mógł się o nią opierać, i złożyła dłonie w modlitewnym geście.

– Błagam was, nie zmuszajcie mnie, żebym porzuciła tego malca. Nigdy nie daruję sobie jego krzywdy. Płacz tego dzieciaczka będzie mi się śnił po nocach. Jak sobie wyobrażacie, że takie dziecko zostanie tutaj samo w nocy? – Jej oczy wypełniły się łzami i za chwilę te łzy zaczęły płynąć po jej policzkach.

– Klękać należy przed Bogiem, nie przed ludźmi – powiedziałem surowo.

Chciałem dodać, iż znam oczywiście wyjątki od tej reguły, zwłaszcza kiedy mowa o ładnej dziewczynie, ale potem pomyślałem, że Kinga jest tak młoda i tak niewinna, że nawet nie zrozumie, o co mi chodzi. A gdyby jednak jakimś cudem zrozumiała, to sprawiłbym jej bezmyślną przykrość. A chociaż była głupia i harda, to jednak budziła moją sympatię na tyle, bym nie chciał jej krzywdzić bez powodu.

Spojrzałem w niebo. Słońce już zniknęło za dachami domów, pozostawiając jedynie ciemnoróżową smugę, błyszczącą jeszcze w pozieleniałych dachówkach. Zmierzchało się. Jeżeli ktoś doniósł Cassiemu, że wyszliśmy z kościoła, i jeżeli archidiakon planował coś z tym zrobić, to chwila, w której jego ludzie będą czuli się swobodnie, zbliżała się wielkimi krokami. Zbyt wielkimi, jak na mój gust.

– Dobrze – zdecydowałem. – Zabieraj go, ale przysięgam, że jeśli którekolwiek z was sprawi mi kłopot, to oboje wylądujecie na ulicy.

Podskoczyła do mnie i zanim zdołałem się obejrzeć, pocałowała mnie w rękę.

– Bóg wam to wynagrodzi! – zawołała.

W przeciwieństwie do niej miałem wielkie wątpliwości, aby Boga, zajmującego się całym niezmiernym kosmosem, miał turbować los byle dzieciaka z małego Weilburga, ale jeśli Kinga chciała w to wierzyć, to niech sobie wierzy.



W siedzibie Świętego Officjum zostaliśmy powitani ze zdumieniem, które szybko zamieniło się w rozbawienie.

– Och, Mordimerze, przeprowadzasz się do Inkwizytorium z całą rodziną? – zakpił Heinrich.

Spojrzałem na niego wrogo.

– Ani słowa więcej – warknąłem. – Niech Helcia przyszykuje dla dziewczyny pokój.

– A ty – obróciłem się w stronę Kingi – siedź w tym pokoju i staraj się nawet nie przypominać inkwizytorom o swojej obecności. Jedzenie i picie zostanie ci przyniesione albo sama sobie weźmiesz. O to nie musisz się martwić.

– Będzie, jak rozkażecie, mistrzu inkwizytorze – powiedziała cichutko, pokornie i z opuszczonymi oczami.

Proszę, proszę, a więc oprócz hardości potrafiła okazać również przebiegłość. To dobrze o niej świadczyło.

Potem w kilku zdaniach wyjaśniłem towarzyszom inkwizytorom, skąd wzięła się ta dziewczyna, kim jest i czym sobie zasłużyła na to, by trafić pod opiekę inkwizytorów.

– Skoro jest wychowanicą Webera, to czemu nie mamy jej pomóc – powiedział Ludwik, przypatrując jej się uważnie.

– Odważna, cnotliwa i głupia – zawyrokował Heinrich. – Same kłopoty zawsze są z podobnymi kobietami.

Kinga ku mojemu zadowoleniu przemilczała tę uwagę.

– Drodzy przyjaciele – zacząłem – ta wążka jak trzcina dziewczynka dała archidiakonowi Cassiemu w mordę z taką siłą, że rozkwaśła mu nos do krwi. To więcej, niż każdy z nas mógłby o sobie powiedzieć...

Schoen roześmiał się i przytaknął, a Heider również po chwili skinął głową.

– Gdyby mnie Cassi klepał po tyłku i szczypał w piersi, też bym mu przyłał – stwierdził.

Kinga uśmiechnęła się leciutko, bo chyba zrozumiała, że inkwizytorzy przynajmniej na razie zaakceptowali jej obecność.

– A ten mały? – Ludwik pokazał podbródkiem dzieciaka tulącego się do nogi Kingi.

– Proszę bardzo. – Teatralnym gestem wskazałem dziewczynę. – Bądź łaskawa wyjaśnić, jak to się stało, że to dziecko znalazło się w siedzibie Świętego Officjum.

Kinga cichutko i bardzo prostymi słowami, ale jasno i zwięźle opowiedziała całą historię. Ku mojemu zdziwieniu Heinrich westchnął smutno.

– Ta przeklęta kaszlica wyzwała w ludziach najgorsze instynkty – stwierdził. – Jak można własne, takie małe dziecko wyrzucić z domu?

Kinga zerknęła na niego z wdzięcznością, ale Ludwik wzruszył tylko ramionami.

– Po ulicach Hez-hezronu, Koblencji czy Engelstadt włączą się całe hordy takich małych obwiesi i mało kto się nimi przejmuje – powiedział.

– Wiesz, Ludwiku, jednak widzę pewną różnicę, kiedy dziecko trafia na ulicę z biedy czy dlatego, że jest sierotą, a kiedy zostaje przegnane przez majątnego ojca, który obawia się, że może się od syna zarazić kaszlem... – zaprotestowałem.

– Z tego ojca to jest wyjątkowo podły kurwisyn – zgodził się ze mną Schoen, a potem rozłożył ręce. – Miejsca mamy na razie pod dostatkiem, ale kiedy wróci mistrz Heckmann, to mogę się z tobą założyć, o co chcesz, że ani dziewczyna, ani ten smark nie przesiedzą tu już nawet godziny.

W tym względzie miał na pewno rację. Kiedy wszystko wróci w mieście do normalności, każda niezwykłość zostanie szybko wyeliminowana. A obecność dziewczyny i dziecka w siedzibie Świętego Officjum na pewno była taką właśnie niezwykłością.

– Jeżeli ktokolwiek przekazałby ci wiadomość, że masz wyjść z naszej kamienicy i nawet podał niezwykle ważne powody, z jakich masz to uczynić, to co zrobisz, kiedy usłyszysz podobną propozycję? – zapytałem, zwracając się do Kingi.

– Natychmiast przybiegnę do was, mistrzu inkwizytorze, i o wszystkim opowiem – odparła szybko.

– Mądra dziewczyna – zauważył Heider.

– Ano mądra – zgodziłem się z nim. – Czasami.

– Pokój gotowy! – krzyknęła Helcia z góry.

– Idź – rozkazałem.

Przyglądaliśmy się, jak Kinga opuszcza refektarz, i potem usłyszeliśmy tylko skrzypienie schodów, kiedy wchodziła na piętro.

– Ależ Cassi się wścieknie, jeśli się dowie – zaśmiał się złośliwie Ludwik.

– Raczej kiedy się dowie – sprostowałem.
– Słuchaj, Mordimerze – zagadnął mnie Heinrich i podrapał się po brodzie zafrasowany. – Co jedzą takie małe dzieci?
Wzruszyłem ramionami.
– Chyba to samo, co dorośli ludzie, tylko mniej – odparłem.
– Aha. No to mamy golonkę w piwie, kaszę i kapustę – rzekł. – Nada się? Jak myślisz?
– Pewnie się nada. A mamy chleb i ser?
– Rzecz jasna.
– To niech Helcia zanieś im też to. – Odwróciłem się i chciałem odejść, ale zatrzymałem się jeszcze na chwilę. – A miód? – przyszło mi do głowy. – Mamy może miód?
– Oczywiście. Tegoroczny. Jadłeś go nawet.
– A tak, masz rację – przypomniałem sobie. – Więc dajmy im też miód. I śmietanę – dodałem. – A zaraz, co ty tak nagle się troszczysz o dziewczynę i dziecko? – Pogroziłem mu palcem. – Nie bałamuć jej. Jeszcze tego mi tutaj brakuje. Amorów inkwizytora z uciekinierką.



Rozdział czternasty

Dobrzy przyjaciele z tongów



Bylem pewien, iż ten mężczyzna nie zamierzał mnie zaskakiwać swoją obecnością i nie skradał się w moim kierunku. Po prostu sposób jego poruszania, zupełnie instynktowny, tak jak polującego drapieżnika, zakładał, że podchodzący ma pozostawać jak najdłużej niedostrzeżony. Ja zobaczyłem go na tyle późno, by w razie niebezpieczeństwa mogło mi to utrudnić obronę, lecz na tyle wcześnie, by nawet gdyby dzierżył w dłoniach macedońską sarissę, nie dosięgnąłby mnie jeszcze jej grotem. Ale jak się domyślacie, mili moi, to tylko taka przenośnia, gdyż nie wyobrażałem sobie jakiegokolwiek człowieka, który zdołałby przemykać się niezauważenie z macedońską sarissą w dłoniach po ulicach naszego małego miasteczka, a potem wejść z nią do całkiem porządnej jadłodajni, w której skończyłem właśnie obiad.

Przybysz przysiadł naprzeciwko mnie, zupełnie nie przejmując się tym, że obraca się plecami do sali. A więc jest was tutaj dwóch, pomyślałem, i ten drugi pilnuje twoich tyłów. Dlaczego jednak go nie dostrzegłem?

- Witajcie, mistrzu Madderdin.
- Pomagaj Boże – odparłem.

– Wybaczcie, że przerywam wam chwilę zadumy, ale kazano mi was ostrzec przed niebezpieczeństwem.

A więc prosto z mostu walił ten wysłannik. Ciekawe, czy niebezpieczeństwo było rzeczywiste, czy też informacja o nim miała mnie nastraszyć lub może wywołać poczucie wdzięczności za ostrzeżenie? Zresztą w dzisiejszym świecie inkwizytorzy zawsze są w niebezpieczeństwie. Żyjemy z nim za pan brat i co dzień w jego towarzystwie pijemy truciznę z kielicha goryczy. Ale nie boimy się go, dopóki przywdziewamy zbroję Bożą. Dopóki przepasujemy biodra prawdą, dopóki jako pancerz oblekamy sprawiedliwość, dopóki wiarę bierzemy jako tarczę, a słowo Boże służy nam za hełm zbawienia oraz miecz ducha[18].

– To bardzo uprzejmie ze strony waszego stowarzyszenia – odparłem. – I będę szczerze zobowiązany, gdyż nie ma człowieka tak dumnego, by nie przyjął pomocnej dłoni przyjaciela, kiedy przychodzi czas próby.

– Otóż to, otóż to – zgodził się ze mną wysłannik tongów. – Znakomicie powiedziane, mistrzu Madderdin.

Milczeliśmy przez chwilę, ja – spoglądając na własny opróżniony do połowy kubek, a on – wpatrując się w poplamiony, porysowany i pełen odbarwień blat stołu, tak jakby w tej mozaice skaz mógł dostrzec wzór umykający zarówno wzrokowi, jak i rozumieniu innych ludzi.

– W siedzibie Świętego Officjum gości pewna dziewczyna – odezwał się wreszcie. – To w jej sprawie przychodzę.

To było dość niespodziewane wyznanie. Niespodziewane i niepokojące.

– Słucham więc – odparłem.

– Jak doskonale wiecie, mistrzu Madderdin, nasze stowarzyszenie służy obywatelom miasta pomocą w wielu kłopotliwych sprawach – zaczął. – Nasze usługi nie są może tanie, lecz staramy się je wykonywać z największą dokładnością oraz pieczołowitością.

Rzeczywiście, to była akurat prawda. Tongi były uczciwe. Jeśli zamawiałeś trupa, dostawałeś trupa. Jeśli trup miał mieć ucięty język, miał ucięty język. A jeśli z jakiegoś powodu nie doszło do

realizacji zlecenia, zwracano ci pieniądze. Oczywiście tongi trudniły się nie tylko zabójstwami na zlecenie. Przecież w wielu wypadkach morderstwa mógł dokonać byle uliczny obwieś z nożem czy pałą w dłoni. Tongi organizowały większe napady, podpalenia, zajmowały się też fałszowaniem dokumentów, a jeśli nie trzeba było kogoś zabijać, lecz tylko zastraszyć, to przekonująco zajmowały się nękaniami takiego człowieka czy jego rodziny. Oczywiście działalność złoczyńców kwitła przede wszystkim w wielkich miastach. W Hez-hezronie, w Koblencji, w Kolonii, w Engelstadt – tam właśnie biło serce tej parszywej organizacji. Ale i u nas, jak widać, jej życie tliło się całkiem wyraźnie.

– Będę z wami całkowicie szczerzy, mistrzu Madderdin – powiedział, spoglądając mi prosto w oczy niewinnym wzrokiem ufego mieszczanina. – Zgłosił się do nas przedstawiciel znacznej osoby, żądając, aby ta dziewczyna została ukarana.

– Archidiakon Umberto Cassi – nie spytałem nawet, lecz stwierdziłem.

– Nie zaprzeczam – odparł.

– Co kazano wam zrobić? Porwać ją? Zabić?

– Poproszono nas – odparł wysłannik tongów, kładąc delikatny nacisk na słowo „poproszono” – żebyśmy spowodowali, aby została na całe życie oszpecona.

No, no, ależ była z tego Cassiego zapiekła w gniewie bestia. Zresztą nic dziwnego, bo skoro wychowywał się w Watykanie, to musiał się tam nauczyć nie tylko każdego możliwego ohydztwa, ale również tak zahartował charakter, że czynienie owych plugastw nie tylko nie budziło w nim wyrzutów sumienia, lecz sprawiało mu nikczemną przyjemność.

– Padły jakieś konkretne wymagania? – spytałem.

– Obcięcie nosa i języka – odparł.

Skinąłem głową.

– Szczerze doceniam życzliwy i przyjacielski gest ze strony waszego stowarzyszenia – stwierdziłem.

– Skoro wy, mistrzu Madderdin, hodujecie tę dziewczkę u siebie, to dla moich przełożonych jest oczywiste, że jej życie i zdrowie jest

sprawą istotną dla Świętego Officjum. A my, i to na pewno doskonale wiecie, zawsze chcemy jak najgorliwiej usłużyć obrońcom naszej świętej wiary.

To prawda, że tongi chciały z nami żyć w zgodzie, a i my nie mieliśmy nic przeciwko ich obecności, jeśli tylko nie stawała się zbyt natarczywa. Oczywiście zdarzały się mniejsze lub większe konflikty, lecz zazwyczaj starano się je łagodzić. Mówiono też, że tongi, zbierające haracze od mieszczan, same płacą daninę do skarbcza Inkwizytorium. Czy to była prawda, tego nie wiedziałem na pewno, ale uważałem, iż byłoby to zachowanie nie tylko logiczne, ale również służące naszej świętej wierze. Zresztą kompania ta, pomimo że jej członkami były najczęściej pozbawione godności i honoru, plugawe i okrutne kanalie, to jednak pełniła też całkiem pożyteczną rolę, utrzymując w mieście coś na kształt porządku.

Czy wziąłem za dobrą monetę wyznania przedstawiciela tongów? Ha, mili moi, nie byłbym doświadczonego funkcjonariuszem Świętego Officjum, gdybym uwierzył, że odsunąłem od Kingi zagrożenie. Rozmowa ze mną była bowiem dla złoczyńców tylko zabezpieczeniem. Z całą pewnością zamierzali wywiązać się ze zleconego im przez archidiakona zadania, lecz mogliby potem twierdzić, że zachowali się lojalnie, że mnie ostrzegli. A po fakcie tłumaczyliby, że najwyraźniej Cassi, widząc, iż nie może na nich liczyć, najął kogoś innego. I w ten właśnie sposób mogliby kontrakt wykonać, ale przy tym zabezpieczyć się przed moim odwetem. Chociaż, zastanawiałem się przez chwilę, mogło też chodzić o coś innego. Być może tongi nie chciały odmawiać synowi biskupa i przyjąć zlecenie, ale jednocześnie nie życzyły sobie wzbudzić mojego gniewu atakiem na dziewczynę, którą się opiekowałem, więc uprzedziły mnie o zamiarach przeciwnika. Teraz, jak się spodziewano, będę chronił Kingę jeszcze pilniej, a w stosownym momencie wyślę ją z miasta. A tongi rozłożą wtedy bezradnie ręce, mówiąc Cassiemu, że zrealizowanie umowy nie było w ich mocy, i oddadzą mu pieniądze. Tak. Tak właśnie również mogło być. Ale dla bezpieczeństwa podopiecznej Webera wolałem jednak zakładać, że złoczyńcy nadal będą chcieli ją skrzywdzić. W końcu my,

inkwizytorzy, nie dlatego dożywaliśmy późnego wieku, że nasze zachowanie cechowały beztroska, naiwność oraz łatwowierność. Byliśmy tęgimi skurwysynami i takie małe łobuziaki z tongów mogły sobie wyobrażać, że są bardzo groźne, ale przy nas były zaledwie sępami szarpiącymi padlinę i gotowymi w każdej chwili uciec, kiedy warknie na nie prawdziwy lew. Ot, maluśkie diabły w kolorowych porciętach, jak chciał nazywać wymyślone przez siebie kreatury aptekarz Baum. Oczywiście nie należało tych ludzi lekceważyć. Bo pamiętajcie, mili moi, że śpiącego, pijanego lub nieostrożnego rycerza może zabić byle chłop niewprawnie dźgający zardzewiałymi widłami. Lekceważenie zdolności wroga, czy też niedocenianie jego siły lub zawziętości, jest pierwszym krokiem na łatwej i szybkiej drodze do klęski. Ja nie mogłem pozwolić sobie na porażkę, nie dlatego, że powodowała mną osobista duma, lecz dlatego, że byłem narzędziem Pańskim i członkiem Świętego Officjum. Zezwalając, by mnie pokonano, naraziłbym na szwank naszą wiarę i naszą chwalebłą instytucję. A do tego w żadnym razie dopuścić nie mogłem.

– Wybaczcie, że się zamyśliłem – powiedziałem. – Lecz dziękowałem Bogu, że w waszej osobie zesłał mi nie tylko prawdziwego przyjaciela, ale i zacnego człowieka.

Pożegnał mnie uprzejmym skinieniem głowy, wstał i ruszył w stronę wyjścia. Tym razem zauważyłem jego towarzysza, tego, który chronił mu plecy, gdyż ów wstał z ławy kilka chwil po moim rozmówcy. No cóż, przyznam, że rozmowa z wysłannikiem tongów nieco zepsuła mi apetyt na deser. Wstałem więc również, łaskawie kazałem gospodarzowi zapisać moją należność na rachunek Świętego Officjum i wyszedłem na ulicę. Nie wiem, czy muszę wzmiankować, jak się poczułem. Otóż miałem wrażenie, jakbym wszedł do gorącego, a wręcz rozpalonego kotła. Przymknąłem oczy i pomyślałem, że jeśli ta wściekła pogoda potrwa jeszcze dłużej, to nie tylko popali plony, ale przede wszystkim wysmaży ludziom mózgi. Ja czułem się już tak, jakby mój zaczęła wytapiać.

Zaraz niedaleko natknąłem się na Ludwika, który pogroził mi palcem.

– Widziałem, że jadłeś na mieście. Zobaczysz, Helcia się pogniewa.

– Ciii. – Przytknąłem palec do ust. – Nie sprawiamy jej przykrości.

Schoen nie zdążył odpowiedzieć, gdyż oto obaj skupiliśmy wzrok na pędzącym środkiem ulicy człowieku. Miał rozwichrzoną brodę, rozwiane włosy, niechlujny ubiór i oczy błyszczące szaleństwem. W dłoni trzymał długi, rosochaty kostur z trzema zasuszonymi wiciami sterczącymi do góry, jakby były czułkami jakiegoś ogromnego, dawno umarłego, skamieniałego owada. Zatrzymał się nagle i wgapił w nas.

– Inkwizytorzy! – wykrzyknął z zapalem i uniesieniem, po czym pędem rzucił się w naszym kierunku.

Rzadko kto i rzadko kiedy wita inkwizytorów z takim entuzjazmem i z tak niezmaconą radością, więc od razu domyśliliśmy się, że jest to najprawdopodobniej człowiek, którego słaby umysł zmaćło i ogarnęło wielkie szaleństwo (a nie mówiłem? upa!). Biegł co prawda w naszą stronę, manifestując szczerą, wydawałoby się, przyjaźń, lecz pamiętaliśmy przecież, że u podobnie rozchybotanych natur od miłości do wrogości droga jest krótsza niż skok z okna na ulicę. Oczywiście wyszkoleni inkwizytorzy nie musieli się lękać podobnego wariata, lecz jakaż to dla nas chwała mocować się z kimś takim na ulicy, na oczach gawiedzi? Zauważyłem strażnika miejskiego, który akurat stał pod jadłodajnią, sącząc coś z kubka, i dałem mu znak. Chłopak zrozumiał natychmiast, co trzeba robić, i postąpił krok do przodu, trzymaną w rękach włócznią zagradzając drogę biegnącemu.

– Hola! – zawołał i machnął drzewcem tak, że mało nie trafił obdartusa w nos. – A w łeb chcesz oberwać?

Włóczęga zatrzymał się posłusznie, lecz malujący się na jego twarzy radosny entuzjazm bynajmniej nie zniknął.

– Musicie mnie wysłuchać! – zawołał gorączkowo. – Musicie mnie wysłuchać i uratować nasze miasto!

– Rano, w dzień, wieczór, w nocy czarne płaszcze do pomocy – Ludwik wyrecytował półgłosem dziecięcą wyliczankę.

– O, to, to! – ucieszył się obdartus.

– Gadaj – rozkazałem.

– Wiecie, o zacni mistrzowie inkwizytorzy, dlaczego zamknięto nasze miasto?

– Mamy swoje podejrzenia – odparłem. – Ale jak sądzę, zaraz wszystkiego i nawet więcej dowiemy się od ciebie.

– Zaatakują nas wrogowie naszej świętej wiary – wyjaśnił ze zgrozą w głosie.

– Jacy wrogowie? – spytałem łagodnie, gdyż wiara nasza rzeczywiście i niewątpliwie była święta, lecz wrogów miała tak wielu, że należało uściślić, o którego dokładnie chodzi.

Znieruchomiał na moment, a jego oczy zrobiły się wielkie, jeszcze bardziej błyszczące i jeszcze bardziej szalone.

– Heretycy z Palatynatu – zaszeptał i zaraz zaczął rozglądać się na wszystkie strony. – Tam, tam! – wykrzyknął nagle gwałtownie, pokazując dłonią pograżony w szarym cieniu zaułek. – Wpatrywał się przez chwilę w półmrok tak wychylony, jakby był marynarzem na bocianim gnieździe, a potem odetchnął z ulgą. – Nie, to chyba tylko kot.

– Koty – powiedziałem wolno. – Wielce podejrzone kreatury, nie sądzisz?

– Dajmy pokój kotom – rzekł szybko Schoen i uśmiechnął się półgębkiem. – Niech ten człowiek lepiej opowie nam, o jakimś strasznym niebezpieczeństwie pragnie nas zawiadomić.

– Mój drogi towarzyszu, nie lekceważ kotów – ostrzegłem poważnie i podniosłem znacząco dłoń. – Bo nigdy nie wiesz, co taki kot myśli, komu służy, gdzie mieszka, od kogo pobiera lafę. Nigdy nie wiesz, kogo i w jakim celu podsłuchuje, strzygąc tymi swoimi małymi, spiczastymi uszkami. I co najważniejsze: nigdy nie wiesz, komu składa meldunki z tego, co zobaczył i usłyszał. Nigdy nie wiesz, w czyje uszy szepce potem cichutko w mroku nocy...

– Jezusie Maryjo, Matko Boża Bezlitosna! – wykrzyknął rozczochrany oberwaniec. – Nigdy o tym nie pomyślałem, mistrzu inkwizytorze. – Na jego twarzy odmalowała się zgroza.

– Dość o kotach! – zawołał raz jeszcze Ludwik i spojrzał na mnie znacząco oraz karcąco. – Z czym przychodzisz, człowieku? – chłodno zapytał, utkwivszy wzrok w szaleńcu.

Oberwaniec pokazał palcem strażnika i potrząsnął głową, a potem położył sobie dłoń na ustach i raz jeszcze, tym razem nawet bardziej znacząco, zatrzęsł łepetyną.

– Odejdź – rozkazałem strażnikowi, a ten uśmiechnął się szeroko, pokazując nam, że jego zęby zachowały prawdziwie idealną symetrię. Zarówno po lewej stronie, jak i po prawej, na dole, jak i na górze były czarne i pokruszone.

– No, gadaj teraz – zwróciłem się do szaleńca, kiedy wartownik już się oddalił.

– Heretycy kopią podziemny tunel – wyznał jednym tchem.

A właściwie nawet nie jednym tchem, ile tak jakby te cztery słowa były jednym i jakby złączyły się i splątały w „hetycypiąziemnyneł”. Wariat spoglądał rozbieganym wzrokiem na wszystkie strony tak szybko, jakby spodziewał się, że ziemia wokół nas zaraz się rozstąpi i otworzy się przełaz pełen heretyckiego wojska.

– Zamknęli nasze miasto po to, żeby nikt na świecie nie dostrzegł, że wyjdą z tego tunelu. – Tym razem przemówił już głosem zdumiewająco rzeczowym oraz wyraźnym. – A kiedy już opanują Weilburg, to zaraz hyc. – Wykonał tak gwałtowny ruch rękoma, że aż cały się zachwiał. – Zaczną budować następne tunele do kolejnych miast.

– Z Weilburga do granic Palatynatu jest ze dwieście mil – powiedziałem.

– Z okładem – wtrącił Schoen.

– Sądzicie, że dali radę wybudować takie długie przejście? – spytałem.

– Dali, dali! – zawołał mężczyzna gorąco, a potem dodał protekcjonalnym tonem: – Pewnie, że dali! O, wy ich nie znacie tak dobrze jak ja i nie wiecie, do czego są zdolni!

– Nie lekceważymy waszego zawiadomienia – oznajmiłem. – Powiedzcie tylko, z łaski swojej, jedno: w jaki sposób dowiedzieliście się o tym tunelu?

Znowu rozejrzał się szybko wokół, a potem wtulił głowę w ramiona.

– Słyszę ich – wyjąwił cicho.

– Słyszycie, jak kopią tunel? – tym razem zainteresował się Ludwik.

Wariat pokiwał gorliwie głową.

– Właśnie tak. Nocami słyszę takie bum! bam! łup! bach! że mała mi głowa nie pęknie – rozkrzyczał się nagle tak przeraźliwym głosem, że miałem wrażenie, iż zaraz to mnie coś pęknie, może nie głowa, lecz na pewno uszy.

– Musi to być nieprzyjemne – przyznałem ze współczuciem.

– Ja czasami też ich widzę. – Tym razem znowu szeptał. – Widzę ich, jak przemykają pod murami domów, jak chowają się w tłumie, jak cichutko czają się za drzewami, jak wystawiają tylko oczy znad wody w rzece i kanałach, śledząc każdy nasz ruch. – Mocno ścisnął palce obu dłoni. – Wszędzie są, mówię wam, ci ohydni szpiedzy Palatynatu. – Wyraźnie zadrżał. – Są jak szczury. Jak brudne szczury. – Nagle wyprostował się jak struna. – A jeśli to oni przynieśli nam zarazę? – zawołał zduszonym głosem. – Jeśli czekają tylko, aż umrze kwiat mieszkańców naszego miasta, i wtedy wpełzną tutaj, żeby zabrać nam wszystko, co mamy?

– Tak, to dla niektórych byłaby spora przykrość – stwierdził Schoen z uśmiechem.

– Może być nawet gorzej. – Spojrzałem na mężczyznę. – Bo co uczynimy, jeśli ci szpiedzy będą nie do odróżnienia od prawdziwych weilburczyków?

To go na chwilę zatrzymało. Zmarszczył brwi.

– Że jak?

– Pomyślcie. Może ci szpiedzy za pomocą czarów potrafią tak odmienić swoje twarze, że wy myślicie sobie: o, tu idzie mój sąsiad. A to już wcale nie jest wasz sąsiad. – Zamachałem znacząco palcem wskazującym. – To jest tylko przebrzydły i groźny szpieg Palatynatu, który który przybrał postać waszego sąsiada i pilnie was obserwuje! – Zmrużyłem oczy. – Przemyślcie to, co wam powiedziałem. I uważajcie na siebie.

Oczywiście możecie zapytać, mili moi, jaki był sens rozmów z wariatem płaczącym się po ulicy i wymyślającym niestworzone historie. Otóż prawda jest taka, że inkwizytorzy są tak ciekawi świata

i ludzi, że gotowi są słuchać nawet szaleńców. Bo szaleńcy też mają swoje opowieści, które dla kogoś, kto potrafi odsiać ziarna od plew, mogą nieoczekiwanie okazać się przydatne. A nawet z bezładnej gadaniny, z wariackiego bełkotu zręczne ucho może wychwycić informacje, które przydadzą się w świecie rzeczywistym, a nie zaledwie w świecie iluzyjnej imaginacji. Poza tym umysł niektórych szaleńców jest niczym mokra glina i sprawne palce mogą taki materiał uformować wedle swej woli, by przynajmniej na krótko posłużył celom rzeźbiarza. I chociaż ta delikatna forma zazwyczaj nie wytrzymuje zbyt długo, to czasami wystarczająco, by zrealizować wyznaczone jej zadanie.

– Byliście z tymi groźnymi wieściami u rajców w ratuszu? – zagadnąłem.

Skrzywił się potężnie, a potem nachylił się blisko w naszą stronę.

– Rajcy są z nimi w zмовie – zaszeptał.

– Poważne oskarżenie. – Uśmiechnąłem się i mrugnąłem do Ludwika. – A w jakiz to sposób przekonaliście się o tym?

– Powiedzieli – jeszcze bardziej obniżył głos – że jak będę niepokoiz mieszczan podobnymi bzdurami, to zamkną mnie w lochu z innymi wariatami.

– Nazwali was wariatem! – wykrzyknął Schoen z oburzeniem. – No coś podobnego! To wręcz niesłychane! Was, porządnego mieszczanina!

– Dobrze, dość już o tym – nakazałem. – Idźcie teraz i pilnie obserwujcie. – Uniosłem palec. – Nikomu nie mówcie o swoich podejrzeniach, żeby nie ostrzec w ten sposób wrogich szpiegów. Obserwujcie i zapamiętujcie. A kiedy przyjdzie odpowiedni czas, wtedy... – Zacisnąłem pięść, aż chrupnęły mi kostki. – Wszystkim zajmiemy się jak trzeba...

Przypatrywał mi się i widziałem, że ciężkie młyńskie koła jego pomysłu starają się przemielić moje słowa.

– Pamiętajcie, że jesteście od dziś tajną bronią w ręku Świętego Officjum – rzekłem dobitnie i z namaszczeniem. – I nie przychodźcie do nas więcej, żeby nikt się nie dowiedział, żeby nikt nawet nie

podejrzewał, że pracujemy razem w imię Boga i dla szczęścia obywateli Weilburga.

To chyba przekonało brodatego szaleńca, gdyż wykrzyknął tylko: „Szczęść Boże!”, po czym ostentacyjnie odmaszerował, pogwizdując i udając, że ani nas nie zna, ani nie zwraca na nas uwagi.

– On jeszcze kogoś zabije przez te twoje żarty – burknął Schoen.

Westchnąłem.

– Cóż poradzić – powiedziałem. – Dziękujmy lepiej Bogu, że żyjemy w naszym błogosławionym Cesarstwie, gdzie podobni ludzie trafiają do lochów lub przytułków dla pomyleńców albo błąkają się po ulicach, gdzie szydzą z nich urwisy. Ale wyobrażasz sobie, że moglibyśmy żyć w takim kraju, gdzie podobny człowiek zostałby rajcą miejskim? Albo posłem do Landtagu?

Schoen wybuchnął serdecznym śmiechem.

– W coś takiego nie uwierzyłbym za nic w świecie – rzekł szczerze rozbawiony. – Bo jak wiesz, nie mam dobrego zdania o wielu ludziach i ich umysłowych zdolnościach, jednak myśl o tym, że podobnie pomyłonego błazna można by wybrać na ważny urząd, nawet mnie wydaje się tak cudaczna i niezwykła, że aż niemożliwa...



Już w Inkwizytorium podzieliłem się z Heinrichem i Ludwikiem wiadomościami, jakie przekazał mi wysłannik tongów. Obu moich towarzyszy zasmuciła informacja o tym, że za porwanie i okaleczenie Kingi wyznaczono nagrodę, a Heidera, który najwyraźniej miał do dziewczyny słabość, dodatkowo to rozzłościło.

– Co za bydlak! – warknął. – Nauczyłbym ja takiego. – Zacisnął pięść i stuknął nią w blat stołu.

– Wszystko w swoim czasie – powiedziałem. – Jeszcze nadejdzie chwila, kiedy zatriumfuje zacność i sprawiedliwość. Teraz jednak zastanawiam się tylko, czy przerażać dziewczynę dodatkowo i czy opowiedzieć jej o tym, co dzisiaj usłyszałem.

– Zdecydowanie tak – rzekł stanowczo Ludwik. – Strach jest wartością nie do przecenienia w jej przypadku.

Heider w milczeniu pokiwał głową.

– Cieszę się, że nasze wnioski płyną w tym samym kierunku – skwitowałem.

Również uważałem, że dla większości ludzi strach jest kotwicą trzymającą ich w bezpiecznym porcie, na powierzchni życia. Zwolnij tę kotwicę, a człowiek wypłynie na wody tak szerokie i tak wzburzone, że uniknie zguby tylko wtedy, kiedy jest obdarzony wyjątkowymi zdolnościami oraz siłą. Kinga nie miała ani jednego, ani drugiego. Była wrażliwą, dobrze wychowaną dziewczyną, która spędziła dzieciństwo pod opieką miłego proboszcza, a potem edukowała się pod kuratelą zacnych mniszek. Do konfrontacji z Cassim i jego ludźmi była przygotowana w tym samym stopniu jak motyl do spotkania z podkutym butem.



Kinga siedziała na podłodze i bawiła się z chłopczykiem. Miała długie, wąskie palce, które potrafiła tak wygiąć, że splatały się i rozplatały w dziwną figurę, na pierwszy rzut oka niemożliwą do ułożenia.

– Idzie kominiarz po drabinie – mówiła wolno i nagle wykonywała ten dziwny gest, po którym jej splecione dłonie całkowicie zmieniały kształt. – Fiku-miku i już jest w kominie – kończyła szybko w akompaniamencie śmiechu dziecka. – Małemu się podoba, a wam, mistrzu inkwizytorze? – zagadnęła, nie odwracając się do mnie.

Cóż, wszedłem cicho, więc pomyślałem, że to bardzo dobrze, iż nawet w czasie zabawy jest na tyle czujna, by wiedzieć, co dzieje się za jej plecami.

– Musimy porozmawiać – oznajmiłem i usiadłem na krześle.

Zerknęła na mnie.

– Rozmawiajmy – zgodziła się.

Widziałem, jak delikatnie układa palce dziecka, by pokazać mu, w jaki sposób wykonać sztuczkę, którą sama przed chwilą zaprezentowała.

– Archidiakon kupił ludzi, żeby zrobili ci krzywdę – rzekłem.

Jej dłonie znieruchomiały. Przez chwilę milczała.

– Co to tak naprawdę znaczy? – spytała martwym głosem.

– Że nie będziesz już bezpieczna w naszym mieście, nawet jak Cassi wyjedzie – wyjaśniłem. – Może kiedyś... – Wzruszyłem ramionami. – Ale z pewnością nieprędko.

Wzięła małego na ręce i zaniósła go na łóżko.

– Posiedzisz sobie troszkę sam, dobrze? – spytała miękkim głosem i sięgnęła za kark, rozpinając łańcuszek z księżycem w nowiu. – Zobacz, jaka ładna zabaweczka... – Zakręciła talizmanem i podała go dziecku.

Podeszła do mnie i przycupnęła na krześle naprzeciwko.

– Będę siedziała na plebanii i w kościele. Nie ruszę się stamtąd na krok – obiecała, kładąc dłoń na piersi.

– Nie sądzę, żeby to wiele pomogło. – Pokręciłem głową. – Tutaj mogę cię trzymać tak długo, póki nie wrócą moi przełożeni. Bo nie sądzę, żeby zgodzili się potem na obecność młodej i pięknej dziewczyny wśród inkwizytorów.

– Mogę sprzątać, gotować, zawsze przyda się kobieca ręka – powiedziała szybko.

– Mamy gospodynię, która nie dość, że wielce zacna, to ma jeszcze tę zaletę, że jest stara i brzydka – rzekłem. – I jak sądzę, przełożony naszego oddziału nie zechce niczego zmieniać w tej mierze.

Kinga była zbyt ładna, by mogła bezpiecznie przebywać w obecności inkwizytorów. Nie ze względu na swoje bezpieczeństwo, bo sądzę, że prędzej czy później raczej by ją rozpieszczano. Nie mogła z nami mieszkać ze względu na to, że inkwizytorzy mogliby zacząć rywalizować o jej wdzięki i łaski. A my mieliśmy stanowić jedną pięść, a nie przypominać rozczapierzone palce. Gdyż takie palce zbyt łatwo połamać.

– To co ja mam ze sobą zrobić? – zapytała smutnym i złęczonym głosem.

Znowu objęła ramiona dłońmi, co jak zauważyłem, robiła zawsze, kiedy była przestraszona.

– Przemyśle to – odparłem tylko, bo cóż innego mogłem na razie powiedzieć. – Ostrzegłem cię przed niebezpieczeństwem, żebyś dodatkowo się pilnowała. Bo niech Bóg broni, abys z jakiegokolwiek powodu opuściła ten budynek. Tutaj nikt nie ośmieli się wyrządzić ci krzywdy, nikt cię stąd nie porwie. Ale wyjdź za próg i nie ręczę, co się stanie.

Skinęła głową.

– Choćby wybuchł tu pożar i miałabym spłonąć żywcem, nie ruszę się nawet o krok – obiecała żarliwie.

– No, no, wołałbym, aby podobne rzeczy nigdy się nie wydarzyły. – Skrzywiłem usta.

Potem zastanawiałem się przez chwilę, bo po wysłuchaniu słów dziewczyny rozważałem, czy ktokolwiek ośmieliłby się na taką zbrodniczą zuchwałość, by podłożyć ogień pod siedzibę Inkwizytorium. W normalnych czasach na pewno nie, ale my nie mieliśmy tu i teraz normalnych czasów. Niemniej nawet obecnie, w dobie epidemii, blokady i miasta pulsującego strachem oraz gniewem, nie wyobrażałem sobie, by ktokolwiek ośmielił się na czyn tak występny. Nie mówiąc już o tym, że w tej koszmarnej spiekocie, gdzie wszystko od wielu dni było wyschnięte na wiór, pożar mógłby szybko ogarnąć całą dzielnicę. No ale akurat nad takimi konsekwencjami podpalacze na ogół się nie zastanawiają.

– Jeśli będziesz czegoś potrzebowała, zejdź do kuchni albo spiżarni – powiedziałem, wstając.

– Nie zamykacie spiżarni na klucz?

Wzruszyłem ramionami i uśmiechnąłem się.

– Przed kim? Przed nami samymi?

Potem otworzyłem drzwi i rzekłem jeszcze na progu:

– Bierz, co potrzeba tobie albo dziecku. Inkwizytorium od tego nie zbiednieje.

– Dlaczego jesteście tacy dla mnie? – zapytała nagle, zanim zdążyłem wyjść.

– Dlaczego ci pomagam? – dopytałem.

Nieznacznie skinęła głową, cały czas bacznie mi się przyglądając.

– Nie powinienem tego mówić, ale twój proboszcz, twój opiekun, był... miał zostać inkwizytorem – wyjaśniłem. – A my zawsze dbamy o ludzi, którzy co prawda z różnych powodów nie stali się jednymi z nas, lecz zachowali Święte Officjum we wdzięcznej pamięci.

Aż otworzyła usta ze zdumienia.

– Ksiądz miał być inkwizytorem? Mój Boże! W ogóle... w ogóle... tego nie widzę – powiedziała zaskoczona i skonfundowana.

– On najwyraźniej też tego nie widział – zgodziłem się z nią, po czym skinąłem jej głową i zamknąłem za sobą drzwi.



Po południu nadszedł list. Opieczętowano go pieczęciami Świętego Officjum i sprawdziłem bardzo dokładnie, czy nie zostały przełamane, czy w żaden sposób ich nie naruszono. Sam dokument napisany był szyfrem znanym każdemu inkwizytorowi. Nie był to system skomplikowany, ale i tak stanowił niezłe zabezpieczenie przed niepowołanym wzrokiem. Oczywiście byłem pewien, iż na wielu dworach szyfr inkwizytorów został dawno temu złamany. Nie przeszkadzało nam to szczególnie, gdyż w wypadkach, kiedy trzeba było przekazać wiadomości wyjątkowo tajne, korzystano z szyfru dużo bardziej skomplikowanego, którego odczytanie nawet dla samych inkwizytorów (dysponujących przecież wiedzą, w jaki sposób go odczytywać) stanowiło problem i wymagało poświęcenia dłuższego czasu.

Sprawdziłem jeszcze dodatkowe zabezpieczenia, które miały mnie upewnić, że mam do czynienia z oryginalnym dokumentem. Otóż jeśli pismo było datowane na dwunasty dzień miesiąca, tak jak w tym przypadku, to musiało znajdować się w nim sformułowanie „wśród biesiadników”, a jeśli był to lipiec, to dodatkowo musiało ono zawierać zwrot „Duch Pański wypełnia ziemię”. Wszystkie te słowa w dokumencie się znajdowały, więc nie miałem powodów, by powątpiewać o jego autentyczności. A jakaż była treść? Otóż treść

była tak poruszająca, że przeczytałem pismo dwa razy, za drugim razem bardzo uważnie i starając się pojąć, czy aby coś mi nie umknęło. Potem złożyłem kartę na czworo i głęboko się zamyśliłem. W liście przekazano mi bowiem bezdyskusyjne polecenie, bym zdał dowództwo Heinrichowi Heiderowi, a sam opuścił Weilburg i udał się do Koblencji. Wykonanie tego rozkazu miało więc spowodować, że w mieście nawiedzonym epidemią oraz dodatkowo doświadczonym groźniejszym nawet od epidemii najazdem papistów pozostałoby tylko dwóch inkwizytorów. Zamiast więc sprawić, by dotarły do nas posiłki, zdecydowano się jeszcze nas osłabić. Jaki tkwił w tym zamysł? Tego oczywiście pismo nie tłumaczyło, bo i czemu przełożeni mieliby swoje decyzje tłumaczyć szeregowemu inkwizytorowi?

Zaskrzypiały drzwi i do gabinetu wszedł Schoen.

– Helcia przygotowała już kolację, jakbyś chciał z nami zjeść – oznajmił.

Popatrzyłem na niego i zawahałem się. Wreszcie powiedziałem:

– Pozwól, proszę. Chciałbym, abyś coś zobaczył.

Skinął głową, nie okazując zdziwienia, i usiadł na krześle naprzeciwko mnie.

Podąłem mu dokument.

– Jeśli nie oślepiłem albo zupełnie nie zgłupiałem, to pismo nie zostało ani podrobione, ani zafałszowane. Ogrzałem je również nad płomieniem świecy, żeby zobaczyć, czy nie istnieje przypadkiem utajniony przekaz. Ale nie, nie istnieje.

Schoen obejrzał dokładnie dokument. Zauważyłem również, że zerknął na datę, a potem przebiegł list wzrokiem, szukając słów kluczy.

– Sądzę, że ani nie oślepiłeś, ani nie zgłupiałeś – stwierdził. – Treść tego rozkazu jest zdumiewająca i przygnębiająca, lecz niewątpliwie jest on autentyczny. – Zawahał się przez chwilę. – Choć zapewne wolelibyśmy, żeby taki nie był.

Złożył kartę na czworo i przysunął ją do mnie.

– Kiedy opuścisz miasto, Cassi odbierze to jako poddanie się Inkwizytorium, jako wycofanie się – stwierdził. – Nie będzie się już

z nami liczył.

Miałem podobne wątpliwości i przemyślenia. Czasami tak już jest, że odjęcie z piramidy jednego małego kamyczka powoduje zawalenie się całej konstrukcji. Archidiakon nabierze pewności siebie i będzie bezwzględnie realizował swój plan, natomiast moi towarzysze odwrotnie. Poczują się opuszczeni. Stracą ochotę, by walczyć do upadłego, skoro nasi zwierzchnicy sami okazują, że na tej walce im nie zależy. A Kinga? Co stanie się z Kingą, kiedy zostanie pozbawiona pomocy jedyne go człowieka, który nie wiem nawet, czy mógł ją obronić, ale przynajmniej mógł i chciał starać się, by to uczynić?

– Zastanawiam się nad tym rozkazem – rzekłem.

– Zastanawiasz się – powtórzył Ludwik jak echo.

Pokiwałem głową. Obaj wiedzieliśmy, że profesja inkwizytora zmuszała do posłuszeństwa przełożonym, ale jednocześnie w sytuacjach kryzysu dawała ogromne możliwości podejmowania samodzielnych decyzji. Zasada była jedna: jeśli dzięki twojej samodzielności oraz inicjatywie Święte Officjum odniosło korzyści, przymykano oko na to, że nie wykazałeś się bezwzględnym posłuszeństwem. Ale jeśli ta samodzielność oraz inicjatywa doprowadziły do szkód lub były spowodowane głupotą czy niskimi pobudkami, wtedy kara mogła być nieprzyjemna. Mniej lub bardziej, w zależności od stopnia przewiny.

– Być może dobro Świętego Officjum wymaga jednak, żebym nie podważając niewątpliwiej słuszności tego rozkazu, jego wykonanie odłożył w czasie – zauważyłem. – Póki sprawy w ten czy inny sposób się nie wyklarują.

Schoen pokiwał głową.

– To twoja decyzja i nie mogę ci nic doradzić – rzekł. – Nasi przełożeni, wydając swoje rozkazy w Limburgu czy Koblencji, najpewniej kierowali się najsłuszniejszym interesem Świętego Officjum. – Potem umilkł na chwilę. – Tyle że ten interes wydaje się wyglądać nieco inaczej z perspektywy naszego Weilburga – dodał.

Trudno było się nie zgodzić z podobną konstatacją.

– Niech więc będzie tak – powiedziałem – że człowiekowi, który miał mnie przeprowadzić przez mury, przekażę nie siebie samego, lecz pismo... Pismo, w którym poinformuję, że nie mogę pozostawić spraw, którymi się zajmuję, gdyż spowodowałoby to ogromne szkody. Ale natychmiast – podkreśliłem znacząco to słowo – natychmiast, jak tylko znowu stanie się to możliwe, będę gotów do opuszczenia Weilburga.

Schoen rozłożył ręce.

– Brakowałoby nam ciebie, Mordimerze – rzekł. – I takie stwierdzenie nie jest żadną zbrodnią. Ale czy podejmujesz roztropną decyzję i czy będzie ona do obronienia w przyszłości, tego, niestety, nie wiem...

Z tym zdaniem zgadzałem się również. Bóg raczy wiedzieć, jak potraktują moją decyzję nasi przełożeni. Zapewne miało to zależeć w dużej mierze od tego, czy niesubordynacja spowoduje szkody, czy też wręcz przeciwnie, przysporzy korzyści.

– W antycznej Sparcie hoplita, który w bitewnym zapale wyszedł przed szereg towarzyszy, był karany śmiercią – rzekł jeszcze Ludwik. – Choćby nie wiem jakie korzyści przyniosła jego szarża.

– A toś mnie pocieszył – zaśmiałem się i wstałem, odsuwając krzesło.

Na szczęście Inkwizytorium nie było skłonne do stosowania tak surowych kar jak kara śmierci. Szczerze mówiąc, słyszałem o takich wypadkach, ale dotyczyły one tylko ewidentnej zdrady. Konzachtów z czarownikami lub demonami. Jeżeli inkwizytor sprzeniewierzył się Świętemu Officjum i służył papistom lub moźnym, ujawniając sekrety czy ostrzegając podejrzanych, również karano go śmiercią. Ale po pierwsze, takie kłopotliwe sprawy zdarzały się niezmiernie rzadko, a po drugie, problem załatwiano zwykle po cichu i w białych rękawiczkach.

– Czy zamierzasz wyjawić Heinrichowi, o czym przed chwilą rozmawialiśmy? – spytał jeszcze Ludwik w drzwiach.

– Nie widzę przeszkód – odparłem. – Zwłaszcza że was ta sprawa w żaden sposób nie dotyka. To moja samodzielna decyzja, za którą nie jesteście odpowiedzialni. – Potem uśmiechnąłem się. – Zresztą

Heinrich powinien być mi wdzięczny, bo dowództwo naszego oddziału Inkwizytorium, które miało na niego spaść, to w tych okolicznościach nic innego jak pocałunek śmierci.

Inkwizytorzy są również uczeni, by w kontaktach z ludźmi umieć stwarzać pozory, ale Heinrich, kiedy poinformowaliśmy go o mojej decyzji, z całą pewnością uśmiechnął się szeroko i szczerze.

– Uwierzcie mi, że dowództwo nad oddziałem w tej sytuacji, jaka jest teraz, to ostatnia rzecz, której bym sobie życzył. I Bogu dziękuję, że to Mordimer, a nie ja, został tym zaszczytem – wypowiedział to słowo z wyraźną ironią – obdarzony.

Potem spojrział na mnie już poważnym wzrokiem i dodał:

– Chociaż nie jestem pewien, czy dobrze robisz, odmawiając wykonania tak wyraźnego rozkazu.

– Och, ja, broń Boże, niczego nie odmawiam. – Uniosłem dłonie obronnym gestem. – Jedynie zawiadamiam, że jego wykonanie w tak szybkim czasie nie jest możliwe...

Potem zjedliśmy w spokoju kolację, nie rozmawiając już zarówno o tej sprawie, jak i o innych tematach kłopotliwych i nieprzyjemnych, a starając się poświęcić uwagę naprawdę smacznemu jedzeniu, jakie przygotowała dla „swoich chłopców”, jak nas nazywała, nasza poczciwa Helcia.

Natomiast późnym wieczorem zaszedłem jeszcze do gabinetu i zobaczyłem, że przy stole, oświetleni migotliwym blaskiem świec, siedzieli Ludwik Schoen i nasz młody kancelista. Ludwik dyktował coś półgłosem z karty trzymanej w dłoniach.

– Co tam ciekawego robicie? – zainteresowałem się.

Inkwizytor podniósł oczy znad dokumentów.

– Chodź, Mordimerze, jeśli masz chwilę czasu, a dowiesz się czegoś może nie szczególnie ważnego, ale na pewno interesującego – zaprosił lekkim głosem.

Cóż, w tych ponurych czasach każda chwila rozrywki mogła poprawić człowiekowi humor, a z głosu Ludwika wyczytałem, że właśnie czymś zabawnym chce się ze mną podzielić. Zbliżyłem się do nich.

– Otrzymaliśmy meldunek, że grupa mieszczan zawiązała pewnego rodzaju stowarzyszenie, czy może lepiej powiedzieć: klub – uśmiechnął się Schoen.

– Sądząc po twoim tonie głosu, nie jest to tajny spisec wymierzony w naszą świętą wiarę – rzekłem.

– O, na pewno nie – odparł z uśmiechem. – Nazwali się Braćmi Kaszlącymi – dodał.

– Kaszlącymi – powtórzyłem i pokręciłem głową. – Bardzo pięknie. Czym się zajmują oprócz, jak mniemam, kasłania?

– Uważają, że w kaszlu nie ma nic złego, gdyż nie tylko poprawia on dźwięk głosu – Ludwik odchrząknął na próbę – ale również oczyszcza płuca i gardło z zepsutego powietrza. Ergo: im częściej kaszlesz, tym świeższe i zdrowsze masz ciało.

– No dobrze. Na zdrowie. Czemu się tym interesujemy?

– Członkowie tego stowarzyszenia rozpoznają się po tym, że kaszlą na powitanie oraz pożegnanie, a także pokasłują w czasie rozmowy, koniecznie odwracając się tyłem do rozmówcy, żeby zepsutym powietrzem nie skazić kogo innego – wtrącił kancelista.

– To zacnie z ich strony – przyznałem. – Ale nadal nie rozumiem, czemu właściwie się tym zajmujecie.

– Robię spis, Mordimerze – rzekł już poważnym tonem Schoen. – Spis wszelkich dziwactw, jakie narodziły się w naszym mieście w ostatnich tygodniach.

Pokiwałem głową.

– Bardzo mądrze – rzekłem. – Nigdy nie wiadomo, w jakie diabelstwo przerodzi się na pozór niewinny zwyczaj czy moda. Kiedy skończysz, z ogromną przyjemnością zapoznam się z twoimi opisami.

– Będę uzupełniał katalog na bieżąco – obiecał.

Wielokrotnie mówiłem, że Święte Officjum interesuje się nie tylko przestępstwami, zbrodniami przeciwko Bogu oraz naszej świętej wierze, lecz zreszta ludzi ciekawych świata oraz bliźnich. My, inkwizytorzy, po prostu już tacy jesteśmy. Tak jak inni zbierają klejnoty czy monety, tak my cierpliwie magazynujemy wiedzę o postępkach oraz myślach współobywateli. Nawet wtedy,

gdybyśmy nie mieli kiedykolwiek z niej skorzystać. Bo tylko obserwując świat i znając obyczaje bliźnich, możemy skutecznie bronić ich przed otaczającym i szturmującym złem. A poza tym skoro mógł nam się przydać donos sąsiada mówiący, iż matka kanonika Speichela hoduje tyle kotów, że smród ich szczyń nie daje żyć sąsiadom, dzięki czemu dowiedzieliśmy się, że kanonik Speichel w ogóle ma matkę staruszkę i gdzie ona mieszka, to oznaczało, że w odpowiedniej chwili przydać się może każdy, z pozoru najmniej istotny strzęp informacji. A przecież właśnie ta informacja o przywiązaniu kanonika do matki najpewniej ocaliła życie i zdrowie wielu obywateli Weilburga. Inna sprawa, że samego kanonika wpędziła do grobu, ale to były te koszty, jakie gotowi byliśmy ponieść, i to poświęcenie, na które byliśmy przygotowani. A poza tym posłaliśmy na pogrzeb Speichela wieniec wyjątkowej piękności.



Rozdział piętnasty

Rajca Arnold Zoll



Spałem, ale nawet przez sen usłyszałem, że ktoś staje przed wejściem do mojego pokoju, i zaraz potem zobaczyłem, że klamka została naciśnięta. Nim drzwi się uchyliły, siedziałem już na łóżku ze sztyletem w dłoni, lecz zanim zobaczyłem, kto mnie odwiedza tak rano, poczułem zapach różanej pomady

do włosów. Tak pachniał tylko Ludwik Schoen.

– Ludwiku drogi – rzekłem – cóż to się stało? Przecież mamy ledwie świt! Coś z dziewczyną? – zaniepokoiłem się nagle.

– Nie, nie. – Wszedł i zamknął za sobą drzwi. Przysiadł na krześle. – Zawsze czujny, co? – Zerknął na sztylet w mojej dłoni.

– Wolę dziesięć razy chwycić za nóż, kiedy w ogóle mi się on nie przyda, niż nie chwycić go ten jeden raz, kiedy będzie zależało od tego moje życie.

– Bardzo słusznie.

– Co się dzieje?

– Zaczęło się.

Skinąłem głową.

– Kto?

– Rajca Zoll – odparł.

– Jakie zarzuty?

– Herezja, kult diabła i spiskowanie z demonami.

– No to mamy wojnę – stwierdziłem posępnie. – No dobrze. Podyktuj w takim razie Wittlerowi stanowczy protest w imieniu Świętego Oficjum i każ to pismo wysłać do archidiakona. Kategorycznie żądamy przekazania nam rajcy Zolla oraz wszelkich obciążających go dowodów, a także zaprzestania prowadzenia śledztwa w jego sprawie przez osoby niepowołane. Kopię dokumentu każ dostarczyć burmistrzowi.

– Tak uczynię. – Skinął głową. Potem cmyknął przez zęby. – Czemu Cassi zabrał się właśnie za Zolla? Czemu akurat on? – zapytał.

Zoll był uczciwym mieszczaninem. Owszem, znanym pijakiem i kurwiarzem, ale jednocześnie człowiekiem porządnym. I nigdy nawet nie znalazł się nie tylko w kręgu podejrzenia, ale nawet obok cienia podejrzenia o występki przeciwko naszej świętej wierze.

– Najwyraźniej Cassi dowiedział się czegoś, o czym my nie wiemy – zaryzykowałem przypuszczenie.

– Sądysz, że Zoll naprawdę uczynił coś złego?

– Raczej nie. – Pokręciłem głową. – Ale Cassi musi mieć podstawy do pierwszego oskarżenia. Nie pozwoliłby sobie na podanie kompletnych wymysłów. Jeszcze nie teraz... – urwałem na chwilę. – A więc jego ludzie naprawdę wyniuchali jakieś paskudztwo...

– Kurwy! – zawołał nagle Ludwik takim tonem, jakby zakrzyknął: „Eureka!”.

Spojrzałem na niego pytająco.

– Wszystkie co ładniejsze dziwki z Weilburga ciągle zabawiają ludzi Cassiego i w Pałacu Małym już niemal mieszkają – zaczął wyjaśniać Schoen. – Może to właśnie od nich ludzie Cassiego dowiedzieli się czegoś kompromitującego na temat Zolla?

To prawda, że pijatyki, orgie i hojna zapłata mogły wpłynąć na to, iż dziwki stały się bardzo, ale to bardzo rozmowne. I przypadkiem lub celowo zdradziły być może coś, co posłużyło jako haczyk, na który teraz nadziano rajcę Zolla.

– Może tak być. – Skinąłem głową. – A nasze dokumenty? Nic w nich nie ma?

– Od razu je zbadałem – zapewnił Ludwik. – Zoll jest poza podejrzeniem. Chyba że Heckmann ma jakieś dokumenty w swoim sejfie na jego temat, ale tego i tak nie sprawdzimy.

Rozprucie sejfu przełożonego oddziału Świętego Officjum rzeczywiście było czynem, jakiego każdy z nas wolałby uniknąć. Zwłaszcza iż mogliśmy nie znaleźć niczego ciekawego na interesujący nas temat, a za to zobaczyć dokumenty, których znajomość spowodowałaby tylko kłopoty dla nas samych.

– Gdzie Cassi przetrzymuje Zolla? – spytałem.

– W lochach miejskich, ale jest tam pod strażą jego ludzi.

Skinąłem głową.

– Czyli nasz archidiakon pragnie najwyraźniej zachować przynajmniej jakieś pozory praworządności, skoro nie zamknął rajcy w piwnicach Pałacu Małp – powiedziałem z namysłem.

– Jeśli tak, to dlaczego? – spytał Schoen.

– Bo to znak dla rady miasta, Ludwiku. Znak, że Cassi przyjechał wypełniać obowiązki i kieruje się zasadami prawa, a nie pragnieniem zemsty. Co oznacza, że księżę biskup jest gotów do rozmów. Bo przecież o to tu właśnie chodzi. O rozmowy i renegocjacje finansowego porozumienia.

– Sądzisz, że rajcy rozumieją to tak jak ty?

– Myślę, że jeśli nawet nie rozumieją, to zostanie im to wytłumaczone.

– A dla nas oznacza to – rzekł wolno Ludwik – że jeżeli zażądamy prawa do przesłuchania Zolla, to archidiakon nam nie odmówi.

– Mamy nie tylko takie prawo, ale wręcz właśnie taki obowiązek. I wiesz, co ci powiem, Ludwiku? Otóż zakładam, że Cassi nie tylko nam wypełnienia tego obowiązku nie uniemożliwi, lecz wręcz nie będzie stawiał żadnych przeszkód. Przecież to i tak tylko gra pozorów. Cóż mu może zaszkodzić, że przyjdziemy do lochów porozmawiać z Zollem? Podejrzewam, że nawet zaprosi nas na przesłuchania, abyśmy wspólnie odkrywali prawdę. – Ostatnie trzy słowa wypowiedziałem z celową pompatyczną ironią.

– Czyli co robimy?

– Czyli wysyłamy kolejne pismo, tym razem domagające się dopuszczenia nas do rajcy Zolla w celu przesłuchania go na okoliczność stawianych mu zarzutów... – Umilkłem na moment, po czym uniosłem rękę. – Albo nie tak. Zrobimy lepiej. Zawiadamiamy Cassiego, że jutro w południe funkcjonariusze Świętego Officjum zamierzają przesłuchać Zolla, i żądamy, żeby straż nas do niego dopuściła.

– Bardzo słusznie – zgodził się ze mną Ludwik. – Każę niezwłocznie wysłać te listy.



Stało się tak, jak przewidziałem, czyli archidiakon odpowiedział nam bardzo uprzejmie. Z jednej strony powołał się na papieskie dokumenty pozwalające mu prowadzić dochodzenia w sprawie przestępstw skierowanych przeciwko naszej świętej wierze (dokumenty, których jak przypominę, Święte Officjum nie uznawało ani w żadnym szczególe, ani w całości), z drugiej strony zapewnił, iż nie ma nic przeciwko temu, by inkwizytorzy uczestniczyli w śledztwie oraz przesłuchaniach. W związku z tym, zgodnie z naszą zapowiedzią, następnego dnia po otrzymaniu informacji o aresztowaniu rajcy Zolla wyruszyliśmy, by się spotkać z tym pierwszym z aresztowanych mieszczan. A że nie będzie on ostatni, o to mogliśmy się założyć. W drodze na rynek zobaczyliśmy coś w naszym mieście zupełnie nowego, a mianowicie pochod biczowników.

– Coś takiego – mruknął Schoen i pokręcił głową. – Jak ja już dawno nie widziałem tych wariatów.

A warto wspomnieć, że kiedyś, dawno temu, pochody biczowników były całkiem zwyczajnym widokiem na ulicach naszych miast. Szli ci wędrowcy na oczach zdumionej, przerażonej i zafascynowanej gawiedzi. Szli nadzy lub półnady, wyczerpani głodem, pragnieniem, długą wędrówką i bólem, lecz pełni zapału, by wciąż na nowo sprawiać katusze sobie i towarzyszom. Szli poranieni

i pokrwawieni, z twarzami ściągniętymi nie tylko cierpieniem, lecz i rodzajem ekstatycznej radości z przeżywania bolesnego misterium. Wołali: *Miserere mei, Deus*, chłoscząc różgami, pejczami, biczami i korbaczami plecy swoje lub swoich towarzyszy. A z racji na ten jakże powszechny u nich okrzyk nasze pospólstwo, chętne zawsze do żartów, kpin i szyderstw, przezwało owych biczowników mianem mizeraków. Zresztą zważywszy na ich przygnębiającą kondycję, była to nazwa nieoczekiwanie całkiem trafna.

Ale jak już wspomniałem, mili moi, owe pochody tak liczne i tak częste miały miejsce dawno temu, gdyż biczownicy niewiele wadzili władzy, kiedy tłukli na miazgę samych siebie, lecz wzbudzali zaniepokojenie, kiedy w swoje szeregi rekrutowali spokojnych mieszczan i włościan. A w dodatku przechodząc od miasta do miasta, domagali się, by ich karmiono, a kiedy niedawano tego, co chcieli, to z imieniem Bożym na ustach sami zabierali. Często nie obywało się wtedy bez kradzieży, rabunków i podpaleń, a to oznaczało, że nie obywało się również bez walk, tumultów i trupów. Biczownicy zaczęli również wciągać w swe pochody księży oraz zakonników. I to wcale nie za ich zgodą. Duchownych uprowadzano, a potem półnagich wleczono na postronkach i zawzięcie hartowano im grzbiety batami. Święte Officjum mogło być nawet rozbawione podobnym obrotem spraw, ale do spółki z władzą kościelną i świecką musiało wreszcie poważnie zabrać się do owych szaleńców, których nieszczęście polegało na tym, że mieli na świecie samych przeciwników, a nie dorobili się możnych protektorów. Skończyło się więc na tym, że większość mizeraków wróciła do domów, przywożąc bliskim w gościńcu nie tylko widok pooranych bliznami pleców, ale również opowieści o odległych prowincjach Cesarstwa. A ci najbardziej zawzięci, którzy dalej pragnęli się awanturować, zostali uwięzieni, osądzeni i zapędzeni do pracy w kopalniach, przy wyrębie lasów czy osuszaniu mokradeł. Zapewne zresztą był to los cięższy niż okładanie się batem na ulicach. Tak właśnie zakończyła się chwała ruchu biczowników, czasem określanych uczenie flagelantami, a przez motłoch przezwanym mizerakami.

Zdarzało się jednak, nawet w obecnych czasach, że zbierała się grupka ludzi pragnących wskrzesić tradycję dręczenia własnego ciała na oczach tłumów i znowu przechodziły w tym czy innym mieście marsze podobnych męczenników. Lud nasz dojrzał już jednak do tego, że podobnym pochodom nie tylko nie współczuł, nie tylko nie chciał łożyć na ich utrzymanie, nie tylko nie modlił się wraz z nimi, ale głośnymi okrzykami wzywał biczowników do większej zaciekłości, wyśmiewał i głośno komentował szczegóły anatomiczne ich nagich ciał. A nawet zdarzało się, wypadał z tłumy jeden czy drugi łotrzyk z pałką lub batem tylko po to, by któremuś mizerakowi solidnie przyłożyć i zaraz ze śmiechem zniknąć w grupie kompanów. Jednak biczownikom udawało się zyskiwać chwilowy szacunek, jeśli pojawili się w miejscu, które nawiedzała katastrofa grożąca życiu i zdrowiu mieszkańców. Wtedy to obywatele naszego chwalebного Cesarstwa nieoczekiwanie stawali się nie tylko bardziej pobożni, ale i bardziej skłonni wierzyć, że rozgniewanego Boga można przebłagać za pomocą cierpienia. Oczywiście zawsze było lepiej, kiedy ofiarę ponosili inni, a samemu wystarczało pomodlić się w intencji ich poświęcenia.

Dlatego wcale teraz się nie zdziwiłem, że z biczowników nikt się nie śmiał, lecz jedni przechodnie stawali w milczeniu i przyglądali im się z szacunkiem połączonym ze zgrozą, a inni klękali i się modlili. Jakaś gruba mieszcza stała i z rękami podniesionymi do nieba głośno płakała, i to szlochom tak żalosnym, jakby to ją właśnie batożono po szerokich plecach.

– No i proszę – rzekł Ludwik. – Mizeraki.

Zważcie, mili moi, że ta gromada składała się tylko z mieszkańców Weilburga, gdyż z uwagi na kwarantannę żaden pochód idący spoza miasta nie zostałyby oczywiście wpuszczony w granice murów. A więc to u nas wykiełkowało to okrwawione kwiecie. No cóż, jak wykiełkowało, tak i uschnie, szkopuł tylko w tym, aby wcześniej nie narobiło większych szkód.

– Idą z kościoła do kościoła, przed każdą świątynią zatrzymując się na kilka godzin i modląc – wyjaśnił nam Heinrich. – Wierzą, że jeśli obejdą wszystkie świątynie w Weilburgu, to zaraza się cofnie.

Pokiwałem głową.

– A co uczynią, jeśli mimo ich wysiłków zaraza wcale się nie cofnie? – spytałem.

Heinrich wzruszył ramionami.

– Zapewne niedługo poznamy odpowiedź – odparł.

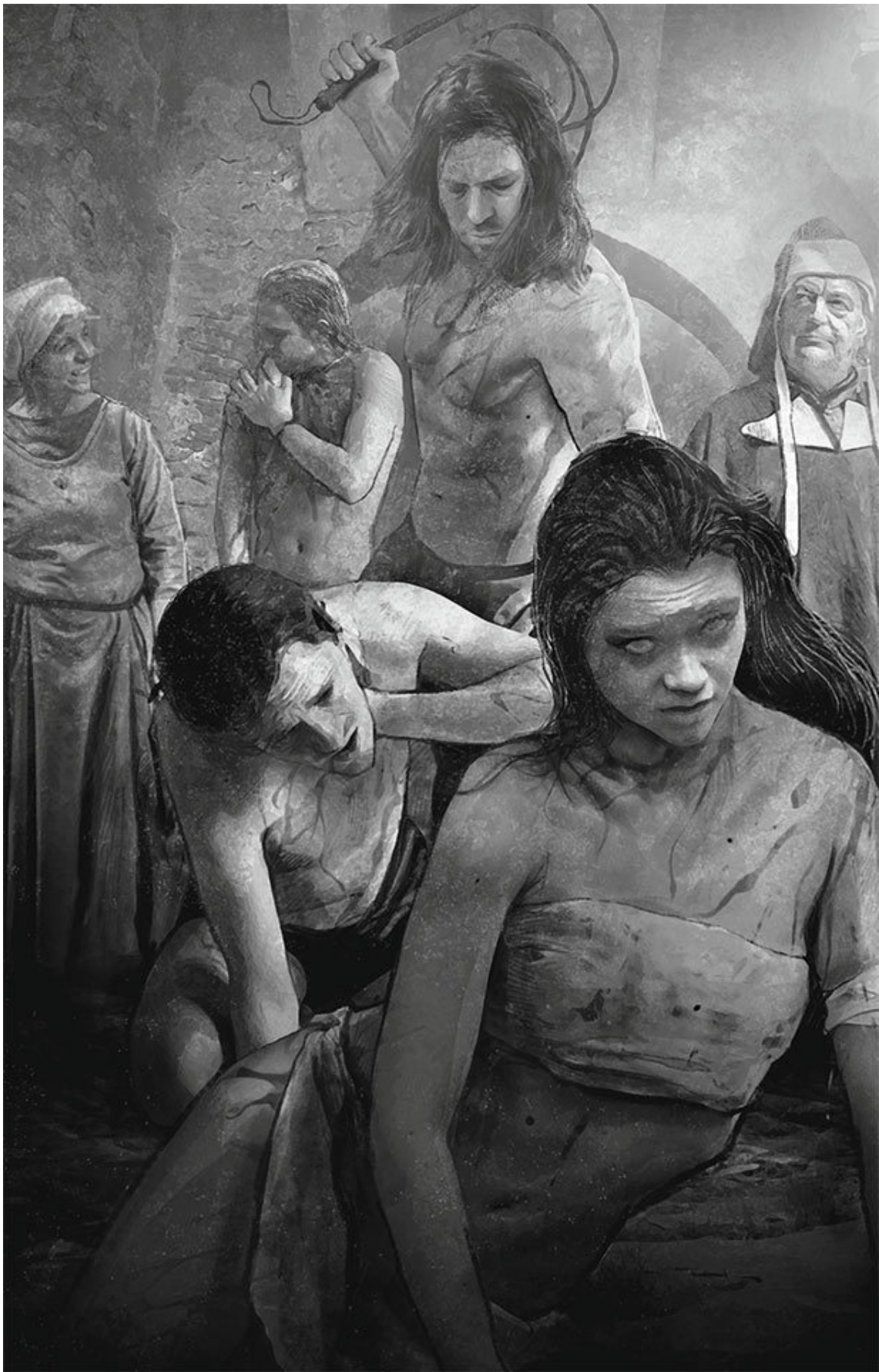
– Zrobimy coś z nimi? – zagadnął Ludwik.

Pokręciłem głową.

– Po co? Dopóki chodzą, modlą się i biczą samych siebie, nie są groźni. Wolę, żeby w taki sposób pozbywali się zapału niż w inny.

– Jaka ładna dziewczyna – westchnął nagle Heinrich.

Spojrzałem w stronę, którą pokazywał. Rzeczywiście, na skraju procesji szła śliczna młoda kobieta otulona niczym suknią gęstymi ciemnymi włosami. Jej twarz przybrała wyraz nieprzytomnej ekstazy, a oczy miała wzniesione ku niebu. Idący za nią chłopak chłostał ją grubym kańczugiem. Czy to z litości, czy jak przypuszczałem, z braku sił, robił to na szczęście dla niej niezbyt mocno i w dość długich odstępach czasu między jednym uderzeniem a drugim. Sam pewnie był osłabiony, gdyż za nim z kolei szło wielkie, muskularne chłopisko i tłuło go zawzięcie batem jak kramarz upartego osła.



– Biedna mała – westchnął Heinrich. – Po co jej to wszystko?

– Może się zakochała w jednym z biczowników? Może zaciągnęli ją tu rodzice? A może jest po prostu pełna pobożnego zapału i wierzy, że swoim bólem zbawia świat? – powiedziałem.

– Tak czy inaczej, chętnie wybiczowałbym ją własnym korbaczem – mruknął Heinrich i mlasnął. – I pewne jest, że bardziej by na tym skorzystała. No spójrzcie sami, jakaż ona ładna... – dodał tym razem już z prawdziwym smutkiem w głosie.

– Korbaczem – powtórzył Ludwik z szyderstwem. – Pejczykiem raczej.

Heinrich obrzucił go ciężkim spojrzeniem.

– Nie mów, że nie wyłomotałbyś takiej ślicznotki – rzekł.

– Wyłomotał, wybiczował – powtórzyłem dobitnie i z przekąsem jego słowa. – Czyż nie ładniej byłoby powiedzieć, że „uniósłbyś się z nią do krainy rozkoszy na skrzydłach Amora”?

– Albo że twój „jaspisowy taran chętnie uderzyłby w jej nefrytowe wrota”? – dodał Ludwik, udowadniając, że nie jest mu obca słynna księga „Trzysta nocy sułtana Alifa”.

– Też. – Heinrich poważnie skinął głową. – A potem bym ją solidnie wyłomotał.



Procesja biczowników nie była bardzo liczna, więc i niewiele czasu zmarnowaliśmy, aby się jej przyjrzeć, i o tej godzinie, o której było trzeba, dotarliśmy do ratusza, w którego podziemiach siedział uwięziony Zoll. Jak sądzę, biedak nigdy nie podejrzewał, że on – bogaty i wpływowy rajca, będzie zamiast w sali obrad (może nawet na burmistrzowskim krześle!) siedział pod pięknym gmachem ratusza, zamknięty w ciemnicy. Wyjawię wam szczerze, mili moi, iż widziałem lochy bardziej nieprzyjemne od tych weilburskich, bo tutaj naprawdę nie było tak źle. Czyż nie raz i nie dwa, i nie sto zdarzało się, że więźnia wrzucano po prostu do nakrywanego kratą głębokiego dołu? A czy nie raz, nie dwa i nie sto zdarzało się, że

w piwnicach zamkowych czy ratuszowych tłoczyło się tylu skazańców, że spać mogli tylko wtedy, kiedy powłazili jeden na drugiego? A jeśli zdarzyło się, że władarz miasta lub zamku dowcipnie chciał się pozbyć złoczyńców bez zawracania sobie głowy procesami, to po prostu przestawał ich karmić i poić, a oni zdychali pośród potępieńczych wrzasków i rozdzierając jeden drugiego na strzepy?

W przypadku weilburskiego więzienia o niczym podobnym nie było mowy, a Zolla w dodatku ulokowano nawet nie w zwykłej celi, ale w pokoiku chyba należącym zazwyczaj do stróża czy strażnika. W każdym razie nasz rajca miał tam łóżko z siennikiem i kocem, zydel, a nawet miednicę z wodą i wiadro na nieczystości. Na razie więc wielka krzywda mu się nie działa, chociaż przypuszczałem, że był zarówno gniewny na to, co go spotkało, jak i zestrachany wizją tego, co przydarzyć się może w następnej kolejności.

Moich towarzyszy pozostawiłem przed drzwiami, zresztą na sugestię samego Ludwika, który powiedział:

– Wydaje się, Mordimerze, że ty i Zoll dobrze zgadzaliście się jeden z drugim. Może więc łatwiej mu będzie z tobą pogadać, jeśli nikt nie będzie wam przeszkadzał.

– Słuszna uwaga – odparłem. – Zostańcie w takim razie, z łaski swojej, i przypilnujcie, żeby nikt nie próbował nas podsłuchiwać.

W ten sposób mogłem już spokojnie wybrać się na rozmowę z rajcą. Nie wiem, czy Zoll spodziewał się mnie, czy nie, w każdym razie nawet nie drgnął, kiedy stanąłem w progu. Siedział w kącie celi ponury niczym chmura gradowa i tylko zerknął na mnie spod zmarszczonych brwi, kiedy wchodziłem. Na jego twarzy nie pojawił się jednak nawet cień ulgi czy nadziei, lecz pozostała ona kamiennie niewzruszona.

– Witajcie, panie Zoll – odezwałem się serdecznym tonem i zamknąłem za sobą drzwi. Na zydlu stojącym obok łóżka postawiłem flaszkę wina i dwa kubki. – Jeśli jesteście głodni, rozkażę, by podano kolację – oznajmiłem.

Przyglądał mi się przez chwilę, a potem tylko potrząsnął głową.

– Przed drzwiami waszego więzienia stoją moi towarzysze, a jak dopytałem, nie ma w tym pokoju żadnych dziur ani szczelin, które umożliwiłyby podsłuchiwanie. Mimo wszystko należy zachować ostrożność. Jeśli będziemy rozmawiali niezbyt głośno, nikt nie powinien nas tak czy inaczej usłyszeć.

– Nie mam nic do ukrycia – stwierdził wreszcie głosem tak ponurym jak jego twarz.

Skrzywiłem usta.

– Panie Zoll, nawet nie wiecie, jak wiele ze zdań sprawiających wrażenie całkiem niewinnych może wyciągnąć wprawny śledczy. Więc mówcie, z łaski swojej, półgłosem lub szeptem, jeśli chcecie sobie pomóc, a nie zaszkodzić.

Wzruszył ramionami, lecz skinął głową. Napełniłem nam kubki i podałem jeden Zollowi. Spojrzał na mnie znacząco i nie wyciągnął dłoni.

– Zwariowaliście? – zapytałem. – Sądzicie, że przychodzę, żeby was otruć?

Westchnąłem, pokręciłem głową i wypilem duszkiem całą zawartość naczynia. Odetchnąłem i nałalem sobie następną porcję. Wtedy Zoll nagle uśmiechnął się i opróżnił również swój kubek.

– No, no, dolejcie i mnie – rzekł. – Żebym nie był stratny. A skoro nie przyszliście mnie otruć, to po co przyszliście?

– Najkrócej mówiąc: żeby was wydobyć z biedy – odparłem. – Chociaż w sytuacji, w jakiej jesteśmy, nie będzie to wcale takie łatwe.

Milczał dłuższą chwilę.

– A skąd wiecie, że nie jestem winny?

– Nie mam pojęcia, czy jesteście winni, czy nie, i nieszczęśliwie mnie to na razie obchodzi. Wiem, że archidiakonowi nie wolno was ani przesłuchiwać, ani prowadzić żadnego postępowania, tyle tylko, że tego prawa nie mogę w żaden sposób wyegzekwować.

– Nie obchodzi was, czy nie przyzywałem diabła i demonów? – Otworzył szeroko oczy.

– W tej chwili nie za bardzo – rzekłem. – O oskarżeniach względem was sam wyrobię sobie zdanie w odpowiednim czasie. Na razie jednak wiem jedno: archidiakona też nie obchodzi, czy

jesteście winni, czy nie – rzekłem cicho, ale z naciskiem. – Macie być dla niego tą końcówką nitki, która szarpnięta, oplącze mu całe miasto.

Zoll zmarszczył brwi.

– Czyli że niby... Ach, mówicie o tym, żebym obciążył innych rajców – rzekł.

– Dokładnie – powiedziałem. – Zresztą archidiakon nie pozabija was wszystkich. Wylądujecie w lochach, a część z was zostanie dla przykładu poddana torturom. Ale jesteście potrzebni biskupowi, bo przecież ktoś musi zostać, żeby podpisać korzystne dla niego dokumenty w imieniu miasta, prawda?

Skinął wolno głową.

– Wasz pech, panie Zoll – kontynuowałem – polega na tym, że wedle mojego rozeznania to wy macie zostać tym odstrasającym przykładem dla reszty rajców.

– Niedobrze – mruknął tylko.

– Ano niedobrze – zgodziłem się z nim. – Bo wydaje się, że wasz los został przesądzony. Chociaż mogę spróbować podjąć takie działania, żeby utrudnić plan biskupa, ale najpierw muszę wiedzieć, o co, u diabła, w ogóle chodzi w waszym aresztowaniu? Bo nie chcę się dowiedzieć, co przeciwko wam mają, dopiero w czasie przesłuchania.

Wzruszył ramionami.

– Wyglądam wam na czarownika? – zapytał ponuro.

– Cechy rzemieślnicze mają różne swoje rytuały – zauważyłem. – Wiecie na pewno doskonale, że budowniczym zdarzało się zamuroвывать żywych ludzi w ścianach lub fundamentach budynków, żeby zapewnić temu nowemu gmachowi przychylność fortuny. Podobne postępowanie uważamy za czary i karzemy nie jako zabójstwo, lecz jako spisek przeciwko Bogu.

– Tak, tak, a farbiarze topią pierwszego dnia stycznia noworodka w kadzi z farbą, żeby zapewnić sobie dobry rok – dorzucił zgryźliwie.

– Wszystko to bajdy, bzdury i głupie, złośliwe ludzkie gadanie.

– Może tak, może nie – odparłem. – Kiedyś podobne rytuały nie były wcale rzadkie i każdy cech miał coś, co wolał ukrywać przed

inkwizytorami. Więc moje pytanie brzmi: czy w waszym cechu uprawiano jakiś rodzaj magii lub coś, co uważaliście za magię?

Spojrzał na mnie ciężko.

– My jesteśmy dobrzy chrześcijanie – stwierdził dobitnie.

– Żadnych starych rytuałów, choćby całkiem, wydawało się, niewinnych? – dopytywałem.

Pokręcił głową.

– A wy sami? Chodziliście do wrózek? Do znachorów? Do nekromantów?

Tym razem wzruszył ramionami.

– Wy wiecie, jaki ze mnie człowiek – rzekł. – Po ciężkiej pracy trzeba dobrze popić i dobrze się zabawić, tak brzmi moje, jak to się mówi... – Pstryknął palcami.

– Credo? – podpowiedziałem.

– Ano tak. Credo – potwierdził. – Takie właśnie ono jest. Wszyscy wiedzą, że jak biorę dziewczkę czy dwie, czy nawet trzy, to wychodzą ode mnie z tyłkami tak obolałymi, jakby cały dzień jeździły konno i w dodatku na oklep. Ale czy ja je zmuszam do zabawy? Same się dopraszają!

Mogłem mu wierzyć. Był potężnym mężczyzną w sile wieku, do tego bogatym i ustosunkowanym, a przy tym słyszałem, że ciepło mówiono o jego hojności. Zapewne więc dziewczęta, które go odwiedzały, nie mogły się skarżyć ani na brak rozrywki, ani na brak prezentów czy gotówki. Owca

– No właśnie. – Uniosłem palec wskazujący. – Dobrze, że wspomnieliście o dziewczętach. Bo doszła moich uszu wiadomość o zaledwie strzępie rozmowy, ale usłyszałem, że na wasze przesłuchanie mają zostać sprowadzone jakieś kobiety. Wyobrażacie sobie, jakie to mogą być kobiety i w jakim celu zostaną przesłuchane? Dlaczego mają świadczyć przeciwko wam? Jeśli oczywiście dobrze zrozumiałem ten, jak już mówiłem, zaledwie strzęp rozmowy.

Przez dłuższą chwilę nic nie mówił, widziałem tylko, że zacisnął silnie szczęki, aż zadrgały mu policzki.

– A to sucze przebrzydłe – warknął wreszcie z pasją. – A to kurwy sakramenckie!

Pokiwałem głową z zadowoleniem.

– Aha. Czyli już wiecie, co się stało, tak?

Huknął pięścią w kolano, a potem tak mocno splótł dłonie, aż kostki chrupnęły niemal tak głośno, jakby je wyłamywano ze stawów.

– Domyślam się – odparł. – Cokolwiek miałbym podejrzewać, to właśnie to podejrzewam najbardziej.

– Mówcie więc, jeśli łaska – poprosiłem.

– Ale w tym nie ma żadnej winy. – Pochylił się w moją stronę i teraz już szeptał. – Przysięgam wam, że to, co robiłem, w niczym nie szkodziło ani Panu Bogu, ani naszej wierze, ani Kościołowi świętemu, bo...

– Panie Zoll – przerwałem mu – jeśli opowiecie mi dokładnie, bardzo dokładnie, co się wydarzyło, to łatwiej będzie mi ocenić, czy wasze zachowanie było szkodliwe, czy też nie. Albo czy można je za takowe uznać, jeśli kto chce być wam niechętny.

Westchnął.

– Opowiem wam, pewnie, że opowiem – stwierdził. – Ludzie nie takie rzeczy robią, więc nawet nie mam się czego wstydzić. Mam pieniądze i mam fantazję, więc stać mnie, żeby...

– Panie rajco, przejdźmy do rzeczy, bo czas nam wściekle ucieka – przerwałem mu znowu.

– Mam na tyłach domu ogród otoczony murem – rzekł. – Rosną tam piękne stare drzewa. – Zamilkł na chwilę i przymknął oczy, jakby było istotne przywołanie obrazu tego ogrodu pod powieki.

Czekałem cierpliwie.

– Mam tam mały staw – kontynuował. – I fontannę, i greckie posągi. – Westchnął. – Czasami zapraszam znajome dziewczęta do tego ogrodu, żeby ubrane tylko w kuse tuniki bawiły się i pluskały niczym rusalki lub nimfy... – mówił już bardzo stłumionym głosem.

– Piękna, niewinna fantazja – pochwaliłem serdecznym tonem, chociaż oczywiście wiedziałem, że dalsza opowieść może i będzie piękna, ale na pewno nie niewinna.

– Dużo wina, śpiew. – Miał opuszczoną głowę, ale widziałem, że leciutko się uśmiecha spod wąsów. – Ot, wesoła zabawa, zwłaszcza jak jest ciepło i słońce przygrzewa.

– A kiedy jest zimno? Albo kiedy pada deszcz?

– Mam pokój kąpielowy w domu, urządony w greckim stylu – rzekł.

No coś takiego! A więc miałem przed sobą majątnego rzeźnika i wpływowego mieszczanina będącego jednocześnie admiratorem kultury antycznej. Miło było wiedzieć, iż człowiek, który wzniósł się na majątkowe wyżyny, zaczyna mieć coraz bardziej wysublimowane potrzeby duchowe. Kto wie, może niedługo wraz z przyjaciółmi będzie, zarzucając tunikę na ramię, zapalczywie rozprawiał o różnicach pomiędzy Platonem a Arystotelesem? Na razie miał co prawda potrzeby nieco mniej wyrafinowane, ale wszystko przecież przychodzi z czasem. Problem tylko w tym, że Zoll mógł mieć już tegoż czasu bardzo mało. Wskazówki na zegarze jego życia niebezpiecznie zbliżyły się do północy i nie wiedziałem, na jak długo będę w stanie je zatrzymać oraz czy kiedykolwiek będę potrafił je cofnąć.

– Proszę dalej, panie rajco – poprosiłem. – Raczcie wybaczyć, że wam przerwałem, i wyjawcie mi, z łaski swojej, jaką pełniliście rolę w tych przedstawieniach, gdyż jak mniemam, nie ograniczała się ona do roli biernego widza...

– Ano nie ograniczała – przyznał mi ponuro rację. Potem wreszcie podniósł na mnie wzrok. – Na miecz Pana, błagam was, żebyście uwierzyli, że nie ma w tym nic złego, nic demonicznego ani magicznego – mówił szybko. – Ale jedynie płocha rozrywka na wzór malarskich mistrzowskich dzieł, których istnienie przecież nie obraża naszej świętej wiary. Czyż nasi, chrześcijańscy malarze nie ukazują nam scen nie tylko historycznych czy biblijnych, lecz również pochodzących z greckiej i rzymskiej mitologii? Przyznajcie, mistrzu Madderdin, że tak właśnie jest. – Złożył dłonie.

– Chętnie wam przyznam rację – rzekłem. – Chociaż nadal nie wiem, dokąd zmierzamy...

– Ja też się przebieram w tym naszym teatrze – wydusił wreszcie z siebie.

Ano tak, oczywiście. Nawet mógłbym już teraz zaryzykować i sto koron, że wiem, za kogo się przebiera. Ale musiałem oczywiście zapytać, by potwierdził mi to własnymi słowami.

– Czyją rolę odgrywacie, panie Zoll? – Starąłem się, by mój głos był cichy i spokojny.

– Na miecz Pana przysięgam wam, że to nie tak, jak mogłoby się wydawać. – Tym razem chwycił mnie za dłonie. Miał naprawdę silny uścisk, teraz spotęgowany zdenerwowaniem.

Chwyciłem go za kark i przyciągnąłem jego głowę tak, że jego ucho znalazło się tuż przy moich ustach.

– Przebieracie się za satyra, panie Zoll, to jasne, że skoro w waszej fantazji są piękne nimfy, to musi być też satyr. Jaki strój wtedy zakładacie? Futrzane spodnie i kubrak?

Przełknął głośno ślinę.

– Tego nie muszę – odparł zduszonym głosem. – Bo sam z siebie jestem, wiecie, mocno owłosiony. Dziewczęta mówią, że na mojej piersi mogą zatopić palce jak w dywanie – dodał trochę weselszym tonem.

Ścisnąłem mu kark, że aż jęknął z zaskoczenia, bo nie podobało mi się, że wraca mu lepszy humor. W sytuacji, w której się znaleźliśmy, nie było nic radosnego.

– To co w takim razie? – zapytałem.

– Buty na koturnie. – Westchnął. – Żeby wyglądały jak kopyta.

– Dalej.

– Pas z niewielkim ogonem z tyłu.

– I?

– Ale przysięgam wam, że...

– Rogi, prawda? – syknąłem.

– Tak, rogi – wyszeptał zrezygnowany. – Specjalna uprzęż z rogami kozła.

Puściłem go i odsunąłem się na długość wyciągniętej ręki.

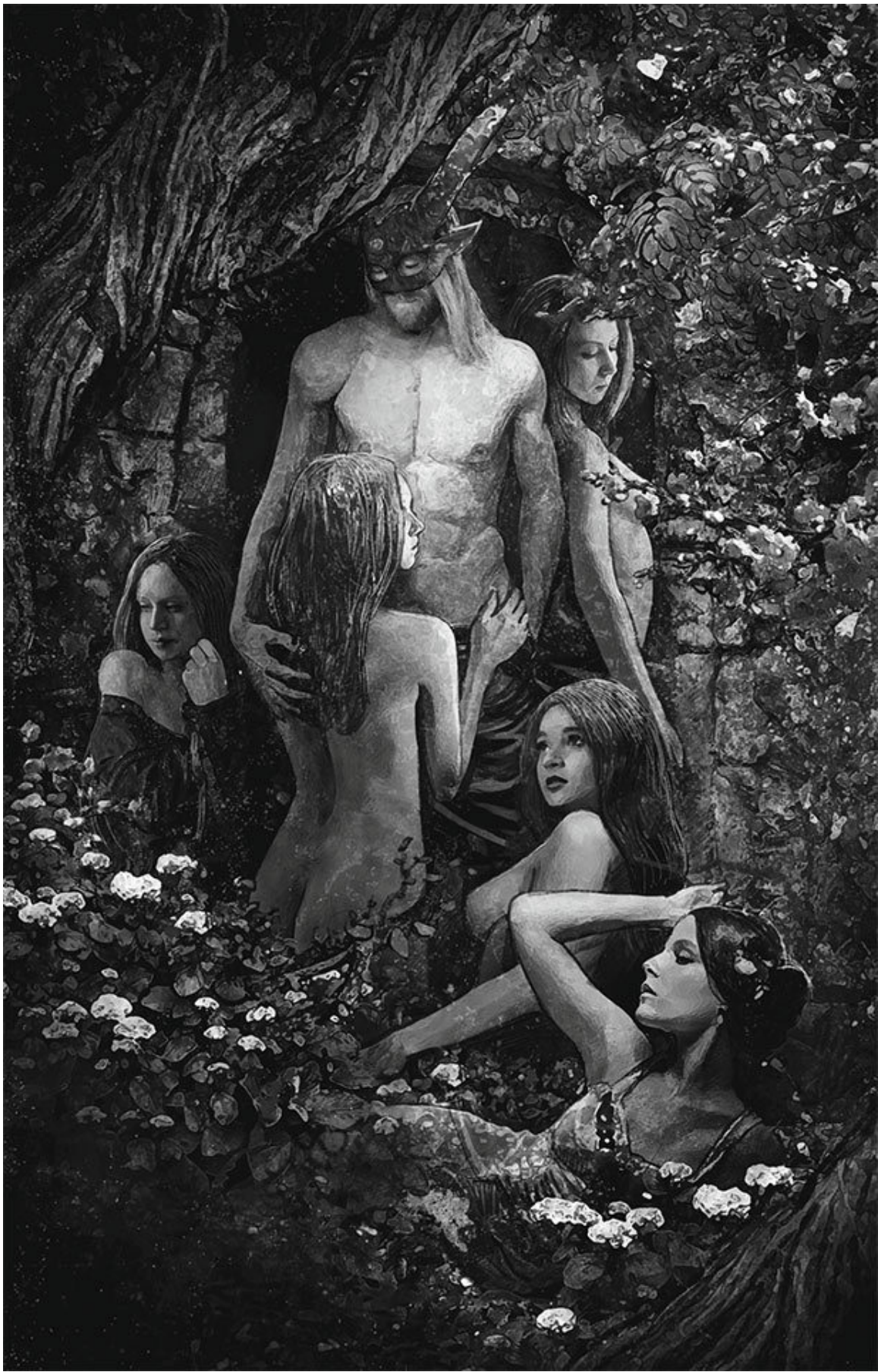
– Wpakowaliście się w niezłe kłopoty – stwierdziłem.

– Przecież ja przysięgam wam, że nic...

Uniosłem gwałtownie dłoń, by umilkł.

– Nieważne, jakie były wasze zamiary, i nieważne, jakie przyświecały wam cele. Ważne, jak zostaną odczytane. Ja mogę dać wiarę waszym zapewnieniom, że to tylko zabawa w żywy obraz, ale archidiakon nie uwierzy, bo po pierwsze, nie będzie chciał, a po drugie, uwierzenie nie będzie w jego interesie.

Już w starożytnym Rzymie znaleźliśmy podobne przebieranki. I to nie tylko podczas uczt czy zabaw w tworzenie żywych obrazów, ale choćby z okazji świąt takich jak Luperkalia. To w ich czasie młodzieńcy odziani w skórę kozła napadali przechodniów i uderzali ich rzemieniami wykonanymi ze zwierząt ofiarnych. I chociaż wielu chrześcijan widziało w tym oddawanie czci diabłu, to w Świętym Oficjum ośmielaliśmy się sądzić, że chłopcom bardziej chodziło o to, by się poawanturować, a jak się poszczęści, to dopaść jakieś dziewczę i spletać mu figła w koźlim stroju, i dzięki przebraniu pozostać nierozpoznanym na wypadek śledztwa.



– Co robić? Co więc robić? – Spoglądał na mnie, jakby wierzył, że oto nagle wymyślę cudowny sposób, by wszystko wróciło do tego miejsca, w którym było dawniej. – Wyciągnijcie mnie z tego, a zapamiętacie do końca życia moją hojność – obiecał żarliwie.

– Szszsz – uciszyłem go. – O tym w ogóle nie mówmy. Worek ze złotem nie tylko nie wyciągnie was z wielkiego bagna, ale jeszcze wepchnie was głębiej. Wy myślicie, że co obiecano oskarżycielom, jak nie to, że dostaną część skonfiskowanego wam majątku?

Zastanawiałem się przez chwilę.

– Gdzie macie ten strój satyra?

– W skrzyni w sypialni – odparł głucho.

Skinąłem głową.

– Czyli ludzie archidiakona znaleźli go w czasie przeszukania – rzekłem. – Bo to są idioci, ale nie należy się łudzić, że aż tacy idioci, żeby nie zajrzeć do skrzyni. Strój będzie potwierdzeniem dla zeznań kobiet. Aha, co wyście tam robili z tymi dziewczynami?

– No, jakże co? – zdziwił się.

– Oprócz cielesnego obcowania – odparłem. – Coś jeszcze się działo?

– Nie, nic się nie działo. Tylko łup-łup... – Bezwiednie uderzył kilka razy pięścią w otwartą dłoń.

– Łup-łup – powtórzyłem. – Archidiakon robi wam teraz takie łup-łup, że się nie pozbieracie. No dobrze. Kto o tym wiedział, co wyprawiacie?

Wzruszył ramionami.

– Nikt.

– Nikogo nie zapraszaliście?

– Nie. – Potrząsnął głową. – Po co? Dziewczynom całkiem sam wystarczałem, a i ja nie chciałbym widzieć, jak ktoś tam je dosiada...

– Przecież to są kurwy. Codziennie dosiada je kto inny.

Wzruszył ramionami.

– Ale nie wtedy, kiedy ja widzę – odparł.

No tak, rzeczywiście była w tym jakaś logika.

– A służba? – zapytałem.

– Dawałem im wolne.

– Czyli same dziewczyny doniosły – stwierdziłem. – Znęcaliście się nad nimi? Biliście je? Nie zapłaciliście? Czemu chcą was pogrążyć?

Obruszył się tak gwałtownie i tak naturalnie, że trudno było nie uwierzyć, iż jest to wzburzenie szczere.

– Co wy, mistrzu Madderdin! – zawołał. – Przecież chadzacie do tego samego burdelu, co ja. Skarżyła się na mnie któraś z dziewczyn kiedyś? Założę się, że nie...

To oczywiście o niczym nie świadczyło. Znałem wielu takich, którzy publicznie zachowywali się w sposób nienaganny, a kiedy znaleźli się poza zasięgiem ludzkich oczu, to wychodził z nich potwór i pastwili się nad najbliższymi. Nad służbą, nad żoną czy dziećmi, niekiedy nad starymi rodzicami... W tym wypadku jednak byłem skłonny wierzyć, że Zoll naprawdę nie zrobił niczego złego. Ale to wcale nie oznaczało, iż nie zawiódł czyichś nadziei.

– Obiecaliście coś, czego potem nie dotrzyмалиście? – spytałem.

Prychnął lekceważąco.

– Wiecie, dlaczego nigdy niczego nie obiecuję kobietom?

– Nie wiem, ale jestem pewny, że zaraz się dowiem – odparłem.

– Otóż dlatego, że jeśli nie dotrzymałbym obietnicy, to będzie wtedy żal, płacz, a może i niechęć. A z kolei jeśli bym dotrzymał, to będzie to spodziewane i oczywiste. Dlatego lepiej nic nie obiecywać, a jeśli jest się w dobrym nastroju, to zaskoczyć dziewczynę niespodzianką. Obiecujcie brylantowy pierścionek, a dajcie potem perłowy, to wywołacie rozczarowanie, płacz i gniew. Nie obiecujcie niczego i dajcie od razu pierścionek perłowy, a doczekacie się szczerze radosnych podziękowań.

– Widać, że przemawia przez was doświadczony praktyk – pochwalilem go i pomyślałem, że naprawdę najgorsze są zawiedzione nadzieje. Tyle że czasami wcale nie muszą być one wywołane obietnicami. Czasami mogą po prostu powstać w czyjejs imaginacji.

– Czy któraś z tych dziewcząt nie dawała przypadkiem do zrozumienia, że liczy na coś więcej niż łupanie rusałki przez satyra? – spytałem.

Powoli pokiwał głową.

– Myślałem, że to takie tylko gadanie – rzekł po chwili.

– Aha. A jakie dokładnie było to gadanie?

– Że mogłaby się opiekować mną i domem. Że mężczyzna potrzebuje mieć kobietę na co dzień, żeby się nim zajęła, że ten dom wymaga kobiecej ręki. I takie tam różności. Same bzdury.

– Wyśmialiście ją?

Pokręcił głową.

– Nie. Po co? Była całkiem miłutka. Dlaczego miałem jej sprawiać przykrość szyderstwami? Nie wiecie, że kobiety wykazują większe oddanie i ogromną chęć przypodobania się wam, kiedy jesteście dla nich uprzejmi?

– Czyli w jaki sposób jej odpowiadaliście, jeśli w ogóle?

– Chyba nijak – odparł po namyśle. – Niech sobie tam dziewczyna gada, co jej ślina na język przyniesie, a jak nie chcecie jej już więcej słuchać, to zacznijcie ją całować, powiedzcie jej, że jest piękna, i dajcie jej słodkiego wina. To zawsze pomaga na kobiecą gadaninę.

Uśmiechnąłem się lekko, gdyż z własnego doświadczenia wiedziałem, że tak naprawdę nie zawsze ten sposób pomaga. A być może nawet lepiej było kobiecie gadanie traktować jak odgłos natury, niczym szum morza lub podmuchy wichury za oknem. Czasami się tylko uśmiechnąć, czasami przytaknąć, lecz tak naprawdę myślami ulecieć do własnego świata.

– Zawsze zapraszaliście te same dziewczyny?

– Było ich w sumie sześć – odparł. – Ale na jednym spotkaniu nie więcej niż trzy – dodał. – Bo widzicie, nawet w łóżu trzeba unikać zbędnego tłoku. Z czterema to już nawet nie bardzo wiadomo, co robić, a z trzema jakoś wszystko można dopasować.

– Cóż, praktyka czyni mistrza. Jakże się nazywała ta, która szczególnie was polubiła?

– Mówią na nią Finka – odparł. – Gładka Finka.

– Finka – powtórzyłem. – Dlaczego Finka?

– Rudolfina – odparł ze śmiechem. – Ależ jej nadali imię, nic dziwnego, że woli, aby ją wołać Finka.

Imć Zoll, jak widać, odzyskiwał dobry humor pod wpływem wspomnień o figlach z dziwkami. No cóż, postanowiłem go na razie

nie ganić. Niech się śmieje, aby myślał rozsądnie. Może to i lepiej, że nie pogrążył się w jakimś bezrozumnym stuporze wywołanym poczuciem rozpacz i beznadziei?

– A czemu gładka? – dopytałem.

Roześmiał się znowu.

– Bo dokładnie goli włosy na całym ciele – odparł. – No, oprócz głowy, rzecz jasna – zastrzegł od razu. – Ale tam, wiecie gdzie... – Podniósł znacząco palec. – Jest gładka niczym opuszka palca.

– Ach tak – rzekłem. – Dziwny obyczaj. Bezwstydny. Choć powiem wam, że znany w czasach rzymskich, gdzie włosy rosnące na ciele uważano za odrażające, a tych, którzy ich się nie pozbywali, miano za zwykłych prostaków, barbarzyńców i chamów.

Spojrzał na mnie ciężkim wzrokiem, a ja natychmiast przypomniałem sobie, co mówił o sobie i o tym, że do zabaw w satyra nie musiał nawet zakładać futrzanego kubraka.

– Czasy się zmieniają, rzecz jasna – dopowiedziałem szybko. – Mody i obyczaje również.

– Wygolony mężczyzna wyglądałby niczym ladacznica przygotowana dla uciechy sodomitów – stwierdził zgryźliwie Zoll.

Uniosłem dłoń.

– Dość, panie rajco, o obyczajach i modzie. Najważniejsze, że wiem już, czego się spodziewać na waszym przesłuchaniu.

Poruszył się niespokojnie.

– Będą mnie torturować?

Pokręciłem głową.

– Nie potrafię wam teraz odpowiedzieć na to pytanie – rzekłem. – Postaram się nie dopuścić do tak nieszczęśliwego obrotu spraw, ale nie mogę wam niczego zagwarantować.

Westchnął ciężko i zacisnął dłonie w pięści.

– Co mam robić?

– Wszystkiemu zaprzeczać – odparłem stanowczo. – Owszem, przyznać się do znajomości z dziewczętami, przyznać się do figli z nimi, ale za nic w świecie nie przyznawać się do przebierania za satyra.

– A co ze strojem, który znaleźli w skrzyni? – dopytał ponuro.

– Cholerne rogi – burknąłem. – Gdyby nie były połączone z uprzężą, to powiedzielibyście, że to rogi jednorożca, którymi sprawdzacie, czy nie zatruto wam napojów i potraw.

– A to prawda jest? – zainteresował się.

– Że ludzie go stosują, prawda. Że na cokolwiek pomaga, bzdura.

– No to co mam robić?

Zastanawiałem się przez chwilę.

– Powiecie, że to część kostiumu diabła, w którym mieliście wystąpić na jasełkach przygotowywanych przez wasz cech, a ja zajmę się tym, żeby wasi towarzysze w razie czego potwierdzili tę informację.

Zapatrzył się we mnie szeroko otwartymi oczami.

– Na jasełkach? – zapytał ze zdumieniem.

– A czemu nie? – Wzruszyłem ramionami. – W Koblencji co roku wystawiane są jasełka, i to nie z figurami, ale z żywymi ludźmi wędrującymi po ulicach. Jest i święta rodzina, i trzech królów, i aniołowie, i pasterze, ale są też diabły oraz król Herod.

– Wolałbym grać Świętego Józefa – rzekł nachmurzony.

Nachyliłem się do niego.

– Z rogami i kopytami? – spytałem.

Wzdrygnął się.

– Uwierzą mi?

– Oczywiście, że nie – parsknąłem. – Przecież nam nie chodzi o to, żeby ktokolwiek wam uwierzył. Chodzi tylko o to, żebyśmy przeciągnęli przesłuchanie, jak najdłużej się da, i spróbowali nie dopuścić do interwencji z użyciem narzędzi.

– Spróbowali – powtórzył moje słowa z przekąsem.

Rozłożyłem ręce.

– Zrobię, co w mojej mocy, żeby was nie torturowano – obiecałem.

– Ale w razie gdyby mi się nie udało, po prostu zaciśnijcie zęby i wytrzymajcie.

– Zaciśnijcie zęby – warknął. – Łatwo wam tak radzić, bo nie wam będą szarpać ciało rozpalonymi kleszczami.

– Ludzie nie takie rzeczy wytrzymują – pocieszyłem go. – I to wcale nie na torturach. Wiecie, że medycy na polu bitwy odpilowują

rannym poszarpane kończyny, żeby nie zaraziły zgnilizną całego ciała? I jakoś ci żołnierze podobną operację cierpliwie znoszą, gdyż tak silna płonie w nich wola życia oraz przetrwania. Więc i wy dacie radę, jeśli przyjdzie co do czego.

Wysłuchał mojej tyrady z wyrazem twarzy świadczącym o całkowitym braku zrozumienia dla argumentów, których użyłem. Z doświadczenia wiedziałem, że naprawdę można wytrzymać tortury i nie przyznać się do winy. Oczywiście: do pewnego czasu. Ale w naszym przypadku właśnie czas był najważniejszy. Poza tym człowiekowi trzeba dać nadzieję. Jeśli wierzy w ratunek, w uwolnienie, to jest w stanie więcej wytrzymać. Dlatego pierwsze, co robili inkwizytorzy, zabierając się do przesłuchania, to zabicie w oskarżonym jakichkolwiek widoków na pomyślny obrót spraw w bliższej i dalszej przyszłości, jeżeli ów się nie przyzna do winy. I roztoczenie przed nim przyjemnych wizji, które zostaną urzeczywistnione po wykazaniu przez niego skruchy. Cóż, tak jak to pierwsze było prawdą, tak to drugie było, rzecz jasna, jedynie skuteczną techniką przesłuchiwania. Chociaż na dobrą sprawę można uznać, że brak tortur też jest całkiem przyjemną wizją dla człowieka katowanego od wielu dni. A rzeczywiście oskarżonych, którzy przyznali się do winy, już nie torturowano. Bo i po co?

– Gdyby doszło do najgorszego, postaram się również, żeby ściśle stosowano procedury, według których przesłuchiwanego wolno poddawać mękom nie dłużej niż godzinę dziennie.

– A to żeście mnie pocieszyli – burknął.

Potem spojrzał na mnie badawczo.

– A wy sami stosujecie się do tych procedur?

– Oczywiście, że nie – odparłem. – Gdyż ta teoria tylko utrudnia praktykę przesłuchania. Ale w waszym wypadku zmuszę archidiakona, podkreślam: jeśli w ogóle dojdzie do najgorszego, żeby przestrzegał procedur co do joty.

Potem już pożegnaliśmy się, bo nie było nic do dodania, a ja nie mogłem ani szczególnie Zolla pocieszyć, ani obiecać mu nic pewnego. Miałem tylko nadzieję, iż ten silny jak tur mężczyzna przetrzyma tortury, a przynajmniej przetrzyma je przez jakiś czas.

Chociaż powiem wam, mili moi, że z inkwizytorskiego doświadczenia wiedziałem, iż czasami niezłomnym duchem i żelaznym hartem popisywali się więźniowie, za których nikt nie dałby nawet miedziaka, a najwięksi, najtwardsi, zdawałoby się, hultaje zaczęli rzewnie płakać i rozpaczać, kiedy tylko okazano im narzędzia. Miałem nadzieję, iż rajca Zoll nie należy do tego drugiego gatunku ludzi, i miałem również nadzieję, że zdołam go wydobyć z opałów. A jeśli dojdzie do najgorszego, cóż... wtedy lepiej, żeby umarł, niż żeby zaczął składać zeznania obciążające innych zacnych mieszczan.



Po odwiedzinach u Zolla i zdaniu raportu towarzyszom z tego, co usłyszałem (Ludwik aż złapał się za głowę, kiedy usłyszał o satyrowym przebraniu, a Heinrich odplunął na bok i rzekł posepnie: „No to już po nim”), postanowiłem, że czas chociaż trochę upiększyć sobie ten niemiły na razie dzień, i zdecydowałem się zająć do mojej kochanki. Uprzedziłem ją więc przez pacholka, by mnie oczekiwała. Moja śliczna, wesoła wdówka lubiła czasem mnie zaskakiwać, więc tym razem otworzyła mi drzwi w sobolowym futrze sięgającym aż po kostki. Jej łabędzia szyja ginęła w obfitym kołnierzu, a drobne dłonie chowały się w szerokich rękawach. Niemniej choć wyglądała trochę jak karzełek, który założył na siebie strój olbrzyma, to trzeba przyznać, iż była karzełkiem pełnym wdzięku i emanującym dziewczęcym urokiem. A ponieważ miała bosc stopy, domyśliłem się, że najprawdopodobniej pod futrem jest również całkiem naga. Zresztą zważywszy na panujący upał i spiekotę, zapewne życzyłaby sobie jak najszybciej okrycie z siebie zrzucić. Najpierw jednak okręciła się jak fryga, a futro zatoczyło wraz z nią krąg i dopiero potem zgrabnym ruchem zrzuciła odzienie na podłogę, stając w olśniewającej bieli ciała, niczym Afrodyta wyłaniająca się jednak nie ze śródziemnomorskiej muszli, ale ze

wschodnich soboli. Chwyciłem ją na ręce, by zanieść do sypialni, ale objęła mnie silnie ramionami.



– Nie, nie, tutaj! – zawołała nagle.

– A Kaśka? – zapytałem, myśląc o służącej, bo nie bardzo miałem ochotę, żeby jakaś kaszłaca dziewczka przyglądała się naszym zabawom.

– A, umarła dwa dni temu – odpowiedziała moja kochanka niefrasobliwie. – Wczoraj ją zabrali i jeszcze musiałam zapłacić za przewóz i pochówek, skaranie Boże...

Obejmowała mnie nogami, lewym ramieniem ścisnęła mnie za kark, a prawą ręką pospiesznie manipulowała przy moim pasie.

– I gdzie ja teraz znajdę posługaczkę? – dyszała mi prosto w ucho. – No puszczaj! – syknęła, ale nie do mnie, tylko do sprzączki, z którą nie mogła sobie poradzić.

Pomogłem jej, a ona wtedy napała na mnie i ścisnęła mnie udami jeszcze mocniej.

– No to misio w jaskini – obwieściła z zadowoleniem i zakołysała się.

Ścisnąłem ją za pośladki.

– Niedźwiedzisko – poprawiłem ją. – I nie w jaskini, a zaledwie w norce.

Zachichotała.

– Ruszaj więc, niedźwiedziu – rozkazała. – Tylko nie śpiesz się nigdzie.

Zanim znaleźliśmy znowu okazję do pogawędki, minęło na tyle dużo czasu, w którym działo się na tyle wiele, że oboje byliśmy, jak sądzę, więcej niż zadowoleni z mających miejsce zdarzeń. Leżeliśmy oboje na podłodze, spoceni, zmęczeni i na rozłożonym sobolowym futrze. Moja kochanka oddychała z wysiłkiem. Wreszcie otrząsnęła się, odgarnęła włosy z czoła i podparła się na łokciu, spoglądając mi prosto w twarz.

– Powiedz no mi, co to za dziewczyna z tobą mieszka? – zapytała chłodnym tonem.

No proszę, a więc pomimo że mieszkańcy miasta głównie zajęci byli epidemią oraz przybyciem orszaku archidiakona, to jednak znaleźli na tyle dużo czasu, by plotkować o tym, co robi wasz pokorny i uniżony sługa. A plotki zapewne były tłuste, bo ton głosu

mojej towarzyszki nie zostawiał cienia wątpliwości co do tego, jak bardzo podoba jej się obecność młodej i pięknej dziewczyny w siedzibie Inkwizytorium.

– Mówią, że jest chuda i nie ma wcale piersi – dodała moja kochanka ze złośliwym lekceważeniem. – A przecież ty nie lubisz takich, co?

– Ta dziewczyna nie mieszka ze mną – mocno zaakcentowałem dwa ostatnie słowa. – Ona tylko jest pod ochroną Inkwizytorium.

– Aha, już ja sobie wyobrażam, jak ty ją chronisz. Dobra chociaż jest? Daje ci lepiej i więcej niż ja?

– Zmiłuj się. – Złożyłem dłonie. – Przysięgam, że nawet jej nie dotknąłem.

Nie wiem, czy mi uwierzyła, ale zdecydowałem się szybciotko zastosować światłe rady Zolla. A ponieważ nie miałem przy sobie kieliszka ze słodkim winem, tylko przywarłem ustami do jej uszka i wyszeptalem:

– Jesteś taka piękna, że musiałby być głupi, kto chciałby inną!

No i proszę bardzo: pomogło. Zmusiło mnie co prawda do szybkiego uczestniczenia w dalszych zmaganiach na sobolowym futrze, ale za to nie wróciliśmy już do tematu dziewczyny mieszkającej w biurze Inkwizytorium. Trzeba przyznać, że jednak rozumny był ten rajca Zoll i przydały mi się na coś jego sposoby!



Rozdział szesnasty

Śniadanie w Pałacu Małp



Leniwie popijałem słaby jabłecznik, zastanawiając się, czy po obfitym śniadaniu powinienem raczej zabrać się do pracy, czy raczej odpocząć, kiedy do refektarza wszedł Schoen i spojrzał na mnie z miną na poły zagadkową, na poły rozbawioną.

– Czeka cię wielka łaska, mój zacny Mordimerze – oznajmił z patosem.

– No coś takiego – odparłem. – Aż drzę z radosnego niepokoju.

Mój towarzysz sięgnął za pazuchę, wyciągnął dużą, białą, zalakowaną kopertę przewiązaną czerwoną wstążką i powąchał ją, teatralnie pociągając nosem.

– Konwalie – stwierdził z udawanym zachwytem.

W naszym błogosławionym Cesarstwie przesyłanie sobie zatrutych liścików nie było co prawda tak modne jak w Bizancjum czy perskim imperium, niemniej obyczaj ten rozprzestrzenił się już i świetnie zadomowił w Italii. Nie sądziłem wprawdzie, by Cassi chciał mnie otruć, lecz ponieważ inkwizytorów powinna cechować, kiedy trzeba, odwaga, a kiedy trzeba, rozwaga, kopertę otworzyłem bardzo ostrożnie i równie ostrożnie, nie dotykając papieru gołymi palcami, rozpostarłem pismo. Przebiegłem wzrokiem jego treść.

– Bardzo uprzejme zaproszenie na jutrzejsze śniadanie – oznajmiłem. – Archidiakon pisze, że będzie uszczęśliwiony, mogąc mnie poznać. – Podniosłem oczy na Ludwika i uśmiechnąłem się do niego. – Czyż to nie urocze?

– A jakie nobilitujące – dodał z równą powagą. – Czy ja także zostałem zaproszony?

– Nie. Co nie przeszkadza, że możesz czuć się zaproszony przeze mnie. Obaj, i ty, i Heinrich, będziecie mi towarzyszyć – zdecydowałem.

– Jeśli Cassi zabije nas na tym śniadaniu, to nie będzie już inkwizytorów w Weilburgu – zauważył Schoen.

Skinąłem głową, lecz nie zamierzałem zmieniać mojego postanowienia, gdyż jeśli Cassi chciałby nas zabić, zrobiłby to tak czy inaczej. Oczywiście, że wizyta trzech inkwizytorów naraz tylko ułatwiłaby mu zadanie, ale umówmy się, że przy tej przewadze siły, jaką dysponował archidiakon, przed napaścią nie chroniło nas nic poza powagą naszego urzędu. Poza starym powiedzeniem, które mówiło: „Kiedy ginie inkwizytor, czarne płaszcze ruszają do tańca”. Bo Święte Officjum było znane z tego, że zawsze mści się za krzywdę swoich funkcjonariuszy. A tę zemstę realizuje nie tylko bezwzględnie, lecz również z przerażającym i odstrasającym okrucieństwem. Pewnie dlatego tak rzadko ginęli inkwizytorzy...

– Nie zabije nas – powiedziałem. – Bo chyba nie jest aż tak głupi. Sądzę, że zechce nas poznać i zobaczyć, czego się może po nas spodziewać. I to dziwne, że zdecydował się na wysłanie zaproszenia tak późno.

– Zapewne zaproponuje ci niezłą sumkę, żebyśmy nie wtykali nosa w jego sprawy – zauważył Ludwik.

Skinąłem głową po zastanowieniu.

– Być może – odparłem.

Wszyscy ci, którzy pragną przekupić nas, inkwizytorów, nie zdają sobie sprawy, iż zostaliśmy już kupieni dawno temu, pomyślałem. Ale nie przez ludzi, lecz przez Boga Wszechmogącego. To Jego jesteśmy sługami i najemnikami. A naszą zapłatą nie jest lafa

w świecie doczesnym, lecz radosna nadzieja na wieczne życie w Jego światłości.

– A być może nie – dodałem.

Do refektarza wszedł Heinrich i przywitał się z nami. Od razu wpadło mu w oko pismo leżące na blacie stołu.

– Archidiakon Cassi – stwierdził, kiedy tylko spojrział na lakową pieczęć.

– Właśnie tak – odparłem.

– Mogę zerknąć?

Zaprosiłem go do lektury gestem dłoni, a kiedy skończył czytać i odłożył papier na blat stołu, powiedziałem:

– Wydaje mi się, że jeden z was mnie zdradzi.

Obaj podnieśli na mnie wzrok. Schoen uśmiechnął się i sięgnął po kromkę chleba i miód.

– Czy to będę ja? – spytał.

Skinąłem głową.

– Bądź jednak bardzo ostrożny.

Roześmiał się.

– Będę dawał dwuznaczne sygnały, robił nieśmiałą nadzieję, ukazywał mgliste widoki na to, że być może nastąpi sposobność... Będę też wyrażał obawy i zaniepokojenie tym, że sprzyjanie biskupowi i Cassiemu może zaszkodzić mojej pozycji inkwizytora...

– Bardzo słusznie. – Skinąłem głową. – Człowiek, który nie daje się kupić, budzi gniew lub obojętność, lecz taki, który wydaje się zbyt łatwy do pozyskania, prowokuje zaniepokojenie.

– O, wierz mi, że nie jestem i nie będę łatwy – zapewnił Ludwik.

– Cassi nie jest głupi – dodałem jeszcze ostrzegawczym tonem. – Niech was nie zmyli, drodzy towarzysze, fakt, że tak łatwo zakpiliśmy sobie z niego. Człowiek, który w Rzymie, w tym siedlisku lisów, żmij i robactwa, został archidiakonem, musi mieć coś w głowie. Musi mieć jakieś inne atuty poza faktem, że jest synem biskupa, pochodzi z ustosunkowanej rzymskiej rodziny i ma włosy piękne niczym dziewczyna.

– Mordimerze, naprawdę nie musisz nas straszyć – rzekł Schoen. – Wierz mi, że boimy się całkiem wystarczająco.

– Bardzo dobrze – pochwaliłem go, bo wszyscy wiedzieliśmy, że odwaga jest piękna i wzniosła w rycerskich eposach, ale w prawdziwym życiu należy szafować nią bardzo rozważnie. I nigdy nie mylić jej z lekceważeniem bądź głupotą. – Zresztą być może nasze podejrzania i rozważania idą zbyt daleko – dodałem. – A Cassi chce zachować jedynie pozory. W końcu mamy współpracować przy śledztwie – dokończyłem z przekąsem.

– Jesteśmy mu potrzebni, żeby uwiarygodnić proces? – zapytał z wahaniem Ludwik.

– Albo jesteśmy niepotrzebni, bo mu przeszkadzamy w procesie – rzucił Heinrich.

– Może nas po prostu otruć na tym śniadaniu – zauważył Schoen. – Podać truciznę, która zacznie działać dopiero po kilku godzinach od naszego wyjścia, a potem powiedzieć, że biedni inkwizytorzy umarli na kaszlicę.

– Cassi wie, jakie przechodzimy szkolenie – nie zgodziłem się z nim. – Gdybyśmy wykryli truciznę w naszym jedzeniu czy napoju i publicznie mu to zarzucili, byłby to dla niego ogromny dyshonor. – Zawiesiłem głos i potrząsnąłem głową. – Nie robi tego.

My, inkwizytorzy, jesteśmy szkoleni w wykrywaniu trucizn, a nasza biegłość w tej mierze znacznie przewyższa mistrzostwo najzdolniejszych perfumiarzy do rozpoznawania składu pachnideł. A przecież oprócz powonienia posługujemy się również zmysłem smaku. Ale na świecie jest zbyt wiele trucizn i ciągle powstają nowe, coraz doskonalsze, abyśmy czuli się całkowicie pewnie. Zwłaszcza obcując z kimś takim jak archidiakon Cassi – jadowitą żmiją prosto z plugawego watykańskiego gniazda.

– A co my byśmy zrobili na miejscu archidiakona? – spytał Ludwik.

Potrząsnąłem głową.

– Ja nie zrobiłbym nic. Przyjrzałbym się nam i próbował ocenić, jakimi jesteśmy ludźmi i czego się mogę po nas spodziewać.

– Tak samo i ja – skinął głową Heinrich. – Ale my to my, a diabli wiedzą, co siedzi w głowie takiej watykańskiej żmii!

– A ty, Ludwiku? – Obróciłem wzrok na Schoena.

– Sądzę to samo, co wy. Nawet taki człowiek jak Cassi wie – nasz towarzysz mocno stuknął kostkami dłoni w stół – że inkwizytorów nie zabija się bezkarnie. Zwłaszcza kiedy przybyło się z Watykanu.

Potem milczał chwilę.

– Co wcale nie oznacza, że nie spróbuje nas zabić, kiedy zaczniemy mu bardzo przeszkadzać – dodał. – A nasłani przez niego zabójcy upozorują naszą śmierć na wypadek...

– ...albo na pijacką zwadę czy uliczny rabunek – dorzucił Heider.

Myślałem przez chwilę.

– Starajcie się więc ograniczyć wyjścia z Inkwizytorium do nieodzownych spraw służbowych – poleciłem. – Zawsze zakładajcie oficjalny strój inkwizytorów i nie włóczcie się nigdzie samotnie.

– Ugotujemy się – burknął Heinrich, myśląc o naszych solidnych kaftanach i płaszczach.

– Warto jednak przecierpieć – westchnął Ludwik. – Niech to wszystko się wreszcie skończy.

Wiedziałem, że w tych słowach jest marzenie nie tyle o końcu upałów, ile o powrocie naszych przełożonych. Nie było w tej tęsknocie niczego mi ujmującego, bo sam wiedziałem, że jestem zaledwie pionkiem, który ku własnemu zdumieniu został w błyskawicznym tempie przeniesiony ze spokojnego pola na szachownicy na samą ósmą linię. I teraz wszystkie wrogie figury myślały o tym, jak go zbić.

– Ludzie się już jakby przyzwyczaili – zauważył Heider. – I do spiekoty, i do kaszlicy. Boją się, ale... – Wzruszył ramionami. – Jakby pobliska śmierć stała się takim elementem, który nie wywołuje gniewu czy strachu, lecz rezygnację. Ktoś się z kimś pobił, ktoś się upił, a kto inny umarł... Ot, dzień jak co dzień...

– Dobrze i to – odparłem.

– To pozorny spokój – nie zgodził się Ludwik. – Udało nam się przekonać Speichela, żeby wygłosił swoje wiekopomne kazanie, udało nam się porozmawiać z innymi kaznodziejami, żeby zalecali ludziom wytrwałość i szacunek do bliźnich... Wszystko prawda... Ale prawdą też jest, że wszystko może runąć w jednej chwili.

Do refektarza wsunęła się Kinga i chciała przemknąć przy ścianie, ale obróciłem na nią wzrok.

– Nie wstydź się nas. Czego potrzebujesz? – zapytałem.

– Nie chciałam przeszkadzać – wytłumaczyła cicho. – Przyszłam tylko po chleb i miód, bo mały prosił..

– Jak ten dzieciak w ogóle ma na imię? – zainteresował się Heinrich.

– Kristian – odparła Kinga.

– Dobre imię – pochwalił mój towarzysz. – Prawdziwie chrześcijańskie.

– Idź do Helci, niech ci da, czego tylko potrzebujesz – powiedziałem.

– Dziękuję, mistrzu inkwizytorze. – Dygnęła i przemknęła w stronę kuchni.

– Co ona taka dzisiaj cicha i grzeczna? – zdziwił się Ludwik.

– A bo to nadążysz za kobietami? – burknął Heinrich. – Czemu jest dziś taka, a nie inna, a jutro znowuż całkiem odmienna? Nie na nasze myślenie te sprawy. – Pokręcił głową.

– Jaka ta Kinga jest, taka jest, ale trzeba przyznać, że jest piękna – powiedział Schoen bardzo cichutko, żeby go przypadkiem nie usłyszano w kuchni. – Będzie miał z niej przyszły mąż wielki pożytek.

– O tak – uśmiechnął się Heinrich bardzo szeroko. – Żenić może bym się nie chciał, ale kilka nocy poślubnych albo i miodowy miesiąc tobym z nią spędził, i daję wam słowo – wzniosł wysoko palec – mało bym przez ten miesiąc z łóżka wychodził.

Obaj z Ludwikiem uśmiechnęliśmy się na to wyznanie, bo jak na Heidera, było ono niemal sentymentalnie miłosne.

– A Mordimerowi i tak nie w głowie byłaby Kinga, bo spotyka się z tą młodą, śliczniutką wdówką – zauważył Ludwik.

– Mój przyjacielu – rzekłem – to, że żubr je śniadanie z jednego paśnika, nie oznacza, że nie ma ochoty popróbować obiadu na łące obok.

– Widziałem, widziałem tę twoją laleczkę – odezwał się Heinrich z uznaniem. – Powiem wam, że na takim sienniku to i ja bym się

z wielką chęcią powylegiwał.

– Podobno dziewczka aż się pali, żeby ślubować Mordimerowi przed ołtarzem. – Ludwik spojrział na mnie kpiąco.

Wzruszyłem ramionami.

– Nie wiem, skąd pochodzą te fascynujące doniesienia, ale zapewniam was, że żeniaczka mi nie w głowie – rzekłem. – Bo i pomyślcie: jakiż konik, zamiast radośnie brykać na swobodzie, dałby się uwiązać do jednego drzewa, gdzie spędziłby ponurą przyszłość? Po co to komu? Żona jest dobra, zgodzę się, ale tylko wtedy, kiedy cudza i chętna...

Inkwizytorzy mogli wchodzić w związki małżeńskie, jeśli wyrazili taką ochotę, ale rzadko kiedy udawało im się wtedy zajmować wysokie czy odpowiedzialne stanowiska w Świętym Officjum. Nasi zwierzchnicy sądzili, pewnie słusznie, iż całkowite poświęcenie profesji oraz jej wymaganiom jest tą cechą funkcjonariusza, która gwarantuje, iż w chwili próby ów nie zawaha się zaryzykować życia w obronie świętej wiary. Poza tym rodzina mogła przecież stać się słabością, czułym punktem, łatwym obiektem i powodem szantażu, mającym służyć Bożemu ściągnąć na drogę przestępstwa i nieprawości. Inkwizytorzy musieli być zbudowani ze stali i granitu, a obawiać się powinni nie o siebie i nie o innych ludzi, ale o los naszej świętej religii, dla której mieli nie wahać się poświęcić wszelkich doczesnych dóbr, łącznie z życiem. Wielu funkcjonariuszy Świętego Officjum starało się łączyć ogień z wodą w ten sposób, że mieli stałe kochanki, a nawet dzieci, nie wchodząc jednak w sakramentalne związki małżeńskie. Oczywiście takie zachowanie również tolerowano, ale byłby bardzo naiwny ktoś, kto sądziłby, iż o nim nie wiadomo i nie wyciągano wniosków. A poza tym najchętniej było przyjmowane, kiedy inkwizytorzy – tak jak my – stacjonowali w swojej kwaterze. Posiadaliśmy przecież do dyspozycji dużą kamienicę, każdy z nas mieszkał w wygodnym, starannie urządzonej pokoju, korzystaliśmy z usług gospodyni troszczącej się o przygotowywanie posiłków, wynajmowaliśmy służbę zajmującą się utrzymaniem porządku. Mieliliśmy też na miejscu bibliotekę, dostęp do ważnych dokumentów, no i co ważne, wystarczyło tylko

zejść po schodach do piwnic, by znaleźć się w pieczołowicie urządzonym pokoju przesłuchań, obok którego znajdowały się cele dla więźniów. Nasz przełożony kazał te pomieszczenia starannie wygłuszyć, by wrzaski przesłuchiwanym nie przeszkadzały inkwizytorom będącym na piętrze i zajmującym się innymi sprawami.

– Figle z cudzą żoną mogą być kłopotliwe, jeśli mąż jest bardzo zazdrosny – zauważył Heinrich.

– O, nie zawsze tak bywa – machnął ręką Ludwik. – Miałem kiedyś znajomka, do którego żony zachodziłem, kiedy on szedł zabawić się z kochanką. – Zaśmiał się. – Więc kiedy wszyscy o wszystkim wiedzieli, to i żadnej krzywdy nie było. I tylko rano we czwórkę spotykaliśmy się na śniadaniu, żeby wzmocnić nadwątlone w nocy siły.

– Poza tym cudza żona nie chce, żebyś się z nią ożenił, a panny czy wdowy tylko przebierają nogami, żeby nas, biedaczków, otumanić i usidlić – stwierdziłem.

– O, to prawda, to prawda – przyznał posepnie Heinrich i chyba z tonu jego głosu rozpoznałem, że miał w życiu doświadczenia, które ową posepność przywołały.

– Ach, Mordimerze. – Schoen obrócił na mnie wzrok. – Powiedz: ile lat ma ta twoja przyjaciółeczka?

– Dziewiętnaście – odparłem.

– Piękny wiek! – Heinrich aż klasnął. – I pomyśleć, że już zdążyła zostać wdową po majątnym, starym mężu. Wielkie szczęście tak wesoło zacząć życie!

– A na co ten stary umarł? – zagadnął Ludwik.

Uśmiechnąłem się szeroko.

– Pewnie najzabawniej byłoby, gdybym wam opowiedział, że tak na niej harcowałem, że serce pękło mu z wysiłku – rzekłem. – Ale prawda jest dużo bardziej zwyczajna. To był nie lada żarłok, więc kiedyś jadł tak zachłannie i pospiesznie, że zadławił się kością na śmierć. Ot i cała historia.

Moja kochanka opowiadała mi o tym zdarzeniu pewnego wieczoru, kiedy byliśmy już po dwóch butelkach wina, i tak się przy

tym śmiała, że aż spadła z łóżka.

„Wiem, że nie powinno mnie to bawić” – mówiła potem ze smutną minką, skruszonym głosem, ale temu żalowi zaprzeczało spojrzenie roziskrzone wesołością. „Co poradzę, że on tak uciesznie wyglądał? Cały czerwony, z wytrzeszczonymi oczami, najpierw charczał, a potem zaczął się kręcić jak fryga, jakby tak sobie dziwnie tańcował...” – nie dokończyła, bo znowu zaczęła się śmiać tak, że aż się popłakała i ocierała chusteczką twarz, śmiejąc się i płacząc jednocześnie.

– Oto dobitny przykład, jak wielkim grzechem jest nieumiarkowanie – stwierdził Ludwik bardzo poważnie i znacząco uniósł dłoń. – Bo gdyby ów mąż jadał skromne posiłki i czynił to w sposób godny cywilizowanego człowieka, to do dzisiaj cieszyłby się wdziękami młodej żonki i majątkiem. A tak na co mu przyszło? Ot, gnije kilka stóp pod ziemią, a żonka ochoczo rozkłada nogi przed innym.

Pokiwałem głową.

– Lecz ponieważ ja na tym zdarzeniu skorzystałem co się zowie, wybacz mi, jednak w tym wypadku będę zdecydowanym zwolennikiem nieumiarkowania – rzekłem.

– Zgadza się z Mordimerem! – zakrzyknął Heider.

– Co jest nieszczęściem dla jednego, łatwo może stać się szczęsnym obrotem fortuny dla drugiego – zauważył sentencjonalnie Ludwik.

Chwilę jeszcze tak sobie gawędziliśmy, po czym rozeszliśmy się do własnych obowiązków, a niestety, trochę ich się zbierało każdego dnia. I chociaż nie była to typowa inkwizytorska praca, to przecież musieliśmy ją wykonywać dla dobra zarówno Świętego Oficjum, jak i miasta. Bo tak to już jest, że nadzwyczajne sytuacje zmuszają ludzi do nadzwyczajnych działań. I teraz w Weilburgu inkwizytorzy, zamiast zajmować się ściganiem heretyków, wiedźm i czarnoksiężników oraz badaniem demonicznych spisków, przede wszystkim dbali o to, by w mieście nie wybuchł bunt. Chociaż oczywiście, jak już wcześniej wspominałem, również pilnie śledziliśmy, kto w jaki sposób zachowuje się w tym trudnym czasie.

Bo już niedługo wszystko zostanie policzone, a rachunki zostaną wystawione. I wiedziałem, że niektórym trudno je będzie płacić.



Zajęty przez archidiakona Pałac Małp położony był niedaleko południowych murów, otoczony pięknym ogrodem i z widokiem na zakole rzeki. Pałac Małp nosił tak dziwne miano, gdyż wiele lat temu należał do przebogatego florentyńskiego kupca, który urządził w parku menażerię, sprowadzając z Azji oraz Afryki różne gatunki małp. Jak słyszałem, chętnie te zwierzęta oglądano, a i one całkiem przyzwyczały się do ludzi. Pewnego jednak dnia florentyński kupiec oszalał, wszystkie swoje małpy uznał za demony i kazał je spalić na kilku wielkich stosach. Przy okazji tego małpiego autodafe udało mu się puścić z dymem niemal cały pałacowy ogród oraz stajnie i wozownię. Aresztowano go na rozkaz Świętego Officjum i spalono po krótkim procesie, w którym przyznał się do konszachtów z demonami i chęci wyszydzenia naszej świętej wiary. Można więc powiedzieć, że podzielił los swojej menażerii, chociaż przynajmniej on miał proces i wiedział, z jakiego powodu umiera, a biedne zwierzęta zginęły nie tylko bez winy, ale i bez świadomości, czemu muszą cierpieć. Taka to była historia Pałacu Małp, który należał teraz teoretycznie do bankierskiej rodziny Graffów, a praktycznie, o czym nie wiedział nikt prócz wtajemniczonych, był własnością Świętego Officjum. Można więc uznać za zabawne, że nienawidzący nas archidiakon Cassi de facto wynajmował pałac właśnie od nas, tym samym wzbogacając nasz skarbiec. Trzeba też przyznać, że źle świadczyło to o wywiadzie biskupa, który syna ulokował właśnie tutaj.

Wartownicy strażujący przy żelaznej bramie najwyraźniej zostali powiadomieni, iż przybędziemy, gdyż bez słowa, bez zbędnych pytań otworzyli przed nami potężne, kute skrzydła.

– Czy tylko ja sądzę, że połączenie czerwonych spodni z żółtą bluzą i zielonym kapeluszem wygląda... zastanawiająco? – zapytał

Ludwik, przyglądając się uważnie uwijającym się przy bramie dworzanom.

– Pikinierzy też nie mają lekko – zauważył Heinrich.

No cóż, pikinierzy archidiakona nie wyglądali aż tak źle. Nosili żółte buty z cholewami aż pod kolana, do tego obcisłe czerwone spodnie i bluzy z bufiastymi rękawami, ozdobione cienkimi biało-czerwonymi pionowymi paskami. Na głowach mieli czerwone kołpaki z białymi rondami i białymi frędzlami. Z tego, co wiedzieliśmy, archidiakon sam owe stroje wymyślał, malował z pomocą swojego nadwornego malarza i przedstawiał krawcom do wykonania. Człowiek był to, jak widać, wielu talentów.

– Piękne to jest nawet – rzekłem.

Weszliśmy na wysypaną żółtym żwirem aleję, wzdłuż której stały starannie i umiejętnie przystrzyżone figury z żywopłotu oraz marmurowe posągi wyobrażające greckich herosów. Rozpoznałem odzianego w lwią skórę Heraklesa z maczugą przerzuconą przez plecy, okutego od stóp do głów Achillesa z mieczem w dłoni i sprytnego Odyseusza patrzącego gdzieś w dal i napinającego łuk.

– Przypominanie ludowi Bożemu, że tkwił niegdyś w otchłani i ciemności pogaństwa, jest niestosowne – stwierdził karcącym tonem Heinrich. – Historia świata zaczyna się od narodzin Jezusa, a wszystko, co było przedtem, powinno zostać z naszej pamięci usunięte.

– Trochę szkoda byłoby Arystotelesa i Platona – zauważyłem. – Nie mówiąc o Archimedesie – dodałem.

Heinrich zachnął się.

– Przecież wiesz, że nie o to mi chodzi – odparł. – Ale powiedz: po co czcić tych greckich herosów, służących dawnym diabłom? – prychnął. – Mało to mamy swoich własnych bohaterów?

Heider nie był osamotniony w podobnych opiniach. Wewnątrz Kościoła od wieków, chyba od samego początku chrześcijaństwa, odzywały się głosy, by z pamięcią o pogańskich tradycjach uczynić to samo, co Rzymianie zrobili z Kartaginą: zburzyć, zaorać i posypać solą. No ale jakoś nigdy się to nie udało, chociaż bywały lata

i miejsca, kiedy nad pamiątkami antyku potrafiło się mocno srożyć.

Weszliśmy na pałacowy dziedziniec, na którym honorowe miejsce na samym środku zajmowała wielka marmurowa fontanna wyobrażająca stojącego na postumencie Apollina, otoczonego przez siedzące Muzy. Apollo spokojnie i z zamyślnym wyrazem twarzy grał na lirze, natomiast Muzy z niewiadomej przyczyny odwracały się do niego plecami, a z ich wyciągniętych ramion strużki wody tryskały do basenu fontanny. Wyglądało to tak, jakby owe dziewczęta odkryły właśnie nowy i tak fascynujący sposób spędzania czasu, że już kompletnie w nosie miały swojego boga i jego popisy muzyczne.

Tuż przed szerokimi schodami prowadzącymi do drzwi pałacu powitał nas bogato odziany dworzanin. Poznałem, że był to jeden ze szlacheckich kompanów Cassiego. Mężczyzna uprzejmym gestem zdjął kapelusz, a widząc to, i ja, i moi towarzysze uczyniliśmy to samo.

– Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus – powitał nas uroczystym tonem.

– Na wieki wieków, amen – odparłem równie uroczyście.

Głowa towarzysza archidiakona przypominała księżyc w pełni położony na ludzkich ramionach. Tyle że zamiast świetlnej poświaty miał on na szczycie wyliniałą czuprynkę w kształcie tonsury. Wyglądał ów dworzanin zabawnie czy nawet groteskowo, ale z tego, co przekazywały wiadomości Świętego Officjum, był wybornym fechtmistrem. A że w Italii lubiano pojedynki z mieczem w jednej dłoni i z puginałem w drugiej, to musiał być to również człowiek całkiem odważny.

– Nazywam się hrabia Giovanni Scalza i w imieniu księdza archidiakona chciałem was serdecznie powitać, mistrzowie inkwizytorzy. Jesteśmy wielce wdzięczni, że raczyliście przyjąć zaproszenie – rzekł. – Pozwólcie, proszę, za mną.

– Nie podoba mi się ta uprzejmość – szepnął Ludwik cichutko i niemal nie poruszając ustami.

To prawda, że uprzejmość okazywana przez wroga jest zawsze niepokojąca, zwłaszcza kiedy doskonale wiesz, iż nie wynika ona z rycerskości, lecz jedynie z podstępного zamysłu. Ale zważcie też, mili moi, iż nie ma uczciwszego podejścia do negocjacji niż to, kiedy obaj negocjatorzy próbują oszukać jeden drugiego i obaj nawzajem świetnie wiedzą o swoich zamiarach.

– Ale że sam pan hrabia nas witał na progu, to oblałem się pąsem wzruszenia – tak samo cicho jak przedtem Ludwik, tym razem odezwał się Heinrich.

Mogliśmy sobie kpić czy żartować, lecz byłem pewien, że moi towarzysze, tak samo jak ja, uważnie i dokładnie obserwują wszystko wokół. Nie żebym miał jakiegokolwiek złudzenia, by miało się to nam w czymkolwiek przydać, jeśli przyszłoby do najgorszego. Bohater pokonujący mrowie przeciwników to wymysł rycerskich romansów. Tak naprawdę lekko uzbrojony człowiek nie ma żadnych szans w starciu z hordą wrogów. Jeśli będzie walczył w otwartym polu, otoczą go i rozsiekają. Gdy ustawi się w kącie, zarzucą na niego sieć lub przygniotą go meblami. Jak zacznie uciekać, zastrzelą go z łuku, kuszy, rzucą nożami lub spuszczą psy. Nawet na pozór nieśmiertelny Achilles przestał się chełpić niezwyciężonością, kiedy oberwał cios w piętę.

Oczywiście, kiedy przyszłoby do zwady, nie oddamy tanio skóry, ale żaden z nas nie liczył, iż ocalimy życie, jeśli wróg bardzo będzie chciał je nam odebrać. Dlatego jedyne, na co mogliśmy liczyć, to rozsądek Cassiego. I jednak mógł być sobie synem biskupa i watykańskim archidiakonem, ale widzicie, mili moi: Inkwizytorium nie przetrwało tysiąc pięćset lat dlatego, że łatwo darowujemy, kiedy nasi towarzysze są zabijani. Kret, ptak i ryba są symbolami Świętego Officjum, co oznacza, że przed karzącą ręką inkwizytorów nie schowasz się ani pod ziemią, ani w powietrzu, ani pod wodą. Święte Officjum dopadnie swoich krzywdzicieli choćby na końcu świata i postara się nie tylko sprowadzić na nich śmierć, ale z okrucieństwa tejże śmierci uczynić powszechnie znany, odstraszający przykład. Tak właśnie pocieszaliśmy się, idąc na śniadanie do archidiakona.



Jeżeli wyobrażaliście sobie, mili moi, że śniadanie u Cassiego będzie przypominać rzymską ucztę, w której wino lać się będzie strumieniami, a piękne niewolnice będą podawać nam przysmaki na swych nagich piersiach, to nic z tego. Służba była wyłącznie męska, ubrana od stóp do głów na czarno i wytresowana tak, by poruszać się niemal bezszelestnie, ale zawsze być obecna wtedy, kiedy była do czegoś potrzebna. Podano śniadanie smaczne i obfite, ale nie było na nim ani pasztetu ze słowicznych języczków, ani pereł rozpuszczanych w winie. Z całą pewnością nie można byłoby skrytykować panujących na dworze Cassiego obyczajów słowami Seneki: *vomunt ut edant, edunt ut vomant*[19]. Sam Cassi okazał się gospodarzem gościnnym i uprzejmym, chętnie zabawiającym nas przy posiłku lekką, niezobowiązującą rozmową. Potem archidiakon przedstawił nam wystawione w Watykanie dokumenty i poprosił o współpracę mającą na celu, jak się wyraził, „ściganie czarowników, wiedźm i demonologów oraz posłanie ich do piekła, tam gdzie jest ich miejsce”. Ja natomiast z ogromną uprzejmością poinformowałem Cassiego, że Święte Officjum nie uznaje tego rodzaju pism i gdybym w jakikolwiek sposób miał je honorować, postąpiłbym wbrew prawu. Poza tym zapewniłem Cassiego, że jestem tylko szeregowym inkwizytorem, który nie ma niemal żadnych prerogatyw i całkowicie żadnych pełnomocnictw od zwierzchników, a w związku z tym serdecznie radzę, by zechciał poczekać, aż do Weilburga wrócą moi przełożeni, a jeśli oni się zgodzą, to nie będzie bardziej skłonnego do pomocy człowieka niż ja. Archidiakon ze smutkiem zauważył, że niestety, miasto jest objęte blokadą, a on nie może czekać ze śledztwem pół roku czy rok, czy nawet dłużej, aż ta blokada zostanie zdjęta.

Oczywiście było to tylko bajdurzenie. Nikt w najśmielszych nawet podejrzeniach nie spodziewał się, że zamknięcie miasta może potrwać wiele miesięcy. To była tylko kwestia czasu, kiedy Święte Officjum przywróci ład na tych ziemiach i przegoni żołnierzy księcia

biskupa. Ale Cassi przecież doskonale o tym wiedział, a ja i tak byłem zdziwiony, że zmarnował kilka dni, zamiast natychmiast po przybyciu wszcząć jak najszerzej zakrojone śledztwo. To w końcu jemu zależało na czasie, bo jeśli mieszczanie przetrzymają pierwszy przypuszczony na nich atak, to z każdym dniem będą już śmielsi i każdego dnia z coraz większą nadzieją będą wypatrywali pomocy z zewnątrz.

Archidiakon uprzejmie zaproponował, że wyśle swoich ludzi do siedziby Inkwizytorium, aby zamieszkali z nami i wspomogli nas w pracy, a ja równie grzecznie odmówiłem, mówiąc, że niestety, tylko licencjonowani inkwizytorzy mogą przebywać na terenie siedziby Świętego Officjum. Sam pomysł, że moglibyśmy wpuścić kreatury Cassiego na teren Inkwizytorium, był tak niedorzeczny, że musiałbym oszaleć, by zgodzić się na podobne rozwiązanie. Podejrzewam również, że po powrocie naszych przełożonych mógłbym wylądować albo na bruku, albo w najlepszym wypadku w jakimś odległym miejscu Europy, dokąd wysyłano najbardziej skompromitowanych inkwizytorów, nad którymi zlitowano się na tyle, by nie wydaląc ich całkowicie z zawodu.

Na koniec spotkania każdy z nas otrzymał od archidiakona złoty wisior w kształcie połamanego krzyża, w środku którego krwawo błyszczał całkiem spory rubin. W dodatku wisiorzy te zawieszono na również złotych łańcuszkach, których sploty były na tyle grube, że można było mówić wręcz o łańcuchach. To był naprawdę godny prezent, a przy tym taki, którego nie wypadało odmówić. Zresztą wyjawię wam, mili moi, że gdyby Cassi dał każdemu z nas po garści złotych denarów, to też bym je przyjął. Dlaczego bowiem nie miałbym wziąć od niego podarków czy pieniędzy, skoro ani podarki, ani pieniądze w żaden sposób nie zaważyłyby na jakiegokolwiek mojej decyzji? Mógłby mi oferować udzielne księstwo, a ja i tak zrobiłbym tylko to, czego nie musiałbym się wstydić na najsurowszym Sądzie Bożym.

– Zauważyliście, że Cassi miał przygotowane trzy wisiorzy, po jednym dla każdego z nas? – zapytałem, kiedy już opuściliśmy Pałac Mały.

– Trudno nie zauważyć, skoro je przyjęliśmy – mruknął Heinrich.
Ale Ludwik był bardziej domyślny.

– A zapraszał przecież tylko ciebie – rzekł.

– Właśnie – zgodziłem się. – Czyli jednak przewidział, że nie przybędę sam. Te prezenty mają nam pokazać, po pierwsze i oczywiste, że stać go na to, żeby znacznie ubogacić nasze życie, a po drugie, są łagodnym ostrzeżeniem, że archidiakon przewiduje, co uczynimy.

– Nie wiem, jak może przewidywać, co uczynimy, skoro my sami nie wiemy, co uczynimy – zaśmiał się Heider.

– O właśnie. – Uniosłem dłoń. – To jest w jakiś sposób nawet korzystne, że rzeczywiście nie mamy żadnych sprecyzowanych planów, lecz będziemy dostosowywać się do sytuacji.

– A co innego możemy zresztą zrobić? – wzruszył ramionami Ludwik. – Gdybyśmy mieli chociaż kilkunastu dobrych żołnierzy, moglibyśmy Cassiego przegonić. – Znowu wzruszył ramionami. – Jeślibyśmy oczywiście w ogóle chcieli tak uczynić.

– Czy zauważyliście coś, co mogłoby nam się przydać, w razie gdyby doszło do jakiegoś... wydarzenia? – zapytałem.

Heider skinął głową.

– Obok stajni stoi wiata, w której składowane jest siano – powiedział. – Założę się, że gdyby zaproszyć tam ogień, to wszystko zajmie się tak dobrze i szybko jak nasmołowana pochodnia.

– Pożar przejdzie na stajnię i wywoła panikę – dodał Ludwik.

– I ja to dostrzegłem – przyznałem. A potem pokiwałem głową. – Oby ta wiedza nigdy i do niczego nam się nie przydała – rzekłem.



Rozdział siedemnasty

Przesłuchanie Arnolda Zolla



Przesłuchanie mistrza Zolla miało się odbyć nie w piwnicach ratusza, lecz w jednej z sal na parterze, a Cassi zezwolił, by wziął w nim udział inkwizytor w osobie waszego uniżonego i pokornego sługi (jak to zostało wcześniej ustalone), ale i również przedstawiciele Rady. Pofatygował się sam burmistrz, a więc swoim przybyciem dawał wyraz, jak ważna jest dla niego ta sprawa. Moim zdaniem chciał też pokazać, że żadnych zeznań Zolla się nie boi. Ale jeśli mistrz rzeźników zacznie oskarżać innych rajców, to Wittbachowi i tak nic nie pomoże, niezależnie od tego, czy przy składaniu tych zeznań był obecny, czy też nie.

Zasiedliśmy wszyscy przy długim stole. Cassi w środku, po jego prawej i lewej ręce dwaj towarzyszący mu mężczyźni (jednym z nich był spotkany już przez nas wcześniej hrabia Scalza, a drugim nieznany mi ponury mnich o białej twarzy i wydatnym nosie), a dalej już, przedzieleni nimi wszystkimi, ja oraz burmistrz. Przy bocznym stoliku zajęli natomiast miejsca dwaj sekretarze: przyprowadzony przeze mnie Wittler oraz kancelista Cassiego, młody, ubrany na czarno mężczyzna, którego wcześniej nigdy nie widziałem. Dla Zolla nie przygotowano krzesła, więc miał zeznawać na stojąco. Oczywiście zarządzenie przesłuchania w sali ratusza

świadczyło o jednym: na razie archidiakon nie zamierzał prowadzić badania kwalifikowanego połączonego z torturami. Bo do tego albo trzeba by było inaczej przygotować salę, albo przenieść się do piwnic, gdzie znajdowały się stosowne urządzenia oraz narzędzia. Oczywiście ani jedno, ani drugie nie byłoby problemem, lecz jeśli znaleźliby się chętni do zarządzania tortur, miałem w zanadrzu jeszcze jedną niespodziankę.

Strażnicy wprowadzili Zolla, ponurego niczym chmura gradowa (trudno zresztą, aby był radosny w sytuacji, w jakiej się znalazł), i kazali mu się zatrzymać dziesięć stóp od stołu sędziowskiego. Rajca miał ręce i nogi skute łańcuchami, a za cały ubiór miała mu wystarczać długa i brudna, sięgająca łydek koszula. To też był sposób, by od razu pogięć człowieka takiego jak Zoll, majątnego i wpływowego – od samego początku pokazać mu, iż jest śmieciem.

– Żądam rozkucia mistrza Zolla i zezwolenia mu na siedzenie w obecności sądu – rzekłem twardo. – To nie byle miejski opryszek, lecz rajca i mistrz cechu, przeciwko któremu dowody nawet nie zostały jeszcze okazane.

– Odrzucam – zawyrokował bez wahania Cassi. – Zaraz zostanie niezbitcie wykazane, że zarzuty są najcięższej natury, a dotyczą iście diabelskich, heretyckich machinacji.

Rzecz jasna, spodziewałem się podobnej reakcji, więc sprawdziłem tylko, czy obaj sekretarze protokołują, co jest tu i teraz mówione.

Następnie rozpoczęło się długie i nudne odczytywanie aktu oskarżenia przez mnicha o białej twarzy, który modulował głos tak nieznośnie i z takim patosem, że trudno było tego słuchać. A ponieważ w wielu słowach stawiał jeszcze akcent na sylaby, zdawałoby się, losowo wybierane, samo śledzenie jego długiego wywodu było prawdziwą torturą. Miałem przynajmniej tę satysfakcję, iż potwierdziły się podejrzenia zarówno Zolla, jak i moje – przeciwko rajcy zeznawały prostytutki, a przede wszystkim ta, którą nazywano Gładką Finką, a która w protokołach figurowała jako Rudolfiną Weiss. Wreszcie na koniec spektaklu do sali weszli służący niosący całe „satyrowe” oporządzenie Zolla, a jeden z nich

z łomotem rzucił na podłogę między nami a oskarżonym buty w kształcie kopyt i rogi powiązane z uprzężą.

– I cóż na to powiesz, plugawy i obmierzły heretyku? – warknął mnich.

– Za pozwoleniem – rzekłem, unosząc dłoń. – Wina oskarżonego nie została nie tylko dowiedziona, ale nawet uprawdopodobniona. Nazywanie go heretykiem jest więc w tej chwili nie tylko nieuprawnione, lecz wręcz obraźliwe.

Cassi skinął głową.

– Zgoda – rzekł. – Zwracajmy się więc do oskarżonego tak, jak wypada jego randze. Czyli: „mistrzu Zoll” lub „panie rajco”. – Archidiakon obrócił na mnie czyste, jasne spojrzenie. – Czy tak będzie dobrze, mistrzu Madderdin?

– Wyśmienicie – odparłem.

Zoll, tak jak mu przykazałem, stanowczo zaprzeczył wszystkim oskarżeniom, winę zrzucając na niegodne zaufania dziwki, które chciały się na nim zemścić z takiego powodu, że nie korzystał z ich usług częściej i nie płacił więcej.

– A poza tym wiedzą, wywłoki, jak każdy w tym mieście wie – rzekł na koniec tubalnym głosem i spoglądając spode łba – że mam wielki majątek. Więc chętnie uszczknęłyby sobie z niego część w zamian za ohydne łgarstwa i pomówienia, którymi mnie obrzucają.

Kiedy Zoll skończył, wtedy nie czekając, aż ktokolwiek inny zdąży się odezwać, rzekłem:

– Składam wniosek o uznanie wyjaśnień rajcy Zolla za w pełni wiarygodne i natychmiastowe uwolnienie go z aresztu. Nie ma żadnych przyczyn i żadnych powodów, żeby był dalej przetrzymywany, a absurdalne i groteskowe zeznania kilku zagniewanych na niego kurew, wybaczcie, panowie, nawet nie zasługują na poważne traktowanie.

Oczywiście mnie przegłosowano i przecież niczego innego się nie spodziewałem. Teraz archidiakon zmierzył wzrokiem rajcę, potem przesunął spojrzeniem po nas wszystkich, aż wreszcie zapatrzył się w sufit, jakby w belkach lub ceglach szukał natchnienia.

– Czy damy oskarżonemu czas, żeby przemyślał swoje zeznania i zdecydował się zejść z krętej ścieżki kłamstwa na równy i prosty trakt prawdy? – zapytał wreszcie z patosem.

– Za pozwoleniem, lecz miał wystarczająco dużo czasu na poprawę – odparł lodowatym tonem hrabia Scalza. – Wnioskuje więc o rozpoczęcie kwalifikowanego przesłuchania.

Archidiakon westchnął.

– Nie mam innego wyboru, jak zarządzić głosowanie. Hrabio Scalza? – Spojrzał w lewo. – Rozumiem, że jesteś, hrabio, za swoim własnym wnioskiem?

– Czas rozpocząć tortury, skoro rozumem i dobrocią nie możemy niczego osiągnąć – odparł Scalza.

– Bracie Amadeo? – Tym razem Cassi zerknął na towarzysza po prawej stronie.

– Bóg widzi, że nie mamy innego wyjścia. – Mnich rozłożył ramiona w geście udawanego smutku.

– Mistrzu Madderdin?

– Sprzeciwiam się rozpoczęciu kwalifikowanego przesłuchania, gdyż przedstawione dowody są całkowicie nieprzekonujące, a oskarżony jasno i rozumnie wytłumaczył się ze stawianych mu zarzutów. Proszę o wpisanie mojego sprzeciwu do protokołu.

– Oczywiście, mistrzu Madderdin – zgodził się Cassi. – Ja sam wstrzymuję się od głosu, co jednak nie zmienia postaci rzeczy, że zostaliście przegłosowani. Zarządzam więc godzinną przerwę na czas przeprowadzenia niezbędnych przygotowań oraz abyśmy mogli wezwać kata.

Teraz właśnie przyszedł czas mojej niespodzianki.

– I tu właśnie widzę problem, księżo archidiakonie – powiedziałem łagodnie. – Otóż z przykrością spieszę poinformować, że nasz kat zmarł, a nowy oprawca nie mógł zostać wezwany, a nawet gdyby tak się stało, to nie mógłby się do miasta dostać z uwagi na zarządzoną kwarantannę.

Cassi zatrzymał na mnie wzrok, potem wzruszył ramionami.

– To bardzo smutna wiadomość – stwierdził, po czym przeżegnał się. – Zmówmy krótką modlitwę za duszę tego biednego człowieka.

Złożył dłonie, przymknął oczy, a jego usta poruszyły się w niemej modlitwie. Nie mam tak wyśmienitej zdolności czytania słów z samego ruchu ludzkich ust jak niektórzy moi towarzysze, ale byłem w stanie odczytać, że archidiakon nie udawał. On naprawdę pograżył się w pobożnym upraszaniu łask dla duszy zmarłego. Wszyscy kompani archidiakona wzięli z niego przykład i z modlitewnej pozy zrezygnowali nie prędzej, niż on powiedział: „amen”. Potem zwrócił się w moją stronę.

– Na szczęście jesteśmy odpowiednio przygotowani i mamy własnego kata – stwierdził. – Każę po niego posłać.

Teraz wchodziłem na śliski grunt, gdyż to, co miałem powiedzieć, było prawdziwe, ale jednocześnie stosunkowo łatwe do ominięcia czy też przynajmniej próby ominięcia.

– Proszę mi wybaczyć, ale to niemożliwe, żeby badanie prowadził kat nielicencjonowany przez Święte Officjum – zaprotestowałem uprzejmie, lecz zdecydowanie. – Chciałbym waszą dostojność uprzedzić, że w takim wypadku wszelkie zeznania, wyrok oraz ich konsekwencje byłyby nie tylko nieważne z mocy samego prawa, ale mogłyby też stać się pretekstem do roszczeń odszkodowawczych. Inkwizytorium pilnie przestrzega procedur – dodałem.

– Na miecz Pana, co ten człowiek sobie... – zaczął hrabia, ale Cassi uciszył go podniesieniem ręki. Dobrze wytresował tych swoich podwładnych, gdyż mężczyzna umilkł natychmiast, w pół zdania.

– Słuszna uwaga, mistrzu inkwizytorze – rzekł spokojnie. – I bardzo wam jestem za nią wdzięczny, gdyż życzylibyśmy sobie, żeby wszystko było prowadzone zgodnie z procedurami, a zeznania i wyrok nie mogły zostać w żaden sposób podważone.

– W takim właśnie celu ośmieliłem się powiadomić waszą dostojność o moich wątpliwościach – stwierdziłem.

– Czyli co? – Cassi rozłożył ręce. – Wy będziecie chyba musieli wyświadczyć ten zaszczyt przesłuchiwanemu i osobiście zająć się jego sprawą?

– Niestety nie, księżę archidiakonie – rzekłem z ogromnym smutkiem w głosie. – Jestem tutaj jako obserwator z ramienia Świętego Officjum, więc nie mogę własnoręcznie badać

oskarżonego, gdyż dałoby to pretekst do abrogacji całego postępowania, od jego początku do samego końca.

– Rozumiem – stwierdził po chwili Cassi. – Jak jednak mniemam, podobny status nie dotyczy pozostałych inkwizytorów?

– Wasza dostojność ma całkowitą rację – przyznałem, skłaniając głowę.

– Dobrze, w takim razie zrobmy przerwę – zdecydował. – A w tym czasie sprowadzimy jednego z waszych towarzyszy, mistrzu Madderdin, żeby zechciał uczynić ten honor oskarżonemu i poprowadzić interwrogację.

– To znakomity pomysł – stwierdziłem z serdecznym przekonaniem. – Będę niecierpliwie czekał na wiadomość o powrocie do przesłuchania.

Cassi najwyraźniej nie wiedział, iż każdy licencjonowany kat mógł zostać zaprzysiężony przez Inkwizytorium, a więc jeśli w swych szeregach miał takiego właśnie oprawcę, to mógł próbować wymóc na mnie, bym człeka tego zaprzysięgł jako tymczasowego funkcjonariusza Świętego Officjum. Ale albo nie znał tej procedury, albo uznał, że skorzystanie z niej wcale nie przyspieszy całego procesu. Bo przecież oczywiste było, że bym mu odmówił. Więc może taka decyzja ze strony archidiakona wynikała nie z niewiedzy, lecz z przewidywania moich hipotetycznych kroków? Po prostu uznał, że przymuszając jednego z inkwizytorów do roli kata, ominie dodatkową przeszkodę. Cóż, byłem pewien jednego: zastosujemy jeszcze pewne kruczki prawne, które pozwolą nam zyskać na czasie.



I z tą w sumie całkiem miłą myślą pożegnałem się, opuściłem salę rozpraw i wyszedłem z ratusza. Skierowałem się do domu mojej uroczej wdówki, która jak zwykle była wesoła i figlarna niczym rozbrykana kózka. Tam zasnąłem (oczywiście nie od razu i nie bez wcześniejszych przygód), nie przejmując się ani archidiakonem Cassim, ani przesłuchaniem. Spałem spokojnie, ponieważ

wiedziałem, że żaden z towarzyszy inkwizytorów nie będzie dostępny ani w siedzibie Świętego Officjum, ani w innym miejscu, w którym potrafiliby ich znaleźć wysłannicy archidiakona. A czy archidiakon mógłby mnie oszukać i przeprowadzić przesłuchanie za moimi plecami? Oczywiście, że tak. Jednak tak jak mówiłem, zeznania uzyskane w ten sposób byłyby łatwe do podważenia, zwłaszcza że kiedy sytuacja by się uspokoiła i świat wróciłby do normalności, cała powaga Świętego Officjum stanęłaby murem za oskarżonym Zollem. W związku z tym biskupowi byłoby bardzo trudno uzyskać korzystne rozwiązania dotyczące wielu zajmujących go spraw. Byłem pewien, że wysłannik Jego Ekscelencji, ufając w to, że ma wiele czasu, będzie starał się wmanewrować mnie w pułapkę taką, bym jako przedstawiciel Inkwizytorium sankcjonował nielegalne procesy, jakie wszczął w mieście. I problem polegał na tym, że jeśli chciałem mieć jakąkolwiek kontrolę nad przebiegiem przesłuchań, to faktycznie musiałem zaakceptować rzeczywistość, w obliczu której mnie postawiono. Bo możemy sobie wyobrazić, że dumnie odmówiłbym jakiegokolwiek udziału w procesowych awanturach biskupa i archidiakona. Wtedy szybko poprowadziliby oni sprawy dokładnie w takim kierunku, w jakim by chcieli. Oczywiście, że rezultat ich postępowania byłby potem podważany i stał się przedmiotem sporów sądowych, ale teraz w realny sposób wyrządzono by miastu i jego rajcom ogromne szkody. Mój udział w procesie miał na celu tylko jedno: opóźnić wszystkie wydarzenia tak bardzo, aż z miasta zostanie zdjęta blokada, a inkwizytorzy pojawią się tu w takiej sile i z taką urzędową powagą, iż biskup i jego ludzie będą musieli zwinąć manatki.

Tego dnia jednak zastanawiałem się jedynie krótko nad sprawami miasta Weilburga i jego (a w zasadzie naszej) wojny z archidiakonem, gdyż zamiast rozmyślań o zmaganiach wojennych, czy to w duchu Ajaksa, czy to w duchu Odyseusza, pochłonęły mnie całkowicie potyczki pod patronatem Amora, które na szczęście, choć wyczerpujące, to jednak były znacznie milsze i bezpieczniejsze niż wojna pod skrzydłami Aresa. Chociaż zrobiło się jednak nieco niebezpiecznie, kiedy moja kochanka, spocona

i zadyszana po miłosnych zapasach, przytuliła się do mnie nieco mocniej i powiedziała słodkim głosem:

– Nie wiem właściwie, Mordimerze, czemu nie przeprowadzisz się do mnie. Moglibyśmy spędzać razem więcej czasu... – Spojrzała mi w oczy. – I wszystko bym dla ciebie robiła, co byś tylko zechciał...

Uścisnąłem jej dłonie.

– Niczego bym bardziej nie pragnął, niż być jak najczęściej blisko ciebie – zapewniłem ją gorąco. – Ale pomyśl o wszystkich moich inkwizytorskich obowiązkach. Kiedy jestem twoim gościem, opiekuję się wyłącznie tobą i wyłącznie tobie mogę poświęcić każdą chwilę. Ale kiedy stałbym się twoim domownikiem, musiałbym zajmować się ciągle, chcąc nie chcąc, również sprawami Inkwizytorium. – Pokręciłem głową. – A to byłoby dla ciebie nużące, denerwujące i przykre – dodałem. – Więc wierz mi, że decyzję o tym, żebyśmy mieszkali oddzielnie, podejmuję tylko ze względu na to, że pragnę dla ciebie jak najlepiej...

Wtuliła się w moje ramię.

– Och, jesteś taki słodki, że martwisz się moją wygodą – zaszeptała. – Ale pomyśl o tym, dobrze? Ja dam radę wytrzymać różne przykrości, aby tylko być z tobą każdego dnia...

Uroczyście obiecałem jej więc, że pomyślę nad najlepszym rozwiązaniem, i dotarło do mnie, że niestety, Ludwik miał rację: moja śliczna wdówka wyraźnie chciała zmienić status z kochanki na oficjalną konkubinę, a jak sądzę, również potem: żonę. Wiedziałem więc, że nadchodzi czas, kiedy będę musiał wymyślić bardzo przekonujące argumenty na to, że muszę pozostać w stanie kawalerskim, ale jednocześnie nie utracić benefitów, jakie dawało jej urocze towarzystwo. Póki w Weilburgu szalała kaszlica, a miasto było objęte kwarantanną, póty ratował mnie argument o nadzwyczajnej sytuacji i związanych z nią równie nadzwyczajnych obowiązkach. Ale kiedy kaszlica i blokada znikną, archidiakon wyprowadzi się z miasta, do którego powrócą inkwizytorzy, zapewne będzie mi nieco ciężiej tak lawirować, by pozostać przy swoim, lecz jednocześnie nie zrazić sobie stworzenia, które potrafiło dostarczyć mi wiele radości.



Rozdział osiemnasty

Znikający świadkowie



Wiedziałem, w jaki sposób skontaktować się z przedstawicielem tongów, i chociaż nie uśmiechało mi się, iż tym razem to ja potrzebuję ich pomocy, a nie na odwrót, to jednak musiałem spróbować z tongami się dogadać. Wyznaczyłem im spotkanie w kościele Gniewu Pańskiego, nie tyle może z uwagi na świętość miejsca, ile z uwagi na fakt, że w czasie weilburskiej spiekoty świątynie były nie tylko azylem modlitewnym, lecz również przynosiły ulgę dla głów skołatanych upałem. A moja była już tak skołatana, że nawet nie chciało mi się myśleć nad tym, jak bardzo jestem nieszczęśliwy, będąc zmuszonym do wychodzenia na rozpalone ulice, kiedy w ciągu kilku chwil człowiek oblewał się potem, a ubranie przylepiało się do ciała. W takich chwilach marzyłem tylko, by kiedyś popluskać się w lodowatych alpejskich jeziorach, spoglądając na wznoszące się wokół ośnieżone szczyty. Ale na razie do Alp było mi daleko, a jedyne, co mogłem zrobić w siedzibie Inkwizytorium, to ochłodzić się w balii ze studzienną wodą albo kiedy nie było na to czasu, po prostu ochlapać się zimną wodą z wiadra. Nikomu, kto miał nieprzyjemność życia w spiekocie, nie musiałbym chyba objaśniać,

iż taki sposób, chociaż wielce przyjemny, pomagał jedynie na krótką chwilę.

Tak czy inaczej, we wnętrzu kościoła było znacznie chłodniej niż na ulicy, a w trakcie rozmowy z przedstawicielem tongów wolałem mieć głowę niezmaconą żarem. Stawił się punktualnie i był to ten sam, co poprzednio, znany mi już mężczyzna.

– Witajcie, mistrzu Madderdin. Pozwolę sobie wyznać, że w fakcie, że znowu spotykamy się w kościele, widzę wręcz symbol naszej znakomitej przyjaźni.

Mój Boże, jak dalej pójdzie w tę stronę nasza znajomość, to rychło będziemy śpiewać razem w winiarni, przedstawimy sobie rodziny, a ja zostanę zaproszony na ojca chrzestnego jego dzieci, pomyślałem.

– Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus – odparłem. – Myślę, że świątynia, gdzie chwalimy imię Pańskie, jest najodpowiedniejszym miejscem dla rozmowy ludzi takich jak my – dodałem. – Ludzi zatroskanych o los bliźnich i pragnących uczynić wszystko, żeby ulżyć im w złej doli.

– Pięknie powiedziane. – Na twarzy mężczyzny wykwitł serdeczny uśmiech. Jednak spojrzenie pozostało chłodne i badawcze.

Pamiętajcie, mili moi, że kiedy chcecie poznać prawdziwe intencje człowieka, spoglądajcie mu w oczy. To one są zwierciadłem duszy i chociaż można to zwierciadło ukształtować w taki sposób, by ukazywało fałszywy obraz, to jednak nie jest to zabieg łatwy do wykonania i nie każdy potrafi go przeprowadzić.

– Mam nadzieję, że zgodzicie się ze mną, że życie ludzkie jest wartością, którą powinniśmy chronić – rzekłem, a on spoglądał na mnie bez drgnienia i bez słowa. – Oczywiście nie za wszelką cenę i nie zawsze – dodałem. – Gdyż przecież nie każde życie i nie każdego człowieka zasługuje, żebyśmy jego ochronie poświęcali nasz czas i nasz wysiłek.

– Przejdźmy do rzeczy, mistrzu Madderdin – wszedł mi w słowo stanowczym, choć uprzejmym tonem. – Kogo mamy zabić?

Uśmiechnąłem się do niego serdecznie.

– Nie zależy mi na śmierci ludzi, o których wam powiem – rzekłem. – Zależy mi tylko na tym, żeby zniknęli. A czy udadzą się oni w podróż do sąsiedniego miasta, czy też powędrują na dno rzeki, to już mnie nie interesuje ani nie chciałbym się nad tym rozwodzić.

– Zważywszy na upalny miesiąc i na to, że nic nie wskazuje na zmianę pogody, porzucenie zwłok w rzece nie jest tak dobrym pomysłem jak jeszcze wiosną – zauważył.

Sięgnąłem do wewnętrznej kieszeni. Na wszelki wypadek ruchem wolniejszym niż zwykle, choć nie sądziłem, by mój rozmówca podejrzewał, że mam wobec niego złe zamiary. Łączyły nas interesy, w których obaj spodziewaliśmy się odnieść opartą na porozumieniu korzyść, a to zawsze dobry powód, by chociaż przez pewien czas nie zabijać jeden drugiego. Wyjąłem woreczek i wyciągnąłem go w jego stronę na otwartej dłoni.

– Ten proszek wystarczy dosypać do napoju lub jedzenia – wyjaśniłem. – Jest całkowicie pozbawiony smaku oraz zapachu, a po wnikięciu do organizmu wywoła konwulsje i niemal natychmiastową śmierć.

– Shersken – powiedział.

– Tak jest. Shersken. Podejrzewam, że wasze stowarzyszenie może mieć do niego dostęp, lecz pomyślałem, że lepiej będzie, jeśli przyniosę swój, którego wysokiej jakości jestem całkowicie pewien.

Oczywiście żaden złoczyńca nie powinien mieć dostępu do sherskenu (nazywanego również czasami „proszkiem inkwizytorów”), którego proces wytwarzania był tajny, przydziały rejestrowane i limitowane, a nieuprawnione posiadanie karano śmiercią, ale wiadomo, jak to bywa w świecie: wszystkie tajemnice z czasem stają się coraz mniej tajemnicze. Tak było choćby ze słynnymi florentyńskimi lustrami oraz kryształami. Długie dziesiątki lat udawało się utrzymywać miastu Florentynie tajemnicę ich wytwarzania (a co za tym idzie monopol handlowy), aż wreszcie jeden z mistrzów uciekł na dwór cesarski i w kilka lat manufaktury kryształów powstały w całej Europie, a florentyńskim władzom pozostało tylko zgrzytanie zębów oraz wyklinanie[20]. Dlatego nie miałem wątpliwości, że shersken znajduje się nie tylko w rękach

Świętego Officjum. Ale przynajmniej co do tej porcji, którą miałem w swoim posiadaniu, wiedziałem, iż nie zawiedzie.

Mężczyzna zabrał woreczek z mojej dłoni i wsunął sobie za pazuchę.

– A teraz pozwolę sobie zapytać, kim mamy się zająć.

To było też charakterystyczne i tego się spodziewałem, jeśli chodzi o wysłannika tongów. Najpierw przyjął zlecenie, by dopiero potem spytać, o kogo w nim chodzi. Pokazywał w ten sposób, iż są w stanie dosięgnąć każdego. Ale czy tak było naprawdę? Czy organizacja dałaby radę zabić archidiakona? A biskupa? Sądzę, że w pierwszym wypadku nie nastęczyłoby to wielkiego trudu. Oczywiście Cassi bardzo się pilnował, wiedząc, że jest w obcym i wrogim mieście, ale problem leżał w czym innym. Zabijając biskupowi syna, miasto skierowałoby konflikt wywołany sporem w interesach na drogę osobistej nienawiści. To nie byłoby właściwe i takiego zlecenia tongi mogłyby odmówić. A może by nie odmówiły? Cóż, tak czy inaczej, nie zamierzałem tego próbować. Usunięcie archidiakona pozostawiałem jako ostateczność. Może skorzystam z tego rozwiązania, lecz na pewno nie teraz.

– W piwnicach ratusza zamknięto sześć kobiet, w tym przede wszystkim jedną, która nazywana jest Gładką Finką, a której imię i nazwisko brzmią Rudolfiną Weiss – wyjaśniłem. – Zeznania tych niecnot obciążają jednego z porządnych mieszczan. Chciałbym, aby właśnie one straciły możliwość oskarżenia.

– Sześć – powtórzył z namysłem.

– Czy macie coś przeciwko liczbie sześć? – spytałem niewinnie.

– Czy ich zeznania przypadkiem nie zostały już wpisane do protokołów? – zapytał, ignorując moje pytanie.

Proszę bardzo, a więc był zaznajomiony nawet z detalami postępowania. Tym lepiej. I tym lepiej świadczyło o tongach, że były tak dobrze przygotowane do rozmów na temat sytuacji w mieście.

– Oczywiście zostały – przytaknąłem. – Niemniej brak świadków znacznie utrudni dalsze oskarżenia. Będziemy twierdzić, że kobiety opętały demony, które skłoniły je do oskarżenia poczciwego i szanowanego mieszczanina. I jeszcze jedno: nasze miasto jest

rozsądne. Ludzie rozumieją, że kto zgłosi chęć składania zeznań przeciw mistrzowi Zollowi, ten ma duże szanse nie dożyć poranka. To znacznie ostudzi zapal delatorów, jeśli tacy mieliby się znaleźć.

Mój rozmówca uśmiechnął się leciutko, samymi kącikami ust.

– A w mieście rozgłosimy, i tu liczę również na wasze stowarzyszenie, że fałszywe oskarżycielki spotkała kara Boża. Dobrze by się stało, jeśliby zwłoki zobaczyła jak największa liczba osób i aby rozniosła się wieść o tym, jak trupy te wyglądają.

– Za pozwoleniem, mistrzu Madderdin... – Spojrzał na mnie pytającym wzrokiem.

– Shersken powoduje wielki ból – wyjaśniłem. – Człowiek umiera w konwulsjach i cierpieniu. Ta agonia zmienia rysy twarzy w sposób powodujący, że po śmierci są one przerażająco zniekształcone. Wywiera to wielkie wrażenie na ludziach, którzy do tej pory nie widzieli podobnego obrazu.

– Rozumiem – rzekł. – Czyli wszystkie mają zginąć? – zapytał.

– Najlepiej wszystkie – odparłem. – Skoro przyjaźniły się na ziemi, to niech i przed najsurowszy Sąd Pański powędrują razem.

– Tak się stanie – rzekł.

– Jeśli mógłbym doradzić coś w kwestii detali – powiedziałem. – To proszę wziąć pod uwagę, że shersken działa dość szybko. Co oznacza, że objawy pierwszej z zatrutych osób mogą nastąpić na tyle gwałtownie, że ostrzegą kogoś, kto jeszcze nie skosztował zatrutej nim potrawy.

– Oczywiście – odparł po chwili. – Będziemy o tym pamiętać.

– Niestety, muszę również nadmienić, że w przypadku, o którym rozmawiamy, kluczowy jest czas – dodałem.

– Praca zostanie wykonana – obiecał. – Więc pozwólcie, mistrzu, że porozmawiamy teraz o zapłacie.

– Będę się za was modlił – oznajmiłem z ogromną życzliwością.

I proszę bardzo, udało mi się zbić go z tropu tym stwierdzeniem.

– Słucham? – spytał.

– Będę gorąco i serdecznie modlił się nie tylko za pomyślne zakończenie przedsięwzięcia, ale również za osobiste powodzenie tych, którzy będą je wykonywać.

Jeżeli sądziłbym, że moja bezczelność zbije go z tropu na dłuższy czas, to bardzo bym się pomylił. Ja jednak nie podejrzewałem, iż zaskoczenie mojego rozmówcy będzie trwało długo, i tak właśnie się stało.

– Oczywiście doceniam waszą szczodrobliwą propozycję, mistrzu Madderdin – odparł grzecznie. – Ale sęk w tym, że za „Bóg zapłać” niewiele można kupić na naszym grzesznym świecie. Wolelibyśmy więc...

Uniosłem dłoń.

– Proszę mnie posłuchać – przerwałem mu. – Zeznania Zolla, jeśli zostaną z niego wyduszone, oraz dalsze oskarżenia tych kobiet mogą spowodować, że wielu niewinnych ludzi stanie przed sądem archidiakona. Bardzo wielu niewinnych ludzi... – Na chwilę zawiesiłem znacząco głos. – Również tych, którzy nigdy i przed żadnym sądem woleliby nie stawać – dodałem dobitnie. – Rozumiecie?

Skinął głową i tym razem wyraz twarzy miał już zafrasowany. Nie w głowie było mu się uśmiechać. I bardzo dobrze, bo nie przyszliśmy tutaj, by opowiadać sobie krotchwile i zaśmiewać się z nich, poklepując jeden drugiego po ramionach.

– Wiecie dobrze – kontynuowałem – jak wygląda praca szeregowego inkwizytora, takiego jak ja. Raz stacjonuje tutaj, raz tam, jest przenoszony, gdzie sobie tego zażyczy jego zwierzchność. W związku z tym los tego miasta nieszczególnie mnie obchodzi. Ale wy? Wy tutaj żyjecie i będziecie tutaj żyć. Chaos, prześladowania, a następnie nędza, w jaką chce was wpędzić Jego Ekscelencja, pozbawiając miasto przywileju solnego, odbije się na was, nie na mnie.

Dałem mu chwilę, by przetrawił moje słowa.

– Dlatego właśnie ja – zaakcentowałem mocno słowo „ja” – spodziewałbym się od was dowodów wdzięczności za to, że staram się odsunąć nieszczęście od miasta. Pomimo że owo nieszczęście w żaden sposób ani nie szkodzi, ani nie zagraża mnie samemu.

– Czemu więc chcecie nam pomóc?

Cóż, to było, mili moi, wyjątkowo nietrafione pytanie. Czyżby jednak ten człowiek nie był tak bystry, jak uważałem, albo może nagły obrót rozmowy rozproszył go w stopniu większym, niż sądziłem?

– Biskup oraz archidiakon uzurpują sobie prawa, które posiada jedynie Święte Officjum – wyjaśniłem. – Nie chcę się więc temu przyglądać beczynnie, ale też moje życie ani mój los od tego nie zależą. Jeżeli nie uczynię nic, być może moi przełożeni będą rozczarowani, ale nie sądzę, żebym poniósł jakiegokolwiek konsekwencje, gdyż wszyscy rozumieją, że sprawa jest ciężka...

Skinął powoli głową.

– Powtórzę wasze słowa, mistrzu Madderdin, moim przełożonym, a oni ocenią i zdecydują, czy podobna spółka leży w naszym interesie.

– Tylko niech oceniają i decydują szybko – poradziłem chłodnym tonem. – Bo jeżeli problem nie zostanie zlikwidowany natychmiast, sprawy jeszcze bardziej się skomplikują. A kiedy sprawy się skomplikują, to ja zostawię was wszystkich waszemu losowi i z ciekawością będę się przyglądał, jak świetnie sobie radzicie sami. – Tym razem pozwoliłem sobie na lekki uśmiech.

Wstałem i pożegnałem go skinieniem głowy oraz słowami „Boże pomagaj”, po czym przeżegnałem się przed ołtarzem i wyszedłem z kościoła. Czy miałem wyrzuty sumienia, iż posłałem właśnie na śmierć sześć kobiet? Mili moi, gdyby inkwizytorzy zastanawiali się nad każdym kwiatkiem, który zdepczą, biegnąc do światłości Bożej, to nie mieliby czasu na nic innego! Wychodziliśmy z założenia, że jeżeli doprowadziliśmy do śmierci niewinnego, to odbiera on właśnie nagrodę w niebie za swoją krzywdę. A więc jest o wiele szczęśliwszy od nas, którzy musimy nadal stawiać czoła złu na tym nie najlepszym ze światów. A jeżeli spowodowaliśmy śmierć winnego, to czegoż mamy żałować? Tak czy inaczej, sami widzicie, mili moi, rachunek zysków i strat zawsze wychodził na stronę zysków i dlatego też decyzje o ludzkim losie – ocaleniu życia lub pozbawieniu go – mogłem podejmować bez żadnych skrupułów.



Rozdział dziewiętnasty

Niedowiarki



Muszę przyznać, że całkiem polubiłem towarzystwo zacnego aptekarza, który zdecydował się, by do Weilburga przenieść swoje koblenckie interesy. Dało się z nim rozumnie porozmawiać, głowę miał mocną, dowcip całkiem bystry, no i w dodatku był na tyle uprzejmy, by opłacać wszystkie rachunki z naszych wspólnych eskapad, nawet wtedy, kiedy wypuściliśmy się do „Rzymskiej Łaźni”, by zapoznać go z miejscowymi dziewczętami. Oczywiście profesja inkwizytora nie pozwala na ciągłe włóczenie się po oberżach i burdelach, ale od czasu do czasu, w przerwie pomiędzy jednym umartwieniem a drugim, modlitwą jedną a drugą, można znaleźć chwilę, by profanum przełożyć ponad sacrum. W końcu jesteśmy tylko ludźmi i gdyby Pan Bóg chciał nas stworzyć świętymi, toby nas takimi stworzył. Ale że stworzył nas słabymi i ułomnymi, toteż nie było się co dziwić, że owe słabości i ułomności prowadziły nas na wyprawy do tawern oraz zamtuzów.

Ale tego dnia siedzieliśmy spokojnie z Baumem przy dzbanku wina w zajeździe „Pod Leniwym Muzykantem”. Dziwna nazwa tego lokalu pochodziła od wielkiej drewnianej rzeźby (mocno już przyciemniałej od starości) przedstawiającej starca trzymającego

w rękach gęśliki i smyczek. A że figura ta jako żywo nigdy nie zagrała ani jednej nuty, toteż przezwano ją Leniwym Muzykantem. Akurat obaj zasłuchaliśmy się w rozmowę prowadzoną przez siedzących obok gości, trzech porządnie ubranych i na pierwszy rzut oka niebiednych mieszczan. Inkwizytorzy w ogóle lubią przysłuchiwać się bliźnim, by lepiej poznać ich myśli, których (wiedząc o obecności funkcjonariusza Świętego Officjum) być może owi bliźni obawialiby się lub wstydzili wyjawić. Bo widzicie, mili moi, uznałem, że sprawy toczą się w na tyle dobrym kierunku, iż pozwalałem sobie wychodzić do miasta znowu tylko w zwykłym ubraniu, a nie w oficjalnym stroju inkwizytorów. Ale ci ludzie obok zaciekawili nas tematem swojej rozmowy. Oczywiście, jakżeby inaczej! rozmawiali o kaszlicy.

– Ech, ten mój nierozgarnięty ojciec, wyobraźcie sobie, że dał posłuch tym wszystkim bredniom o epidemii i bał się wyjść pomiędzy ludzi. – Pierwszy z mężczyzn pokręcił głową z politowaniem wymalowanym na twarzy. – Taka ciemnota, taka ciemnota...

Machnął jeszcze dłonią, by podkreślić, jak bardzo ojciec go zawiódł, po czym mówił dalej:

– Przekonałem jednak staruszkę, że to wszystko bajdy. Że cała ta epidemia to spisek. – Zatopił w siedzącym naprzeciwko towarzyszowi nagle wyostrzony wzrok, a potem nawet łypnął podejrzliwie wokół. – Żeby zawładnąć naszymi umysłami.

Pomyślałem, że akurat on nie powinien się obawiać podobnego zawładnięcia, gdyż jak powiadają: „Kto ma pusty dom, ten nie boi się złodzieja”.

– I jak się teraz czuje twój ojciec? – zapytał drugi z mieszczan.

Pierwszy pokręcił głową.

– W sumie nieźle. Ale że nachodził się po znajomkach, to i zmęczył się trochę. Więc teraz sobie leży i odpoczywa.

– Ta – burknął trzeci z kompanów. – Siedem dni leżał w domu i kaszłał, a teraz...

Pierwszy spojrział na niego złym wzrokiem.

– Sucho jest, to i staruszek kaszłał – przerwał mu. – A leży dlatego, bo jest zmęczony. A zarazy żadnej nie ma! – Stuknął pięścią o pięść. – Jeszcze na twoim pogrzebie obaj zatańczymy, zobaczysz...

– Jak wczoraj u ciebie byłem, to twój ojciec leżał na plecach z rozdziawioną gębą i ani drgnął. A jak się potknąłem i zalałem go piwem, to nawet palcem nie ruszył – prychnął jego towarzysz.

– Staruszek lubi tak sobie spokojnie kimać – burknął pierwszy obrażonym tonem. – A sen ma twardy, bo zdrowy.

– Z wybałuszonymi oczami i językiem na wierzchu? – dopytał kompan, ale ton głosu wskazywał, iż nie żywi nadziei, że przekona upartego.

Obrócił się więc w stronę tego z mieszczan, który się na razie tylko przysłuchiwał ich rozmowie.

– Wiesz, że wczoraj to sam palcami wpychał z powrotem ojcu do gęby wystający język, jak myślał, że nie widzę?

– O wa! A to wielkie mi wydarzenie! – zawołał pierwszy i wstrząsnął pogardliwie ramionami. – Starym ludziom trzeba pomagać i tyle...

Pomyślałem, że postępowanie tego człowieka jest w pewien sposób godne podziwu. To zaprzeczanie rzeczywistości i wypieranie z umysłu wszelkich faktów oraz dowodów, które kłóciły się z jego teorią, miało w sobie coś wręcz imponującego. Wierzyłem, że gdyby ten mężczyzna miał martwą papugę, to przybijałby ją gwoździami do drążka, by przed wszystkimi sprawiać wrażenie, że ptak tylko spokojnie sobie siedzi. Byłem też przekonany, że człowiek ten tak silnie ignorował realny świat wokół niego, iż gdyby na naszych ulicach piętrzyły się stosy trupów zabitych przez epidemię, to on alboby udawał, że tych stosów nie widzi, albo znajdowałby przeróżne, czasem wymyślne, a czasem groteskowe tłumaczenia, by uzasadnić obecność zwłok. Podejrzywałem, że podobni ludzie będą istnieć zawsze, jak świat światem i ludzkość ludzkością, a udowodniona głupota poprzedników w niczym nie przekona ich następców. I wbrew dowodom pozostaną oni durniami wierzącymi nie w fakty, lecz we własną imaginację. A wiara ich będzie tym mocniejsza, im więcej znajdą wokół siebie podobnych kretynów,

z którymi będą mogli dzielić się kretyństwami i zachwycać się w tym ich własnym kretyńskim kręgu, iż są jedynymi, którzy zajrzeli za zasłony spisków i dostrzegli poza nimi prawdę. Będą się więc czuli lepsi i wyróżnieni, nie rozumiejąc, iż są zaledwie godnymi pożałowania i ograniczonymi idiotami.

– Mówisz, że to spisek i nieprawda – zagadnął drugi z mieszczan. – A powiedz no: widziałeś kiedyś, jeszcze przed kaszlicą, żeby na cmentarze wyjeżdżały wozy pełne trupów?

– Wozy od razu – skwitował szyderczo jego towarzysz i wrzucił ramionami. – Coś tam niby widziałem, ale raptem jeden wóz, niezbyt wielki i nawet nie całkiem wyładowany.

– No dobrze, niech ci będzie... Ale widziałeś wcześniej kiedyś takie rzeczy?

– A bo to wiadomo, jak oni zginęli?

– No jak to? Przecież sam mówisz, że widziałeś. Wóz z trupami. A ja widziałem ich już więcej, niżbym chciał kiedykolwiek zobaczyć.

– A sprawdziłeś, czy to na pewno były zwłoki? – Pierwszy z mieszczan poczerwieniał i nachylił się nad stołem. – Założę się, że nie sprawdziłeś! Może tak tylko udawali, żeby nas wszystkich przestraszyć.

– Ci, co ja ich widziałem, byli martwi jak wyduszone kury!

Jego kompan prychnął pogardliwie i wrzucił gwałtownie ramionami.

– Ja tam nie wiem. Wiem tylko, że nie dam się nikomu nabrać na żadną kaszlicę. – Uniósł palec. – Za stary lis ze mnie, żeby mnie byle kto oszukał takimi prostackimi sztuczkami!

Baum spojrział na mnie i westchnął.

– Widzieliście? Słyszeliście? – zapytał przyciszonym głosem. – Tyle dni już trwa kaszlica, tylu ludzi na nią zachorowało i tyle pochłonęła ona śmiertelnych ofiar, a od takich jak ten tutaj... – wykonał dyskretny ruch podbródkiem – aż się roi.

– Z tym „roi się” tobym jednak nie przesadzał – zaoponowałem. – Po prostu tacy jak on są głośni i bezczelni. Zresztą, widzicie, cechą typową dla głupoty jest to, że rzuca się w oczy łatwiej niż mądrość i znacznie lepiej ją widać oraz znacznie łatwiej ją zapamiętać.

– O, na pewno – zgodził się ze mną Baum.

– Inna rzecz, że wielu jest takich, którzy tę chorobę i ludzki strach wykorzystują do swoich niecznych celów – dodałem. – A przez to w prostych umysłach mogą wywołać podejrzenie, że nie tylko z zarazy czerpią zyski, ale wręcz ją wymyślili. Co już jest przecież jawną bzdurą i nieprawdą.

Aptekarz pokiwał gorliwie głową.

– Jako człowiek nauki... – jego policzki zaczerwieniły się lekko, kiedy wymawiał słowa „człowiek nauki” – sam doskonale wiem, jak łatwo jest wypowiedzieć najbardziej wierutną bzdurę, a jak za to trudno jest udowodnić, że jest to właśnie bzdura.

Tym razem ja skinąłem głową.

– Święta prawda – zgodziłem się z nim.

Stuknęliśmy się kubkami i wypiliśmy do dna, a potem chwilę gawędziliśmy o pewnej uroczej dziewczynie z „Rzymskiej Łaźni”, którą obaj mieliśmy okazję dokładnie i dogłębnie poznać. Wymieniliśmy się uwagami na temat jej zdolności i zgodnie stwierdziliśmy, że dziewczynę czeka świetlana przyszłość. Aby tylko udało jej się zachować świeżość i urodę, o co przecież w fachu, który uprawiała, nie było wcale tak łatwo.

– A może znajdzie sobie jakiegoś bogatego męża? – powiedział Baum, który najwyraźniej był na tyle z dziewczyny zadowolony, iż dobrze jej życzył.

– Może i znajdzie. – Skinąłem głową. – Ale na pewno nie w Weilburgu. Przecież żaden porządny mieszczanin nie ożeni się z kurwą, którą na wszystkie sposoby obrabiali jego koledzy. Stałby się pośmiewiskiem.

Aptekarz pokiwał głową i westchnął.

– Ale jeśli zarobi trochę pieniędzy i przyjedzie do Koblencji czy Engelstadt, poda się tam za wdowę albo sierotę i będzie prowadzić niebudzące zastrzeżeń życie, to szybko znajdzie chętnego na jej wdzięki, który nawet nie będzie miał pojęcia, jak wielu przed nim je konsumowało...

– Ano właśnie. – Baum napełnił nasze kubki. – Wypijmy za przezorność i zdrową nieufność, każące nam sprawdzać ludzi,

których chcemy wziąć sobie na partnerów. Czy to w życiu prywatnym, czy w interesach.

Chętnie za to wypilem, gdyż jako funkcjonariusz Świętego Officjum oczywiście uważałem, że najwyższą formą zaufania jest kontrola. Jeśli będziemy obywatele pilnować, poczynając od najdrobniejszego detalu, to wtedy dopiero naprawdę będziemy mogli im ufać. Ale do tego była jeszcze długa droga i od owego szczęsnego dla ludzkości marzenia dzieliły nas liczne przeszkody. Byłem jednak pewien, że prędzej czy później te trudności pokonamy, a bliźni rozumieją, iż przyglądamy się im, pilnujemy ich i karzemy, kiedy trzeba, tylko dlatego, by byli jeszcze bardziej szczęśliwi, niż są.

– Wiecie, mistrzu Madderdin, do jakich wniosków dochodzę, przyglądając się temu miastu?

– Jak ośmielał się podejrzewać: do niewesołych – odparłem.

Pokiwał głową z przygnębionym wyrazem twarzy.

– Ano do niewesołych – przyznał głosem tak samo smętnym jak oblicze.

– Podzielicie się ze mną swoim smutkiem?

– Czemu nie? – Zastanawiał się przez chwilę, a potem zaczął poważnym tonem: – Oto widzicie, przyglądając się terażniejszości, ale znając jako tako historię, dostrzegam jedno: katastrofa taka jak obecna epidemia zdiera z naszej cywilizacji maskę rozumu...

Skinąłem nieznacznie głową, gdyż wniosek ten wydawał mi się nie tylko całkiem uprawniony, ale wręcz uprawdopodobniony, zwłaszcza kiedy człowiek przyglądał się postępowaniu obywateli Weilburga.

– Te wszystkie zadziwiające teorie i koncepcje nie tylko o pochodzeniu choroby, ale o sposobach jej leczenia – westchnął. – Te plotki i szalone wymysły powtarzane w stugębnych opowieściach. Ci wszyscy chytry szalbierze, bezkarnie żerujący nie tylko na ludzkiej głupocie, ale i na poczciwej naiwności małych rozumów...

Aptekarz pokręcił głową i widziałem, że myśl o tym, jak układają się rzeczy na świecie, nie tylko nie sprawia mu satysfakcji z tego, że

on sam jest rozumniejszy i widzi więcej oraz dalej, lecz budzą w nim smutek, iż większość ludzi nie może doświadczyć tak jak on łaski roztropności. Było to z jego strony na pewno zacne.

– Ludzie chcą wierzyć – oznajmiłem. – Chcą wierzyć, że ktoś szykuje jakieś przerażające pułapki, żeby ich w nie złowić. Może wtedy, kiedy sądzą, że ktoś dybie na ich życie, jakiś straszny, a nierozpoznawalny i niewidzialny wróg, to wtedy czują, że sami coś znaczą? A z drugiej strony liczą na cudowne sposoby ocalenia, więc podchwytują każdą najgłupszą plotkę i powielają ją, powtarzając w jeszcze wyolbrzymionej, zwielokrotnionej postaci, mając w ten sposób nie tylko umysły bliźnich, ale i samemu zatracając granicę pomiędzy rzeczywistością a imaginacją.

Baum wysłuchał mnie uważnie, a potem pokiwał głową i wzruszył ramionami.

– Czy zawsze, naprawdę zawsze będziemy takimi durniami? – zapytał z goryczą.

Oczywiście domyśliłem się, że nie miał na myśli nas dwóch, gdyż akurat my należeliśmy do światłej mniejszości, kierującej się zasadami logiki oraz dedukcji. Ale przez słowo „my” rozumiał ogół ludzkości, przyznajmy to, nie tylko tępej, lecz i łatwo uznającej byle bzdurę za prawdy objawione.

– Zawsze, panie Baum – odparłem zdecydowanie. – Miną wieki, nasze groby zarosną chwastami i zapadną się, a ludzie będą takimi samymi idiotami, jak są nimi dzisiaj. Tyle że ten ich idiotyzm znajdzie zapewne odmienne, bardziej wyrafinowane formy wyrażania.

– Być może nie będzie aż tak źle. – Dostrzegłem, że mój pesymizm zaskoczył nawet jego. – Bo przecież jeśli będziemy tak głupi, jak jesteśmy, to kto wie czy wreszcie nie wymrzemy z tej głupoty?

– Już tym się akurat nie kłopotcie. – Machnąłem ręką. – Ludzie są co prawda głupi i podli, ale dzięki szczerzemu instynktowi przetrwania jakoś prześlizgnęli się poprzez wszystkie wieki i epoki. A skoro nie wyzdychali do tej pory, to już na pewno dadzą sobie radę w przyszłości. Zbyt lubimy kopulację, panie Baum, aby wymrzeć raz a dobrze.

– Temu nie zaprzeczę – rzekł.

Zaraz potem siedzący dwa stoliki dalej mężczyzna wstał z miejsca z głośnym hurgotem przesuwanego zydła, po czym podnosząc wysoko, wysoko duży cynowy kubek, rzekł z namaszczeniem, głosem tubalnym i potężnym:

– Pocieszycielka strapionych. Okowita.

Zbliżył naczynie do nosa, powąchał z uśmiechem i opróżnił do dna jednym długim łykiem. Potem zaczerpnął głęboko w płuca powietrze, chwycił kromkę czarnego, razowego chleba, myślałem, że ją zje, ale on tylko poniuchał ją z rozanieloną miną i odłożył z powrotem na blat.

– Pocieszycielka strapionych – powtórzył, patrząc na butelkę.

– Tymi słowami określamy raczej Matkę Boską, nie gorzałkę – rzekłem surowo, z naganą w głosie.

Prychnął i lekceważąco machnął ręką.

– Wódka wiele razy nie tylko pocieszała mnie w nieszczęściu, ale dawała moim myślom nowy, twórczy ogień. A od Matki Boskiej, jeśli chcecie wiedzieć, nigdy podobnej łaski nie otrzymałem. Dlatego wybaczcie mi, ale szczerze powiem: od Matki Boskiej wolę okowitę.

Wielu było na świecie inkwizytorów, którzy natychmiast zainteresowaliby się tym człowiekiem, kazali go aresztować i przesłuchać, a jakby dobrze im poszło, zaraz wykryliby skupiony wokół niego heretycki spisek. Ja jednak należałem do tych, którzy zazwyczaj machali ręką na pijacki bełkot. Zresztą teraz, w mieście trapionym epidemią, blokadą, upałem i obecnością archidiakona, pijaczek bredzący w tawernie był naprawdę najmniejszym zmartwieniem.

Baum zerknął na mnie, bo najwyraźniej był ciekaw, jak zareaguję na bluźniercze słowa opoja, ale ponieważ nie powiedziałem nic więcej, spytał go z ciekawością w głosie:

– A powiedzcie nam, skoro jesteście tacy wymowni, jaki poznaliście sposób na to, żeby nie zachorować na dręczącą obywateli kaszlicę?

– Trzeba pić bardzo dużo gorzałki – odparł z pogodnym, pijackim uśmiechem.

– Nie wiem, czy to sposób skuteczny, ale jak sędzę, całkiem przyjemny – odparłem.

– Ano właśnie. – Klasnął i usiadł ze stęknieniem. – Pomóc może pomoże, a może nie pomoże, ale przynajmniej jak człowiek będzie musiał umrzeć, to w lepszym nastroju i z mniejszym strachem niż na trzeźwo. A zawsze miło sobie pomyśleć, że do Królestwa Niebieskiego trafimy, wesoło podśpiewując, a nie smętnie wlokąc się noga za nogą i ze skwaszoną miną.

– Jest to całkiem przyjemna myśl – stwierdziłem.

– No i ze dwie hoże dziewczki do towarzystwa – dodał. – Żeby człowiek dobrze się przy nich wypocił.

– No ba. – Uśmiechnąłem się. – Wielu pewnie zgodziłoby się nawet rozchorować w zamian za skorzystanie z takiej przyjemnej kuracji.

Pijak znowu napełnił sobie kubek gorzałką po same brzegi, łypnął na nas podejrzliwie, jakby się obawiał, że poprosimy go o poczęstunek, ale ponieważ nic takiego nie usłyszał ani nie zobaczył, uspokojony uniósł naczynie i opróżnił je tym razem w dwóch długich łykach, po których głęboko odetchnął z rozanielonym wyrazem twarzy.

– To na pewno gorzałka? – zdziwił się cicho Baum. – Ten człowiek pije ją szybciej niż my wodę.

Wstałem od stołu.

– Panie Baum, czas na mnie. Służba nie drużba. A wy? Idziecie? Zostajecie?

– Idę, idę – odparł. – Co tu będę sam siedział.

Aptekarz również wstał i tylko przed wyjściem nachylił się w stronę pijaka, który nieruchomym wzrokiem popatrywał na ścianę.

– Życzę wam sukcesów w kuracji przeciwko kaszlicy – rzucił. – Ale na przyszłość uważajcie, co i do kogo mówicie. Bo widzicie, moglibyście trafić na przykład na inkwizytora...

Miłośnik okowity podniósł na niego obojętny wzrok, zamrugał i rzekł wcale nie stropiony:

– Wy wszyscy w Cesarstwie możecie mnie w dupę pocałować, bo jestem szlachcicem i poddanym polskiego króla.

Roześmiałem się i pociągnąłem aptekarza za łokieć.

– Chodźmy, panie Baum – nakazałem.

Oczywiście w słowach pijaka była wielka, wielka przesada. Gościł na terenie Cesarstwa, więc podlegał prawom Cesarstwa, a Świętego Officjum nie obchodziło, czy był poddanym króla Polaków, czy króla Hyperborejczyków. To nie były czasy antycznego Rzymu, kiedy wystarczyło krzyknąć, że jest się obywatelem rzymskim, aby wieziono cię do stolicy przed cesarski sąd. Gdyby przyszło co do czego, to spalilibyśmy go lub powiesili, tak jak każdego, niezależnie od tego, czy podawał się za Polaka, czy nie. A na naszych stosach szlachcice palili się równie dobrze co plebejusze.



Kiedy wróciłem do Inkwizytorium, postanowiłem zajrzeć do naszej podopiecznej i przekazać jej pilną wiadomość. Nie byłem pewien, czy to, co mam do powiedzenia, jej się spodoba, a raczej, szczerze mówiąc, byłem przekonany, iż nie przyjmie tego radośnie. Ale cóż robić...

Kinga siedziała na łóżku naprzeciwko Kristiana i grali w kości. Chłopczyk chichotał, kiedy dziewczyna mocno potrząsała kubeczkiem.

– Kto wygrywa? – zapytałem.

– Któż by inny, jak nie mistrz. – Uśmiechnęła się i zmierzwiła dziecku włosy.

Usiadłem na krześle.

– Mam dobre wiadomości z domu tego małego – przeszedłem na łacinę, by dziecko mnie nie rozumiało.

– Jakie? – Twarz Kingi ściągnęła się niepokojem.

– Jego ojciec zmarł na kaszlicę. – Zaśmiałem się. – Czyż to nie urocze zrządenie losu, że spotkało go to, czego tak się bał i przez co wyrzucił z domu swojego małego synka?

Kinga milczała dłuższą chwilę.

– Czy to grzech, że cieszę się, że ten człowiek umarł? – zapytała wreszcie, podnosząc na mnie wzrok.

– Broń Boże, moja miła – odparłem. – W naszej radości spowodowanej śmiercią złych bliźnich nie ma niczego naganego, gdyż póki żyją, są dla nas, ludzi dobrych, zagrożeniem i obciążeniem. Głupi ten, kto nie cieszy się, że z jego domu zniknęło zagrożenie, a z pleców zdjęto ciężar.

Uśmiechnęła się lekko.

– Nie jestem pewna, czy nauki zakonnic szły w tym samym kierunku, co wasze – stwierdziła.

– Och, jestem inkwizytorem, więc mnie możesz wierzyć – odparłem. – Ale wróćmy do sprawy. Otóż druga wiadomość jest taka, że matka tego malca przyszła błagać, żebyśmy oddali jej dziecko...

Kinga zacisnęła usta.

– ...jak sama wiesz, nie tylko nie była winna jego wyrzuceniu, ale wręcz gwałtownie temu czynowi się sprzeciwiała, za co poniosła karę. Wydaje się szczerze oddana dziecku. Oczywiście jest nam wdzięczna, ale... – Rozłożyłem ręce. – Sama rozumiesz.

Kinga milczała tym razem naprawdę długo, wpatrzona gdzieś nad moją głowę. Cały czas jednak bezwiednie bawiła się z dzieckiem, potrząsając kubkiem i wyrzucając kości, a mały na głos liczył, ile wypadło oczek.

– Wiedziałaś, że kiedyś trzeba będzie go oddać – powiedziała smutno. – Chyba że by oboje rodzice umarli – dodała po zastanowieniu.

Oho, niezłe ziółko jest z tej dziewczyny, pomyślałem z rozbawieniem.

– Jesteś w tym wieku, że niedługo będziesz miała męża i własne dzieci – powiedziałem. – Może to doświadczenie, to, jak opiekowałaś się i bawiłaś z Kristianem, uczyni cię w przyszłości lepszą matką?

Kinga westchnęła.

– Dzieci bardzo chciałabym mieć, ale do męża wcale mi nie spieszo – odparła. – Szkoda, że porządna kobieta nie może mieć tego pierwszego bez tego drugiego. – Westchnęła znowu. – Może

kiedyś przyjdą inne czasy – dodała z nadzieją w głosie. Potem potrząsnęła głową. – Nie moglibyście czegoś zrobić?

– W sprawie męża czy w sprawie dzieci? – zażartowałem. A potem odpowiedziałem już całkiem poważnie: – Nie mogę przetrzymać dziecka w siedzibie Świętego Officjum wbrew woli jego matki, bo to wygląda, jakbyśmy porwali tego małego. Poza tym jaki to miałyby sens? Nie zatrzymasz przecież chłopca na zawsze. Nie trzeba nam dodatkowych kłopotów w tych ciężkich czasach. A kiedy wrócą moi przełożeni, z tobą samą będę miał problem, co zrobić. – Pokręciłem głową. – Pożegnaj się z Kristianem, wyjaśnij mu, że wraca do domu i znowu zobaczy mamę, a ja powiem tej kobiecie, że jutro będzie mogła odebrać synka.

– Pojutrze – rzuciła szybko Kinga.

– Dobrze. Pojutrze – zgodziłem się. – Jeden dzień nikogo nie zbawi. Chciałem wyjść, ale jeszcze na progu zatrzymały mnie jej słowa.

– Co noc śnię, że go zabijam – powiedziała. – Stoję tak, jak wtedy stałam, kiedy chwycił mnie za piersi, tylko nie policzkuję go, ale wyciągam nóż i wbijam mu go prosto w serce – mówiła z zimną zacięłością w głosie. – I potem przekręcam rękojeść tak, że rozrzynam mu to serce na połowę. A on tylko wpatruje się we mnie jak baran na rzezi...

– Kara zbyt wielka za zwykłe umizgi – odparłem.

Milczała przez chwilę.

– Macie pewnie rację – odezwała się wreszcie. – Chcę go zabić nie dlatego, że mnie znieważył, ale dlatego, że on chce zabić mnie. I dlatego, że tak bardzo się go boję.

Ostatnie słowa wypowiedziała głosem wcale nie żalonym czy przestraszonym, ale tonem tak martwym, jakby opowiadała o zdarzeniu kompletnie nieistotnym i obojętnym.

– Strach ratuje życie – stwierdziłem. – Lepiej, żebyś się bała Cassiego, niż go lekceważyła. Niech to wszystko się wreszcie skończy, a zobaczymy, co z tobą zrobić.

Mówiąc „wszystko”, miałem na myśli oczywiście kwarantannę i blokadę miasta. Niech wreszcie wrócą inkwizytorzy, uzbrojeni nie tylko w dokumenty i pełnomocnictwa, ale w orężną eskortę,

a wszystko w tym mieście wróci do normy. I wtedy też łatwiej będzie zapewnić bezpieczeństwo Kindze oraz zdecydować o jej przyszłym losie.

– Gdybym miała książkę, w której mogłabym zapisywać imiona i nazwiska ludzi, których pragnę uśmiercić. – Uśmiechnęła się nagle.
– O ileż prostsze byłoby życie!

Cóż, pomysł był wyśmienity, a ja zaręczam wam, mili moi, że prędzej zmęcząłaby się moja ręka, niż wyczerpała pamięć o imionach ludzi, bez których świat byłby lepszy. Ależ bym się napracował na chwałę Pana!

– Masz bujną wyobraźnię – powiedziałem na głos. – Gdybyś była mężczyzną, mogłoby ci to pomóc, ale skoro jesteś kobietą, lepiej trzymaj swoje fantazje na wodzy.

– A wy, jeśli śnicie, to o czym śnicie? – zapytała.

– Nie mam czasu na sny – odparłem.

Przyglądała mi się przez chwilę uważnie.

– Skłamaliście, prawda?

– Dlaczego miałbym kłamać? – zdumiałem się.

Oczywiście, że kłamałem, niemniej podejrzenie tej dziewczyny zaskoczyło mnie. Inkwizytorowi należy wierzyć, niezależnie od tego, co mówi. Zwłaszcza taka młoda dziewczka, wywodząca się z plebsu, powinna przyjmować moje wypowiedzi z szacunkiem i wiarą, będąc wdzięczną, że łaskawie zamieniam z nią słowo czy dwa... A nie powątpiewać w ich prawdziwość.

Nagle usłyszeliśmy szybkie stąpanie po schodach i równie szybkie kroki na korytarzu. Kinga zbladła i cofnęła się pod okno.

– To Ludwik, dziewczyno, to tylko Ludwik – powiedziałem uspokajającym tonem.

I rzeczywiście, kiedy drzwi się otworzyły, zobaczyliśmy poczerwieniałego z wysiłku Schoena.

– Mordimerze, pozwól ze mną, jeśli łaska – rzekł szybko.

Skinąłem głową Kindze i wyszedłem wraz z moim towarzyszem.

– Co jej powiedziałaś, że była taka przestraszona? – zapytał.

– Ostrzegalem ją raz jeszcze przed Cassim i kiedy usłyszała twoje kroki, to chyba myślała, że to jego zbiry wdarły się do naszego

domu.

Ludwik skrzywił usta w uśmiechu.

– Nowina, z którą przychodzę, jest co prawda zła, ale nie jest aż tak zła – rzekł.

Zeszliśmy na dół, przeszliśmy przez refektarz i zasiedliśmy w gabinecie.

– Jakaż to nowina? – spytałem.

– Zoll umarł – wyjaśnił.

Obróciłem się gwałtownie w jego stronę.

– Ośmielili się go przesłuchiwać bez naszej wiedzy? – spytałem z gniewem.

– Nie, Mordimerze. – Schoen wzruszył ramionami. – Po prostu umarł.

– Takie byki jak Zoll nie umierają tak po prostu, jak powiedziałeś – zaoponowałem.

– Nie wiemy na razie nic więcej – odparł. – Wiem tylko, że umarł i że nie było to w wyniku przesłuchania, ale zwyczajnie w celi...

– Przecież Cassi nie miał żadnego powodu, żeby zabijać Zolla – powiedziałem. – Wręcz przeciwnie, skoro miał go wykorzystać przeciw miastu, to powinien dbać o niego jak o własnego brata.

– Jeżeli to nie była śmierć z powodów naturalnych, to myślę, że właśnie sam odpowiedziałeś sobie na pytanie, kto zabił Zolla – stwierdził Ludwik. – Czyż zawsze nie pytamy w ślad za Rzymianami: *cui bono*?

– Daj mi spokój z Rzymianami – burknąłem. Potem zastanowiłem się chwilę. – Czyli to rajcy kazali go zabić. – Pokręciłem głową. – Oczywiście, że kiedy ucieka się przed wilkami, to z sań wyrzuca się najslabszego. A Zoll teraz i tutaj, w tej sytuacji, był najslabszy. I w dodatku zagrażał każdemu z nich.

– Właśnie tak – zgodził się ze mną Ludwik.

Wtedy też opowiedziałem mu o spotkaniu z przedstawicielem tongów i o tym, że zleciłem organizacji usunięcie świadków oskarżenia. Schoen wysłuchał spokojnie mojej relacji, a potem pokręcił głową.

– Wybacz, że to mówię, Mordimerze, ale postąpiłeś nieracjonalnie. Kazałeś usunąć kilku świadków zamiast jednego, decydując się na działania skomplikowane zamiast na działania proste. Nie zdziwiłbym się więc, jeśli bym usłyszał, że to nie rajcy, ale tongi zamordowały Zolla.

– Też mi to przyszło do głowy – mruknąłem.

– Postąpili słusznie. – Skinął głową. – Wiesz o tym, prawda?

Wzruszyłem ramionami.

– Wiem – odparłem. – Po prostu uznałem, że życie uczciwego miejskiego rajcy jest więcej warte niż życie sześciu głupich dziwek, które w dodatku kłamliwie go oskarżają o zbrodnie, których nigdy nie popełnił.

Ludwik rozłożył ręce.

– Chętnie się z tym zgodzę – odparł. – Niemniej usunięcie Zolla było poręczniejsze. Chciałeś, aby nie można było wysunąć oskarżeń przeciwko mieszczanom, i zapewniono ci to. Co prawda tongi doszły do tego inną drogą, lecz co najmniej równie skuteczną.

Westchnąłem.

– Wszystko się niby zgadza – odparłem. – Cóż, świeć Panie nad jego duszą – powiedziałem, myśląc o Zollu, a Ludwik przeżegnał się uroczyście.

– Lubiałem go – rzekł szczerze. – Świetną połędwicę nam przysyłał co tydzień, naprawdę świetną...

– I co stanie się dalej? Kto jest następny na liście? – zapytałem.

Ludwik zastanawiał się przez niedługą chwilę.

– Nie będą nic zmieniać. Każą tylko dziwkom opowiadać, że w tych orgiach ktoś towarzyszył Zollowi. Któryś ze znacznych mieszczan. A może i dwóch albo trzech, żeby nie narażać się, że ktoś znowu zabije im jedyne świadka.

– Czyli zacznie się?

– Tak, Mordimerze. Moim zdaniem dopiero teraz zacznie się zabawa na całego.

Pokiwałem głową, gdyż zgadzałem się z tym smutnym przewidywaniem przyszłości. Nadzieja pozostawała tylko w jednym: że Święte Officjum zdoła zlikwidować blokadę Weilburga, zanim

śledztwa rozpętają się na dobre. I tak byłem już zdziwiony, że tyle dni pozwalano księciu biskupowi panoszyć się w okolicy i wprowadzić kwarantannę, która obowiązywała nawet inkwizytorów. Szczerze mówiąc, nie wiedziałem, co o tym sądzić, chociaż rozumiałem również, że przecież Inkwizytorium nie załatwia spraw w ten sposób, iż w razie konfliktu z jednym czy drugim możnowładcą posyłamy zbrojnych, by przełamać jego opór. Nie, my posługujemy się kościelnymi i cesarskimi dokumentami, gdyż od dawna nie krew, lecz inkaust są naszą główną bronią. A jeśli w jakimś krytycznym już wypadku naprawdę potrzebujemy armii, to zaręczam wam, mili moi, że szybko jesteśmy w stanie taką zebrać. Gdyż nigdy i nigdzie nie brakuje z jednej strony doświadczonych żołnierzy chętnych służyć za złoto, a z drugiej strony każdy arystokrata ma przecież wrogów i kiedy pojawia się wizja uszczknięcia czegoś z jego dóbr, to ci wrogowie chętnie korzystają z okazji. *Divide et impera* – ta nieśmiertelna zasada starożytnych Rzymian pozostawała cały czas w mocy i to właśnie ona wyznaczała drogi tym, którzy chcieli kierować losami swoich bliźnich.

– Nie wiem, dlaczego Officjum jeszcze nie skończyło z tym szaleństwem – powiedział z rozgoryczeniem Ludwik, jakby czytając w moich myślach.

– Widać biskup dobrze się przygotował do batalii i dobrze się zabezpieczył – odparłem.

Schoen pokręcił głową i ciężko westchnął.

– Tak czy inaczej, narzekania nic nam nie pomogą, prawda? Zostaliśmy z tym bałaganem sami i sami musimy sobie dać radę.

– Z Bożą pomocą tak właśnie się stanie – odrzekłem silnym głosem i poklepałem mojego towarzysza po ramieniu. – Jestem przekonany, że nawet jeśli opuścili nas przełożeni, to nie opuścił nas Bóg. – Uśmiechnąłem się szeroko. – A czyż trzeba nam cokolwiek więcej, żeby zwyciężyć?

– A jak dopomożemy Bogu? – spytał.

– Na razie rozpuście wieści, że Cassi kazał zamęczyć Zolla na śmierć, gdyż Zoll nie chciał kłamliwie zeznawać przeciwko innym mieszczanom – zdecydowałem.

– Tak, to się przyda – skinął głową Ludwik, a potem dodał: – W ogóle dzisiaj przychodzą same złe wieści dla miasta i mieszczan.

– A co się znowu stało?

– Umarła Regina Kessler – wyjaśnił, westchnął i przeżegnał się. – Panie świeć nad jej duszą, bo to była dobra kobieta.

– Regina Kessler to ta świątobliwa żona rajcy Kesslera, czyż nie?

– Ta sama – przytaknął Schoen.

– Kaszlica?

– Boże broń – pokręcił głową Ludwik, a potem dodał po zastanowieniu: – Choć może i lepsza byłaby kaszlica niż śmierć z ludzkiej ręki.

– Zamordowano ją? – zdziwiłem się, bo wiedziałem, że Regina Kessler cieszy się wielkim szacunkiem plebsu, gdyż była nie tylko bardzo bogata, ale też niezwykle hojna i z tego, co wiedziałem, okazywała ludziom biednym i nieszczęśliwym prawdziwą troskę, a nie jedynie pozorowaną.

– Była ze służącą w sukiennicach, tam ktoś ją potrącił, od słowa do słowa doszło do sprzeczki. – Ludwik wzruszył ramionami. – Wiesz, w tym upale ludzie wariują z byle powodu. No a potem ten mężczyzna ją popchnął – kontynuował opowieść. – A ona upadła i uderzyła głową w kant muru. Nawet nie zipnęła. Od razu... – machnął ręką – koniec.

Milczałem przez chwilę.

– Kim był ten człowiek?

– A diabli go wiedzą. Z tego, co mi mówiono, uciekł przestraszony, jak tylko Kesslerowa się przewróciła. Nawet jak podejrzewam, nie wiedział, że ją zabił.

– Pewnie nie – zgodziłem się z nim, a potem znowu chwilę milczałem.

– Ty i Heinrich powiecie swoim ludziom na mieście, że to żołnierz Cassiego zabił Reginę Kessler. Niech rozgłoszą tę wieść wszystkim sąsiadom i znajomkom.

Ludwik uśmiechnął się samymi kącikami ust i skinął głową.

– I że zrobił to, żeby zastraszyć mieszczan, żeby tym bardziej byli powolni jego planom – dodałem. – A także dlatego, że opowiadano

mu o dobroci i bogobojności Kesslerowej, a on nie mógł tego znieść z zawiści.

Ludwik podniósł palec wskazujący.

– Dobrze! – pochwalił. – Niech zło będzie złem w każdym calu...

– Mam nadzieję, że ta opowieść urośnie na mieście niczym fala. – Tym razem i ja się uśmiechnąłem.

– A jeśli z owej fali narodzi się sztorm? – zapytał Ludwik już poważnie.

Nie były to obawy bezprzedmiotowe, bo historia nie raz i nie sto razy pokazywała, że plebs, pod który od dawna podkładano ogień, potrafi wybuchnąć właśnie z powodu, że aresztowano lub zabito kogoś przez pospólstwo cenionego i lubianego.

– Trudno – powiedziałem. – Zaryzykujmy, bo taka okazja już nam się nie trafi.

Potem milczałem przez chwilę, aż wreszcie podniosłem znowu wzrok na Ludwika.

– Poziom rzeki bardzo opadł, prawda?

– Jak to w suszę. – Wzruszył ramionami. – Nie ma się czemu dziwić...

– Rozgłoście więc przy okazji, że na wysokości Pałacu Małp w mule odkrytym po cofniętym brzegu rzeki znaleziono dwie martwe młode dziewczyny. Obie były okrutnie pogryzione, a ślady wskazują na to, że były to zęby człowieka.

Schoen zagwizdał.

– Tak zrobimy, jeśli sobie życzysz.

– Przed śmiercią oczywiście je pohańbiono – dodałem. – Dwie dziewczynki, tak młode, że ledwo w tym roku wyszły z lat dziecięcych. Matka jednej z nich powiesiła się z rozpacz, kiedy zobaczyła ciało córki...

– Zaręczam ci, że miasto będzie płakać rzewnymi łzami po tych biednych dziewczętach, chociaż nigdy nie istniały – obiecał z uśmiechem Ludwik.

Obaj przecież świetnie pamiętaliśmy, że prawdziwe informacje o tym, że archidiakon nie tylko lubi kobiety, ale lubi je za mocno

gryźć podczas miłosnych zapasów, były już wcześniej na mieście powtarzane.

– Dyskredytujcie przeciwnika, podrywajcie jego dobre imię i w odpowiednim momencie rzućcie go na pastwę pogardy rodaków – rzekłem z uśmiechem, cytując jakieś znane mi dzieło, którego jednak autor oraz tytuł umknęły mojej pamięci[21].

– Bardzo słusznie – odparł Schoen, krzywiąc usta. – Tak właśnie należy czynić.



Od śmierci rajcy Zolla minęły dwa dni i na razie w sprawie dalszych procesów nie działo się nic, co mogłoby mnie zainteresować. Podejrzewałem, że aresztowane dziwki są uczone nowych zeznań, i byłem wściekły, iż tongi nie wykonały mojego polecenia i nie zabiły tych kobiet. Trudno, może likwidacja Zolla była rzeczywiście posunięciem logicznym i słusznym z punktu widzenia interesów miasta, ale przecież pozbycie się ladacznic, które zaraz wybiorą sobie kolejną ofiarę (czy raczej ta ofiara zostanie im wybrana i podpowiedziana przez ludzi archidiakona), byłoby działaniem ze wszech miar przydatniejszym.

To, że Cassi na razie zamilkł, nie znaczyło oczywiście, że mogliśmy nic nie robić. Przyjmowaliśmy raporty, wydawaliśmy polecenia, a także patrolowaliśmy ulice, nie tyle szukając ognisk herezji, ale po prostu miejsc i ludzi, którzy mogliby spowodować szkody dla miasta, tak jak zdarzyłoby się to w przypadku tragicznie zmarłego i nieodżałowanego kanonika Speichela. Powiedzieć, że włóczęga po zaułkach tego pieca chlebowego (a może wręcz pieca hutniczego!), jakim był Weilburg, sprawiała mi przyjemność, byłoby oczywiście grubym i bezczelnym kłamstwem. Ja starałem się po prostu nie okazywać wszystkim wokół, jak wielką nieprzyjemność sprawia mi konieczność opuszczania naszej kamienicy.

W czasie jednego z tych spacerów po mieście spotkała mnie historia na poły żalсна, na poły tragiczna, a na poły nawet zabawna,

o której warto chyba wspomnieć, by pokazać, jak daleko sięgały głupota oraz szaleństwo. Zresztą czy zawsze ludzie byli tacy durni, czy teraz upał i epidemia podsyściły ich durnowatość niczym suche próchno rzucone w ogień – doprawdy trudno mi powiedzieć. W każdym razie cała sprawa zaczęła się tak, że zmierzając w stronę apteki Bauma, nagle usłyszałem tubalny głos.

– Mistrzu inkwizytorze!

Odwróciłem się. Zobaczyłem, że woła mnie strażnik miejski, którego znałem z widzenia. Był to chłopak wielkiej postury i jak wskazywał niezbyt rozgarnięty wyraz twarzy, raczej niewielkiego umysłu. Przy tym wszystkim był jeszcze bardzo młody, nie miał nawet zarostu na policzkach, a tylko kłaczki tu i ówdzie, świadczące o tym, że usilnie stara się wyhodować brodę, która nadałaby jego obliczu powagi.

– Mistrzu inkwizytorze, pozwólcie, z łaski swojej – zawołał raz jeszcze, tym razem starając się w swój potężny głos wpleść nutę pokornej prośby.

Zainteresowało mnie, czego może chcieć ten człowiek, a także dlaczego nawołuje mnie od bramy, a nie sam podbiegnie do mnie, jak nakazywałby szacunek. Wiedziałem, że musi sobie zdawać sprawę z przepaści, jaka nas dzieli, więc najwyraźniej w miejscu trzymała go nie głupota lub lekceważenie, lecz służbowy obowiązek.

– Cóż to się stało? – zapytałem, podchodząc.

– Najpokorniej upraszam waszą wielmożność o wybaczenie – rzekł, pochylając głowę. – Ale kazali mi tu stać i ani krokiem się nie ruszać, póki nie przyjdzie oficer, a oficera jak nie ma, tak nie ma. Sam jeden zostałem...

– A w czym ja ci mogę pomóc? – przerwałem mu.

– Mamy tu martwą kobietę – wyjaśnił pospiesznie, jakby bał się, że zamierzam mu uciec, ale słowa o trupie zachęcały mnie do zostania.

– Smutna sprawa. – Wzruszyłem ramionami. – W mieście umiera coraz więcej ludzi. Wola Boża.

– Tylko coś mi się widzi, że ona nie na kaszlicę umarła. – Potrząsnął kudłatym łbem. – I dlatego mój kolega, taki jeden

Dietrich, pobiegł po oficera. No ale nie ma ani Dietricha, ani oficera, a ja tu czekam jak kto głupi...

– I co ja mam z tym wspólnego?

– Może wy byście, za waszym przeproszeniem, zbadali, co się stało? Przecież Święte Officjum zawsze wszystko wie – dodał, spoglądając na mnie wzrokiem chytrze przypoehlebny.

– Mój drogi chłopcze... – zacząłem, aby mu odmówić, ale potem pomyślałem sobie, że skoro ten osiłek o niezbyt lotnym umyśle zwęszył coś niezwykłego, to może sprawa okaże się w jakiś sposób ciekawa albo chociaż uciezna i odsunie moje myśli od ciągłego użalania się nad tym, że w Weilburgu smażyć się niczym mięso na rozpalonej blasze. – Prowadź w takim razie do tego trupa – dokończyłem, a strażnik się rozpromienił.

– Najpokorniej wam dziękuję, mistrzu inkwizytorze, najpokorniej dziękuję. To, wiecie, za waszym przeproszeniem, jest moja rodzina. Bo moja ciotka miała córkę i już jako wdowa wyszła za mąż za takiego Hansa, mistrza farbiarskiego, no a ten Hans...

Nie słuchałem dalej, co plecie ten człowiek, a jego słowa gdzieś tam brzmiały w powietrzu i niby nawet trafiały do moich uszu, lecz starałem się, by nie przeszkadzały mi i nie kłopotowały moich myśli bardziej niż uliczny gwar czy rzenie koni ciągnących przejeżdżający wóz.

W progu kwatery stał brzuchaty, siwowłosy mężczyzna odziany na czarno (ale raczej dostatnio niż ubogo), na jego wyraźnie czerwonej twarzy gościł wyraz poirytowania.

– Wreszcie! – zakrzyknął, widząc nas. – Przylazłeś, niecnoto – zawarczał w stronę strażnika. – A wy kim jesteście? – zwrócił się w moją stronę. – Doktorem? Nie znam was...

– Mordimer Madderdin, inkwizytor – odparłem obojętnie. – Poproszono mnie, żebym zajął się waszą sprawą i wybawił was od kłopotu.

Przez chwilę zagapił się na mnie ze zdziwieniem i niezrozumieniem, ale wreszcie otrząsnął się.

– Mistrzu inkwizytorze, ten człowiek zabrania mi wezwać wóz doktorów! – zawołał z oburzeniem. – Na miłość Boga, pomóżcie mi!

Wozami doktorów nazywano nie wiedzieć czemu furmanki, na które zbierano zwłoki chorych na kaszlicę i wywożono je w najdalsze miejsce, na jakie pozwalały granice wytyczone przez kwarantannę. Tylko widzicie, mili moi, w ten sposób robiono z ludźmi bezdomnymi, żebrakami, indywiduami niewiadomego pochodzenia. Natomiast jeśli ktoś miał rodzinę, to jego bliscy zazwyczaj pragnęli pogrzebać go z szacunkiem, na cmentarzu. Władze miasta cały czas nie potrafiły się zdecydować, czy zezwalać na zwyczajne pochówki, czy też, jak w wypadku czarnej śmierci, rozkazać wywozić i palić zwłoki jak najdalej od zabudowań. Uznano w końcu jednak, że kaszlica, chociaż oczywiście nieprzyjemnie niebezpieczna, nie ma co ukrywać, jest dużo mniej groźna od czarnej śmierci. A ludzie byliby jeszcze bardziej podenerwowani, gdyby nie pozwolono im chować bliskich. Ustalono więc, że ciała bezdomnych łazęgów czy żebraków będzie się grzebać we wspólnych głębokich mogiłach na samym niezamieszkanym skraju miasta, tak samo również będzie się postępować, jeśli rodzina wyrazi podobne życzenie, chcąc jak najszybciej pozbyć się nieboszczyka. No i najwyraźniej w tym wypadku człowiek, w którego domu żeśmy gościli, takie właśnie życzenie wyrażał. I jeszcze o jednej ważnej sprawie muszę napomknąć. Otóż ojcowie naszego miasta, ludzie doświadczeni praktyką życiową, słusznie uznali, że pozwolenie na szybkie załadowanie zwłok na wóz, wywiezienie ich i zakopanie we wspólnej mogile może stać się pretekstem do nadużyć i służyć nie tylko do ukrycia wypadków, ale przede wszystkim do zatajenia zbrodni przeciwko szóstemu przykazaniu. Dlatego też w przypadku, w którym uczestniczyliśmy, śmierć z powodu kaszlicy powinien potwierdzić lekarz albo przynajmniej felczer, albo w najgorszym już razie funkcjonariusz straży miejskiej.

– Ponieważ zaistniało podejrzenie, że przyczyną śmierci waszej żony nie była kaszlica, pozwólcie, że przyjrę się nieboszczce. Wam też to dobrze zrobi, żeby żaden niechętny sąsiad przypadkiem was nie pomawiał o żadną przewinę.

– Ależ po co, po co... – Zamachał szybko rękoma. – Nie kłopotcie się z mojego powodu. Już, już, poczekam spokojnie na oficera albo

doktora, nie ma powodu, żeby...

– Za dużo gadacie – przerwałem mu zimno. – Prowadźcie do pokoju, gdzie leżą zwłoki.

Strażnik parsknął z satysfakcją i nie czekając, aż gospodarz nas poprowadzi, ruszył naprzód i odgarnąwszy zagradzającego mu drogę mężczyznę, wszedł do środka. Poszedłem w ślad za nim, a mieszczanin chcąc nie chcąc, mamrocząc coś z wyraźną irytacją, podreptał za nami.

Oczywiście nie zakładałem winy tego człowieka. Tak jak równie oczywiście nie zakładałem jego niewinności. Może chciał się pozbyć ciała, bo był skąpy i żałował pieniędzy na pochówek? A może nienawidził swojej połowicy i cieszył się myślą, iż po śmierci spocznie ona w zbiorowej mogile, wypełnionej żebrakami i biedakami, a nie w rodzinnym grobowcu? Któż to mógł teraz i tutaj stwierdzić bez wątpliwości? Wiedziałem jednak, że kiedy obejrzę zwłoki, najpewniej poznam prawdę. Bo my, inkwizytorzy, może nie byliśmy tak biegli w sztuce medycznej jak najuczeńsi doktorowie, ale jednak umieliśmy odróżnić człowieka zmarłego na kaszlicę od takiego, któremu rozłupano łeb żelazną pałąką.

Weszliśmy do kuchni, a tam na podłodze leżała kobieta obrócona twarzą do ziemi.

– No i tak to właśnie umarła, biedulka, na kaszlicę – westchnął gospodarz, spoglądając na ciało żony.

Podszedłem do zwłok, ukucnąłem (nie zważając na krzyk męża: „ależ nie zbliżajcie się, bo zabójcze fluidy na was przejdą!”) i ostrożnie przewróciłem je na plecy. Krew, którą zobaczyłem, mogła oczywiście wziąć się z powodu szczególnie mocnego ataku kaszlu, bo wtedy rzeczywiście ludzie soplwali czerwoną plwociną. Przeczył temu jednak fakt, że tej krwi było zdecydowanie za dużo. Wsiąkła ona w suknię i szal kobiety. Ująłem w palce rąbek szala i uniosłem. Zobaczyłem, że ofiara ma przecięte gardło. Równo i głęboko, widać ranę zadano naprawdę ostrym narzędziem, a sprawca przeciągnął nim zdecydowanie i mocno. Wstałem.

– Poderżnięto jej gardło – oświadczyłem.

Mąż zmarłej ściągnął usta i milczał chwilę. Potem wzruszył ramionami.

– Niemniej wcześniej kaszlała – stwierdził dobitnie. – A nie mogąc wytrzymać tych bolesnych spazmów, wreszcie sama, powodowana rozpaczą, podcięła sobie gardło. – Poruszył ramionami jeszcze raz. – Dlatego wyjaśniałem wam, że umarła biedulka na kaszel, bo takie jest zgodne z logiką tłumaczenie.

Skinąłem głową.

– Oczywiście macie rację – przyznałem. – Ciekaw jestem, gdzie podział się nóż, którym dokonała tego rozpaczliwego i grzesznego uczynku? – zapytałem.

Mężczyzna spoglądał na mnie z półotwartymi ustami i dłuższą chwilę wyraźnie zastanawiał się nad odpowiedzią.

– Zapewne odrzuciła go ze zgrozą i w spazmie bólu, kiedy dokonała już owego strasznego czynu.

Znowu pochyliłem głowę.

– Tak, tak właśnie mogło być, jak przypuszczacie – zgodziłem się. – Dziwne tylko, że ów zakrwawiony nóż, odrzucony zakrwawioną również dłonią, nie pozostawił, lecąc, nawet najmniejszej kropli na jasnej podłodze. – Potem rozejrzałem się z ostentacyjną uwagą po całym pomieszczeniu. – No i gdzież podział się sam nóż?

Zawiesiłem wzrok na wdowcu.

– Jak sądzą? – zapytałem. – Gdzie podziało się owo grzeszne ostrze, które zakończyło żywot waszej żony?

Mieszczanin zerknął w stronę okna, ale ponieważ było ono zamknięte, trudno mu było powiedzieć, że nóż cudownym sposobem przeleciał przez szyby, nie wytłukując ich. Albo że kiedy już znalazł się na ulicy, zawrócił, by uprzejmie zamknąć za sobą przejście.

– Tutaj! Tutaj! – zakrzyknął, otwierając szufladę i z triumfem wyciągając okazałych rozmiarów nóż chlebowy z drewnianym trzonkiem.

Zbliżyłem się i wyjąłem rękojeść z jego dłoni. Przyjrzałem się uważnie.

– Ha! A więc nóż ten wysunął się z rąk waszej umierającej żony, wpadł, jak sądzę, do miednicy z wodą, żeby obmyć się z krwi, osuszył się i zaraz potem wleciał wprost do szuflady, którą następnie za sobą zamknął... – Spojrzałem na mężczyznę, który nie był już teraz wściekle czerwony jak w chwili, kiedy go spotkałem, lecz raczej dziwnie pobladły. – Niezwykłe zachowanie, jak na zwykły nóż – zauważyłem.

– Demoniczna siła – zaszeptał i przywarł plecami do ściany. – Bóg was zesłał, mistrzu inkwizytorze, Bóg was zesłał, powiadam wam. Demon jakiś zamieszkał w naszym domu. O nieszczęsne miasto. – Uniósł ramiona wysoko, a jego głos poszybował niemal w rejestry rozpaczliwego lamentu żałobnego wyśpiewywanego przez zawodową płaczkę. – O nieszczęsne miasto, w którym demony panoszą się niczym...

Dałem znak strażnikowi i chłopak okazał się nie tylko chętny, ale zdumiewająco pojętny, by moje wydane gestem polecenie nie tylko wykonać, lecz w dodatku zrobić to z wielkim zapałem. Otóż dwoma szybkimi, długimi krokami zbliżył się do rozpaczającego gospodarza i przydzwonił mu tak z otwartej dłoni w ucho, że ten od impetu, a zapewne również zdumienia, ogłuszenia i bólu, nie tylko natychmiast umilkł, lecz z łomotem i jękiem upadł na kolana.

– Od tej pory będziecie się odzywać tylko wtedy, kiedy was o coś zapytam – rzekłem twardo. – Zrozumieliście?

Strażnik chwycił go za włosy i podciągnął mu głowę do góry, tak by mężczyzna mógł na mnie spoglądać.

– Zrozumieliście? – powtórzyłem łagodniej. – I chciałbym jeszcze dodać, że za gadanie bez pytania będziecie karani, ale za brak odpowiedzi na zadane przeze mnie pytanie będziecie karani również. Boleśnie oraz surowo. Zrozumieliście? – znowu zaostrzyłem ton.

– Zrozumiałem, mistrzu inkwizytorze, zrozumiałem – wyjęczał, a oczy miał szeroko otwarte i rozbiegane.

– No więc opowiedz mi rozumnymi słowami oraz zgodnie z prawdą, co tu się wydarzyło – nakazałem.

Przełknął głośno ślinę i wybałuszył na mnie oczy.

– Mistrzu inkwizytorze, przysięgam wam, że to musiał być demon. – Złożył dłonie jak do modlitwy i tak mocno ścisnął palce, aż mu chrupnęły kości. – Ja wiem, że potraficie odganiać te piekielne bestie, i jestem gotów, jestem gotów... opłacić egzorcyzmy. – Wpatrywał się we mnie z nadzieją. – Zapłacę, ile będzie trzeba, żeby tylko pomścić moją biedną Kasieńkę, moją żoneczkę ukochaną, serduszko moje, światełko mojego życia... I niech już zazna wiecznego spokoju niebożatko...

Zawsze mówiłem, iż na świecie jest wielu ludzi, którym strach dodaje wyjątkowej swady, a praktyka inkwizytorska potwierdzała to nader często naocznymi obserwacjami. Nie zdążyłem jednak nic odpowiedzieć na tę zapakowaną w ładne pudełeczko bezczelną propozycję łapówki, kiedy usłyszeliśmy huk drzwi od kamienicy, ciężkie stąpanie po schodach i przekleństwa wypowiedane gromkim oraz wściekłym głosem, na które to przekleństwa ktoś strachliwie odpowiadał zduszonym poszeptywaniem.

– Horst Geiger – wyjaśnił strażnik. – Nasz oficer znaczy – dodał.

I zaraz potem rzeczony Horst Geiger wszedł z łomotem podkutych butów do kuchni, w której wszyscy staliśmy. Był to mężczyzna potężny, brzuchaty, o twarzy zmiętej jak niewygarbowana skóra, a teraz czerwonej od wysiłku i z wściekłości. Oczy miał sine i podbite, włosy długie i przetłuszczone, a wokół niego rozchodził się odór trunku, szczególnie nasilający się przy każdym sapnięciu oraz odetchnięciu. Przystanął, rozejrzał się po pokoju, mnie niemal całkiem omijając wzrokiem, a dłużej zatrzymując spojrzenie na klęczącym mężczyźnie i trzymającym go strażniku.

– Na gwoździe i ciernie! – zawarczał wreszcie wściekle. – Na obcięty łeb Tyberiusza, co tu się w ogóle wyprawia!?

– Pozwólcie, że wytłumaczę... – odezwałem się uprzejmie, ale nie zdążyłem nic dodać, bo Geiger szybko zwrócił twarz w moją stronę.

– A wy to niby kto, na wyprute flaki Heroda? – zawarczał.

– To mistrz Madderdin, inkwizytor – wyjaśnił młody strażnik głośno i z wyraźnym zadowoleniem, zanim ja sam zdążyłem odpowiedzieć.

Oficer zamrugał szybko i potrząsnął głową.

– Inkwizytor? Jesteście inkwizytorem? – zapytał niepewnym już głosem.

Powiódł niespokojnym spojrzeniem po pokoju, jakby spodziewał się, że ktoś lub coś będące w nim pomoże mu w tej sytuacji, w jakiej się znalazł, i podpowie, co ma właściwie robić dalej.

– Ach tak – rzekł wreszcie już spokojnie i przetarł wierzchem dłoni spocone czoło. – Tak, tak, to dobrze. A co właściwie tu robicie? – zapytał. – Za waszym pozwoleniem, mistrzu inkwizytorze, jeśli wolno spytać – dodał szybko.

– Dzięki waszemu podwładnemu – ruchem głowy wskazałem strażnika – natknąłem się na żonobójcę. A co z nim zrobić dalej, to już wasza sprawa i potem sądu.

– Nie jestem żadnym żonobójcą, na miecz Pana! – zajęczał gospodarz, ale strażnik palnął go dłonią w ucho, więc zaraz umilkł.

– Żonobójca – powtórzył oficer, a potem znowu potrząsnął głową i zaraz potem syknął z bólu, bo widać jego skacowany czerep nie chciał znosić podobnego traktowania. – A po czym to wnioskujecie, jeśli wolno wiedzieć?

– Po poderżniętym gardle żony – odparłem.

– To ona zrobiła, ona sama! Nie mogła już wytrzymać kaszlu! – zakrzyczał morderca. – Sami wiecie, jak jest teraz w naszym mieście, jak ludzie ogromnie cierpią!

Oficer podrapał się po głowie i spojrzał w jego stronę.

– To już instygator z wami wyjaśni – zdecydował. – No dobrze, zabierajmy go do lochów.

Zbliżył się o krok do płaczącego teraz mężczyzny, który szlochając, rozcierał łzy po policzkach.

– Nie próbuj rozrabiać ani uciekać – ostrzegł. – Bo jestem dzisiaj w kiepskim humorze. Do piwnicy pójdziesz tak czy siak, ale od ciebie zależy, czy wylądujesz w niej w jednym kawałku.

To były akurat całkiem roztropne słowa i rzeczywiście owo ostrzeżenie mogło wszystkim zaoszczędzić wiele kłopotów, a aresztowanemu również wiele przykrości.

Dalej wszystko potoczyło się tak, jak już potoczyć się powinno, i morderca wraz ze strażnikami zeszli przed kamienicę. Geiger zwrócił się jeszcze do mojego strażnika.

– Zostań tu, mały, i pilnuj – rozkazał. – Ktoś musi po ciało przyjść. – Potem pogroził mu palcem. – I żeby domu nikt nie rozkradł, jak nas nie będzie.

Geigerowi nie chodziło, rzecz jasna, o to, by nie naruszono majątku mieszczanina, który przecież i tak był już tylko żywym, chodzącym, a w tej chwili żałośnie płaczącym trupem. Chodziło mu o to, że sam miał pewnie chrapkę na jakieś sprzęty z domu mordercy, a gdyby nie zostawił nikogo na straży, sąsiedzi rozkradliby wszystko, zanim zdążyłby wrócić. Tak więc się stało, że znowu zostaliśmy tylko we dwóch.

– Dobrze się spisałeś, chłopcze – pochwaliłem go. – Gdyby nie ty, to kto wie czy zabójca nie uszedłby kary.

– Jakże to tak można? – westchnął. – Własną żonę...

Uśmiechnąłem się kątem ust.

– Dorośniesz, to zrozumiesz – rzekłem. – Mnie jednak zawsze zastanawia, dlaczego ludzie są czasami takimi idiotami, że nie chce im się nawet zachować pozorów, kiedy popełniają zbrodnię? Że wydawać by się mogło, że nawet nie powtórzyli sobie na głos tłumaczeń, których użyją. Bo gdyby tak uczynili, to chyba nawet oni sami pomimo umysłowej tępoty zrozumieliby, jak bardzo nie mają szans nikogo przekonać wygadywanymi kłamstwami. – Wzruszyłem ramionami.

Bardziej ten monolog wygłosiłem do siebie samego niż do niego, ale chłopak gorliwie pokiwał głową.

– Ach, mistrzu inkwizytorze – odezwał się z nabożnym szacunkiem – jakże ja bym chciał być taki jak wy. – Złożył dłonie jak do modlitwy. – Ale co zrobić? – Teraz westchnął i rozłożył bezradnie ręce, a twarz ściągniętą miał smutkiem. – Może ja głupi jestem, ale nie na tyle głupi, żeby nie wiedzieć, że przecież jestem za głupi na inkwizytora i że za wysokie to dla mnie progi.

To było całkiem zręczne zdanie i widać, że umysł strażnika może nie mknął niczym sanie po lodzie, ale też nie grzązł niczym wóz

w bagnie. Poklepałem go po ramieniu końcami palców.

– Panu Bogu i Świętemu Officjum można służyć, nie tylko będąc funkcjonariuszem Inkwizytorium – objaśniłem. – Bóg w swojej mądrości wybiera dla nas, ludzi, wiele dróg, na których możemy Mu dobrze usłużyć. Jestem pewien, że i dla ciebie zostanie wybrana właściwa ścieżka.

Spojrzał na mnie z wyraźną wdzięcznością we wzroku.

– Naprawdę tak myślicie? Że na coś się przydam?

Uśmiechnąłem się lekko.

– Tylko Bóg widzi i zna przyszłość – odparłem. – Ale widząc twój szczerzy zapał usłużenia, być może w swej łasce otworzy przed tobą drogę, abyś mógł z pożytkiem dla wszystkich osiągnąć to, o czym marzysz.



Inkwizytorium miało oczywiście swoich informatorów. Niektórych płatnych, niektórych zaangażowanych dzięki strachowi, a niektórych pomagających nam wskutek szczerzej pasji przypodobania się tak potężnej instytucji jak ta reprezentowana przez nas. Jeszcze inni, jak mniemam, chętnie z nami rozmawiali, gdyż pragnęli po prostu, by ktoś ich z uwagą wysłuchał. Ani nie chcieli żadnych pieniędzy, ani żadnych przysług, ot, wypić szklaneczkę wina i pogawędzić. Może zresztą mieli nadzieję, kto wie, że taka znajomość kiedyś im się opłaci i gdy przyjdzie co do czego, to inkwizytor zakrzyknie: „Hej, hej, ostawcie go w spokoju, to mój znajomek, gawędziliśmy sobie nie raz”. Jeśli tak właśnie sądzili, popełniali błąd w ocenie, gdyż inkwizytorów uczono, by tak samo traktowali obcych, jak i przyjaciół, bogatych, jak i biednych, kobiety, jak i mężczyzn. Można powiedzieć, iż w naszym pełnym nierówności świecie mieliśmy być tymi, którzy traktują wszystkich ludzi jak równych. Bo tak to już było pod inkwizytorskim słońcem, że na stosie każdy płonął tak samo: biedny i bogaty, stary i młody, kobieta i mężczyzna, zwolennik popularów i sojusznik optymatów.

Wobec mocy oczyszczającego ognia każdy pozostawał jedynie tym, czym był od narodzin: grzesznikiem. Tak więc, jak już wspomniałem, liczenie na znajomość z inkwizytorem było kruchą inwestycją, chociaż nie ma się co oszukiwać, mili moi, inkwizytorzy byli tylko ludźmi ze wszystkimi przywarami i zaletami naszego gatunku. Dlatego oczywiście zdarzało się, że niektórzy z nas na bliźnich sobie miłych i znajomych spoglądali przychylniej, niektórzy z nas z kolei przychylniej patrzyli na bogaczy mających ciężką kiesę, zwłaszcza kiedy ci łączyli majątność ze szczerym zapalem w podzieleniu się jej ciężarem.

Ale wracajmy do oberży. Mężczyzna, który przysiadł się do mnie i Ludwika, był w wieku średnim, średniego wzrostu i odziany średnio dostatnio. Ot, wyglądał na zwyczajnego mieszczanina, który żyje spokojnie i umrze równie spokojnie, a już niedługo po jego śmierci nawet bliscy znajomkowie z trudem przypomną sobie, kim był i co robił.

– Co tam słyhać w naszym narodzie? – spytałem życzliwie i napełniłem mu kubek po brzegi winem. – O czym się ostatnio najczęściej i najchętniej gada?

– O czymże innym, jak nie o kaszlicy? – Wzruszył ramionami.

Ale jakoś tak oczy mu przy tym błysnęły, iż byłem pewien, że ma dla nas przygotowaną specjalną historyjkę i aż język go świerzbi, by ją czym prędzej opowiedzieć.

– To wiadomo – wtrącił Ludwik. – Teraz ludziska już ciągle, zamiast pogadać sobie o tym i owym, tylko gadają o chorobie. A ty już chorowałeś? A twoi chorowali? – zaczął dopytywać teatralnie piskliwym, natrętnym głosem. – A co zrobisz, jak zachorują? A znasz może jakiś pewny lek? A...

– Nic dziwnego, że gadają o tym, co ich gnębi i boli oraz czego się boją – przerwałem mu. – Może takie gadanie oswaja ich po prostu ze strachem...

– O, to na pewno pomaga. – Ludwik uniósł palec. – Prawie tak samo jak rozmowa o lwie, który właśnie wyłamuje pręty klatki.

Machnąłem ręką.

– A co ty byś chciał, żeby robili? – zapytałem. – Nie mogą żyć tak, jak żyli do tej pory, skoro widzą, że ludzie wokół nich wciąż umierają...

Mieszczanin, który się do nas przysiadł, a który teraz słuchał nas uważnie, nagle zdecydował się wtrącić do rozmowy.

– Słusznie wasza inkwizytorska mość zauważył, że ludzie wciąż gadają o nowych, cudownych sposobach na uleczenie się z kaszlicy, bądź też zapobieżenie temu, żeby w ogóle nas zaatakowała.

– Oho, to już wiemy, co masz dla nas ciekawego. – Uśmiechnąłem się. – Nowe panaceum.

– Że jak, za waszym pozwoleniem? – Zmrużył oczy.

– Nowe cudowne lekarstwo – objaśniłem. – Czyż nie o tym właśnie pragniesz nam opowiedzieć?

Mieszczanin rozłożył ramiona.

– Wy, mistrzu inkwizytorze, czytacie w ludziach niczym w otwartej księdze – powiedział z emfazą i uśmiechnął się bardzo szeroko.

Dolałem mu znowu hojnie trunku.

– Nie trzymaj więc nas w niepewności i mów szybko – poleciłem. – Jakiż to cudowny sposób na kaszlicę wymyślili ostatnio nasi zacni mieszczanie?

Upił trzy szybkie łyczki, oblizał się, uśmiechnął raz jeszcze, przeciągnął po nas wzrokiem i rzekł:

– Kro-wie plac-ki.

Odczekałem chwilę, ale ponieważ tylko wpatrywał się we mnie w milczeniu i z zadowolonym wyrazem twarzy, zapytałem:

– Cóż z nimi?

– Zbieracie z łąki świeżutkie, gorące, jeszcze parujące krowie placki – zaczął wyjaśniać. A przemawiał z taką czułością w głosie, jakby w jego imaginacji te krowie placki zamieniły się właśnie w przyrumienione na złoty kolor pszenne racuszki z jabłkami. – Kładzicie się nago na trawie, a towarzysz lub towarzyszka waszej zdrowotnej eskapady okłada was tymi plackami, zwłaszcza okolice piersi oraz usta. – Uniósł palec wskazujący. – Usta w tym celu, żebyście wdychali głęboko w płuca ów uzdrawiający aromat.

– Brzmi doskonale – stwierdziłem z kamienną twarzą.

– Prawda? – Rozpromienił się. – Żebyście widzieli naszych zacnych mieszczan, jak czuwają przy krowach, czekając tylko, aż która zacznie wydaląć.

– Ja widziałem – wtrącił Ludwik. – Tak się pobili o to krowie gównu, że mało się nie pozabijali.

– I nic nam nie powiedziałaś? – Spojrzałem na niego z wyrzutem.

– Wybacz. – Rozłożył ręce.

– Niestety, tak właśnie się zdarza – westchnął mieszczanin. – Gdyż chęć wyzdrowienia jest wśród ludzi tak wielka, że bez skrupułów zabijają każdego, kto stanie tej chęci na przeszkodzie.

– Zazwyczaj lepiej być zdrowym niż chorym – zauważyłem. – Więc nie dziwi mnie podobna zawziętość.

– Ciągnęli te krowy za ogon, żeby je zachęcić do wydalania – odezwał się znowu Ludwik. – I wiem, że wtedy jednego z nich krowa tak kopnęła, że zgruchotała mu czaszkę.

Roześmiałem się.

– Cóż, zdrowie kosztuje – stwierdziłem. – Ale chociaż nie jestem chłopakiem ze wsi, to wydaje mi się jednak, że krowa nie działa w podobny sposób, żeby pociągnięcie za ogon mogło zmusić ją do defekacji... Czyżbym się mylił?

– Oczywiście, że nie działa – odparł Ludwik, wzruszając ramionami.

– Kiedy właściciele krów dowiedzieli się, co się wyprawia na pastwiskach i łąkach, to w te pędy na nie przybiegli – opowiadał dalej mieszczanin. – I zaraz zaczęli te krowie placki sprzedawać, a tych, co chcieli kurować się za darmo, bili i szczuli psami.

– No to musiała wybuchnąć niezła awanturka – domyśliłem się. – A dużo sobie właściciele życzyli za takie krowie łajno?

– O panie! – Mieszczanin uniósł ramiona. – Zaczęli od pół korony, ale szybko cena nawet się zdziesięciokrotniła, taki był popyt w narodzie.

– Ludzie chcą się leczyć – rzekłem. – Bardzo zdrowy objaw.

– Słyszałem kiedyś o innej kuracji – powiedział Ludwik. – A przypomniało mi się to, gdyż również była ona związana

z wykorzystaniem odchodów.

– A na jaką chorobę miała pomagać? – zainteresował się mieszczanin.

– Wedle pięknej teorii: na wszystkie – odparł mój towarzysz.

– Eee, na wszystkie choroby to chyba nic na świecie nie pomoże – skrzywił się mieszczanin, po czym zerknął na mnie szybko. – Z wyjątkiem żarliwej i szczerej modlitwy, rzecz jasna – dodał.

– I co z tymi odchodami? – zagadnąłem.

– Mieszano je w wiaderku z ciepłą wodą i dawano choremu do wypicia – rzekł Ludwik z uśmiechem [22].

Słyszałem kiedyś o podobnie nierozumnych działaniach, więc również tylko się uśmiechnąłem, ale mieszczanin aż się odwrócił, splunął za siebie i wzdrygnął.

– A pomagało? – zapytał wreszcie, po czym jak sędzę, wyobraził sobie znowu tę kurację, gdyż ponownie odplunął z obrzydzeniem.

– Zmiłujcie się, jakżeż picie rozbełtanego z wodą gówna mogło komuś pomóc? – spytałem. – Zabobony i tyle.

– Ano tak, zabobony. – Pokiwał głową uspokojony. – Głupich nie sieją i tyle wam powiem – stwierdził. – Chociaż... – dodał po chwili – przecież i na naszej łące widziałem pewnego młodzieńca, o, znam go zresztą, chłopak pochodzi z całkiem dobrej rodziny, jak rzucił się na świeży, parujący jeszcze krowi placek i widząc, że nie zdąży użyć go jako okładu, bo ludzie biegną, by mu go odebrać, zaczął go łapczywie pożerać, żeby chociaż taki mieć rodzaj kuracji. I kiedy wrzeszcząca hałastrą dobiegła do niego, to już nic nie zostało poza brudną trawą.

– Ohyda – stwierdził Ludwik ze szczerym przekonaniem i równie szczerym obrzydzeniem. – Bogu dziękować, że ja podobnych brewerii nie widziałem.

– Tak to już jest, proszę mistrzów, że ludzie, kiedy boją się choroby, to tak bardzo chcą wyzdrowieć, tak bardzo... – Mieszczanin pochylił się głęboko nad stołem i wbił palce w blat. – Że od tej przemożnej woli wyzdrowienia aż w końcu umierają.

– Umierają z głupoty, a nie z woli wyzdrowienia – sprostowałem jego słowa i wzruszyłem ramionami.

– Ale bo to wiadomo, czym jest mądrość? – nie zgodził się ze mną mieszczanin. – Bo pomyślcie sami, co ma uczynić, jak ma postąpić zwykły człowiek, kiedy słyszy, że jeden medyk mówi tak, drugi mówi siak, a trzeci nie zgadza się z nimi i mówi jeszcze całkiem inaczej. To któremu z nich taki człowiek ma wierzyć, skoro oni wszyscy są przecież wielce uczeni i znacznie mądrzejsi od niego? Więc nie ma się co dziwić, że skoro wśród uczonych taka panuje niezgoda co do leczenia tej czy innej choroby, to lud szuka swoich własnych sposobów. Takich, żeby były akuratnie odpowiednie na jego rozumienie – westchnął. – Jak choćby tarzanie się w krowim gównie – dokończył.

– Niegłupio gada. – Ludwik skinął głową z uznaniem. – Polać mu.

I zgodnie z wydanym przez siebie samego rozkazem napełnił kubek mieszczanina.

– Ostatni już, za waszym pozwoleniem – zastrzegł mężczyzna. – Bo żona będzie mi ciosać kołki na głowie, że znowu piłem.

– Powiedzcie, że to było specjalne wino. – Uniosłem dłoń. – W cudowny sposób chroniące przed kaszlicą. – Opróżniłem swój kubek do dna. – Na przykład ja czuję się coraz silniej chroniony – dodałem na koniec.



Rozdział dwudziesty

Cud aptekarza Bauma



Najpierw usłyszałem głośnie i szybkie kołatanie do drzwi wejściowych, które powtórzyło się trzy razy, a potem przeszło w kołatanie tak samo głośnie jak na początku, ale już bardzo uporczywe. Zdjąłem stopy ze stołu.

– Ktoś bardzo, ale to bardzo chce się z nami widzieć
– mruknąłem do siebie.

Wreszcie usłyszałem skrzypnięcie zawiasów i podniesiony, gniewny głos Helci, która przybysza rugała z góry na dół za „diabelski hałas”, jaki wyprawia, i za bezczelność, że ośmiela się przeszkadzać inkwizytorom w modlitwie. W to ruganie wdarł się pokorny głos naszego nieproszonego gościa, a ja poznałem, że jest nim Baum. Postanowiłem więc, że wypada się ruszyć do korytarza i wypytać, co aptekarza do nas sprowadza.

– Panie Baum – zawołałem – czego się tak tłuczecie jak marek po piekle? Wpuść, moja droga Helciu, mistrza Bauma i zaproś go do refektarza, niech nam się wytłumaczy ze swojej gwałtowności.

I już za chwilę nasza poczciwa służąca, prychając i fukając, wprowadziła aptekarza, który przy niej wyglądał niczym karcony przez surowego preceptora uczeń z bursy. Nawet wąsy, które zwykle miał sztywne i nastroszone, teraz opadły mu, sklezione

potem, co nadawało jego fizjonomii szczególnie frasobliwy wyraz. Twarz miał czerwoną, łysinę mokrą i dyszał ciężko niczym ryba wyrzucona prosto z wody na brzeg.

– Uprzejmie wam dziękuję, żeście mnie przyjęli! – zawołał. – A teraz zlitujcie się nade mną i dajcie mi choćby łyk wody, bo zaraz wam tu skonam z pragnienia, jak mi Bóg miły!

– Helciu, Helcia będzie tak dobra i przyniesie mistrzowi Baumowi dzbanek podpiwka.

– Będę dobra, co mam nie być, bo to niechrześcijańskie w taki upał człowieka skazywać na pragnienie – mruknęła, ale zaraz jednak obróciła surowy wzrok na Bauma. – Ale po co do nas przychodzi? Mógł w domu siedzieć. Myśli, że my w Świętym Officjum nie mamy co robić, tylko gości przyjmować?

Ponieważ Baum szczęśliwie się nie odezwał, powstała jeszcze nad nim przez chwilę z niezadowoloną miną, wreszcie pokręciła głową i szurając butami, poszła do kuchni.

– Nie przejmujcie się, panie Baum, tak naprawdę nie jestem aż tak zajęty, żeby was nie wysłuchać, zwłaszcza kiedy przybyliście do mnie z tak wielkim impetem.

– Och, wybaczcie – spłoszył się. – Chyba dość głośno stukąłem. Ale tak bardzo, tak bardzo – podkreślił swoją wypowiedź uderzeniem jednej dłoni o drugą – pragnąłem się z wami spotkać, że każda chwila wydawała mi się wiecznością.

Abstrahując od dość nieznośnego patosu ostatniej frazy, to jednak rozumiałem, że aptekarz naprawdę miał bardzo pilny i ważny kłopot, którym koniecznie chciał się ze mną podzielić. Przynajmniej pilny i ważny dla niego, bo szczerze mówiąc, nie sądziłem, by w jakikolwiek sposób mógł być istotny dla mnie. No ale wypadało wysłuchać jego rewelacji, bo po pierwsze, niewiele mnie to kosztowało, a po drugie, był to człowiek, który już okazał się użyteczny. A że mógł okazać się użyteczny jeszcze bardziej, to z jakiego powodu miałem go bezsensownie zrażać do siebie i zniechęcać?

– Mówcie więc, co was sprowadza.

– Posłuchajcie, mistrzu inkwizytorze, posłuchajcie mnie uważnie!
– Aptekarz nachylił się nad stołem i wpatrzył we mnie błyszczącymi z ekscytacji oczami. – Otóż dzięki mojemu geniuszowi odkryłem sposób, za pomocą którego uda nam się powstrzymać zarazę!

– Proszę, proszę, nie wy pierwsi macie taki ambitny plan.

– Ale ja jeden jedyny mam plan, który może przynieść dobroczynne skutki – zawołał. – Wysłuchajcie mnie i uwierzcie mi, bo sądzę, że Duch Święty oświecił mnie i wybrał na powiernika dla dobra tego miasta.

Westchnąłem i pokręciłem głową.

– Nie mieszajcie, z łaski swojej, Ducha Świętego do waszych koncepcji. Wysłucham was oczywiście chętnie, a co do uwierzenia waszym słowom, to zobaczymy, gdy już się dowiem, w czym rzecz.

– Oczywiście, oczywiście, słuchajcie więc.

W międzyczasie do pokoju weszła Helcia, niosąc na tacy kubki i wielki dzbanek podpiwka, a Baum od razu nalał sobie pełne naczynie, wypił napój do końca, westchnął głęboko, z ulgą i przyjemnością, a zaraz potem nalał sobie kolejną porcję. Przyglądałem mu się z uwagą, gdyż naprawdę zdawał się tak rozgorączkowany stworzoną przez siebie ideą, że zapalczywość kazała mu zapomnieć o dobrych manierach. Świadczyło to, iż najprawdopodobniej szczerze wierzy w przełomowość czy cudowność swej koncepcji.

– Znacie Archimedes, co? – zagadnął.

– Nie osobiście – odparłem.

– Tak, tak. – Zamachał niecierpliwie dłonią. – On umarł dawno temu. Ale może słyszeliście, że kiedy dokonał swego wiekopomnego odkrycia, to rozchlapując wokół wodę z wanny, krzyknął „Heureka” i nago wybiegł na ulice Aten, zaczepiając przechodniów.

– Owa historia obijała mi się o uszy – przyznałem.

– Otóż ja, mistrz aptekarski Jonatan Baum, podobnie mógłbym wybiec na ulice naszego miasta i nie chodzi tu bynajmniej o nagość, lecz o okrzyk „Heureka” i o wynalazek, dzięki któremu mogę uszczęśliwić świat.

Spojrzał na mnie tak dumnym wzrokiem, jakby ów wynalazek leżał tuż przede mną na blacie stołu i wystarczyło po niego sięgnąć ręką.

– Mam niejake wątpliwości co do rzeczywistych skutków koncepcji mających na celu uszczęśliwienie świata – zauważyłem. – Niemniej kontynuujcie, z łaski swojej.

– Pamiętajcie, co mówiłem wam o małych diablętach? – Wpatrzył się we mnie badawczo.

– Trudno zapomnieć – odrzekłem.

– Otóż to! – Klasnął. – Wyobraźcie sobie następującą scenę. – Na moment zamyślił się. – Jednak opisując ją, dokonam pewnej głębokiej metafory – zaczął tłumaczyć. – A opisu, jaki usłyszycie, nie należy rozumieć dosłownie, lecz w sposób zgoła wręcz alegoryczny.

– Proszę bardzo – zezwoliłem. – Postaram się nadażyć za biegiem waszego rozumowania, tak jak cień nadaża za człowiekiem.

– O, to, to, bardzo dobrze – uradował się, zupełnie nie zwracając uwagi na finezyjną ironię zawartą w moich słowach.

Znowu opróżnił kubek trzema długimi łykami, odetchnął głęboko i zaczął:

– Wyobraźcie sobie owe moje małe diablęta harujące wokół nas. – Zamachał rękoma. – Wszędzie, wszędzie, wszędzie. Wszędzie aż się od nich roi. Jedno przy drugim. Wyobrażacie to sobie?

Ponieważ wpatrzył się we mnie wyczekująco, skinąłem głową.

– I teraz wyobraźcie sobie jeszcze, że owe małe diablęta dzielą się na plemiona, tak jak ludzie na narody. Dla lepszego zobrazowania wyimaginujcie sobie, że każde z tych diabląt ubrane jest w portki innego koloru i trzyma chorągiewkę z barwami swojego klanu.

– Dużo wymagacie od mojej wyobraźni, ale niech wam będzie – stwierdziłem. – Niemniej jeśli zamierzacie w uczonej pracy opowiadać o diablętach w kolorowych porciętach, to kiepsko widzę waszą przyszłość w świecie wielkiej nauki.

Zamachał gwałtownie rękoma.

– Mistrzu Madderdin, zważajcie, że ostrzegałem was przed tym, że zastosuję alegorie i metafory.

– No dobrze, kontynuujcie – zezwoliłem pobłaźliwie.

Przez chwilę przyglądał mi się z uwagą i podejrzliwością, jakby się spodziewał, że na mojej twarzy pojawi się uśmiech lub powątpiewanie, ale ja czekałem spokojnie. Więc zaczął znowu mówić.

– Wyobraźcie sobie teraz, że jedno z plemion składa się z diabląt wyjątkowo podłych, złośliwych i silnych, które potrafią zamordować swoją ofiarę. A w innym zaś żyją diablęta słabe, gotowe ledwo człowieka poszturchać, bo na niewiele więcej je stać.

– To jak wszędzie na świecie: mamy wielkich złoczyńców i małych – stwierdziłem.

– Ano właśnie! – Znów klasnął. – Ale wyobraźcie sobie dalej, że jeżeli słabe diablęta z jednego plemienia obsiadą jakiegoś człowieka, to wtedy, teraz uważajcie! mocarne diablęta będą człowieka tego omijać! A dlaczego? Ano dlatego, że pomyślą, że skoro jakiś klan już to miejsce zdobył, to najwyraźniej nie ma co marnować sił.

– Hmm... I co dalej?

– Słabe diablęta człowieka poszturchają, poszturchają, a potem odchodzą, ale sztandary white przez nie na znak triumfu pozostają świetnie widoczne. I jaki z tego płynie wniosek?

– Właśnie. Jaki?

– Taki mianowicie, że... – Wyciągnął palec wskazujący w moją stronę, jakby chciał mnie nim przebić. – Tam, gdzie pojawiły się słabe diablęta, tam już nigdy czy przynajmniej bardzo długo nie pojawią się diablęta mocarne, takie, które potrafiłyby człowieka zabić.

– No dobrze, i co dalej?

– Nie pojmujecie? – Otworzył szeroko oczy. – Oto jeśli wyślemy słabe diablęta na człowieka, to zajmą one jego ciało, nie przeszkadzając mu co prawda zbytnio, ale za to broniąc go przed inwazją diabląt mocarnych, takich, które mogłyby owemu człowiekowi prawdziwie zaszkodzić!

Milczałem przez chwilę.

– Chcecie więc poszczuć ludzi diablami, żeby rozsiadły się w jego ciele jak w domu? – zauważyłem wreszcie chłodnym tonem. – Nie

radzę wam wspominać o tym ani publicznie, ani głośno.

– Na miecz Pana! – wykrzyknął tym razem niemal zrozpaczony. – Zapomnijcie o diablętach!

– Czyli wrócimy do mojej propozycji żmij, odrzucając wasz pomysł związany z istotami szatańskimi lub demonicznymi?

Westchnął głęboko.

– Wszystko jedno – powiedział z rezygnacją.

– Nie, panie Baum, to nie jest wszystko jedno i zaraz wyklaruję wam dlaczego. Otóż opowiadając o diablętach w kolorowych portkach i z chorągiewkami w dłoniach, niezależnie od tego, czy chodzi o diablęta mocarne, czy słabiutki, wywołacie rozbawienie. Ale opowiadając, że należy sprowokować, żeby owe diablęta trafiły do ciał niewinnych ludzi, wywołacie zdumienie, odrazę i gniew. Nie tylko uczonych całego świata, ale przede wszystkim ludzi Kościoła.

– Przecież te diablęta to tylko... – zaczął zgaszonym tonem.

– Wiem, panie Baum: metafora i alegoria – przerwałem mu znużonym głosem. – Więc w związku z tym dobrze wam radzę: jeśli chcecie stosować alegorie lub metafory, to stosujcie takie, które nie narażą was na zainteresowanie Świętego Oficjum. Trzymajcie się albo mojej koncepcji niewidzialnych żmij, albo wymyślcie coś podobnie niewinnego. Coś pochodzącego ze świata przyrody, a nie ze świata demonologii.

Wzruszył ramionami.

– Przecież to wszystko jedno – powiedział. – Tak naprawdę nie chodzi ani o żmije, ani o diabełki, a tylko o stworzenia, na które nie mamy nazwy, gdyż nigdy do tej pory ich nie widzieliśmy.

Potem podrapał się po brodzie, pociągnął się mocno najpierw za jeden wąż, a potem za drugi i widziałem, że wyraźnie bardzo głęboko się nad czymś zastanawia.

– Wiecie, że porównanie ze żmijami będzie nawet bardziej udane, niż myślałem – stwierdził. – Bo czy słyszeliście, że człowiek ustawicznie kąsany przez żmije nabywa wreszcie takiej odporności, że po jakimś czasie nawet najstraszniejszy jad jest dla niego tak nieszkodliwy jak użądlenie przez komara?

Skinąłem głową.

– Jeśli się nie mylę, Herodot pisał o afrykańskim plemieniu, którego obyczajem jest, że dziecku do kołyski wkładają małego skorpiona – rzekłem z namysłem. – Jeżeli maluch przeżyje ugryzienie, to znaczy, że jako człowiek dorosły poradzi sobie również ze śmiertelnie trucizną dorosłego osobnika.

– Ależ tak! – Baum klasnął głośno. – To całkiem być może. Musiałbym tę koncepcję sprawdzić doświadczalnie.

– Mogą być kłopoty z ochotnikami – zauważyłem.

– Zapewne tak. Ale w mojej pracy mogę się do tego odwołać. Przecież lepiej zatruć człowieka słabą trucizną, żeby zyskał odporność na truciznę mocną. Czyż nie?

– Zgadza się – rzekłem, zadowolony, że wreszcie zgodziliśmy się co do formy opisu zjawiska. – Choć nie używałbym słowa „zatruć”, ale na przykład słowo „potraktować”. Brzmi nieco bardziej zachęcająco.

Pokiwał głową i westchnął.

– Słusznie. Niestety, podobne sprawy dotyczące użycia tej czy innej formy gramatycznej mi umykają – wyznał ze skruchą.

– No dobrze – rzekłem. – Czyli macie już swoją teorię, wiecie, co macie napisać w uczonym dziele, czas przyszykować papier, pióro oraz inkaust i zabrać się do pilnej roboty.

Znowu spojrzał na mnie ze zdumionym wyrazem twarzy.

– Nie rozumiecie, mistrzu Madderdin?

– Będzie na pewno łatwiej mi zrozumieć, czego nie rozumiem, jeśli wytłumaczycie mi, czego konkretnie waszym zdaniem nie rozumiem – poddałem łagodnie.

– Tu nie chodzi wcale o moje dzieło! – wykrzyknął. – Tu wcale nie chodzi o moją pracę, którą, rzecz jasna, napiszę w stosownym czasie i zadedykuję samemu cesarzowi. – Uśmiechnął się i spłonął ceglastym rumieńcem, a ja wyobrażałem sobie, jak przygryzając język, przy blasku świecy kreśli na tytułowej stronie zdanie: *Nayjaśnieyszemu y naypotężnieyszemu Panu, czyli...*

– O co więc chodzi? – przerwałem i swoją, i zapewne jego podróż do krainy fantazji.

– Tu chodzi o nasze miasto. Nasze! Teraz i tutaj!

Przyglądałem mu się przez chwilę uważnie.

– Chcecie otruć obywateli Weilburga? – zapytałem wreszcie. – Radziłbym wam nie tylko tutaj, w dzisiejszych, ciężkich czasach, ale wszędzie i kiedykolwiek wystrzegać się nie tylko zrobienia czegoś takiego, ale nawet głośnego mówienia na podobny temat. Powiem wam więcej: lepiej byłoby, gdybyście o podobnych sprawach nie myśleli.

– W żadnym wypadku otruć! – wykrzyknął. – Zahartować! Czyż ludzie, którzy pluskają się dla zdrowia w lodowatej wodzie, nie nabywają z każdą kąpielą większej odporności na zimno?

– Jak zwał, tak zwał – mruknąłem po chwili. – Tak naprawdę chcielibyście zatruć ludzi, żeby stali się dzięki temu zatruciu bardziej odporni na truciznę. – Uniosłem dłoń, by mi nie przerywał. – Znam historię Mitrydatesa, króla Pontu, który przyjmując małe dawki trucizn, tak dobrze się uodpornił, że później musiał popełnić samobójstwo, przebijając się mieczem, gdyż żadna trucizna nie chciała na niego podziałać...[23]

– Sami widzicie! – po raz kolejny klasnął uradowany aptekarz. – O to właśnie mi chodzi... Mniej więcej...

– A jeśli ich przy tym pozabijacie? Nie mówiąc nawet o innych konsekwencjach, ale przecież tłum was żywcem ukamieniuje – zapytałem.

Tym razem nie próbował się już odezwać, najwyraźniej miał podobną opinię o bliźnich jak ja i wiedział, że od rozczarowania do morderczego gniewu droga jest szybka i łatwa. Zresztą cecha to była wspólna nie tylko dla pospólstwa, ale i dla szlachetnie urodzonych. A może nawet ci szlachetnie urodzeni byli bardziej skorzy do wybuchu złości pod wpływem zawiedzionych nadziei, zwłaszcza jeśli świat do tej pory oszczędzał im rozgoryczeń.

– Czy moglibyście wysłuchać mnie spokojnie i póki nie dotrwacie do końca, to nie oskarżać o nic? – zapytał posępnie.

Rozłożyłem ręce.

– Zgoda – rzekłem. – Powtórzę w takim razie za Menandrem, że nie ma nic lepszego od milczenia, i już zamieniam się w kamień.

Spojrzał na mnie z wyraźną podejrzliwością, oczywiście nie żeby sądził, że rozpocznę transformację w formę głazu, lecz zastanawiając

się pewnie, po pierwsze, czy z niego nie kpię, a po drugie, czy dotrzymam obietnicy, a po trzecie zapewne, kim, u cholery, jest ów Menander, o którym wspomniałem [24].

– Dużo rozmawiałem z ludźmi – powiedział. – Zarówno z tymi, co kaszleli mocno, jak i z tymi, co kaszleli słabo. Jak również z tymi, co z choroby wyszli, a także z tymi, co umarli...

Chciałem coś powiedzieć, ale przypomniałem sobie o obietnicy, więc zmilczałem. Baum zauważył jednak moje kpiące spojrzenie.

– Z tymi, co umarli, rozmawiałem, zanim umarli – stwierdził, dobitnie akcentując słowo „zanim”.

Potem przez chwilę mi się przyglądał, jakby czekał na jakiś komentarz, a wreszcie westchnął i kontynuował:

– I oto w toku tych niezliczonych rozmów zauważyłem jedną zbieżność, która z początku wydała mi się przypadkowa, lecz potem zaczęła nabierać mocy wzoru. Czy wiecie, jaka to była zbieżność?

Potrząsnąłem głową.

– Otóż wszyscy ci, którzy kaszleli przez kilka dni, a potem kaszleć przestali, nigdy więcej już nie zachorowali. Owszem, czasami bywali słabsi niż przed zarażeniem, ale to przecież sprawy znane każdemu medykowi lub aptekarzowi.

Tym razem skinąłem głową.

– I wcale nie to... – uniósł palec wskazujący – mnie zdziwiło oraz tknęło. Chociaż z drugiej strony sprawa też jest ważna, bo wielu będzie wolało zachorować, przechorować, wyzdrowieć i być już bezpiecznym, niż żyć w ciągłym strachu przed niewidzialnym wrogiem...

– Chyba że wcześniej umrą – wtrąciłem, decydując się jednak naruszyć złożoną obietnicę milczenia.

– Cóż zrobić – westchnął. – Albo wte, albo wewte. Ale pozwólcie dalej, do rzeczy: z moich obliczeń wynika, że umiera nie więcej niż jeden na dziesięciu kaszlących, chociaż oczywiście w tym wypadku nie roszczę sobie pretensji do wielkiej dokładności wyniku.

Cóż, sądziłem, że umieralność nie jest aż tak wysoka, ale w końcu to Baum rozmawiał z chorymi ludźmi, nie ja, więc może i miał rację.

– Jednak to, co wam teraz powiem – tym razem wycelował we mnie palce wskazujące obu dłoni – całkowicie może odmienić los tego miasta i uwolnić jego obywateli zarówno od choroby, jak i strachu.

Słyszałem to już na początku naszej rozmowy, który to początek był dość dawno temu, miałem więc nadzieję, że tym razem przejdziemy od mglistych patetycznych zapewnień do opisu konkretnych sposobów.

– Otóż, mistrzu Madderdin – kontynuował uroczyście i z uniesioną głową – jestem przekonany, że każdy człowiek, który chorował wcześniej na opryszczkę, powtarzam: każdy, kto na ustach nosił ślady tego denerwującego schorzenia, otóż każdy taki człowiek przechoruje kaszlicę bez większej szkody i co więcej, szybko wyzdrowieje!

Spoglądałem na niego przez dłuższą chwilę w milczeniu.

– Co, u licha, mają wrzody na ustach do kaszlu? – zapytałem i machnąłem ręką. – Ech... myślałem, że naprawdę usłyszę z waszych ust o jakimś cudzie – dodałem rozczarowany.

Baum aż poczerwieniał z oburzenia.

– To jest cud! – zakrzyknął. – Bo skoro stwierdziłem, że kto choruje na opryszczkę, ten przeżywa kaszlicę, to wystarczy zarazić się tą denerwującą, choć nieszkodliwą opryszczką, żeby raz na zawsze pozbyć się strachu przed groźną kaszlicą. Rozumiecie teraz?

Kiwnąłem głową.

– Na wiosnę miałem na ustach opryszczkę – przyznałem po namyśle. – Diabło mnie to złościło, bo usta najpierw mi napuchły, a potem na przemian goiły się i boleśnie pękały.

– No właśnie! – Uśmiechnął się z triumfem. – Dlatego całe miasto kaszle, a wy, za waszym przeproszeniem, jesteście zdrowi jak koń. I teraz pozostaje nam jedno. Musimy zarazić całe miasto opryszczką! – wykrzyczał ostatnie zdanie z tak radosnym entuzjazmem, a oczy mu tak błyszczały, iż byłem pewien, że podobnie musiał wyglądać uszczęśliwiony Archimedes biegający po ulicach Aten i zaczepiający przechodniów.

– Usłyszałem, że używacie liczby mnogiej – rzekłem. – I zapewniam was, że czynicie tak całkowicie niesłusznie, bowiem ja nie chcę mieć z podobną kuracją nic wspólnego.

Machnął gwałtownie ręką.

– Świetnie sobie poradzę i bez was! – zawołał pewnym siebie głosem. – Znalazłem już dwoje ludzi z taką opryszczką, że aż pozazdrościć. Napuchniętą, rozognioną, napęczniałą... – zachwycił się i aż zatarł ręce z tego zachwytu.

– Każecie tym ludziom co robić? Lizać chętnych? Całować?

Skrzywił się.

– No co wy! – powiedział z wyraźną niechęcią. – Przygotuję specjalną maść, którą będę wcierał w ranki, jakie wcześniej uczynię na skórze chętnych ostrym nożykiem [25].

Pokręciłem głową.

– Już widzę zachwyty naszych lekarzy – powiedziałem. – Przecież oni was ukamienują.

Oczywiście mówiąc „ukamienują”, zastosowałem przenośnię, ale sądziłem, że skargi na Bauma posypią się nie tylko do ratusza, ale również do uszu Cassiego. A nie trzeba się było nawet mocno postarać, by zgadnąć, że Cassiemu na pewno wpadnie do głowy zrobić coś z takim dziwnym zachowaniem. A poza wszystkim innym tak dziwna procedura, jaką chciał zastosować Baum, mogła poskutkować tumultem, zwłaszcza jeśli komuś zależałoby na podburzeniu tłumu.

– Przecież nie będę mówił nikomu, że to maść, której składnikiem jest krew z opryszczeni – rzekł aptekarz. – Nazwę to Cudownym Olejkiem Bauma.

Machnąłem ręką.

– Jestem wzruszony, że podzieliliście się ze mną pomysłem uzdrowienia obywateli naszego miasta – rzekłem. – Jednak zapowiadam wam, że czynić to będziecie na własną odpowiedzialność. Ale ani was nie wydam, ani wam niczego nie będę zabraniał. Najwyżej zarazicie mieszczan opryszczką. – Wzruszyłem ramionami. – A od tego nic im się przecież nie stanie.

– Kiedy ja bardzo, ale to bardzo potrzebowałbym waszej pomocy.
– Spojrzał na mnie błagalnym wzrokiem.

– Mowy nie ma, panie Baum. I miasto, i ja mamy dość własnych kłopotów, by się jeszcze łądować w wasze.

Złożył ręce jak do modlitwy i przybrał bardzo poważny wyraz twarzy.

– Mistrzu Madderdin, jestem gotów do wielkich poświęceń. Powiem więcej: jestem gotów was uszczęśliwić, jeśli mi pomożecie. – Zamachał nagle rękami. – Ach, co ja mówię?! Źle mówię: „mi”! Bo tu chodzi o pomoc miastu i wszystkim tym biednym, chorym ludziom, którzy...

– Dobrze, dobrze – przerwałem mu. – Zaręczam wam, że odwoływanie się do mojej litości nie przyniesie żadnego korzystnego dla was rezultatu. A dodam również, że jeśli, jak słyszałem, użyliście słowa „uszczęśliwić”, to uczyniliście to moim zdaniem bardzo pochośnie. Gdyż wiecie, że wiele, naprawdę bardzo wiele trzeba, by wywołać uśmiech na twarzy inkwizytora.

Byłem ciekaw, jak głęboko Baum jest skłonny sięgnąć do sakiewki i czego tak naprawdę by ode mnie oczekiwał w zamian. Chociaż i tak cały czas zastanawiałem się, czy powinienem angażować powagę Świętego Oficjum w obronę dziwacznych pomysłów aptekarza. Pytanie jeszcze, na ile wierzyłem, że to, co mówi, jest godne miana teorii naukowej, a nie stanowi zaledwie wytwór umysłu. Umysłu co prawda żywego, lecz przesiąkniętego fantazyjnymi koncepcjami. A drugie pytanie brzmiało: na ile niepowodzenie Bauma mogłoby zaszkodzić mnie samemu?

– Mogę wam zaproponować sto koron gotówką, jeśli chcecie wypłacone zaraz tutaj i teraz, albo solidny procent w przewidywanych zyskach.

– W przewidywanych zyskach – powtórzyłem i uśmiechnąłem się.
– Cieszę mnie wasz optymizm i entuzjazm, lecz niestety, ich nie podzielam. Chciałbym jednak przede wszystkim zrozumieć, czego byście ode mnie oczekiwali w zamian za tę skromną kwotę, którą oferujecie?

– Ochrony, mistrzu Madderdin – rzekł. – Ochrony przed złymi ludźmi, którzy gotowi byliby rzucać mi kłody pod nogi, ale nie ośmielą się jednak zaatakować kogoś, kto jest pod opieką Świętego Officjum.

Spojrzałem na niego i pokręciłem głową.

– Panie Baum, ja was naprawdę lubię, ale zrozumcie, że nie mogę angażować Inkwizytorium w tak podejrzane przedsięwzięcie.

Baum wyraźnie i niechętnie skrzywił się, słysząc słowo „podejrzane”, lecz ja kontynuowałem:

– Nawet gdyby nasza instytucja miała z tego otrzymać sześćdziesiąt procent. – Zawahałem się. – No, powiedzmy: połowę zysków, to i tak musiałbym odmówić.

– Połowę?! – Baum zrobił wielkie oczy.

– Pomoc Świętego Officjum nie jest tania, a to dlatego, że każdy grosz idzie, żeby przysparzać chwały Bożej – wyjaśniłem. – A rozumiecie przecież, że nie wypadałoby ofiarowywać Bogu byle czego...

Aptekarz chciał jeszcze coś powiedzieć, lecz przerwałem mu zdecydowanym gestem.

– Panie Baum, nie wiem, czy zauważyliście, ale mamy w mieście naprawdę inne problemy poza kaszlicą. Ja wiem, że choroba jest dokuczliwa i zbiera śmiertelne żniwo, jednak dzisiaj, szczerze mówiąc, bardziej mnie niepokoi archidiakon Cassi. Bo z tego, co przeczuwam i podejrzewam, za chwilę weźmie się za aresztowanie większości miejskiej rady. Więc umówmy się tak, że kiedy pozbędziemy się z Weilburga Cassiego, wtedy wrócimy do naszej dzisiejszej rozmowy.

Baum wyraźnie zmarkotniał, lecz moje słowa brzmiały na tyle kategorycznie, iż zrozumiał, że niczego już nie osiągnie ani prośbą, ani przekonywaniem.

– Ale nie zabronicie mi sprzedawać leku, prawda?

– Panie Baum, lista leków oferowanych w aptekach nie jest zmartwieniem Świętego Officjum, jeżeli tylko do ich wyrobu nie stosuje się niegodziwych, czarnoksięskich metod – odparłem. – Jednak jako człowiek doświadczony usilnie radziłbym wam

powstrzymać się z realizacją waszych śmiałych koncepcji. Bo jeśli doprowadzicie do kłopotów, dając ludziom złudną nadzieję, to rajcy mogą później sprawić kłopoty wam. A tego byście nie chcieli, prawda?

Pokiwał gorliwie głową.

– Ledwo co otworzyłem aptekę, oczywiście, że nie chcę mieć żadnych kłopotów – zapewnił.

– Więc zapomnijcie o swoich dziwnych pomysłach z opryszczką. Sprzedawajcie zwykłe leki, sprzedawajcie swój wspaniały syrop łagodzący kaszel, sprzedawajcie swoją orzeźwiającą wodę, która tak zasmakowała klienteli. – Rozłożyłem dłonie. – To wystarczy, żebyście żyli dobrze, żeby wam zazdroszczono i was szanowano. Po co wam problemy?

Westchnął ciężko.

– Może i macie rację – powiedział. – Zastosuję się do waszych wskazań, chociaż... – Pokręcił głową. – Myślę, że wiele istnień mógłbym ocalić dzięki mojemu lekarstwu.

– Ocalenie ludzi pozostawmy na razie Bożej woli – rzekłem. – A poza tym wcale nie wiecie, czybyście im pomogli, czy zaszkodzili. Przyjdą spokojniejsze czasy, to sobie wszystko ułożycie.

Potem pogawędziliśmy jeszcze chwilę o rzeczach mało istotnych, raczej o lekkich ploteczkach niż ciężkich problemach, ale Baum był zdecydowanie markotny, bo rozmowa ze mną wyraźnie nie poszła po jego myśli. Wtedy też, w naszym refektarzu, widziałem mistrza aptekarskiego po raz przedostatni. Po raz ostatni zobaczyłem go dzień później, ale widzieliśmy się już wtedy bardzo krótko.



Rozdział dwudziesty pierwszy

Ofiary i oprawcy



Stary stróż leżał zaraz za przymkniętymi drzwiami z rozchlastanym gardłem i z włosami utaplanymi krwią, która rozlewała się wokół jego głowy w sporą kałużę. Nie musiałem go ani dotykać, ani bliżej mu się przyglądać, by wiedzieć, że ten człowiek jest martwy, gdyż ludzie, którym zadano takie rany, po prostu przeżyć nie mogą, jeśli są zwykłymi śmiertelnymi istotami, a nie demonami z piekielnych czeluści. Byłem niemal pewien, że napastników nie ma już w domu, gdyż tak jak wspomniałem, wszedłem przez niezaryglowane drzwi. Zrozumiałe, że gdyby zabili stróża i weszli dalej, w głąb apteki, to zaciągnęliby za sobą skobel, by nie narażać się na niespodziewaną wizytę, dokładnie taką, jak ja składałem teraz. Chyba że byli idiotami. Wiedziałem również, że nic ich nie spłoszyło i nie uciekli zaraz po zabiciu starego, gdyż na posadzce widziałem krwawe, choć niewyraźne odbicia podeszew butów prowadzące z sieni do pokoju. Podejrzywałem więc, że mordercy zrobili już to, co mieli zrobić, i opuścili kamienicę, zostawiając za sobą trupy... No właśnie. Trupy czy trupa? Czy Baum miał może niezwykle szczęście i akurat nie było go w domu, kiedy napastnicy wtargnęli do apteki? Cóż, nie dałbym, niestety, za to złamanego grosza.

Wyszkolony zabójca nie zostawia rannej ofiary, choćby wyglądała na nieżywą i choćby dźgnął ją kilkakrotnie w tułów. Wyszkolony zabójca, aby się upewnić, że robota została dobrze wykonana, podrzyna człowiekowi gardło, tak jak uczyniono to nieszczęsnemu stróżowi. Ewentualnie jeśli jest bardzo rozeźlony i chce dać upust swej złości, może rozbić napadniętemu głowę ciężkim przedmiotem. I w tym wypadku nie jest potrzebne żadne wyrafinowane narzędzie zbrodni, gdyż znałem kiedyś kupca, który wspólnikowi rozłupał czaszkę na miążgę za pomocą marmurowego przycisku do papieru. Ale poderżnięcie gardła to jednak sposób pewniejszy i przede wszystkim szybki oraz niewymagający wielkich umiejętności. Znałem dziewczynę, która podcięła szyję swojemu śpiącemu ojcu. I chociaż była wątła i słaba, a on potężny i silny, dokonała tej sztuki bez większego wysiłku. A udało jej się z dwóch powodów: po pierwsze, uczyniła to ostrym nożem, a po drugie, miała bardzo dużo pewności siebie. Pytanie brzmiało: czy tutaj i w tej chwili miałem do czynienia z zawodowcami?

Wszedłem do głównego pomieszczenia apteki, tam gdzie sprzedawano leki i gdzie na sięgających pod sufit regałach piętrzyły się słoiki i słoiczki, pudła i pudełka, flaszki i flaszeczki, butle i buteleczki. Wtedy właśnie usłyszałem jęk dobiegający z góry, z piętra. Nie był zbyt głośny, lecz jednak na tyle wyraźny, bym natychmiast wiedział, że to nie żaden omam, lecz prawdziwy znak bóleści. Wbiegłem po schodach i kierując się tym już lepiej słyszalnym jęczeniem, otworzyłem drzwi do jednego z pokoików. Na podłodze, w kałuży krwi, z głową podpartą o podest szafki, leżał mistrz Baum. Ukucnąłem przy nim i chwyciłem go za dłoń.

– Na gwoździe i ciernie, panie Baum, ale was urządzili – powiedziałem ze współczuciem. – No nic, trochę czasu minie, zanim się wygrzebiecie.

Aptekarz uśmiechnął się z trudem.

– Może nie jestem medykiem, ale na tyle znam się na medycynie, żeby wiedzieć, że z tego już nie wyjdę – zaprotestował cicho, słabym głosem.

– Wyjdziecie, wyjdziecie – zapewniłem go z taką szczerością, na jaką tylko było mnie stać. – Grunt to nie upadać na duchu.

Położył dłoń na mojej dłoni.

– Mam krwotok do płuc i do żołądka – stwierdził. – Niewiele czasu już mi zostało.

– Pozwólcie, że sprawdzę – rzekłem. – Zbyt poważne to sprawy, Jonatanie, abym polegał tylko na twoim osądzie.

Uśmiechnął się lekko.

– Wiele bym dał za to, żeby się mylić, ale zapewniam was, że się nie mylę – odparł ze smutkiem.

Ostrożnie rozciąłem jego ubranie, by przyjrzeć się ranie i móc łatwiej zatamować krwotok, ale kiedy przyjrzałem się dokładnie obrażeniom, zrozumiałem, że wedle mojej najlepszej wiedzy Baum dokonał, niestety, zarówno trafnego rozpoznania, jak i trafnie przewidywał przyszłość.

– Kto wam to zrobił? Widzieliście ich? – zapytałem. – Rozpoznaliście ich? – poprawiłem się zaraz.

Pokręcił głową.

– Mieli worki z otworami na oczy na głowach – wyszeptał. – Trzech ich było.

A więc nie zamierzali go zabić, pomyślałem. Zakładali, iż aptekarz przeżyje, i nie chcieli, by kiedyś poznał ich twarze. Najwyraźniej jednak sprawy wymknęły się spod kontroli. Dobrze wie każdy, kto często spotyka się z przemocą, iż wiele zabójstw jest nieplanowanych, ale są zaledwie wynikiem zapalczywości lub nieuwagi.

– Zraniłem jednego w dłoń – powiedział Baum i nie ruszając głową, poszukał wzrokiem czegoś na podłodze.

Pod jego przedramieniem zobaczyłem sztylet, niemal całkowicie przesłonięty bufiastym rękawem kaftana. Ostrożnie wyciągnąłem tę broń. Długie ostrze, zwężające się ku górze niczym liść akacji, było zabrudzone krwią. Może więc to była przyczyna śmiertelnej rany aptekarza? Może cios zadany tym właśnie sztyletem tak rozjuszył napastnika, iż ten pchnął na oślep, zadając śmiertelną ranę, której zadać wcale nie chciał ani nie zamierzał?

– Mistrzu Madderdin, moje wszystkie notatki, rękopisy, opisy eksperymentów... – Przymknął oczy, gdyż wypowiedzenie nawet kilku słów bardzo go męczyło. – Oddajcie to, błagam was, mojemu bratu, Korneliuszowi. To najważniejsze, co mam w życiu. Lata mojej pracy...

Nie zamierzałem zapewniać go, że sam wszystko przekaze bratu, bo obaj wiedzieliśmy, że niczego nikomu już nie odda, gdyż żadnej wizyty nie doczeka.

– Gdzie schowaliście te zapiski?

– W sekretnej szufladzie w biurku, tutaj, na piętrze. – Uśmiechnął się słabo. – Jesteście inkwizytorem, znajdziecie.

To prawda, że inkwizytorzy byli szkoleni, by znajdować wszelkiego rodzaju sekretne schowki, gdyż byliśmy ciekawi świata i ciekawi ludzi, a najbardziej interesowało nas to, co bliźni starali się ukryć. Nie miałem więc wątpliwości, że poradzę sobie z odnalezieniem kryjówki Bauma.

– I nie wpuszczajcie nikogo do pracowni w piwnicy. – Przymknął oczy. – To niebezpieczne. Niech brat tam wejdzie pierwszy. On będzie wszystko wiedział.

Cóż, pracownie aptekarzy czy alchemików (a zdarzało się, iż jedno szło z drugim w parze) często mogły stać się gabinetami śmierci dla intruzów, zwłaszcza tych niewiedzących, co kryje się we flaszeczkach, retortach i buteleczkach, a którzy jeszcze byli na tyle głupi, by nieznanne sobie ingrediencje pomieszać lub, nie daj Boże, popróbować.

– Zapieczętujemy waszą kamienicę – obiecałem. – Wasz brat zastanie wszystko w najlepszym porządku.

Uścisnął moją dłoń, ale słaby miał teraz ten uścisk.

– Mieliśmy razem jeszcze nie raz zabawić się w burdelu – powiedział smutno. – Szkoda, że nic już z tego nie wyjdzie...

Odkasznął boleśnie, a z ust krew pociekła mu żywszą strugą.

– Ech, nie żałujcie – stwierdziłem lekko. – Pomyślcie lepiej, że już dzisiaj będziecie siedzieć przy jednym stole z samym Bogiem Wszechmogącym, a Jego chwała spłynie na was i rozświetli wam

wieczność. Powiedzcie, jeśli łaska, naszemu Panu dobre słowo i o mnie.

– Nie wiem, czy byłem dobrym człowiekiem – wyrzekł słabo, a w jego oczach pojawiły się łzy.

– A szczerze żałujecie popełnionych grzechów? – zapytałem.

– Żałuję – odparł już z płaczem. – Bardzo żałuję.

Położyłem mu dłoń na czole.

– Tedy ja mocą nadaną mi przez nasz święty Kościół udzielam ci przebaczenia – rzekłem uroczyście. – I zapewniam, że przed najsprawiedliwszy Sąd Pański udasz się w pokoju.

Przymknął oczy. Na jego twarzy zagościła ulga, a na ustach pojawił się słaby uśmiech.

– Zostańcie ze mną do końca – poprosił.

– Nigdzie się nie wybieram – odrzekłem.

– Opowiedzcie mi coś... przed snem.

– Znacie historię Siedmiu Wspaniałych Rzymian? – spytałem. – Na pewno kiedyś słyszeliście jedną z jej wersji, prawda? Ale opowiem wam tyle, ile sam wiem, może wam się spodoba.

Słabo poruszył głową na znak, że się zgadza.

– Stało się tak, że w trzysta trzydziestym trzecim roku po narodzinach Pana Naszego Jezusa Chrystusa i trzysta lat po zdobyciu Rzymu przez Armię Boga Świętym Imperium Rzymskim władał słaby i nieudolny cesarz Honoriusz – zacząłem. – Za którego panowania trwała wielka wojna z Persami...

Baum miał zamknięte oczy i tylko ledwo zauważalnie oddychał, a z kącika jego ust ciekła krew. Ująłem jego dłoń w obie moje i opowiadałem dalej.

– Do Rzymu powrócił opromieniony chwałą wojenną trybun Decymus Kasjusz, który będzie bohaterem naszej opowieści – mówiłem. – Okazało się jednak, że w Rzymie nie czekają go ani chwała, ani nagrody, lecz wydane na cesarskim dworze polecenie wzięcia udziału w samobójczej misji. Oto rozkazano mu, żeby wraz z garstką weteranów i towarzyszy, z ludźmi, których potem w opowieści i legendzie nazwano Siedmioma Wspaniałymi

Rzymianami, udał się daleko za granice Cesarstwa, w głąb wrogich i niezmiernych puszczy Zachodniej Germanii...

Przesunąłem palce na nadgarstek aptekarza i nie potrafiłem już wyczuć pulsu. Umilkłem więc, nachyliłem się nad Baumem i najpierw przyłożyłem palce do szyi, a potem ucho do ust leżącego. I kiedy ani nie wyczułem pulsu, ani oddechu, wtedy stało się dla mnie jasne, że zacny aptekarz odszedł do chwały Pana. No cóż, już teraz poznawał więc tajemnice, nad których rozwiązaniem biedzili się teologowie, już teraz otwierał wielką księgę, której stronicie były ukryte przed wszystkimi żyjącymi.

– A koniec jest początkiem i nową nadzieją – rzekłem uroczyście, zamknąłem mu powieki i wstałem.

Cóż, teraz nadszedł czas, by żałoba ustąpiła miejsce słusznej pomście w imieniu sprawiedliwości. A to było zadanie, dla którego my, inkwizytorzy, byliśmy, jak by nie patrzeć, stworzeni.



Na ulicach każdego miasta naszego błogosławionego Cesarstwa aż się roi od wszelkiego rodzaju szumowin płci obojga (a może nawet jeszcze więcej niż obojga, bo kto ich tam wie w tych szalonych czasach!). Młodych, starych i takich, po których trudno poznać wiek. Najkrócej mówiąc, trudnią się oni niełatwą sztuką przeżycia od jednego dnia do drugiego. W Weilburgu w tych ciężkich dniach roiło się ich jakby mniej, bo część już wydusiła kaszlica, a część leżała jeszcze gdzieś po zaułkach, plwając, prychnając i charcząc, i nie wystawiając się na ludzkie oczy, by przez to wystawianie nie ściągnąć sobie dodatkowo na głowę jakiejś większej biedy. Wśród tych ulicznych łapserdaków byli nie tylko żebracy i złodzieje, ale również robotnicy gotowi pracować za niską dniówkę. Mnie jednak tu i teraz obchodził zupełnie inny typ ludzi, a mianowicie ulicznicy, którzy zajmują się nie wiadomo czym, żyją z tego, co im wpadnie w ręce, ale ogromną ich zaletą jest to, że mieszkając na ulicy, a będąc naturami często zwawymi i bystrymi, wiedzą po prostu wszystko

o wszystkich. A nawet jeśli czegoś teraz i w tej chwili nie wiedzą, to doskonale potrafią szybko się dowiedzieć, gdyż po prostu umieją szukać. Takiego właśnie chłopaka dzisiaj potrzebowałem i takiego zobaczyłem stojącego w cieniu pod kościołem i obgryzającego własne paznokcie. Znałem tego urwisa, bo pamiętałem, że kiedyś Ludwik korzystał z jego usług.

– Chodź no tu, huncwocie. – Skinąłem na niego dłonią.

Przybiegł żwawo i ochotnie, bo wiedział doskonale, że takie wezwanie może zaowocować zarobieniem kilku groszy. A jeśli ruszy zbyt wolno lub ze zbyt małym entuzjazmem, to z kolei może zaowocować kuksańcem lub wytarganiem za ucho.

– Do usług, mistrzu inkwizytorze – zawołał, szczerząc poszczerbione zęby.

– Chcesz zarobić kilka groszy?

– A kto by nie chciał, mistrzu inkwizytorze!? Jakiś głupi musiałby być. Mam kogoś poprzeciągać albo poprzypalać?

– Widzę, że żarty się ciebie trzymają – mruknąłem. – Może poszukam kogoś mniej wesołego?

– Nie, nie! – Spłoszył się i zamachał rękoma. – Wybaczcie, mistrzu inkwizytorze, ale tak czasami aż zazdrość bierze, że możecie sobie pomęczyć każdego człowieka i nikt wam nawet złego słowa nie powie...

Oczywiście nie chciało mi się nawet odpowiadać na wygadywane przez niego bzdury, więc zapytałem:

– Znasz lekarzy, którzy nazywają się Krumm i Puffmeister?

– No jak mam nie znać! – oburzył się. – Ja każdego w Weilburgu znam, kogo trzeba. A nawet jak kogoś nie znam, to tylko mi go wskażcie, a za chwilę będę o nim wiedział więcej niż jego własna matka. – Aby wzmocnić siłę tych słów, uderzył się w pierś z takim zapalem, aż zadudniło.

– Bardzo dobrze. Zmyślny z ciebie chłopak – pochwaliłem go. – Mam więc dla ciebie zadanie. – Uniosłem palec wskazujący. – Rozejrzysz się pod domami doktorów, czy któryś z ich służących, pachołków, pomocników nie ma przypadkiem zranionej dłoni. – Stuknąłem palcem we wnętrze własnej ręki. – Jak sądzę, dość mocno

zranionej – dodałem. – Może ją więc mieć owiniętą jakąś szmatą czy bandażem.

– Pewnie, że sprawdzę!

– To zmykaj, na co czekasz? – Spojrzałem na niego surowo.

– Za przeproszeniem, mistrzu inkwizytorze, ale człowiek napiłby się czegoś w taki upał – powiedział przymilnym tonem. – A ja ani kęsa jedzenia od wczoraj w ustach nie miałem!

– I bardzo dobrze – rzekłem, dając mu kuksańca w brzuch. – Może ten kałdun zgubisz, jak będziesz mniej jadł..

– Ależ, mistrzu! – Złożył błagalnie dłonie. Przezornie odsunął się jednak o krok, by znaleźć się poza zasięgiem mojej ręki i nie oberwać po raz drugi.

– Znajdziesz tego, kogo kazałem ci szukać, to trafi ci się jeden czy drugi groszak – obiecałem mu. – A teraz pędź, bo mnie rozgniewasz. Znajdziesz mnie „Pod Rozśpiewanym Koziółkiem”.



„Pod Rozśpiewanym Koziółkiem” było mniej tłoczno niż zwykle, ale nie sądziłem, by spowodowane to zostało nagłym nawróceniem mieszkańców naszego miasta na życie w bogobojnej trzeźwości, lecz raczej faktem, że w czasie epidemii i w otępiającym upale wszyscy wszystkich mieli serdecznie dosyć. Towarzystwo bliźnich było już ludziom często niemiłe, a czasami nawet bardzo ich gniewało, zwłaszcza kiedy ci bliźni zaczynali kaszleć tuż obok przy stole. I jeśli owi współbiesiadnicy nie chcieli po dobremu odejść, to rzecz jasna, usuwano ich siłą. I wtedy zdarzało się, iż zarówno kaszlący, jak i niekaszlący lądowali w jednym dole pod murami miasta.

Karczmarza nie było na sali, gości obsługiwała jego służebna dziewczka, ta o wielkich piersiach. Z wprawą kaprała komenderowała owym osiłkiem, który odprowadził mnie i Bauma do apteki zaraz po tym, kiedy zaznajomiłem się ze świętej pamięci aptekarzem. Teraz rozpoznała mnie od razu i otoczyła zaraz wielką opieką, cały czas coś mi donosząc i pytając, czy aby czegoś mi nie trzeba, a w

międzyczasie tresując i popędzając oddanego jej pod rozkazy półgłówka.

– Coś mi się wydaje, że ty sama bez trudu mogłabyś prowadzić oberżę – pochwalilem ją.

Uśmiechnęła się szeroko.

– Widzicie, mistrzu inkwizytorze, on jest silny jak byk. – Machnęła dłonią w stronę uwijającego się osiłka. – Ale głupi nawet więcej niż but. – Westchnęła głęboko i mogło się wydawać, że pod wpływem tego oddechu jej koszulka zaraz pęknie na piersiach.

– Cóż, bystry nie jest, ale karczmarz mówił, że dobry z niego chłopak.

– Bo dobry jest, pewnie, że dobry – gorąco przytaknęła dziewczyna. – Ale głupi tak, że da się byle komu otumanić i tylko go ludzie ukrzywdzą.

– I coś zamierzasz z tym zrobić? – domyśliłem się.

– Ano zdecydowałam sobie, że wezmę go za męża – stwierdziła. – Będzie miał ze mną dobrze, bo i nagotować potrafię dobrze, a i w nocy umiem chłopca umęczyć jak trza. – Uśmiechnęła się szeroko.

– Widzę, że chłopak przy tobie nie zginie – pochwalilem ją ponownie.

– Kupimy wóz i będziemy jeździć po świecie, żeby się ten mój popisował siłą przed ludźmi. Niech płacą, żeby takiego mocarza zobaczyć!

– Słusznie.

Zapatrzyła się w okno, jakby w naciągniętym białym płótnie[26], rozjaśnionym mocnym jeszcze popołudniowym słońcem, widziała świetlaną przyszłość swoją i pacholka – siłacza.

– A ja przecież łatwo dorobię, póki mam to, co mam – dorzuciła wesoło i ze śmiechem ścisnęła się dłońmi za wielkie piersi. – Dobrze nam się będzie działo!

Czasami aż zazdrościłem tym prostym naturom, że ich życie przypominało prześlizgiwanie się po powierzchni wody. Oni nie tylko nie musieli nurkować ani latać, lecz wręcz nie wiedzieli, że pod taflą istnieją niezbadane głębie, a nad nią – niezmierzone przestworza. Ani ich to nie interesowało, ani do niczego nie było im

potrzebne. Żyli sobie wraz z innymi podobnymi do siebie stworzeniami i umierali, nie tylko nie mając poczucia straty z powodu swych ograniczeń, ale nawet nie pojmując, że czegoś im brakuje. A gdyby ktokolwiek starał im się owe problemy wytłumaczyć, to albo nic by nie zrozumieli, albo tylko by się w duchu roześmiali na dziwaczne pańskie fanaberie...

Dziewczyna odbiegła z powrotem do pracy, a ja leniwie sączyłem wino, pogrążony we własnych myślach. Kiedy minęło już dość dużo czasu i zastanawiałem się nawet, czy nie wyjść i nie poszukać jakiegoś innego ulicznika, bo ten mnie zawiódł, to nagle rzeczony chwyt wbiegł do karczmy i zręcznie wymknąwszy się ręce pilnującego wejścia głupka, który chciał go zatrzymać (jak widać, uznając, że nie ma w porządnym lokalu miejsca dla takich oberwańców), zameldował się przy moim stole.

– Wróciłem! Do waszych usług! – zawołał wesoło.

Gestem nakazałem zmierzającemu w naszą stronę wielkimi krokami osiłkowi, by zostawił nas w spokoju.

– Znalazłeś?

– Jakżeby nie, jeśli tak. – Zatarł dłonie z wyraźnym zadowoleniem.

– Nie tylko wiem, kto ma zranioną dłoń, mistrzu inkwizytorze, ale wiem również, gdzie tego kogoś można teraz znaleźć.

– Gadaj – nakazałem.

– Mistrzu najdroższy! – Złożył dłonie i spojrzał na mnie wzrokiem głodnego psa proszącego o kęsek. – Za łaską waszą, chciałbym jednak wiedzieć, co dostanę za te wszystkie moje wielkie wysiłki i cały dzień zmitrężony na poszukiwaniach.

– Cały dzień – powtórzyłem ironicznie i pokręciłem głową.

Wyciągnąłem dwugroszaka i rzuciłem w jego stronę. Chwytał monetę w locie i zerknął na nią.

– Żebyście tak miłościwemu panu naszemu dali brata bliźniaka, coby sam się nie poniewierał w mojej kieszeni – powiedział szybko i przymilnym tonem. – Co wy na to, mistrzu inkwizytorze?

– Gadaj – rozkazałem zimno. – Bo zaraz stracisz monetę, a zarobisz solidne baty.

– Już mówię, już mówię – zawołał pospiesznie i cofnął się o krok. – Nazywa się ten pacholek Niklas i służy u doktora Krumma. Rękę ma obwiązaną szmatą i nawet zagadałem go w karczmie. Mówił, że upadł na deskę z gwoździem i przebił sobie dłoń...

Westchnąłem.

– Głupiej już się nie dało? – zapytałem nawet nie chłopaka, bo on przecież nie wiedział, w czym rzecz, ale samego siebie. – I co? W której karczmie zapija te smutki?

– Siedzi w „Studni Krwi” i widziałem... – obniżył głos – że ma srebrne monety.

– Dobrze się spisałeś – pochwaliłem go. – Następnym razem, kiedy będę czegoś potrzebował, nie zapomnę o tobie.

„Studnia Krwi” wbrew nazwie była całkiem przyzwoitą karczmą, obszerną, murowaną i nieco mniej brudną oraz nieco mniej śmierdzącą niż większość gospód w Weilburgu. Nazwa tego przybytku, niezbyt miła, przyznacie to, mili moi, pochodziła z dawnych jeszcze i mniej spokojnych lat. Pewnego razu w tamtym czasie do Weilburga przysłano cesarskich poborców podatkowych. I raptem owi poborcy zniknęli, a pięknego letniego poranka odnaleziono dwa nagie, pozbawione głów ciała w studni na podwórzu karczmy, która to karczma wówczas nazywała się prosto i poczciwie „U Alojza”. Co ciekawe, żadnej z tych głów nigdy nie odnaleziono, a weilburskie pogłoski mówiły tylko o pewnej zamiejskiej hodowli świń oraz o wielkim apetycie tych stworzeń. Tak czy inaczej, od tej pory oberża nazywała się „Studnia Krwi”[27].

– Czekaj na mnie pod gospodą – rozkazałem. – Pokażesz mi tego człowieka.

Aż zaskowyczał, robiąc zboląłą minę.

– Nie bój się, nikt nie zobaczy, że to ty doniosłeś – pocieszyłem go. – Wskażesz mi go ostrożnie i znikniesz.

– Mistrzu inkwizytorze, przecież sami zobaczycie, który to, bo ma rękę obwiązaną brudną szmatą – powiedział.

Nie chciało mi się tłumaczyć, że po pierwsze, ów Niklas mógł w międzyczasie wyjść z karczmy, a po drugie, mógł przecież trzymać rękę pod blatem, co zmusiłoby mnie do chodzenia pomiędzy

gośćmi, przeciskania się między nimi i zagładania pod stoły. A ponieważ, tak jak wspomniałem, nie chciało mi się tego wszystkiego omawiać, dałem mojemu rozmówcy w ucho płaską dłoń, ale całkiem mocno. I patrzcie państwo, zaraz zrozumiał, że jego pomysł był całkiem głupi, a moja koncepcja niezwykle roztropna. Muszę przyznać, że zaletą tego prostego sposobu wyjaśniania spraw było, iż działał przede wszystkim szybciej niż długie tłumaczenia. Z kolei jego wadą było to, iż nie wobec każdego dało się podobną metodę perswazji zastosować.



Zanim poszliśmy do oberży, zadałem sobie trud znalezienia miejskiego patrolu. Akurat w dzisiejszych czasach było o to nieco łatwiej niż zwykle, bo rajcy również rozumieli, że obecność ludzi dbających o spokój i ład na ulicach nieco łagodzi obyczaje, stąd też wysyłano do pilnowania porządku nie tylko zwykłych strażników, ale również tęgich chłopaków ze straży cechowej. W prawdziwej walce ich przydatność byłaby, rzecz jasna, niewielka, ale w tym wypadku chodziło tylko przecież o to, by ktokolwiek obdarzony urzędowym autorytetem miał oko na miasto i jego obywateli.

– W imieniu Świętego Officjum idziecie ze mną – rozkazałem.

Dowódca patrolu chciał coś odpowiedzieć, jak sędzę, myślał się wymigać od obowiązków, ale spojrzał w moją twarz i jakoś tak się od razu stało, że zrezygnował z oporu.

– Na rozkaz, mistrzu inkwizytorze – wymamrotał głosem, w którym próżno byłoby szukać entuzjazmu.

Oczywiście mogłem sam udać się do „Studni Krwi” i aresztować Niklasa, ale musiałbym wtedy przez całe miasto prowadzić chłystka, który tylko szukałby okazji, by prysnąć i ukryć się w tłumie lub zniknąć w którejś z małych, krętych uliczek. A tak to niech się nim zajmują i przejmują dzielni chłopcy z miejskiego patrolu.

– W czym będziemy mogli usłużyć waszej inkwizytorskiej mości?
– spytał dowódca grobowym tonem.

– Robota lekka, łatwa i przyjemna – odparłem. – W „Studni Krwi” pojmiecie dla mnie pewnego rzezimieszka i odprowadzicie go do siedziby Świętego Officjum.

Mężczyzna westchnął ciężko. W sumie nie dziwiłem mu się, bo komu chciałoby się wałęsać po mieście. Do tej pory strażnicy siedzieli sobie spokojnie w cieniu, przyglądali się przechodzącym ludziom, popijali piwo, leniwie gadali jeden z drugim, czasami zagwizdali na dziewczynę, jeśli im się spodobała. A teraz napatoczył się inkwizytor i kazał im zabrać się do roboty. Chodzić po rozpalonych jak patelnia weilburskich ulicach i jeszcze pilnować jakiegoś obwiesia. Ot, niesprawiedliwość...

– Jeśli, nie daj Boże, mój więzień wam ucieknie, to wy sami traficie do lochu Inkwizytorium. I już ja się wami tam zajmę – obiecałem twardo. – Rozumiesz?

– Rozumiem, co mam nie rozumieć – bąknął.



Oczywiście najpierw musiałem sprawdzić, czy obwiesia naprawdę można uznać za podejrzanego. Byłoby przecież całkiem niezręcznie, gdyby się okazało, że dłoń zawinął szmatą, bo zwichnął sobie palec, czy też wykręcił mu je artretyzm. Ja szukałem człowieka z głęboką, poważną raną od noża i tylko to mnie interesowało. Dlatego też kiedy tylko strażnicy wywlekli podejrzanego z karczmy i kiedy tylko uświadomili mu, że ma do czynienia z mistrzem Świętego Officjum, rozkazałem:

– Zdejmij bandaż!

– Ale że co? Ja ranny jestem! – zawołał natychmiast.

Mimo krzyku, trochę utrzymanego w tonie obrony, trochę w tonie skargi, a trochę może nawet napastliwego, zobaczyłem strach w spojrzeniu mężczyzny. O tak, mili moi, coś było na rzeczy.

– Załatwcie to – nakazałem strażnikom.

Bezceremonialnie i nielitościwie zerwali mojemu więźniowi bandaż, a ten wył i wyrywał się, ale chłopcy nie dość, że byli

całkiem krzepcy, to jeszcze trzymali go mocno. Wreszcie obwieś oberwał pięścią w dołek, zatchnął się, zwiotczał w ich rękach i wtedy mogłem się spokojnie przyjrzeć ranie, z której, jako że oderwano zakrywające ją szmaty, zaczęła buchać krew. Cóż, krew w profesji inkwizytora nie jest niczym ani dziwnym, ani obrzydliwym i powiem wam, mili moi, że człowiek wydała z siebie, zwłaszcza w czasie tortur, substancje dużo bardziej obrzydliwe niż krew, zaczynając od flegmy i ropy, a kończąc na odchodach czy wyrzygiwanej treści żołądka. Przyjrzałem się uważnie okaleczeniu i już na pierwszy rzut oka wiedziałem na pewno, że nie ma mowy o tym, iż powstało pod wpływem przebicia dłoni gwoździem. Rękę Niklasa cięto bowiem od podstawy palców aż po nadgarstek, a rana była głęboka oraz szeroka, ale nie poszarpana. Przebicie ciała gwoździem wyglądałoby zupełnie inaczej, tak samo jak zupełnie inaczej wyglądałoby, gdyby człowiek zahaczył o wystający gwóźdź i żelazo poszarpało mu skórę. Tutaj obrażenia musiał spowodować silny cios ostrym narzędziem. Na przykład nożem.

Kiedy więc upewniłem się w moich podejrzeniach, mogłem już ze spokojnym sercem kazać odprowadzić podejrzanego do siedziby Inkwizytorium. Tam sprowadzono go na dół, do piwnicy, a zauważyłem, że strażnicy ciekawie, choć ze strachem rozglądali się wokół. Nie wiem, co spodziewali się zobaczyć. Czy jakieś skomplikowane narzędzia tortur lub nieszczęśników jęczących w kajdanach? Nic takiego, rzecz jasna, nie zobaczyli. W celach nie przebywał w tej chwili nikt, a w salce, gdzie zazwyczaj prowadzono przesłuchania, znajdowały się raptem: szafa, kominek, stół, kilka krzeseł, jedno drewniane łoże i dyby. Do sufitu wbito żelazny hak, a na ścianach wisiało kilka batów, od cienkiego niczym mały palec aż po potężny kańczug z wieloma rzemieniami przetykanymi ostrymi kawałkami metalu. A tak poza tym żadnych innych narzędzi stosowanych przy torturach nie było na widoku, gdyż wszystkie pochowano w szafie.

– Przywiążcie mi go do stołu i możecie zmykać – rozkazałem.

To, co zamierzałem zrobić, nie miało być w żadnym wypadku oficjalnym inkwizytorskim przesłuchaniem. Zresztą śledztwo

w sprawie morderstwa aptekarza, jeśli przyprowadzony przez straż męczyzna był, jak przypuszczałem, sprawcą, i tak nie wchodziło w zakres moich obowiązków jako inkwizytora. Jednak jako człowiek, który z Baumem zawarł całkiem przyjemną znajomość, nie zamierzałem puścić płazem jego śmierci, zwłaszcza że zadano mu ją w wyniku spisku zrodzonego z niskich pobudek. A przynajmniej tak sądziłem i ten mój właśnie osąd zamierzałem udowodnić w pokoju przesłuchań.

Strażnicy rozłożyli ciągle lamentującego Niklasa na stole i zapięli mu kończyny klamrami.

– Do czegoś jeszcze się przydamy? – zapytał dowódca.

– Idźcie do kuchni i powiedzcie, że was przysyłam. Niech wam dadzą po flasce wina na głowę – rzekłem.

– Pokornie dziękuję, mistrzu inkwizytorze – rozpromienił się strażnik, a jego podkomendni również zyskali nagle i humor, i animusz.

Kiedy ucinałem sobie krótką pogawędkę ze strażnikami, w tym samym czasie mój więzień gadał, lamentował, błagał, przysięgał, zaklinał, dopytywał... Krótko mówiąc, robił wszystko, co robiłby człowiek, którego wyciągnięto z karczmy, by na sznurze zawlec do inkwizytorskiego pokoju przesłuchań i rozłożyć na stole tortur. Rzeczywiście spoglądając z jego strony, sprawy wyglądały na tyle nieprzyjemnie, że nic dziwnego, iż chciał wiedzieć, dlaczego tak właśnie los obrócił się raptownie przeciwko niemu. Ale ponieważ jego gadanina zaczęła mnie drażnić, wziąłem skórzaną gruszkę, rozwarłem mu szczęki i wepchnąłem mu tę gruszkę w paszczę. Teraz mógł już tylko głucho jęczeć i bełkotać, co niepokoiło mnie w dużo mniejszym stopniu.

– Nasz kat zachorował – powiedziałem tonem uprzejmego wyjaśnienia. – Więc będę musiał wyświadczyć ci tę łaskę i sam się tobą zająć. – Uniosłem żelazne cęgi, przyjrzałem im się pod światło i dwa razy szczęknałem nimi na próbę.

Zza pleców dobiegł mnie jęk szczególnie głośny, chociaż nadal oczywiście zduszony. Odłożyłem cęgi na stół. Zapaliłem ciemnobrązową świecę o grubym knocie. Zbliżyłem się do Niklasa

i spojrzałem w jego wybałuszone oczy. Bardzo, ale to bardzo usiłował odezwać się do mnie, lecz skórzana gruszka rozpychała mu całą gębę i ledwo mógł oddychać, a co tu dopiero mówić o gadaniu. Odwróciłem się i zdjąłem mu but z lewej nogi.

– Ależ ci stopy śmierdzą, chłopie – powiedziałem z obrzydzeniem.

Przytknąłem płomień świecy do jego stopy w tym delikatnym miejscu pod poduszkami palców, chociaż akurat mój więzień skórę miał wszędzie zgrubiałą jak podeszwa i ciemnożółtą, niemal brązową. No ale płomień nie przez takie zapory się przebija. Zresztą wiedziałem, że jeśli będzie trzeba, to zedrę mu tę skórę i wtedy dopiero potraktuję ogniem żywe, krwawiące mięso. Ci, którzy podobną torturę przeżyli, zapewniali, że jest mocno nieprzyjemna.

Więzień miał unieruchomione kostki, więc tylko po gwałtownych konwulsjach jego palców oraz spazmatycznych napięciach mięśni stóp i łydek mogłem poznać, że odczuwa przypalanie jako bolesną niedogodność.

Potrzymałem płomień świecy tak długo, póki nie poczułem silnego swędzu palonego mięsa. Nadal byłem odwrócony plecami do twarzy Niklasa, ale po głośności dochodzącego przez knebel jęku domyślałem się, że gdybym więźnia z tej skórzanej gruszki uwolnił, to zapewne wyłby wniebogłosy. No cóż, taka to już jest właściwość ognia, że wolimy przed nim uciekać, niż się w nim pławić. Ale czasem nie ma wyjścia.

– No dobrze, wystarczy na razie – zdecydowałem, odsuwając świecę, i odwróciłem się w stronę mężczyzny.

Miał czoło zroszone gęstym potem, z kącików ust ciekła mu krew, a z oczu łzy.

– O, na gwoździe i ciernie! – zawołałem. – Jak ty mogłeś cokolwiek mi wyznać, biedny człowieku, skoro nie wyjąłem ci gruszki z gęby!?

Roześmiałem się jakby z własnej nieuwagi, poklepałem obwiesia po policzku.

– Pamiętaj, aby nie krzyczeć, kiedy cię uwolnię od knebla – rzekłem surowym tonem. – Gdyż bardzo nie lubię hałasu. Rozumiesz mnie?

Pokiwał gorliwie głową.

Wyciągnąłem mu więc z ust gruszkę. Obrzydliwie pokrwawioną i oślinioną. I muszę przyznać, że Niklas rzeczywiście dotrzymał obietnicy, gdyż nie krzyczał i nie lamentował, a tylko poprzez zaciśnięte usta skowyczał niczym raniony pies, a z oczu łyzy ciekły mu jak dwa małe strumyczki.

– No dobrze, Niklasie, opowiadaj szybko, jak żeście to zrobili i z czyjego rozkazu, a zaraz opatrzę ci nogę i wrócisz sobie do winiarni.

Powstrzymał zduszony lament.

– Ale że niby co? – wyjęczał, wybałuszając na mnie oczy. – Ja jestem dobry człowiek, mistrzu inkwizytorze, nigdy żadnego złego uczynku przeciw...

Westchnąłem ciężko i znowu zatkałem mu usta. Oczywiście wiedziałem, że mój więzień nie przyzna się w pierwszej minucie, ale miałem nadzieję, że dojdziemy do porozumienia na tyle szybko, bym nie musiał się zmęczyć torturowaniem.

– Niklasie – powiedziałem poważnie – chciałbym, abys opowiedział mi wszystko i własnymi słowami, co ciekawego wydarzyło się wczoraj oraz w jaki sposób dorobiłeś się rany na rękę. Kiedy mi to opowiesz, szczerze i nie tając niczego, wtedy pozwolę ci żyć.

Przerwałem na chwilę i uśmiechnąłem się do niego uśmiechem szczerym oraz serdecznym.

– Jeżeli natomiast będziesz obrażał mnie kłamstwami... – Pokręciłem głową ze smutkiem. – Wtedy będę musiał zabrać się za ciebie z całą inkwizytorską powagą.

Wyciągnąłem dłoń tak, aby mógł ją dokładnie widzieć, i szcęknałem kilka razy maszynką do zgniatania palców.

To małe, poręczne narzędzie przypominało dziadka do rozłupywania włoskich orzechów, ale tak naprawdę świetnie zgniatało palce. Nie była to co prawda tortura ani wyrefinowana, ani szczególnie bolesna, lecz potrafiła sprawić naprawdę sporo przykrości, przynajmniej na samym początku, kiedy przesłuchiwany nie zapoznał się jeszcze i nie oswoił z prawdziwie wielką męką.

Założyłem mu urządzenie na duży palec u prawej nogi, po czym skręciłem śrubę tak mocno, że usłyszałem trzask pękającej kości, a spod szponiastego, brudnego paznokcia Niklasa wystrzeliła strużka krwi. Za plecami słyszałem tylko charkot mojego więźnia.

– Cóż – powiedziałem głośno. – A teraz zajmijmy się tym palcem, którego zwykle niemal nie dostrzegamy, a który dopiero kiedy został zraniony lub zgnieciony, przypomina nam w jakże bolesny sposób o swoim istnieniu.

Nie wiem, czy Niklas mnie słyszał, czy też za bardzo był skupiony na męce wywołanej przez połamany paluch, ale założyłem mu maszynkę tym razem na mały palec i przekręciłem śrubę do oporu. A jeszcze potem, zaciskając zęby, docisnąłem tak mocno, że mocniej już nie mogłem. Tym razem zza pleców dobiegał mnie nie charkot, lecz co prawda zduszone, lecz jednak przerażające wycie. Pełne rozpacz i bólu. Zdjąłem narzędzie ze stopy więźnia, odwróciłem się w jego stronę. Podbródek i pierś miał czerwone od krwi, oczy wybałuszone, a twarz całą pokrytą potem i ściągniętą cierpieniem.

Poklepałem go delikatnie po policzku.

– Do wesela się zagoi – obiecałem wesoło. – Przecież ja wcale nie chcę cię dręczyć – dodałem tym razem już poważnym tonem. – Najbardziej chciałbym puścić cię do domu i sam też bardzo chciałbym już odpocząć. Bo powiedz mi: po co obaj mamy się tu męczyć, co? Prawda?

Popatrzyłem na niego przyjaźnie.

– Wyjmę ci knebel – powiedziałem. – A ty będziesz tak uprzejmy, że nie będziesz krzyczał, ani nawet nic gadał, dopóki cię nie spytam. Czy możemy tak się umówić?

Moje słowa oraz ich sens na szczęście docierały do niego, bo pokiwał gorliwie głową i zamrugał równie gorliwie oczami. Znowu więc wyjąłem gruszkę z jego ust i z satysfakcją zauważyłem, że był na tyle grzeczny, iż dotrzymał obietnicy i poza zduszonym jękiem oraz szlochem nie wydawał z siebie żadnych dźwięków.

Przysiadłem obok niego, położyłem mu dłonie na policzkach i zbliżyłem twarz do jego twarzy. Cuchnął nie tylko krwią, potem i brudem, ale również zepsutymi zębami. Na gwoździe i ciernie,

jakżeż to było niesprawiedliwe, że ludzie tak często współczuli przesłuchiwanym, a tak niezmiernie rzadko pochylali się nad ciężką dolą inkwizytorów! Czy my życzyliśmy sobie spędzać wieczory wśród więźniów wyjących z bólu, śmierdzących i wydzielających różnorakie paskudne wydzieliny? Oczywiście, że nie! O ileż bym wolał spotkać się z przyjaciółmi, by w towarzystwie heter oraz flecistek oddawać się dysputom o filozofii i sztuce. A musiałem siedzieć z takim Niklasem i wysłuchiwać jego krzyków, zamiast delektować zmysły brzmieniem strun harfy i delikatnym świergotem fletów. I zamiast z podziwem oraz czułością spoglądać na zgrabne paluszki harfistek, wydobywające krystaliczny dźwięk z instrumentów, musiałem patrzeć na koślawe i brudne paluchy Niklasa, które zgniatałem w maszynce do kruszenia kości. Więc pełen goryczy mogłem tylko westchnąć przy takiej okazji: *Non nobis, Domine, non nobis, sed nomini Tuo da gloriam*[28].

– Niklasie – powiedziałem poważnie – zacisnąłem ci na palcach maszynkę przypominającą dziadka do orzechów. My, inkwizytorzy, uważamy podobny zabieg raczej nie za torturę, a za delikatne przygotowanie przesłuchiwanego na prawdziwy ból. – Umilkłem na chwilę, by dać mu czas na zrozumienie tego, co mówię. – Bo czy wiesz, co się stanie, kiedy wezmę solidne imadło i wetknę między jego szczęki twoje jądra oraz twojego kutasa? – Mocno zaakcentowałem słowa „jądra” i „kutasa”, za każdym razem ściskając go coraz mocniej za twarz. – Czy rozumiesz, jak wielki ból ci sprawię, dokręcając szczęki imadła tak mocno, aby rozgniotły twoje przyrodzenie na miazgę?

– Jezu Boże, nie róbcie tego, proszę – zaszeptał, a łzy ciekły mu ciurkiem po policzkach.

Jeżeli chcemy uzyskać prawdę od przesłuchiwanego, a nie jedynie spowodować, by przerażony torturami opowiedział nam, co chcemy usłyszeć (lub co wydaje mu się, że chcemy usłyszeć), musimy zadawać pytania, które nie zawierają w sobie odpowiedzi. Tortury są co prawda znakomitym kluczem do otwierania skrzynek z tajemnicami oraz sekretami, ale trzeba jednak uważać, by z kluczy tych korzystać umiejętnie i nie wtykać ich w zamki pośpiesznie oraz

bez finezji. Gdyż przy tak nieumiejętnym postępowaniu można albo połamać zamek, albo otworzyć skrzynkę całkowicie fałszywą, której zawartość nie jest realna, lecz stanowi jedynie wytwór przerażonej imaginacji przesłuchiwanego.

Czy widziałem kiedykolwiek człowieka, który wytrzymał zadane fachową ręką tortury i nie znalazł ulgi w przyznaniu się do winy oraz w wyjawieniu grzechów? Nie, mili moi, nigdy kogoś takiego nie spotkałem. Owszem, zdarzało się, że przesłuchiwani umierali, zanim ich skłoniono do szczerych odpowiedzi (ale tylko wtedy, gdy przesłuchujący byli niezręczni lub gdy przytrafiło się wyjątkowe nieszczęście), zdarzało się również, że wychodzili z więzienia, ponieważ zapadała decyzja o ich uwolnieniu. Ale nigdy, a powtarzam wam to, mili moi, z całą odpowiedzialnością, nie zdarzyło się w moim inkwizytorskim życiu, by człowiek przesłuchiwany, który był winny, nie załamał się i nie przyznał do tejże winy, opowiadając nam o swych postępkach z wszelkimi szczegółami. Oczywiście ta spowiedź często nie przychodziła łatwo, nie przypominała lawiny, w której każdy kamyczek był popełnionym i wyznawanym grzechem. Przypominała raczej ostrożne i stopniowe obłupywanie głazu. Okruszek po okruszku, złomek po złomku. Aż w końcu cały kamień zostawał rozbity, a my mogliśmy się cieszyć, że grzesznik, tający do tej pory swe sekrety, nagle stawał przed nami całkowicie nagi i w swej nagości piękny. Wtedy już mogliśmy go oddać oczyszczającej mocy płomieni, z poczuciem, że w zamian za doczesne niewygody przywróciliśmy duszę tego człowieka do Bożej światłości. I wiercie mi, mili moi, iż nader często zdarzało się, że ci grzesznicy, kacarze, poganie czy heretycy, nekromanci, wiedźmy lub demonolodzy umierali nie tylko w pokoju, ale z pełnym zrozumieniem, iż najlepsze, co wydarzyło się w ich życiu, nastąpiło w dniu, kiedy aresztowali ich inkwizytorzy.

Oczywiście w tym przypadku, w przypadku podejrzanego o morderstwo Niklasa, kompletnie obojętne mi było, czy ów poczuje skruchę i czy będzie umierał z wdzięcznością w sercu. Zależało mi tylko na bezspornych dowodach z zeznań, tak abym sam we

własnym sumieniu mógł powiedzieć sobie: „oto jest człowiek bezsprzecznie winny”. I oczywiście rzecz druga: życzyłem sobie, by mój aresztant doprowadził mnie do współników oraz zleceniodawców.

– Opowiedz mi o wczorajszym dniu, Niklasie – zaproponowałem łagodnie. – A przede wszystkim opowiedz mi o wczorajszym wieczorze. Z kim się spotkałeś? Co robiłeś? Jak zraniłeś się w rękę?

Inkwizytor często nie wie, kiedy przesłuchiwany jest już gotów, by mówić prawdę i by zaznać słodkiej łaski wyznania grzechów zamiast gorzkiego i bolesnego ich wypierania. Czasami następuje to szybciej, czasami wolniej, zwykle łatwiej złamać ludzi mądrych, gdyż ci przewidują konsekwencje, a dzięki rozbudowanej fantazji potrafią wyobrazić sobie, jakim katuszom zostaną poddani. Dlatego w stosunku do natur wrażliwych wystarczy czasami, aby inkwizytor pozwolił puścić im wodze własnej wyobraźni.

Niestety, Niklas nie był nikim szczególnym, ot, prosty pacholek, który nauczył się iść przez życie gnębiony przez silniejszych i poniewierający słabszych. Tacy osobnicy potrafią dość długo i uparcie trzymać się własnej zakłamanej wersji wydarzeń, zwłaszcza jeśli katusze, którym ich poddano, nie są nadto srogie. Dlatego mogłem się spodziewać, że Niklas zawoła: „Byłem w domu! W domu byłem, przysięgam! Nic złego nikomu nie zrobiłem!”.

Nie ma sensu dalej zagłębiać się w szczegóły śledztwa. Wystarczyła pierwsza cieniutka niteczka, którą było przedśmiertne zeznanie Jonatana Bauma. Kiedy poszedłem jej śladem, zaprowadziła mnie najpierw do Niklasa, a mając go w rękach, mogłem już szarpnąć ją mocno. No i zaraz później owa nitka zawiodła mnie do współników zbrodni. Ich również kazałem sprowadzić do Inkwizytorium i spokojnie przesłuchałem. Tym razem obyło się nawet bez dręczenia, a wystarczyło zaledwie okazanie narzędzi oraz zeznania złożone przez nagiego, płaczącego i sponiewieranego torturami Niklasa. Jego współnicy wysłuchali tej bezładnej, przerywanej lamentami spowiedzi i nie tylko niczego się nie wypierali, lecz zaczęli zrzucać winę jeden na drugiego.

– Nie mieliśmy go wcale zabić, mistrzu inkwizytorze – rzekł nawet całkiem spokojnym i przytomnym głosem jeden z tych opryszków. – Ale Niklas tak się zgniewał, że aptekarz dźgnął go nożem, że sam pchnął go kilkakrotnie, zanim zdążyliśmy go oderwać...

– Tak było, tak było! – zakrzyczał trzeci zbój, a do tego harmidru włączył się piskliwy, zrozpaczony głos Niklasa, że wcale nie chciał i nożem uderzył na oślep, a wszystko to tylko ze strachu, bólu oraz rozpędu, a nie ze złej woli, tak mu Panie Boże dopomóż i niech padnie piorunem rażony, jeśli kłamie...

No cóż, gdyby ludzie, którzy zarzekają się, że może ich trafić piorun z jasnego nieba, jeśli kłamią, byliby naprawdę karani gromem, to obawiam się, że wiele widzielibyśmy w domach i na ulicach spopielonych ciał grzeszników. A umieraliby oni zapewne z naprawdę głupim wyrazem twarzy, zadając sobie pytanie, jak to możliwe, że Bóg tak dosłownie potraktował ich zakłęcia. Niestety, nasz Pan i Stwórca zdecydował się nie ułatwiać zadania inkwizytorom, więc to my sami, funkcjonariusze Świętego Oficjum, musieliśmy ostrożnie, dokładnie i uważnie rozplątywać uczynione przez bliźnich supły kłamstw, które dodatkowo utkali oni węzłami niegodziwości i okręcili pętlami występków.

Przesłuchanie trzech obwiesi odbywało się pośród łkania, smarkania, jęczenia i błagań o litość. To zdumiewające, że chociaż Święte Oficjum istnieje od tylu wieków, ludzie nie nauczyli się, że inkwizytorzy nie mają miękkich serc i nie dają się zwieść lamentom oraz prośbom. Wykonujemy rzetelnie swoją pracę, a czyż budowniczy wznoszący most nad otchłanią, most mający służyć publicznemu dobru, posłuchałby kogoś, kto by go upraszał, by przerwał swą ważną pracę? Oczywiście, że nie! A zadanie nasze, inkwizytorów, było przecież znaczniejsze – my ustawialiśmy most mający poprowadzić dusze naszych bliźnich wprost do Królestwa Niebieskiego! Zatrzymanie się byłoby więc nie tylko przewiną wobec ludzi, lecz przede wszystkim śmiertelnym grzechem wobec Najwyższego Pana, któremu przysięgaliśmy bezwarunkowo służyć.

Kiedy usłyszałem już wszystko, co chciałem usłyszeć, wtedy kazałem wezwać Wittlera i poleciłem mu podpisać wszystkie strony,

aby poświadczył, iż przesłuchanie odbyło się w jego przytomności. A on był na tyle mądry, że ani nie pytał, co to są za zeznania, ani nie domagał się, by naprawdę je przeczytać. Z pewnych względów chciałem bowiem, by wszystko, co znalazło się w protokole, pozostało w tajemnicy.



Kinga siedziała z Helcią przy kuchennym stole. Od kiedy dzieciak, którym się opiekowała, opuścił siedzibę Inkwizytorium, dziewczyna, najwyraźniej znudzona samotnym siedzeniem w pokoju, zaczęła towarzyszyć i pomagać naszej gospodyni. O dziwo, bardzo się polubiły. Tak to już jest, że piękną, młodą dziewczynę i starą, brzydką kobietę (a Helcia przy całej jej zacności była, nie ukrywajmy tego, brzydka, jak zresztą niemal każdy stary człowiek) może połączyć tylko dwojaki stosunek. Albo stara znienawidzi tę młodą, w jej świeżości i uroku widząc to, czym nigdy nie była i nigdy już nie będzie, albo też potraktuje jak córkę, zaopiekuje się nią i roztoczy nad nią mądrą kuratelę. W przypadku Helci i Kingi na szczęście wydarzyło się to drugie. Kiedy wszedłem do kuchni, obie siedziały przy stole i zajmowały się lepieniem pierogów. Rozmawiały cicho, ale kiedy mnie zobaczyły, umilkły.

– Nie chciałem wam przeszkadzać – powiedziałem. – Helcia dała tym strażnikom wino, jak poleciłem?

– Skoro żeście polecili, mistrzu inkwizytorze, to wasze polecenie wykonałam – odparła niemal obrażonym tonem.

– Czy ktoś jest w piwnicy? – zapytała cicho Kinga.

Spojrzałem na nią ostro.

– Czemu cię to interesuje?

Potrząsnęła tylko głową i nic nie odpowiedziała.

– Jeśli ktoś trafia do naszych lochów, to znaczy, że jest złym człowiekiem i krzywdzi ludzi oraz wiarę – rzekła Helcia. – Innych tam nie ma.

– Święta prawda – odparłem.

Potem natomiast kazałem Wittlerowi, by wezwał do siedziby Inkwizytorium medyków Krumma i Puffmeistera i przykazał im, iż mają się pojawić natychmiast, gdyż w innym wypadku zostaną przyprowadzeni siłą.



– Oto protokół z przesłuchania morderców mistrza aptekarskiego Jonatana Bauma – powiedziałem i położyłem na blacie karty zapisanego papieru. – Możecie panowie go przeczytać, zanim zapozna się z nim rada miasta.

Puffmeister przełknął głośno ślinę i wpatrzył się w zaprezentowane materiały, tak jakby nie były one plikiem papierowych kart, lecz wiklinowym koszem, z którego wychyla łeb żmija Kleopatry. Krumm zachował większy spokój. Sięgnął po dokumenty i przebiegł je wzrokiem. Raz, a potem drugi.

– To podłe oszczerstwa – oznajmił wreszcie twardo. – Naprawdę podłe. Co za ludzie!

Jego towarzysz już się uspokoił i teraz też przysunął do siebie protokół. Milczeliśmy, kiedy czytał, ja – przyglądając mu się beznamiętnie, a Krumm – wpatrując się w stół i sapiąc cicho z irytacji.

– To nie ludzie, to wilki – stwierdził wreszcie Puffmeister z wielką goryczą i odsunął papiery w moją stronę.

Uśmiechnąłem się do nich serdecznie.

– Bardzo się cieszę, że sprawa się wyjaśniła – powiedziałem, wstając z miejsca.

Zaskoczyłem ich. Bardzo ich zaskoczyłem.

– To co? To już? – zapytał wreszcie Puffmeister.

– Tak, już – odparłem. – Święte Officjum nie jest zainteresowane zwykłymi przestępstwami, które nie obejmują gwałtu na naszej świętej wierze. Oddam te dokumenty miejskiemu sądowi oraz radzie miasta, tak samo jak oddam im samych więźniów.

– To znaczy co się stanie? – zapytał Puffmeister niepewnie.

– Znaczy to, że młyny sprawiedliwości zaczną mielić – odparłem. – Z doświadczenia podejrzewam, że zostaniecie zatrzymani do czasu wyjaśnienia sprawy. Morderstwo bogatego mieszczanina, którego znano nawet na cesarskim dworze, który wraz z bratem prowadził największą aptekę w Koblencji... – zawiesiłem głos. – Ho, ho, to nie jest byle jaka sprawka. Nasz sąd zrobi wszystko, żeby odnaleźć i przykładowo ukarać nie tylko samych zabójców, ale również zleceniodawców tej zbrodni.

Medycy milczeli.

– Oczywiście, jeśli to nie wy, panowie, jeśli oskarżono was niesłusznie, to za kilka miesięcy pewnie wszystko się wyjaśni – dodałem i pokręciłem głową. – Ale huk w mieście będzie wielki. Ha! Lekarze zabijają aptekarza, no, no, będzie o czym gadać...

Medycy spojrzeli w popłochu jeden na drugiego.

– Będziemy zrujnowani! – zawołał Puffmeister. – Nie może tak być, żeby przez kalumnie, oszczerstwa i wysrane z palca łgarstwa zniszczyć życie dwóch uczonych doktorów!

– Ruiną finansów i reputacji nie przejmowałbym się aż tak bardzo – stwierdziłem lekkim tonem. – Zważywszy, że w grę wchodzi również długie więzienie i tortury, a więc prawdopodobnie bezpowrotne zrujnowanie zdrowia. Krótko mówiąc, panowie... – rzekłem teraz już lodowato. – Przekroczyliście bramę, której żaden człowiek przekraczać nie powinien. Kazaliście zamordować niewinnego bliźniego tylko dlatego, że wadził wam w interesach. Kara za to może być jedna i zapewniam was również, że bardzo będziecie cierpieć, zanim jej doczekacie.

– To był wypadek! – wrzasnął przerażony Puffmeister. – Przysięgam na Boga, na Matkę Pana Naszego i na Jego święty gniew, który spustoszył Jerozolimę, że nie chcieliśmy tej śmierci!

Krumm na początku próbował powstrzymać to nagłe wyznanie przestraszonego towarzysza, ale później, widząc, że nic nie działa, pokręcił tylko głową z zaszepionym wyrazem twarzy.

– Wierzcie mi, przysięgam wam, że te głupie łotry miały surowo przykazane, żeby Bauma tylko nastraszyć – rzekł żalobnym głosem.

– Mogę wam to przysiąc na każdą świętość, że nie pragnęliśmy śmierci Bauma.

Puffmeister zagorzale przytakiwał i dopowiadał: tak właśnie było, oj tak, właśnie tak, nie inaczej.

– Stróża, można powiedzieć, wystraszyli śmiertelnie na samym początku swojej przygody – rzekłem.

Skrzywiony Krumm skinął głową i rozłożył tylko ręce.

– Co ja wam mogę powiedzieć, mistrzu Madderdin – odezwał się wreszcie. – Wzięliśmy idiotów do tej roboty, a ci idioci całą sprawę sknócili.

– I to jak sknócili – załamał dłonie Puffmeister. – A przecież stróżowi mieli tylko dać w łeb, a Bauma okraść z tego, co tam będzie miał przy sobie, i poniszczyć mu sprzęty, i trochę na niego pokrzyczeć...

– Zakazaliśmy, Boże broń, podpalać wnętrza, bo w taki upał, nie daj Boże, ogień rozniósłby się po sąsiednich domach – rzekł Krumm i przeżegnał się.

– Wydawało nam się, że zadbaliśmy o wszystko – westchnął Puffmeister ze szczerym, jak mi się zdawało, żalem. – Ale cóż, stało się. A co się stało, to się nie odstanie – dodał. – I co z nami teraz będzie? – Spojrzał na mnie niewinnym spojrzeniem człowieka skrzywdzonego przez los, który na skutek złych okoliczności znalazł się w zupełnie nieodpowiednim dla siebie miejscu.

Milczałem, a oni wiercili się niespokojnie, przebierali nogami, kręcili młynki palcami i spoglądali nerwowo jeden na drugiego. Jak sądzę, teraz dopiero do ich ogłupionych od szoku głów doszło, że skoro ich wezwałem do Inkwizytorium, zamiast zezwolić, by sprawy poszły oficjalnym urzędowym trybem... to znaczy, że muszę mieć w tym jakiś cel.

– A powiedzcie nam, z łaski swojej, mistrzu Madderdin, jakież to pożytek będzie miało miasto, że ukarze nas, nieboraczków? – zapytał słodkim głosem Puffmeister i modlitewnie złożył dłonie. – Tak jak mówiłem: stało się. Nieszczęście. Ale po cóż jednemu nieszczęściu drugie posyłać w parze? Czyż temu zacnemu aptekarzowi pomoże coś, że nas spotka niezawiniona krzywda?

– Niezawiniona – powtórzyłem.

Puffmeister zachnął się.

– A pewnie, że niezawiniona, bo Panu Bogu przysięgam, żebym tak skonał, jak stoję! Nie planowaliśmy, że zginie.

– Nie planowaliśmy! – Krumm spojrzał na mnie i uderzył się pięścią w pierś.

– Mieli go szturchnąć tu i tam i porujnować mu sprzęty – powtórzył raz jeszcze, tylko innymi słowami to, co wyznał już wcześniej. Ale wszystko tylko po to, żeby zaczął z nami gadać, a nie żeby uciszyć go na zawsze!

Puffmeister urwał, posmutniał wyraźnie i pokręcił głową.

– Nie tak miało być, zupełnie nie tak – rzekł. – Chcieliśmy żyć z nim w zgodzie – dodał.

– Jak bracia – dorzucił Krumm.

Nie chciałem już odpowiadać, że skończyło się, iż żyli nie jak Kastor i Polluks, ale jak Romulus i Remus. Zwłaszcza że nie wiedziałem, czy ich umysły, ograniczone do stawiania pijawek, puszczenia krwi oraz czyszczenia pacjenta lewatywami, są w stanie pojąć, o czym w ogóle mówi ktoś mający klasyczne wykształcenie. Ktoś, czyj umysł wynurza się czasami ze smrodliwego trzęsawiska terażniejszej rzeczywistości, by ulecieć ku światu przeszłych wyobrażeń. Świata przecież nie idealnemu, lecz czyż nie znajdującemu się bliżej idei kalokagatii[29] niż jakikolwiek twór ludzkiej cywilizacji, który nastąpił później?

Puffmeistera i Krumma musiało zaniepokoić moje milczenie, gdyż znowu poruszyli się niespokojnie, najpierw jeden, potem drugi. Wreszcie Puffmeister odchrząknął. Na tyle głośno, iż chyba jemu samemu to odchrząknięcie wydało się nazbyt zuchwałe, gdyż zaraz pokrył je nerwowym kaszlem. Spojrzałem na niego uważnie. Dostrzegł mój wzrok i zamachał zaraz rękoma.

– To tylko chrypka – zawołał przestraszony. – Nie jestem, Boże broń, chory ani nic! Całkiem mnie ta przekłeta kaszlica ominęła, całkiem!

– Zastanawiamy się tylko, nad czym, mistrzu, tak rozmyślacie – wtrącił Krumm, tym razem cicho, łagodnie i z przypochebnym

uśmieszkiem.

– W skupieniu myśli szukałem boskiego oświecenia, żeby Pan pomógł mi podjąć decyzję w waszej sprawie – rzekłem.

– Bóg nie pragnąłby naszej zguby – powiedział Puffmeister głosem jeszcze zdławionym od wcześniejszego kaszlu i potrząsnął głową. – Pomyślcie, mistrzu inkwizytorze – rzekł już pewniejszym głosem. – Ileż ludzkich istnień możemy uratować ja i szacowny mój kolega. A jeśli zawiśniemy na szubienicy...

Urwał nagle i zauważyłem, że mówiąc te słowa, pobladł, bo chyba zdał sobie sprawę, że nie są one zaledwie figurą retoryczną, lecz antycypacją możliwych i niewesołych wydarzeń, które naprawdę mogą nastąpić.

Puffmeisterowi zadrżały usta, lecz szybko przetarł twarz dłonią i mówił dalej:

– ...a jeśli zawiśniemy na szubienicy, to przecież nie tylko my, niebożątka, staniemy się ofiarami owego godnego pożałowania nieporozumienia, lecz również stanie się ono przyczyną choroby, nieszczęścia i śmierci wielu naszych pacjentów, których będąc zdrowymi i żywymi, moglibyśmy uratować!

– Szkoda tych biednych ludzi, bardzo szkoda – grobowym głosem przyznał mu rację Krumm.

Jonatanowi Baumowi nic nie mogło już zwrócić życia. Mogłem uwierzyć i uwierzyłem, że jego śmierć była nieszczęśliwym przypadkiem, chociaż Puffmeister i Krumm rzeczywiście mogliby w wyniku procesu zawisnąć na szubienicy. A na pewno straciliby reputację i wielką część, jeśli nie cały majątek. Oczywiście wszyscy wiemy, że kara jest nie tylko odwetem wobec winnych, lecz również pełni rolę odstraszącą dla tych, którzy chcieliby pójść w ich ślady. Ale czy to odstraszenie działało? Czyż mało razy sam widziałem, że kiedy pod pręgierzem biczowano złodzieja, w tym samym czasie jemu podobni okradali na rynku gapiów przyglądających się karze? Niestety, tak to już było, że głupota i chciwość rządziły gatunkiem ludzkim, a słowa „to, co złe, to się przydarzy innym, nie mnie” były aż nazbyt często powtarzane i odmieniane. Nie usiłuję wam, mili moi, wytłumaczyć, że Puffmeister oraz Krumm byli niewinni, gdyż

byli winni jak amen w pacierzu. Ich głupota, złość oraz chciwość doprowadziły do śmierci zacnego, mądrego człowieka, jakim był Jonatan Baum. Tyle że płacąc śmiercią za jego śmierć, nie wróce nikomu życia...

– Tysiąc koron – zażądałem twardo. – I będę milczał jak grób.

– Ty... tysiąc – zająknął się Puffmeister, a jego oczy zrobiły się wielkie jak u sowy.

– Tysiąc? – powtórzył głucho Krumm.

– Zlitujcie się, ale to całkiem niemożliwa suma. – Puffmeister odzyskał już głos i zatrzepotał dłońmi. – Damy radę może zebrać trzysta koron i na takich oto warunkach, że...

Wstałem z hurgotem krzesła i uniosłem dłoń, przerywając mu.

– Tysiąc koron do niedzieli rano – rzekłem mocnym głosem. – Kiedy dzwony zabiją na sumę, chcę was widzieć z pieniędzmi w biurze Świętego Officjum. W poniedziałek rano cena za moją życzliwość wyniesie już dwa tysiące koron. A w poniedziałek wieczorem każę was aresztować.

Potoczyłem po nich wzrokiem. Wolno, zatrzymując spojrzenie raz na jednym, raz na drugim, a oni obaj nie podnosili głów.

– Mam nadzieję, że zostałem dobrze zrozumiany – rzekłem i podszedłem do drzwi.

Zatrzymałem się jeszcze na chwilę na progu.

– Miłego dnia, panowie – powiedziałem. – Zapewne ucieszy was wiadomość, że jak mówił mi pewien żebrak, podobno dzisiaj spadnie deszcz...

A potem odwróciłem się i odszedłem, gdyż nie było nic do dodania.



Puffmeister i Krumm pojawili się z samego rana.

– Oni znowu przyszli! – wykrzyknęła Helcia. – Do doktorowie znaczy.

Zszedłem schodami i uprzejmym gestem zaprosiłem obu medyków do refektarza.

– Punktualność jest uprzejmością królów – powiedziałem. – Cieszę się, widząc was, zacni doktorowie.

Puffmeister uśmiechnął się z wysileniem, a Krumm przyłożył dłoń do serca i skłonił głowę. Cokolwiek by jednak robili, widać było, że na pewno nie są w świetnych humorach. Usiedliśmy przy stole, a Puffmeister wyciągnął zza pasa wielką, nabrzmiałą sakwę i położył ją na blacie z głośnym brzękiem.

– Zebraliśmy osiemset koron – rzekł głosem tak posępnym, jakby był gradową chmurą nadciągającą nad Weilburg i wieszczącą zagładę ludzkości.

– Bo więcej nie damy rady, choćbyśmy się zarznęli – wtrącił Krumm równie ponuro.

– Nie widzę żadnego problemu – rzekłem z uśmiechem i zagarnąłem mieszek.

Zobaczyłem, jak na twarzach obu medyków pojawiła się ulga, i aż chciało mi się zaśmiać z ich łatwowiernej niedomyślności.

– Jutro doniesiecie, panowie, pozostałe tysiąc dwieście koron i wszyscy będziemy bardzo szczęśliwi – dodałem.

Z rozbawieniem obserwowałem, jak wyraz ulgi spełza z ich twarzy, zastępowany przez oszołomienie i strach.

– J-jak t-to tysiąc dwieście? – wyjąkał Puffmeister, spoglądając na mnie szeroko otwartymi oczami.

– Zapowiadałem, że w poniedziałek kwota wzrośnie do dwóch tysięcy, prawda? – przypomniałem łagodnie. – Dwa tysiące minus osiemset daje nam tysiąc dwieście, czyż nie? – Zmarszczyłem brwi. – Chyba że moja algebra zdążyła zardzewieć...

– Zmiłujcie się, ale... – zaczął Puffmeister.

Uniosłem rękę, przerywając mu w pół zdania.

– Przypominam jednak, że jeszcze do wieczora możecie, panowie, donieść dwieście koron i będziemy skwitowani.

Zaraz potem wstałem.

– A teraz wybaczcie, ale czekają mnie pilne zobowiązania – westchnąłem. – Cóż, służba nie drużba, a my, inkwizytorzy, mamy

niewiele wolnego czasu, który moglibyśmy poświęcić zajęciom tak przyjemnym jak rozmowa z wami.

Medycy zerwali się ze swoich krzeseł.

– A przyjmiecie, mistrzu Madderdin, skrypt dłużny z florentyńskiego kantoru płatny w przyszłym miesiącu na okaziciela? – zapytał szybko Puffmeister i westchnął.

Uśmiechnąłem się serdecznie.

– Do zobaczenia wieczorem – powiedziałem. – Przyjmę każdą monetę z wizerunkiem naszego łaskawego cesarza, a nawet takie z wizerunkiem basileusa czy polskiego króla, aby kruszec był dobrej próby, a monety nierżnięte po brzegach[30] – dodałem. – Tak więc nie musicie się kłopotać wyższością złota nad srebrem, aby tylko wartość się zgadzała...

Odeszli w stronę drzwi i tylko jeszcze na progu Puffmeister zatrzymał się i odwrócił w moją stronę.

– A jeśli wolno zapytać, za przeproszeniem waszym. – Spłoszony lekarz opuścił oczy. – Nie przeliczycie, czy aby kwota na pewno się zgadza?

– Wierzę wam bez zastrzeżeń, szanowni doktorowie – odparłem serdecznie. – A gdybym stwierdził nieścisłości, to przecież będę wiedział, gdzie was znaleźć, czyż nie?

– Nie pomyliliśmy się. – Przyłożył dłoń do piersi. – Ani na koronę.

– Dwa razy przeliczałem, każdziuteńką monetę zliczyłem – zapewnił Krumm.

– Nigdy nie śmiałybym wątpić o waszej uczciwości, panowie – rzekłem.



Tak jak się spodziewałem, obaj doktorowie pojawili się jeszcze przed wieczorem i przynieśli brakujących dwieście koron, a potem cali w rewerencjach, umizgach i ukłonach przez dłuższą chwilę zapewniali mnie o swojej wdzięczności i swoim oddaniu. Pozbyłem się tych paskudnych kreatur, jak szybko tylko mogłem, i poszedłem

do gabinetu, gdzie jak wiedziałem, przebywali Ludwik oraz Heinrich. Obaj moi towarzysze siedzieli przy biurku, przy palącym się świeczniku, nad dokumentami i rozprawiali coś półgłosem. Umilkli, kiedy mnie zobaczyli, a Heider pokiwał mi ręką.

– Chcesz zobaczyć, czym się zajmujemy? – spytał.

– Jeśli bylibyście tak uprzejmi poświęcić mi wcześniej chwilę – powiedziałem.

– Rzecz jasna. Cokolwiek sobie życzysz. – Schoen podniósł na mnie wzrok.

Przesunąłem dokumenty i księgi, które zajmowały miejsce na blacie, i sięgnąłem po ciężką, naprawdę ciężką sakwę z monetami. Struga złota i srebra, brzęcząc i błyszcząc w płomieniu świec, rozlała się po blacie. Inkwizytorzy przyglądali jej się w zdziwieniu, aż wreszcie Ludwik powiedział zamyślonym tonem:

– No coś takiego.

– Tysiąc koron – wyjaśniłem. – Trzysta trzydzieści dla każdego z nas, a dziesięć, jeśli nie macie nic przeciwko temu, подарujemy Helci za to, że otacza nas matczyną opieką.

Milczeli przez chwilę, aż wreszcie Ludwik wyciągnął dłoń i zagmerał palcami w stosie monet.

– Skoro ten dar spada nam z nieba – rzekł – ja dam Helci nawet i trzydzieści koron więcej z mojego udziału. Wiem, że jej wnuczka wychodzi za mąż i kobiecina bardzo się tym ślubem martwi. Może taki datek poprawi jej humor.

– Słuszną rzeczą jest dzielić się z bliźnimi, kiedy zaznało się nieoczekiwanego szczęścia i zwrotu fortuny – poparł go bardzo poważnym tonem Heinrich. – Więc i ja dam trzydzieści koron naszej gospodyni.

– Drodzy towarzysze, niech Bóg was błogosławi, wasze dobre serca i prawe uczynki – powiedziałem. – Podzielimy więc te pieniądze w następujący sposób: po trzysta koron dla nas, a sto ofiarujemy w prezencie naszej gospodyni. Czy zgadzacie się?

– Zgodzimy się na każdą decyzję, jaką podejmiesz – stwierdził serdecznie Schoen. – Zważywszy, jak nieuprzejme byłoby spieranie się, skoro ty jesteś bezinteresownym dawcą fortuny. Ha! – Tym

razem zaczerpnął garść monet do lewej dłoni i z brzękiem przesypał je do prawej. – Dodam: jakże nieoczekiwanej fortuny.

– Czy zechcesz nas oświecić, skąd pochodzą te pieniądze? – ostrożnie zagadnął Heinrich. – Oczywiście jeśli nie masz takiej...

Uniosłem rękę.

– Już tłumaczę – wszedłem mu w słowo. – Skąd pochodzi ten dochód, dowiedcie się z dokumentów, które wam zostawiam.

Sięgnąłem i wyjąłem równo poskładane i zapieczętowane karty papieru, na których znajdował się zapis przesłuchań trzech zbirów oraz mój opis spotkania z Puffmeisterem i Krummem, w czasie którego medycy przyznali się do zlecenia napaści na dom Bauma.

– Oto dokumenty, z którymi uczynicie, co zechcecie – wyjaśniłem. – Możecie je spalić, możecie je ujawnić, a możecie również ostrożnie strzyc owieczki, o których przeczytacie, do końca ich życia. Osobiście wybrałbym trzecią możliwość, ale tak jak powiedziałem: decyzja należy do was i nic mi do niej.

Ludwik skinął głową i nie odpieczętowując dokumentów, wsunął je do szuflady biurka.

– Jediną ceną, jaką będziecie musieli zapłacić, jest podjęcie decyzji o tym, co zrobić z trzema łotrami zamkniętymi w naszych lochach – powiedziałem. – Są oni winni morderstwa dwóch ludzi, więc można ich zostawić w celi, niech tam zdechną z głodu, albo uczynić cokolwiek innego, co chcecie.

Ludwik i Heinrich spojrzeli po sobie i obaj jak na komendę skinęli głowami.

– A teraz cóż. – Uśmiechnąłem się. – Podzielmy nasze złoto, tak jak ustaliliśmy, i idźmy się zabawić z okazji niespodziewanego wzbogacenia.

– Powiem wam, że bardzo miło jest liczyć własne pieniądze, kiedy masz ich tak dużo, że sam nawet nie wiesz ile – odpowiedział uśmiechem Ludwik. – Albo kiedy wiesz ile, lecz nawet jeszcze nie wiesz, na co wydasz tak dużą kwotę, gdyż dziesiątki możliwości przychodzą ci do głowy – dodał.

– Niestety, pieniądze kończą się zazwyczaj dużo wcześniej, niżbyśmy sobie życzyli, nawet jeśli z początku jest ich bardzo dużo –

smutno zauważył Heider. – A wręcz powiem, że im jest ich na początku więcej, tym szybciej potem znikają.

– Pomyśleć, że są ludzie, którzy budzą się rano i nawet nie pamiętają dokładnie, ile mają domów, kamienic czy pałaców, bo dawno stracili rachubę w ich liczeniu – rzekł Ludwik.

– Albo nigdy nawet nie musieli liczyć – dodałem.

Tak gawędziliśmy o dolach i niedolach bogactwa, a dzieląc złote monety na cztery kupki, przypominaliśmy sobie również nieszczęśliwe koleje losu ludzi, którzy szybko się wzbogacili, a potem w tragiczny sposób utracili całą fortunę, a ich los stawał się jeszcze gorszy niż wtedy, kiedy byli biedni.

– Nie jest dobrze mieć za dużo ani nie jest dobrze mieć za mało – zawyrokował Ludwik. – Najlepiej jest więc mieć średnio.

– Ba – rozłożył ramiona Heider. – Ale jak to policzyć, skoro nikt nie wie, co to jest tak naprawdę to średnio?

– W miarę bogaty winien być człowiek, nigdy zbyt majątny – zgodziłem się z nimi. – Ci są najszczęśliwsi, którzy średnio wiele mają[31].



Rozdział dwudziesty drugi

Wojna w Pałacu Małym



Lącuch jest tak mocny jak jego najsłabsze ogniwo – ta starożytna maksyma jest o tyleż oklepana i banalna, co święcie prawdziwa. Wiedziałem przecież doskonale, iż Kinga jest naszą piętą Achillesową, dlatego wielokrotnie dobitnie ostrzegałem ją, by nigdy i nikomu nie dała się oszukać, by bardzo uważała, gdyż może stać się ofiarą ataku lub prowokacji. Ale przecież była tylko młodą, samowolną dziewczyną, kierującą się emocjami i nieprzywykłą do życia w niebezpieczeństwie. Myślę, że dała się zwieść pozornie spokojnej, bezpiecznej egzystencji w siedzibie Inkwizytorium, leniwie ciągnącym się dniom, przyjemnemu towarzystwu naszej dbającej o nią gospodyni. Tak jakby zapomniała, że Święte Officjum jest enklawą, bezpieczną wyspą pośrodku szalejącego oceanu nieprawości. Miała się boleśnie o tym przekonać. Uderzono w nią zgodnie z wszelkimi regułami: po pierwsze, kiedy żadnego z inkwizytorów nie było w siedzibie, po drugie, za pomocą dziecka, które tak polubiła. Wszystko stało się tak szybko, że nawet Helcia, która zbierała zioła w ogródku na tyłach naszej kamienicy, wszystkiego dowiedziała się od sąsiadów oraz przechodniów. Oto bowiem pod naszymi oknami jakiś człowiek szarpał za włosy i okładał pięściami tego małego chłopczyka, tego

Kristiana, który zdobył serce naszej podopiecznej. Jak się później dowiedziałem, dzieciaka tego samego dnia, dosłownie kilkanaście minut wcześniej, wykradzono z domu matce. Chłopiec rozpaczał i lamentował, jak mówiono, wołał imię Kingi, może sam z siebie, bo przecież szczerze ją pokochał, a może dlatego, że tak krzycheć mu kazano. Kinga chwyciła, co miała pod ręką, a akurat trafiła na ciężką żelazną patelnię, i rozwścieczona niczym Erynia ruszyła na ulicę, by porachować się z oprawcą. Oczywiście zanim zdążyła cokolwiek zrobić, z boku dopadło ją dwóch mężczyzn, wytrącili jej patelnię, zarzucili szmatę na głowę, zapakowali do zabudowanej karocy, a następnie sami wskoczyli na kozioł. Woźnica zaciął konie batem, a one ruszyły galopem. Na ulicy został tylko płaczący, oszołomiony chłopczyk i porzucona patelnia. Zresztą patelnię zaraz ukradł jakiś obwieś, odważny – bo najwyraźniej nielekający się, że kradnie własność inkwizytorów.

Czy winiłem Kingę za to, co się wydarzyło, za ten karygodny błąd, który popełniła? No cóż, jak wiele głupich, nieprzemyślanych i przynoszących szkodliwe następstwa czynków, ten wynikał z dobroci serca połączonej z zapalczywością. Wcześniej uratowała Kristiana, wykazując dużo zuchwałości i odwagi, teraz zobaczyła, że dziecko znowu jest dręczone, więc rzuciła mu się na pomoc. Była po prostu dobrą dziewczyną, a dobrych ludzi zbyt łatwo jest wykorzystać i pokonać. Właśnie dlatego ja byłem skurwysynem.

Szczyście w nieszczęściu, że miałem graniczące z pewnością przeświadczenie, że na razie, przez najbliższe godziny, Kindze nic nie grozi. A potem wszystko będzie zależało od decyzji, jaką podejmę. Cassi mógł sobie dziewczyny nienawidzić, lecz była zbyt cenną walutą, by od razu dobrowolnie się jej pozbył. Najpierw spróbuje mi ją sprzedać, a ja w zamian za jej życie obiecuję mu wszystko, co chce...



Pod oknami naszej kamienicy pojawił się hrabia Scalza z sześcioma żołnierzami. Jeden z mężczyzn zastukał głośno kołatką, ale kiedy otworzyłem drzwi, Scalza nie chciał wejść samotnie, a wraz ze zbrojną świtą oczywiście go wpuścić nie mogłem. Dlatego wyszedłem do nich na ulicę, gdyż wiedziałem, czy raczej miałem głębokie przekonanie, że ani mnie nie zabiją, ani nie porwą, ani nie zaatakują. Nie zależało im przecież na mojej śmierci. Byłem potrzebny żywy, więc mogłem teraz nawet zatańczyć na środku drogi przed pędzącym powozem i byłaby duża szansa, że zaraz któryś z nich rzuci się, by wyciągnąć mnie spod kół.

– Mistrzu Madderdin! – uśmiechnął się szeroko Scalza. – Cóż za przyjemne spotkanie.

Podszedłem do niego, ująłem go pod łokieć i odszedłem wraz z nim na kilka kroków, tak aby nikt nas nie słyszał.

– Jeżeli dziewczynie coś się stanie, nic was już nie uratuje – oznajmiłem zimno. – Ale jeżeli jest i pozostanie cała i zdrowa, to pomogę waszemu panu we wszystkim, czego będzie sobie życzył.

Scalza chciał się odezwać, ale ścisnąłem go mocniej za łokieć. Nie spodobało mu się to, ale najwyraźniej intuicja nakazała mu jednak nie podnosić rwetesu i nie oburzać się.

– Proszę mi nie przerywać – rozkazałem. – Jeżeli dowiem się, że dziewczynie spadł choć jeden włos z głowy, to pozabijam was wszystkich, w ten czy inny sposób. Jeżeli natomiast nic się jej nie stanie, dostaniecie Weilburg na tacy, tak jak od początku chcieliście.

Zwolniłem uchwyt na jego ręce i powiedziałem już spokojnym tonem:

– Proponuję uczciwy układ i liczę, że zostanie dotrzymany.

Hrabia uśmiechnął się serdecznie.

– Proszę pozwolić mi zauważyć, że dobrze mieć w was przyjaciela, mistrzu Madderdin.

– Ale za to bardzo niedobrze mieć we mnie wroga – dokończyłem za niego, puściłem go i odszedłem.

Kiedy wróciłem do naszej kamienicy, Ludwik i Heinrich czekali na mnie w refektarzu. Obaj ponurzy, bo i jacy mieli być, skoro właśnie uderzono w powagę i godność Świętego Officjum.

– Czego chcieli?
– A czego mogli chcieć. – Wzruszyłem ramionami. – Rzecz jasna, że pomocy w śledztwie oraz spolegliwości.
– I co?
– Obiecałem, że wspomozemy archidiakona, w czym tylko będzie sobie życzył.
Przez chwilę milczeli.
– A tak naprawdę cóż uczynimy? – zapytał Ludwik.
– Nie zrobimy na razie nic, moi drodzy towarzysze – odparłem. – Pozostawimy sprawy, aby toczyły się swoim własnym biegiem.
– Czyli poddajemy się? – zmarszczył brwi Heider.
Schoen trącił go w ramię.
– Słyszałeś, co powiedział Mordimer. Czekamy.
– Tak jest. Czekamy – zgodziłem się z nim. – A teraz wybaczcie mi, jeśli łaska, bo mam kilka wyjątkowo ważnych spraw do załatwienia.



Musiałem odbyć pewne rozmowy, a od ludzi, którzy chcieli mnie wysłuchać, zażądać konkretnych działań. Zajęło mi to całe popołudnie i cały wieczór, ale uznałem, że jestem gotowy tak bardzo, że bardziej już nie będę. Nie chciałem tego, co miało się wydarzyć, ale zmuszono mnie, bym z węża stał się lwem.

Ubrałem się w służbowy strój – czarny płaszcz z wyszytym wielkim, połamanym srebrnym krzyżem i w kapelusz o szerokim rondzie. Przypasałem rapier o grubej klindze i długi nóż z hiszpańskiej stali, a w długiej cholewie buta umieściłem sztylet. Pod wierzchnie okrycie założyłem lnianą przeszywanicę, bo nie zdecydowałem się jednak założyć kolczej koszulki. Pewnie, że chroniłaby mnie lepiej, ale też znacznie utrudniłaby poruszanie się. Już i tak w grubej przeszywanicy oraz płaszczu czułem się, jakby mnie zawiązano na supeł, lecz wiedziałem również, że jeśli chcę przeżyć, to muszę się szybko do tego dodatkowego balastu przyzwyczaić.

Ruszyłem w stronę drzwi wyjściowych, ale jeszcze w refektarzu ujrzałem stojących przy drzwiach Ludwika i Heinricha.

– A dokąd to, Mordimerze? – zapytał Ludwik.

Widziałem, że pod płaszczem ma kolczugę, a do boku przypasał długą na ponad dwie stopy stortę o masywnej rękojeści. Heinrich był również ubrany jak do bitwy.

– Nie chciałeś nam niczego powiedzieć przed wyjściem? – zapytał lekkim tonem.

Spoglądałem na nich w milczeniu.

– Może nie jesteśmy tacy jak inkwizytorzy z Brytanii, którzy walczyli ze stronnikami sabatów na polach bitew – rzekł Ludwik. – Może nie mamy bojowych rumaków, błyszczących w słońcu zbroi i sztandarów z krzyżami łopoczących na wietrze. Może jesteśmy tylko prostymi chłopakami. – Wzruszył ramionami. – Ale płonie w nas taki sam żar prawdziwej wiary, jaki płonął w naszych protoplastach. I wiesz, co jeszcze mamy, Mordimerze?

Pytanie było najwyraźniej retoryczne, więc tylko spojrzałem na Ludwika z uwagą i czekałem, co powie dalej.

– Mamy przekonanie, że żaden z nas nie powinien i nie może kroczyć samotnie wśród cieni – rzekł poważnie. – I chociaż wiemy oczywiście, że każdemu z nas towarzyszy miłość Boga, to sądzimy, że dobrze by było, aby w wojnie, którą toczy, towarzyszyli mu również inni inkwizytorzy. – Pokiwał głową i uśmiechnął się. – Takie jest właśnie nasze zdanie – zakończył.

– Oto przemowa co się zowie – odparłem z uznaniem. – Ale pozwól, że mimo twoich pięknych słów odpowiem, że nie, nie zgadzam się na wasz udział. Nie mogę się zgodzić, żebyście wplątali się w moje prywatne sprawy. Bo to, co się dzieje, nie jest wojną Świętego Officjum.

– O tym my zdecydujemy – wtrącił twardo Heinrich. – Zresztą powiem ci, Mordimerze, że twoja zgoda lub jej brak w żaden sposób nie wpłyną na naszą decyzję, gdyż taką decyzję nieodwołalnie już podjęliśmy. Dla wszystkich będzie lepiej i wszystkim będzie łatwiej, jeśli ją zaakceptujesz.

Już miałem coś odpowiedzieć, gdy nagle zza drzwi prowadzących do refektarza wyłoniła się Helcia.

– To dobrzy chłopcy, mistrzu Madderdin, a wy powinniście się cieszyć, że chcą iść z wami – rzekła z surową powagą. – Idźcie razem i walczcie w imię Boże, aby uratować to biedne dziecko z rąk diabła.

– Święte słowa! – zakrzyknął Ludwik, a potem zwrócił się w moją stronę. – Słyszałeś, Mordimerze?

– Tak, słyszałem. Bo stoję tu cały czas, jeślibyś tego do tej pory nie widział – odparłem zgryźliwie.

Przetarłem usta wierzchem rękawicy i zakląłem, bo zabolalo mnie jak diabli. Cholerna opryszczka znowu dawała znać o sobie. Poczułem w ustach smak krwi z rozharatanej ranki.

– A więc chodźmy, Mordimerze – rozkazał wesoło Ludwik. – Nie myśl też, że nie wiemy, co knułeś przez całe popołudnie i wieczór. Powiem ci tylko, że my również dołożyliśmy to i owo od siebie.

I wiedziałem już, że nie pozostaje mi nic innego, jak zgodzić się na pomoc moich towarzyszy inkwizytorów w prywatnej wojnie, jaką wytoczyłem archidiakonowi. Może zresztą to starcie nie do końca było prywatne, gdyż przecież Cassi był winny działań przeciw Świętemu Oficjum, no ale na pewno rozwiązaniem akceptowanym przez naszych przełożonych nie mógł być atak na pałac archidiakona na czele zbuntowanego pospólstwa. A przecież właśnie to miałem zamiar uczynić.



– Spotykałem się kiedyś z dziewczyną, która pracowała w Pałacu Małp – powiedział Ludwik. – Zajmowała się tam pralnią i powiem wam, że... – Aż sobie westchnął. – Słodziutka była z niej kaczuszka.

– Dlaczego kaczuszka? – zainteresował się Heinrich.

Cóż, ludzie, zarówno kobiety, jak i mężczyźni, traktują swoich ukochanych przeróżnymi epitetami. W wiejskich chatach, mieszczańskich domach, szlacheckich dworach i arystokratycznych pałacach aż się roi od pieseczków, misiaczków, koteczków, rybeczek,

ptaszków, a nawet szczurków i świnek, nie mówiąc już o ogierach, którym to mianem zmyślne kobiety chętnie obdarzają swoich łasych na pochlebstwa towarzyszy.

– Ach, jakżeż ona pięknie kwakała – rozmarzył się Ludwik.

Spojrzelśmy na niego bez zrozumienia, a on zaraz pospieszył z wyjaśnieniem.

– Kiedy gorącość naszych zmagania dochodziła do najwyższego poziomu – rzekł – wtedy zaczynały jej się trząść ręce i nogi i zaczynała wydawać takie dziwne dźwięki, które jako żywo przypominały mi kacze kwakanie.

– Może była chora? – zmarszczył brwi Heinrich.

– Nie chora, durniu, tylko był to wyraz najwyższego ukontentowania moimi poczynaniami – burknął Ludwik.

Heinrich podrapał się po brodzie.

– Niech i tak będzie. – Wzruszył ramionami. – A co stało się z ową kaczuszką?

– Umarła – odpowiedział ze smutkiem Ludwik. – Bardzo kochała swojego męża i jak mi zawsze mówiła, chciała mu urodzić wiele dzieci. Ale przy drugim połogu zmarło się biedaczce. – Pokiwał głową do własnych myśli. – Ani to człowiek wie, co go spotka dziś czy jutro. Nawet dwudziestu lat nie miała ta moja kaczuszka...

– Wzruszająca historia – rzekłem. – Ale przypomnijcie mi: czemu się nią zajmujemy przed wojną z Cassim?

– Otóż, drogi Mordimerze, spieszę ci powiedzieć, że dzięki tej mojej kaczuszcze poznałem pewną tajną furtę w murze, prowadzącą na tyły ogrodu. Furta już wtedy była całkowicie zarośnięta krzewami, stara, zardzewiała i chyba nikt o niej nie pamiętał. Myślę, że znacznie łatwiej, bezpieczniej i zgrabniej będzie trójce inkwizytorów przejść sekretnym wejściem, niż wspinać się po murze, żeby wszyscy obrońcy pałacu mogli nas świetnie zobaczyć.

– Doskonała wiadomość – rzekłem z prawdziwym zadowoleniem.

– Naprawdę, Ludwiku, z nieba nam spadłeś z tymi swoimi miłosnymi opowieściami o słodkiej kaczuszcze. – Uśmiechnąłem się szeroko.

– A co zrobimy, kiedy już wejdziemy na teren pałacu? – dopytał Heinrich.

– Wtedy, moi drodzy towarzysze, otworzymy główną bramę przed szturmującym ją tłumem.

– Tłumem – powtórzył Ludwik z żartobliwym podziwem i spojrzał na mnie z zadowoleniem. – Jak widzę, szykuje się niezła awanturka. Mam naprawdę nadzieję, że to będzie tłum.

– Podgrzewaliśmy ten kocioł od wielu dni – rzekłem. – Mówiliśmy o podłościach i bestialstwach Cassiego oraz jego ludzi, mówiliśmy o zamordowaniu Zolla, o zabiciu Reginy Kessler, o zagryzieniu i wrzuceniu do rzeki dwóch młodych dziewcząt. Zapracowaliśmy sobie na to, aby ten kocioł dzisiaj wybuchł. Aby przerażająca wiadomość, że proboszcz Weber został zabity, a jego podopieczna ma zostać w bluźnierczej ceremonii spalona na dziedzińcu Pałacu Mały, aby te właśnie sensacje spowodowały ostateczny wybuch.

– Co stało się tak naprawdę z Gustawem? – zmarszczył brwi Heider, myśląc o naszym znajomym proboszczu.

– Zamknął się w swoim gabinecie i jest tak przerażony, że pewnie śpi już całkiem pijany – wyjaśniłem.

– To dobrze – odetchnął Heinrich.

– Nie sądziłeś chyba, że go zabiję, żeby uprawdopodobnić winę Cassiego. – Spojrzałem na mojego towarzysza, a on tylko wzruszył ramionami.

– No dobrze, nieważne – rzekłem. – Nic mu nie jest, tyle co naje się strachu, nie wiedząc, jak ta cała awantura się skończy. Wracajmy do rzeczy. Poproszę was, żebyście przemknęli od strony ogrodu, drogą tej uroczej Ludwikowej kaczuszki. – Uśmiechnąłem się do Ludwika. – Będzie zmierzch, więc trudniej was będzie dostrzec. Ale następnie stoi przed wami trudne już zadanie... – zawiesiłem głos.

– Podpalimy skład siana pod wiatą obok stajni – rzekł z uśmiechem Schoen.

– Jakże się cieszę, że odgadujesz moje myśli, drogi towarzyszu. – Odpowiedziałem mu uśmiechem.

– Koni szkoda – mruknął Heider.

– Wszyscy żołnierze i domownicy rzucają się, żeby gasić ogień, i właśnie, drogi Heinrichu... – uniosłem palec – żeby ze stajni uratować konie, o które i ty tak się troszczysz. Ten chaos, jaki zapanuje, pozwoli wam dojść do bramy i ją otworzyć. Ja będę stał w tłumie i widząc płomienie, krzyknę, że to niewinna dziewczyna płonie na stosie. A kiedy tłum wedrze się na teren pałacu – skrzywiłem się paskudnie – nic już nie uratuje archidiakona.

– Nie byłbym tak pochopny w ocenie – pokręcił głową Heider. – On ma jednak dużą świętę...

– Jeśli sama liczebność wojsk przesądzałaby o zwycięstwie, to do prowadzenia wojny wystarczyłoby liczydło, a bitwy stałyby się niepotrzebne[32] – zauważyłem. – Ci słudzy i żołnierze będą ogłupiali i przerażeni – dodałem. – Nie twierdzą, że będzie łatwo, i nie twierdzą, że obędzie się bez ofiar, kto wie, może nawet licznych ofiar. Jednak ważne jest tylko jedno: byśmy zwyciężyli, ocalili nas samych i wyzwolili Kingę. Cóż nas obchodzi reszta?

Ludwik roześmiał się, a Heinrich zawtórował mu po chwili.

– Przedstawiłeś wszystko niezwykle rozumnie i przekonująco, Mordimerze – powiedział Schoen.

– Naszą armię napędzą gniew, pragnienie zemsty i... – Zmrużyłem oczy. – Żądza szybkiego i wielkiego zysku. Bo nie na darmo od wczesnego popołudnia na mieście gada się, jak wielkie bogactwa są w Pałacu Małym i że wszystko to może trafić w ręce dzielnego ludu Weilburga. Tylko trzeba... troszkę się postarać. – Uśmiechnąłem się szeroko, gdyż moi informatorzy przez cały dzień donosili, że mieszkańcy Weilburga, zwłaszcza ci niemogący się pochwalić bogactwem, bardzo, ale to bardzo liczą, że właśnie dzisiaj ich zły los się odmieni.



Przez ogrodzenie widać było, że siano zgromadzone pod wiatą gorzało wielkim ogniem, a płomienie przeniosły się na stajnię. Zgodnie z tym, co przewidywałem i co zaplanowałem, na dziedzińcu

Pałacu Małp panowały panika i chaos. W tym samym czasie nie wiem nawet, czy to Heinrich, którego twarz mignęła mi po drugiej stronie bramy, odciągnął skobel, czy może tłum popchnął podwoje tak mocno, że ustąpiły. W każdym razie nagle ludzka fala przelała się przez wrota. A ja przelałem się wraz z tą falą.

Na szczyt kamiennego umocowania bramy prowadziły wąskie schodki, więc wdrapałem się na nie, aby być ponad tłumem i aby tłum lepiej mnie słyszał.

– Inkwizytorzy z ludem, lud z inkwizytorami! – zawołałem pełnym głosem. – W imieniu Świętego Officjum ja, inkwizytor Mordimer Madderdin, mianuję was wszystkich funkcjonariuszami Inkwizytorium. Od tej pory każdy z was jest inkwizytorem i działacie pod ochroną Świętego Officjum.

Czy mogłem uczynić coś takiego? Jak to zazwyczaj bywa w podobnych wypadkach, jedni juryści odpowiedzialiby, że jak najbardziej moje działania były całkowicie usprawiedliwione, inni natomiast stwierdziliby, że znacznie przekroczyłem uprawnienia. Tak czy inaczej, faktem było, że prawo dawało nam, licencjonowanym inkwizytorom, moc tymczasowego powołania zwykłych obywateli do służby. Regulację tę przygotowano, na wypadek gdyby inkwizytorzy w kryzysowej sytuacji potrzebowali zbrojnego ramienia, by wykonać swoje zadanie. Można było stwierdzić, iż taka właśnie sytuacja zaszła tu i teraz w Weilburgu.

– Możecie zabić każdego, kto stawia opór – zakrzyknąłem jeszcze głośniejsze. – A wszystkie dobra, jakie znajdziecie i jakie zabierzecie wrogom naszego Kościoła, należec będą do was! – dokończyłem tym razem już najgłośniejsze, jak tylko mogłem.

Wiem, mili moi, że są tacy, może jest ich nawet wielu, do których przemawiają czułe zaklęcia, patetyczne tyrady, których wyobraźnię pobudzają obrazy wzniosłych wizji i obietnice realizacji fantastycznych idei. Tak, najpewniej tacy ludzie naprawdę są. Ale tu i teraz, kiedy wymagana jest szybkość i skuteczność działania, najbardziej pomaga obietnica zbicia sporego oraz niespodziewanego majątku. Taka właśnie obietnica może nie tylko rozgrzać serca i umysły, ale skłonić tłum do działania. A kiedy pospólstwo już raz

ruszy, to jest niczym pędzące stado rozgniewanych bawołów. Albo trzeba mieć naprawdę wielką siłę, by je powstrzymać, albo zostaje się raz na zawsze wdeptanym w ziemię. A ten plebs poczuje się pewniej nie tylko dzięki swej liczbie i sile, dzięki przepełniającej go żądzy zysku i zemsty oraz wściekłości, ale również dzięki poczuciu legalności oraz słuszności, jakie mu właśnie ofiarowałem. Bo kiedy masz ruszyć do ataku na uzbrojonego wroga, zawsze śmielej się prowadzi natarcie, kiedy wiesz, że to ty jesteś ramieniem prawa i narzędziem Bożej sprawiedliwości, a twój przeciwnik – jedynie obmierzłym buntownikiem i plugawym pomiotem diabła. I wiesz jeszcze, że wszystko, co uczynisz, zostanie usprawiedliwione zarówno przez państwo, jak i Kościół. O tak, dużo przyjemniej się wtedy zabija ludzi...

Oczywiście nie wszystko na wojnie w Pałacu Małp poszło szybko i łatwo. Tego zresztą przecież wcale się nie spodziewałem. Jednak historia uczy nas, że zdesperowany i zdecydowany na wszystko, rozwścieczony tłum niełatwo jest zagonić z powrotem do domów, kiedy już raz wyszedł na ulice, by własnymi kijami, nożami, pałkami i pochodniami ponieść to, co uważa za sprawiedliwość. A kiedy ów tłum poczuje pierwszy zapach zwycięstwa, kiedy zobaczy, że wróg nie jest tak straszny, jak się zdawało, kiedy w dodatku będzie miał w pamięci nadzieje zyskania wielkiego bogactwa – o tak, wtedy taka hałastrą staje się prawdziwie groźna dla każdego przeciwnika.

Weilburskich mieszczan napędzała nienawiść do Cassiego i do jego ludzi, bo też o to, by to uczucie rozbudzić, pilnie dbaliśmy od wielu dni. Ale to, że zwykłe zamieszki mogą zamienić się w prawdziwy triumf, buntownicy zrozumieli, kiedy runęła brama do Pałacu Małp, kiedy zapłonęła stajnia i kiedy przerażeni żołnierze Cassiego rozbiegli się na wszystkie strony, nie wiedząc, czy najpierw ratować budynek i konie, czy też bronić atakującemu motłochowi dostępu do pałacu. I wcale nie pomogli im dowódcy wykrzykujący rozkazy, bo też, jak zauważyłem, jedni z nich wykrzykiwali to, a drudzy z kolei coś zupełnie innego. Żołnierze Cassiego może i całkiem interesująco wyglądali oraz przyciągali wzrok gapiów swoimi kolorowymi spodniami i pasiastymi kubrakami, ale biegając

beładnie i w popłochu po dziedzińcu, przypominali nie armię, lecz bandę przerażonych błaznów. Gdyby stali w równym szeregu, przygotowani do bitwy, z wysuniętymi pikami i przygotowanymi do strzału króćciami lub muszkietami, to tłum, nawet bardzo rozgniewany, mógłby się nieco skonfundować, a buntownicy zaczęliby się zastanawiać, czy aby na pewno gra jest warta świeczki. I gdyby wtedy znalazł się też stanowczy i twardy oficer, który natchnąłby odwagą serca podkomendnych, a zastraszył napastników, sprawy mogłyby się potoczyć całkiem inaczej. Ale że sytuacja wyglądała tak, jak wyglądała, to motłoch wdarł się na dziedziniec, ogromny i niepowstrzymany niczym fala rozbijająca naruszony, pęknięty wał przeciwpowodziowy i niepozostawiająca po nasypie nawet śladu. Przyznam też, że bardzo się w tym momencie przydało, iż żołnierze archidiakona byli umundurowani tak kolorowo i w sposób tak bardzo rzucający się w oczy, gdyż dzięki temu nasi zacni mieszczanie nawet w zgiełku, zamieszaniu i szczypiącym w oczy dymie bijącym z płonącej stajni nie mieli kłopotów, by rozeznać, kto jest swój, a kto wróg. I wrogów młócili tak tęgo i z tak ogromnym zapalem, że niejeden z żołnierzy Cassiego rzucał broń na dziedziniec i zmykał w stronę pałacu, licząc, że znajdzie ocalenie w którymś z licznych pomieszczeń. Zresztą takie nadzieje wcale nie były pozbawione podstaw, bo Pałac Mały był budynkiem naprawdę dużym, a więc i miejsc w nim, gdzie można się ukryć, również było dużo. Poza tym każdy wiedział, że kiedy bitewny szal przeminie, kiedy morderczy zapal ostygnie, to rabująca pałac banda nieszczególną już będzie zwracać uwagę na służbę archidiakona, jeśli tylko ta służba nie będzie im przeszkadzała w grabieży.

Ja oczywiście miałem inne zadanie do spełnienia niż wdawanie się w bójki z żołnierzami. Szybko zebraliśmy się we trzech i uznając, że w tym tumultie na dziedzińcu jesteśmy całkowicie niepotrzebni, ruszyliśmy w stronę wejścia do budynku. Ja pośrodku, a Heinrich i Ludwik z obu moich boków. Trzej inkwizytorzy odziani w czarne płaszcze z wyhaftowanymi srebrnymi, połamanymi krzyżami i w czarnych kapeluszach. Wszyscy z obnażoną bronią w dłoniach.

Może było nas tylko trzech, ale wyglądem, równym krokiem i zdeterminowaniem musieliśmy oddziaływać na wyobraźnię żołnierzy Cassiego. Najpewniej fakt, iż byliśmy funkcjonariuszami Świętego Officjum, co było widać na pierwszy rzut oka, również nie zachęcał do próby powstrzymania nas. I rzeczywiście, nikt nas nie zaatakował. Tak jakbyśmy w tym żywiole walki, raz mniej, a raz bardziej zajadłej, byli totalnie obcym czynnikiem. Niedźwiedziem, którego żrące się nieopodal szczury nawet nie myślą napadać, po pierwsze, zajęte swoimi szczurzymi sprawkami, a po drugie, zdające sobie sprawę z całkowitej beznadziejności takiego czynu.

Niestety, uciekający słudzy i żołnierze Cassiego zamknęli za sobą główne wrota pałacu, potężne dwuskrzydłowe drzwi, które zapewne można by rozbić taranem, ale z całą pewnością nawet takich trzech silnych, młodych ludzi jak my nie dałoby rady ich wyważyć. Pałac Małp nie był zamkiem obronnym, ani nawet w najmniejszym stopniu nie miał spełniać funkcji wojennej. Ale okna parteru były umieszczone na tyle wysoko, że sięgnąć do nich można było, tylko stojąc na drabinie lub na ramionach towarzysza. A przyznajcie sami, mili moi, że oficjalnie odziani funkcjonariusze Świętego Officjum, tworzący ze swych ciał żywą piramidę na oczach walczącego tłumu, to nie byłby widok budujący powagę naszą ani naszej instytucji. Zwłaszcza że przecież samo osiągnięcie parapetu nie byłoby jeszcze żadnym sukcesem, a komuś stojącemu w środku pomieszczenia nader łatwo byłoby dać w głowę wspinającemu się napastnikowi, by w ten sposób wytrącić go z chwiejnej równowagi i obalić. I niepotrzebna byłaby do tego żadna broń, ale wystarczyłyby byle sprzęt gospodarski, byle posążek czy zydel lub krzesło.

Postanowiłem więc znaleźć sposób lepszy niż cyrkowa wspinaczka do wysokich okien. Huknąłem kilkakrotnie ręką w drzwi i zawołałem gromko oraz groźnie:

– W imieniu Świętego Officjum otwierać, jeśli nie chcecie być oskarżeni o bluźnierstwo i herezję.

Heinrich wspomógł mnie, kopiąc wrota z rozmachu i z całej siły, a że był naprawdę mocnym chłopakiem, a buty miał podkute stałą, to od tych jego uderzeń aż echo się poniosło.

– Jeśli będziemy musieli wyważyć te drzwi, nikogo nie oszczędzimy! – zawołał głosem tubalnym i chyba jeszcze groźniejszym niż mój.

I wyobraźcie sobie, mili moi, że ci idioci po drugiej stronie otworzyli nam wrota w akompaniamencie zapewnień o wierności oraz niewinności. A potem odskoczyli pod ściany, gdzie stanęli, drżąc z opuszczonymi głowami, starając się wyraz twarzy zachować liche i durnowate. Tak to właśnie objawiła się potęga urzędowego autorytetu! Na ich usprawiedliwienie można tylko powiedzieć, że byli to najzwyklejsi służący, nie żołnierze. Oczywiście zostawiliśmy ich w spokoju, bo niby czemu mielibyśmy się nad nimi pastwić?

– Schowajcie się gdzieś i najlepiej zdejmijcie liberię – poradziłem im tylko. – Bo jak tłum tu wpadnie, to mogą was pobić, widząc, że jesteście w dworskich barwach, i wcale nie będą zważać, żeście dobrzy ludzie.

Rozbiegli się, dziękując mi jednocześnie wylewnie i żałośnie, ale jednego (chyba najznacniejszego stanowiskiem, bo miał największy brzuch) udało mi się zatrzymać.

– Archidiakon Cassi porwał dziewczynę – powiedziałem, ściskając go mocno za ramię i patrząc mu prosto w oczy. – Wiesz, gdzie ona jest?

Milczał i tylko usta mu drżały.

– Jeśli zawiedziesz nas do dziewczyny – mówiłem dalej łagodnie i spokojnie – to my następnie wyprowadzimy cię bezpiecznie z Pałacu Małp. Bo nie chciałbyś chyba wpaść teraz na dziedzińcu w ręce tłumowi?

Jakby dla zwiększenia efektu moich słów zza drzwi od strony podworca rozległ się krzyk tak przerażający, jakby kogoś właśnie żywcem ćwiartowano. Zresztą niewykluczone, że tak właśnie się działo...

– Nie, nie, nie chciałbym... – zająknął się.

– Więc zaprowadź nas – poddałem nadal łagodnym tonem.

– Zlitujcie się – wyjęczał. – Ale Ekscelencja... On każe mnie żywcem obedrzeć ze skóry.

Schoen roześmiał się.

– Archidiakon Cassi nikomu już nic nie robi – stwierdził rozbawiony. – Myślisz, że ten tłum wypuści go żywego? – zwrócił się do służącego. – Przyszli po jego głowę i nie wyjdą bez niej. A ty możesz się tylko modlić, żeby przy okazji nie zabrali twojej.

– Poza tym archidiakona tu nie ma, a my jesteśmy – dodałem wyraźnie i zimno, przybliżając twarz do jego twarzy. – I to my żywcem obedrzemy cię ze skóry teraz i tutaj, jeśli nas nie usłuchasz.

Nie wiem, czy większy wpływ na decyzję tego człowieka miała logika Schoena, czy moje groźby, ale wreszcie zdecydował i pokiwał szybko głową.

– Zaprowadzę was, gdzie chcecie – obiecał żarliwie. – Ale przysięgnijcie, na miłość Boga, przysięgnijcie, że mnie cało wyprowadzicie z tego piekła...

– Przysięgamy – rzekłem za nas wszystkich i nawet przyłożyłem lewą dłoń do piersi.

Na twarzy służącego pojawiła się wyraźna ulga i złożył dłonie jak do modlitwy.

– Niech was Bóg błogosławi, niech was Bóg błogosławi, chodźcie za mną, wszystko pokażę!

Byłem pewien, że jeśli wie, gdzie jest Kinga, to nas tam zaprowadzi, bo był zbyt przerażony, by oszukiwać, a poza tym chyba zobaczył wyraźnie, iż jesteśmy jego jedyną nadzieją na uwolnienie. I chyba też zrozumiał, że potęga Cassiego właśnie się załamała, a archidiakon nie jest w stanie ani mu pomóc, ani go ukarać. Obawiałem się tylko, że człowiek ten może być albo źle poinformowany, albo tak bardzo będzie próbował udowodnić swoją użyteczność, że nie ośmieli się przyznać, iż o niczym nie ma pojęcia. Kiedy szliśmy, wypytywałem go również, gdzie znajdują się komnaty archidiakona, a on wyłuszczył mi to całkiem dokładnie, tłumacząc, jak trafić do tej kwatery złożonej z kilku pokoiów.

W czasie tej niedługiej wędrówki raz tylko spotkała nas przykra niespodzianka, kiedy jakiś zabłąkany żołnierz Cassiego, nie wiem z jakiego powodu, bo przecież ani go nie ścigaliśmy, ani nawet nas nie interesował, postanowił zamienić się w bohatera i z dzikim rykiem pognął wprost na nas, wyciągając przed siebie pikę.

Odsunąłem się na bok, by mnie nie trafił, a kiedy znalazł się tuż-tuż, wbiłem mu miecz prosto w brzuch. Nie musiałem nawet wkładać siły w to pchnięcie, gdyż żołnierz biegł tak szybko, iż samym swoim pędem spowodował, że ostrze zagłębiło się niemal po rękojeść. Zajęczał głośno i z wielką boleścią, a w tej samej chwili towarzyszący nam sługa zakrzyczał z przerażenia. Wyszarpnąłem miecz z rany i oczywiście na domiar złego bryznęła na mnie fontanna krwi.

– Niech to diabli! – warknąłem, bo ścierając sobie z twarzy tę krew, znowu rozdarłem sobie dopiero co zasklepioną ranę po opryszcze. A poza tym miałem teraz zachlapane kubrak i płaszcz.

– Co za dureń – rzekł Heinrich, przypatrując się z ogromnym zdziwieniem konającemu żołnierzowi, który jeszcze trzepotał się na posadzce w ostatnich konwulsjach. – Przecież nawet nic od niego żeśmy nie chcieli.

A potem już spiesznie ruszyliśmy dalej. I wreszcie dotarliśmy na miejsce, tam, gdzie wedle zeznań służącego więziono Kingę. Stanęliśmy przed zamkniętymi drzwiami na końcu ślepego korytarza.

Oczywiście nacisnąłem klamkę, by nie okazało się potem, że szturmowaliśmy i wyważaliśmy drzwi, którym nie zamknięto zamka, ale rzecz jasna i zgodnie z przewidywaniami, skrzydło nawet nie drgnęło.

– Heinrichu, jeśli łaska – zwróciłem się do towarzysza, bo po pierwsze, był najsilniejszy z nas, a po drugie, jego buty wyglądały tak solidnie, że zdawałoby się, iż jednym celnym kopniakiem mógłby rozłupać łeb nawet nie człowiekowi, lecz bykowi.

Ale jednak drzwi, futryna i zamek były na tyle solidne (musiała to być specjalna komnata, do której celowo wzmocniono wejście, bo aż trudno byłoby uwierzyć, że tak solidnie zabezpieczono zwykły pałacowy pokój), iż wytrzymały pierwsze uderzenia. I dopiero kiedy Heinrich poczerwieniał z pasji i zaczął przykładać się z prawdziwie wielką siłą, dopiero wtedy ustąpiły i z donośnym hukiem wpadły razem z futryną do wewnątrz.

Pierwsze, co zobaczyłem, to bladą jak śmierć Kingę, która stała jak najdalej od drzwi, przy samym oknie (zakratowanym, rzecz jasna),

ściskając w dłoniach srebrną tacę niczym tarczę. Usta miała zaciśnięte, a twarz znieruchomiała i zacięta. Ale wszystko to zmieniło się jak za dotknięciem magicznej różdżki, kiedy dostrzegła, iż to my jesteśmy napastnikami, którzy rozbili drzwi i z impetem wdarli się do jej więzienia. Jej twarz rozjaśniła się w pełnym ulgi uśmiechu, a dziewczyna jednym gestem odrzuciła tacę i pobiegła w moją stronę.

– Przeszedłeś po mnie, przeszedłeś po mnie! – wykrzyknęła łamiącym się głosem. – Wiedziałam, że przyjdiesz!

Szkoda, że nie byłem odziany w srebrną, błyszczącą zbroję i nie mogłem niedbałym gestem wstrząsnąć głową, by fala moich jasnych loków otuliła mnie niczym aureolą. Jednak byłem tylko spoconym jak złachany pies, śmierdzącym dymem i schlapanym krwią inkwizytorem. Jak widać, jednak Kindze wcale to nie przeszkadzało, gdyż przywarła do mnie tak mocno, że mogło się wydawać, iż stanowimy jedno ciało, choć oddychające dwoma spazmatycznymi oddechami i bijące dwoma rozpedzonymi sercami.

Uniosła głowę, by spojrzeć na mnie. Miała błyszczące oczy i rozchylone usta. Zamarła w tej pozycji, ściskając mnie coraz mocniej i wpatrując się we mnie z jakimś niemal bolesnym pragnieniem. Była to chwila tak wielkiej bliskości, że miałem ochotę ująć twarz dziewczyny w swoje dłonie i pocałować ją mocno, by w tym pocałunku głębokim i intensywnym zanurzyć się i znaleźć nie tylko bliskość, lecz wyzwolenie od całej reszty świata. A świat istniałby tylko w tym, co ujrzałbym w jej oczach, ogromnych i błyszczących niczym najbliższe nam gwiazdy... Przed pocałunkiem powstrzymały mnie trzy rzeczy. W najmniejszym może stopniu moi towarzysze inkwizytorzy, którzy przyglądali nam się od progu. W średnim stopniu ta parszywa opryszczka, która nie tylko skaziła moje usta, ale której obecności na nich byłem głęboko świadomy. I w największym stopniu poczucie, że całować teraz i tutaj tę wdzięczną, przerażoną dziewczynę byłoby jakimś rodzajem niestosowności. Że jeśli ta chwila bliskości między nami ma powrócić, to jeszcze powróci, ale niechże to się zdarzy w bardziej odpowiednich okolicznościach i niech dziewczyną kieruje szczery

zapał, a nie jedynie często myłona z prawdziwym uczuciem wdzięczność za uratowanie życia. Dlatego musnąłem lekko ustami policzek Kingi, przytuliłem ją na chwilę bardzo mocno i zaraz odsunąłem od siebie.

– Zabieramy cię stąd – rzekłem. – Jesteś cała? Nie skrzywdzili cię?
Pokręciła głową.

– Widziałam wszystko, co się dzieje przez okno – powiedziała żywo. – Wiedziałam, że to wy za tym stoicie, wiedziałam!

Oderwała się ode mnie i podbiegła do Ludwika oraz Heinricha. Objęła ich obu i ucałowała, a Heinrich poczerwieniał wtedy tak, jakby mu natarto policzki buraczkami.

Rozejrzałem się wokół.

– Chcesz coś stąd zabrać? Masz tu coś swojego?

– Nie, co ja mogłabym tu mieć? – odparła pytaniem.

Cóż, i tak musiałem przyznać, że miło to było ze strony Cassiego, że nie wrzucił dziewczyny do piwnic, do jakiejś wilgotnej kamiennej klitki w lochach, gdzie za posłanie miałyby snopek słomy. Najwyraźniej chciał naprawdę dokonać uczciwej wymiany i liczył na to, że jego dobroć dla Kingi zyska moje uznanie i tym pilniej będę mu wtedy służył, będąc szczerze wdzięcznym, że nie skrzywdził mojej podopiecznej. Równocześnie jednak dałbym sobie rękę uciąć, że w chwili, kiedy przestałbym być mu potrzebny, kazałby Kingę pohańbić i okaleczyć. Bo tacy osobnicy jak Cassi pamiętali o ludziach, którzy ich obrazili, aż do końca życia i nie było możliwości, by zapomnieli o zemście lub wybaczyli.

– Chodźmy – nakazałem. – Im szybciej stąd wyjdziecie, tym lepiej dla wszystkich.

Ludwik drgnął i obrócił na mnie badawczy wzrok. Tylko do niego dotarło, że powiedziałem „wyjdziecie”, a nie „wyjdziemy”.

– Jeśli mogę was prosić, to wyprowadźcie ją z tego... – zerknąłem na brzuchatego służącego – piekła – dodałem kpiąco.

– Mnie też! Mnie też! – zawołał piskliwie.

– Jego też – zgodziłem się.

Ludwik spojrzał na mnie uważnie.

– A ty?

– Mam tu jeszcze niezapłacone rachunki do rozliczenia – odparłem lekko.

– Ja i Heinrich jesteśmy obaj dobrymi rachmistrzami. – Nadal na mnie spoglądał. – Chętnie ci pomożemy podliczyć słupki.

Pokręciłem głową.

– Zaprowadźcie bezpiecznie Kingę do naszego domu – odparłem. – W końcu po nią tu przyszliśmy, więc niezręcznie byłoby ją stracić na samym końcu drogi.

Schoen uśmiechnął się lekko.

– Jak sobie życzysz – rzekł. – Chociaż uważam, że samotne poszukiwanie Cassiego to niebezpieczna zabawa.

Machnąłem ręką.

– Tu wszyscy ludzie Cassiego myślą już tylko o tym, żeby się ukryć i przetrwać – powiedziałem. – No cóż, może z wyjątkiem tego idioty, którego musiałem zabić – dodałem. – A weilburski motłoch po stroju pozna, kim jestem, więc będzie też wiedział, że stoję po jego stronie. Nic mi nie grozi.

– Zostaw go! – zawołała do mnie zaniepokojona Kinga, a ja zrozumiałem, że oczywiście myśli o archidiakonie. – Chodź z nami, proszę! Bóg go skarże prędzej czy później, przecież nie ucieknie ani z miasta, ani z pałacu. Złapią go po drodze...

– Bez dyskusji, dziewczyno – rzekłem. – Ja zacząłem tę sprawę i ja ją muszę dokończyć. Zmykajcie!

A potem, nie słuchając już, co mają do powiedzenia, i nie myśląc o tym, czy w ogóle chcieliby jeszcze coś dodać, ruszyłem naprzód.



Co mógł robić Cassi w chwili, kiedy jego siedziba była szturmowana przez miejski motłoch? W zasadzie powinien być na dziedzińcu albo przy pałacowych drzwiach i tam kierować obroną. Ale przecież doskonale wiedziałem, że ani w jednym, ani w drugim miejscu go nie było. Nie pozostawało mi więc nic innego, jak pójść do jego komnat i po prostu na własne oczy przekonać się, czy archidiakon

jeszcze przebywa w swoich kwaterach. A jeśli nie znajdę jego samego, to może napotkam chociaż kogoś, kto będzie wiedział, gdzie szukać. Rzecz jasna, wcale nie czułem się tak bezpiecznie, jak zapewniałem moich towarzyszy i Kingę. Rzeczywiście, nie bałem się ani służących, ani żołnierzy, ani tym bardziej naszych zacnych weilburczyków. Wiedziałem jednak, że mogę się natknąć na Cassiego w towarzystwie jego przyjaciół – szlachciców, a walka z dwoma czy trzema doświadczonymi fechtmistrzami naraz wcale nie musiała zakończyć się dla mnie pomyślnie. Ufałem moim zdolnościom bojowym, lecz nie należałem do ludzi, którzy widząc smoka przed jaskinią, przymrużaliby tylko oczy i mówili: „eee, na pewno nie może być taki silny, jak mówią. Pójdę na niego, co mi tam!”. Ostrożność bowiem jest niemal zawsze lepsza od pochopności, a inkwizytorzy mają słynąć nie tylko z odwagi, lecz również z trzeźwego wyrachowania. Zawsze pamiętamy o tym, że jesteśmy zbyt cennymi narzędziami w walce Boga z Szatanem, byśmy mieli je beztrudno niszczyć i marnotrawić.

Szedłem szybko, z obnażonym mieczem w dłoni, a jeśli ktoś mnie widział, spieszenie schodził z mojej drogi. Zresztą ludzie Cassiego byli zajęci chowaniem się i uciekaniem, a weilburczycy, którzy już wdarli się do pałacu, byli zajęci plądrowaniem. Wiedziałem więc, że jeśli pierwszym nie będę przeszkadzać w uciekaniu, a drugim w rabowaniu, to i oni zostawią mnie w spokoju. Nawet zdarzyło się tak, że w załomie korytarza niemal wpadłem na znanego mi młodego osiłka ze straży miejskiej (tego samego, co tak marzyłem, żeby zostać inkwizytorem), który szedł z towarzyszem i obaj dźwigali sporej wielkości malowaną skrzynię oraz belę lśniącego materiału.

– Mistrz Madderdin! – rozpromienił się chłopak. – Nie potrzebujecie czegoś, mistrzu inkwizytorze?

Widziałem w jego oczach zaniepokojenie, iż odpowiem na to pytanie twierdząco, więc tylko pokręciłem głową z uśmiechem.

– Bierzcie przede wszystkim przedmioty małe i cenne – poradziłem im.

Przytaknęli mi z głęboką wdzięcznością prostych pacholków zaszczyconych łaskawym słowem przez jaśnie pana i zaraz

poszliśmy, każdy w swoją stronę.

Otyły służący, który tłumaczył mi, jak dojść do apartamentów Cassiego, uczynił to na tyle jasno, a ja byłem na tyle rozumny w wysłuchaniu jego wskazówek, iż trafiłem bez kłopotów do części pałacu oddzielonej na użytek Cassiego oraz najzaufańskiej służby i przyjaciół archidiakona. Na korytarzu było pusto, a drzwi od pokoi pootwierano na oścież.

– Gdzie się podziewasz, mój zacny archidiakonie? – mruknąłem sam do siebie.

Zaglądałem do otwartych komnat, ale wszędzie było pusto, głucho. Lecz fakt, że w pokojach panował niezwykle bałagan, świadczył jednak wyraźnie o tym, że nie była to zwyczajna cichość. Wszędzie widziałem poprzewracane meble i potłuczone sprzęty. Nic dziwnego, skoro z większości okien wyraźnie można było zobaczyć dziedziniec, a więc służba sama świetnie widziała płonąca stajnię, wdzierający się przez bramę tłum oraz rzeź i ucieczkę żołnierzy.

Usłyszałem za plecami harmider i odwróciłem się gotowy do walki, ale to tylko weilburscy mieszczanie, spoceni i zziajani, wpadli na korytarz, po czym kiedy mnie zobaczyli, zatrzymali się w miejscu, jakby ich dalsze kroki zablokowała niewidzialna bariera.

– Hej, Hans! – zawołałem, bo rozpoznałem jednego z przybyłych. – Wchodźcie śmiało, nikogo tu nie ma, a za to pełno dobra do zabrania. – Odstąpiłem na krok, by nie bali się przejść. – Powiedźcie mi, nie widzieliście gdzieś archidiakona?

– Jakbyśmy go zobaczyli, to już by nie żył – odparł mieszczanin ponurym tonem.

– Za Reginę Kessler – dorzucił jeden z jego towarzyszy i przeżegnał się uroczyście. Reszta mężczyzn również wykonała znak krzyża.

Westchnąłem tylko i ruszyłem dalej. W zasadzie nie miałem już czego tutaj szukać. Cassi najwyraźniej zbiegł albo ukrywał się w innej części pałacu, a szukanie go teraz miało się z celem, bo Pałac Mały był naprawdę sporą budowlą. A przecież budynek otoczony był jeszcze ogrodem, a w ogrodzie znajdowały się żywopłoty, drzewa, altany... Trzeba byłoby armii ludzi, by odnaleźć kogoś, kto chce się ukryć przed nieprzychylnym wzrokiem. Wychyliłem się przez okno,

by zobaczyć, czy jakimś cudem nie dojrzę na dziedzińcu Cassiego, który może z rozwianym włosiem i zakrwawionym mieczem w dłoni broni się z resztką swoich podwładnych przed przeważającą hurmą wrogów, ale oczywiście przed pałacem nic ciekawego już się nie działo. Kto miał uciec, ten uciekł, kogo zabito, ten leżał martwy, a kto zwyciężył w walce, ten zaraz po wiktorii pobiegł do środka i zajął się rabowaniem. Przez okno nie było widać płonącej stajni, ale dym czułem aż nazbyt wyraźnie, bo aż szczypał w oczy tak, że zaczynały łzawić.

Cóż tu dużo mówić, byłem zrezygnowany i jednocześnie niepokieszony, iż nie udało mi się rozliczenia z archidiakonem doprowadzić do końca. I wierzcie mi lub nie, mili moi, ale wspomogła mnie, jak by powiedzieli starożytni Grecy, ręka Losu, a ja wiedziałem, iż zlitował się nade mną sam Bóg Wszechmogący. Bo oto niemal wpadłem na korytarzu na hrabiego Scalzę. Hrabia był przebrany w prosty mieszczański strój, włosy miał zmierzwione, a twarz brudną i na pewno nikt nie poznałby w nim watykańskiego jaśnie pana. Zanim Scalza zdążył cokolwiek zrobić, chwyciłem go za kołnierz i z całej siły uderzyłem jego głową w ścianę. Bogu dziękować, że go nie zabiłem, bo chyba zapłakałabym się na śmierć na myśl o tym, iż zmarnowałem taką szansę na zasięgnięcie języka. Ale wstrząs solidnie go ogłuszył i musiałem dopiero wbić hrabiemu sztylet w dłoń, by trochę go orzeźwić i doprowadzić do przytomności.

Scalza miał przez chwilę jeszcze mętne spojrzenie, ale zaraz potem skupił wzrok na mnie. Przez twarz szlachcica przebiegł szybki grymas, więc już wiedziałem, że jest na tyle przytomny, by mnie rozpoznać.

– Gdzie Cassi? – zapytałem.

Nie odpowiedział, a że nie miałem czasu ani na dyskusję, ani na długie przekonywanie, tym razem wkłułem sztylet w jego dłoń na tyle mocno, że przeciąłem ją na wylot. Wrzasnął, a ja przekręciłem ostrze w ranie, więc wrzasnął jeszcze głośniejsze.

– Gdzie Cassi? – powtórzyłem zimno.

Nic nie odpowiedział, tylko zawodził boleśnie, więc wyszarpnąłem sztylet z rany w jego dłoni i wbiłem jego czub w krocze hrabiego. Cóż, może jednak słowo „wbiłem” jest w tym wypadku za mocne, ale z kolei słowo „ukłułem” wydaje mi się nieco za słabe. W każdym razie nie chciałem Scalzy śmiertelnie zranić, a jedynie ugodzić go w miejsce nie tylko niezwykle bolesne, ale również wielce cenne, gdyż do tych organów każdy mężczyzna jest niezwykle przywiązany i z ogromnym lękiem myśli o tym, iż mógłby je kiedykolwiek utracić.

– Oderżnę ci jaja i kutasa, a potem cię nimi nakarmię – obiecałem mu lodowatym tonem. – Naprawdę uważasz, że Cassi jest wart takiego poświęcenia?

Wyobraźcie sobie, mili moi, że ten człowiek nadal milczał, tylko jęczał i kulił się.

Albo nic nie wiedział, albo jednak był nadzwyczajnie oddany archidiakonowi Cassiemu. W pierwszym wypadku mogłem mu tylko współczuć wielkiego pecha, w drugim wypadku wiedziałem, że prędzej czy później go złamię.

Każdy, kto zna moje życie i uczynki, wie, z jak ogromną niechęcią uciekam się do brutalnej przemocy, znacznie bardziej ceniąc zdolności retoryczne pozwalające na przekonanie drugiego człowieka dobrym oraz rozsądnym słowem i nakłonienie go do współdziałania. Ale teraz i tutaj po prostu nie miałem na to czasu. Otoczyłem więc szyję Scalzy lewym ramieniem i zacisnąłem bardzo mocno obręcz tego uścisku, a trzymanym w prawej dłoni sztyletem wykłułem mu oko.

Cóż mogę więcej powiedzieć? Utrata jednego oka jest wystarczająco nieprzyjemna, a kiedy ten, który ci to zrobił, grozi, że za chwilę pozbawi cię następnego, to zaręczam, że jesteś wtedy gotów do daleko idących ustępstw, aby tylko nie pogrążyć się do końca życia w świecie mroku. Tak więc okazało się, że hrabia świetnie zrozumiał pierwszą lekcję, jakiej mu udzieliłem, i nie zamierzał przyjmować kolejnej.

Szlochając i jęcząc, zapewnił, że zaprowadzi mnie do kryjówki Cassiego, a ja przyznam, że raczej wierzyłem już teraz w szczerą

jego intencji. Na wszelki wypadek związałem mu ręce na plecach jego własnym pasem i kazałem iść przodem.

– Jeśli mnie oszukasz, wykluję ci drugie oko – obiecałem. – Przysięgam na gniew naszego Pana.



Cassi, dość rozumnie, ukrywał się nie w pokojach pałacowych ani nawet w kwaterach służby, lecz w pomieszczeniach gospodarczych. Słusznie nie wybrał jednak kuchni czy pralni, w której można było zagarnąć wiele cennych rzeczy, a więc do której musieli wpadać rabujący pałac weilburczycy, lecz strych. A każdy grabieżca, któremu w ogóle chciałoby się wejść na to poddasze, natychmiast by zawrócił. Bo tak jak w kuchni i spiżarni można było znaleźć świetnej jakości sprzęty oraz zapasy jedzenia i trunków, tak jak w pralni można było ukraść kosztowną bieliznę i odzienie, tak na strychu znajdowały się głównie stare graty i pajęczyny. Kryjówka więc zdawała się bezpieczna, pod warunkiem, że nikt nie zdradził komuś, kto bardzo chciał cię dopaść, iż się w niej ukrywasz. A ja miałem wielką i szczerą ochotę dopaść Cassiego. Zarówno za to, że był podłą szumowiną (jak całe duchowieństwo Watykanu), za to, że przeciwstawiał się Świętemu Officjum, jak i za to, że próbował skrzywdzić dziewczynę, o której wiedział, że znajduje się pod moją opieką. Archidiakon rzucił mi wyzwanie, a ja to wyzwanie przyjąłem. I teraz finał naszego starcia był taki, że on ukrywał się na strychu w panicznym strachu o własne życie, a ja na ten strych wchodziłem z mieczem w dłoni.

Gdybyż to bym był bohaterem jarmarcznej powieści lub przedstawienia teatralnego! O, jakże piękne sceny odegralibyśmy w tej chwili z archidiakonem Cassim. Najpierw każdy z nas wygłosiłby długą przemowę: ja wzruszającą i patetyczną, on pełną bezczelnych gróźb i nasyconą pychą. Potem stoczylibyśmy dramatyczną walkę na miecze, wykorzystując do niej również krzesła, wielkie i ciężkie świeczniki, a nawet bujając się na

ogromnych żyrandolach. W pewnej chwili Cassi byłyby już bliski triumfu i kiedy szyderczo spoglądałby na mnie, napawając się moją klęską i wygłaszając drwiące zdania, wtedy ja zadałbym mu niespodziewany śmiertelny cios. A kiedy by konał, Kinga wbiegłaby do pokoju i rzuciłaby się w moje objęcia. Jak się zapewne domyślacie, mili moi, nic podobnego jednak się nie wydarzyło, chociaż może i szkoda, gdyż byłyby to wydarzenia bardzo piękne. Cała walka skończyła się szybciej, niż się zaczęła. Cisnąłem Cassiemu w oczy garść sherskeny, a kiedy ze skowyttem zatoczył się pod ścianę, z całej siły, z impetem wbiłem mu rapier pod brodę, zanurzając go po samą rękojeść i przekręcając następnie w ranie. I to był koniec archidiakona Cassiego. Przyznajcie sami, mili moi, koniec zupełnie niepasujący do tak wybitnej postaci i tak dramatycznej historii. A ja? A ja, cóż... wyszarpnąłem ostrze z ciała przeciwnika, zakląłem, gdyż obryzgała mnie jego krew, po czym odszedłem kilka kroków, wytarłem klingę w jakąś starą kotarę leżącą na równie starym fotelu i schowałem broń z powrotem do pochwy. Nie sprawdzałem, czy archidiakon na pewno nie żyje, gdyż ręcę wam słowem inkwizytora, że nikt jeszcze nie przeżył zadanego mocno i celnie, prosto pod brodę pchnięcia ostrym rapierem. Gdyby Cassi ten cios przeżył, oznaczałoby to najwyraźniej, że nie jest człowiekiem. Oczywiście w jarmarcznej powieści lub na deskach teatru mógłby okazać się tylko zraniony i wystarczająco jeszcze silny, by zadać mi uderzenie w plecy, ale tutaj, w świecie rzeczywistym, a nie w uniwersum fantazji, archidiakon leżał w kałuży czerwieni rozlanej na posadzce, z wytrzeszczonymi, przekrwionymi oczami, a z rany na jego szyi wciąż buchała krew. Widział i czuł mniej więcej tyle samo, co martwa mrówka, a jego całym światem było już tylko czarne słońce o złamanych promieniach, jeżeli wolno mi się w ten sposób odwołać do jednego z greckich poematów[33].

Powiniennem zachować skromność i nie napawać się tak bardzo moim triumfem, lecz ja, niestety, okazałem pychę, kiedy zadowolony z siebie i z szybkiego rozstrzygnięcia batalii stałem nad ciałem Cassiego. Sądzicie, mili moi, że zaatakował mnie hrabia

Scalza, upokorzony i poraniony? Och nie, hrabia Scalza nie myślał wcale o waszym uniżonym i pokornym słudze, gdyż pojękując raz głośniej, raz ciszej, bandażował sobie dłoń i ocierał twarz z krwi. Był człowiekiem, który byłem tego pewien, jeszcze przez długi czas nie będzie miał ochoty na sprzeczki. Ale archidiakon miał strażnika. Czemu tenże strażnik nie pojawił się wcześniej, zrozumiałem i dowiedziałem się dopiero później: otóż ów mężczyzna wychylał się przez otwór w dachu, aby zbadać, co dzieje się na zewnątrz i kiedy oraz z jakiej drogi ucieczki będzie można skorzystać. Dlatego właśnie, obarczony innymi obowiązkami, nie mógł przypilnować swojego pana. A że nasza walka była naprawdę wyjątkowo krótka (w zasadzie popełniam błąd, nazywając to starcie walką, gdyż była to po prostu egzekucja), nie zdążył z pomocą. Ale za to teraz szedł w moją stronę, rozwścieczony i potężny niczym góra, niczym jakiś bezkształtny cień sunący w mroku strychu. Przy całej swojej wielkości ten człowiek był w dodatku diabło szybki. Chciałem sypnąć mu w oczy sherskenem, ale uderzył mnie w przegub dłoni i mało co nie cisnąłem tym diabelskim proszkiem samemu sobie w twarz. Chciałem pchnąć go mieczem, ale płynnym ruchem szedł z linii ciosu i uderzył mnie urękawiczoną pięścią z taką siłą, że gdybym nie odchylił głowy, to na pewno ogłuszyłby mnie ciosem tych stalowych guzów. Ale i tak, pomimo że uderzenie tylko prześlizgnęło się po mojej skroni, to zahuczało mi w głowie. Być może walczyłbym z nim dalej i kto wie czy walki tej bym nie przegrał, gdyby nie to, że poczułem swąd dymu i dojrzałem czerwony poblask. Ruszyłem pędem w tamtą stronę, szarpiąc za stos gratów, który spowolnił trochę mojego przeciwnika, kiedy stare krzesła sypnęły mu się z hurgotem pod nogi. Usłyszałem, jak zaklął, ale nie zamierzałem się nim zajmować. Nie tu i nie teraz. Dostrzegłem drabinę prowadzącą do otworu w dachu i wskoczyłem na jej szczeble, a zaraz potem wdrapałem się na spadziste pokrycie Pałacu Małp.



Jak nie raz i nie dwa zostało już powiedziane, deszcz nie padał w mieście od dawna, a ta susza i spiekota przyprawiały wszystkich o szaleństwo. Ale akurat dzisiaj wieczorem z niemal bezchmurnego nieba spadło kilka kropli dżdżu. I ta właśnie znikoma ilość wilgoci wystarczyła, by w nocy spadzisty dach pałacu, obity miedzianymi blachami, stał się śliski niczym wypolerowany lód. Stojąc na progu okiennej ościeżnicy, usiłowałem jeszcze zachować równowagę, jednak zachwiałem się, zabalansowałem i może, może zdołałbym dzięki pomocy Bożej utrzymać się jednak w bezpiecznym miejscu, gdyby nie to, że mój przeciwnik w ostatniej chwili zdołał mi cisnąć w twarz rękawicą. Nawet nie nożem, tarczą czy jakimkolwiek innym niebezpiecznym czy ciężkim przedmiotem. Ot, zwykłą grubą rękawicą z twardej skóry ze stalowymi guzami. I to uderzenie wystarczyło, aby wytrącić moje ciało ze z trudem nabieranej równowagi. Zachwiałem się, stąpnałem na wilgotną płytę, poślizgnąłem się i zacząłem zjeżdżać w dół, najpierw na kolanach, a potem na brzuchu. Rozpaczliwie starałem się czegoś chwycić, zahaczyć palcami lub podeszwami butów o jakąkolwiek nierówność pomiędzy miedzianymi płytami, ale nie byłem w stanie nic zrobić poza pewnym spowolnieniem ślizgu. Prawą dłońią przejechałem po kawałku odstającej blachy, wyrastającej z powierzchni niczym kilka połamanych zębów przyrośniętych do gładkiego podniebienia, i w tym samym momencie rozdzierający ból niemal sparaliżował mi rękę aż do ramienia. Dosunąłem do krawędzi dachu, krwawiąc i bezskutecznie się szarpiąc. Wiedziałem i pamiętałem, że od strony dziedzińca i głównej bramy skraj pokrycia obramowany był kamiennym zdobionym murkiem udekorowanym posągami aniołów. Ale tutaj, od strony ogrodu, dach ten kończył się po prostu niezbyt szerokim gzymsem. Zdarłem paznokcie, próbując zahaczyć się o ten gzymś, niemal, niemal udało mi się zatrzymać lot, po czym dłoń osunęła się po kamieniu, a ja runąłem w przepaść.

Zeskoczyłem lekko, zręcznie i z wdziękiem uginając nogi w kolanach, na kamienne płyty oddzielające ogród od murów pałacu. Po czym otrząsnąłem się, otrzepałem dłonie i mruknąłem do siebie: „cóż za przygoda”. Taaak... Tak właśnie powinna brzmieć ta

historia, gdyby była opowiadana ku uciechu gawiedzi spragnionej bohaterskich wyczynów. Ja jednak nie jestem, nie byłem i pewnie nigdy nie zostanę bohaterem, a historia mojego życia zapewne nigdy nie będzie opisywana, bo i kogóż interesowałaby opowieść o ciężkiej pracy, przerywanej postami, modlitwami i umartwieniami? No i tak to właśnie było, że ponieważ żyłem w świecie rzeczywistym, a nie byłem śmiałkiem z bohaterskich mitów, to zleciałem z dachu, zdzierając sobie jedną dłoń niemal do żywego mięsa, a drugą, tę zranioną, raniąc jeszcze bardziej.

Bogu Wszechmogącemu niech będą jednak dzięki, że w tym nieszczęściu, jakie mnie spotkało (sam przyznam: częściowo zawinionym przez moją własną nieostrożność), zechciał zesłać na mnie trochę szczęścia i obdarować mnie nie tyle gotowym ratunkiem, ile szansą i nadzieją na wybawienie. Nie dostałem więc z woli naszego Pana gotowej ryby, lecz wędkę, by rybę tę wyłowić, jeśli będę na tyle staranny, mądry i wytrzymały, by poradzić takowemu zadaniu. A cóż to wszystko oznaczało tak konkretnie i namacalnie w historii człowieka spadającego właśnie z dachu i bluzgającego krwią z rąk? Otóż oznaczało, że wystający z muru spod parapetu zakrzywiony żelazny pręt wplątał się w mój płaszcz, przebił materię i spowolnił mój upadek na tyle, że zdołałem silniejszą dłonią uchwycić z całej siły to zbawcze żelazo, dodatkowo wygodniejsze w utrzymaniu, gdyż oplątane materiałem mego okrycia. Pomimo niezwykłego tempa, w jakim wszystko się działo, zdołałem jeszcze pomyśleć, że gdybym zlatywał nieco bliżej muru, to nadziałbym się na ów pręt nie kapturem i kołnierzem, lecz karkiem i tyłem głowy. I może wisiałbym teraz na tym żelazie, ale nie jako szczęśliwie (choć chwilowo) wybawiony, lecz niczym jakieś myśliwskie trofeum wywieszzone pod oknami łowczego. Albo jak sztokfisz suszący się na słońcu. Bogu dziękować, oszczędzono mi jednak podobnej przykrości i mogłem być temu rad nie tylko ze względu na własny interes, lecz również biorąc pod uwagę reputację całego Świętego Officjum. Niedobrze byłoby bowiem, by całe miasto widziało nadzianego na hak inkwizytora i opowiadało sobie o podobnym wydarzeniu uciechu historii. Zwłaszcza że kto wie czy

grzeszne myśli nie podpowiadałyby niektórym słuchającym, iż podobny zabieg można by również zastosować do innego inkwizytora, w innej sytuacji i w innym miejscu...

Każdy człowiek powinien umieć oceniać swoje własne możliwości, kierując się rozumem i doświadczeniem, a nie złudnymi mirażami. Ja zazwyczaj starałem się stąpać twardo po ziemi i dlatego właśnie wiedziałem, że za nic w świecie nie zdołam wspiąć się na parapet. Owszem, trzymałem się haka dość mocno i samo żelazo również wydawało się solidnie osadzone w kamieniu, ale drugą dłoń miałem niemal bezwładną. Jestem człowiekiem raczej silnym niż słabym, ale nie umiem podciągnąć całego ciała na lewej ręce, kiedy palce zaciskam tylko na wąskim pręcie. Zresztą na czymkolwiek bym te palce zaciskał, i tak nie sądzę, by mocy mięśni wystarczyło mi na podobny wysiłek. No cóż, przyjdzie mi więc umrzeć, roztrzaskawszy się na kamiennych płytach pod pałacowym oknem. Jak daleko było do ziemi? Zerknąłem raz jeszcze w dół. Czterdzieści stóp jak obszył. Przy ogromnym szczęściu może upadek skończyłby się złamanymi nogami. Przy mniejszym szczęściu po prostu szlag trafiłby mnie na miejscu. Natomiast przy wielkim pechu połamałbym nogi i kręgosłup, a sparaliżowany do końca życia musiałbym prosić, zarówno by mnie nakarmiono, jak i by mnie zanieiono do wychodka. Pomyślałem sobie, że w takim wypadku wolałbym raczej umrzeć.

Wiedziałem, że nie wytrzymam zbyt długo, a to, że zmęczone, zeszywniałe palce nie oderwały się jeszcze od haka, i tak zawdzięczałem tylko temu, że lewą stopę mogłem oprzeć na jakiejś ledwo zauważalnej nierówności muru, dzięki czemu nie wisiałem na dłoni całym ciężarem ciała.

Inkwizytorowi nie jest szczególnie wesoło, kiedy musi wzywać pomocy i liczyć na czyjeś zmiłowanie. Ale Bóg obdarzył przecież waszego uniżonego sługę pokorą tak wielką, że mógłbym nią obdzielić niejednego świętego, nawet takiego, na którego wylewano pomyje i który mieszkał pod schodami. Tak więc trudno, dumę trzeba było schować do butów i mieć nadzieję, że głośnymi okrzykami zwabię może nie tyle jakiegoś dobrego samarytanina, ile

po prostu kogoś zaciekawionego hałasem. No a potem przekonam tego człowieka, że pomoc mu się sownie opłaci.

Nie minęło tak wiele czasu, od kiedy zacząłem moje energiczne pokrzykiwania, gdy od strony okna zobaczyłem światło, usłyszałem szcęk otwieranych drzwi i następnie czyjeś ciężkie stągnięcia. Przyznam, że dawno mnie tak nie ucieszył dźwięk czyichś kroków, chociaż szczerze mówiąc, wypadało jeszcze poczekać z prawdziwą radością na wyjaśnienie, kto okaże się tym hałaśliwym przybyszem. Pamiętałem przecież porzekadło mówiące, że ludzie budzący się w ciemności w pustym pokoju wcale nie boją się tego, że są sami. Oni boją się tego, że sami być przestali.

– Hej, podejdź no który! – zawołałem pełnym głosem, mając nadzieję, że nie wołam któregoś z pacholków Cassiego, który dla zemsty mógłby pchnąć nożem waszego unżonego sługę. – Idź do okna, jeśli chcesz zarobić trochę złota!

Obietnica nieoczekiwanego i łatwego zarobku ma zwykle tak wielką siłę przyciągania, że wielu zawiodła już nad bezdenną przepaść i skopała na sam dół tejże przepaści. Jednak prawdą jest też, że sporo ludzi dorobiło się mniejszych czy większych majątków tylko dlatego, iż znaleźli się w odpowiednim czasie i w odpowiednim miejscu, czy też pomogli odpowiedniemu człowiekowi. I w ten właśnie sposób wkradali się w łaski Fortuny. Więc ponieważ cenię sobie swoje życie, ponieważ mam nadzieję być użytecznym narzędziem w rękach Pana, zrozumiałe, że musiałem tego życia bronić.

– Dziesięć koron! – zawołałem.

Mogłem obiecać nawet sto koron albo i tysiąc, ale w obietnicach, aby były wiarygodne, też trzeba mieć umiar. Bo człowiek, któremu obiecano zbyt duży i zbyt łatwy zarobek, może nabrać podejrzeń i spodziewać się, że ktoś wciąga go w pułapkę. A taki, któremu obiecano w sam raz, tego typu obaw nie będzie miał albo przynajmniej nie będą one tak silne, by w ogóle powstrzymać go od działania. Ku mojej radości przybysza musiała zainteresować oferta, gdyż dźwięk kroków się przybliżył, a potem usłyszałem sapnięcie. Podniosłem wzrok i dostrzegłem twarz wychylającego się przez

okno hrabiego von Berga oświetloną drżącym żółtym płomieniem lampy. Von Berg zerknął w dół, by upewnić się, z kim ma do czynienia.

– Mistrz Madderdin! Czyż mnie oczy nie mylą? – prawdziwie się zdumiał, widząc mnie wiszącego nad przepaścią.

– Spieszę zapewnić, że pan hrabia ma nieomylny wzrok – odpowiedziałem.

– Jak żeście się tu znaleźli?

Wolałbym co prawda, aby von Berg konwersował ze mną dopiero po tym, jak pomoże mi się wydostać z pułapki, ale rozumiałem też, że musi mieć chwilę swojej satysfakcji. Zresztą diabli wiedzą człowieka takiego jak von Berg. Może pomoże mi się wydostać? A może z uśmiechem i patrząc mi w oczy, odegnie mi palec po palcu i strąci w przepaść? A może po prostu pozostawi mnie własnemu losowi, żebym sobie wisiał nad tą przepaścią, dopóki wola Boża nie zadecyduje tak lub inaczej?

– Zrzucano mnie z dachu – wyjaśniłem. – I miałem na tyle szczęścia, że lecąc, zdołałem się tutaj zaczepić.

Pokiwał głową i przysiadł na szerokim wewnętrznym parapecie. Lewą dłoń chwycił ramę okna.

– Wysoko, co? – zagadnął tonem przyjacielskiej pogawędki.

– Będzie ze czterdzieści stóp – odparłem zgodnie z prawdą.

Gwizdnął.

– No to dość wysoko – rzekł. – I jeszcze kamienne płyty na dole, czyż nie?

– Spadać do ogrodu, na miękką ziemię, krzaki i gęstą trawę, byłoby zapewne przyjemniej – powiedziałem.

– I tylko dziesięć koron obiecujecie swojemu wybawcy?

– Kiedy jeszcze nie wiadomo, o co chodzi, to zbyt wielka suma wykrzyczana przez nie wiadomo kogo gdzieś z ciemności mogłaby nie tyle skusić, ile odstraszyć – wyjaśniłem, zresztą najzupełniej zgodnie z wcześniejszymi przemyśleniami.

Pokiwał głową.

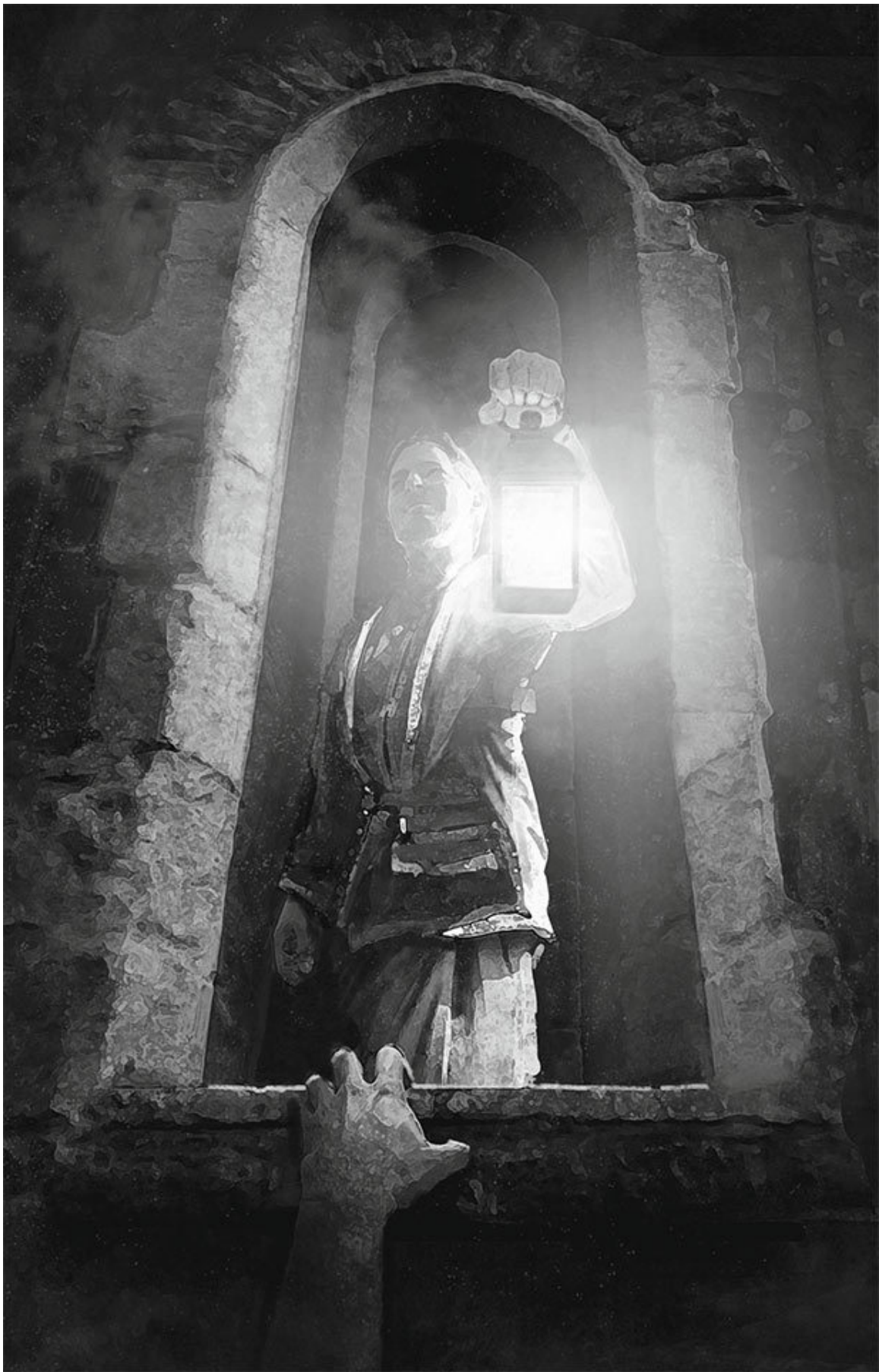
– To prawda – zgodził się ze mną. – Żyjemy w niebezpiecznych czasach, pełnych fałszywych przyjaciół i utajonych wrogów, to

i ludzie są nieufni oraz ostrożni.

– Szkoda – powiedziałem.

– Ano szkoda – westchnął. – Począwszy od lat młodszych miałem wielki sentyment do ludzi ufnych i nieostrożnych.

Nie spodziewałem się niczego innego, zważywszy na styl życia, jaki prowadził pan hrabia, i sposób, w jaki zarabiał pieniądze. Podejrzewałem jednak, że ludzie, z którymi obcował, nawet jeżeli początkowo byli ufni i nieostrożni, to pod wpływem własnych doświadczeń nabierali zarówno ostrożności, jak i podejrzliwości. Może nawet nadmiernej...



– I co? Pewnie chcecie, żebym was wyciągnął? – zagadnął tonem przyjacielskiej pogawędki.

– Jeśli pan hrabia znalazłby chwilę czasu i nie uznał tej pomocy za niewłaściwą, to przyznam, że chętnie skorzystałbym z podobnej łaskawości – odparłem.

Uśmiechnął się i w wieczornym mroku oraz w pełgających światłocieniach lampy ten uśmiech nadał jego twarzy diaboliczny wyraz. Zresztą pewnie to sobie wyobraziłem, gdyż czułem, że ręka mi coraz bardziej słabnie, a noga coraz bardziej cierpnie. Za chwilę stracę władzę zarówno nad jedną, jak i nad drugą i będę miał kilka chwil na to, żeby prosić Boga o szybką śmierć, a nie kalectwo.

Von Berg odsunął się do wewnątrz i zniknął mi na chwilę z oczu. Ale zaraz pojawił się z powrotem, trzymając w dłoni gruby aksamitny sznur ozdobiony frędzlami. Domyśliłem się, że odciął go od zasłon. Teraz hrabia wychylił się bardzo głęboko, zaplótł linę pod moim ramieniem, zawiązał pętlę i cofnął się w stronę pokoju.

– Uważajcie – rzekł. – Chwyć was mocno i postaram się wciągnąć was na parapet. Drugi koniec sznura przywiązałem do ramy okiennej, ale nie wiem, czy was utrzyma, jeśli puścicie moją rękę. Rozumiecie?

– Tak jest. Rozumiem. Jestem bardzo wdzięczny, że pan hrabia zadaje sobie tyle trudu.

Znowu się uśmiechnął.

– Jakżeż można nie pomóc tym, którzy bronią nas, żebyśmy nie błądzili we mgle herezji? – zapytał zupełnie bez ironii.

A potem już pochylił się i zaciskając lewe ramię wokół ramy, sięgnął po mnie prawą dłonią. Spytacie, mili moi, czy łatwo poszło wydostanie mnie z pułapki i wciągnięcie na wewnętrzny parapet? Otóż nie, z całą pewnością można użyć wielu słów, ale nie takich opisujących, że było to zadanie lekkie, łatwe i przyjemne. Ba, w pewnym momencie wydawało się nawet, że to ja mogę przeważać hrabiego i razem pofruniemy w przepaść. Cóż, gdybym rozbił się na kamiennych płytach Pałacu Małp w objęciach z hrabią Arnulfem von Bergiem, stałoby się to na pewno kanwą historii wspominanej w mieście jeszcze przez długie lata. I pewnie byłaby to opowieść

uważana zarówno przez opowiadających, jak i przez słuchających za całkiem ucieszną. Na szczęście jednak do niczego takiego nie doszło. Hrabia wyciągnął mnie na wewnętrzny parapet niczym rybak jakąś wielką i ogłuszoną rybę, a ja zaraz zwałem się na posadzkę, dopiero teraz czując, jak drżą mi wszystkie mięśnie i ścięgna i jaką całe ciało zostało objęte mdlącą słabością. Von Berg, co zrozumiałe, nie był wyczerpany w takim stopniu jak ja, bo przecież to nie on pokieroszował się, spadając z dachu, i nie on wisiał nad przepaścią zaczepiony na jednej dłoni, lecz i tak przysiadł pod ścianą, ciężko dysząc. Ale wpatrywał się we mnie z zadowoleniem, właśnie takim, z jakim rybak spoglądałby na wyjątkowo obfity połów, który całkiem niespodziewanie mu się przytrafił.

– No to ładną mieliśmy przygodę, nie ma co – stwierdził wreszcie.

– Proszę przyjąć moje najszczerze podziękowania, panie hrabio – powiedziałem, starając się, by mój głos zabrzmiał szczerze oraz mocno. – Oczywiście pozostaję do usług pana hrabiego, jeżeli raczyłyby pan skorzystać z kredytu, który ma w mojej pamięci i wdzięczności – dodałem zaraz potem.

Von Berg skrzywił usta.

– Czemu nie? Uratowałem was, po pierwsze, bo całkiem was lubię, a po drugie, żeby sprawdzić własne siły, ale skoro chcecie mi odpłacić przysługą za przysługę, to nie zawaham się skorzystać.

No cóż, tego właśnie należało się spodziewać. Przecież von Berg nie byłby sobą, gdyby nie zamierzał użyć mnie w jakimś mniej lub bardziej niecnym celu. Zastanawiałem się tylko, jaki będzie stopień owej niecności. Inna rzecz, że najlepiej byłoby, gdybyśmy szybko sprawę spłaty tego długu załatwili i abym nie musiał pozostawać ani w niepewności, ani w niemiłym stanie niespłaconego kredytu wdzięczności.

– Pozwolę sobie zauważyć, że od samego początku pokładałem wielką ufność w szlachetności pana hrabiego, która spowoduje, że pan hrabia wyciągnie do mnie pomocną dłoń – powiedziałem uprzejmie.

Spojrzał na mnie podejrzliwie.

– A niby z jakiego powodu? – zainteresował się.

– Pan hrabia, siadając na szerokim wewnętrznym parapecie, nie omieszkał jednak uchwycić się mocno lewą dłonią za ramę okienną – rozpocząłem wyjaśnienia. – A przecież w tamtym momencie upadek w żaden sposób panu hrabiemu nie groził. Nabrałem więc podejrzeń, że pan hrabia zechciał się zabezpieczyć, na wypadek gdyby musiał prawą rękę obciążyć jakimś wielkim ciężarem.

Von Berg zmrużył oczy.

– To brzmi nawet logicznie – przyznał. – A dalej?

– Zabawiając mnie łaskawą rozmową, pan hrabia ani przez chwilę nie spojrzał za siebie czy na ścianę obok, lecz niemal ciągle wpatrywał się w moją dłoń, którą trzymałem się żelaznego pręta...

Skinął głową z namysłem.

– Tak było – rzekł.

– Ośmieliłem się więc sądzić, że pan hrabia wie, że utrata sił człowieka postawionego w mojej sytuacji nigdy nie następuje natychmiast. Palce męczą się i powoli osuwają. Trwa to nieco dłużej niż zmrużenie oka.

– To prawda – powtórzył von Berg.

– Wiem przecież, że pan hrabia jest wytrawnym szermierzem, co oznacza, że potrafi reagować na ruch przeciwnika z szybkością nieosiągalną dla zwykłego człowieka. Dlatego też żywiłem nadzieję, że pan hrabia nie tylko zauważy, że zaczynam spadać, ale jeśli będzie chciał, to zdąży wyciągnąć ramię tak szybko, żeby mnie pochwycić.

Von Berg pokiwał głową z uznaniem.

– Miło spotkać człowieka, który potrafi, wisząc nad przepaścią, dokonywać na zimno podobnie logicznych rachunków – pochwalił mnie serdecznie.

Czy miałem żal do von Berga, że przetrzymał mnie nad przepaścią i dla własnej fanaberii ryzykował moje życie? Oczywiście, że nie. Przede wszystkim byłem mu wdzięczny, że jednak w końcu podał mi rękę i wyciągnął mnie z zaciskających się szponów śmierci. A że był ciekawy, jak zachowuje się inkwizytor schwytany w pułapkę, i chciał się zabawić moim kosztem? Mój Boże, a cóż to miało za znaczenie! Hrabia wyprawiał w swoim życiu stokroć gorsze rzeczy, więc epizod ze mną mógł sobie bez trudu wpisać w rejestr dobrych

uczynków. A nawet bardzo dobrych. Chwalebnych, zaszczytnych i prawych. Jakżeż małym byłbym człowiekiem, gdybym się zżymał na ten niewinny figiel von Berga.

– Co teraz, mistrzu Madderdin? – zapytał. – Jakie macie plany, jeśli wolno spytać, skoro przestaliście już wesoło bujać się pod oknem?

Uśmiechnąłem się. Oddarłem pas tkaniny z koszuli, zawiązałem prowizoryczny bandaż na dłoni i zawiązałem supeł, pomagając sobie zębami. Opatrunek chronił ranę, ale nie powiedziałbym, że moja ręka stała się dzięki niemu dużo sprawniejsza. No cóż, lewa ręka inkwizytora również jest śmiertelną bronią, nawet jeśli została pozbawiona pomocy prawej.

– Nic nie mam już tu do roboty – odparłem. – Co miałem zrobić, to zrobiłem. A co się dzieje w pałacu?

Wzruszył ramionami.

– Hołota go zdobyła, więc hołota zachowuje się jak hołota. Grabi i niszczy – rzekł. A potem dodał: – Ja muszę tu zaczekać, więc wy zaczekacie razem ze mną.

Nie było to bynajmniej ani zaproszenie, ani pytanie, lecz polecenie. I chociaż wasz pokorny i uniżony sługa nie przepada za ludźmi, którzy przemawiają do niego podobnym tonem, to jednak nie da się ukryć, że miałem solidny dług wobec hrabiego von Berga. A z drugiej strony patrząc: byłem ranny, wyczerpany, prawą dłoń miałem niemal bezwładną, a lewa ręka cały czas drżała mi i omdlewała z wysiłku, więc byłem ostatnią osobą, która mogłaby się zmierzyć z hrabią von Bergiem – wytrawnym fechtmistrzem i człowiekiem na tyle bywałym w świecie, by wiedzieć, że inkwizytorzy zawsze mają w zanadrzu pewne sztuczki, by poradzić sobie tym łatwiej z nieostrożnymi przeciwnikami. A byłem przekonany, że gdybym teraz zechciał opuścić hrabiego, to do zwady by doszło, ponieważ von Berg poczułby się zdradzony i wykorzystany. No i trzeba przyznać, że w jakiś sposób miałby rację, skoro zamiast spłacać dług, postanowiłbym swemu wybawcy pomachać ręką na pożegnanie.

Von Berg przysunął sobie krzesło i rozsiadł się wygodnie. Wprawnymi ruchami masował lewą dłońią prawą dłoń i prawy

nadgarstek.

– Opowiem wam, mistrzu Madderdin, historię mojego życia – odezwał się z namaszczeniem w chwili, kiedy myślałem raczej, że wspólny czas spędzimy już w milczeniu. Ale nie wiedziałem przecież, ani na co czekamy, ani jak długo będziemy czekać, a hrabia tymczasem kontynuował przemowę: – Bo przecież warto, żebyśmy dobrze poznali jeden drugiego, skoro niedługo połączą nas wspólne interesy...

Zabrzmiało to dziwnie złowieszczo, a ja pomyślałem, że ostatnie, czego bym chciał, to poznawać się z von Bergiem i mieć z nim wspólne interesy. No ale na to już było za późno, bo tak się plotą losy ludzkie, że rzadko kiedy możemy w pełni decydować o własnym życiu i zbyt często spotykają nas niespodzianki, których wcale a wcale byśmy sobie nie życzyli.

– Wysłucham pana hrabiego z chętną uwagą – odparłem uprzejmie.

Uśmiechnął się i pomyślał chwilę, po czym pokiwał głową do własnych myśli, aż wreszcie zaczął mówić:

– Muszę wam wyznać, mistrzu Madderdin, że jako dziecko i jako młodzieniec żyłem w świecie wyobraźni, w świecie rycerskich legend i opowieści, poetyckich eposów, które rozpały mnie niczym płomień buchające ze smoczych pysków, które to smoki tak łatwo pokonywali opisywani bohaterowie. – Westchnął i spojrzał na mnie, jakby spodziewał się po mnie komentarza.

– Kiedy byłem dzieckiem, zadbano, żebym poznał „Iliadę”, „Odyseję”, „Eneidę”, a więc podróże do heroicznych krain fantazji nie są mi obce – stwierdziłem.

Pokiwał głową.

– Więc wiecie dobrze, o czym mówię. Przyznam wam też, że zawsze pragnąłem być tym bohaterem, który niesie sprawiedliwość, nagradzając ludzi szlachetnych i wywierając pomstę na nikczemnikach. Dodam tu jednak... – uniósł dłoń na znak, że słowa, które teraz wypowie, będą wielce istotne – że moja wymarzona sprawiedliwość mogła czasami, czy nawet często, nie tylko stać obok – silnie zaakcentował słowo „obok” – stanowionego prawa, ale wręcz

z nim kolidować, gdyż sami świetnie wiecie, że prawo ma się nijak do sprawiedliwości. Zwłaszcza że sędziowie nasi słyną z tego, że jeśli któryś nie jest nawet kompletnym głupcem, to na pewno jest przekupnym szubrawcem.

Pokiwałem głową.

– Trudno się nie zgodzić z przemyśleniami pana hrabiego – odparłem. – Chociaż z drugiej strony niebezpieczna to sprawa wchodzić w buty Pana Boga – dodałem.

– Ba. – Rozłożył ręce. – Wielkie czyny i wielkie idee wymagają poświęceń. A nawet jak kto kilka razy się pomyli, to przecież powinno być brane pod uwagę, że po pierwsze, walczył o szlachetne cele, a po drugie, na wnioskach wyciągniętych z błędów może nauczyć się, żeby nie popełniać ich w przyszłości – dodał z zapalem.

Oho, coś mi się zdawało, że von Bergowi zdarzyło się w czasach tej idealistycznej młodości zrobić coś, co nawet on sam uznał za pomyłkę. Ciekawe, kogo te pomyłki kosztowały życie? Tymczasem hrabia kontynuował:

– Moje gorliwe postanowienie, żeby żyć w zgodzie raczej z kodeksem mojej uduchowionej wewnętrznej sprawiedliwości, niżli kierować się bezdusznymi przepisami stanowionego prawa, wywołało pewne... – zawiesił na chwilę głos. – Niezadowolenie – dokończył wreszcie ponuro. – A było to niezadowolenie ludzi, którzy woleli na chłodno czytać kodeksy, niż z gorącą pasją spoglądać we własne serca...

Mógł sobie pan hrabia używać jakich chciał figur retorycznych, a tak naprawdę to, co mówił, znaczyło, iż władzom nie spodobało się, że zamienił się w oskarżyciela, sędziego oraz kata w jednej osobie. Podejrzywałem, że wyszedł z tego wszystkiego cało tylko dlatego, że wywodził się z wpływowego i majątnego rodu. A chociaż von Berga w rodzinie uważano za zakałę i czarną owcę, to przecież nie godziło się, by krewniak zawisnął na stryczku czy dał głowę pod katowskim mieczem.

– Stała się jednak rzecz dużo gorsza niż tylko niezrozumienie moich uczynków i niechęć do zaakceptowania, że to, co czynię,

czynię w imię najszerzej pojmowanego dobra – oznajmił von Berg z ogromnym smutkiem.

– Cóż gorszego mogło pana hrabiego spotkać oprócz ludzkiego niezrozumienia?

Von Berg westchnął bardzo ciężko i bardzo głęboko. Co dziwne, miałem wrażenie, że wcale nie jest to gest teatralny i obliczony na zrobienie na mnie wrażenia, lecz wypływający z jego wewnętrznego przygnębienia oraz bezradności.

– Zdałem sobie sprawę, mistrzu Madderdin – odpowiedział poważnie – że dobro i zło są zbyt splątane nie tylko na całym świecie, ale nawet w sercu, duszy i postępowaniu pojedynczego człowieka, żebym dał radę rozplątać je, rozdzielić, zważyć i ocenić...

– Spotykamy jednak na świecie ludzi wybitnie i jednoznacznie złych, czyż nie? – zapytałem.

– Oczywiście, że tacy się trafiają – zgodził się ze mną z pełnym, jak sądziłem, przekonaniem oraz zapalem. – Problem w tym, że czasami usunięcie złego, a nawet bardzo złego człowieka niekoniecznie przynosi jednoznaczne dobro. A wręcz powiem wam, że zdarza się, że przynosi jeszcze większe zło niż to, z którym mieliśmy do czynienia do tej pory.

Cóż, to, co mówił hrabia, miało ręce i nogi, a jak widać, w swoim szaleństwie, czy może lepiej powiedzieć: w obliczu przepełniającej go pasji, potrafił jednak zachować umysł na tyle sprawny, by posługiwać się zasadami logiki.

– Usunięcie złego cesarza wywołuje rewolucję, która pochłania w rok więcej ofiar, niż tenże cesarz miał na sumieniu przez cały okres swoich rządów – poddałem.

– Na przykład – zgodził się. – Chociaż mówimy oczywiście w moim przypadku o dużo mniejszym rozmachu działania.

Ha, zdawało mi się, że tym razem usłyszałem rozzalenie w jego głosie. Jakby nie mógł pogodzić się z myślą, iż nie jest graczem mogącym przestawiać królów i hetmanów na wielkiej szachownicy świata.

– Kiedy zrozumiałem tę smutną prawdę, mistrzu Madderdin – mówił dalej – pojąłem również, że nie mogę wziąć na moje wątle

ramiona ciężaru oceniania i karania bliźnich, gdyż nie jestem w stanie ani zbadać na wylot ich umysłów, ani też przewidzieć, co wydarzy się, kiedy tych ludzi usunę ze świata, i jakie to usunięcie będzie miało konsekwencje.

Pokiwałem głową, gdyż podobne rozterki były przecież znane inkwizytorom. Z tym że myśmy mieli za sobą mądrość instytucji, której służyliśmy, oraz siłę wiary w Boga. Von Berg chciał wierzyć własnemu rozumowi, a to było zbyt mało i sam przecież ten fakt doskonale zauważył.

– Dlatego też od tamtej pory postanowiłem zabijać nie ludzi, których uznałem za złych, a po prostu tych, za których głowy dostają zapłatę – stwierdził zdecydowanie weselszym tonem. – W ten sposób zrzuciłem ze swoich ramion zarówno konieczność oceny, jak i też konieczność rozważania konsekwencji moich czynów. To moi zleceniodawcy biorą na swoje barki oraz sumienia pełną odpowiedzialność.

No tak, to, co mówił von Berg, było nawet logiczne. Oczywiście w pewien obłąkany sposób. Świat na tyle przytłoczył hrabiego swoim skomplikowaniem oraz złożonością, iż von Berg postanowił maksymalnie uprościć sobie rozumienie tego świata i działanie w nim.

– Niestety, jak zapewne doskonale wiecie, moja rodzina nie była w stanie pogodzić się ani z moim pierwszym wyborem, ani może tym bardziej z wyborem drugim.

– Rzeczywiście, przyznam, że obilo mi się o uszy, że pan hrabia nie żyje w zgodzie ze swoją rodziną – odparłem, bo przecież nie było sensu ukrywać, iż wiedziałem o jego kłopotach.

– Ba! – Machnął ręką. – Delikatnie powiedziane. – Zaśmiał się. – „Nie żyje w zgodzie” – powtórzył ironicznym tonem. – Wszyscy oni utopiliby mnie w łyżce wody, gdyby tylko mogli. Ale że ja wiem, że nie darzą mnie miłością, toteż pilnuję się, żeby nie znaleźć się w takim miejscu, w którym mogliby mnie łatwo dopaść.

Wzruszył ramionami.

– Bo i cóż to za kłopot, nawet dla kogoś najbardziej świątobliwego, zabić człowieka? – zapytał. – Ot, morderca wypowiada się, odbędzie

pokutę, jeśli trzeba, dostanie rozgrzeszenie nawet od biskupa czy kardynała. I to już wszystkie niedogodności. – Skrzywił usta. – A że von Bergowie raczej nie są świątobliwi, ich niedogodności są zazwyczaj jeszcze mniejsze niż w przypadku, który wam opisuję.

– Wszystkich nas i tak kiedyś czeka najsurowszy Sąd Boży, gdzie nasze grzechy zostaną zważone, policzone i ocenione – odparłem. – Naiwny ten, kto sądzi, że w oczach Boga wykpi się spowiedzią, pokutą i rozgrzeszeniem otrzymanym z ust przekupnego klechy.

Von Berg uśmiechnął się z aprobatą i pokiwał głową.

– Zgadza się z wami absolutnie i w całej rozciągłości – stwierdził. – Tak właśnie się stanie. – Zatarł ręce. – Już sobie wyobrażam tę moją przeklętą rodzinę, jak płonie na piekielnych stosach albo gotuje się w diabelskich kotłach.

No cóż, jak widać, pan hrabia nie brał pod uwagę, iż sam może stać się ofiarą piekielnych katuszy zasądzonych mu za ziemskie grzechy, i ponieważ nie był przecież głupi, to mogło to świadczyć tylko o jednym: o wielkiej pysze i pewności siebie.

Nagle trzasnęły otworzone z impetem drzwi i do środka weszło dwóch potężnie zbudowanych mężczyzn. Obaj dźwigali wielkie, pękate wory. Widząc nas, jeden z nich zrzucił ciężar z ramion i sięgnął po nóż, ale von Berg uniósł dłoń.

– Spokojnie, chłopcy. To mistrz Mordimer Madderdin ze Świętego Officjum. Pomoże nam tu w pewnych sprawach, czyż nie? – Zawiesił na mnie nagle pochłodniały wzrok.

– Z jak największą przyjemnością, panie hrabio – odparłem gładko.

Podejrzewałem, że jestem mu potrzebny, by wraz z nim i jego pachołkami wziąć udział w grabieży pałacu. Nieszczególnie mi się to uśmiechało, ale byłem jednak coś hrabiemu winien za uratowanie życia, czy co najmniej za wybawienie od kalectwa.

Oczywiście nawet rozognieni grabieżą złodzieje niechętnie atakowaliby szlachcica i dwóch potężnie zbudowanych oraz uzbrojonych pachołków, ale skoro byłem w ich towarzystwie również ja, to powaga inkwizytorskiej profesji zapewniała nam wszystkim dodatkowe bezpieczeństwo. Bo po pierwsze, nie widział

nikt na świecie, by inkwizytor ustępował pola hołocie, a po drugie, kary, jakie czekały na tych, którzy napadliby funkcjonariusza Świętego Officjum, były iście straszliwe, a winnych poszukiwano by z pełną bezwzględnością i aż do skutku. Czyż przysłowie inkwizytorów nie mówiło, że kiedy ginie jeden z naszych, czarne płaszcze ruszają do tańca? Inna sprawa, że przecież za zamachy na władców karano w sposób wyrafinowanie okrutny, a publiczna kaźń mogła trwać wiele godzin (nie mówiąc już o wcześniejszych torturach w trakcie przesłuchania), a zamachowcy jednak cały czas się zdarzali. Tak samo jak wciąż zdarzali się truciele, chociaż każdy z nich doskonale wiedział, że w razie udowodnienia win wyląduje w kotle z wrzącym olejem... Taaak, taka to była mocarna w naturze ludzkiej wola czynienia zła, że nawet strach przed zakończeniem życia w niewyobrażalnym wręcz bólu nie powstrzymywał ich przed grzechem. Dlatego też tutaj i teraz, w czasie grabieży Pałacu Małp, nie mogłem liczyć na to, że samo ostrzeżenie, iż jestem inkwizytorem, wystarczy, by zastraszyć łupieżców. Ale kiedy dodaliśmy do tego obecność uzbrojonego szlachcica i jego goliatów, nagle robiła się z nas grupka, która nawet u największych zabijaków mogła wywołać może nie szacunek, ale przynajmniej wrażenie, iż może lepiej zejść nam z drogi i poszukać szczęścia gdzie indziej. Zwłaszcza że pałac był wielki i nie wszystko w nim jeszcze zrabowano, więc po co tracić czas i siły na bójkę, która może się skończyć utratą życia, skoro można jeszcze wypatrywać łupów w miejscach, których nikt nie pilnuje?

Hrabia von Berg miał zresztą o tyle interesujący sposób grabieży, iż nie tylko plądrował komnaty (mocno już przetrzebione), lecz również łupił innych rabusiów. Trzeba przyznać, że ze znanstwem wybierał co cenniejsze przedmioty, i zauważyłem, że najbardziej gustował w rzeczach małych, lekkich, ale kosztownych. Warto też zauważyć, iż nigdy nie zabierał ofiarom wszystkiego, lecz raczej zmuszał je, by podzieliły się z nim swoim łupem. Było to nad wyraz rozsądne, gdyż w ten sposób nie doprowadzał ludzi do ostateczności, która mogłaby ich zmusić do rozpaczliwych czynów, kiedy by uznali, że nie mają już nic do stracenia. Oczywiście kilka razy

spotkaliśmy się z oporem grabieżców, których zmuszano do oddania zdobyczy, czasem mniejszym, a czasem większym, ale jeśli nie pomagał mój stalowy głos i wezwanie do posłuszeństwa w imię Inkwizytorium, wtenczas przychodziła w sukurs siła pachołków. W jednym natomiast wypadku, kiedy napotkaliśmy człeka wyjątkowo opornego i nieużytego, wesprzeć nas musiał rapier hrabiego, którym von Berg jednak wielkodusznie i łaskawie raczył przebić tylko ramię awanturnika, co świadczyło, iż nawet w tej gorączce nie tracił ani zimnej krwi, ani cierpliwości. Następnie wyszliśmy przed bramę, gdzie stał konny wóz pilnowany przez dwóch kolejnych służących hrabiego, i w tym miejscu zaczęliśmy pobierać (oczywiście i niestety, wspomagani powagą Świętego Officjum) stosowny podatek od wszystkich opuszczających Pałac Mały. Wreszcie pojazd został wyładowany niemal po brzegi, co zbiegło się z nadejściem patroli miejskiej i cechowej straży. Trzeba przyznać, że chłopcy nieszczerze się spieszyli, ale teraz za to z zapalem rzucili się nie tylko do szabrowania, lecz również do odzierania z bogactwa wszystkich tych, którzy mieli przy sobie coś cennego. Nas oczywiście omijali, jednak hrabia uznał, że niewiele więcej da się już teraz wycisnąć i nie warto tracić czasu. Stajnia w międzyczasie dopaliła się do końca i tylko z ruin po niej unosił się smrodliwy dym, a nie wiadomo jakim cudem przetrwał jeden słup i wyrastający z niego dźwigar, które teraz wyglądały niczym jakaś piekielna, osmalona ogniem i skryta w kłębach dymu szubienica.

– No dobrze. – Von Berg odetchnął z satysfakcją i uśmiechnął się szeroko. – Dzień uważam za całkiem udany – dodał, spoglądając na wóz wyładowany cennymi sprzętami.

– Co pan hrabia teraz zamierza? – zapytałem.

– No cóż, ogarniemy to wszystko. – Machnął ręką. – I wyjeżdżamy z tego przekłętego miasta. A właśnie, bo warto wam wiedzieć, że otrzymałem glejt podróżny, który pozwala mnie i moim ludziom na omińnięcie blokady. Toteż jutro z samego rana opuszczamy Weilburg.

– To świetna wiadomość – odparłem.

– A wy? Nie chcecie sobie zabrać jakiejś pamiątki? – Zatoczył ręką łuk. – Bierzcie, na co macie ochotę i ile udźwigniecie. – Wyszczerył

zęby w szerokim uśmiechu.

Cóż, musiał być naprawdę bardzo, ale to bardzo zadowolony z łowów, skoro złożył mi tak szczerą propozycję. A może po prostu był na tyle sprytny, by wiedzieć, że odmówię? Oczywiście odmówiłem. Bardzo grzecznie, ale też zdecydowanie.

– Jak tam sobie życzycie. – Wzruszył ramionami.

– Czyli pan hrabia nie pragnie już zrealizować przedsięwzięcia, o którym rozmawialiśmy w siedzibie Świętego Officjum? – spytałem ostrożnie, bo przecież obok stali słudzy von Berga i na pewno słyszeli, o czym rozmawiamy.

Oczywiście przypomniałem mu o propozycji wprowadzenia go na posiedzenie rady miejskiej, by tam przy wszystkich mógł wyzwać na pojedynki człowieka, za którego głowę mu zapłacono.

– Nie, nie, dzisiaj honorarium, które mi obiecano, nie wydaje mi się tak interesujące jak jeszcze wczoraj. – Zaśmiał się. – A poza tym czy to teraz wiadomo, co się wydarzy? Czy rada w ogóle się spotka? – Obrócił się i spojrzał w stronę centrum Weilburga. – To jeszcze nie koniec, inkwizytorze. Plebs dzisiaj poczuł krew i tak łatwo nie odpuści. Zbyt wiele jest w nim gniewu i nienawiści, żeby po prostu rozszedł się do domów. – Spojrzał na mnie ze złośliwym uśmiechem. – Poszczuliście ludzi na archidiakona, ale pogryzione zostanie całe miasto. Zobaczycie...

Żywiłem nadzieję, że tak się nie stanie lub stanie się jedynie w niewielkim stopniu, ale miałem również obawy, że von Berg ma rację. Owszem, ci, którzy obrabowali Pałac Mały, nie nabiorą ochoty na żadne burdy. Oni będą zadowoleni z wielkiego, niespodziewanego zysku. Ale iluż jest takich, którzy się spóźnili i ponieważ swojego braku czujności będą tak bardzo żałować, iż uznają, że sprawiedliwość wymaga, aby bardziej zaradni sąsiedzi podzielili się z nimi zrabowanym dobytkiem. A przy okazji wielu obywateli pozalátwia swoje dawne porachunki i zażąda zapłaty za dawne krzywdy oraz urazy.

– No dobrze, skoro niczego ode mnie nie chcecie, to jedziemy. Odprowadzicie nas do bezpiecznego miejsca...

Urwał i podniósł nagle głowę, i byłem pewien, że w tej chwili zaświtało mu w głowie, iż w Weilburgu może nie być bezpiecznego miejsca dla niego i dla jego osiłków, gdyż mają przy sobie zbyt wielkie bogactwo. Zwłaszcza jeśli sytuacja zgodnie z przewidywaniami samego von Berga niebezpiecznie się zaogni. To prawda, że hrabia był odważny, a wybrani przez niego słudzy zapewne sprawni i silni. Ale było ich tylko czterech. Kiedy po mieście rozejdzie się wieść, że wystarczy zabić pięciu ludzi, by zyskać wielkie bogactwo, to życie hrabiego i jego osiłków będzie warte tyle, co płatek śniegu na rozgrzanej patelni.

– Co wy na to, abyśmy przeczekali jeden dzień w siedzibie Świętego Officjum? – spytał lekkim tonem von Berg.

Sądziłem, że takie właśnie pytanie zostanie zadane, i od początku świetnie wiedziałem, co na nie odpowiedzieć.

– Z całym szacunkiem, panie hrabio: jestem bardzo wdzięczny, że pan hrabia był tak uprzejmy i uratował mi życie. Ale ja już ten dług spłaciłem, zgodnie z tym, jak pan hrabia sobie życzył. Jesteśmy więc kwita i dlatego muszę odmówić dalszych przysług.

Von Berg skrzywił się i pstryknął niecierpliwie palcami.

– Oczywiście hojnie wspomogę Inkwizytorium w zamian za pomoc – rzucił.

Spojrzałem na ludzi, którzy opuszczali teren Pałacu Małp. Przypatrywali się z ciekawością i nam, i wyładowanemu wozowi.

– Ci wszyscy ludzie – zatoczyłem ręką szeroki krąg – pójdą właśnie opowiedzieć swoim rodzinom, przyjaciołom i sąsiadom, że z pałacu wyjechał wóz wyładowany kosztownościami. Na pewno słuchacze będą bardzo ciekawi, ile one dokładnie są warte i gdzie się udały – dodałem.

Hrabia przygryzł usta.

– Cóż więc proponujecie? – spytał zimno.

Podszedłem do niego bardzo blisko i powiedziałem już cicho i po łacinie:

– Ludzie, których pan hrabia wynajął, kiedy tylko zorientują się, co i jak, zabiorą, ile każdy z nich udźwignie, i zostawią pana hrabiego

z resztą dobytku. Więc obawiam się, że bardzo krótko będzie pan bogaty, panie hrabio.

Skrzyżował ze mną spojrzenie. Moje słowa z całą pewnością mu się nie spodobały, ale musiał świetnie wiedzieć, że nie snuję niemożliwych fantazji, lecz przewiduję przyszłość z dużym prawdopodobieństwem. Z jeszcze większym prawdopodobieństwem można założyć, że jeśli von Berg będzie starał się tych ludzi powstrzymać, to go zabiją. A nawet jeśli to on zabije ich (w końcu był doświadczonym i odważnym szermierzem), to i tak przecież jego sytuacja w niczym się nie poprawi. Zostanie sam z wozem bogactw, na które każdy w okolicy będzie miał chrapkę.

– Teraz wy mi chcecie podać rękę i wyciągnąć znad przepaści – stwierdził wreszcie. – Ale czekacie, żebym zrozumiał, że będzie mnie to sporo kosztowało. Więc ja to już rozumiem. Ile?

Wiedziałem doskonale, czego zażądam od von Berga, i chociaż zastanawiałem się, czy dokonuję dobrego wyboru i czy zanedo nie ryzykuję, to jednak intuicja mówiła mi, iż powinienem pójść na takie właśnie rozwiązanie. Przecież my, inkwizytorzy, przezorną roztropność musieliśmy łączyć z zuchwałością. Ale nie znaczyło to, że nasze decyzje, nawet jeśli zuchwałe, nie miały być przemyślane.

– Poproszę pana hrabiego, aby korzystając z glejtu, wywiózł z miasta pewien towar, który panu hrabiemu powierzę – powiedziałem. – Pan hrabia natomiast będzie tak łaskawy i da szlacheckie słowo honoru, że mój towar dotrze w stanie nienaruszonym do wyznaczonego miejsca przeznaczenia.

Mówiąc o „słowie honoru”, nie byłem przekonany, czy dla von Berga to pojęcie w ogóle coś znaczy. Znałem bowiem łotrów spod ciemnej gwiazdy, szubieniczników i najgorszych obwiesiów, dla których zamordowanie człowieka było jak splunięcie, a rabunki czy gwałty traktowali jak codzienność, ale którzy swoje słowo tak święcie szanowali, iż prędzej daliby się posiekać, niż je złamali. A znałem również ludzi szanowanych i na pierwszy rzut oka porządnych, dla których słowo honoru było tylko nic nieznaczącą figurą retoryczną i dziwili się potem, jak ktokolwiek może im wyrzucać, że go nie dotrzymali. Nie miałem pojęcia, do którego

z tych gatunków należy von Berg, ale miałem nadzieję, iż bliżej mu do rodzaju pierwszego niż drugiego. Z jednej strony był mimo całego swojego łajdactwa dumnym arystokratą i mógł mniemać, że właśnie honor, swoiście co prawda pojmovany, jest tym, co odróżnia go od pospółstwa. Z drugiej jednak strony mógł uznawać, że nie obowiązuje go słowo honoru dane, po pierwsze, pod przymusem, a po drugie, komuś, kto był niższy od niego stanem... Jednak z trzeciej strony mógł uznać, że lepiej dotrzymać słowa i nie narazić się na gniew inkwizytorów. Bo mógł sobie być hrabią, wytrawnym szermierzem i charakternikiem co się zowie, ale Święte Officjum miało długie ręce, a inkwizytorzy znani byli raczej z nieustępliwości niż ze spolegliwości.

– No, no, zainteresowaliście mnie, mistrzu Madderdin. – Uśmiechnął się szeroko. – Co takiego chcecie tak szybko wywieźć z Weilburga? – Zmrużył oczy i przyglądał mi się z uwagą.

Nagle klasnął.

– Wiem! To ta dziewczyna, co Cassi wam ją porwał, a wyście ją odbili – zakrzyknął zadowolony z siebie.

– Chylę czoła przed domyślnością pana hrabiego – odparłem uprzejmie i byłem pod wrażeniem tego, że von Berg rzeczywiście był świetnie poinformowany o tym, co było przyczyną zamieszek.

– A więc chcecie właśnie mnie powierzyć piękną i młodą dziewczkę – mocno zaakcentował słowo „mnie”. – Coś takiego...

– Dziewczyna jest własnością Świętego Officjum – rzekłem obojętnie, ale byłem pewien, że zrozumiał, iż jest to naprawdę ważne zdanie. – Jednak w mieście grozi jej niebezpieczeństwo z wielu stron. Moglibyśmy ją chronić, ale nie chcemy prowokować następnych walk. Dlatego właśnie pomyślałem o panu hrabim i o tym, czy łaskawie zechce pan pomóc najpotężniejszej instytucji naszego świata.

– Dobrze powiedziane – pochwalił mnie. – Czegoś jeszcze będziecie chcieli w zamian za ochronę?

– Połowa majątku zostanie u nas – rzekłem uprzejmie. – I zostanie panu hrabiemu wydana w momencie, kiedy dziewczyna bezpiecznie dotrze na miejsce. Wystawię stosowne oficjalne kwity.

Przyglądał mi się przez chwilę, a potem pokręcił głową.

– Coś mi się wydaje, że niezależnie od losu dziewczyny nigdy nie zobaczę tej drugiej połowy – stwierdził. – Ale niech wam będzie. I tak lepsza połowa niż nic. A może jakoś uda mi się od waszych przełożonych wytargować lub wyprocesować moją własność.

Cóż, hrabiemu nad wyraz łatwo przychodziło nazwanie dobra zrabowanego w Pałacu Małp „własnością”. Ale przecież w naszej umowie nie chodziło tylko o zrabowane dobra czy o ich połowę, ale stawką było w niej po prostu życie samego von Berga. Otoczony przez inkwizytorów spokojnie i bezpiecznie wyjedzie z Weilburga, a dalej, znając go, zapewne poradzi sobie już sam.



Rozdział dwudziesty trzeci

Krajobraz po burzy



Zgodnie z przewidywaniami von Berga zamieszki nie wygasły szybko. Walki z Pałacu Mały przeniosły się najpierw do dzielnicy czynszówek i na nadbrzeża, a potem żądny wrażeń tłum runął w stronę bogatszych rejonów miasta. Do walki z motłochem wystawiono nie tylko straż miejską, ale i patrole cechowe, lecz nim sobie z tym kłopotem poradzono, to jak to bywa w czasie wojny i szerzącego się chaosu, ktoś zaproszył ogień i wiele domów ogarnął pożar.

Bogu dziękować, że tej samej nocy jeszcze lunął deszcz tak potężny, jakby nie tylko chciał ugasić szalejące ognie, jakby nie tylko chciał ostudzić rozpalone do czerwoności głowy, ale wręcz jakby chciał nas nawiedzić niespotykanym potopem. Jak widać, niebu znudziło się przypalanie obywateli promieniami słonecznymi i za wszystkie tygodnie tej spiekoty postanowiło odegrać się, tym razem obdarzając nas fontanną ulewy tak gęstą, że na kilka kroków nic nie było widać. Myślę, że właśnie ten deszcz uratował Weilburg przed jeszcze gorszymi stratami, bo nie tylko zahamował pożary, ale też wpłynął na uspokojenie nastrojów i wygaśnięcie zamieszek.

Nie był to jednak jeszcze bynajmniej koniec. Wojska księcia biskupa, które do tej pory kontentowały się jedynie ścisłym

pilnowaniem, by przestrzegano zasad kwarantanny, teraz uderzyły szturmem na miasto. I z wielkimi oraz bolesnymi dla siebie stratami zostały odparte przez mieszczan, którzy doskonale zdawali sobie sprawę, iż zemsta Jego Ekscelencji za śmierć archidiakona może być dla Weilburga i jego obywateli śmiertelnie surowa. No i ta prawdziwa już wojna pomiędzy biskupem a Weilburgiem musiała chyba przelać kielich goryczy oraz przeważać szalę cierpliwości cesarskich władz, gdyż w kilka dni potem do miasta w charakterze rozjemców wkroczyły wojska cesarskie, a wraz z nimi powrócili również inkwizytorzy, co ja sam powitałem z ogromną ulgą, gdyż dość już miałem ponoszenia odpowiedzialności i podejmowania decyzji. Miałem również wyrzuty sumienia, że wplątałem moich towarzyszy w bitwę, a zaraz po niej tak mówiłem do Ludwika Schoena:

– Straciłeś przede mną trzy palce.

Ludwik uśmiechnął się szeroko i lekceważąco machnął zdrową ręką.

– Prawda, co za głupia strata? I to na sam koniec naszej świetnej przygody! No i szkoda, że cię nie było i że nie widziałeś, co zrobiłem temu, który mnie tak zoperował. – Ludwik zaśmiał się jadowicie. – Ale powiem ci, Mordimerze – kontynuował już poważnym tonem – że całkiem niedawno zdałem sobie sprawę, że nigdy przecież te właśnie palce nie służyły mi do niczego ważnego – rzekł. – Można więc uznać, że jest to całkiem mała strata. Bo powiedz sam: czy trzema palcami lewej dłoni robiłeś kiedykolwiek coś tak niezwykle istotnego, że ich brak zmieni twoje życie?

No właśnie, tacy to byli chłopcy! Krew z krwi i kość z kości. Niemniej obawiałem się, czy udział w tym weilburskim zamieszaniu nie wpłynie negatywnie na ich dalszą karierę w Świętym Officjum, i dlatego też w raporcie, jaki musiałem napisać (bardzo długim i bardzo obszernym), całkowicie zbagatelizowałem ich rolę, biorąc na siebie pełną odpowiedzialność za podejmowane decyzje. A potem, zgodnie z moimi przewidywaniami, otrzymałem rozkaz stawienia się w Koblencji, natomiast przydział do Weilburga został tymczasowo zawieszony. Byłem pewien zresztą, że ta tymczasowość

jest jedynie chwilowa i do Weilburga już nigdy nie wrócę, a przynajmniej nigdy w charakterze inkwizytora. Zanim jednak opuściłem miasto, miałem jeszcze okazję poznać brata świętej pamięci Jonatana Bauma.



Rozdział dwudziesty czwarty

Aptekarz Korneliusz Baum



Korneliusz Baum był na tyle podobny do swego brata, że gdybym zobaczył ich stojących razem, obok siebie, z całą pewnością wiedziałbym, że są blisko spokrewnieni. Różniło ich jedynie to, że Korneliusz miał nieco więcej zmarszczek, włosy przyprószone siwizną, wzrok ostrzejszy, a kąciki ust opuszczone, tak jakby zastygłe w niechęci do świata i jego mieszkańców.

– Siadajcie, proszę, mistrzu inkwizytorze – poprosił uprzejmie i wskazał mi krzesło, po czym zasiadł naprzeciwko mnie.

Starszy z braci Baumów miał głos niemal łudzaco podobny do młodszego. Może tylko nieco bardziej matowy i zgaszony, tak jakby Korneliusz borykał się w życiu z kłopotami nieznanymi Jonatanowi i stąd barwa nabrała posępniejszego brzmienia. Spojrzał na mnie przygnębionym wzrokiem.

– Dziękuję wam, żeście, jak słyszałem, mojego brata wybawili od kłopotów zaraz po jego przybyciu do miasta. To bardzo zacie z waszej strony – rzekł.

– Inkwizytorzy są po to, żeby walczyć z herezją i demonami, a nie uczestniczyć w intrygach pomiędzy kupcami czy cechami rzemieślników – stwierdziłem.

Westchnął głęboko.

– Ech. – Machnął ręką. – Wszędzie ludzka zawiść i wszędzie trzeba się bronić przed złymi językami i złymi oczami. Napijcie się wina?

Potrząsnąłem głową.

– Nie zajmę wam wiele czasu – powiedziałem. – Przyszedłem tylko, żeby spełnić ostatnią wolę waszego brata...

– Taaak? – zapytał z nagłą podejrzliwością w głosie. – A cóż takiego Jonatan sobie umyślił i zażyczył?

Zastanawiałem się, jaka pierwsza myśl przeleciała przez głowę starszego z Baumów, i byłem pewien, iż bał się, że ktoś będzie się starał naciągnąć go na darowizny czy pożyczki lub wmawiać, że Jonatan przed śmiercią coś obiecywał. Cóż, na naszym nie najlepszym świecie były to z całą pewnością podejrzania uzasadnione doświadczeniem. Zresztą jak się domyślałem, śmierć brata i zrujnowanie jego apteki i tak stanowiły dla Korneliusza Bauma nie tylko nieprzyjemność uczuciową, ale również wymierną szkodę finansową.

Sięgnąłem po księgę, wyciągnąłem ją i położyłem na blacie. Oparłem na niej dłoń.

– Wasz brat prosił, abym przekazał wam do rąk własnych jego zapiski, koncepcje i naukowe hipotezy. Mówił, że jesteście na tyle zdolni i rozumni, żeby rozwinąć je ze szczęściem dla całej ludzkości.

Korneliusz Baum spojrział na księgę, pokiwał głową, potem przeniósł wzrok na mnie.

– My jesteśmy tylko aptekarzami, mistrzu Madderin – rzekł z powagą i smutkiem. – Ucieramy kremy i maści, warzymy eliksiry, mieszamy likwory... – Wstrząsnął głową. – Nie jesteśmy zbawcami świata. Ludzie jak ludzie z nas, nie żadni ludzie jak bogowie...

Przesunąłem księgę w jego stronę.

– Zrobicie z tym dziełem, co zechcecie – stwierdziłem. – Przyznam jednak, że koncepcje waszego brata brzmiały tyleż oryginalnie, co interesująco, gdyż miałem okazję wysłuchać jego opowieści.

Korneliusz uśmiechnął się zgaszonym uśmiechem.

– Co ja wam mogę powiedzieć? Mój biedny brat zawsze miał sto pomysłów, sto koncepcji, sto szalonych zamierzeń w zanadrzu. Ech.

– Machnął ręką. – Niewiele z tego wszystkiego kiedykolwiek wychodziło.

– Niemniej może to drobiazg, ale Pyszna Woda Bauma chwaliło sobie całe miasto...

– Słyszałem, słyszałem – rzekł Korneliusz nieco żywszym tonem. – Bo Jonatan, wiecie, był bardzo zdolny. I tego nikt mu nie odbierze. Widzicie, mój brat miał ogromne wyczucie, ogromne. Powiem wam, że często zanim jeszcze zmieszał ingrediencje, to już przewidywał bez omyłki smak czy zapach, czy inne właściwości nowej mikstury. Więc wcale mnie nie dziwi, że stworzył napitek, który wszyscy sobie cenili. – Potem oparł ręce na księdze i chwycił ją tak, jakby palcami chciał dokładnie zmierzyć jej grubość oraz ciężar. – Wiecie może, czy tutaj znajduje się recepta na ów cudowny napój?

Rozłożyłem ręce.

– Oczywiście zajrzałem do księgi, bo wasz brat mi tego nie wzbraniał, ale została napisana szyfrem, więc mogłem tylko podziwiać jego kunszt kaligraficzny oraz piękne rysunki.

Korneliusz uśmiechnął się z satysfakcją.

– Ten szyfr Jonatan wymyślił, jak miał czternaście lat, i wtedy też nauczył mnie, jak się nim posługiwać. Nikt na świecie nie zna zasady jego działania oprócz nas dwóch. – Urwał na chwilę i westchnął. – No tak, a teraz już sam zostałem – dodał ze smutkiem.

– Bardzo bezpiecznie dla tajemnic handlowych – pochwaliłem. – Święte Officjum również ceni sobie dobrodziejstwa szyfrowanej korespondencji.

Baum pogłaskał okładkę księgi i odłożył ją na bok.

– Bardzo wam dziękuję za to, że wypełniliście wolę Jonatana. Z radością poznam jego zapiski, chociaż... – Machnął ręką. – Sami świetnie wiecie, że wyobraźnia mojego biednego brata szybowała w przestworzach i bezradnie się tam gubiła. A stąpając twardo po ziemi, byłby dużo bardziej użyteczny i dla siebie, i dla wszystkich wokół.

– Cóż mogę powiedzieć. – Rozłożyłem ręce. – Był człowiekiem wielkiej wyobraźni.

– No ależ dajcie spokój! – wykrzyknął Korneliusz. – Każda wyobraźnia musi mieć jakieś wyznaczone rozsądkiem granice. Cóż to za pomysł o diablętach roznoszących choroby i unoszących się w powietrzu wokół nas niczym niedostrzegalne pyłki.

Uśmiechnąłem się, ale potem spowaźniałem.

– Radziłem waszemu bratu, żeby dla własnego dobra nie drążył tego tematu. Wydaje mi się wręcz, że go przekonałem przed jego nieszczęśliwą śmiercią.

– Sprawców cały czas nie odnaleziono – nawet nie spytał, tylko stwierdził, nagle sposepniały.

Pokręciłem głową.

– Sami wiecie, jak wiele nieszczęść dotknęło Weilburg ostatnimi dniami. Śmierć waszego brata, raczcie wybaczyć szczerą, po prostu zniknęła w nawale katastrof.

– Baaa – odparł. – Nie ma czego wybaczać, szczerą prawdą przebija z waszych słów. Choć niewątpliwie smutna – dodał.

– No cóż – powiedziałem, wstając. – Pozwólcie, że was pożegnam. Ja swoje zadanie spełniłem, a reszta nie należy już do mnie. Dobrze przynajmniej, że pożar oszczędził waszą kamienicę.

Baum wstał również i obaj wolnym krokiem skierowaliśmy się w stronę drzwi wyjściowych.

– Ech, mistrzu Madderdin, pewnie, że dobrze, że nasza kamienica nie spłonęła, ale wolałbym mieć gotówkę, a nie budynek w mieście, z którym nie wiem nawet, co teraz zrobić.

Sądzę, że wielu ludzi chciałoby mieć zmartwienia podobne jak Korneliusz Baum, który kłopotał się nadmiarem dóbr materialnych. Co zrobić, tak już świat został stworzony.

– Zresztą czy po tych rozruchach i po pożarze będzie to dobre miejsce dla interesów? – Podejrzewałem, że musiało to być pytanie, które sam sobie zadawał od przyjazdu do Weilburga. – Gdybyście znali kogoś, kto byłby chętny na tę kamienicę... – Spojrzał na mnie i westchnął: – Sprzedam nawet ze stratą, aby się tylko pozbyć ciężaru.

– Niestety, opuszczam miasto – odparłem. – Obowiązki wzywają gdzie indziej.

– O! A gdzie się wybieracie, jeśli to nie tajemnica?

– Do Koblencji – odparłem zgodnie z prawdą, bo przecież nie miałem żadnego powodu, by zatajać tę wiadomość. – Na razie do Koblencji – dodałem. – A potem tam, gdzie mnie pošlą przełożeni.

Pokiwał głową ze zrozumieniem.

– Jakbyście potrzebowali czegoś, to idźcie do apteki „Kraina Asklepiosa” i powiedzcie, że was przysłałem – rzekł. – Niech wam dadzą wszystko, co chcecie. Na kredyt.

– Uprzejmie wam dziękuję – rzekłem.

A potem już się pożegnaliśmy i rozstaliśmy, a aptekarz wręczył mi jako podziękowanie sakiewkę, która jednak była zdecydowanie mniej napęczniała, niż mogłaby być, gdyby miał bardziej hojne serce. Tak czy inaczej, nigdy więcej ani nie spotkałem już Korneliusza Bauma, ani nie słyszałem o szalonych teoriach Jonatana Bauma i jego diablętach w kolorowych porciętach. Tak więc fantastyczna i odważna koncepcja aptekarza mówiąca o tym, że obok naszego świata jakoby istnieje jakaś magiczna rzeczywistość niewidzialnych i szkodzących ludziom stworzeń (a człowiek twardo stąpający po ziemi rzekłby nawet, że ta koncepcja nie tyle była odważna, ile po prostu i zwyczajnie niedorzeczna), umarła razem z samym aptekarzem. Natomiast Pyszna Woda Bauma pito w Koblencji jeszcze przez długie lata, a jej sprzedaż, jak słyszałem, zapewniła właścicielowi receptury wielkie dochody i dostatnie życie, zwłaszcza że sprzedawano ją w kilku smakach, a każdy z nich był, jak mnie zapewniano, niezrównany.



Rozdział dwudziesty piąty

Inkwizytor Dietrich Knabe



Wrzesień jest zazwyczaj w okolicach Weilburga ciepły, słoneczny i pogodny. W sadach dojrzewają owoce, a na zboczach nieodległych wzgórz nagrzewają się w słońcu młode jeszcze winogrona. Tym razem jednak wrzesień był inny. Gdybym był poetą, powiedziałbym, że Weilburg zegnał mnie, płacząc rzewnymi łzami, ale że jestem inkwizytorem, a nie człowiekiem pióra, mogę tylko powiedzieć, iż w szarej mgle siąpił zimny deszcz, a podmuchy wiatru ciskały mi krople wody prosto w twarz, niezależnie od tego, jak szczelnie próbowałem osłaniać ją kapturem. Zegnałem się więc z Weilburgiem w wilgoci i deszczu, w towarzystwie miejscowego przygłupa, który w drodze do Koblencji miał się opiekować moim jucznym koniem i sakwami. Zresztą niewiele w tych sakwach było, gdyż zazwyczaj tak jest, że jedynym majątkiem inkwizytora są bystry umysł oraz gorące serce, a resztę zawierzamy Panu Bogu. Nie gromadziłem dóbr materialnych, a jedyne, co mi zostało cennego, to trochę złota otrzymanego od mieszczan. Co oprócz tego uwoziłem z Weilburga? Pamięć o wielkiej bitwie, w której zwyciężyłem dzięki inteligencji i sile charakteru. O istnieniach, które uratowałem. O towarzyszach, którzy okazali się porządnymi ludźmi i dobrymi inkwizytorami.

Pamięć o aptekarzu Baumie, o którym sądziłem, że albo zrobi wielki majątek i zyska wielką sławę, albo skończy na stosie czy na szubienicy, a tymczasem biedaczysko zginął z ręki głupich zbójów nasłanych przez konkurencję. I co jeszcze? Ach, oczywiście wiedziałem, że przechowam również we wspomnieniach sporo całkiem miłych chwil spędzonych z młodziutką, figlarną wdówką, która nie skąpiła mi swoich wdzięków. Moja kochanka przetrwała bez szwanku pożar oraz zamieszki i widzieliśmy się jeszcze potem kilkakrotnie, zawsze radośnie spędzając czas. Przyznam wam, mili moi, że nie powiedziałem jej nic o wyjeździe z Weilburga, a to w tym litościwym celu, by nie rozkrwawiać jej biednego serduszka. Miałem nadzieję, że chociaż zapewne pocieszy się szybko w ramionach innego mężczyzny (na tyle znałem podobne charaktery, by nie mieć co do tego wątpliwości), to przynajmniej będzie ciepło wspominać waszego pokornego i uniżonego sługę.

Co czekało mnie w Koblencji? A któż może wiedzieć, co czeka inkwizytora? Jakie ważne misje, jakie wiekopomne batalie i jakie doniosłe wyzwania? A zresztą, nawet gdyby nie było tych misji, batalii i wyzwań, a tylko mrówcza, niemal niezauważalna z zewnątrz praca, to najważniejsze pozostawało jedno: wierna służba Bogu i naszej świętej wierze.

Jadąc powolutku stępa, zbliżałem się do miejskich murów i widziałem gromadę ludzi pracujących przy usuwaniu zgliszczydzielniczy czynszowej. Kamienice stały niczym pochyłone w żałobie trumny o przepalonych dnach, ludzie uwijali się pomiędzy nimi w znoju, podobni do mrówek, znosząc cegły, drewno i kamienie. Spomiędzy gruzów gdzieniegdzie unosiły się jeszcze smużki dymu. Brama miejska była otwarta na oścież i nikt nie przejmował się wyjeżdżającymi, a uzbrojeni pacholki pilnowali tylko, kto chce wjechać, i tych chętnych dość dokładnie wypytywali.

– Żegnaj, ach, żegnaj, miły mojemu sercu Weilburgu – powiedział ktoś obok mnie z donośnym patosem, a ja uniosłem oczy spod kaptura.

Głos należał do niewysokiego mężczyzny o twarzy pocziwego mieszczanina. Człowiek ów miał policzki puciołowate, tak jakby

wepchnął sobie w nie małe jabłuszka, i wąsiki przypominające wąskie sznureczki. Był ubrany na czarno i siedział na zgrabnym srokatym koniku. Odwrócił się i wesoło pomachał miastu na pożegnanie, potem obrócił wzrok na mnie.

– Krótko służyłeś w tym mieście, Mordimerze, ale nie ma co ukrywać, że dużo się w nim wydarzyło... – Zawiesił głos i skrzywił lekko usta. – Również za twoją przyczyną.

– Nie znamy się, prawda? – właściwie nie spytałem, lecz stwierdziłem.

– Och, ja znam cię bardzo dobrze – uśmiechnął się mój niechciany towarzysz. – Ale ty zapewne rzeczywiście mnie nie pamiętasz. Powiedz mi: dlaczego nie wyjechałeś z miasta, pomimo że wyraźnie nakazano ci to uczynić?

Przyjrzałem mu się dokładniej. Jego twarz budziła jakieś niejasne skojarzenia, tak jakby człowiek ten był nawet nie strzępkem z przeszłości, lecz cieniem tego strzępka, nie wiadomo, czy prawdziwym, czy urojonym. Kim był, mogłem się tylko domyślać, gdyż żaden zwykły nieznanomy mieszczanin nie ośmieliłby się nazywać mistrza Inkwizytorium po imieniu. I żaden zwykły nieznanomy mieszczanin nie znałby treści tajnego, zaszyfrowanego rozkazu, który to rozkaz zlekceważyłem.

– Sądziłem, że oficjalnie przesłuchany zostanę dopiero w Koblencji – powiedziałem.

Machnął ręką lekceważąco.

– W żadnym razie nie zamierzam cię przesłuchiwać, Mordimerze – zastrzegł. – Nie zamierzam również osądzać twojego postępowania, choćby nie wiem jak wydawało mi się nieodpowiednie. – Jego głos nadal był miękki i ujmująco grzeczny. – Po prostu chciałbym znać twoje motywacje.

Chwilę milczałem.

– Dokonałem oceny sytuacji i podjąłem decyzje, jakie uznałem za stosowne – odparłem wreszcie twardo. – I nie zamierzam roztrząsać tego ani tutaj, ani teraz, ani przed tobą, drogi towarzyszu bez imienia i nazwiska – dodałem, spoglądając mu prosto w oczy.

– Knabe – rzekł. – Dietrich Knabe. Tak brzmią moje imię i nazwisko.

Nic mi to nie mówiło, ale też wcale nie musiało to być prawdziwe miano tego człowieka. Albo mógł mieć tak wiele imion i nazwisk, iż sam już nie wiedział, które z nich jest prawdziwe.

– Świetnie – powiedziałem. – Co nadal niczego nie zmienia w kwestii, że nie mam ochoty rozmawiać o wydarzeniach z Weilburga.

– Pół miasta poszło z dymem – zauważył.

Zignorowałem go. Zresztą, po pierwsze, z dymem poszło nie pół miasta, a tylko część dzielnicy czynszowej, a po drugie, trudno było dopatrywać się mojej winy w tym, że tłum, wściekły z powodu blokady oraz dręczony epidemią (a także strachem przed ową epidemią), dokonał samosądów, grabieży, zniszczeń i podpałek. Nie od dzisiaj wiadomo, że plebs jest niczym woda gotująca się w garnku nakrytym przykrywką. W pewnym momencie zawartość jest już tak gorąca, że para zrzuci pokrywkę, choćby ta pokrywka była nie wiem jak ciężka. Tak właśnie stało się w Weilburgu. Miejskie tumulty wybuchały od zawsze i zawsze wybuchać będą. Pospólstwo bowiem buntuje się nie tylko wtedy, gdy jest rozeźlone postępkami władzy lub przerażone katastrofami. Buntuje się również wtedy, kiedy jest znużone pokojem, dobrobytem i bezczynnością albo kiedy władca obchodzi się z nim zbyt rozumnie i łagodnie. Gdyż rozumne i łagodne postępowanie nie tylko nie budzi w plebsie poczucia wdzięczności, lecz upewnia go w mniemaniu, że od słabej władzy może bezkarnie żądać coraz więcej i coraz więcej. Dlatego właśnie jedynym lekarstwem na ambicje hołoty jest bat, stosowany z odpowiednią mocą oraz częstotliwością.

– Pozwól, że opowiem ci pewną historię, mój drogi Mordimerze.

Nie spodobało mi się, że nazywa mnie „moim drogim Mordimerem”, ale uznałem, że powiedzenie mu o tym jest całkowicie pozbawione sensu, więc zmilczałem.

– Słucham uważnie – rzekłem tylko.

– Był sobie pewien biskup toczący spór z pewnym miastem o pewne wielkie bogactwa...

– Chyba znam tę historię – przerwałem mu.

– Och, znasz zaledwie okładkę książki. – Knabe spojrzał na mnie łagodnie. – Natomiast ja pragnę ci opowiedzieć o jej zawartości.

W jego spojrzeniu i tonie było coś, co mi doradziło, bym jednak mu więcej nie przerywał.

– Miasto chciało ocalić swoje bogactwo, biskup chciał to bogactwo zabrać, wysyłając na misję swojego dumnego... – zawiesił głos na ledwie dostrzegalną chwilę – krewniaka.

Skinąłem głową.

– Ale z oddali przypatrywała się temu konfliktowi jeszcze inna siła – kontynuował Knabe. – Taka siła, która zazwyczaj stoi pokornie w cieniu, żeby wszyscy wokół widzieli nie ją, lecz ludzi na tyle głupich, żeby puszyć się w promienistej kąpieli.

Znowu skinąłem głową, bo przecież niemal takimi samymi słowami, może jedynie nie tak nieznośnie napuszonymi, tłumaczyłem zasady działania Świętego Officjum. To my zawsze staliśmy w cieniu. Niezauważalni, lecz jednocześnie widzący wszystko i wszystkich.

– Ta siła – kontynuował Knabe – czekała, żeby opór mieszczan osłabł i żeby poddali się woli biskupa...

– Coś takiego – zdziwiłem się szczerze, gdyż Inkwizytorium nie było znane z tego, by wspierać hierarchów w ich konfliktach z miastami. Zwłaszcza kiedy chodziło o hierarchów zdecydowanie nam wrogich, jak księżę biskup. – Jeśli wolno spytać: dlaczego tego właśnie chcieliśmy?

Knabe skinął głową.

– Całkiem słuszne pytanie, Mordimerze, gdyż nie jesteśmy przecież chętni do tego, żeby umilać życie bogatym, występny biskupom lub nikczemnym kardynałom, czyż nie?

Aha, czyli mój towarzysz lubił purpuratów mniej więcej w tym samym stopniu jak ja sam. Dobrze wiedzieć, iż mieliśmy coś wspólnego oprócz instytucji, której służyliśmy.

– Pies pogrzebany jest w tym, mój zapalczywy przyjacielu – tym razem spoglądał na mnie chłodno, wzrokiem niepasującym do, zdawałoby się, żartobliwych słów – że cały majątek biskupa, a więc

również nowo zyskane od Weilburga prawa do eksploatacji żup solnych, przeszedłby niedługo na naszą własność.

Patrzyłem na niego w milczeniu. Długo.

– Biskup miał zostać oskarżony – nie zapytałem, ale stwierdziłem głucho.

– Miał zostać oskarżony i skazany – odparł Knabe. – Święte Officjum uznało, że żaden błękitnokrwisty hierarcha już dawno nie płonął na inkwizytorskim stosie, i uznało również, że czas w związku z tym przypomnieć klerowi dawne czasy i dawne, dobre obyczaje.

– Przecież... przecież... możecie, możemy... – poprawiłem się. – To wszystko można jeszcze zrobić. Majątek biskupa jest i tak wielki, a nauczka dla kleru przed światem zawsze się przyda.

Knabe pokiwał głową.

– Może i moglibyśmy to zrobić – zgodził się ze mną. – Ale zabiłeś naszego głównego świadka oskarżenia...

Spoglądałem na niego w osłupieniu.

– Umberto Cassi zdradził swojego ojca? – zapytałem wreszcie zdumiony.

– Zdradziłby – Knabe silnie zaakcentował sylabę „by”. – Bo chyba nie sądzisz, że sprzeciwiłby się nam w czasie kwalifikowanych przesłuchań z użyciem narzędzi?

Przypomniałem sobie archidiakona i pomyślałem, że w zamian za ocalenie życia posłałby księcia biskupa nie tylko na inkwizytorski stos, ale prosto do samego piekła. A może nawet nie trzeba by mu obiecywać darowania win, ale po prostu lekką śmierć.

– Też sądzę, że by zdradził – odparłem.

– A za nim poszliby inni. Domownicy, służba, przyjaciele. – Uśmiechnął się. – Sam wiesz, jak zwykle bywa w podobnych wypadkach.

Knabe opisywał, jakby to wszystko było procesem nieskomplikowanym i oczywistym. Nie, nie byłoby takie. Aresztowanie wpływowego i możnego księcia biskupa wywołałoby opór i wściekłość z wielu stron. Nie spodobałoby się nie tylko Watykanowi i cesarskiemu duchowieństwu, nie tylko cesarskiemu dworowi, ale byłem przekonany, że również wielu możliwych usilnie

by protestowało, podejrzewając, że skoro Inkwizytorium zabrało się do księcia krwi, to nie zawaha się sięgnąć niedługo po nich samych lub ich rodziny.

– Sprawa nie byłaby łatwa do przeprowadzenia, ale do tego, żeby jej przeprowadzenie ułatwić, potrzebowaliśmy Cassiego – odezwał się Knabe, jakby odczytywał moje wątpliwości. – Znany watykański duchowny i jednocześnie syn biskupa jako świadek oskarżenia byłby znakomity. Niezastąpiony.

Milczeliśmy dłuższą chwilę.

– I co teraz? – zapytałem.

– Nic – odparł Knabe. – Inkwizytorium jest wieczne. Jeśli nasz plan dotyczący biskupa, tego lub innego, opóźni się o rok, dwa czy nawet lat dziesięć, nie ma to wielkiego znaczenia dla całej instytucji. – Znowu spojrzał na mnie i w jego wzroku znowu był chłód. – Co nie oznacza jednak, że inkwizytor, który pokrzyżował nasze plany, może beztrudnie przejść do porządku dziennego nad swoją głupotą i niesubordynacją, a na koniec uznać, że nic strasznego się nie stało.

– Może plany nie były aż tak dobre, skoro jeden szeregowy inkwizytor zdołał je pokrzyżować? – odparłem równie zimno.

Knabe skrzywił się.

– W tej sytuacji, w jakiej się znalazłeś, nie doradzałbym ci bezczelności jako oręża – stwierdził.

Tak, zapewne miał rację. Ale kto wie czy Knabe w ogóle mówił prawdę? Może zmyślił tę historię, by mnie pognębić? By wywołać u mnie poczucie winy i bym na przyszłość pilniej słuchał rozkazów? Kto może wiedzieć jakie cele, zamiary i plany kierują takimi ludźmi jak Knabe? Ale niestety, wszystko lub przynajmniej większość z tego, co mówił, mogło być również prawdą. A wtedy nie kary bynajmniej się obawiałem, lecz miałem wyrzuty sumienia i szczerze bolałem nad tym, że pokrzyżowałem plan, który nieważne, czy był zmyślny i dopracowany do końca, ale na pewno miał wywołać pozytywne skutki dla Świętego Officjum. A z mojego powodu już tych skutków nie wywoła.

– Twoje postępowanie miało również pewne, nieliczne co prawda, lecz jednak, zabawne konsekwencje – odezwał się niespodziewanie

mój towarzysz.

– Zabawne – powtórzyłem.

– O, tak. – Skrzywił usta. – W tongach uznano, że weilburscy przywódcy podjęli złe decyzje, wspomagając cię i jak to określono...

– Knabe przymknął oczy z wyraźnym zadowoleniem – dając się skusić podszeptom wężowego języka...

– Podszeptom wężowego języka – powtórzyłem znowu. – Któż by ich podejrzewał o tak wrażliwe, poetyckie dusze? I cóż się stało z tymi przeze mnie skuszonymi?

– Utopiono ich obu – wyjaśnił Knabe. – A co jeszcze bardziej nieprzyjemne, utopiono ich w miejskiej latrynie.

Westchnąłem.

– Wyobrażasz sobie, jakież to był niefortunny przypadek, kiedy pierwszy poranny klient latryny, zapewne jeszcze zamroczony snem lub nocnym opilstwem, zobaczył tylko brudne bosc stopy sterczące z otworów w desce? – zapytał.

– Z całego serca współczuję tak bolesnego przeżycia – mruknąłem.

– Prosiłbym, abyś opowiedział mi o dziewczynie – rzekł nagle Knabe uprzejmym tonem.

– O dziewczynie – powtórzyłem. – Jakiejś konkretnej czy jakiegokolwiek? – dopytałem lekko. – Bo przyznam ci, że znam wiele dziewcząt i na pewno mogę snuć o nich wiele zabawnych opowieści, tak by podróż nam się nie dłużyła.

Skinął głową.

– Wierzę ci na słowo, lecz... – zaczął.

– O, było nas dwóch takich w przesławnej Akademii Inkwizytorium – przerwałem mu wesoło. – I zawsze trzymaliśmy się razem. Nazywano nas, wyobraź sobie, Śmieszko i Gadulek. Ja byłem Śmieszko. – Klepnąłem się w pierś z zadowoloną miną.

Knabe nie odzywał się przez chwilę.

– Jestem, jak widzisz, grzecznym i cierpliwym człowiekiem, Mordimerze – rzekł wreszcie. – Lecz zapewniam cię, że zarówno moja grzeczność, jak i moja cierpliwość mają swoje granice. – Obrócił na mnie spojrzenie i jego lodowaty wzrok znowu mnie

zmroził. – Byłbym wielce zobowiązany, gdybyś starał się ich nie przekraczać.

Wzruszyłem ramionami, chociaż ten gest, o dziwo, nie przyszedł mi łatwo, jak sam dostrzegłem, jawił się raczej jako oznaka bezradności niż obojętności czy lekceważenia.

– Co chcesz wiedzieć? – spytałem sucho.

– Co ci przyszło do głowy, żeby tyle wysiłku poświęcić ratowaniu jakiejś plebejskiej dzierlatki? – Przypatrywał mi się cały czas, ale wzrokiem nie krytycznym czy szacującym, lecz raczej szczerze zaintrygowanym.

Ale poczułem się, jakby była to ciekawość pająka, który złapał muchę w sieć i na razie wypytuje ją, jak czuła się, lecąc, jednak oboje dobrze wiedzą, że ta rozmowa nie może dobrze się skończyć.

– Ta dziewczyna była podopieczną proboszcza Gustawa Webera, który jest życzliwy Świętemu Oficjum. Mieliśmy przykazane, żeby go wspierać – wyjaśniłem, będąc zresztą przekonany, że Knabe doskonale to wszystko wie.

Skrzywił usta.

– Mordimerze, doskonale rozumiem, że wspieramy naszego sojusznika. I pochwalam twoją decyzję o przygarnięciu dziewczęcia pod dach Inkwizytorium. Ale wzniecenie buntu w mieście? Wywołanie rozruchów? Szturm pałacu? Masakra żołnierzy archidiakona i wreszcie zamordowanie jego samego? – Pokręcił głową. – Przyznam, że to wszystko wykracza poza moje pojęcie „wspierania sojusznika”.

Przez chwilę zastanawiałem się nad wypowiedzianymi przez niego słowami.

– Wszystko toczyło się szybko – rzekłem wreszcie. – I jak to bywa w rewolucyjnym czasie, było trudne do pełnego kontrolowania.

– Pełnego kontrolowania. – Prychnął. – Ty, Mordimerze, podpaliłeś stóg siana i tyle miałeś do kontrolowania, że potrafiłeś odsunąć się od niego na tyle daleko, by nie spalił ciebie samego...

Milczałem.

– W dodatku obrabowałeś, czy też pomogłeś obrabować Pałac Mały – dodał. – Ponieśliśmy ogromne straty związane nie tylko

z grabieżą, ale również ze zniszczeniami, jakich dokonano.

– Nie pomagałem rabować Pałacu Małp – zaprotestowałem z urazą. – Natomiast przyznam, że pomagałem odbierać zrabowane w nim dobro.

– No tak, rabowałeś rabusiów, żeby zrabowane przedmioty oddać innemu rabusiowi – rzekł Knabe z przekąsem. – Mamy ci dać za to medal? Jeszcze na domiar złego wykorzystales siedzibę Inkwizytorium, żeby przechować w niej ukradziony majątek.

– Nie mówię, że zasługuję na pochwałę – sprostowałem. – Mówię tylko, że te przedmioty i tak zostałyby ukradzione, ponieważ wraz z hrabią von Bergiem staliśmy w bramie pałacu i konfiskowaliśmy je złodziejom.

– O właśnie. – Spojrzał na mnie bystro. – Skąd ta przyjaźń z jaśnie panem hrabią, bo tego nie wiem...

Nie widziałem powodów, by ukrywać przed Knabem powody, dla których zdecydowałem się zawrzeć sojusz z von Bergiem.

– Uratował mi życie, a ja spłacałem dług.

– Jak miło, że spłaciłeś go naszymi pieniędzmi – zauważył Knabe.

Nie skomentowałem tego, gdyż tłumaczyłem już przecież, że bogactwa z Pałacu Małp i tak były już stracone. Nie mogłem niczego zrobić, by powstrzymać rabujące tłumy, a jeśli bym coś uczynić spróbował, to na pewno nie rozmawiałbym już z indagującym mnie inkwizytorem, tylko gnił w jakimś dole razem z żołnierzami i towarzyszami Cassiego.

– A właśnie, jeszcze co do von Berga... Twoja podopieczna towarzyszyła mu w podróży. Cóż za zdumiewający wybór opiekuna – rzekł Knabe.

– Przyszłość pokaże, czy moja decyzja była słuszna, czy nie.

Inkwizytor nie skomentował moich słów, więc nie wiedziałem, czy los Kingi i von Berga jest mu znany. Oczywiście kusiło mnie, żeby go o to zapytać, ale powstrzymałem się.

– Twoja zawziętość, pozwól, że użyję tego słowa, w odwróceniu od niej złego losu jest prawdziwie godna szacunku – przyznał Knabe. – Zastanawia mnie jednak, czemu zdecydowałeś się tak desperacko wziąć za bary z przeznaczeniem?

Tym razem spojrziałem na niego z nieukrywanym zdziwieniem. Jakoś nigdy nie przyszło mi do głowy, bym walczył o Kingę ze szczególną zaciekleścią. Od czasu kiedy uratowałem ją przed zemstą archidiakona, traktowałem ją, jakby była moją podopieczną, ale w całej sprawie było jednak drugie dno. Przyczyna najważniejsza.

– Drogi Dietrichu – powiedziałem, nadając głosowi lekki ton – jeżeli pozwolimy, żeby wróg dzisiaj uderzył kijem naszego psa, to widząc naszą słabość czy pobłażliwość, jutro uderzy naszą kobietę, a pojutrze zabierze nam dom i wszystko, co posiadamy.

Skinął głową.

– Tak, to prawda, tak właśnie jest i przed tym zawsze przestrzegamy inkwizytorów – zgodził się ze mną. – Jednak są pewne granice nieustępliwości. Gdybyś walczył tak o jednego z naszych braci, nie miałbym ci nic do zarzucenia. Ale ty... – Znowu spoglądał na mnie tym chłodnym, nieprzyjemnym wzrokiem. – Poświęciłeś ogromnie wiele dla kogoś zupełnie nam obcego. Co gorsza, poświęciłeś nie swoje, lecz cudze...

Cóż, gdyby przyjrzeć się sytuacji z boku i na zimno, to zapewne mój towarzysz miał rację. Nie był jednak w stanie wzbudzić we mnie poczucia winy za to, że uratowałem życie Kingi. Teraz, ze świadomością tego, jakie miało to konsekwencje, podjąłbym tę samą decyzję. Czy przemawiał przeze mnie upór? Głupota? Sentyment do dziewczyny, którą polubiłem?

– Może kiedyś był w twoim życiu ktoś, kogo chciałeś uratować, ale ci się to nie udało? – zapytał Knabe, spoglądając na mnie uważnie.

– Nie przypominam sobie niczego takiego ani nikogo takiego – odrzekłem.

I nagle chciałbym powiedzieć, że przed moimi oczami pojawiła się wizja zapomnianej przeszłości, ale nie była to wcale wizja, a zaledwie jakiś cień, jakiś strzęp. Im silniej starałem się go uchwycić, tym szybciej roztapiał mi się pomiędzy palcami.

– Czasami śnię o dziewczynie, która zaginęła we mgle – powiedziałem szybko.

I poczułem się tak, jakby to wyznanie wywleczono ze mnie gładko i zręcznie niczym flaki z patroszonego kurczaka. Bo wcale nie

chciałem wypowiadać tych słów, wcale nie chciałem mówić o moich nocnych rojeniach obcemu człowiekowi. Zresztą sny były przecież tylko snami, a te moje były w dodatku niewyraźne, krótkie, a po obudzeniu zostawały nie jako konkretny rysunek, a zaledwie jako szybko topniejący ślad na śniegu.

– Dziewczyna zaginiona we mgle – powtórzył. – Ciekawe...

– Nigdy nie widziałem mgły tak gęstej, by można się w niej zgubić – rzekłem. – Więc trudno mi powiedzieć, z jakiej fantazji mógł się narodzić podobny sen.

– Są takie miejsca na świecie, gdzie mgły bywają gęste i zwodnicze nad ludzkie pojęcie – stwierdził poważnie.

Skinąłem głową.

– Zapewne tak właśnie jest, jak mówisz – rzekłem. – Ale ja nigdy takiej mgły nie widziałem.

– Tak, zapewne nie widziałeś. – Skinąłem głową. – Gdzie niby mogłeś ją zobaczyć, prawda?

Znowu miałem dziwne uczucie, jakbym był patroszonym kurczakiem. Uczucie o tyle w dodatku nieprzyjemne, że nic do patroszenia już nie było.

Wzdrygnąłem się.

– No cóż – rzekł Knabe. – Dziękuję ci za rozmowę, Mordimerze, i za udzielone wyjaśnienia. Zapewne zostaniesz jeszcze dokładniej wypytany o całą sprawę w Koblencji i tam też zostaną wydane ostateczne decyzje o twoim przyszłym losie.

Nie brzmiało to może bardzo pocieszająco, ale jednak wierzyłem, że nie zostanę wydalony. Że mogę być potrzebny zarówno instytucji, której służyłem, jak i naszemu Panu oraz Stwórcy, któremu służyła cała instytucja.

– Twoja odwaga i bezwzględność są na pewno imponujące – dodał Knabe.

Nieoczekiwanie pochylił się głęboko w moją stronę.

– Nie zaprzeczę, że jesteś ostrym mieczem, Mordimerze – rzekł. – Problem tylko w tym, że zbyt chętnie wymykasz się z dłoni szermierza.

– Inkwizytorzy są uczeni, żeby podejmować decyzje w swoim sercu i umyśle, jeśli są przekonani, że te decyzje służą naszej świętej Sprawie – odparłem.

– To prawda. – Knabe odchylił się już z powrotem na swoje miejsce. – Tyle że zasada ta nie obowiązuje wtedy, kiedy inkwizytorom wydano ściśle i jasne rozkazy. Wtedy nie ma miejsca na dyskusje i na wybieranie sobie, których rozkazów usłuchać, a które zlekceważyć. Myślisz, że bylibyśmy tym, kim jesteśmy, i stalibyśmy w tym miejscu, w którym stoimy, gdybyśmy nie hołdowali świętej cnocie posłuszeństwa?

Cóż, mogłem Knabemu przytoczyć z historii Świętego Officjum przykłady takiego postępowania inkwizytorów, które łamało dyscyplinę i było ganione przez przełożonych, lecz potem okazywało się zbawienne. Ale nie chciałem jednak porównywać się do tych dawnych, legendarnych bohaterów, bo przecież ani się nie miałem za bohatera, ani nie uważałem, że do jakiejś legendy kiedykolwiek przejdę. Nie miałem złudzeń, że ktokolwiek w przyszłości będzie pamiętał moje imię, i wcale mi na tym nie zależało. Bóg znał mnie i moje uczynki, a to całkowicie mi wystarczało, by z podniesionym czołem stanąć przed najsurowszym Sądem Pańskim, kiedy ów szczęsny dzień nadejdzie.

– Jesteśmy niczym pająki, Mordimerze – ciągnął z powagą Knabe. – Jesteśmy cierpliwi i pracowici, a naszą sieć tkamy niespiesznie, lecz solidnie. Czasami wielu ludziom wydaje się, że och, jakież odnieśli zwycięstwo, bo uwolnili się z sieci, którą wyszykowaliśmy. Ale oto kiedy pędzą oszołomieni nagłym triumfem i upojeni swobodą, wpadają w kolejne pęta. A kiedy wyrwą się i z nich, to wpadają jeszcze w kolejne. Aż wreszcie, jeśli mają wystarczająco dużo rozumu i bystrości spojrzenia, to widzą, że cały świat jest obleczony niciami pajęczyny, a na każdym końcu każdej nici czuwa pająk wpatrujący się w nich uważnie swymi wieloma oczami.

Wzdrygnąłem się, ale nie z uwagi na roztaczany obraz wszechmocy Inkwizytorium, lecz dlatego, że po prostu nie przepadam za pająkami. Słyszałem kiedyś, że istnieją pogrążone w wiecznym cieniu lasy, w których gigantyczne pająki polują nawet

na ludzi, jednak zawsze miałem podobne opowieści za jarmarczne bajdy. Chociaż kto wie, może takie pająki naprawdę istnieją? Bo co my, zamknięci w granicach Cesarstwa, wiemy tak naprawdę o wielkim świecie? O niezmiernych dżunglach porastających lądy położone za nieskończonymi oceanami?

– Spotkamy się jeszcze na pewno, Mordimerze – obiecał poważnie i patrząc mi prosto w oczy. – Kiedyś Dietrich Knabe zaprowadzi cię do świata, o którym nawet nie wiesz, że istnieje, gdyż zatrzaśnięto ci do niego drzwi.

Nie rozumiałem, o czym mówi, ale nie sądziłem, by mi odpowiedział, gdybym go spytał. Cóż, skoro chciał być sobie zagadkowym sfinksem czy tajemniczą pytią, to niech sobie nimi będzie, a ja nie dam mu satysfakcji dopraszania się o odpowiedź.

– A teraz przejdźmy do spraw bardziej przyziemnych i ważnych dla nas tu i teraz – rzekł już lżejszym tonem. – Tu niedaleko, przy gościńcu, powinienes za jakieś pół godziny do niego dojechać, znajduje się zajazd „Świśnięty Dunder”. Masz w nim czekać na przyjazd inkwizytorów, którzy odeskortują cię do Koblencji.

Nic nie odpowiedziałem, więc dodał:

– Nie jesteś i nie będziesz więźniem, Mordimerze. – Tym razem miał łagodniejszy ton. – Eskorta ma służyć twojej obronie. Księżę biskup nie jest może naturą szczególnie sentymentalną, ale wiesz... zabiłeś mu syna. I on wie o tym, że właśnie tobie zawdzięcza katastrofę swoich planów. Nie życzymy więc sobie, żeby siepacze biskupa zabili cię lub pochwycili, abys następnie został poddany torturom i egzekucji. Jeżeli będziemy chcieli cię zabić, zabijemy cię sami...

– Miło to słyszeć – odparłem uprzejmie. – Oczywiście zastosuję się do twojego życzenia.

– To nie życzenie, lecz rozkaz – objaśnił zimno. – I jeśli ośmielisz się go zlekceważyć, tak jak to zrobiłeś z poprzednimi rozkazami, zostaniesz ukarany w sposób, który nawet tobie wyda się... – zawiesił głos. – Nieprzyjemny – dokończył.

– Nie zamierzam bezsensownie ryzykować życia, które może jeszcze przydać się na coś Świętemu Officjum – odrzekłem. –

Oczywiście zaczekam na eskortę.

A potem już mój tajemniczy towarzysz po prostu ściągnął wodze swojemu wierzchowcowi i odjechał bez pożegnania.



Zapowiadana przez Knabego eskorta składała się z trzech wesołych inkwizytorów, całkiem zadowolonych z tego, że mogą wyrwać się z nudnego miasta i odstąpić od codziennych obowiązków, a w zamian za to jechać sobie niespiesznie traktem, zatrzymując się w zajazdach, by podjąć i popić na koszt Świętego Officjum oraz pogawędzić z nieznanym sobie towarzyszem. Wypytywali mnie o wypadki w Weilburgu, nie tylko o szalejącą kaszlicę, ale również o spór z archidiakonem i rewoltę w mieście. Jednak ich pytania nie były przesłuchaniem, lecz szczerą ciekawością kompanów, którzy od naocznego świadka chcieli się dowiedzieć, co zaszło. Opowiedziałem im prawie wszystko, pomijając jednak sprawę mojego udziału we wznieceniu buntu oraz rolę, jaką w całej tej katastrofie odegrała Kinga.

– No i tak to jest mieć ciekawe życie – zauważył jeden z towarzyszących mi inkwizytorów. – Nie to co my... – westchnął i machnął dłonią z rezygnacją.

Cóż, wydarzenia weilburskie, które do historii miasta przeszły pod mianem „kaszlącej rebelii” może i były ciekawe, ale z drugiej strony pochłonęły wiele istnień ludzkich, a mnie przysporzyły sporo kłopotów. Mogłem jednak gratulować sobie, że wszystko, co czyniłem lub czego nie uczyniłem, nieważne, czy było zamierzeniem, działaniem, czy zaniechaniem, miało na celu przysporzenie światu chwały Bożej. Niezależnie od tego, co mówiliby inni ludzie, i niezależnie od tego, jak finalnie potoczyły się sprawy, miałem nadzieję, iż nasz najsurowszy i najsprawiedliwszy Pan rejestr moich czynów spisał świetlistym piórem. A kiedy trafię przed Jego najdostojniejsze oblicze, nie będę miał powodu ani do

wstydu, ani do troski, gdyż każda moja myśl i każdy mój uczynek były Jemu poświęcone.



Epilog



Czy Dietrich Knabe, rysując przede mną rozgałęzioną siatkę intryg i spisków, którym jakoby stanąłem na przeszkodzie, mówił prawdę, kłamał, czy też (jak to najczęściej bywa) czasami kłamał, a czasami mówił prawdę? Przyznam, że już będąc w Koblencji, starałem się śledzić wieści z Weilburga, by dowiedzieć się, jak potoczyły się losy miasta oraz mieszczan. No cóż, Weilburg poniósł wielkie straty z powodu pożaru, toczył się w nim też proces przeciwko burmistrzowi i radzie miejskiej. Rajcy zostali oskarżeni o sprzyjanie rozruchom i nawoływanie do tumultów, w wyniku których tyle osób poniosło śmierć. Jednak mieli wielkie szczęście, że ofiarami starć padli tylko przybysze z Watykanu, a nie żaden porządny arystokrata, obywatel Cesarstwa, którego rodzina rozpętałaby kampanię przeciwko mieszczanom i żądała ich głów. Owszem, książę biskup nie był, rzecz jasna, zadowolony ze śmierci swego syna i znakomitej większości jego świty, a potem z klęski szturmujących weilburskie mury żołnierzy, ale wykazano czarno na białym, że Umberto Cassi dopuścił się gwałtów oraz morderstw, a tumult był jedynie reakcją ludności na te zbrodnie. Koniec końców cały proces zakończył się w ten sposób, że burmistrza i rajców uniewinniono, jednak

skonfiskowano im majątki i przegnano ich z miasta. Jak mi zresztą doniesiono, wszyscy oskarżeni poznali dużo wcześniej treść wyroku i zdążyli się do niego tak przygotować, by w rzeczywistości niewiele stracić i móc rozpocząć nowe życie w innej części Cesarstwa. Co do księcia biskupa, to niedługo po weilburskich wydarzeniach spadł z konia na polowaniu tak nieszczęśliwie, że skręcił sobie kark. Pochowano go z wielką pompą, a ceremonie żałobne trwały przez tydzień z okładem. Podobno Inkwizytorium przesłało z okazji jego pogrzebu imponujący urodą i wielkością wieniec, a przedstawiciel Świętego Officjum wygłosił mowę, która wyciskała z oczu łzy szczerzego wzruszenia. Cały majątek biskupa z uwagi na brak legalnych spadkobierców przeszedł w ręce Kościoła. A jak zakończył się spór o zyski z kopalni soli? Spór będący przecież tym pierwszym kamyczkiem, który poruszył lawinę biskupiej nienawiści w stosunku do Weilburga? Otóż przywilej pozostał przy mieście i zważywszy na straty, jakich ono doznało, trzeba przyznać, że nigdy bardziej nie mógł się przydać niż w tych ciężkich chwilach. Można więc powiedzieć, że wiele musiało się wydarzyć, wiele musiało się rozegrać dramatów, wiele musiało nastąpić katastrof, by wszystko pozostało w zasadzie po staremu. Na szachownicy zmieniły się niektóre figury, lecz byłem pewien, iż za kilka, kilkanaście lat nikt poza Weilburgiem nie będzie pamiętał o tym, co się działo. A i w samym Weilburgu też będzie się wspominać o tym nieszczęśliwym upalnym lecie głównie z powodu epidemii kaszlicy i wielkiego pożaru, a nie z powodu rozgrywki pomiędzy mieszczanami a biskupem.

No właśnie, a cóż z kaszlicą, zapytacie, mili moi. Otóż nic. Szalała, zebrała śmiertelne żniwo i gdzieś zniknęła, nie wiadomo gdzie, nikt nie wie, czy szeszła na zawsze, czy kiedyś do nas wróci. Trudno powiedzieć, ilu obywateli w całym Cesarstwie zabrała do wieczności. Jedni mówią, że kilkanaście tysięcy, inni – że grubo ponad sto tysięcy, jeszcze inni bajają o milionie. Ale kto to policzy i kto sprawdzi dokładnie? I kogo to tak naprawdę obchodzi? Ludzie są niczym chwasty. Plenią się szybko, a raz wyrwane, odrastają jeszcze szybciej. Giną z powodu wojen, z powodu morderstw, z powodu

wielkiego zimna i wielkiego upału, ze starości i z głodu, umierają w wypadkach i katastrofach... Jaka więc to różnica, ilu z nich w tym bezmiarze codziennej śmierci umarło akurat na kaszlicę? Ot, była nieszczęściem. Jak wiele, które dotykały nasz gatunek przed nią i jak wiele, które dotkną nasz gatunek po niej. Czekają nas jeszcze wielkie wojny i wielkie zarazy, powodzie, pożary, sztormy, wielkie trzęsienia ziemi. Czeka nas bez liku nieszczęść, tragedii i katastrof, tak wiele, że nie sposób będzie zapamiętać, kto i kiedy, w której z nich stracił życie. Oczywiście ci, którzy stracili bliskich, być może będą pamiętać o kaszlicy nieco dłużej, ale większość ludzi już niedługo zapomni, czy ta choroba szalała dwa, czy pięć lat temu, a za dziesięć lat, kiedy kogoś spytasz o kaszlicę, to machnie tylko niecierpliwie ręką i powie: „Panie, daj pan spokój, kogo to teraz obchodzi? Było, minęło. Kto by tam sobie zawracał głowę, kiedy to było dokładnie?”.

Jestem pewien, mili moi, iż zadajecie sobie pytanie, czy spotkałem jeszcze kiedykolwiek piękną Kingę i czy wszystkie wysiłki, które uczyniłem na jej rzecz, doczekały się pięknego zwieńczenia. No cóż, jestem pewien, iż w jarmarcznej opowieści zobaczylibyśmy się jeszcze co najmniej raz, ale już w bardziej sentymentalnych okolicznościach, by tym razem móc dobrze poznać jedno drugie, bez niepokojącej obecności tłumu kaszlących ludzi i bez wiszącego nad nami złowrogiego fatum śmiertelnej epidemii i zapiekłej zemsty. By więc ubiec podobne podejrzenia, od razu powiem, iż nie: nigdy więcej nie zobaczyłem już Kingi, chociaż otrzymałem od niej, czy raczej z jej domu, dwa listy. W pierwszym piśmie, tak serdecznym, ciepłym, że każde słowo zdawało się w naturalny, niewymuszony sposób rozświetlone blaskiem, dziękowała mi za uratowanie życia oraz opowiadała, co wydarzyło się od czasu, kiedy przekazałem ją pod opiekę hrabiego von Berga. Hrabia okazał się nie tylko godnym zaufania kompanem, ale jak pisała ze zdziwieniem, traktował ją niczym wielką damę. Cóż, wiemy przecież, że w niemal każdym człowieku mieszka zło i dobro i nawet kreatura, zdawałoby się, do gruntu zepsuta potrafi zdobyć się na szlachetność. Może nawet nie z uwagi na to, co pomyślą o niej bliźni, ale dlatego, że dokonawszy prawego uczynku, będzie mogła sama rozkoszować się myślą o tym,

że jest tak bardzo nadzwyczajna. W każdym razie von Berg odwiózł Kingę do klasztoru, w którym miała rezydować, a matce przełożonej wyniosłym tonem oznajmił, że dziewczyna jest jego kuzynką i choć pochodzi z nieprawego łoża, to rodzinę von Bergów interesuje jej los na tyle, by pilnie sprawdzać, czy nie dzieje jej się żadna krzywda. Zważywszy na to, że nazwisko von Bergów brzmiało (przynajmniej w naszej okolicy) niczym dzwon, a sami von Bergowie nie słynęli ani z wyrozumiałości, ani z łatwego charakteru, wyobrażałem sobie, że nie mogło być lepszego sposobu, by dziewczynę traktowano w klasztorze z szacunkiem.

Drugi list dostałem kilka miesięcy później, a był on napisany przez przeoryszkę, która ze smutkiem donosiła, że Kinga i dwie inne dziewczęta umarły na kaszlicę. Niby kaszlica nadzwyczaj rzadko zabierała młodych, zdrowych i silnych ludzi, ale w tym wypadku akurat tak właśnie się stało. Znieruchomiałem, czytając ten list, i chociaż już wcześniej, widząc, że dokument z klasztoru nie jest pisany dłonią Kingi, spodziewałem się złych wiadomości, to jednak świadomość, iż dziewczyny, o której życie tak usilnie walczyłem, już nie ma, uderzyła mnie niczym obuchem. Kinga odeszła szybko i spokojnie, opatrzona sakramentami i nie cierpiała zbyt długo, donosiła przeorysza, a z tonu listu wydawało mi się, że była szczerze śmiercią swoich podopiecznych zmartwiona.

Złożyłem list na pół, potem jeszcze raz na pół i jeszcze raz na pół... aż wreszcie cisnąłem go w ogień. Przymknąłem oczy i nie mogłem pozbyć się myśli, że mimo wszystko to właśnie ja, nikt inny, jestem winien tej śmierci. Pamiętacie, mili moi, jak opowiadałem, iż w Pałacu Małp była chwila, taka krótka chwila zaufania, bliskości i uczucia, w której wyciągnęliśmy ku sobie ręce, zbliżyliśmy twarze i nasze usta już, już miały się zetknąć, kiedy to ja się cofnąłem? Teraz myślę, że gdybym pocałował wtedy Kingę, to może nie umarłaby na kaszlicę. Jeśli tylko szalony i genialny aptekarz Baum miał rację, to zarażenie opryszczką na ustach powodowało, iż później nie chorowało się już na kaszlicę. Gdybym więc wtedy tym pocałunkiem nawet tylko musnął wargi Kingi (a przecież jestem pewien, że na muśnięciu by się nie skończyło!), może dziewczyna żyłaby do

dzisiaj. Znalazłaby dobrego męża i urodziła mu piękne dzieci, które wychowałyby na ludzi dobrych i silnych jak ona sama. To wszystko mogło się zdarzyć, gdybym tylko ją wtedy pocałował. Gdybym skorzystał z tej ulotnej, jedynej w swoim rodzaju chwili. A tym, że się zawstydzilem, zawahałem, że uznałem, iż sytuacja nie jest odpowiednia, tym właśnie jednym zaniechaniem zmieniłem cały świat. Zabiłem ją i zabiłem dzieci, które mogła mieć, i zabiłem dzieci tych dzieci. Wymazałem z powierzchni świata odrobinę blasku...

Oparłem się na krzesło, odchyliłem głowę i przymknąłem oczy. Wiedziałem, że nic nie trwa wiecznie, że żadna żałoba i żaden ból nie są nam dane raz na zawsze. Tak więc wiedziałem również, że prędzej czy później twarz Kingi zniknie sprzed moich oczu. Jednak na razie czułem wyraźnie, jak dziewczyna ściska moje palce, i równie wyraźnie widziałem, jak przymyka powieki i jak układa usta do pocałunku. I teraz, w owej chwili samotnego i smutnego przypomnienia chwil zamarłych w przeszłości, mogłem myśleć tylko o tym, że dzisiaj oddałbym wszystko, aby móc ją wtedy pocałować...

KONIEC



Posłowie

W notce promującej książkę napisano, iż opowieść w niej ukazana zaczyna się jak groteska, by przejść w dramat obyczajowy i by wreszcie zakończyć się niczym grecka tragedia. Trudno mi się z tym opisem nie zgodzić, gdyż takie właśnie było moje zamierzenie: pokazać, że w naszym życiu codziennym (niezależnie od epoki, kultury i kontynentu) wydarzenia, które obserwujemy, zazwyczaj nie są jednoznaczne. Ot, w jednym domu umiera dotknięta śmiertelną chorobą biedna, samotna matka malutkiego dziecka, a w drugim domu w tym samym mieście świętowane są narodziny otoczonej miłością córki milionera. Jeszcze obok ktoś ciężko pracuje nad nikomu niepotrzebnym zadaniem, a nieco dalej publiczność zaśmiewa się z linoskoczka, który spadł na ziemię i skręcił sobie kark. I w swojej radości owa publiczność nie zwraca uwagi na rozpaczającą córeczkę cyrkowca. Podobne przykłady można mnożyć, gdyż życie społeczności na ogół nie układa się schematycznie, jako ciąg wydarzeń tylko radosnych lub tylko tragicznych. Często ludzie dotknięci życiowymi tragediami żyją w jednej przestrzeni, natomiast ci, którym się powodzi, żyją w swojej własnej, hermetycznie zamkniętej przestrzeni i nawet nie zauważają lub nie chcą zauważać tych pierwszych. Dlatego świat przedstawiony zarówno w tej książce, jak i w innych pozycjach

z cyklu inkwizytorskiego nie jest jednowymiarowy, a postawy bohaterów można oceniać tylko poprzez pryzmat, po pierwsze, samej epoki, a po drugie, dramatycznych wydarzeń. Wiadomo przecież, i zobaczymy to w dziesiątkach filmów czy przeczytamy w setkach książek, że ludzie postawieni w obliczu katastrofy, żyjący w miejscu, w którym przestały funkcjonować (lub „zacięły się”) obowiązujące zasady prawne, zaczynają budować swój własny świat. Jest on często oparty nie na paradygmatach obowiązujących wcześniej (czyli w czasie przed katastrofą), lecz kształtowany wolą najsilniejszych jednostek, starających się naginać innych obywateli do swojej wizji.

Oczywiście poniższa książka została zainspirowana obecną epidemią oraz towarzyszącymi jej zjawiskami społecznymi. Jednak bardzo proszę wszystkich Czytelników, by nie starali się zawartych w niej treści odczytywać w proporcjach jeden do jednego, a świata w niej opisanego nie starali się widzieć jako odbicia w krzywym zwierciadle naszej rzeczywistości. Nie, nie, „Dziennik czasu zarazy” ma być przede wszystkim autonomiczną, uniwersalną opowieścią obyczajowo-kryminalną. W drugiej kolejności jest to historia świata (czy raczej historia pewnego wycinka tego świata, jakim jest jedno miasto) dotkniętego epidemią. I traktuje ona o różnych zachowaniach indywidualnych oraz społecznych, jakie się kształtują pod wpływem katastrofy. O próbach wykorzystywania kryzysu do zdobycia większej władzy czy pozyskania większego majątku, o skorzystaniu z czasu chaosu, by pogłębić nieprzyjaciół. O teoriach spiskowych, nastrojach tłumu, tak łatwo podlegających przemianom – od przerażenia do gniewu i żądzy zniszczenia. O szukaniu winnych różnorodnych nieszczęść i dokonywaniu samosądów. Z drugiej strony o pragnieniu odnalezienia ratunku w wierze w Boga lub bogów, w religijnym mistycyzmie albo w hedonistycznym hołdowaniu zasadzie *carpe diem* i korzystaniu z uroków życia, póki się jeszcze żyje (bo zaraz to życie może się przecież zakończyć). Wszystkie te mechanizmy świetnie znamy nie tylko z czasów dzisiejszej epidemii (w mniejszym lub większym stopniu), ale zostały one również opisane przez kronikarzy i historyków raportujących nam o latach

czarnej śmierci – zarazy, która spustoszyła Europę. Dzisiaj niektórzy historycy szacują, że dżuma w okresie od roku 1346 do roku 1353 pochłonęła prawie 50 milionów istnień ludzkich, co wówczas stanowiło niemal 60 procent populacji całego kontynentu (liczba śmiertelnych ofiar czarnej śmierci jest wciąż przedmiotem zacieklej dyskusji, ale nawet jeśli te dane są zawyżone, to nadal w najbardziej optymistycznym wariacie mówimy o świecie, w którym zginęła jedna trzecia mieszkańców). W mojej powieści zaraza nie zbiera tak tragicznego żniwa, gdyż zarówno jej zjadliwość, jak i zasięg są znacznie bardziej ograniczone.

Stanowczo również przestrzegam przed jeszcze jednym sposobem odbioru „Dziennika czasu zarazy”, a mianowicie przed jakimikolwiek próbami podpisywania współczesnych, znanych nam osób pod stworzonych przeze mnie bohaterów. A przestrzegam przed tym nie ze względów procesowych (jak to często robią twórcy filmów i książek), lecz z prostego powodu: w tej książce takich zabiegów nie dokonałem. Owszem, w opisach pewnych postaci poniższej opowieści zapewne znajdziecie cień (mniej lub bardziej groteskowy) postaw czy poglądów znanych osób, ale umieściłem je nie ze względu na te osoby, ale dlatego, że ich poglądy stały się w jakiś sposób popularne. Poza tym, kiedy spoglądamy głęboko w historię naszej cywilizacji, świetnie widzimy, że wiele zachowań ludzi współczesnych oraz wiele mechanizmów społecznych naszego wieku jest bardzo podobnych do tego, co mogliśmy obserwować kilkaset czy kilkadziesiąt lat temu. Po prostu zarówno jako ludzie, jak i jako cywilizacja zmieniliśmy się w mniejszym stopniu, niż mogłoby się nam wydawać.



Przypisy

1 Od antyku aż po czasy niemal nowożytnie cela wypełniona narzędziami tortur była zwyczajnym wyposażeniem więzienia. Ławę, na której bohater tej powieści widzi przesłuchiwanego, nazywano „madejowym łóżem” lub „łożem sprawiedliwości”. Ofiarę można było na takim stole poddać wielu torturom, ale przede wszystkim poddawano ją tak zwanemu rozciąganiu. Męka ta polegała na tym, że przesłuchiwanego przywiązywano liną za ręce i nogi, po czym kręcąc korbą, nawijano tę linę na kołowrót, wyciągając w ten sposób kończyny. Dla spotęgowania cierpienia pod plecy ofiary podkładano żelazo nabite kolcami. Oczywiście unieruchomienie ofiary na łożu umożliwiało katu swobodne zastosowanie całej gamy innych tortur, takich jak choćby szarpanie kleszczami, przypalanie czy zgniatanie.

2 Święty Marcin z Tours to patron oberżystów i właścicieli winnic, przywołuje się go również przeciwko pijaństwu. Święty Goar to patron gościnności i również właścicieli winnic. Święty Tychon i Święty Wincenty opiekują się winiarzami. Natomiast włączając do rad modlitewnych Świętą Marię Magdalenę, Jonatan Baum włączył po prostu patronkę swojego cechu, czyli cechu aptekarzy.

3 W naszym, rzeczywistym świecie gotowanie we wrzącym oleju stosowano między innymi wobec trucicieli oraz fałszerzy monet. Jak podają kronikarze, czasami egzekucję tę przeprowadzano tak powoli, by stopy czy łydki skazanego były już ugotowane, gdy on jeszcze żył.

4 Podatek od okien rzeczywiście został wymyślony przez jakiegoś sprytnego urzędnika skarbowego również w naszym świecie (konkretnie: w Anglii w 1696 roku). Spowodował on masowe murowanie okien, a nawet powstawanie domów całkowicie ich pozbawionych od strony ulicy. Można się tylko domyślać, jak źle działało to na wentylację budynków (a co za tym idzie – stanowiło zagrożenie dla zdrowia i życia). Opisano również spory dotyczące nadużyć ze strony urzędników podatkowych, którzy potrafili traktować jako okna na przykład lufciki piwniczne czy nawet pęknięcia w ścianach! Pomimo ogromnej krytyki (nazywano to „podatkiem od światła i powietrza”) owa danina przetrwała aż 155 lat!

5 Konflikt pomiędzy środowiskami zawodowymi aptekarzy i lekarzy nie jest ani wymysłem Jonatana Bauma, ani wymysłem autora tej książki. W naszym, rzeczywistym świecie kompetencje obu tych grup zawodowych nie były na początku tak silnie rozdzielone jak dzisiaj, co budziło liczne spory, zarówno szczegółowe, jak i generalne. I spory te musiały być rozstrzygane przez prawodawców. Problem konfliktu interesów obu środowisk musiał być naprawdę silny, skoro próbowano go prawnie uregulować już w XII wieku, a w wieku XIII cesarz Fryderyk II Hohenstauf wydał dokument określający zasady rozdzielenia zawodów lekarza i aptekarza. Utarczki jednak musiały nadal trwać, skoro jeszcze w XVII wieku tak opisywał je poeta Wespazjan Kochowski:

*Panie, pogódź nas, prosim, gdyż się dawno swarzem:
Czy aptekarz, czy doktor ma przed aptekarzem?*

*Skazuje: Przed doktorem aptekarz nierównie,
Aptekarz w ziele gmerze, a zaś doktor w gównie.*

I warto podkreślić jeszcze jedną rzecz: każdy dobry aptekarz musiał być jednocześnie znawcą ziół i chemikiem, umieć wyrabiać wszelkie lecznicze maści, pigułki czy eliksiry, do czego służyło mu przyapteczne laboratorium. Tu otwierało się kolejne pole konfliktu z lekarzami, gdyż aptekarze niechętnie spoglądali na to, że niektórzy medycy sami przygotowują i sprzedają pacjentom lekarstwa, zamiast zlecać ich wyrób w aptekach. Oczywiście, jak we wszystkich zawodach, rzetelni aptekarze musieli mierzyć się z konkurencją różnego rodzaju samozwańców, żerujących na naiwności klientów. Z tym oszukańczym procederem walczyły często władze miast, na przykład poprzez przydzielanie zawodowym aptekarzom określonej liczby licencji. Najczęściej zresztą uzyskanie takiej licencji było bardzo, bardzo trudne, a niektóre rady miejskie od kandydatów na właścicieli aptek wymagały nie tylko nieposzlakowanej opinii i wysokich funduszy, ale na przykład ożenku!

Na znanych uniwersytetach zagadnienia farmaceutyczne wykładano już w XVI wieku, istniały również fachowe podręczniki do nauki zawodu.

6 Jezus o Dwóch Obliczach – częsty motyw artystyczny w świecie moich powieści. Dwie strony tego wyobrażenia przedstawiają: z jednej strony Chrystusa Pokornego (w koronie cierniowej) oraz z drugiej strony Chrystusa Zwycięzcę (w bojowym hełmie z nosalem). Motyw ten jest jednym z symboli przemiany, jaka zaszła na Golgocie, kiedy to: „Nasz Pan raczył zstąpić z krzyża i pokarać niewierną Jerozolimę”.

7 W tym miejscu Mordimer myśli o chaosie, jaki wywołał, prowadząc śledztwo w sprawie zabójcy młodych kobiet. Opisałem to w opowiadaniu „Dziewczyny Rzeźnika”, znajdującego się w tomie „Wieże do nieba”.

8 Bitwa na brodzie na Cleddan Ddu była częścią trwającej dziesięć lat kampanii odbijania przez chrześcijan Brytanii z rąk potężnych wiedzmiich sabatów oraz służących sabatom brytońskich feudałów. Ten heroiczny czas zostanie przedstawiony dokładniej w zbiorze opowiadań „Mroczne wieki – Brytania”.

9 Organizacja nazywana Bundem odgrywa w świecie moich powieści podobną rolę, jaką w naszej rzeczywistości odgrywała Hanza, zrzeszająca wiele miast (w momencie rozkwitu organizacji było ich ponad 160!) w celu obrony wspólnych interesów handlowych. Hanza potrafiła skutecznie walczyć o dominację z książętami i królami, wygrywała wojny z Danią czy Norwegią i narzucała tym państwom upokarzające warunki pokoju. W XIV wieku niemal niezagrożona rządziła na Morzu Północnym i Bałtyckim. Ponieważ w świecie średniowiecza i renesansu informacja była tak samo cenna jak dzisiaj, kupcy oraz władze poszczególnych miast wymieniały się relacjami czy listami kupieckimi z różnych stron świata. W owych relacjach mówiono o wszystkim, co mogło zaważyć na bezpieczeństwie prowadzenia interesów, a więc również o sprawach politycznych. W naszym historycznym XVI wieku władza Hanzy była już mocno nadwątlona, zarówno z uwagi na przegrane konfrontacje z silnymi państwami, jak i w związku z konfliktami interesów wewnątrz samego związku miast handlowych. Można zakładać, że w świecie powieści Bund też nie odgrywa już wielkiej międzynarodowej roli politycznej, lecz jest czymś na kształt, mówiąc dzisiejszym językiem, organizacji zajmującej się lobbingsiem.

10 Dyskusja inkwizytora i proboszcza o domach publicznych jest echem rozpraw, jakie odbywały się i w naszym świecie. W wielu regionach Europy miejskie burdele uważano za element utrzymywania higieny społecznej: młodzi ludzie mieli nie rozrabiać i nie nagabywać porządnych kobiet, tylko wyszaleć się z profesjonalistkami. Niektóre domy publiczne były utrzymywane

z funduszy miejskich, nie było też niczym niezwykłym, że bezpośrednią pieczę nad takim przybytkiem sprawował miejski kat lub jego żona.

11 „Niech nienawidzą, byleby się bali” – to zdanie zostało wypowiedziane przez rzymskiego dramatopisarza i poetę Akcjusza, żyjącego w II wieku przed naszą erą. W naszym, rzeczywistym świecie przeszło do historii, gdyż zostało powtórzone i spopularyzowane przez cesarza Kaligulę.

12 Pary spółkujące w kruchcie nie są fantazyjnym wymysłem autora. W naszym, historycznym świecie zarówno księża, jak i wierni skarżyli się, iż w wielkich kościołach dużych miast prostytutki oferują swoje usługi w czasie mszy świętych. Proceder ten starano się zwalczać, ale z różnym skutkiem.

13 Pojęcie „kwarantanna” narodziło się jeszcze w średniowieczu. Kiedy do portu zawijały statki, na których marynarze chorowali na dżumę, kazano im stać na kotwicy przez 40 dni, aby choroba wygasła. Nazywano ten przymusowy postój *una quaranta*.

14 Czytelnicy „Ruskiej trylogii” łatwo się zorientują, iż Mordimer uważa za senny koszmar to, co naprawdę przytrafiło mu się na Rusi. Tyle tylko, że przed powrotem do Cesarstwa został pozbawiony pamięci o tych dramatycznych i trwających rok wydarzeniach. Wmówiono mu, iż przeleżał ten czas w ciężkiej chorobie.

15 Nieprzypadkowo wspominał tutaj o męskich łydkach, gdyż w epoce renesansu panowała moda na noszenie obcisłych pończoch przez mężczyzn i rzeczywiście wysławiano zgrabne męskie łydki, które uważano za symbol siły i wdzięku.

16 Zaraza ateńska opisana przez historyka Tukidydesa nie tylko zabiła jedną czwartą ludności Aten, ale na wiele lat zniszczyła potęgę

militarną i ekonomiczną tego miasta-państwa oraz zdewastowała jego ustrój społeczny. Szacuje się, że w samych Atenach pochłonęła co najmniej sto tysięcy ofiar, a przecież szalała również w Etiopii, Egipcie i Persji. Do tej pory są różne koncepcje na temat tego, jaką chorobę nazwano „ateńską zarazą”. Stawia się różne hipotezy: dżuma, ebola, tyfus... Objawy opisywane przez Tukidydesa były takie:

„Ciało chorego przy dotknięciu nie wydawało się zbyt rozpalone; nie było także blade, lecz zaczerwienione, sine i pokryte pęcherzykami i wrzodami; wewnątrz zaś chory był tak rozpalony, że nie mógł znieść nawet najłżejszego odzienia ani najdelikatniejszego nakrycia, lecz chciał leżeć nago, a najchętniej rzuciłby się do zimnej wody. [...] choroba rzucała się [...] na genitalia, na palce rąk i nóg i powodowała utratę tych części ciała, u niektórych także i oczu. Zdarzało się, że ludzie natychmiast po wyzdrowieniu tracili pamięć, nie zdawali sobie sprawy, kim są, i nie poznawali swych krewnych”.

17 Ponieważ *Scheiße* oznacza „gówno”, a *Dung* to „gnój”, dlatego ulicznicy szyderczo wykrzykiwali imię i nazwisko oblanego nieczystościami Umberta Cassiego przerobione przez Heinricha na *Dungerto Scheissi*.

18 Inkwizytor odwołuje się tutaj do Listu do Efezjan, którego fragment brzmi tak: „W końcu bądźcie mocni w Panu – siłą Jego potęgi. Obleczcie pełną zbroję Bożą, byście mogli się ostać wobec podstępnych zakusów diabła. Nie toczymy bowiem walki przeciw krwi i ciału, lecz przeciw Zwierzchnościom, przeciw Władzom, przeciw rządcom świata tych ciemności, przeciw pierwiastkom duchowym zła na wyżynach niebieskich. Dlatego weźcie na siebie pełną zbroję Bożą, abyście w dzień zły zdołali się przeciwstawić i ostać, zwalczycywszy wszystko. Stańcie więc do walki przepasawszy biodra wasze prawdą i obłókszy pancerz, którym jest sprawiedliwość, a obuwszy nogi w gotowość głoszenia dobrej nowiny o pokoju. W każdym położeniu bierzcie wiarę jako tarczę,

dzięki której zdołacie zgasić wszystkie rozżarzone pociski Złego. Weźcie też hełm zbawienia i miecz Ducha, to jest słowo Boże”.

19 Słowami *vomunt ut edant, edunt ut vomant*, czyli „jedzą, by wymiotować, wymiotują, by jeść” Seneka krytykował nowobogackich Rzymian, w których domach uczyły pełne były wymyślnych potraw oraz ogromnej ilości jedzenia.

20 Ujawniony sekret tworzenia florentyńskich kryształów to prawdziwa historia z naszego świata. Tyle że w naszej rzeczywistości miała ona miejsce w Wenecji. Tak się zdarzyło, że wysłannicy francuskiego króla przekupili kilku weneckich mistrzów. Jednego udało się zabić w czasie ucieczki, drugi sam wrócił, ale trzeci szczęśliwie dotarł do celu i ujawnił pilnie strzeżone tajemnice produkcyjne. I tak właśnie skończył się w Europie wenecki monopol na najpiękniejsze lustra oraz kryształy.

21 „Dyskredytujcie przeciwnika, podrywajcie jego dobre imię i w odpowiednim momencie rzućcie go na pastwę pogardy rodaków” – tak naprawdę jest to cytata ze słynnego dzieła „Sztuka wojenna”, które napisał chiński filozof Sun Zi.

22 „Odchody mieszano w wiaderku z ciepłą wodą i dawano choremu do wypicia” – w naszym świecie naprawdę taka kuracja istniała. Była ona znana wśród ludów Słowiańszczyzny, a jej sens sprowadzał się do tego, iż wierzono, że chorobie (tutaj spersonifikowanej) zostanie obrzydzona bytność w ciele człowieka pijącego odchody. Pisał o tym profesor Kazimierz Moszyński w swoim monumentalnym dziele „Kultura ludowa Słowian”.

23 Mitrydates Eupator, król Pontu, był potężnym hellenistycznym władcą rządzącym na terenie dzisiejszej Turcji i Krymu oraz na wybrzeżach Morza Czarnego, dziś należących do Gruzji, Ukrainy, Rosji i Rumunii. Od młodości miał obsesję na punkcie tego, iż może

zostać otruty, więc przez całe życie przyjmował małe dawki trucizn, by się uodpornić. I rzeczywiście, kiedy po przegranej trzeciej wojnie z Rzymianami chciał otruć się trucizną, którą przechowywał w specjalnym pierścieniu, to okazało się, że trucizna na niego nie działa. Musiał więc rozkazać niewolnikowi, by ten przebił go mieczem.

24 Menander był żyjącym w IV wieku przed naszą erą słynnym greckim poetą, autorem ponad stu komedii.

25 Aptekarz Baum, przedstawiając Mordimerowi sposób zapobiegania kaszlicy, wymyślił po prostu prymitywną szczepionkę, polegającą na tym, by śmiertelną chorobę zastąpić chorobą słabą, która jednak uodparnia na tę śmiertelną i chroni przed zakażeniem. W naszym, realnym świecie do podobnych wniosków doszedł Edward Jenner, XVIII-wieczny brytyjski lekarz. Oddajmy głos portalowi Medonet: „Pierwsza szczepionka przeciwko ospie prawdziwej została wynaleziona w 1796 roku przez Edwarda Jennera, brytyjskiego medyka. Szczepionka ta polegała na podawaniu żywych, wirulentnych wirusów krowianki (nie ospy prawdziwej). Wykorzystywano w tym celu metodę skaryfikacji, czyli szybkiego nakłuwania (piętnastokrotnego) skóry za pomocą igły lub skaryfikatora zamoczonego wcześniej w szczepionce. Po szczepieniu ranę zaklejało się gazą, aby zapobiec zakażeniom innych części ciała”.

26 Szklane szyby nie były w XVI wieku może wielką rzadkością, ale nadal były kosztowne. Nie wyrabiano ich w formie jednolitej dużej tafli, jaką znamy dzisiaj, a produkcja była mocno ograniczona ze względów technicznych. Zrozumiało więc, że w karczmie o nie najlepszej reputacji, w której dochodziło do zwad, właściciel raczej nie kazałby zakładać szklanych szyb, bo ciągle zamawianie i wprawianie nowych wpędziłoby go w duże koszty. W miejscach, gdzie szkła w oknach nie stosowano z uwagi na rzadkość tego

materiału lub za wysoką cenę, używano na przykład natłuszczonego lub nasączonego żywicą płótna albo wołowych czy rybich pęcherzy.

27 Historia tej dziwnej nazwy została przeze mnie zapożyczona z prawdziwej historii angielskiego pubu „Wiadro Krwi”, który do dzisiaj można odwiedzić w miejscowości Phillack na wybrzeżu Kornwalii.

28 *Non nobis, Domine, non nobis, sed nomini Tuo da gloriam* zawsze tłumaczyłem jako: „Nie dla nas, Panie, nie dla nas, lecz na chwałę Twojego imienia”. Ale na przykład Jan Kochanowski tłumaczył to zdanie dużo mniej wiernie: „Nie nam, nasz Panie, stworzeniu podłemu, ale czyń sławę imieniowi swemu!”. W każdym razie ów fragment hymnu był bardzo często cytowany. Przede wszystkim przyłgnał do templariuszy, ale jak podaje Wikipedia, tą właśnie frazą rozpoczynano w średniowieczu ogłaszanie wyroków sądowych.

29 Kalokagatia jest pojęciem pochodzącym z filozofii antycznej Grecji. Oznacza połączenie dobra i piękna, rozumiane jako harmonia i konsolidacja pomiędzy przymiotami duchowymi oraz cielesnymi. Jak pisze Justyna Sprutta w pracy „Idea kalokagatii w starogreckim wychowaniu”: „W interpretacji starogreckiej piękna rzecz, piękne zjawisko, piękny czyn są zarazem dobrą rzeczą, dobrym zjawiskiem, dobrym czynem; zatem to, co piękne, jest także niejako ze swej natury dobre. Platon stwierdza w *Filebie*, że »co doskonałe, to jest ze wszech miar dobre«”.

30 Obrzynanie było, niestety, częstym zabiegiem, jakiemu oszuści poddawali monety. Odkrawali część kruszcu (złota lub srebra) od monety i w ten sposób mieli nadal monetę, nominalnie wartą tyle samo, co przedtem, ale dodatkowo zostawało im trochę odpilowanego kruszcu, który mogli sprzedać lub przetopić. Jak pisze Wikipedia, znamionowanie monet poprzez ząbki na krawędziach (dzięki temu zabiegowi można było dostrzec, czy ktoś nie

majstrował przy monecie) zostało wprowadzone przez Izaaka Newtona, słynnego uczonego, który w latach 1696–1701 był również zarządcą londyńskiej Mennicy Królewskiej.

31 Słowa wypowiediane przez Mordimera: „W miarę bogaty winien być człowiek, nigdy zbyt majątny. Ci są najszczęśliwsi, którzy średnio wiele mają” to parafraza sentencji pochodzącej z islandzkiej *Eddy poetyckiej*, która w oryginale dotyczyła mądrości, a nie majątku.

32 „Jeśliby sama liczebność wojsk przesądzała o zwycięstwie, do prowadzenia wojny wystarczyłoby liczydło, a bitwy stałyby się niepotrzebne” – to jedna ze złotych myśli chińskiego filozofa Sun Zi, autora „Sztuki wojny”, dzieła napisanego w V wieku przed naszą erą.

33 Pozwoliłem sobie tutaj na intertekstualny żarcik. Cytat: „Teraz kiedy zostaliśmy sami możemy porozmawiać księżę jak mężczyzna z mężczyzną chociaż leżysz na schodach i widzisz tyle co martwa mrówka to znaczy czarne słońce o złamanych promieniach” pochodzi ze współczesnego utworu, a mianowicie z wiersza „Tren Fortynbrasa” autorstwa Zbigniewa Herberta.



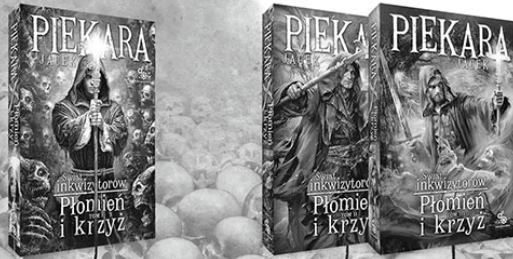
INKWIZYTORIUM

JACKA PIEKARY

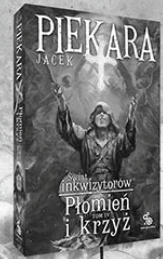
JA, INKWIZYTOR
RUSKA TRYLOGIA



JA, INKWIZYTOR

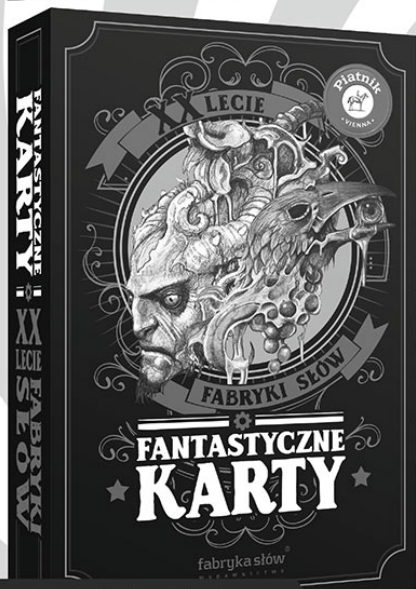


ŚWIAT
INKWIZYTORÓW



★ **NAJLEPSZE
FANTASTYCZNE**

★ **KARTY** ★
**POLECAJĄ NAJWIĘKSI
TEGO ŚWIATA**



Bip, bip, bop, bop.
Xyrtax 3000



Moja ulubiona talia
do gry w pokera.
Matka Teresy z Kalisza



I wtedy ja mówię mu:
Ty zrób tako cało talie.
Boleslav Va Lensa



Kup je, Mordo.
Sebastian z Radomia



52 karty to więcej niż 51,
ale mniej niż 53.
Pablo Kolejko





Srogie dodatki
do Twoich
ulubionych
lektur



koszulki
smycze
kubki
magiczne

Kupuj na
steelhog.pl



COPYRIGHT © BY Jacek Piekara
COPYRIGHT © BY Fabryka Słów sp. z o.o., LUBLIN 2023

WYDANIE I

ISBN 978-83-7964-876-4

Wszelkie prawa zastrzeżone
All rights reserved

Książka ani żadna jej część nie może być przedrukowywana ani w jakikolwiek inny sposób reprodukowana czy powielana mechanicznie, fotooptycznie, zapisywana elektronicznie lub magnetycznie, ani odczytywana w środkach publicznego przekazu bez pisemnej zgody wydawcy.

PROJEKT I ADIUSTACJA AUTORSKA WYDANIA
Eryk Górski, Robert Łakuta

ILUSTRACJA NA OKŁADCE
Piotr Cieśliński

ILUSTRACJE
Paweł Zaręba

PROJEKT OKŁADKI
„GRAFFICON” KONRAD KUĆMIŃSKI

REDAKCJA
Małgorzata Hawrylewicz-Pieńkowska

KOREKTA
Magdalena Byrska

SKŁAD WERSJI ELEKTRONICZNEJ
pan@drewnianyrower.com

SPRZEDAŻ INTERNETOWA



swiatksiazki.pl



Zamówienia hurtowe
Dressler Dublin sp. z o.o.
ul. Poznańska 91
05-850 Ożarów Mazowiecki

tel. (+ 48 22) 733 50 31/32
www.dressler.com.pl
e-mail: dystrybucja@dressler.com.pl



WYDAWNICTWO
Fabryka Słów sp. z o.o.
20-834 Lublin, ul. Irysowa 25a
tel.: 81 524 08 88, faks: 81 524 08 91
www.fabrykaslow.com.pl
e-mail: biuro@fabrykaslow.com.pl
www.facebook.com/fabryka
instagram.com/fabrykaslow/

Opowieści ze świata Inkwizytoria



Ja, inkwizytor

Dziennik czasu zarazy

OTO ZWRÓCĘ SWE OBLICZE
PRZECIWI WAM
NA WASZE NIESZCZĘŚCIE,
BY WYNISZCZYĆ WSZYSTKICH LUDZI.

Miasto Weilburg zatrasnęło bramy i ogłosiło kwarantannę. W obrębie pilnie strzeżonych murów zamknięto ludzi chorujących i umierających na zarazę. Ale nawet po tych, którzy wymknęli się epidemii, śmierć gotowa jest sięgnąć z innych powodów.

Bo w mieście oczadziałym od wielotygodniowej suszy, spętanym strachem przed przyszłością, terroryzowanym przez zewnętrznych wrogów i rodzimych fanatyków wystarczy iskra, by z domów pozostały zgliszcza, a ulice zaścieliły trupy.

W takim miejscu i w takim czasie inkwizytor Mordimer Madderdin stoczy walkę o ocalenie niewinnych, o ukaranie zbrodniarzy, a przede wszystkim – o utrzymanie choćby resztek sprawiedliwości.



fabryka słów®
WYDAWNICTWO



/fabryka



/fabrykaslow

fabrykaslow.com.pl